

Sługa Magii

Lackey Mercedes

Książka I z Ostatni Mag Heroldów



calibre 0.9.43

Mercedes Lackey

SŁUGA MAGII

**Tłumaczyła Magdalena Polaszewska-
Nicke**

Dedykowane

Melanie Mar - tak po prostu

oraz

Markowi, Carlowi i Dominikowi

za ich krytyczne wsparcie

Rozdział Pierwszy

Twój dziadek - rzekł Radevel, krzepki piętnastoletni kuzyn Vanyela - był szaleńcem.

Coś w tym jest - pomyślał Vanyel, pocieszając się nadzieją, że przy odrobinie szczęścia

może uda im się dobrnąć do końca schodów bez szwanku.

Ową uwagę Radevela sprowokowała zapewne klatka schodowa na tyłach zamku, na

której teraz się znajdowali; ciągnęła się od izby czeladnej na trzecim piętrze aż do zaplecza

pokoju na bieliznę na parterze. Stopnie były tak wąskie i śliskie, że nawet służba nie korzystała

z tego przejścia.

Twierdza lorda Ashkevron w Forst Reach była konstrukcją osobliwą, skleconą z

najróżniejszych elementów. W czasach prapradziadka Vanyela przypominała ona zwyczajną

warownię, lecz do momentu kiedy ziemie te przejął dziadek Vanyela, granica posiadłości

przesunęła się daleko za Forst Reach.

Wtedy to stary grzesznik, dobijając pięćdziesiątki,

postanowił, iż funkcja obronna powinna ustąpić pierwszeństwa wygodzie - jego wygodzie

przede wszystkim.

Vanyel nie miał nic przeciwko temu - nie uważał decyzji dziadka za całkowicie

nieśluszną. Sam chętnie poparłby pomysł zasypywania fosy i wybudowania kominków we

wszystkich pokojach. Rzecz w tym, że staruszek miewał dość osobliwe fantazje

na temat tego,

co gdzie chciałby umieścić, a na dodatek często zdarzało mu się zmieniać decyzje już w trakcie

przebudowy.

Przeróbki dziadka miały swoje dobre strony. Dzięki nim w całym zamku pojawiło się

mnóstwo oszklonych i zaopatrzonych w okiennice okien, a małe okienka w dachu dawały teraz

światło wszystkim pokojom na poddaszu oraz klatkom schodowym. Kominki znajdowały się

prawie w każdej izbie, a ogrzewane wygodki zajmowały sporą część budynku łaźni. Każda

wewnętrzna ściana, dla zabezpieczenia przed zimnem i wilgocią, została otynkowana i pokryta

drewnem. Natomiast stajnie, służbówki, psiarnię oraz wybieg dla kur przeniesiono do nowych

przybudówek.

Ale były też i mankamenty. Jeśli ktoś na przykład nie orientował się zbyt dokładnie w

rozkładzie wszystkich zabudowań i

pomieszczeń, z łatwością mógł się zgubić. Zamek krył

teraz mnóstwo zakamarków, do których dostęp zdawali się mieć wyłącznie wtajemniczeni, i

tylko ci, którzy dokładnie go znali, nie napotykali na przeszkody poruszając się po nim. Co

gorsza, do owych skrzętnie ukrytych zakamarków należały również miejsca pełniące bądź co

bądź ważną rolę, jak łaźnia czy wygodki. Poza tym stary lubieżnik, dziadek Vanyela, nie

uwzględnił w swych planach
przebudowy przyjscia na świat
następnych pokoleń. Pokoje

dziecięce umieścił bowiem w obrębie
mieszkań dla służby, co w praktyce
oznaczało, że nim

synowie lorda Withena przenieśli się do
sali kawalerskiej, a córki do alkowy,
wszystkie dzieci

mieszkały razem, stłoczone po dwoje
lub troje w bardzo małych pokoikach
na poddaszu.

- On był też twoim dziadkiem. - Vanyel
poczuł się zmuszony do zrobienia tej
uwagi. Za

każdym razem, gdy tylko poruszano temat dziadka Joserlina oraz jego rozbudowy zamku,

kuzynowie Ashkevron zachowywali się w taki sposób, jak gdyby nie łączyli ich z Vanyelem i

jego rodzeństwem żadni wspólni przodkowie.

- Ha. - Radevel zamyślił się na chwilę i wzruszył ramionami. - A jednak był szaleńcem.

- Uniósł zbroję i ochraniacze, aby ułożyć je trochę wyżej na swym ramieniu.

Vanyel zachował spokój i zbiegł nawet z

kilku ostatnich kamiennych stopni, aby przytrzymać dla kuzyna otwarte drzwi. Radevel wszakże oddawał mu przysługę. Vanyel

wiedział jednak, iż kuzyn miał o nim równie złe zdanie, jak inni mieszkańcy zamku.

Spośród wszystkich kuzynów Radevel wyróżniał się najmilszym usposobieniem i łatwo

było przekabacić go na swoją stronę. Zaś łapówka w postaci nowej rękawicy do polowania z

sokołem okazała się nazbyt cenną

przynętą, aby chłopiec potrafił odrzucić propozycję Vanyela.

Mimo to jednak nie byłoby dobrze złościć go teraz kłótnią. Mógłby dojść do wniosku, że ma

ciekawsze rzeczy do roboty niż pomaganie Vanyelowi, a wtedy nawet rękawica straciłaby na

atrakcyjności.

O bogowie, oby to się udało - myślał Vanyel, gdy wchodzili do ponurej tylnej sieni. Czy

wystarczająco dużo ćwiczyłem z Lissą? Czy moja metoda ma jakiegokolwiek

szansę przy

standardowym ataku? A może nawet próbowanie jej jest szaleństwem?

W pograżonej w mroku sieni panował taki sam chłód jak na klatce schodowej. Radevel

szedł pierwszy i głośno stąpając po kamiennej posadzce pogwizdywał z zadowoleniem,

aczkolwiek niezbyt melodyjnie. Vanyel starał się powstrzymać grymas, jaki wywoływało na

jego twarzy tak okaleczone wykonanie jednej z jego ulubionych melodii, i

oddawał się powoli

swym ponurym rozmyślaniom:

Za trzy dni Lissa wyjedzie, a jeśli nie uda mi się sprawić, aby wysłano mnie razem z nią,

zostanę zupełnie sam. Bez Lissy... Może jeśli zdołam udowodnić, że powinienem ćwiczyć tą

samą metodą co ona, ojciec pozwoli mi jechać razem z nią.

Właśnie ta niezupełnie jeszcze sprecyzowana myśl skłoniła go do trenowania innego

stylu walki niżli ten, którego powinien
był się uczyć. Ćwiczył w tajemnicy wraz
ze starszą

siostrą, Lissą, a dzisiejszy eksperyment
miał być właśnie tego treningu
ukoronowaniem.

Doprowadziła do niego także nagła
potrzeba okazania lordowi Withenowi,
że jego

najstarszy syn nie jest tchórzem, za
jakiego uważa go fechtmistrz, i że
potrafi odnieść sukces w

pojedyнку stosując własne zasady.

Vanyel zastanawiał się, dlaczego jest

jedynym chłopcem, który uzmysławia
sobie fakt

istnienia innych stylów walki, poza tymi,
których uczył Jervis. Sam czytał o nich i
wiedział, że

są równie skuteczne. Gdyby było
inaczej, dlaczego wysyłano by Lisę,
aby wychowywała się i

uczyła z Trevorem Coreyem i jego
siedmioma adeptkami, które mają zostać
zaprzysiężone

mieczowi? Według oceny Vanyela,
cudem byłoby kiedykolwiek odnieść
zwycięstwo przy

użyciu brutalnego stylu, jakim
posługiwał się Jervis, a zmierzającym
do posiekania

przeciwnika na kawałki. Jednakże
dopóty, dopóki Jervis będzie się cieszył
posłuchem u lorda

Withena, nie było mowy, aby ten
uwierzył, że jakakolwiek inna metoda
walki może zdać

egzamin w polu.

Chyba że Vanyel sam zdoła mu to
udowodnić. Wtedy ojciec będzie
zmuszony dać

wiarę temu, co zobaczy na własne oczy.

A jeśli nie potrafię tego dowieść...

...O bogowie. Nie zniosę tego dłużej.

Wraz z odjazdem Lissy do Zamku
Brenden straci też jedyne
sprzymierzeńca w tym

domu, jedyne przyjaciela, jedyną
osobę, której nie był obojętny.

Dzisiejszy popis miał być punktem
kulminacyjnym spisku uknutego wraz z
Lissą.

Radevel spróbuje go pobić stosując się
do nauk Jervisa. Vanyel zaś będzie
usiłował walczyć po

swojemu, ubrany tylko w watowany kaftan i hełm, osłaniając się najlżejszą tarczą i zdając się

całkowicie na własną szybkość i zwinność.

Radevel kopnął nie zamknięte zasuwą drzwi prowadzące na pole treningowe i

pozostawił Vanyelowi zamknięcie ich, zanim ktoś zacznie narzekać na przeciąg.

Po mrokach

sieni wczesnowiosenne słońce okazało się zbyt jaskrawe - Vanyel zmrużył oczy,

przyspieszając, aby dogonić kuzyna.

- No dobrze, piękniśiu - powiedział życzliwie Rade-vel i rzuciwszy cały ekwipunek na

skraju pola treningowego, podał Vanyelowi jego część zbroi. - Przygotuj się. Zobaczymy, czy

ten twój nonsensowny pomysł jest coś wart.

Założenie "pancerza" zabrało Vanyelowi dużo mniej czasu niż jego kuzynowi.

Ostrożnie zaproponował mu swą pomoc, lecz starszy chłopiec tylko parsknął.

- Miałbym założyć zbroję byle jak? Tak,

jak ty to robisz? Nie, dziękuję - odparł i metodycznie kontynuował procedurę zapinania i dopasowywania swych ochraniaczy.

Vanyel zarumienił się. Stał niepewnie z boku zapadniętego pola treningowego, kontemplując gęstą, martwą trawę pod stopami.

Nigdy nic nie partaczę, chyba że Jervis patrzy - pomyślał zaszepiony, drżąc lekko pod

wpływem zimnego podmuchu wiatru przenikającego kaftan. Wtedy nic mi nie wychodzi.

Zdawało mu się, że okna zamku
znajdującego się za nim są oczami
wpijającymi się

swym wzrokiem w jego plecy. Zupełnie
jak gdyby z utęsknieniem wypatrywały
jego kolejnej

porażki.

Czego mi właściwie brakuje? Dlaczego
nigdy nie udaje mi się zadowolić ojca?

Dlaczego wszystko, co robię, jest złe?

Westchnął, dotknął palcami trawy i
przez głowę przebiegła mu myśl, że
lepiej byłoby

teraz jechać konno, zamiast szykować się do podjęcia z góry skazanej na porażkę próby

dokonania rzeczy niemożliwej. Był najlepszym jeźdźcem w Forst Reach. On i Gwiazda nie

mieli sobie równych podczas najbardziej nawet niebezpiecznych pogoni na polowaniach.

Gdyby tylko zechciał, Vanyel potrafiłby ujeździć każdego konia ze stajni.

Tylko dlatego, że nie zawracam sobie głowy tymi brutalami nie umiejącymi zliczyć do

trzech, ojciec nie pasuje mnie nawet na rycerza...

Bogowie, tym razem muszę wygrać.

- Zbudź się marzycielu - burknął Radevel przytłumionym przez hełm głosem. - Chciałeś

walczyć, więc zabierajmy się do roboty.

Vanyel wyszedł na środek pola treningowego z nerwową rozwagą, odkładając

założenie hełmu do ostatniej chwili. Nienawidził go, nienawidził uczucia bycia zamkniętym w

czymś, a najbardziej nie znosił tego, że wąska szparka w przyłbicy tak bardzo ogranicza pole

widzenia. Czując już pot spływający pod pachami i po plecach, czekał, aż Radevel zbliży się do

niego pierwszy.

Radevel odwrócił się, lecz Vanyel zamiast osłonić się tarczą, tak jak zrobiłby to Jervis,

usunął się z drogi ciosu i mijając Radevela bokiem, sam go ugodził. Jervis nigdy nie przykładał

wagi do precyzji walki, lecz Vanyel sam

odkrył, że odpowiednie zaplanowanie
zadawanych

ciosów może naprawdę przynieść dobry
efekt. Radevel wydał odgłos
zaskoczenia i uniósł swą

tarczę, ale zrobił to zbyt prędko i
odsłonił się na uderzenie.

Widząc drugie już odsłonięcie się
przeciwnika w tak krótkim czasie,
Vanyel poczuł w

sobie wzbierający zapal i zaryzykował
jeszcze jeden atak. To pchnięcie
dosięgnęło wprawdzie

Radevela, ale okazało się zbyt słabe,

aby nazwać je uderzeniem
obezwładniającym.

- Słaby! - krzyknął Vanyel, uskoczywszy
na bok, zanim kuzyn sam zdąży ocenić
cios

jako nieudany.

- Prawie dobry, piękniśiu - odparł
Radevel z niechętnym podziwem w
głosie. - Jeszcze

jeden taki, a przy mojej wadze, powalisz
mnie na ziemię. Spróbuj...

Rzucił się do ataku; jego miecz
ćwiczebny zamajaczył przy tarczy.

Vanyel w ostatniej chwili usunął się na bok, a Radevel siłą rozpędu zatoczył się i

zatrzymał dopiero w połowie odległości między Vanyelem a granicą pola.

Nowy styl rzeczywiście działał! Radevel nie mógł nawet zbliżyć się do Vanyela, który

dźgał go przy każdej okazji. Jego pchnięcia nie miały mocy nawet zbliżonej do śmiertelnej, ale

było to spowodowane przede wszystkim brakiem praktyki. Jeśli...

- Przerwijcie, do stu diabłów!

Chłopcy znieruchomieli. Na plac wkroczył fechtmistrz Forst Reach. Jego oczy nabiegłe

krwią ciskały gromy.

Podczas gdy Jervis, najemnik o kamiennej twarzy i blond włosach, mierzył ich

wzrokiem, Vanyel pocił się już nie tylko z wysiłku. Fechtmistrz zmarszczył brwi, a chłopiec

poczuł, że ślina napływa mu do ust. Jervis wyglądał na rozwścieczonego, a kiedy Jervis był zły,

wówczas na ogół Vanyel był tym, który

cierpiał.

- No cóż - zaskrzeczał mężczyzna po chwili wystarczająco długiej, aby przerażenie

Vanyela zdążyło sięgnąć zenitu. -
Uczymy się nowej dyscypliny, tak? A
który z was ją

wymyślił?

- Ja, panie - wyszeptał Vanyel.

- Nietrudno zgadnąć, że zachodzenie
przeciwnika od tyłu, przyczajanie się i
uniki

wydają ci się bardziej atrakcyjne niżli

uczciwa walka - szydził fechtmistrz. - A więc, jak ci

poszło, mój bystry młody lordzie?

- Spisał się, Jervisie. - Ku absolutnemu zdumieniu Vanyela Radevel odpowiedział za

niego. - Nie udało mi się go trafić, a jeśli tylko włożyłby w swe pchnięcia całą siłę, położyłby

mnie raz czy dwa.

- Jesteś zatem prawdziwym bohaterem w walce z niedorostkiem. Idę o zakład, że

czujesz się jak Veth Krethen, prawda? -
Jervis splunął. Vanyel starał się
opanować złość, licząc

do dziesięciu. Nie protestował nawet, że
Rade-vel był prawie dwa razy większy
od niego i z

pewnością trudno byłoby go określić
jako “nedorostka”. Tymczasem Jervis,
w oczekiwaniu na

ripostę, wbił w niego swe nienawistne
spojrzenie. Nie usłyszał jednak ani
słowa sprzeciwu.

Rzecz dziwna, ale to właśnie wydawało
się wprawiać go w jeszcze większą
wściekłość.

- Dobrze, bohaterze - burknął,
odbierając broń Radevelowi i
wciskając sobie na głowę

hełm chłopca. - Przekonajmy się, jak
dobry jesteś naprawdę...

Błyskawicznie, bez ostrzeżenia,
przypuścił atak. Vanyel padł na kolana,
uchylając się

przed wirującym ostrzem. Naraz
uświadomił sobie, że Jervis naciera na
niego pełną parą i nie

zważa na fakt, że jego przeciwnik nie ma
na sobie zbroi.

Wszak Vanyel jej nie włożył.

Gdy Jervis natarł ponownie, Vanyel, bliski rozpaczy, obrócił się wokół własnej osi, dał

nura, wywinął się, zakręcił i wtedy ujrzał pewną szansę. Tym razem desperacja obudziła w nim

siły, jakich nie użył w walce z Radevelem. Ugodził Jervisa w klatkę piersiową, ten zachwiał się

na moment, a Vanyel wykończył swe natarcie solidnym ciosem w głowę,

Fechtmistrz zatoczył się dwa lub trzy kroki do tyłu. Vanyel z sercem w gardle wyczekiwał jego reakcji. Potrząsnął

głową dla odzyskania jasności umysłu.
Zapadła potworna

cisza.

Jervis zdjął hełm; jego twarz ściągnęła
wściekłość. - Radevelu, zabierz
chłopców i

przynieś broń i zbroję lordziątka
Vanyela - powiedział śmiertelnie
spokojnym głosem.

Radevel wycofał się z boiska, obrócił
się na pięcie i popędził w stronę zamku.
Wtedy

Jervis podszedł z wolna do Vanyela i
zatrzymał się w odległości około metra

od niego,

wprowadzając go w taki stan, że ten nieomal padł trupem na miejscu.

- A więc lubisz atakować od tyłu, co? - powiedział tym samym, śmiertelnie spokojnym

tonem. - Chyba nie przyłożyłem się zbyt do nauczania cię, czym jest honor, mój młody

lordzie. - Po jego twarzy przemknął nikły uśmiech. - Myślę jednak, że można temu wnet

zaradzić.

Powłócząc nogami, zbliżał się już Radevel obładowany resztą ekwipunku Vanyela.

- Włóż zbroję - rozkazał Jervis. Vanyel nie śmiał się sprzeciwić.

Później, gdy wszystko się skończyło, Vanyel nie potrafił przypomnieć sobie

dokładnych słów Jervisa. Pamiętał tylko, że ten zrugął go przy wszystkich, nazwał tchórzem i

oszustem, mordercą, który nie potrafiłby spokojnie, z honorem, stawić czoła przeciwnikowi.

Tylko mglista aura strachu i złości,

otaczająca wspomnienia tamtego dnia,
nadawała sens

kołaczącym się w głowie słowom.

Ale wtedy Jervis dopiął swego. Pobił
Vanyela swoją metodą, posługując się
własnym

stylem.

Był to pojedynek, który od samego
początku nie rokował dobrze dla
chłopca. Nawet

gdyby Vanyel rzeczywiście wykazywał
jakąś biegłość we władaniu bronią
według zaleceń

Jervisa, i tak nie miałyby żadnych szans.
Kilkakrotnie powalony na ziemię,
słyszał w uszach

dzwonienie wywołane ciosem, którego
nie zdążył nawet zauważyć, i odganiał
sprzed oczu

wirujące gwiazdki.

- Wstań - mówił wtedy Jervis...

Po pierwszym upadku Vanyel podnosił
się jeszcze pięć razy, coraz wolniej. Za
każdym

razem próbował się poddać. Do
momentu, gdy padł po raz czwarty,
zupełnie zatracił jasność

umysłu i w ogólnym ośpieniu nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo się poniża. Jervis

jednak nie przyjmował jego rezygnacji. Nawet wówczas gdy Vanyel z ledwością mógł wydać z

siebie jakikolwiek dźwięk, Jervis odmówił mu.

Nieprzyjemne było uczucie ogarniające Radevela na widok twarzy Jervisa ugodzonego

przez jego kuzyna. Nigdy, odkąd mieszkał w tym zamku, nie widział starego drania

ogarniętego takim szalem.

Spodziewał się wprawdzie, że Jervis zechce przetrzepać trochę skórę Vanyelowi, lecz

nigdy nie przyszło mu do głowy, iż może stać się świadkiem dokonanej z premedytacją...

...masakry. Tylko tak mógł to nazwać. Vanyel nie był przeciwnikiem dla Jervisa, a

Jervis nacierał na niego pełną parą, jak gdyby walczył z wyszkolonym dorosłym wojownikiem.

Nawet Radevel to zauważył.

Toteż odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że ugodzony po raz pierwszy chłopiec padł na

plecy i łapiąc oddech, wymamrotał deklarację kapitulacji. Najgroźniejszym rezultatem walki

mogło być wówczas kilka siniaków na ciele wyrostka.

Lecz kiedy Jervis odrzucił tę rezygnację, kiedy jął okładać Vanyela płaską częścią

swego pałasza, by zmusić chłopca do podniesienia miecza i tarczy dla osłony własnego ciała

przed ciosami, Radevela znów ogarnęło przerażenie.

Działo się coraz gorzej. Jeszcze pięć razy Jervis zwałął Vanyela z nóg, uderzając za

każdym razem z większą nienawiścią.

Ale za szóstym razem Vanyel nie miał już siły, by się dźwignąć.

Cios Jervisa przełamał jego drewniano-miedzianą tarczę w samym środku. Gdy

chłopiec padł, Radevel ku swemu przerażeniu ujrzał, że ręka, w której Vanyel trzymał tarczę,

jest złamana. Przedramię było zgięte
wpół.

Oznaczało to, że obydwie kości pękły i
tylko cud sprawił, że nie przeszły przez
mięśnie

i nie przebiły skóry.

Radevel spostrzegł, że obłąkańczy
wzrok Jervisa wciąż pała nienawiścią.

Błyskawicznie rozważył wszystkie
okoliczności w poszukiwaniu jakiegoś
wyjścia z

sytuacji i szybko doszedł do wniosku, że
należy natychmiast sprowadzić Lisę.

Miała ona

status osoby dorosłej, była opiekunką Vanyela. Dlatego też, bez względu na to, jakie Jervis

wynajdzie usprawiedliwienie pobicia chłopca, wiadomo było, że nie odważy się tknąć Lissy.

Gdyby to zrobił, jego kariera w zamku zakończyłaby się; wyrzucono by go momentalnie,

łamiąc mu obydwie ręce. Jeśli nawet nie zrobiłby tego sam Withen, znaleźliby się inni, którzy

chętnie stanęliby w obronie Lissy.

Radevel wycofał się z placu i gdy tylko

stwierdził, że zniknął z pola widzenia Jervisa,

puścił się biegiem w stronę zaniku.

Vanyel znów leżał na łopatkach, nie mógł już złapać tchu. Znajdował się w stanie

jakiegoś szoku, który prawie zupełnie odebrał mu zdolność odczuwania czegokolwiek, poza...

poza tym, że dzieje się z nim coś dziwnego. Spróbował wstać, ale rwący ból w lewym ramieniu

wydarł z niego przeraźliwy krzyk.

Gdy doszedł do siebie, pochylała się nad nim Lissa. Jej końską twarz ściągnęła trwoga.

Była blada, a nozdrza jej wydatnego nosa Ashkevronów wydymały się jak u przestraszonej

kobyły.

- Nie ruszaj się, Van. Obydwie kości przedramienia są złamane. - Klęczała obok niego,

delikatnie, lecz zdecydowanie, przytrzymując jednym kolaniem jego lewe ramię tak, aby nie

mógł nim poruszać.

- Pani, proszę się od niego odsunąć - głos Jervisa zdradzał już znudzenie i obrzydzenie.

- W tej ręce tylko trzyma się tarczę. Przywiążemy ją do deski, natrzemy balsamem i chłopak

będzie zdrów...

Lissa nie zmieniła pozycji, ale odwróciła głowę w stronę Jervisa z taką prędkością, że

przepaska w jej włosach rozwiązała się i śmignęła jak bat koło nosa Vanyela.

- Jak na jeden dzień wyrządziłeś już dosyć krzywd, mistrzu Jervisie -

warknęła, -

Myślę, że się zapominasz.

Przez głowę Vanyela przemknęła myśl,
że chciałby teraz zobaczyć twarz
Jervisa. To

dopiero musiał być widok.

Ale ból w ramieniu zaczął przybierać na
sile i był to wystarczający powód, aby
nie

zaprzątać sobie głowy niczym innym.

Zwykle w Forst Reach nie zatrudniano
na stałe Uzdrowiciela, lecz ciotka
Vanyela,

Serina, przebywała tutaj u swej siostry,
opiekując się nią podczas ciąży.

Ciężarna miała już za

sobą trzy poronienia i nie chcąc
ryzykować następnego, poddała się
opiece swej osobistej

uzdrowicielki. Teraz Lissa dopilnowała,
aby właśnie uzdrowicielka, a nie Jervis,
zajęła się ręką

Vanyela.

- Och, Van... - Lissa przysiadła
bezceremonialnie na brzegu łóżka

Vanyela i

westchnęła. - Jak to się stało, że wdałeś

się w tę awanturę?

Wyraz niepokoju na jej twarzy, dziobaty nos Ashkevonów i wydatna broda, wskazująca

na dużą determinację, sprawiały, że Lissa wyglądała teraz jak zawzięta, uparta kobyła. Jej

wygląd odpychał większość ludzi, lecz Vanyel znał ją wystarczająco długo, aby rozpoznać w

jej oczach wyraz rozpaczliwej udręki. Wszakże to właśnie ona opiekowała się nim przez całe

dzieciństwo.

Vanyel nie miał pewności, czy jego odpowiedź zabrzmiał sensownie, lecz dołożył

wszelkich starań, by wyjaśnić siostrze, co zaszło. Lissa podkuliła nogi i oparła brodę o kolana,

przybierając niegodną damy pozycję, której widok rozdrażniłby zapewne lady Tressę nie na

żarty.

- Myślę, że masz pecha. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Nie robisz nic złego,

ale ciągle przytrafiają ci się różne

rzeczy.

Vanyel zwilżył wargi i popatrzył na siostrę spod przymrużonych powiek.

- Liss... tym razem Jervis był naprawdę rozjuszony, a twoje słowa nie na wiele chyba

się zdały. On pójdzie prosto do ojca, jeśli już tego nie zrobił.

Lissa potrząsnęła głową.

- Nie powinnam była tego powiedzieć, prawda? Van, chciałam tylko, żeby zostawił cię

w spokoju.

- Ja... ja wiem Liss, nie winie cię za to, ale...

- Ale to ja rozwścieczyłam go na dobre. Zobaczą, może uda mi się dotrzeć do ojca

przed Jervisem, ale nawet jeśli zdołam to zrobić, ojciec pewnie i tak nie będzie chciał mnie

wysłuchać. Przecież jestem tylko kobietą.

- Wiem. - Pokój raptem zawirował i Vanyel zamknął oczy. - Tylko... spróbuj, Liss...

proszę.

- Spróbuję. - Ześlizgnęła się z łóżka i pochyliwszy się, pocałowała go w czoło. - A teraz

postaraj się zasnąć, jak zaleciła ci Uzdrowicielka, dobrze?

Vanyel skinął głową.

Odkąd umarła starsza pani Ashkevron, Lissa - nieustępliwa i niezależna jak babka,

która ją wychowywała - została właściwie jedyną osobą w zamku zdolną sprzeciwić się woli

lorda Withena. Biorąc pod uwagę charakter zmarłej babki, nie było to zbyt

zaskakujące.

Wydawało się bowiem, iż - ku ogólnemu zdumieniu męskich członków rodziny oraz co

bardziej uległych dam - każde pokolenie rodu Ashkevronów wydawało na świat jedną kobietę

obdarzoną silnym charakterem.

Lady Tressa, dama o dość nikłej sile przebicia, oddawała się wprawdzie w pełni

przeżyciom związanym ze stanem błogosławionym, folgowała do woli swym kaprysom i

chimerom, lecz niestety wszelkie fantazje okresu ciąży ustawały i odpływały w niepamięć, gdy

tylko nowy potomek rodu przychodził na świat. Wówczas to niemowlę natychmiast

przekazywano w ręce innych, którzy zajmowali się nim aż do czasu, kiedy dziecko dorastało na

tyle, aby włączyć je z pożytkiem do świty matki. Gdy urodziła się Lissa, oddano ją babce.

Vanyel zaś przeszedł pod opiekę Liss. Już z chwilą, gdy Liss zabierała brata z pokoju

dziecięcego, połączyła ich szczerą miłość. Dla niego stawiałaby czoło nawet rozwścieczonemu

lwu.

Teraz wyruszyła na poszukiwanie ojca. Szybko przekonała się, iż nie zdoła go

odnaleźć, ale mimo to nie powróciła zaraz do komnaty Vanyela. Niestety. Chłopiec stał się cał-

kowicie bezbronny w obliczu ojca, który runął na niego niczym bóg miotający pioruny.

Withen wpadł do jego maleńkiego pokoiku o pobielonych ścianach, gdy

Vanyel był już

bardzo wyczerpany zawrotami głowy
wywołanymi potwornym bólem oraz
lekami podanymi

przez uzdrowicielkę. Leżał na wznak na
łóżku, starając się nie wykonywać
żadnych ruchów,

lecz wciąż zdawało mu się, że pokój nie
przestaje wirować wokół niego. Ból
przyprawiał go o

mdłości; pragnął tylko jednego: aby
zostawiono go w spokoju. Jego ojciec
był ostatnią osobą,

jaką chciał teraz oglądać.

Ale nim Vanyel zdążył się zorientować, że jego ojciec już stoi przed nim, Withen zaczął

go besztać:

- Cóż to za oszustwa? - ryknął. Vanyel drgnął i przez moment zaświtała mu myśl, że

bardzo chciałby mieć odwagę zasłonić uszy.

- Na bogów, ty szczeniaku, powinienem złamać ci jeszcze drugą rękę!

- Nie oszukiwałem! - zaprotestował Vanyel, unosząc się z posłania, zbyt gwałtownie

niestety. Głos załamał mu się w najmniej odpowiednim momencie. Starał się usiąść, ale

skończyło się to kolejnym zawrotem głowy i pokój zawirował jeszcze szybciej. Wspierając się

na zdrowym łokciu, osunął się z powrotem na pościel, próbując zwalczyć pulsujący ból w lewej ręce.

- Walczyłem... - wyrzucił resztką tchu.

- Walczyłem tylko według rad Seldasena!

- A któż to jest ten Seldasen? - ryknął

ojciec, marszcząc brwi. - Jakież to
tchórzowskie

zwyczaje nakazują biegać w kółko i
zadawać przeciwnikowi ciosy w plecy,
co? O bogowie, co

ja właściwie zrobiłem? Choć wciąż
kręciło mu się w głowie, Vanyel
próbował przypomnieć

sobie, czy rozprawa herolda Seldasena
na temat sztuki wojennej i taktyki była
książką, którą

“pożycza” sobie nie pytając o
pozwolenie, czy też znajdowała się ona
na liście lektur

obowiązkowych.

- A więc? - Gdy lord Withen rzucał spod oka swe gniewne spojrzenie, jego ciemne

włosy i broda nadawały mu wręcz demoniczny wygląd. Jednakże w oczach odurzonego lekami

Vanyela, drapieżności nadawała mu jeszcze aureola jaskrawoczerwonego blasku.

- Ojczy, dlaczego nigdy nie chcesz wierzyć, że mogę mieć rację?

Vanyel przypomniał sobie z ulgą, że książka Seldasena znajduje się na

“legalnej” liście

lektur, a jego nauczyciel, Istał, polecił mu nauczyć się kilku jej rozdziałów na pamięć.

- To herold Seldasen, ojciec - podjął wyzywająco, czerpiąc ze swego buntu nowe siły. -

To z książki o taktyce, którą Istał kazał mi przeczytać. - Słowa, które sobie przypomniał dodały

mu odwagi i teraz wyrzucił je z siebie prosto w twarz ojcu. Zacytował:

- “Niechaj każdy mąż stający na polu bitwy walczy podług swoich zdolności i

niech nie

będzie zmuszany do użycia żadnego ze stylów. Niech mąż zręczny wykorzysta swą zwinność, a

jego uzbrojenie niech będzie lekkie. Niech bierze udział w potyczkach, ale nie przybliży się

zbyt do wroga. Niechaj mąż o ciężkiej budowie stanie ze swymi towarzyszami ramię przy

ramieniu, tworząc mur obronny, którego przeciwnik nie zdoła przełamać. Zaś mąż niskiego

wzrostu, a o bystrym oku, niechaj uczyni

dobry użytek ze swej głowy i zawsze nią uderza.

Herold niechaj walczy swym umysłem - nie ciałem. Mag heroldów zaś winien wojować

czarami - nie mieczem. I niechaj żaden mąż nie będzie nazwany tchórzem za odmowę zajęcia

miejsca poniżej jego godności”. Wcale nie zadawałem ciosów od tyłu! Nawet jeśli Jervis mówi,

że było inaczej... nie zrobiłem tego!

Lord Withen patrzył nieruchomo na swego najstarszego syna z ustami

otwartymi ze

zdziwienia. Przez moment Vanyelowi zdawało się, że zdołał dotrzeć do serca ojca, który

przywykł raczej do tego, że syn cytował poezję aniżeli historię sztuki wojennej.

- Chcesz się teraz popisywać wywodami na temat jakiejś przeklętej książki? - warknął

lord Withen, rozwiewając ostatnie nadzieje Vanyela. - A co jakiś tam plebejusz herold może

wiedzieć o walce? Posłuchaj mnie, chłopcze. Jesteś moim spadkobiercą,

moim pierworodnym,

i jeśli chcesz zająć moje miejsce, gdy mnie już nie będzie, korzystaj lepiej z tego, czego Jervis

może cię nauczyć! Jeżeli on mówi, że oszukiwałeś, to, do stu diabłów, oszukiwałeś!

- Ależ ja nie oszukiwałem i nie chcę zająć twojego miejsca... - zaprotestował Vanyel.

Leki odebrały mu zdolność panowania nad sobą i sprawiły, że wypowiadał myśli, które

powinien był zatrzymać dla siebie.

Na te słowa lord Witheren stanął jak wryty. Gapił się na Vanyela, jakby ten oszalał, jakby

wyrosła mu druga głowa, jakby ni stąd, ni zowąd przemówił nagle w języku Karsytów.

- O wielcy bogowie, chłopcze... -
wybełkotał po kilku zdających się
wiecznością

sekundach, podczas których Vanyel
oczekiwał już tylko, kiedy na głowę
zawali mu się cały

dach. - Czego ty chcesz?

- Ja... - zaczął Vanyel i zaraz zamilkł.

Gdyby powiedział lordowi Withenowi,
że

chciałby zostać bardem...

- Ty niewdzięczny szczeniaku. Będiesz
się uczył tego, co ja uznam za stosowne,
i

będziesz robił to, co ja ci rozkażę!
Jesteś moim spadkobiercą i będziesz
wypełniał swoje

obowiązki wobec mnie i tej posiadłości,
nawet jeśli miałbym widzieć cię
póływym!

Wypadł z pokoju, zostawiając syna
osłabionego bólem, złością i kompletną

rezygnacją.

Vanyel zaciskał oczy pełne łez.

O bogowie, czego on ode mnie oczekuje? Dlaczego nigdy nie potrafię go zadowolić?

Co mam zrobić, by przekonać go, że nie mogę być tym, kim on chciałby mnie uczynić? Mam

umrzeć? A w dodatku... w dodatku ta ręka, o bogowie, jakież to potworny ból - czy jest bardzo

uszkodzona? Czy kiedykolwiek jeszcze będę mógł sprawnie się nią posługiwać?

- Serwus, Van...

Otworzył oczy, zaskoczony dźwiękiem ludzkiego głosu.

Drzwi jego pokoju uchylone były do połowy. Przez szparę zaglądał do środka Radevel,

ale Vanyel usłyszał także dochodzące zza jego pleców szurania i szepty.

- Wszystko w porządku?

- Nie - rzucił Vanyel podejrzliwie. Czego, u diabła, on chce?

Krzaczaste brwi Radevela podskoczyły jak para podnieconych gąsienic.

- Nie bujaj. Na pewno boli.

- Boli - uciął Vanyel czując, że wzbiera w nim ponura, szatańska złość.

Przyglądałeś się wszystkiemu - pomyślał - i nie zrobiłeś nic, aby go powstrzymać,

kuzynie. Nie pofatygowałeś się nawet, aby obronić mnie przed ojcem. Nikt z was tego nie

zrobił.

Radevel, zamiast odejść, przesuwał się powoli w głąb pokoju.

- Hej - powiedział, rozjaśniając się - powinieneś był to widzieć! Wiesz...

bach! i tarcza

pęka w pół... i ty upadłeś... i to ramię...

- Idź do diabła! - warknął Vanyel. Był niemal gotów zabić kuzyna. - I możesz zabrać ze

sobą te upiory skradające się za tobą!

Radevel aż podskoczył. Zrazu zdawał się wstrząśnięty, potem jakby obrażony.

Vanyel nie zwracał na to uwagi. Zależało mu tylko, aby kuzyn i cała reszta zbiegowiska

jak najszybciej sobie poszli.

Wreszcie został sam. Od razu spłynął na niego nieprzyjemny, wypełniony jakimiś skrawkami koszmarów, sen. Kiedy znów się obudził, zobaczył matkę nadzorującą wynoszenie

z pokoju rzeczy Mekeala.

To było coś nowego. Lady Tressa nie interesowała się zwykle żadnym ze swych dzieci,

chyba że upatrywała w tym jakąś korzyść dla siebie. Zapewne i tym razem nie było inaczej.

Odkąd pięć lat temu Vanyel po raz pierwszy wykazał się prawdziwym

talentem muzycznym,

stał się nieodłącznym członkiem jej małego orszaku. Bardzo sobie ceniła umiejętności swego

osobistego minstrela, a oznaczało to, że dopilnuje, by Vanyel powrócił do zdrowia.

- Tylko nie hałasuj. - Z nie ukrywaną złością szeptała do Mekeala. - Nie chcę, abyś mu

przeszkadzał, kiedy powinien spać. I nie wchodź w paradę uzdrowicielce.

Trzynastoletni Mekeal, miniaturowa kopia swego ojca, wzruszył obojętnie

ramionami.

- I tak już czas, abyśmy się przenieśli do sali kawalerskiej, pani matko - odparł, gdy

lady Tressa zwróciła ku niemu oczy. - Nie mogę powiedzieć, że będę tęsknił za tą kocią muzyką

i brzdąkaniem.

Choć Vanyel widział tylko plecy matki, dezaprobata w jej głosie nie umknęła jego

uwadze.

- Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś

przyswoił sobie trochę oglądy Vanyela -
odpowiedziała

lady Tressa.

Mekeal, dość rozbawiony, znów
wzruszył ramionami.

- Z kiepskiej mąki nie będzie dobrego
chleba. Pomiędzy tańczącymi
płomieniami

świec próbował dojrzeć tę część
pokoju, w której leżał Vanyel.

- Wygląda na to, że braciszek nie śpi.
Cześć, piękniśiu. Przenoszą mnie na dół.
Zdaje

się, że zostaniesz tu sam.

- Wyjdź! - rozkazała Tressa i Mekeal, chichocząc bezlitośnie, wyniósł się z pokoju.

Następną miarękę świecy przyszło Vanyelowi spędzić w towarzystwie zapłakanej

Tressy, odgrywającej nad jego łóżkiem teatralne sceny rozpacz i oddającej się atakom spa-

zmów, za którymi zdawała się wprost przepadać. W pewnym sensie było to równie trudne do

zniesienia jak wściekłość Withena.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się
Vanyelowi być obiektem

podobnych lamentów.

O bogowie - pomyślał zmieszany -
sprawcie, aby odeszła. Dokądkolwiek,
nieważne

dokąd.

Musiał ją nieustannie zapewniać, że
wyzdrowieje, choć sam wcale nie był
tego pewny.

Jej przeraźliwa histeria doprowadzała
go do skrajności wytrzymałości, toteż z
wielką ulgą powitał

nadejście uzdrowicielki, która delikatnie wyprowadziła matkę, aby mógł trochę odpocząć.

Ból oraz odurzające leki sprawiły, że następne tygodnie zlały się w świadomości

Vanyela w rozmytą mgłę, z której wyłaniały się tylko postacie dworek jego matki. Jedna z nich

zawsze czuwała przy jego łóżku. Vanyel z trudem powstrzymywał krzyk, obserwując, jak tracą

głowę i załamują ręce, ogarnięte szalonym podnieceniem. Nawet Melenna, służąca matki, która

kiedyś zdawała się mieć nieco więcej oleju w głowie, nie zachowywała się inaczej. Vanyel czuł

się, jak gdyby niańczyło go stado rozemocjonowanych gołębic, które w krótkich przerwach

między atakami spazmów natychmiast zaczynały się do niego wdzięczyć. Szczególnie

Meleenna.

- Czy mam ci podać poduszkę? - gruchała.

- Nie - uciał Vanyel, licząc w myślach do dziesięciu. Dwa razy.

- Czy przynieść ci coś do picia? -

Dziewczyna przysunęła się trochę bliżej i

pochyliwszy się nad nim, zatrzepotała rzęsami.

- Nie - odparł, zamykając oczy. -
Dziękuję.

- Czy...

- Nie! - warknął niezupełnie
zdecydowany, co w tym momencie
dokuczało mu

bardziej: łomot w jego głowie czy
pytania Melenny. Pytania Melenny
stałyby się mniej uciążli-

we, gdyby przynajmniej nie towarzyszył im ból głowy.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

Vanyel uchylił jedną powiekę, aby móc ją widzieć. Ona znów pociągnęła nosem i

ogromna łza spłynęła po jej policzku.

Była dosyć ładną, drobniutką dziewczyną, jedyną spośród dworek i służących jego

matki, której udało się opanować pewną cenną umiejętność Tressy. Melenna umiała bowiem

płakać, wystrzegając się czerwonych
plam i opuchlizny na twarzy, które
niestety były

nieodłączną ceną, jaką każda dama
musiała zapłacić za długotrwałe spazmy.
Vanyel słyszał

kiedyś o tym, że obydwaj, Mekeal i
Radevel, parę razy próbowali zakraść
się do jej łóżka.

Wiedział też, że Melenna podkochiwała
się w nim, mimo to możliwość
wykorzystania jej

przychylności do zbliżenia intymnego
nie robiła na nim wrażenia.

Dziewczyna jeszcze głośniej pociągnęła nosem. Gdyby podobna sytuacja miała miejsce

choćby tydzień wcześniej, Vanyel westchnąłby, przeprosił i pozwolił jej coś dla siebie uczynić.

Zrobiłby cokolwiek, aby ją uszczęśliwić.

Tak byłoby tydzień wcześniej. Teraz... To dla niej tylko gra - pomyślał. Gra, której

nauczyła się od matki. Męczy mnie już branie w niej udziału. Wszystkie te podchody wychodzą

mi już bokiem.

Zignorował ją i zamknąwszy oczy modlił się, aby lekarstwa zaczęły wreszcie działać.

W końcu zadziały i ostatecznie uwolniły go na moment od jej towarzystwa.

- Van?

Ten głos wyrwałby go nawet z najgłębszego snu, nie mówiąc już o tej niespokojnej

drzemce, w którą zapadł przed chwilą. Z trudnością wyplątał się ze szponów koszmaru i

otworzył oczy.

Na brzegu łóżka siedziała Lissa ubrana w skórzany strój do jazdy konnej.

- Liss...? - Zaczął, ale zaraz uzmysłowił sobie, że strój do jazdy konnej
oznacza... o

bogowie...

- Van, przykro mi. Nie chciałam cię opuszczać, ale ojciec powiedział, że mam jechać

teraz albo nigdy. - Płakała, lecz nie tak ładnie jak lady Tressa; jej zaczerwienioną twarz

pokrywały plamy. - Van, proszę,
powiedz, że nie masz mi tego za złe!

- Nic... nic nie szkodzi, Liss -
wykrztusił. Słowa uwięzły mu w gardle
lodowatą bryłą,

taką samą, jaką poczuł gdzieś we
wnętrzościach. - Ja... ja wiem, że
mujesz jechać. O bogowie,

Lisso, jedno z nas musi się stąd
wydostać!

- Van... znajdę... znajdę jakiś sposób,
aby ci pomóc. Przyrzekam. Mam prawie
osiemnaście lat, jestem prawie wolna.
Ojciec wie, że Gwardia jest dla mnie

najwłaściwszym

miejscem. Od dwóch lat nikt nie starał się o moją rękę. Nie śmie rujnować mojej szansy na

posadę, inaczej byłby skazany na moją obecność tutaj. Bogowie wiedzą, że nie grozi ci już

żadne niebezpieczeństwo. Jeśli ktokolwiek odważy się nakazywać ci cokolwiek, zanim

uzdrowicielka uzna, że jesteś już wystarczająco sprawny, przeciwstawi się niebiosom. Może do

czasu, kiedy zdejmą ci szynę, uda mi się

znaleźć sposób, abyś do mnie dołączył...

Brzmiała w tych słowach taka nadzieja, że Vanyel nie miał serca zaprzeczać.

- Spróbuj, Liss. Nic... nic mi nie będzie.

Odwrócił się do ściany i zapłakał. Lissa była dla niego jedynym wsparciem. Była

jedyną osobą, która kochała go takim, jaki był. A teraz odeszła.

Po tym wydarzeniu przestał nawet udawać, że na czymkolwiek mu zależy.

Wszak nikt

się nie zatroszczył nawet o to, aby pozwolili Liss zostać do czasu, gdy

wydobrzeje. Po co więc

miałby zawracać sobie głowę
kimkolwiek czy czymkolwiek. Przestał
nawet silić się na

udawane grzeczności.

“Zbroja nie chroni - zbroja maskuje.
Hełmy zasłaniają twarze, a twój
przeciwnik staje

się tajemnicą, zagadką”.

Seldasen dobrze to ujął. Te słowa
idealnie pasują do tamtych dwóch na
dole.

Spojrzenia oczu w szparach przyłbic

były okrutne i puste. Nie sposób było odczytać

myśli w nich ukrytych. Przeciwnicy dobyli mieczy, wymienili identyczne pozdrowienia i

wycofali się dwadzieścia kroków, do przeciwległych krańców pola. Słońce znajdowało się

dokładnie nad ich głowami, a cienie tworzyły jedynie niewielkie plamy u ich stóp. Dwanaście

niespokojnych, uzbrojonych postaci kręciło się nerwowo przy granicy kwadratowego placu.

Ostre słońce spaliło krótką, martwą
trawę na kolor jasnej słomy, a każdy
szczegół sylwetek

przeciwników oświetlało z bezlitosną
dokładnością.

Kiedy się poruszają, przestają być tak
tajemniczy - pomyślał.

Jeden z wojowników, postawny, pełen
niebezpiecznego wdzięku, nosił wytarte

ochraniacze i sfatygowaną zbroję, pod
którymi z pewnością kryło się wspaniale
umięśnione

ciało. Każdy jego ruch zdradzał precyzję
i profesjonalizm. Każdy gest zapowiadał

zagrożenie

dla przeciwnika.

Drugi, o głowę niższy, wyposażony był w nowiutkie, nieskazitelne uzbrojenie.

Miał na

sobie czyściutkie ochraniacze i wypolerowany z wielką starannością pancerz. W swych ru-

chach był jednak niezgrabny, niepewny, wręcz bojaźliwy.

Pomimo że wyraźnie był przełknięty, nie brakowało mu odwagi. Nie czekając, aż jego

przeciwnik wykona pierwszy ruch,
wydał z siebie wibrujący, wyzywający
okrzyk i rzucił się

przez spalony słońcem plac na
potężnego wojownika. Biegając ciężko
po twardej, suchej ziemi,

ustawił miecz do zadania niskiego ciosu.

Ale atakowany nie próbował nawet
usunąć się z jego drogi; po prostu
wysunął w bok

swą pokiereszowaną tarczę. Miecz
nacierającego spadł prosto na nią i
ześlizgnął się po niej ze

szczękiem. Rosły wojownik ponownie

ustawił ją w pogotowiu i odpowiedział silnym ciosem.

Jego miecz zadźwięczał o tarczę przeciwnika, odbił się i wtedy atakujący - wykorzystując siłę

rozpędu swego oręża - ugodził niższego wojownika prosto w głowę.

Dźwięki walki odbijające się o białe mury zamku poniosły się echem.

Wydawało się, że

tylko szaleniec pozostawiony sarn sobie w kuźni potrafiłby wszcząć taki hałas.

Niższy

wojownik, odrzucany do tyłu z każdym

ciosem, stopniowo ustępował pod naporem zacieklego

ataku. W końcu stracił równowagę i padł na wznak. Miecz wypadł mu z ręki.

Jego głowa zadudniła głucho o kamienistą ziemię.

Przez chwilę leżał niemal bez ruchu, z ramionami wyrzuconymi w bok, jak gdyby

chciał objąć nimi słońce. Zdawało się jednak, że jego oczy oglądają tylko gwiazdki. Po-

trząsnąwszy głową w oszołomieniu, spróbował się podnieść.

W tym samym momencie poczuł na gardle czubek miecza swego przeciwnika.

- Poddaj się chłopcze. - Ostry, dudniący głos wydobył się z ciemnej szczeliny hełmu. -

Poddaj się, albo cię wykończę.

Pokonany zdjął hełm i okazało się, że był to kuzyn Vanyela, Radevel.

- Jeżeli mnie zabijesz, kto będzie czyścił twą kolczugę? Czubek miecza nie drgnął.

- Och, dobrze już, poddaję się - powiedział chłopiec z ponurym

grymasem. - Poddaję

się.

Miecz wytopiony z metalu do wyrobu
garnków powędrował do prostej,
skórzanej

pochwy. Jervis zdjął swój
sponiewierany hełm tą samą ręką, w
której trzymał tarczę. Zrobił to z

taką łatwością, jak gdyby drewno i brąz
nie ważyły. Odrzucił do tyłu
zlepione potem jasne

włosy, podał chłopcu prawą rękę i - z tą
samą, wystudiowaną precyzją ruchów,
jaką posługiwał

się w walce - pomógł mu wstać.

- Następnym razem, chłopcze, poddaj się od razu - zagrzemiał fechtmistrz, marszcząc

brwi. - Jeżeli twojemu przeciwnikowi będzie się spieszyło, weźmie żart za odmowę, a ty

zamienisz się w zimnego trupa.

Jervis nie poczekał nawet, aby wysłuchać speszonego “tak” Radevela.

- Ty tam, na końcu, Mekeal. - Skinął na brata Vanyela, stojącego na skraju placu treningowego. - Załóż hełm.

Vanyel parsknął kpiąco, widząc sposób, w jaki Jervis znów wciska na głowę henn i

kroczy dumnie, aby zająć swą poprzednią pozycję w samym środku placu.

- Reszta maruderów - ryknął fechtmistrz - pokażcie, że żyjecie. Dobrać się w pary i

rozpocząć solidny atak.

Jervis nie ma uczniów, to żywe cele - pomyślał Vanyel, przyglądając się wszystkiemu z

okna. Wie, że tylko ojciec dałby mu

radę, ale i tak w każdej przeklętej walce
skacze prosto do

gardła. Z dnia na dzień staje się coraz
bardziej paskudny. Jediną ulgą, jaką
stosuje, jest to, że

uderza tylko połową swej mocy, co i tak
wystarcza, aby zwalić Radevela z nóg.

Drań znęca się

nad słabszymi.

Vanyel osunął się na zakurzone poduszki
i przymusił swą bolącą rękę do
przećwiczenia

jeszcze jednej palcówki. Połowa strun
lutni, zamiast wydać piękny donośny

dźwięk,

brzdęknęła głucho. Jego ręka straciła zarówno siłę, jak i zręczność.

Nigdy już nie uda mi się porządnie tego wykonać. Jak może mi się to udać, jeśli prawie

nie mam czucia w tej ręce?

Przygryzł wargi i znów wyjrzał przez okno. Mrużąc oczy, patrzył na henn Mekeala na

tle murawy cztery piętra niżej. Wieczorem każdy z nich będzie lamentował, okładając rany

końskim mazidłem i przechwalając się,
jak długo tym razem stawiał opór
Jervisowi. Dziękuję,

nie ja. Jedna złamana ręka mi wystarczy.
Wolę dotrwać do moich szesnastych
urodzin z

nietkniętą resztą kości.

Ten malutki pokoik w wieży, gdzie
Vanyel krył się za każdym razem, kiedy
wzywano

go na ćwiczenia, był jeszcze jedną
pozostałością po szaleństwach
budowlanych dziadka

Joserlina. Była to ulubiona i, jak dotąd,

najbezpieczniejsza kryjówka Vanyela -
mała

rupieciarnia sąsiadująca z biblioteką.
Jedyna w miarę wygodna droga do tego
pomieszczenia

wiodła przez niskie drzwi w głębi
biblioteki, lecz pokój miał też okno
wychodzące na tę samą

stronę budynku, co okno pokoju Vanyela
na poddaszu. Kiedy tylko przyszła mu na
to ochota -

nawet podczas najgorszej pogody i w
najczarniejszą noc - Vanyel mógł wyjść
przez okno

swego pokoju, przesunąć się po pochyłym dachu i wślizgnąć do środka przez wąskie okno.

Najtrudniejszą rzeczą w tym wszystkim było pozostanie nie zauważonym. Pokój ten, dzi-

waczny zakątek w kształcie klina, był wszystkim, co pozostało po ostatnim podeście klatki

schodowej prowadzącej na ostatnie piętro. Stanowił ewidentny dowód zmiany zamierzeń w

trakcie przebudowy, ponieważ reszta klatki schodowej przerobiona została na komin, a otwór,

gdzie przedtem znajdowały się drzwi zapadowe, prowadził teraz do nadstawki kominowej.

Oznaczało to, że choć w samej spizarce nie było kominka, dzięki ścianie komina w

pomieszczeniu tym panowało łagodne ciepło, nawet w czasie największej niepogody.

Od czasu kiedy Vanyel przychodził się tutaj ukrywać, ani razu nie pojawiło się w tym

rozgardiaszu nic nowego, nikt też niczego tam nie szukał. Nie dostępność pokoju sprawiała, że

podobnie jak wiele innych dziwactw dziadka, łatwo było go zignorować.

Jeśli idzie o Vanyela, taka sytuacja bardzo mu odpowiadała. Trzymał tam swoje

instrumenty, nawet te dwa, harfę i cytrę, których posiadanie było mu zabronione. Poza tym,

kiedy tylko miał ochotę, mógł się zakraść do biblioteki i wybrać sobie jakąś książkę. Miał tam

w kącie pokoju fotel, w którym mógł się wygodnie wyciągnąć, a na półce z tyłu - kolekcję

ogarków pozwalających czytać nawet w nocy. Instrumentom nie zagrażały tutaj niezgrabne

ręce i figle jego braci, a on sam miał możliwość ćwiczenia w spokoju.

Ułożył przy oknie kilka starych poduszek, tak aby mógł obserwować, jak jego bracia i

kuzynowie obrywają na ćwiczeniach, przeganiani po całym placu, podczas gdy on grał, albo

raczej próbował grać. Czasami obserwacje te dostarczały mu nawet pewnej rozrywki. Bogowie

wiedzieli, że tak naprawdę nie było mu do śmiechu.

Było to odosobnione miejsce, lecz odkąd Lissa odjechała, Vanyela nigdy nie

opuszczało uczucie osamotnienia.

Wprawdzie trudno było się tam dostać, ale w swoim pokoju

nie mógł się ukryć.

Dopiero gdy wyzdrowiał, Vanyel dowiedział się, że podczas gdy on leczył swe złamane

ramię, jego braci i kuzynów przeniesiono wraz z Mekealem do sali

kawalerskiej. Vanyel zaś

pozostał w swym pokoju, nawet gdy
ręka się zrosła i uzdrowicielka zdjęła
szynę. Jego bracia

wyśmiali przed ojcem jego grę na lutni i
powiedzieli Withenowi, że byłiby
szczęśliwi, gdyby

Vanyel nadal zajmował swą dawną izbę,
oczywiście jeśli zechce. Withen,
prawdopodobnie

przypomniawszy sobie, jak blisko jego
pokojów mieści się sala kawalerska,
ochoczo przystał

na tę propozycję. Vanyel nic sobie nie

robił z owych knowań. Dla niego oznaczało to, że odtąd

miął pokój wyłącznie dla siebie, w czym znajdował niejaką otuchę.

Inne miejsce ucieczki, mały pokój jego matki, nie było już tym schronieniem co

dawniej. Zbyt łatwo można by go tam znaleźć, a ostatnio pojawiła się też inna niedogodność:

damy i wychowanki jego matki zaczęły z nim flirtować. Do pewnego momentu sprawiało mu

to nawet przyjemność, lecz one oczekiwały, aby dworską grę przemienić

w romantyczną

miłość, na co on wciąż nie czuł się gotowy. W dodatku lady Tressa nieustannie je zachęcała do

takiego zachowania.

Jervis popychał Mekeala do tyłu, krok po kroku. Głupcy - pomyślał Vanyel

pogardliwie, zmuszając swe palce do ćwiczeń w rytm uderzeń Jervisa. Muszą być pomyleni,

aby dzień po dniu pozwalać temu staremu, zgorzkniałemu człowiekowi robić z siebie idiotów,

a może nawet dać sobie zmiażdżyć
czaszki - tak samo jak moje ramię!
Zaciął usta w złości, a

wspomnienie błysku satysfakcji, który
ujrzał w oczach Jervisa, spotkawszy go
po raz pierwszy

od czasu “wypadku”, ścisnęło mu
żołądek. Niech diabli wezmą tego
drania, umyślnie złamał

mi rękę. Nie ma co do tego żadnych
wątpliwości. Potrafi przecież dokładnie
obliczyć siłę

każdego zadawanego ciosu.

Vanyel miał przynajmniej bezpieczną

kryjówkę. Bezpieczną, ponieważ
dotarcie do niej

wymagało nie lada odwagi. Ani
Jervisowi, ani ojcu, ani nikomu innemu
nie przyszłoby do

głowy, że Vanyel mógłby się zdobyć na
wspinaczkę po dachu. Nawet jeśli
przypomnieliby

sobie o istnieniu pokoiku.

Ta dziwaczna zbieranina na dole nie
wyglądała na krewnych. Wszyscy
kuzynowie

Ashkevron, osiągając wiek dojrzewania,
nabierali muskularnej budowy, ich kości

stawały się

masywne, a mięśnie silne i twarde jak u koni pociągowych.

Synowie Withena, nabierając masy, rośli jednocześnie w górę.

Vanyel był jedynym, który wdał się w matkę.

Zdawało się, że Withen nie mógł tego przeboleć, a nawet obwiniął się za to.

Vanyel parsknął, widząc Mekeala zataczającego się do tyłu pod wpływem ciosu w

hełm.

Pewnie aż mózg mu się wymieszał!
Dobrze mu służy opowiadanie dokoła,
jaki to z

niego będzie wspaniały wojownik.
Głupkowaty chudzielec. Potrafi tylko
myśleć o siekaniu

ludzi na kawałki w imię honoru.
Wspaniała wojna, ha! Idiota nie widzi
nic poza czubkiem

własnego nosa. Mimo tej gadaniny,
widząc prawdziwe pole bitwy, umarłby
ze strachu.

Vanyel wprawdzie sam nie widział
nigdy pola bitwy, posiadał jednak dużo
bogatszą

wyobrażnię niż którykolwiek członek jego rodziny. Nie miał trudności z wyobrażeniem sobie,

co mogłyby uczynić te miecze, gdyby były prawdziwe. Od razu też stawał mu przed oczami

obraz siebie samego okaleczonego śmiertelnymi ranami, tak często opiewanymi w balladach.

Lekcje władania orężem niewiele zajmowały Vanyela, przywiązywał on jednak wielką

wagę do nauki. Znał wszystkie ballady historyczne i - w przeciwieństwie do swych

rówieśników - potrafił cytować te ich fragmenty, które opowiadały o tym, co działo się po

wielkich bitwach: o listach zabitych, umierających, okaleczonych. Nie uchodziło też jego

uwagi, że po zsumowaniu liczby nazwisk z owych list, otrzymywało się zwykle wynik o wiele

wyższy niż liczba bohaterów, którzy przeżyli.

Vanyel wiedział bardzo dobrze, na której liście znalazłby się, gdyby kiedykolwiek

przyszło mu wziąć udział w starciu zbrojnym. Wyciągnął już wnioski z nauczki, jaką mu dał

Jervis. Po co więc w ogóle miałby próbować zostać bohaterem?

Poza tym za każdym razem, gdy natknął się na lorda Withena, ten raczył go swymi

wywodami na temat obowiązków najstarszego syna wobec posiadłości.

Bogowie. Jestem takim samym wołem pociągowym jak każdy inny osioł w posiadłości!

Obowiązek. To wszystko, o czym słyszę

- pomyślał, patrząc nieruchomo przez okno, nie

dostrzegając w dole już nic poza trawą. Dlaczego ja? Mekeal byłby sto razy lepszym lordem

posiadaczem niżli ja i świetnie by się czuł w takiej roli! Dlaczego nie pozwolono mi pojechać z

Lissa?

Westchnął i odłożywszy na bok lutnię, sięgnął do kieszeni tuniki po skrawek

pergaminy, który przyniósł mu giermek Trevora Coreya, doręczony uprzednio do rąk Tressy

“oficjalne” listy od Lissy.

Złamał pieczęć i starannie wygładził kartkę. Lissa postąpiła bardzo sprytnie,

rozdzierając ten zabazgrany i poplamiony skrawek, wiedząc, że nikt nie zauważy jego

zniknięcia! Użyła dobrego, silnego atramentu i choć litery były troszkę zamazane, Vanyel nie

miał trudności z odczytaniem listu.

Najdroższy Vanyelu!

Gdybyś tylko mógł być tutaj! Nie potrafią wyrazić, jak bardzo za tobą

tęsknię.

*Dziewczynki Coreyów są dość miłutkie,
ale niezbyt bystre. Zupełnie jak nasi
kuzynowie. Wiem,*

*że powinnam była wcześniej do ciebie
napisać, ale nie miałam ku temu okazji.
Twoja ręka*

*powinna już być zdrowa. Gdyby tylko
ojciec nie był tak zaślepiony! Uczą się
dokładnie tego*

samego, co wspólnie ćwiczyliśmy.

Vanyel wziął głęboki oddech, czując w
sobie narastającą falę gniewu przeciwko

niemądrej postawie Withena.

Obydwoje wiemy, jaki on jest, więc nie kłóć się z nim, kochanie. Po prostu rób, co ci

każe. To nie będzie trwało wiecznie, naprawdę, nie będzie. Tylko się trzymaj. Ja zaś uczynię

wszystko, co tylko będę mogła. Lord Corey jest człowiekiem dużo mądrzejszym niż ojciec. Może

uda mi się namówić go, aby Cię zaprosił. Może się uda. Bądź tylko naprawdę grzeczny, a może

wtedy ojciec będzie z Ciebie dość

*zadowolony, by pozwolić Ci tu
przyjechać. Uściski.*

Liss

Vanyel zwinął list i odłożył go na bok.
Och, Liss. Nie ma żadnej nadziei. Ojciec
nigdy

nie pozwoli mi tam jechać, nie po tym,
jak ostatnio wykręcałem się od ćwiczeń.
To nie będzie

trwało wiecznie. Pewnie masz rację.
Prawdopodobnie następnym razem,
kiedy Jervisowi uda

się mnie dopaść, nie przeżyję. Bogowie,
dlaczego nikt nigdy mnie nie pyta, czego

pragnę, a

kiedy pyta, dlaczego nie robi tego
szczerze i wcale nie słucha mojej
odpowiedzi?

Przymrużył oczy i znów spojrział w dół
na małe, okładające się figurki,
przypominające

paliki od namiotu, które z determinacją
usiłują powbijać się nawzajem w
ziemię.

Zaniepokojony, odwrócił się od okna,
wstał i odłożył lutnię obok dwóch
pozostałych

instrumentów, na prowizoryczny stojak,

który sam sklecił z desek.

Do kogo bym się zwrócił, dostaję tę samą odpowiedź - pomyślał. Lissa mówi: “Nie

walcz, rób, co ci ojciec każe”; matka płacze, spazmuje i powtarza właściwie to samo co Lissa.

A przecież nie jest kompletną idiotką. Jeśli zależałoby jej na mnie, poradziłaby sobie jakoś z

ojcem. Ale oczywiście jej uczucia do mnie kończą się tam, gdzie zaczynają się koszty, jakie

mogłaby ponieść za wstawienie się za

mną. A kiedy próbowałem powiedzieć
ojcu Lerenowi,

jaki Jervis jest naprawdę...

Wzdrygnął się. Wykład o obowiązkach
synowskich był wyjątkowo
przygnębiający, ale

ten o “właściwej, męskiej postawie”...
Pomyślałby kto, że przyłapano mnie na
cudzołóstwie z

owcą! A wszystko przez to, że
zaprotestowałem przeciwko gruchotaniu
własnych kości. Czuję

się, jakbym robił coś złego, ale nikt nie
chce mi powiedzieć, co to jest i

dłaczego jest złe!

Myślałem, że może ojciec Leren zrozumie mnie, z racji tego, że jest księdzem, lecz bogowie, z

tej strony nie nadejdzie żadna pomoc.

Przez moment poczuł się jak uwięziony; bezpieczne schronienie zamieniło się w

więzienie. Nie miał odwagi ruszyć się ze swej kryjówki. Na pewno zaraz by go dopadli i

wtłoczyli w znenawidzoną zbroję, a wtedy Jervis z mściwą satysfakcją mógłby mu

nawymyślać i wziąć odwet za wszystkie ćwiczenia, których Vanyelowi udało się uniknąć.

Tęsknym spojrzeniem sięgnął poza obręb placu treningowego, ku leśnej gęstwinie i łące

rozpościerającej się za nią. Jakże piękny był to dzień. Właśnie zaczynało się lato, a lekki

wietrzyk wpadający przez otwarte okno oszołomił go wonią siana i blaskiem słońca. Vanyel

zaprzagnął nagle znaleźć się z dala od domu, spacerować lub jechać konno wśród drzew.

Niestety jednak wciąż więziła go własna niemoc wobec pewnych spraw i świadomość, że

mimo wszystko musi poddać się nakazom innych.

Jutro będę musiał towarzyszyć ojcu podczas jego objazdu - zasepił się. Najgorsze jest

to, że nie ma sposobu, aby tego uniknąć. Ojciec chwyci mnie w swoje szpony, gdy tylko zejdę

na śniadanie.

Nowy obowiązek stał się nową torturą, która pojawiła się wraz z odzyskaniem

sił, a była

udręką nie lżejszą niżli ćwiczenia pod okiem Jervisa. Już sama myśl o wszystkich tych

chłopach wytrzeszczających oczy, świdrujących go wzrokiem, jak gdyby chcieli przejrzeć na

wskroś jego duszę, przejmowała go dreszczem. Choć uwielbiał jazdę konną, ta wycieczka nie

zapowiadała się zbyt przyjemnie. O nie... Spędzi cały dzień słuchając ojca prawiącego o

obowiązkach lorda posiadacza wobec

dzierżawców pracujących dla niego oraz
chłopów

trzymających ziemię pod jego protekcją
i zarządem. To jednak nie był najgorszy
aspekt tego

ciężkiego doświadczenia.

Najgorsi byli sami ludzie, sposób, w
jaki mierzyli go wzrokiem, ich tępe oczy
pełne

mrocznych myśli, których nie był w
stanie odczytać. Oczy, które
spodziewały się po nim

wszystkiego, domagające się od niego
rzeczy, których nie chciał im dać i

których nie potrafiłby

im dać, nawet gdyby zechciał to uczynić.

Nie chcę, by tak na mnie patrzyli! Nie chcę być odpowiedzialny za ich życie!

Znów

przeszły go ciarki. Nie wiedziałbym, co robić w razie suszy albo najazdu. Co więcej, nic mnie

to nie obchodzi! Bogowie, na myśl o nich - tych ludziach pożerających mnie żywcem swymi

oczami - skóra mi cierpnie...

Odwrócił się od okna, uklęknął przy

swych instrumentach i wyciągnął rękę,
dotykając

gładkiego drewna i naprężonych strun. O
bogowie, gdybym był kimś innym...
gdybym tylko

miał szansę zostać bardem...

Kiedyś, nim złamał rękę, często
wyobrażał sobie siebie jako dworskiego
barda. Nie w

jakimś zakątku na uboczu, jak Forst
Reach, lecz na jednym z wielkich
dworów: Pograniczu

Wirującego Sokoła czy Twierdzy
Południowej. Może nawet na Wielkim

Dworze Valdemaru w

Przystani. Wyobrażał sobie siebie
otoczonego kręgiem wielbicieli,
rozmarzonych dam i

obwieszonych klejnotami lordów
oczarowanych każdym słowem jego
pieśni. Marzenia te

unosły go ku innemu życiu - życiu ze
snów. Mógł zobaczyć siebie w
towarzystwie nie

dziewcząt z kręgu Tressy, lecz całego
Wielkiego Dworu Valdemaru, włącznie
z królową

Elsbeth. Przypatrywał się temu tak

długo, aż wyobrażenie stawało się
bardziej prawdziwe niż

rzeczywiste otoczenie. Widział, słyszał,
czuł, z jaką niecierpliwością oczekują
jego śpiewu.

Widział jasne świece, czuł perfumy,
słyszał głęboką ciszę...

Teraz nawet czar marzeń prysł. Teraz
skazany był na ćwiczenie w samotności,
gdyż nie

było już Lissy, która chętnie słuchałaby
nowych melodii. Lissa była wspaniałą
słuchaczką -

miała dobry słuch i znała się na muzyce

wystarczająco dobrze, aby można było
zaufać jej

rzetelnej krytyce. Z wyjątkiem Tressy
była jedyną osobą w zamku, która
zdawała się nie

uważać jego fascynacji muzyką za coś
zgoła wstydliwego. Była też jedyną
osobą, która

wiedziała, że Vanyel ponad wszystko
pragnie zostać bardem.

Vanyel nie występował już nawet przed
damami matki, gdyż nie życzył sobie,
aby

słuchały jego niezdarnego brzdąkania.

A wszystko przez kłamstwa tego
zuchwałego drania, którego ojciec
uczynił

fechtmistrzem...

- Withenie...

Vanyel zamarł. Zdyszany, lekko drżący
głos jego matki dobiegający zza
maleńkich

drzwi do biblioteki wytrącił go z
zadumy. Uklęknął powoli, cicho,
unikając najmniejszych

odgłosów. Odkrycie jego bezpiecznej
kryjówki było ostatnią rzeczą, jakiej
pragnął!

- Withenie, cóż takiego masz mi do powiedzenia, że nie mogliśmy rozmawiać o tym w

moim pokoju? - zapytała. W ostrym tonie głosu matki wyraźnie pobrzmiwało wzburzenie i nie skrywana irytacja.

Vanyel wstrzymał oddech i usłyszał dźwięk zamykanych drzwi biblioteki, potem

ciężkie kroki ojca przechodzącego przez pokój.

Znów zaległa grobowa cisza. Wtem...

- Odsyłam stąd Vanyela - oznajmił szorstko Withen.

- Co? - krzyknęła Tressa piskliwym głosem. - Ty... jak... dokąd.., dlaczego? W imię

bogów, Withenie, dlaczego?

Vanyel poczuł się, jak gdyby ktoś obrócił jego serce w kamień, a ciało w glinę.

- Nie potrafię nic z niego wykrzesać, ani ja, ani Jervis - warknął Withen. - Wysyłam go

do kogoś, kto zrobi z niego mężczyznę.

- Nie potraficie z niego nic wykrzesać,
bo obydwaj myślicie, że aby “zrobić z
niego

mężczyznę”, trzeba go zmusić, by stał się
kimś, kim nigdy być nie może! - Głos
Tressy, choć

przytłumiony przez ścianę, niósł w sobie
wyraźną nutę hysterii. - Wystawiasz go
do walki z

mężczyzną dwa razy od niego
silniejszym i oczekujesz, że...

- Że zachowa się jak mężczyzna! To
skamląca beksa, Tresso. Bardziej się
boi szkód,

jakie ponieść mogłaby jego piękna buzia
i delikatne rączki, niż uszczerbku na
honorze. A ty nie

polepszasz sytuacji, czyniąc go
ulubieńcem towarzystwa. Tresso, ten
chłopak wyrósł na

dumnego jak paw strojnisia, a co gorsza,
na marnego tchórza!

- Tchórza! Bogowie, Withenie, tylko ty
mogłeś to powiedzieć! - Głos lady
Tressy pałał

pogardą. - Uważasz go za tchórza tylko
dlatego, że jest zbyt mądry, aby
pozwalać twemu

wspaniałemu fechtmistrzowi okładać się do nieprzytomności raz na dzień!

- A co robi zamiast tego? Ucieka i ukrywa się, bo raz, tylko raz, złamał sobie swą

delikatną rączkę! Dobrzy bogowie, do czasu kiedy osiągnąłem jego lata, każdą kość zdążyłem

sobie złamać przynajmniej raz!

- Czy to ma być oznaką cnoty? - zakpiła Tressa. - Czy raczej głupoty?

Vanyel ze zdziwienia otworzył usta.

Ona... bogowie! Ona mu się sprzeciwia!

Nie mogę

w to uwierzyć!

- Jest to oznaką zdolności znoszenia pewnych niedogodności w celu nauczania się

czegoś - odparł gniewnie Wíthen. - Dzięki tobie i twoim wychowankom, wszystko, czego

Vanyel dotąd się nauczył, to jest umiejętność dobrania tuniki harmonizującej z kolorem oczu i

piania pieśni miłosnych! Jest zbyt przystojny i to mu szkodzi, a ty go zepsułaś, Tresso.

Pozwalałaś mu przekupywać cię tą

śliczną buzią, a głupota i arogancja, na jaką nigdy nie

pozwołałabyś Mekealowi, uchodziły mu na sucho. Teraz on nie ma już za grosz poczucia

odpowiedzialności, unika nawet cienia obowiązku.

- Przypuszczam, że wolałbyś, aby był taki jak Mekeal - rzekła z przekąsem Tressa. -

Chciałbyś, aby zamieniał się w słuch, kiedy mówisz, i nigdy cię nie prowokował...

- Do wszystkich diabłów, tak! -

wrzasnął Withen, wyprowadzony z równowagi. -

Chłopak nie wie, gdzie jest jego miejsce! Nabija sobie głowę bzdurami wyczytanymi z

książek...

- On nie wie, gdzie jest jego miejsce? Ponieważ potrafi samodzielnie myśleć? Dlatego,

że - w przeciwieństwie do pewnych dorosłych osób, których nie wymienię - potrafi napisać

więcej niż tylko swoje nazwisko? Bogowie, Withenie, to ten twój

księżulek każe ci to wszystko

mówić, prawda? A ty odsyłasz Vanyela,
ponieważ nie odpowiada on jego
kryteriom dobrego

wychowania, czyż nie tak? Ponieważ
Vanyel jest wystarczająco inteligentny,
by poddawać

ocenie to, co się do niego mówi, a Leren
nie lubi pytań! - lej głos sięgnął
niesłychanie wysokich

tonów. - Ten ksiądz owinał sobie ciebie
wokół palca tak ciasno, że nie śmiesz
nawet oddychać,

jeśli ci na to nie przyzwala!

Ach - pomyślał Vanyel. Podczas gdy jedna część jego umysłu wciąż pracowała,

pozostała część w oszołomieniu pogrążyła się w rozmyślaniach nad kwestią “bycia odesła-

nym”. Teraz poparcie matki miało swoje racjonalne uzasadnienie. Lady Tressa nie przepadała

za ojcem Lerenem. Vanyel był tylko wygodną osobą, przy użyciu której Tressa próbuje wbić

klin między Withena a jego przyjaciela.

Vanyel wiedział jednak, że była to

absolutnie niewłaściwa droga do
osiągnięcia tego

celu.

- Spodziewałem się, że powiesz coś w
tym rodzaju - zagrział Withen. - Nie
masz

wyboru, Tresso. Chłopak pojedzie, czy
ci się to podoba, czy nie. Wysyłam go
do Savil do

Wielkiego Dworu. Ona nie będzie
tolerowała żadnych głupstw, a on sam,
znalazłszy się w

środowisku, gdzie nie będzie już
jedynym pięknisiem, nauczy się może

wreszcie czegoś poza

szczebiotaniem ballad i
przesiadymaniem przed lustrem.

- Do Savil? Tej starej wiedźmy? - Głos
Tressy stawał się coraz bardziej
piskliwy, aż

wreszcie matka zaczęła krzyczeć. Vanyel
miał ochotę zrobić to samo.

Zbyt dobrze pamiętał swe pierwsze, i
ostatnie, spotkanie z ciotką Savil.

Naśladowając - najlepiej jak tylko potrafił
- maniery dworskie, Vanyel skłonił się
nisko

przed srebrnowłosą nieznaną kobietą
odzianą w nieskazitelną biel heroldów.

Herold Savil - która w wieku czternastu
lat spakowała się i bez słowa wyruszyła
do

Przystani, gdzie, z chwilą przekroczenia
tamtejszej bramy, została Wybrana -
była wzorem dla

Lissy. Lissa zamęczała babkę Ashkevron
prośbami, aby ta opowiadała jej
wszystkie historie o

Savil, jakie sama kiedyś zasłyszała.
Vanyel nie potrafił zrozumieć, co tak
bardzo pociągało

Lisę. Lecz jeśli ona jest tak pełna podziwu dla tej kobiety, to pod pozorami powierzchowności

Savil musi w istocie kryć się coś szczególnego.

Szkoda, że akurat wtedy, gdy Savil postanowiła odwiedzić rodzinną posiadłość, Lissa

przebywała z wizytą u kuzynostwa.

Ale może Withen dokładnie to wówczas zaplanował.

- A więc to jest Vanyel - powiedziała szorstko kobieta. - Ładny chłopiec, Tresso. Ufam,

że jest nie tylko elegancki.

Vanyel zeszywniał, słysząc te słowa.
Potem wyprostował się i zmierzył ciotkę

chłodnym i - jak miał nadzieję -
taksującym spojrzeniem. Bogowie, przy
odpowiednim

oświetleniu wyglądała jak jego ojciec.
Podobnie jak Lissa, miała ów straszny
nos Ashkevronów

- nos, który ona i Withen wysuwali do
przodu jak miecz prujący powietrze.

- Och, nie rzucaj mi takich
piorunujących spojrzeń. Zdarzali się
mężczyźni lepsi od

ciebie, którzy próbowali zmrozić mnie wzrokiem i im się to nie udało.

Vanyel zarumienił się. Ciotka zaś odwróciła się od niego, jak gdyby przestał istnieć, i

skierowała się ku jego matce, która stała nieruchomo, nerwowo ściskając chusteczkę.

- A więc, Tresso, czy chłopiec zdradza jakieś oznaki daru czy talentu?

- Tak, bardzo wyraźne - odparła Tressa, bardzo podniecona. - Jest równie dobry jak

minstrele, których dotąd gościliśmy.

Savil odwróciła się i przeniósłszy wzrok znów na Vanyela, przewierciła go spojrzeniem.

- Ma potencjał, ale jest za mało aktywny
- rzekła po- woli. - Szkoda. Miałam nadzieję,

że przynajmniej jedno z waszych dzieci będzie posiadało mój dar. Oczywiście możesz sobie

pozwolić na poświęcenie jednego z nich na służbę u Królowej. Dziewczęta jednak nie

posiadają nawet potencjalnych darów, czterej pozostali z twoich chłopców są

gorsi niż ten tutaj,

a nawet on, ze względu na swój słaby potencjał, zdaje się być niczym więcej niżli wieszak na

ubrania.

Dała mu ręką znak, że może już odejść.
Vanyel spłonął.

- Zobaczyłam już, co chciałam tu zobaczyć, Tresso - powiedziała i wychodząc, ujęła matkę

Vanyela pod rękę. - Nie będę już nadużywać waszej gościnności.

Z tego, co usłyszał Vanyel znać było, że

Savil nie różni się zbytnio od swego brata - jest

szorstka, zimna i bezlitosna, zajęta tylko tym, co poczytuje za swe obowiązki. Nigdy nie wyszła

za mąż. Nie zdziwiło to Vanyela; nie mógł sobie wyobrazić, aby ktokolwiek zechciał kochać

się z ową deprymującą arogancją Savil. Nie potrafił sobie wyobrazić, dla- czego serdeczna,

kochająca Lissa chciała być taka jak ona. Matka zaczęła histerycznie szlochać. Ojciec zaś nie

czynił nic, aby ją uspokoić. Dla Vanyela było to oznaką, że nie ma już nadziei na odwrót od

fatalnego planu ojca. Chaotyczne spazmy matki znamionowały odwołanie się do najwyższej

instancji. Jeśli one zawiodły, oznaczało to, że nie było już żadnego ratunku.

- Przestań, Tresso - rzekł spokojnym głosem Withen, wciąż niewzruszony.

- Chłopak odjeżdża. Jutro. - Ty... bezduszny potworze... - Tylko tyle można było

zrozumieć pośród szlochów Tressy.

Potem rozległ się odgłos jej pantofelków stukających o

podłogę, gdy pospiesznie wybiegała z pokoju, wreszcie wolniejszy, cięższy dźwięk butów ojca.

A później Vanyel usłyszał już tylko dźwięk zamykanych drzwi, ciężki i nieodwołalny, niczym

odgłos zatraskującej się na wieki płyty grobowca.

ROZDZIAŁ DRUGI

Vanyel osunął się na swój stary fotel i zapadł w jego przyjaznych objęciach.

Nie był zdolny do myślenia. Wszystko zamarło w odrętwieniu. Patrzył nie widzącymi

oczami na prostokątny skrawek nieba obramowany oknem. Po prostu siedział i patrzył. Nie

miał nawet świadomości mijającego czasu, aż do momentu, gdy słońce przywędrowało do jego

okna i zaświeciło mu prosto w oczy.

Odwrócił się od rażącego blasku i dopiero to wyrwało go z oszłamiającego transu, w

jakim trwał od dawna. Wówczas

zorientował się, że popołudnie dawno przeminęło i że będzie

lepiej, jeśli wróci do swego pokoju. Ktoś wkrótce przyjdzie zawiadomić go o kolacji.

Mocno zniechęcony podszedł ociężale do okna i wyjrzał przez nie, rozglądając się

automatycznie, czy nie ma w dole nikogo, kto mógłby go zauważyć. Ledwie to zrobił, uświa-

domił sobie naraz, że - biorąc pod uwagę zasłyszaną rozmowę rodziców - zagrożenie wykrycia

tajemnego pokoiku na poddaszu
przestawało odgrywać jakąkolwiek rolę.
Kryjówka nie będzie

mu już potrzebna.

Na placu treningowym nie było nikogo,
został tylko pusty kwadrat darni i kura

wydziałająca coś z trawy. Patrząc z
góry, można było odnieść wrażenie, że
cały zamek nagle

się wyludnił.

Vanyel odwrócił się i sięgnąwszy ręką
ponad głowę, uchwycił kamienne
zewewnętrzne

obramowanie okna i wskoczył na parapet. Odzyskawszy równowagę, w półrozroku postawił

stopę na gzymsie biegnącym wokół dachu, obszedł szczyt i przytrzymując się dachówek,

zaczął przesuwać się w kierunku okna swego pokoju.

W połowie drogi między obydwoma oknami zatrzymał się na moment, aby popatrzeć w

dół.

To wcale nie jest tak daleko od ziemi. Gdybym był w pełni sił, to najgorszą

rzeczą, jaka

by mi groziła, byłoby złamanie nogi. Ale wtedy nie mogliby mnie odesłać, czyż nie tak? Może

więc warto spróbować. Może właśnie warto to zrobić.

Zastanowił się przez chwilę, ale przypomniał sobie, jak bardzo bolało go złamane

ramię.

To nie jest dobry pomysł. Przy moim szczęściu ojciec odesłałby mnie, jak tylko by mnie

poskładali. Po prostu władowałby mnie na wóz jak worek ziarna. “Doręczyć do herold Savil

bez żadnych szczególnych względów”. Co gorsza, mógłbym złamać znów to samo ramię, albo

oba. Może mam szansę doprowadzić tę rękę do sprawności, ale jeśli teraz ją złamię, to nie

będzie w pobliżu uzdrowiciela, który upewniłby się, że jest dobrze złożona.

Vanyel wsunął nogi do pokoju, balansował przez chwilę na parapecie i opadł na łóżko.

Ledwie się tam znalazł, ode-szła mu ochota na wykonanie nawet najmniejszego gestu. Zwrócił

się gwałtownie w stronę ściany i wbił wzrok w bielony, pochyły sufit.

Zastanawiał się, czy jest w stanie uczynić cokolwiek, aby wyplątać się z tego bałaganu.

Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł możliwy do wprowadzenia w życie. Było już za

późno, aby “poprawić swe zachowanie” - nawet jeśli chciałby to zrobić.

Nie... nie. Nie mogę, absolutnie nie

mogę się spotkać z tym sadystycznym draniem,

Jervisem. Chociaż nie jestem pewien, które zagrożenie jest w tej sytuacji gorsze - ciocia

“Żelazny Lód” czy Jervis. Wiem dobrze, jak on by się zachował. Co do niej - nie mam pojęcia.

Skrzywił się i przygryzł wargę, próbując zapanować nad emocjami i rozumować

logicznie. Wiedział tylko, że Savil otrzyma jak najgorsze sprawozdanie na temat jego zacho-

wania i że w Przystani - o ironio! - nie

będzie miał ani sprzymierzeńców, ani kryjóWKi. To było

najgorsze - przeniesienie się w zupełnie nieznane miejsce ze świadomością, że wszyscy tam

zostali poinformowani, jaki to okropny z niego chłopak, że wszyscy bez przerwy będą czyhać

na jego potknięcia. Niestety, od decyzji ojca nie było już ucieczki. Niezależnie od tego, jak

bardzo matka go sobie upodobała i jak bardzo go rozpieszczała, Vanyel nie był aż tak naiwny,

aby zaufać Tressie w jakiegokolwiek sprawie czy też oczekiwać, że matka kiedykolwiek

sprzeciwi się Withenowi. Ten drobny chwyt podczas kłótni stanowił wyjątek. Właściwe

zabiegi Tressy zawsze zmierzają do tego, aby prowadzić życie wygodne i pełne rozrywek.

Płakała z powodu Vanyela, ale wcale go nie broniła. Nie tak jak Lissa...

Gdyby tylko Lissa była tutaj.

Gdy zjawił się giermek, aby wezwać wszystkich na kolację, udało się

Vanyelowi zebrać

wystarczającą ilość energii, aby rozchmurzyć się i odpowiedzieć na wezwanie, choć wcale nie

był głodny.

Z racji tego że Wielki Refektarz nie był dość wielki, aby pomieścić wszystkich naraz,

dobrze urodzeni z Forst Reach jedli późno - jedną miarkę świecy po odejściu od stołów służby,

najmitów i wojów. Wzdłuż schodów i korytarzy o wytartych kamiennych posadzkach zapalono

już kaganki i latarnie. Nie zdołały one jednak rozświetlić ciemności panującej w sercu Vanyela.

Chłopiec włókł się ciemnymi korytarzami i schodził po kamiennych schodach, ignorując

przemykających obok niego służących załatwiających swe sprawy. Ponieważ jego pokój

znajdował się w tej samej części zamku co kwatery służby, zanim dotarł do Wielkiego

Refektarza, musiał pokonać długą drogę.

Gdy tylko się tam znalazł, zatrzymał się

pod osłoną ciemności panującej w przejściu,

aby ocenić sytuację wewnątrz.

Jak zwykle, był niemal ostatnią osobą zasiadającą do stołu i - o ile dobrze zauważył -

brakowało tylko ciotki Seriny. Ona jednak mogła jeść już wcześniej, z dziećmi. Bacząc, by

pozostać nie zauważony, wykorzystał moment, gdy lord Withen zaśmiał się głośno,

rozbawiony jakimś dowcipem ojca Lerena, i wślizgnął się na swe miejsce

przy niskim stole

obok brata, Mekeala. Ojciec Leren, zazwyczaj surowy duchowny, zdawał się być dziś w

nieślychanie dobrym nastroju. Widząc to, Vanyel sposepniał. Jeśli Leren był zadowolony, dla

Vanyela nie wróżyło to nic dobrego.

- Gdzie się podziewałeś całe popołudnie? - zapytał Mekeal, przerywając siorbanie

zupy, aby przesunąć się na ławce i zrobić miejsce bratu.

Vanyel wzruszył ramionami

- Czy to ma znaczenie? - zapytał, siląc się na obojętność. - Nie jest tajemnicą, co myślę

o tych absurdalnych ćwiczeniach, i nie jest tajemnicą, co Jervis myśli o mnie. A więc, czy ma

jakieś znaczenie to, gdzie byłem?

Mekeal zachichotał.

- Może i nie ma. Ale wiesz chyba, że Jervis porachuje ci kości, jak tylko dostanie cię

w swoje ręce. A pewnego dnia na

pewno cię dopadnie. Dopraszasz się o
jeszcze jedno złamane

ramię. Jedno, bo przy odrobinie
szczęścia może nie złamie ci obu. Jeśli
tego właśnie chcesz,

niech będzie i tak.

A więc ojciec nic mu jeszcze nie mówił
- pomyślał Vanyel zaskoczony. Jego
łyżka

zastygła nad zupą. Zerknął w stronę
głównego stołu. Lady Tressa siedziała
na należnym jej

miejscu, u boku lorda. Nie wyglądała na
bardziej zmartwioną niż zwykle. Z

pewnością

zniknęły już wszelkie ślady irytacji,
których przypadkowym świadkiem stał
się jej syn

dzisiejszego popołudnia,

Czy ona rzeczywiście się za mną ujęła,
ten jedyny raz? Czy zdołała nakłonić go
do

ustąpienia? Och bogowie, oby tylko tak
było!

Odzyskanie nadziei nie przywróciło mu
jednak apetytu. Napięcie zaciskało się
klamrą

na żołądku Vanyela. Zdawało mu się, że w sali panuje straszny zaduch. Poluźnił sznurówki

tuniki, ale i to nie przyniosło ulgi. Płomienie latarni wiszących na ścianach sprawiały, że cienie

ludzi tańczyły na stołach. Vanyel zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów dla

odzyskania równowagi. Poczuł, że trawi go gorączka, a twarz mu oblał rumieniec. Po zjedzeniu

zaledwie kilku łyżek gęstej, szybko stygnącej zupy, zdającej się nie mieć wcale smaku, skinął

na służącego, aby ten zabrał miskę.

Kręcił się, nie mogąc sobie znaleźć miejsca na drewnianej ławce, i nie spuszczał oka z

wysokiego stołu i swego ojca, przesuwając widelcem kawałki jedzenia z jednego końca talerza na

drugi. Wysoki stół był naprawdę wysoki - wzniesiony na podium dobre dziesięć centymetrów

ponad poziomem podłogi i ustawiony w poprzek niższego stołu, u jego szczytu, jak daszek

litery *T*, górował nad stołem niższym,

rzucając na niego cień. Nawet nie patrząc w jego

kierunku, Vanyel czuł obecność siedzących tam ludzi, unoszących się nad nim niczym

złowieszcze widma. Z każdym kolejnym daniem jego żołądek napełniał jakby nowy kamień,

coraz to zimniejszy i twardszy, aż wreszcie chłopiec zupełnie stracił chęć do jedzenia.

Wtem, dokładnie podczas deseru, gdy zdawało mu się, że może jest już uratowany, jego

ojciec wstał.

Lord Withen górował nad stołem, tak jak górował nad wszystkim w Forst Reach. Był

dumny z tego, że jest “prostym człowiekiem”, niewiele różniącym się wyglądem od

otaczających go mężczyzn, co pozwalało im czuć się swobodnie w jego towarzystwie. Jego

mocną, brązową, skórzaną tunikę i lnianą koszulę trudno było odróżnić od odzienia

któregokolwiek z najemnych wojów.

Jedyną oznaką uprzywilejowanej pozycji były srebrne -

nie miedziane, jak u innych - wypolerowane ćwieki zdobiące jego tunikę, rozciągniętą wokół

szyi i na wydatnym brzuchu. Jego długie, ciemne włosy spinała na karku srebrna klamra, a

zarost na kanciastej brodzie przycięty był krótko.

Wygląd Vanyela zawsze wyraźnie irytował Withena, szczególnie wtedy, gdy

porównywał fizjonomię swego

najstarszego syna z wyglądem Mekeala.
Vanyel różnił się bar-

dzo od reszty członków swej rodziny,
wyglądał jak dziecko podrzucone przez
wrózkę. Był

szczupły, ale niezbyt wysoki. Mekeal
zaś, choć dwa lata młodszy, przewyższał
wzrostem

swego brata, był postawny i muskularny.
Vanyel miał czarne, połyskujące
granatowo włosy i

uderzające, srebrnopopielate oczy,
dokładnie takie same jak jego matki.
Jego twarz wciąż

jeszcze była gładka, bez zarostu. Mekeal zaś miał oczy orzechowobrazowe, już musiał się

golić, a jego włosy chyba nie sposób byłoby odróżnić od włosów Withena. Mekeal zdobywał

przyjaciół z równą łatwością, jak oddychał.

Ja nie miałem nikogo poza Lissa - pomyślał Vanyel.

Mekeal nie miał słuchu, Vanyel zaś żył muzyką. Mekeal cierpiał z powodu lekcji

scholastyki, na których Vanyel tak

bardzo przewyższał brata, że nie było
między nimi

porównania.

Słowem - Mekeal był w każdym calu
synem swojego ojca, Vanyel zaś
zupełnym jego

przeciwnieństwem.

Być może właśnie o tym myślał Withen,
ogarniając spojrzeniem swych dwóch
synów.

Płomienie latarni tańczyły za plecami
Withena, sprawiając, że jego cień sięgał
połowy długości

niższego stołu. Jego potężna sylweta zdławiła ledwie kiełkującą nadzieję Vanyela.

- Po stosownym namyśle - zagrział niespodziewanie Withen - zdecydowałem, że

nadszedł już czas, aby Vanyel zdobył wykształcenie, jakiego tutaj nie możemy mu zapewnić. A

więc dzisiejsza noc jest ostatnią, którą z nami spędza. Jutro wyruszy w podróż do mojej siostry,

Savil, maga heroldów na Wielkim Dworze Valdemaru. Obejmie ona oficjalną opiekę nad

Vanyelem do czasu osiągnięcia przez niego pełnoletności.

Withen usiadł ciężko.

Nagle Tressa załkała głośno i odsunęła się od stołu. Jej krzesło przewróciło się z takim

łoskotem, że pośród grobowej ciszy, jaka zaległa w Wielkim Refektarzu po słowach Withena,

odgłos ten zabrzmiał, jak gdyby cały stół zwalił się na ziemię. Podczas gdy Withen

zachowywał kamienny spokój, ona wybiegła z sali, szlochając w rękaw. Jej

wychowankowie i

damy podążyli w ślad za nią i tylko
Melenna, ociągając się z odejściem,
rzuciła przez ramię

nieprzeniknione spojrzenie w stronę
Vanyela.

Wszyscy obecni zastygli w bezruchu,
niby zaczarowani jakimś złym
zaklęciem.

Wreszcie Withen sięgnął po orzecha z
miski stojącej przed nim, położył go na
dłoni i

skruszył. Vanyel - i nie tylko on - aż
podskoczył na ten dźwięk.

- Bardzo ładne orzechy były w zeszłym roku, prawda? - rzekł Withen do ojca Lerena.

Zdawało się, że był to sygnał dla wszystkich obecnych do wszczęcia oszalałej

paplaniny. Po prawej ręce Vanyela trzech kuzynowie zaczęli robić zakłady o wynik wyścigu

Kerla i Radevela, który miał się odbyć nazajutrz. Po lewej stronie Radevel szeptał coś do

Mekeala, a w tym samym czasie siedzący naprzeciwko jego najmłodszy brat, Heforth, po-

szturchiwał się z kuzynem Larensem.

Vanyela wyraźnie ignorowano. Gdyby nie szelmowskie spojrzenia rzucone nań z ukosa

ze wszystkich kątów sali nie tylko przez młodzież, mogłoby się zdawać, że rozpląnął się w

powietrzu. Podniósłszy wzrok na wysoki stół, napotkał spojrzenie ojca Larena, patrzącego na

niego z chytrym uśmieszkiem. Gdy ich oczy spotkały się, ksiądz skinął lekko głową, posłał

Vanyelowi kipiące satysfakcją

spojrzenie i dopiero wówczas zwrócił twarz ku Withenowi.

Podczas owej cichej wymiany, której nikt inny zdawał się nie widzieć, Vanyel poczuł nagle, że

bladość powleka mu twarz, a ciało przeszywa nieprzyjemny dreszcz.

Jako że posprzątało już po deserze, starsi opuścili salę i oddalili się do swoich zajęć. Kilka

dziewcząt jednak - w większości kuzynek Vanyela - pojawiło się z powrotem, co oznaczało, że

lady Tressa udała się już na spoczynek.

Pozostali chłopcy i młodzi mężczyźni
powstali ze

swych miejsc. Po kolacji młodzież
zwykle przejmowała panowanie nad
refektarzem. Wspólnie

z dziewczętami, które właśnie przyszły,
utworzyli teraz trzy szemrzące grupki,
dwie po cztery

osoby i jedną składającą się z jedenastu
osób. Każda z nich wyraźnie wyłączała
Vanyela ze

swego kręgu. Nawet dziewczęta
zdawały się przystać do tego spisku,
mającego na celu

pozostawienie Vanyela w całkowitym osamotnieniu. Vanyel udawał, że nie zauważa szeptów i

zazdrosnych spojrzeń. Podniósł się z ławki zaraz po tym, jak inni go opuścili, stawiając sobie za

punkt honoru spokojne przejście w stronę wielkiego kominka, by zatrzymać się tam

nieruchomo z wzrokiem utkwionym w płomień.

Szedł z wysoko uniesioną głową, z wystudiowaną maską znużonej obojętności

na twarzy.

Czuł na karku spojrzenia, lecz nie chciał się odwrócić, nie chciał zdradzać swych

uczuć, przede wszystkim zażenowania, o jakie przyprawiało go ich zachowanie.

W końcu, dochodząc do wniosku, że dostatecznie już zaznaczył swą postawę,

przeciągnął się, ziewnął i zawrócił.

Spod na wpół przymkniętych powiek potoczył spojrzeniem

po całej izbie, ledwie omiatając wzrokiem obecnych. Potem leniwym krokiem przemierzył

zdający się ciągnąć w nieskończoność
Wielki Refektarz, przystając tylko na
moment, by

chłodnym skinieniem głowy pożegnać
grupkę stojącą w pobliżu drzwi, i
wreszcie dobrnął do

spokojnej przystani mrocznego
korytarza.

- Och, bogowie, pomyślałby kto, że to
następca tronu! - zawołał Sandar,
wywracając

oczy i wznosząc w górę ramiona. -
Królowa Elspeth nie poważyłaby się na
taką hardość!

Osiemnastoletni Joserlin Corveau,
zbierając myśli, przez moment
odprowadzał chłopca

wzrokiem. Był najstarszym z
wychowanków i tym, który przybył tu
ostami. Tak naprawdę, nie

był właściwie wychowankiem ani też
bliskim kuzynem. Prawdziwy kuzyn, po
wielu latach

bezdziębności, wybrał Joserlina na
swego spadkobiercę i ponieważ sam nie
cieszył się dobrym

zdrowiem, wyraził życzenie, aby
chłopiec wychowywał się pod opieką
lorda Withena i w ten

sposób poznawał zasady zarządzania w innej posiadłości. Joserlin był szeroki w ramionach i

wysoki jak wszystkie drzwi w zamku, i nawet Jervis respektował siłę jego młodych mięśni. Już

po krótkiej sesji treningowej z młodym Josem, Jervis oświadczył, że chłopiec osiągnął

odpowiedni wiek, aby ćwiczyć razem z wojami Withena. Po zapoznaniu się z metodami, jakimi

posługiwał się Jervis “trenując” innych chłopców, Jos był bardzo zadowolony z takiego obrotu

sprawy.

Niektórzy spośród młodszych chłopców nie ustrzegli się popełnienia błędu przy ocenie

Joserlina i sądząc z jego dość niemrawego sposobu mówienia i silnej postury, wywnioskowali,

że mają do czynienia z tępakiem. Szybko jednak, zaskoczeni kilkoma inteligentnymi

dowcipami chłopca, odkryli, że powierzchowność Joserlina nie ma nic wspólnego z jego

prawdziwą naturą.

Joserlin lubił mówić o sobie, że choć nie potrafi myśleć szybko, każdą sprawę kontempluje z wielką wnikliwością.

Mimo to jednak z tym wielce niepokojącym wieczorem wiązało się wiele spraw,

których jego umysł nijak nie potrafił powiązać w żadną logiczną całość.

Tymczasem pozostali członkowie grupki, do której sam dołączył, kontynuowali

roztrząsanie szczegółów zachowania i sytuacji Vanyela.

- Wydaje mu się, że jest następcą tronu - zachichotała Jyllian, kokieteryjnie szeleszcząc

swymi spódnicami.

- Uważa się za kogoś lepszego od nas wszystkich. Powinniście go widzieć w buduarze,

och, jak on nami rządzi! - Zadarła nos i spoglądając na innych z góry, jęła przedrzeźniać

Vanyela grającego na lutni. - A tylko spróbuj poprosić go o coś innego niż piosenka! Brrr!

Zamienia się w sopel lodu! Pomyślałby

kto, że jesteśmy jakimiś potworami, tak się od nas

odwraca!

Mekeal parsknął i pogardliwie potrząsnął głową. - Pewnie myśli, że nie jesteś dla niego

dość wspaniała! Nikt nie jest go godzien, pewnie tylko dama o królewskiej krwi! Wydaje mu

się, że dziewczyny takie jak ty są za nisko urodzone.

- Albo zbyt brzydkie - parsknął Mertin. - O nieba, pomyślcie tylko, żadna z waszych

pięknych twarzyczek nie może się
równać ze słodkim obliczem jego
wysokości. Przecież nie

może wziąć sobie panny nie
dorównującej pięknością jemu samemu.

- Nie wątpię - wtrącił Larens, stanąwszy
za plecami Mertina. - Ale gdy tylko się

znajdzie w Wielkim Dworze, zobaczy,
że nie jest jedynym przystojniakiem na
świecie.

Dla odmiany może nagle znaleźć się w
czyimś cieniu! Daję słowo honoru, że
zaraz po

przyjeździe do Przystani naszego

drogiego Vanyela spotka gorzkie
rozczarowanie.

- Do diabła, to nie jest sprawiedliwe -
gderał Mekeal, popadając w posepny
nastrój na

wspomnienie celu podróży Vanyela. -
Oddałbym rękę za to, żeby pojechać do
Przystani! To

znaczy, pomyślcie tylko... tam gromadzą
się najlepsi wojownicy w kraju. To
centrum

wszystkiego! - Rozkładając ręce w
geście kompletnego zniechęcenia, omal
nie uderzył

Mertina. - Jak ja mam kiedykolwiek
otrzymać rangę oficerską czy
jakąkolwiek inną pozycję,

jeżeli nigdy nie spotkam nikogo, kto ma
wpływy na Dworze? Po to oddali tam na
wychowanie

moją siostrę! Na Dworze masz szansę,
że ktoś cię zauważy! Mogę się założyć,
że ona zostanie

oficerem, a mnie dostanie się najwyżej
dowództwo okręgu, co właściwie nic
nie znaczy! Muszę

się dostać do Dworu! Ja nie dziedziczę
posiadłości! To ja powinienem jechać,
nie Vanyel! To

jest niesprawiedliwe!

- Ha. Masz do tego prawo - odezwał się Larens, nerwowo przebierając nogami. -

A

niech to, wszyscy jesteśmy drugimi albo trzecimi w kolejności synami, wszyscy powinniśmy

mieć taką szansę. Inaczej ugrzęźniemy gdzie beczynnje na resztę życia! Nigdy nigdzie nie

pojedziemy, będziemy tkwić tutaj, w tej dziurze.

- A pomyśl o tamtejszych damach - dodał Kerle, wywracając oczami i

całując się w

rękę. - Same najpiękniejsze ślicznotki królestwa.

Zaniósł się śmiechem, ale widząc zbliżającą się dłoń Jyllian wycelowaną w jego głowę,

pochylił się i zrobił szybki unik dla uniknięcia ciosu. Jyllian, udając złość, zagroziła mu pięścią.

- Do diaska, pomyślcie tylko - ciągnął Mekeal. - Czym on sobie zasłużył na taką

nagrodę? Ciągłe tylko udaje, że jest minstrelem, patrzy na nas z góry i, kiedy

tylko może, unika

obowiązków! - utyskiwał Mekeal, dla podkreślenia dobitności swych słów uderzając pięścią w

rozwartą dłoń drugiej ręki. - Jest wprawdzie ulubieńcem matki, ale to wręcz niemożliwe, aby

ona właśnie namówiła ojca do odesłania Vanyela na Wielki Dwór. Widzieliście przecież, jak

zareagowała! A więc, dlaczego? Dlaczego on, podczas gdy każde z nas oddałoby życie, aby

tylko pojechać do stolicy?

Joserlin siedział wciąż zapatrzony w ciemność. Nieustannie analizował wszystko, co

zaobserwował dzisiejszego wieczoru. Gdy tylko ucichł Mekeal, wszyscy zwrócili wzrok ku

niemu i jęli spoglądać nań wyczekująco. Odchrząknął. Jego rówieśnicy już dawno zdążyli się

przekonać, że Joserlin nie był podobny do Vanyela, bystrego intelektualisty, jedyne

światłego umysłu pośród gromady braci i kuzynów. Wiedzieli jednak, że posiada on niezwykłą

umiejętność dostrzegania we wszystkim istoty *rzeczy*. Teraz pragnęli tylko wiedzieć, czy zna

już odpowiedź na ich pytania. Zwykle znał i - jak się tego spodziewali - tym razem także

potrafił zaspokoić ich ciekawość.

- Dlaczego myślicie, że to nagroda? - zapytał z cicha.

Wyraz zdziwienia na zwróconych ku niemu twarzach i przebłysk rodzącego się

zrozumienia sprawiły, że zaczął kiwać głową, widząc, jak wszyscy powoli

dochodzą do tych

samych co on wniosków. - Widzicie? -
powiedział równie cicho jak przedtem. -
To nie jest dla

Vanyela nagroda. To wygnanie.

Schroniwszy się pod osłoną ciemności
korytarza, Vanyel nie musiał już

powstrzymywać drżenia. Nie miał
jednak odwagi zatrzymać się. Komuś
mogło przyjść do

głowy, aby go śledzić.

Mógł jednak zrobić coś innego. Teraz,
gdy nie dosięgały go już pożerające,

ciekawskie oczy innych, mógł pobiec.

A więc biegł. Bezszelestnie, w ciszy,
podążał za swym cieniem przez
zadymione

korytarze, oświetlone bladym blaskiem.
Na swej drodze ucieczki mijał ciemne,
zamknięte

drzwi prowadzące do alkowy, do sali
kawalerskiej, do kaplicy. Za każdym
razem, gdy

przechodził obok lampki czy latarni, tuż
przed nim na podłodze kładł się chudy,
wykoślawiony

cień jego sylwetki. Biegł wciąż przed

siebie z pochyloną głową, tak aby nikt nie mógł dojrzeć

łez w jego oczach. W każdej chwili zza mijanych drzwi mogła wysunąć się nieprzyjazna mu

osoba.

Nikt się jednak nie pojawił. Vanyel dotarł do bezpiecznego schronienia, do skrzydła

zamku zajmowanego przez służbę, nie napotykając po drodze na żadne przeszkody. Gdy tylko

tam się znalazł, nie zważając już na nic, rzucił się na górę klatką schodową. Ktoś

wygasił już

latarnie, ale Vanyel nawet nie zwrócił na to uwagi. Tak często biegał po tych schodach z oczami

przysłoniętymi mgłą łez, że jego stopy nauczyły się same rozpoznawać drogę.

W szaleńczym biegu skoczył na ostatni podest i w ułamku sekundy przemierzył ostatni

metr dzielący go od jego pokoju. Bliski szlochowi nie mógł już złapać tchu, gdy w ciemności

wyciągał z kieszeni klucz i przekręcał go w zamku. Łzy cisnęły mu się do oczu.

I trysnęły ledwie zdążył przekroczyć próg pokoju. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, znów

przekręcił klucz w zamku i z odrzuconą w tył głową, opartą o szorstkie drewno, przywarł do

nich plecami. Powstrzymywał szloch z czystej, pełnej dumy, obawy przed tym, że ktokolwiek

mógłby dowiedzieć się o jego nieszczęściu, nawet służący. Gorące łzy jednak spływały już po

policzkach i wsiąkały powoli w dekolt jego tuniki, a Vanyel nie potrafił ich zatrzymać.

Nienawidzą mnie - pomyślał. Oni wszyscy mnie nienawidzą. Wiedziałem, że nie

przepadają za mną, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo mnie nienawidzą.

Nigdy przedtem nie czuł się tak bardzo osamotniony i bezbronny. W tym momencie -

mając pewność, że umrze - z miejsca wyskoczyłby z okna. Jednakże odległość do ziemi była

zbyt mała, a perspektywa bólu zdawała się gorsza od samotności.

W końcu rzucił się na łóżko, odsłonił
narzutę i z drzeniem powstrzymując
wybuch

płaczu, wsunął się pod kołdrę.

Mimo wszelkich wysiłków, łzy znów
popłynęły i Vanyel tłumił szloch,
przyciskając

głowę do poduszki.

Och, Liss... Och, Liss... nie wiem, co
robić! Nikt się o mnie nie troszczy,
nikogo nic nie

obchodzę, nikt poza tobą nie dałby za
mnie złamanego grosza, a na dodatek
rozdzielili nas.

Boję się, jestem zupełnie sam, a ojciec
usiłuje mnie złamać. Jestem pewien, że
do tego właśnie

dąży.

Przewrócił się na plecy i piekącymi od
płaczu oczami spoglądał w ciemność
nad sobą.

Chciałbym umrzeć. Zaraz, w tej chwili.

Próbował zmusić swe serce, by
przestało bić, lecz ono uparcie
ignorowało jego

wysiłki.

Czuł, że gniecie go każda nierówność

materaca, każda fałda pościeli. Każdy
mięsień

jego ciała napięty był do bólu, w głowie
pulsował okrutny łomot, łzy paliły oczy.
Zdawało mu

się, że spędził całą wieczność leżąc bez
ruchu, lecz zapomnienie, którego tak
pragnął, wciąż nie

nadchodziło. Wreszcie porzucił próby
przywołania snu, przez chwilę szukał po
omacku

kawałka świecy, potem zsunął się z
połania prosto w duszną ciemność.
Porwał szlafrok,

na-rzucił go na rozdygotane nagie ciało i jął przemierzać pokój. Choć w izbie było dość ciepło,

może nawet gorąco, posadzka pod jego stopami okazała się wręcz lodowata. Po omacku

odszukał drzwi i przyłożywszy ucho do szczeliny z boku, nasłuchiwał, czy z korytarza lub ze

schodów nie dobiega jakiś dźwięk
Cisza.

Ostrożnie odsunął rygiel i znów nastawił ucha. Potem uchylił drzwi i przez szparę wyjrzał na korytarz. Nie było tam na

szczęście nikogo, ale najbliższa latarnia
znajdowała się

daleko, w ślepych załamaniu korytarza.
Wziął głęboki oddech i naprężył się jak
struna,

przybierając postawę tak rezolutną, jak
gdyby nagle sam stał się panem na
zamku. Poruszał się

spokojnie, z pewnością siebie
nonszalancko, dokładnie tak, jak gdyby
czuł na sobie wzrok

wszystkich kuzynów. Wszak w każdej
chwili któremuś ze służących,
mieszkających właśnie w

tym korytarzu, mogło się nagle zachcieć wyjść z pokoju. A służący lubili dużo mówić.

Rozpuściliby języki, gdyby tylko któryś z nich dojrzał łzy w oczach Vanyela.

Wówczas

w mgnieniu oka sensacyjna wieść rozniosłaby się po całym zamku.

Odpalił świecę od jednej z latarni i spokojnie wrócił do pokoju. Ledwie jednak zamknął

zasuwę, znów stracił nad sobą panowanie, które tak dobrze udawało mu się utrzymywać za

drzwiami. Jego gwałtowne drgawki
sprawiły, że jakiś szalony taniec porwał
płomyk świecy

trzymanej w drżącej ręce i Vanyel
poczuł na dłoni krople gorącego wosku.

Najszybciej, jak tylko mógł, zapalił
pozostałe świece w kinkietach przy
drzwiach i nad

łóżkiem, a w lichtarzu na stole umieścił
tę, którą trzymał w dłoni.

Usiadł ciężko na rozrzuconej pościeli,
ssąc kciuk oparzony woskiem, i
ogarniając

spojrzeniem wszystkie swe rzeczy

zastanawiał się, które z nich ojciec
pozwoli mu zabrać ze
sobą.

Swych instrumentów nie brał nawet pod
uwagę. Tutaj były o wiele bardziej
bezpieczne.

Może pewnego dnia - jeśli uda mu się to
wszystko przetrwać - będzie mógł
powrócić i zabrać je

stąd. Nie było jednak żadnych,
absolutnie żadnych szans, aby wywieźć
je teraz, ukrywając

wśród innych rzeczy. A gdyby ojciec
zobaczył je spakowane...

Roztrzaskałby je. Roztrzaskałby je i śmiejąc się, czekałby na moją reakcję.

Wreszcie Vanyel podniósł się i uklęknął obok skrzyni, w której były jego ubrania.

Dźwignął ciężkie, rzeźbione wieko i przez dłuższą chwilę patrzył na wierzchnią warstwę

odzieży.

Tuniki, koszule, spodnie, pończochy - wszystkie w głębokich barwach kamieni

szlachetnych: szafiru, akwamarynu czy szmaragdu, w którym tak bardzo było mu do twarzy;

niektóre w jego ulubionych kolorach: czarnym, srebrzystym czy popielatoszarym. Wszystkie

te rzeczy nosił dlatego tylko, że był to jedyny sposób, w jaki mógł przeciwstawić się ojcu, który

przez cały rok potrafił ubierać się w te same trzy, nie różniące się niczym stroje, i nawet tego

nie zauważyć. Robił to, ponieważ jego ojciec nie zwracał uwagi na stroje swoje czy innych i

złościło go, że Vanyel przywiązywał do tego dużą wagę.

Vanyel zadumał się nad swymi ubraniami i - nie zdając sobie z tego sprawy - gładził

delikatnie miękką tkaninę swej koszuli.

Nie ośmieli się zabronić mi zabrania tych rzeczy, choć założyłbym się, że chciałby to

zrobić. Wszak muszę się dobrze prezentować, kiedy tam zajadę, inaczej przyniósłbym mu

wstyd; a te łachy, które nosi Mekeal i cała reszta, nie są zbyt okazałe.

Zaczął ostrożnie składać ubrania i pakować je do tłumoków podróжных

trzymanych na

spodzie skrzyni. Choć nie miał odwagi
wziąć instrumentów, między kartkami
pakowanych

książek ukrył kilka arkuszy z nutami
swych ulubionych melodii. Bardom w
Przystani powodzi

się bardzo dobrze - myślał ze ściśniętym
gardłem. Może za broszę do płaszcza
albo coś w tym

rodzaju uda mi się kupić od któregoś z
nich jakąś starą cytrę. Nie będzie to mój
śliczny

Skowroneczek, ale lepsze to niż nic. Pod

warunkiem, że zdołam powstrzymać jej ponurość,

ciocię, od odebrania mi jej.

Wszystko robił zbyt szybko. Nagle zorientował się, że siedzi na podłodze obok

spakowanych tłumoków i nie ma nic więcej do roboty. Rozejrzał się po pokoju. Nie było nic

więcej do zabrania, nic, za czym by tęsknił - z wyjątkiem może kilku rzeczy, które chciałby, ale

nie śmie, zabrać.

Nieźle życie wiodłem tutaj, jeśli
wszystko, co mam, mieści się w czterech
tłumokach.

Wstał powoli, wyczerpany, ale zbyt
zmęczony, by zasnąć. Zdmuchnął
wszystkie

świece, z wyjątkiem tej przy łóżku,
zrzucił szlafrok, upchnął go w ostatnim
tłumoku i wdrapał

się na łóżko.

Nie miał jednak odwagi zgasić ostatniej
świecy. Dopóki w pokoju było jasno,
udawało

mu się powstrzymywać łzy, ale

ciemność uwolniłaby je.

Leżał nieruchomo, tak długo wpatrując się w światło świecy migoczące na ukośnym

suficie, aż oczy znów zaczęły go piec.

Wszyscy bracia i wychowankowie dzielili ze sobą pokoje. Mekeal mieszkał w jednym

pokoju z Vanyelem do czasu, kiedy jego starszy brat złamał rękę. Wtedy to Mekeal został

przeniesiony na dół, a fakt, że po powrocie do zdrowia, Vanyel wciąż mieszkał w ich dawnym

pokoju, nie sprawił mu bynajmniej przykrości.

Tymczasem więc Mekeal miał cały nowy pokój dla siebie, co pozwoliło mu dojść do

wniosku, że wcale nie lubi mieszkać sam. Lubił towarzystwo. Teraz jednakże - co najmniej od

późnej wiosny - dzielił swój pokój z Joserlinem.

Był z tego zadowolony. Jos to już niemal dorosły. Mekeal powitał jego przeprowadzkę

z wielkim podnieceniem, cieszył się

jego towarzystwem i był bardzo dumny z tego, że Jos

traktuje go jak równego sobie. Jos rozmawiał z nim i choć mówił niewiele, kiedy się odzywał,

warto było go posłuchać. Dziś wieczorem jednak Joserlin powiedział już wszystko, co miał do

powiedzenia - tak przynajmniej myślał Mekeal.

Dlatego poczuł się troszkę zaskoczony, gdy zaraz po zgaszeniu świec, usłyszał mącący

ciszę głos Josa.

- Mekealu, dlaczego wy, młodzi, jesteście tacy niedobrzy dla swojego brata?

Mekeal nie musiał pytać, o którego brata chodzi, było to dość jasne. Ale...

“niedobrzy

dla niego”? Jak można było być dobrym dla kogoś, kto myśli tylko o sobie?

- Bo to jest... wstrętny typ - odparł Mekeal oburzony. - To mięczak, dzieciak, tchórz, a

jedyną rzeczą, która go obchodzi, jest jego własna osoba! Jest zupełnie taki sam jak matka. To

ona zrobiła z niego swojego pupilka i nieroba.

- Ach tak... naprawdę? A co sprawia, że jesteś tak pewny tego “nieroba”?

- Ojciec tak mówi, i Jervis...

- Bo Vanyel nie pozwala się Jervisowi stłuc na kwaśne jabłko - parsknął z

obrzydzeniem Joserlin. - Nie powiem, żebym go za to winił. Gdybym był zbudowany tak jak on

i miał na karku takiego Jervisa, to sam na pewno znalazłbym jakąś kryjówkę. Uciekłbym do

Przystani, nie dając Jervisowi okazji do przetrącenia mi gnatów.

Mekeal, wstrząśnięty, otworzył usta w zdumieniu i przewrócił się w łóżku, kierując

twarz w stronę ciemnej, zwalistej sylwetki Joserlina. - Ale... ale... Jervis jest fechtmistrem! -

Jest pokraczny prostakiem - uciał kategorycznie Jos. - Zapominasz Mekealu, że wychowywał

mnie lord Kedrik i ćwiczyłem pod okiem prawdziwego fechtmistra, mistrza Orsera, a on jest

bardzo dobry. Jervis byłby zwykłym wojem, gdyby nie to, że jest starym przyjacielem twojego

ojca. Nie zasługuje na to, aby być fechtmistrem. O nieba, Mekealu, on się rzuca na

najsłabszych z was, jak gdybyście byli w jego wieku, mieli jego posturę i jego doświadczenie!

Nigdy nie zatrzymuje swych ciosów, nie kwapi się pokazać wam, jak je przyjmować, musicie

sami do tego dochodzić. W dodatku zna tylko jeden styl - Świętą Księgę! - Ale...

- Mówię ci, żaden z niego wielki mistrz.
Na mój rozum, on wcale nie jest
mistrzem.

Będąc na miejscu Vanyela, prędzej bym
się otrął, niżli pozwolił temu łobuzowi
znów się do

mnie dobrać! Słyszałem, co się stało na
wiosnę, jak zaatakował Vanyela, sześć
razy powalił go

z nóg i pogruchotał ramię.

- Ale on oszukiwał! - zaprotestował
Mekeal.

- Nieprawda. Radevel mówił mi, co
wydarzyło się w rzeczywistości, zanim

jeszcze ten

zabijaka zdołał was wszystkich
przekonać, że nie widzieliście, jak
masakrował Vanyela, bo ten

go przechytrzył. Nie było to nic innego
jak zwykłe znęcanie się nad słabszym.
Gdyby mój

poprzedni fechtmistrz potraktował w ten
sposób któregoś ze swych uczniów, to
lord Kedrik

osobiście zrzuciłby go z samego szczytu
wieży!

Mekeal nie dowierzał własnym uszom.

- Ależ... - protestował. - Ależ ojciec...

- Twój ojciec jest przeklętym tchórzem -
uciął Joserlin. - I nie będę cię
przepraszał za

to, że tak powiedziałem. Jest
kompletnym głupcem, trzymając Jervisa
jako fechtmistrza i

skończonym durniem, traktując małego
Vanyela w ten sposób. Za każdym
razem, kiedy na

niego napada, sam prosi się o nauczkę.
Nikt inny, tylko on sam jest winien
zachowania

Vanyela, bo ten robi wszystko, żeby mu

dokuczyć. Zapamiętaj moje słowa.
Widziałem już coś

takiego, tyle że tam sytuacja była
odwrotna. Działo się to w sąsiedztwie
miejsca, gdzie

mieszkałem będąc w twoim wieku, u
starej lady Cedrys, w Zamku Dzikiej
Róży. Stara lady

Cedrys była uczona i nic innego nie
sprawiało jej przyjemności, tylko widok
jej najstarszego

syna tkwiącego dzień i noc z nosem w
książkach. Ale ten najstarszy syn był
podobny do ciebie,

zwariowany na punkcie Gwardii. Im bardziej Cedrys przymuszała go do ślęczenia nad

książkami, tym częściej Liaven przychodził do naszego fechtmistrza, aż pewnego dnia uciekł i

zaciągnął się do zwykłego oddziału najemników. Jego matka nie zobaczyła go już nigdy

więcej.

- Ależ... Jos... widziałeś, jak Vanyel patrzy na nas z góry. Jak gdyby był Królem Bogów

albo kimś w tym rodzaju. Ciągłe

zadziera nosa.

- Aha - odparł Joserlin. - Nie przeczę.
Ale częściowo jest to wina lady Tressy,
która go

tak rozpieścił Vanyel jest małą
arogancką glistą i z pewnością uważa
się za najpiękniejszego

chłopca w całym zanku. Nie pozwala
nikomu o tym zapominać. Nie mogę
jednakże

powstrzymać się od myśli o tym, jak
dalece to całe zadzieranie nosa
spowodowane jest

waszymi wysiłkami, aby zmieszać go z

błotem. Co ty na to?

Mekeal nie potrafił nic odpowiedzieć.

Mógłbym uciec - pomyślał Vanyel. Był już wręcz oszołomiony zmęczeniem, sen

jednak wciąż nie przychodził. Sądzę, że mógłbym uciec...

Zagryzł wargi aż do krwi. Co mógłbym ze sobą zrobić, gdybym uciekł?

Poszedłbym do

świątyni? O bogowie, nie... to niemożliwe, żebym został księdzem! Nie umiem też pisać dość

ładnie, aby zostać skrybą, a poza tym

żaden właściciel ziemski nie zatrudni
mnie,

dowiedziawszy się, kim jestem. Ojciec
dopilnowałby tego, na pewno. Och,
bogowie, dlaczego

nie uczyniliście mnie bardem?

Zwilżył kącki ust, uderzony pewną
myślą. Mógłbym przecież spróbować
szczęścia

jako minstrel. Nie śmiałbym pokazywać
się w dużych zaniakach, ale gdzie indziej
też można

zarobić śpiewem parę groszy. Przez
moment wydawało się, że jest to jakieś

wyjście z sytuacji.

Musi tylko prześlizgnąć się do swej kryjówki, aby zabrać instrumenty, i wymknąć się przed

świtem. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że uciekł, może być już daleko od zamku. Jednak...

nie.

Moja ręka... moja ręka. Zanim nie odzyska pełnej sprawności, nie mogę grać nic oprócz

najprostszych melodii. Jeśli nie będę mógł dobrze grać, nie ma mowy o szukaniu gościny w

jakimkolwiek domu. A bez godnego patronatu, na jaki w tej chwili nie mogę liczyć, ledwie

zdołam zarobić na kawałek chleba. Nie mogę tak żyć, po prostu nie mogę! Nie mogę śpiewać

dla chłopów w gospodach i ludu na jarmarkach, nie mogę żebrać, nie wśród wieśniaków. Nie,

chyba że okaże się, że Savil ma zamiar mnie otruć, a nie myślę, aby było to prawdopodobne.

Ona jest heroldem, a heroldowie nie posuwają się do takich rzeczy, nawet dla zrobienia

przyjemności swoim braciom.

Westchnął. Świeca zgasła. Nie, to by się nie udało. Nie ma

żadnej ucieczki.

Czując, że gardło zaciska mu się coraz bardziej, tracił panowanie nad sobą.

Znów

cisnęły mu się do oczu łzy, które rozbudzą go jeszcze bardziej i uczynią jeszcze bardziej bez-

radnym.

Ciemność zaciskała się wokół niego niczym żelazna pięść. Tak bardzo skoncentrował

się na walce z płaczem, że nie poczuł
nawet, kiedy ze stanu oszołomienia
przeszedł w

niespokojny, pełen koszmarów sen.

*Był sam, zupełnie sam. Po raz pierwszy
w życiu nie było nikogo, kto by go
dręczył,*

*nikogo, kto by z niego drwił. Ponad nim
rozciągało się tylko ponure, szare
niebo, dookoła*

*niego, aż po horyzont roztaczała się
połyskująca śniegiem i lodem wielka
równina.*

Gdziekolwiek spojrział - nic, tylko ta

*jałowa, biała przestrzeń. Zupełnie
pusta, zupełnie*

*bezkształtna. Było tak zimno, że poczuł,
jak całe jego ciało ogarnia
odrętwienie.*

*Był skostniały. Nie obolały wewnątrz.
Nie bliski płaczu na każde słowo. Po
prostu*

zmarznięty.

*Nie czuł już żadnego bólu. Nic. Stał
nieruchomo, przez kilka dobrych chwil
delektując*

się brakiem czucia, brakiem bólu.

*Był bezpieczny. Tutaj był bezpieczny.
Nikt nie mógł go tknąć. Dopóki trwał w
tej*

*izolacji, w tym odrętwieniu, nikt nie
mógł go tknąć.*

*We śnie otworzył szeroko oczy i
wyszeptał; “Jeśli nikt mnie nie dotknie
- nikt mnie nie*

*zrani. Tylko nigdy nie mogę się niczym
przejmować “.*

*To było jak objawienie, jak dar zesłany
przez - jak dotąd - obojętnych bogów.*

*To
miejsce, ta dzika lodowa kraina...*

*gdyby tylko mógł zachować ją w
sobie... gdyby tylko potrafił*

*wystarczająco “nie przejmować się”...
mógłby pozostać bezpieczny. Bez
względu na to, co się*

*stanie i kto będzie go nienawidził, nikt
już go nie skrzywdzi.*

Nigdy więcej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz rano Vanyel musiał skupić
myśli tylko na jednym - na swym śnie.
Gdy

powracał do lodowej krainy, ból

samotności w jego sercu zastępował
lodowaty chłód

obojętności. Kiedy tylko zechciał, mógł
uciec i wyizolować się z otaczającej go
rzeczywistości,

stając się niczym pustelnik na szczycie
wielkiej góry.

Było to jak zażycie pigułki
przeciwbólowej, antidotum na
samotność.

Obojętność stała się teraz obroną, nie
pozą.

Ale czy ten pancerz obojętności mógł
służyć także jako broń? Warto było

spróbować.

Właściwie i tak nie ma nic do stracenia - najgorsze już się stało.

Ubrał się szybko. Skórzany strój do jazdy konnej, który kiedyś był brązowy, kazał - bez

wiedzy ojca - przefarbować na czarno. Był teraz z tego bardzo zadowolony. Czerń zawsze

wysmuklała jego sylwetkę, przydawała mu dojrzałości, a nawet sprawiała, że wyglądał troszkę

groźnie. Był to odpowiedni kolor dla konfrontacji, a także kolor śmierci.

Vanyelowi zależało

bardzo na przypomnieniu ojcu o dystansie, który ich dzieli.

Po chwili namysłu zmienił decyzję co do swych instrumentów. Postanowił zabrać ze

sobą przynajmniej lutnię, na posiadanie której i tak miał pozwolenie. Nie będzie jej pakował,

ale pozostawi na wierzchu na wypadek, gdyby lord Withen zastanawiał się, gdzie ona jest.

Poza tym, jeśli uda mu się stanąć twarzą w twarz z Withenem, a lutnia będzie

leżała

gdzieś na widoku, Vanyel będzie mógł
przypieczętować ich wzajemną
konfrontację przez

demonstracyjne spakowanie lutni na
oczach ojca... Może coś na tym zyska.
Czym prędzej więc,

nim wzeszło słońce, wymknął się do
swej kryjówki, a gdy Withen stanął pod
drzwiami jego

pokoju, waląc w nie pięścią, Vanyel
siedział już skulony przy oknie i
wygrywał wolną, lecz

zmyślną melodię, taką, która mogła być

grana niemal wyłącznie prawą ręką.
Odegrał całą scenę

z wielkim rozmysłem, starając się zrobić
wrażenie, że trwa w tej pozycji już od
wielu godzin.

Lord Withen z pewnością spodziewał
się zastać swego najstarszego syna w
łóżku,

spodziewał się w ten szary poranek
zbudzić zmieszanego i nieszczęśliwego
chłopca. Nie-

wątpliwie oczekiwał, że ujrzy Vanyela
tak samo bezbronny jak poprzedniego
wieczoru.

Sprawiłoby ci to przyjemność, prawda?
Ojciec... tak świetnie potwierdziłaby się
moja

marność - pomyślał. Tymczasem Withen,
zapukawszy tylko raz, otworzył drzwi i
ku własnemu

zdziwieniu zobaczył, że Vanyel od
dawna nie śpi, jest już spakowany, a
teraz ubrany w strój

podróżny siedzi bez ruchu z lutnią w
dłoni. Vanyel podniósł wzrok i obrzucił
ojca chłodnym,

arogantycznym spojrzeniem, dokładnie
takim, jakim obdarza się kogoś zupełnie
obcego, kto nagle,

bez zaproszenia, narzuca nam się swą
obecnością.

Zaskoczenie i lekki wyraz zakłopotania
w oczach ojca Vanyelowi uczucie
satysfakcji,

jakiej nie smakował już od dawna.

Położył lutnię obok siebie, na łóżku,
potem podniósł się z wolna i stanął
przed ojcem

wyprężony jak struna.

- Jak widzisz, ojcze - wskazał ruchem
głowy cztery spakowane tłumoki -
jestem już

gotowy.

Ton jego głosu i coś jakby roztargnienie w sposobie mówienia jeszcze bardziej

zaskoczyły lorda Withena. Zakasłał, a Vanyela zdjęło nagle uczucie mściwej satysfakcji, że

choć raz w konfrontacji z ojcem on ma przewagę.

Withen zaczerwienił się, widząc, jak Vanyel pochyliwszy się, chwytając szyjkę lutni, stroi

ją szybkimi, wprawnymi palcami i pośpiesznie wkłada do swej torby podróżnej.

Było to wyzwanie, które nawet Withen zdołał zauważyć. Popatrzył groźnie na syna i

wykonał ruch, jak gdyby chciał mu zabrać instrument.

Vanyel naprężył się. Nie powiedział nic. Obrzucił tylko ojca spojrzeniem, które

mówiło: Dokuczaj mi. No, dalej.

Widzisz, co się dzieje, kiedy to robisz.

Nie mam absolutnie

nic do stracenia i nie dbam o to, co się ze mną stanie.

Widząc to Withen aż się cofnął.

- Możesz zabrać swoją zabawkę, ale nie myśl sobie, że będziesz mógł spędzać czas

leniuchując z tymi nierobami, bardami. - Wygrażał, próbując odzyskać pewność siebie, którą

stracił z momentem otwarcia drzwi. - Jedziesz do Savil, żeby nauczyć się czegoś więcej niż...

- Nigdy nie wyobrażałem sobie, że będzie inaczej... mój panie - przerwał mu Vanyel,

uśmiechając się gorzko. - Nie wątpię - ciągnął, starannie dozując jad - że wydałeś ciotce co do

tego bardzo szczegółowe instrukcje, jak również na temat mojego wykształcenia, panie.

Twarz Withena spurpurowiała. Vanyel ponownie poczuł przypływ jadowitej przyjemności.

Ty wiesz i ja wiem, o co tu naprawdę chodzi, nieprawdaż, ojcze? Ale chcesz, abym

udawał, że to coś innego, przynajmniej przy innych. To bardzo źle. Wcale nie mam zamiaru ci

nic ułatwiać ani okazywać wdzięczności. Mam pewność siebie,

ojcze. Nic mnie już nie

obchodzi, a to daje mi broń, której tobie
brakuje.

Withen wykonał gwałtowny gest dłonią i
do pokoju Vanyela weszło z korytarza
dwóch

służących. Każdy z nich podniósł dwa
tłumoki i czym prędzej wybiegł z
pokoju. Vanyel zaś,

przerzuciwszy sobie przez głowę pasek
od lutni, zawiesił ją na plecach, dając
tym samym jasno

do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby
brał ją kto inny.

- Nie musisz mnie odprowadzać, panie - powiedział, gdy Withen nie ruszył się, aby

towarzyszyć wychodzącym z bagażami służącym. - Jestem pewny, że są ważniejsze sprawy,

którymi musisz się zająć.

Withen wyraźnie się skrzywił. Vanyel spokojnie przeszedł obok niego, po czym

odwrócił się, aby zadać ostatni cios, dokładnie obliczony na sprawienie jak największego bólu,

jak prawda, która i tak nie mogła zostać

wypowiedziana.

- Ostatecznie, panie - rzucił spokojnie przez ramię - ja się przecież nie liczę.

Masz

czterech innych, silnych, dużo bardziej wartościowych... spadkobierców.

Przykro mi, że nie

uznałeś za stosowne, by poinformować matkę o porze mojego odjazdu. Byłoby przyjemnie

pożegnać się z kimś, kto będzie tęsknił za moją obecnością. Wzdech aż drgnął.

Vanyel uniósł brwi.

- Nie fatyguj się *życzyć* mi wszystkiego dobrego, panie. Wiem, co ojciec Leren głosi na

temat znaczenia prawdy, a nie chciałbym uczynić cię wiarołomcą.

Wyraz twarzy urażonego Withena rozniecił w zlodowaciałym sercu syna płomień

gorzkiego zadowolenia. Vanyel odwrócił się na pięcie i pewnym krokiem odszedł korytarzem

w ślad za służącymi, nie dając ojcu szansy ani na udzielenie odpowiedzi, ani na wydanie

rozkazów służbie. W mrocznym, szarym korytarzu minął obu służących z tłumokami i

stanowczym gestem dał im znak, aby szli za nim. Jeszcze raz ogarnęło go uczucie pełnej

goryczy satysfakcji. Lord Withen chciał pewnie, aby Vanyel podążał w tyle, goniąc służących,

i niespodziewana zmiana ról wprowadziła Withena w zakłopotanie, a służących pozostawiła bez

jasnych instrukcji. Vanyel pochwycił tę nadarzącą się przypadkiem okoliczność i trzymał się

jej z całych sił. Raz, ten jedyny raz,
zyskał przewagę i nie miał zamiaru
zaprzepaścić tej okazji,

chyba że zmuszono by go do tego siłą.

Poprowadził ich w dół słabo oświetloną
klatką schodową, a słysząc, jak potykają
się w

ciemności, dziękował bogom, że sam
niesie swą lutnię. W tłumokach nie było
na szczęście nic,

co mogłoby się zbić. Klatka schodowa
zaprowadziła ich do tej części zamku,
gdzie znajdowała

się kuchnia, a Vanyel zdecydował się iść

za ciosem i wydostać na zewnątrz przez drzwi dla

służby, a stamtąd skierować się prosto do stajni. Była to najkrótsza droga, lecz nie dlatego ją

wybrał. Zrobił to, aby zaznaczyć, że zna myśli ojca.

Dwaj służący obładowani ciężkimi tłumokami musieli się bardzo spieszyć, aby

dotrzymać mu kroku i już dyszeli z wysiłku. Gdy buty Vanyela chrzęściły na żwirowej ścieżce

na dziedzińcu pomiędzy zamkiem a

stajniami, sapanie służących słychać było daleko w tyle.

Słońce ledwie wzniosło się nad horyzont, a z łąk, gdzie w czasie dnia puszczano luzem

konie, podnosiła się mgła.

Prawdopodobnie dzień będzie dziś gorący, jeden z pierwszych dni

prawdziwego lata. Gdy Vanyel zbliżył się do stajni, zobaczył, że drzwi są już otwarte, a

wewnątrz krząta się kilkoro ludzi.

Nie mogłeś się doczekać pozbycia się mnie, prawda, drogi ojcze? - pomyślał.

Chciałeś

wypchnąć mnie najszybciej, jak tylko można było to zrobić. Tym razem będę ci posłuszny. To

powinno cię wprowadzić w wystarczające zakłopotanie.

Teraz, kiedy mógł schronić się za barierą obojętności, po raz pierwszy od ponad roku

potrafił myśleć jasno i spokojnie. Mógł snuć plany na przyszłość, nie grzęznąc w

emocjonalnym bagnie, i mógł unieść je ze sobą, nie tracąc głowy z powodu frustracji. Bogowie,

to było takie proste - niczym się nie
przejmować. Nie dbaj o to, co robią z
tobą inni, a wtedy nikt

nie będzie mógł cię skrzywdzić.

Gdybym nie wyjeżdżał, nigdy nie
odważyłbym się powiedzieć tych
wszystkich rzeczy.

Ale wyjeżdżam i zanim ojciec pomyśli,
jak powinien zareagować, ja będę już
daleko, poza

zasięgiem jego kary. Nawet jeśli
doniesie o tym wszystkim ciotce
Niesmacznej, zabrzmiałoby to

kompletnie głupio i, co więcej, on sam

wyjdzie na durnia.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach i stanął w lekkim rozkroku z dłońmi na biodrach.

Po upływie kilku chwil, gdy ludzie znajdujący się w środku zauważyli go, szmer rozmów

ucichł, a wszyscy obecni wlepili w niego osłupiały ze zdumienia wzrok.

- Dlaczego moja klacz nie jest osiodłana? - cicho zapytał chłodnym tonem. Jedyne

osiodłanymi końmi były dwa nieokrzeseane wałachy, najwyraźniej

przeznaczone dla

krzątających się wokół nich wojów,
którzy właśnie sprawdzali popręgi, a na
jego widok

wyprostowali się, by wysłuchać, co też
ma im do powiedzenia. Vanyel dostrzegł
w stajni

jeszcze jedno osiodłane zwierzę. Nie
był to jednak koń, ale stary, gruby kuc,
na którym jeździli

kiedyś wszyscy Chłopczy z zaniku, a
którego potem przekazano pod wierzch
najstarszej damie

Tressy.

- Wybacz, mój panie - odezwał się z wahaniem jeden z parobków - ale twój ojciec...

- Nic mnie nie obchodzi, co zarządził mój ojciec - przerwał mu Vanyel ze złością. - To

nie jego czeka podróż na koniec świata na tym koniu na biegunach. To ja jestem wygnańcem i

nie mam zamiaru jechać na czymś takim. Nie wjadę do stolicy na zwierzęciu, na którym będę

wyglądał jak klaun. Poza tym Gwiazda jest moja, nie jego. Lady Tressa mi ją podarowała, a ja

mam zamiar ją ze sobą zabrać. Osiodłać ją.

Parobek wciąż się wahał.

- Jeżeli ty tego nie zrobisz - powiedział Vanyel lodowatym głosem, mrużąc oczy
- ja to

zrobię. Tak czy owak napytasz sobie biedy. A jeśli ja będę musiał to zrobić i moja matka dowie

się o tym, spotkają cię nieprzyjemności zarówno z jej strony, jak i ze strony mojego ojca.

Parobek wzruszył ramionami i zajął się Gwiazdą i jej uprzężą, pozostawiając

innemu

stajennemu rozsiodłanie kucyka i
odprowadzenie go na pastwisko.

Pięknie - pomyślał Vanyel. Chciałeś
mnie wsadzić na kuca dobrego dla
nowicjusza i

zrobić ze mnie tchórza, który nie umie
sobie poradzić z prawdziwym koniem.
Chciałeś, abym

wyszedł na durnia, wjeżdżając do
Przystani na kucyku, a ponad wszystko
pragnąłeś pozbawić

mnie tego, co jest naprawdę drogie
memu sercu. Nie tym razem, ojczy.

Zanim lord Withen zdążył pojawić się w
stajni, Vanyel siedział już pewnie w
siodle na

swej Gwieździe. Parobcy mocowali
ostatni tłumok u boku jednego z trzech
mułów, a wojowie

czekali, również w siodłach, na
dziedzińcu.

Vanyel poklepał dumnie naprężoną szyję
Gwiazdy, czarnej klaczy delikatnej
budowy, z

widniejącą na czole idealną białą
gwiazdą, której jedno ramię sięgało w
dół, aż ku nozdrzom.

Przez dłuższą chwilę Vanyel ignorował ojca, dając mu czas na przypatrzenie się synowi

siedzącemu na pełnej temperamencie drobnej klaczy czystej krwi, zamiast na pospolitym starym

kucu. Po chwili podjechał w stronę skraju dziedzińca, gdzie stał lord Withen, którego wyraz

twarzy wskazywał, że znów nie może oprzeć się zdumieniu. Gwiazda zgrabnie, bezgłośnie

prawie, kroczyła przez wysypane żwirem podwórko, niczym nocny cień umykający przed

pierwszym światłem brzasku. Vanyel kazał całą jej uprzęż przeфарbować na czarno, podobnie

jak swój strój do jazdy konnej, a teraz świetnie zdawał sobie sprawę, że ich widok robi

uderzające wrażenie.

Ona też doskonale o tym wiedziała. Gdy Vanyel skierował ją ku ojcu, wygięła szyję, a

ogon uniosła jak sztandar.

W miarę jak Vanyel i Gwiazda zbliżali się coraz bardziej, na twarzy lorda Withena

odbijały się nawiedzające go po kolei
emocje: najpierw sprawiał wrażenie
zbitego z tropu,

później zrezygnowanego. Wyraz twarzy
Vanyela zaś nie | zmieniał się przez cały
poranek. Gdy

siedział tak z podniesioną głową,
wbijając wzrok w jeden punkt nieco
ponad głową ojca,

sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.
Z tyłu dobiegały go głosy parobków,
którzy

wyprowadziwszy muły ze stajni,
mocowali właśnie ich cugle do tylnego
łęku siodła jednego z

wojów. W tym momencie zatrzymał
Gwiazdę kilka kroków od skraju
wybiegu. Bez drgnienia

na twarzy, spojrział z góry na ojca.
Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.
Vanyel dostrzegł, że

ojciec szuka odpowiednich słów, a za
każdym razem, kiedy zaczyna mówić,
słowa zamierają

mu na ustach pod ciężarem chłodnego,
beznamiętnego spojrzenia Vanyela. Nie
mam zamiaru

ci tego ułatwiać, ojczy - pomyślał. Nie
po tym, co mi zrobiłeś. Nie po tym, co
próbowałeś

zrobić przed chwilą. Mam zamiar
postępować dokładnie tak jak ty. Będę
tak samo paskudny

jak ty, ale za to z klasą. Cisza
przedłużała się, stawała się wręcz
nieznośna, napięcie udzielało

się nawet wojom, którzy zaczęli wiercić
się niecierpliwie w swych siodłach. Ich
konie

przestępowały z nogi na nogę i parskwały
niespokojnie. Vanyel i Gwiazda
natomiast zastygli w

bezruchu niczym posąg z onyksu i
srebra.

W końcu Vanyel doszedł do wniosku, że wystarczająco przedłużył już tę torturę.

Raz

tylko niedostrzegalnie skinął głową, po czym skierował Gwiazdę i delikatnie spiął ją piętami.

Klacz zadarła łeb i ruszyła kłusem w kierunku drogi do wsi, pozostawiając w tyle usiłujących

dogonić ją wojów, przeklinających i popychających swe zwierzęta.

Gdy tylko minęli wieś Forst Reach, Vanyel ściągnął cugle, nie chcąc, aby Gwiazda

zbyt szybko się zmęczyła. Zrobił to także, aby uniknąć dostarczenia wojom powodu do

nakazania mu jazdy między nimi.

Ojciec na pewno polecił im dobrze pilnować, abym nie uciekł - pomyślał cynicznie,

widząc jak Gwiazda przez moment sprzeciwia się lejcom, aby po chwili ustąpić i przejść w

dość spokojnego stępa. Istotnie przypuszczenia Vanyela szybko znalazły potwierdzenie. Gdy

tylko zwolnił, zobaczył, że jego

strażnicy wymieniają ukradkowe
spojrzenia i niezbyt dobrze

skrywane westchnienia ulgi. Aha,
niewiele wiedzą - pomyślał.

Gdy wyjechali poza tereny uprawne
Forst Reach, znaleźli się w kompletnie
dzikich

ostępach leśnych leżących między Forst
Reach i najbliższą posiadłością w
kierunku

wschodnim, Brodem Pryther. Ten
kawałek ziemi umyślnie pozostawiono
nie

zagospodarowany. W żadnym z

sąsiadujących majątków nie było wystarczającej liczby ludzi,

aby go uprawiać, a las dostarczał drewna i ponad połowy mięsa zjadanego co roku w obu

posiadłościach.

Tylko wytrawni znawcy dzikich ostępów mogli tak spokojnie podróżować przez ów

gęsty bór. Vanyel zaś nie miał zielonego pojęcia, jak przetrwać w lesie.

Sama droga była pełną kolein, ubitą, zakurzoną ścieżką, wijącą się w tunelu z konarów

drzew. Gałęzie nad głowami były tak grube, że tworzyły coś na kształt zielonego półcienia.

Choć słońce rozpędzało już mgłę poza lasem, tutaj wciąż smużki mgiełki snuły się między

drzewami i kładły na drodze. Tylko pojedyncze promyki słońca przezierały przez baldachim z

liści, aby dotknąć ziemi. Z obydwu stron ścieżkę obrastały gęste krzaki.

Przebłyskująca tu i

ówdzie czerwień zdradzała, że są to zapewne krzewy czarnej porzeczki posadzone, aby

utrzymać niedźwiedzie i inne drapieżniki z dala od drogi. Nawet gdyby Vanyel myślał o

ucieczce, nie byłby aż tak nierozważny, aby rzucać się w nieprzyjazne objęcia tej gęstwiny, a

tym bardziej nie chciałby narażać delikatnej skóry Gwiazdy na bolesne ukłucia kolców.

Za krzakami, jak daleko Vanyel sięgał wzrokiem, podszycie lasu było plątaniną

nieznanych roślin, wśród których przepadłby z kretesem.

Nie, nic nie kusiło go do ucieczki, a

poza logicznymi, były też inne argumenty przemawiające przeciwko niej.

Pod osłoną zarośli zdawały się czaić jakieś dziwne stwory - jakieś poruszające się

bezgłośnie widma. Nie podobały się Vanyelowi te cienie skradające się za krzakami i snujące

się między smugami mgły. Nie zwracał już nawet uwagi na drogę, która ciągnęła się przed i za

nimi setkami metrów, nim wtopiła się w głęboki las. Tajemnicze cienie przywodziły na myśl

zbyt wiele opowieści i baśni, a do
Pogranicza z jego niesamowitymi
stworami nie było aż tak

daleko.

Las robił na Vanyelu wrażenie
podejrzanie spokojnego. Tylko czasami
ptak odezwał

się gdzieś w górze, ponad głuchymi
dźwiękami podków końskich na drodze,
ale i tak jego

głos zdawał się zawsze dobiegać z
oddali. Żaden powiew wiatru nie
poruszał liści nad

głowami i nie było wiewiórek

przebiegających wśród gałęzi, by skarcić nieproszonego gościa.

Oczywiście wydawało się dość prawdopodobne, że swą obecnością płoszyli wszelką

zwierzyńkę, która znała ludzi i obawiała się ich, gdyż w lasach tych odbywały się regularne

polowania. Byłoby to dość logiczne wytłumaczenie ciszy panującej wśród drzew.

Wyobraźnia Vanyela jednakże malowała inny, bardziej ponury obraz tego, co mogło się

czaić za każdą niemal rośliną.

Chociaż zrobiło się dość ciepło i należało się spodziewać postoju, tak naprawdę

Vanyel cały czas miał nadzieję, że wcale się nie zatrzymają. Jak dotąd jego pancerz obojętności

chronił go przed presją z zewnątrz, lecz teraz, pod wpływem wewnętrznego napięcia

podsyconego bujną wyobraźnią pojawiło się na nim pęknięcie. Czuł się wręcz nieswojo, gdy w

południe zatrzymali się na popas, i

dopiero w momencie kiedy znowu usadowili się w siodłach

i wyruszyli w dalszą drogę, odetchnął z ulgą. Jedyнным sposobem, jaki pomagał mu

utrzymywać nerwy na wodzy, było skoncentrowanie się na myśli o tym, jak dobrze poradził

sobie z lordem Withenem. Wspomnienie wygłupionej twarzy ojca dawało mu wielką

satysfakcję. Withen ujrzał wszakże nie Vanyela chłopca - ujrzał mężczyznę na swój sposób

panującego nad sytuacją, w której się znalazł, a to wyraźnie nie było dla niego przeżyciem

przyjemnym.

Gdy tylko wraz z zachodem słońca, w lesie zaczęło się ściemniać, Vanyel z ulgą

dostrzegł, że drzewa się przerzedzają, a przed nimi otwiera się ogromna polana. Bardzo się

ucieszył, widząc stojący na niej zajazd, jak również i to, że jego strażnicy wyraźnie mieli

zamiar zatrzymać się tam na noc.

Pozostając wciąż na kamienistej, zakurzonej drodze, zbliżyli się do zajazdu od strony

głównego wejścia i przez bramę wjechali na podwórkę. Tam opiekunowie Vanyela wstrzymali

konie i poczęli rozglądać się za stajennym. Vanyel też zsiadł z konia i dopiero wówczas

uświadomił sobie, jak bardzo zeszywniałe i obolałe stało się całe jego ciało.

Gdy pojawił się parobek, aby zaopiekować się Gwiazdą, Vanyel bez słowa oddał mu

cugle, a potem zaczął przechadzać się w poprzek podwórka przed stajnią, próbując odzyskać

czucie w nogach. Tymczasem jeden z wojów zniknął w drzwiach zajazdu, drugi zaś zdjął z

mułów tłumoki i przekazał je w ręce innych parobków.

Dopiero w tym momencie Vanyel zdał sobie sprawę, że nie zna nawet imion swych

strażników.

Niepokoilo go to. Miał przecież spędzić z nimi dużo czasu, a oni, mimo że

towarzyszyli

mu już cały dzień, nie raczyli się nawet przedstawić. Vanyel był zmieszany i czuł się nieswój.

Chociaż...

Im mniej będę się czymkolwiek przejmował, rym lepiej mi będzie - pomyślał.

Zamknął powieki i przywołał obraz swego śnieżnego pola. Ledwie lodowa kraina

pojawiła się znów przed jego oczami, natychmiast poczuł spływający nań chłodny spokój i

odrętwienie.

Ignorując drugiego strażnika, zaczął rozglądać się dookoła i z lekkim zaskoczeniem

spozstrzegł, że zajazd był wielki, dużo większy, niż wydawał się wtedy, gdy patrzyło się na

niego od strony drogi. Gdy podjeżdżali, Vanyel widział tylko front budynku, a teraz mógł

zobaczyć cały piętrowy kompleks przynajmniej pięć razy większy od małej karczmy wiejskiej

w Forst Reach. Ściany, aż do wysokości

piętra, zbudowane były z kamienia,
wyżej z drewna, a

dach pokrywała gruba strzecha. W niej
właśnie ptaki, których tak brakowało
Vanyelowi w

lesie, zdawały się znaleźć sobie
szczęśliwą siedzibę. Teraz,
przygotowując się do nocy,

wszczynały swymi trelami istny jazgot.
Wraz ze stajniami zajazd formował trzy
boki kwadratu

wokół podwórka, które z czwartego
boku otwarte było na porośnięte trawą
pole, najwyraźniej

przygotowane dla handlarzy i ich wozów. Stajnie, także dość obszerne, dorównywały

rozmiarom stajniom lorda Withena, który był przecież liczącym się hodowcą koni. Choć nie

zaczęło się jeszcze ściemniać, od strony lasu skradały się już błękitne cienie. Robiło się też

coraz chłodniej, co po dość upalnym dniu było raczej nieprzyjemną niespodzianką. Tym

bardziej więc widok zbliżającego się drugiego woja w towarzystwie dwóch służących z zajazdu

szczerze uradował Vanyela.

Udając zatopionego w kontemplacji
chylącego się ku zachodowi słońca,
Vanyel

wyteżył słuch, aby dowiedzieć się, co
mają sobie do powiedzenia jego
strażnicy. - Jakież

kłopoty, Garth? - zapytał ten, który
pozostał Vanyelem na zewnątrz. Drugi
schylił się właśnie,

aby podnieść jeden z tłumoków i skinął
na służących, by zabrali pozostałe.

- Nie - zachichotał. - O tej porze lata z
przyjemnością przyjmą dobrą zapłatę.

Od tych

domokrażców, kto rzy się tu zwykle zatrzymują, dostają przecież marne grosze. Tak jak kazał

nasz pan, dali nam pokój na piętrze, obok Jego Wysokości. Nasz jest od strony korytarza i

chłopak będzie musiał przejść przez niego, żeby dostać się do swojej izby. Nie ma mowy,

żebyśmy nie zauważyli, jeśli będzie chciał się wymknąć. Poza tym pokoje są na piętrze, więc

wystarczy tylko przysunąć łóżko do

drzwi, a nasz panicz w ogóle nie będzie mógł wyjść ze

swej sypialni.

Vanyel zamarł. Zasłyszane słowa rozwiały nikły cień nadziei, że może uda mu się z

tych dwóch uczynić swych sprzymierzeńców. To dlatego trzymają się na dystans. Wyprostował

się i przybrał znów tę samą chłodną maskę obojętności, która tak dobrze służyła mu rano w

konfrontacji z ojcem. Przecież można się było tego spodziewać. Byłem głupcem

myśląc, że

zdołam zjednać sobie ich sympatię.

Vanyel odwrócił się twarzą do swych opiekunów.

- Ufam, że wszystko w porządku -
powiedział, nie okazując cienia
jakichkolwiek

uczuć, poza znudzeniem. - A zatem
wejdziemy? - Skinął lekko w stronę
drzwi prowadzących

do zajazdu, gdzie jaśniało zachęcające,
złote światło.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył

stanowczym krokiem w tamtym kierunku,
zostawiając ich w tyle.

Posępny wzrokiem wpatrywał się w
świecę przy swym łóżku. Nie było tam
nic

więcej, na czym można by zawiesić oko.
Pokój nie miał nawet okien. Poza tym
nie różnił się

wiele od jego izdebki w Forst Reach.
Był co prawda dość surowy i nie
wywietrzony, lecz

ogólnie robił dość dobre wrażenie. Bez
okien jednak stawał się więzieniem.

Umeblowanie było dość oszczędne: łóżko, krzesło, stół. Brakowało kominka, lecz w tej

chwili i tak nie miało to znaczenia. Było przecież lato, a poza tym w całym budynku panował

wręcz zaduch. Wszystkie cztery torby Vanyela piętrzyły się w rogu pokoju, a lutnia, wciąż w

pokrowcu, stała o nie oparta.

Zapytał o kąpiel i okazało się, że jego opiekunowie woleli potrudzić się trochę,

przynosząc mu balię i wodę do pokoju,

zamiast pozwolić, aby sam zszedł na dół do łaźni. Woda

była wprawdzie letnia, a balia niewielka, lecz Vanyel postanowił nie narzekać i zachowywał się

zupełnie tak, jak gdyby dokładnie takiej balii i wody sobie życzył. Dzięki temu zyskał

przynajmniej tyle, że strażnicy nie nalegali, aby pozostać w pokoju i przyglądać mu się w

czasie kąpieli.

Mimo to jeden z nich eskortował go do wygodki i z powrotem. Wystarczyło, aby

Vanyel zrobił kilka kroków w kierunku wychodka, a mężczyzna o imieniu Garth natychmiast

rzucił wszystko i podążał w ślad za nim, trzymając się jakieś sześć kroków w tyle. Było to tak

upokarzające, że Vanyel nie odezwał się do niego ani słowem i zwyczajnie zignorował jego

obecność.

Wojowie nie zapytali go nawet, co życzy sobie zjeść na kolację. Po prostu przynieśli ją

na tacy, podczas gdy on brał kąpiel.

Nie był szczególnie głodny. Zjadł trochę chleba z masłem i serem, i świeże owoce.

Chleb był dużo lepszy od tego, który dostawał w domu, ale na resztę - gotowanego kurczaka,

gęsty sos i knedle szybko stygnące i zamieniające się w tłustą, zakrzepłą masę - nie miał

ochoty. Już pierwszy kęs jedzenia urósł mu w ustach, szybko więc zrezygnował z

przymuszania się do przełknięcia czegokolwiek więcej.

Nie chciał też siedzieć i patrzeć na

bałagan na talerzu.

Dlatego wziął tacę, otworzył drzwi, wszedł do drugiego pokoju i postawił wszystko na

stole zawalonym drobiazgami z ekwipunku podróżnego i różnymi przyborami przy-

gotowanymi do mycia.

Obydwaj mężczyźni podnieśli wzrok na wchodzącego. W świetle świec widać było ich

szeroko otwarte, przestraszone oczy. Jedyne dźwiękami mącąymi ciszę był dochodzący od

strony okna równomierny łopot zasłon falujących pod wpływem lekkich podmuchów wiatru i

bzykanie muchy latającej nad jedną ze świec.

Vanyel wyprężył się, zwilżył wargi i wbił wzrok w punkt na przeciwległej ścianie,

po między i ponad ich głowami.

- Każdy korytarz w tym budynku prowadzi do izby rekreacyjnej, a więc raczej nie

mogę wam uciec - powiedział tonem zabarwionym taką dozą znudzenia i

obojętności, na jaką

tylko potrafił się zdobyć. - Poza tym w
stajni śpią parobcy, a wy niewątpliwie
rozmawialiście

już z nimi. Mało prawdopodobne, abym
wyszedł przez okno i uciekał piechotą.
Możecie śmiało

iść się zabawić w izbie rekreacyjnej.
Możecie być strażnikami mojego
więzienia, ale nie oz-

nacza to, że musicie też więzić w nim
siebie.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił
się gwałtownie i zamknął za sobą drzwi

sypialni.

Wstrzymał oddech i przyłożył ucho do drzwi, usiłując podsłuchać, co też powiedzą

teraz ci w pokoju obok.

- Ha - zaczął ten o imieniu Garth po chwili milczenia najwyraźniej spowodowanego

szokiem. - Co o tym myślisz?

- Zdaje się, że to nie taki postrzeleniec, jak nasz pan myśli - odparł drugi z rozwagą. -

On dobrze wie, co się dzieje. Nie

powiem, żeby zadzierał nosa mniej niż zwykle, ale na pewno

nie jest głupkiem. Ani trochę.

- Nigdy nie widziałem naszego pana tak rozgniewanego - powoli rzekł Garth. -
Nigdy

nie widziałem, żeby jakiś lord go tak zaskoczył, a co dopiero taki żółtodziób.
I nigdy nie

widziałem, żeby ten chłopak tak się stawiał. Chłopak zrobił się ostry i porywczy. Może nawet

za ostry?

- Hm. Nie... - mówił drugi. - Nie, myślę, że tym razem miał rację. - Chwila ciszy i śmiech. - Wiesz co, coś mi się zdaje, że Jego Wysokość nie życzy sobie wysłuchiwać naszego

gadania. Może go nudzimy, co? Do diabła, jeszcze jeden kufelek piwa chyba by mi nie

zaszkodził. Co ty na to?

- No, jeśli ty stawiasz, Eryku... Vanyel usłyszał, że drzwi na korytarz otworzyły się, po-

tem zamknęły i głosy obu mężczyzn zamilkły.

Wypuścił zatrzymane w płucach
powietrze, przeszedł dwa kroki dzielące
go od stołu i

opadł na twarde drewniane krzesło.
Jestem zmęczony, bogowie, taki
zmęczony. Ta farsa ko-

sztuje mnie więcej, niż przypuszczałem.
Wbił otępiały wzrok w płomień świecy,
a potem

zwrócił oczy ku jasnym, migotliwym
refleksom tańczącym na brązowej,
glinianej butelce

stojącej obok.

To ohydne wino, ale wino. Chyba

mógłbym się upić. Nie ma przecież nic innego do

roboty. Przynajmniej nic takiego, co tamci pozwoliliby mi robić. Bogowie, oni myślą, że jestem

jakimś ograniczonym zarozumialcem. “Jego WysoKOŚĆ”, rzeczywiście. Co się ze mną dzieje?

Dlaczego miałbym się przejmować tym, co sądzą o mnie jacyś dwaj wojowie? Dlaczego w

ogóle miałyby mi zależeć na ich przychylności? Właściwie kim

oni są? Niby jakimi ważnymi

osobistościami mieliby być? Zajmują pozycję zaledwie o

szczebel wyższą niż grzebiący się w piachu chłopi! Dlaczego miałoby mnie obchodzić, co oni

myślą? Poza tym oni i tak nie mają żadnego wpływu na to, co się ze mną stanie.

Znów westchnął i spróbował skupić w sobie jeszcze więcej tej znieczulającej

obojętności, która z takim powodzeniem pomogła mu przetrwać cały ów paskudny dzień. Na

początku nie udawało się. Ciągłe coś

stawalo mu na przeszkodzie...

Nic sie nie liczy - powtarzal sobie z surowoscia. - A juz najmniej to, co oni sobie o mnie

mysla.

Znow zamknal oczy i tym razem udalo mu sie wezwac powiew chlodu tamtego

sanktuarium ze snu. To mu przynioslo ulge.

Po chwili podniosl sie ze skrzypiacego krzesla i zaczal sie zastanawiac, czym moglby

sie zajac. Moze ujarzmic mysl plynace

przez głowę w strofy kilku pieśni? Wnet jednak

porzucił ten zamiar, gdyż w tym właśnie momencie uświadomił sobie, że słyszy przytłumione,

niewyraźne i rozproszone dźwięki dobiegające z izby rekreacyjnej, która musiała znajdować

się piętro niżej, w odległości kilkudziesięciu metrów.

Zwłaszcza śmiech dał się słyszeć bardzo wyraźnie. Vanyel przygryzł wargi,

zastanawiając się, kiedy ostatnio sam się śmiał, i szybko doszedł do wniosku, że

nawet nie pa-

mięta.

A niech to, jestem lepszy od nich, nie
potrzebuję ich, nie potrzebuję ich głupiej

akceptacji!

Sięgnął pośpiesznie po butelkę, napełnił
gliniany kubek bladą, kwaśną cieczą i
wychylił

go. Nalał drugi, ale zostawił go na stole.
Wstał i podniósł stojącą w kącie lutnię.
Zdjął z niej

połatany pokrowiec i - nim wino
zdążyło uderzyć mu do głowy - zaczął ją

stroić.

Istniała przynajmniej muzyka. Muzyka była zawsze. Nigdy też nie ustawała chęć do

podjęcia próby odzyskania tego, co utracił.

W kilka chwil instrument był już ładnie nastrojony. Była to jedyna rzecz, jaką minstrel -

“Jak on miał na imię? Chyba Szansę” - szczerze wychwalał. Mówił, że Vanyel ma słuch

absolutny. Podczas swego pobytu w Forst Reach, Szansę powierzył mu

nawet obowiązek

strojenia swych instrumentów.

Położywszy lutnię delikatnie na narzucie okrywającej pościel, Vanyel przysunął stół do

łóżka. Oparł się o jego wezglowie, zwinął się w kłębek i z butelką i kubkiem w zasięgu ręki

rozpoczął ćwiczenie palcówek.

Może było to zasługą wina, ale tym razem ręka nie bolała go już tak bardzo.

Butelka była już do połowy opróżniona, a wino dawno zaczęło szumieć

Vanyelowi w

głowie, gdy nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Przerwał w środku frazy i zmarszczył czoło. Był przekonany, że przypadkiem usłyszał

jakiś dźwięk dobiegający z sąsiedniego pokoju. Pukanie jednak powtórzyło się, delikatne, lecz

stanowcze, i nie było już wątpliwości, że dobiega od strony drzwi.

W nadziei, że rozjaśni mu to umysł, potrząsnął lekko głową i położył lutnię w rogu

łóżka. Wziął głęboki oddech dla
uspokojenia myśli, wyprostował nogi,
wstał i lekko

chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

Uchylił je, spodziewając się, że zobaczy
jednego ze swych strażników, który
będzie mu

kazał uciszyć się i pozwolić spać innym.

- Och! - westchnęła stojąca w progu
młoda dziewczyna, szeroko otwierając
oczy ze

zdumienia. Miała na sobie liberię
służących z zajazdu. Vanyel przyłapał ją
właśnie, gdy uniosła

rękę przygotowaną do zapukania po raz trzeci. Pokój wojów znajdujący się za jej plecami był

pusty i pogrążony w niemal całkowitej ciemności.

- Tak? - powiedział mrugając oczami, które na moment przysłoniła mgła. Kiedy wstał,

wino jeszcze bardziej uderzyło mu do głowy.

- Och... ja tylko... - Dziewczyna nie była aż tak młoda, jak wydawało mu się

początkowo, ale dosyć ładna. Miała ciepłe brązowe oczy i kręcone ciemne

włosy. Wyglądała

trochę jak marna kopia Melenny. -
Tylko... nie byłeś na dole z innymi, mój
panie, i

zastanawiałam się, czy czego nie
potrzebujesz.

- Nie, dziękuję - odparł Vanyel, wciąż
nie mogąc pojąć, dlaczego ona tam stoi.
Ze

wszystkich sił próbował wyłowić jakąś
sensowną myśl z zamętu, jaki zapanował
w jego głowie

pod wpływem wina. A może... ten
wojak, Garth, przysłał ją, żeby

sprawdziła, czy Vanyel jest

wciąż tam, gdzie być powinien?

Sznurówki miękkiej, żółtej bluzki, którą miała na sobie, rozluźniły się i bluzka

ześlizgiwała jej się z jednego ramienia, odsłaniając je wraz ze sporą partią kształtnej piersi.

Dziewczyna zwilżyła wargi i przybliżyła się do niego jeszcze bardziej, prawie stykając się z

nim nosem.

- Jesteś pewny, mój panie? - szepnęła. -
Jesteś pewny, że nic ci nie przychodzi

do

głowy?

Wielkie nieba - zorientował się nagle -
ona próbuje mnie uwieść!

Użył więc sposobu, który zazwyczaj
dawał dobry rezultat w przypadku dam
jego matki.

Przybrał lodowaty wyraz twarzy.

- Zupełnie pewny, dziękuję, panienko.

Dziewczyna była albo bardziej od niego
odporną na tak szorstkie traktowanie,
albo

drobne niuanse reakcji jej rozmówcy w ogóle nie docierały do jej świadomości.

Była też trzecia możliwość: doszła do wniosku, że Vanyel ze swą sakiewką jest zbyt

atrakcyjny, aby wypuścić go z rąk bez walki.

- Mogę przygotować ci łóżko, mój panie
- nalegała i wsunąwszy rękę przez drzwi,

przesunęła dłoń po jego pośladkach i nodze. Był ubrany tylko w koszulę i pończochy i tę

niezbyt subtelną pieśczętę przyjął z

lękiem; nieomalże wpadł w panikę.

- Nie, proszę! - jęknął zaskoczony.

Wysoki, zduszony okrzyk przestraszył ją

wystarczająco, by cofnęła ramię.

Zatrzasnął drzwi przed samym jej nosem
i przekręcił klucz w

zamku.

Z uchem przyciśniętym do szpary w
drzwiach czekał na jakiś wybuch. Ale
nic takiego

nie nastąpiło. Dziewczyna mruczała
tylko coś do siebie i Vanyel odniósł
wrażenie, że jest

nawet dość zakłopotana. Po chwili jednak usłyszał jej oddalające się kroki, a potem dźwięk

otwierających się i zamykających drzwi na korytarz.

Zatoczył się i ciężko opadł na łóżko. Sięgnął po lutnię, rozstroił ją i włożył z powrotem

do pokrowca podróżnego.

W końcu chwycił butelkę i wypił wino, wlewając je do gardła tak szybko, jak tylko

mógł.

O panie... o bogowie. Co za głupiec ze mnie. Po tym wszystkim, co wydarzyło się dziś

rano, po tym, jak zacząłem wreszcie odczuwać, że udaje mi się zapanować nad pewnymi

sprawami, zachowuję się jak głupiec. Jak dzieciak.

Jak dziecko, które nigdy nie widziało ladacznicy. Palił go wstyd na samą myśl o tym, że

dziewczyna pójdzie na dół i opowie strażnikom, co zaszło. Pił jeszcze szybciej. Zanim stracił

świadomość, przypomniał sobie, aby od
kluczyć drzwi i zgasić świecę. Jeśli jego
opiekunom,

“Słońcu” i “Cieniowi”, przyjdzie do
głowy sprawdzić, czy jest grzeczny,
wolał, aby nie

wyłamywali drzwi. Byłoby to jeszcze
bardziej upokarzające niż
odprowadzanie do wygodki

czy naśmiewanie się z powodu
dziewczyny. Nigdy nie byłem tak pijany
- pomyślał w

zamroczeniu opadając z powrotem na
łóżko. Rano na pewno będę miał
potworny ból głowy...

Parsknął bez entuzjazmu. Jeśli będzie po mnie znać, że się upiłem, uszczęśliwię przynajmniej

“Lojalnego” i “Wiernego”. Jeżeli nie będą mogli donieść ojcu, że próbowałem uciec, to

przynajmniej powiedzą mi, że przy pierwszej lepszej okazji spiłem się jak bela. Może

powiniennem był wpuścić dziewczynę do środka. Nie pierwszy raz spałbym z kimś, na kim mi w

ogóle nie zależy. Dostarczyłbym moim wojom jeszcze jednego wątku do opowieści, jakie będą

snuli na mój temat. O bogowie, co się ze mną dzieje? Mekeal wciągnąłby ją do łóżka, nim

zdążyłaby mrugnąć! Co mi jest? Przewrócił się na bok i zastygł w bezruchu, ale nawet wtedy

zawroty głowy nie ustały. Wciąż zdawało mu się, że cały pokój wiruje wokół niego.

A... z drugiej strony... o nie, lepiej nie ryzykować. Nawet tutejsze wino jest wstrętne.

Niedobrze mi się robi na samą myśl, skąd się biorą te wszystkie dziewczyny, albo co robiły

przedtem.

Ale dlaczego nie reaguję tak jak wszyscy? Dlaczego jestem inny?

Nazajutrz rzeczywiście pojawił się ból głowy, choć na szczęście niezbyt uporczywy.

Żołądek wprawdzie też nie sprawował się najlepiej, ale nie zanosilo się na nudności. Słowem -

skutki przesadnego raczenia się winem poprzedniego wieczoru dawały się Vanyelowi we

znaki, lecz nie były tak dokuczliwe, jak się tego spodziewał. Ponadto czuł się

dziwnie na

wszystko zobojętniały, bardziej nawet
niż przedtem. Może to zamroczenie
alkoholowe

oczyściło go z czegoś ostatniej nocy, z
jakiejś straconej nadziei, z chęci
podjęcia ostatniej próby

uchwycenia życia, którego i tak nikt nie
pozwoliłby mu zatrzymać.

Włożył skórzany strój do jazdy konnej i
ogarnął się najstaranniej, jak potrafił,
nie mając

w pokoju lustra. Nie założył tylko tuniki,
ponieważ zanim jeszcze dosiądzie

Gwiazdę,

zamierzał zmoczyć sobie głowę w
zimnej wodzie pod pompą na podwórku.
Wyszedł ze swej

sypialni wprost w światło poranka,
wpadające z zewnętrznego pokoju.
Żałosne szczątki tych,

którzy jeszcze ostatniej nocy byli jego
żwawymi i czujnymi opiekunami, omiótł
nie widzącym

spojrzeniem, które - miał nadzieję - nie
wyrażało nic ponad chłodną
beznamiętność.

Przez moment łudził się, że dziewczyna

nic im nie powiedziała.

Opiekunowie okazali się być w stanie p
wiele gorszym niż on sam - wyraźnie

zafundowali sobie noc pełną rozrywek.
Sądząc po ich zamglonych oczach,
cierpkim, lecz

zaspokojonym wyrazie twarzy i
wymiętoszonych posłaniach, Vanyel
doszedł do wniosku, że

nie szczydzili sobie uciech. Sam nie był
aż tak niewinny, aby nie rozpoznać
pewnych...

zapachów... unoszących się w
powietrzu, zanim Garth zdążył otworzyć

okno. Vanyel był

ostatniej nocy tak zadowolony z tego, że się upił, iż nie zauważył nawet, kiedy udało im się

sprowadzić swe przygodne znajome. Może ta pokojówka, odrzucona przez Vanyela, w

towarzystwie Gartha i Eryka odnalazła to, czego szukała.

Vanyel nabierał pewności, że szelmowskie spojrzenia, jakimi obrzucili go obaj

wojowie, gdy wszedł do ich pokoju, wskazują raczej na to, że dziewczyna nie

zrelacjonowała

im, w jaką wpadł w panikę na jej widok.

Może była zbyt zajęta - pomyślał. Jeśli tak jest w istocie, dzięki wam, bogowie.

Ze swymi dolegliwościami poradził sobie Vanyel w dość skuteczny sposób. Na jego

prośbę przyniesiono mu z kuchni gorącego naparu z wierzby, a spacer do wygodki, oczywiście

pod starannym dozorem Gartha, udało mu się przeciągnąć na tyle, aby zmoczyć sobie głowę

pod pompą koło stajni i uspokoić w ten sposób pulsujący ból w skroniach.

Woda była bardzo

zimna i Vanyel wkładając głowę pod lodowaty strumień zobaczył, że Garth aż się skrzywił na

ten widok. Tak Vanyel poradził sobie z bólem głowy. Z żołądkiem poszło mu jeszcze łatwiej.

Pił tylko herbatę i jadł wyłącznie chleb, delikatny ser oraz owoce.

W ten sposób szybko odzyskał jakieś takie samopoczucie i był przygotowany do dalszej

drogi. Jego strażnicy jednak nie mieli
tyle szczęścia, albo raczej rozsądku. Ich
lekarstwa

bowiem składały się z dość
odpychającej mikstury z surowych jaj
oraz ciężkiej dawki piwa,

które przecież było powodem ich
marnego stanu.

W następstwie tej niezbyt skutecznej
kuracji, ich wyjazd opóźnił się aż do
późnego

przedpołudnia. Vanyel nie miał nic
przeciwko temu. Zanim się ściemni,
wyjadą z lasu. Przy-

najmniej tak powiedział Garthowi
właściciel zajazdu, a Vanyelowi nie
zależało teraz na niczym

więcej.

Dosiadając koni, Garth i Eryk wciąż
zdawali się trochę zielonkawi na
twarzach i żaden

z nich nie wyglądał na skorego do
rozmowy. Było to dość wygodne dla
Vanyela. Dzięki temu

będzie mógł bardziej skoncentrować się
na utrzymywaniu dystansu między sobą
samym a

światem. Pozwoli mu to też pomyśleć

trochę w spokoju.

Na wschód od zajazdu las nie wydawał się już tak groźny. Może dlatego, że właśnie po

tej jego stronie polowano częściej. Podszycie lasu z pewnością nie było tutaj tak bujne, a

gałęzie drzew nie tak gęste. Vanyel odczuwał satysfakcję widząc, jak Eryk i Garth unikają

promieni słońca, które tutaj przenikały przez korony drzew o wiele częściej niż w zachodniej

części lasu.

Było cieplej niż wczoraj i Vanyel zdjęwszy skórzaną tunikę, schował ją do jednego z

łumoków.

Nie dostrzegając pod drzewami żadnych skradających się cieni, poczuł się nieco

swobodniej, dzięki czemu mógł skierować myśli ku własnemu wnętrzu i zastanowić się, do

czego właściwie dąży i co pragnie osiągnąć swym postępowaniem.

Nietrudno się domyślić, co ojciec powiedział tej starej jędzy. To dość oczywiste.

Pytanie brzmi: co ona ma zamiar zrobić?

Usiłował wyłowić z pamięci wszystko, co kiedykolwiek słyszał o swej ciotce i o

heroldach w ogóle.

Na pewno jej powiedział, że mam się uczyć władania bronią. A jak - to zależy od niej.

Teraz, kiedy myślę o tym... a niech to, gdyby to nie herold napisał tę książkę, przez którą

wpadłem w tarapaty! Może... może właśnie tam powie mi się lepiej! Ha, kiedy teraz o tym

myślę, nie wyobrażam sobie, żebym mógł znaleźć się w gorszym położeniu.

Gdzieś nad jego głową zaśpiewał ptak i Vanyel lekki przyłył nadziei.

Nieważne, kto

będzie moim nauczycielem, nikt nie może być gorszy od Jervisa, ponieważ -
ktokolwiek to

będzie - nie będzie miał do mnie urazy.
Najgorsze, co może mi się przytrafić, to
ktoś w rodzaju

Jervisa, ale bez uprzedzeń wobec mnie.
Nawet w takim układzie będę miał
szansę na

przetrwanie, jeśli tylko uda mi się
przekonać mojego nowego fechtmistrza,
że jestem

kompletnym głupcem i niezdara, i jeśli
nie będę się wychylał. Głupcy i niezdary
są niezdolne

do nauczenia się czegokolwiek, nawet
Jervis to wiedział.

I znów zaśpiewał gdzieś ptak,
przypominając mu, że istnieje jeszcze
problem muzyki.

Ojciec na pewno wydał rozkazy, aby nie
dopuszczano mnie do bardów, chyba że
pod okiem

Savil. Ale jeśli ona jest równie niewrażliwa na muzykę jak jej brat, może to oznaczać, że nigdy

nie uczestniczy w dworskich zabawach, poza wypadkami, kiedy zmusza ją do tego jakaś

szczególna sytuacja. Westchnął. No cóż, i tak nigdzie nie może być gorzej niż w domu, gdzie

prawdziwego barda widziałem tylko raz w życiu. Tam przynajmniej będą na miejscu. Może,

gdy uda mi się odzyskać sprawność w palcach, będę mógł grać i któryś z nich mnie usłyszy...

Prędko jednak porzucił tę ostatnią myśl.
Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Nie
mogę

sobie pozwolić na łudzenie się nadzieją.

Gwiazda szarpnęła niespokojnie.

Domagała się swej codziennej porannej
porcji galopu.

Ściągnął cugle, uspokoił ją i powrócił
do swych rozmyślań.

Jedno jest pewne - ojciec
najprawdopodobniej powiedział Savil,
że jestem bardzo

zepsuty. A więc ciotka na pewno będzie
czyhała na każdy mój fałszywy krok i

założę się, że

namówi też swych protegowanych i przyjaciół, aby mnie obserwowali. To będzie piekło.

Piekło bez azylu i bez Liss.

Pogrążony w zadumie, spoglądał na Gwiazdę, która strzygąc uszami reagowała na

każde jego westchnienie.

Wszyscy mnie znienawidzą, a ty wciąż będziesz mnie kochała. Poklepał szyję klaczy,

na co ona odpowiedziała lekko

zadzierając łeb.

Do wszystkich diabłów z nimi
wszystkimi. Nie potrzebuję ich. Nie
potrzebuję nikogo,

nawet Liss. Sam sobie poradzę.

Pozostawała jednak jeszcze jedna
zagadka. Przypomniał sobie o niej
dopiero później,

gdy mijali jakieś gospodarstwo. Vanyel
zobaczył chłopą w polu,
rozmawiającego z jakimś

człowiekiem na koniu, prawdopodobnie
swym zwierzchnikiem.

Ha - pomyślał - nie wyobrażam sobie,
jak ojciec może oczekiwać, że w
Przystani Savil

zdoła mnie nauczyć zarządzania
gospodarstwem...

Po plecach przebiegł mu dreszcz.

Chyba że nie oczekuje, abym
kiedykolwiek wrócił do domu.

Bogowie... mógł

próbować poradzić sobie ze mną w inny
sposób, wysyłając mnie do świątyni.

Mógł to zrobić...

i wówczas to, czy ojciec Leren zdołałby
znaleźć mu księdza, którego

przekupstwem można

nakłonić do przyjęcia niechętnego
akolity, nie miałyby żadnego znaczenia.
Zabieg taki mógłby

się rzeczywiście powieść. Szczególnie,
gdybym trafił do zgromadzenia
mieszkającego w

klasztorze. Natomiast oddając mnie w
ręce Savil, ojciec zyskuje mnóstwo
czasu na znalezienie

księdza chętnego do spełnienia jego
zamierzeń. Niekoniecznie musi
informować o wszystkim

Savil, po prostu, jak tylko wszystko

będzie załatwione, wyśle rozkaz, aby odesłała mnie z

powrotem do domu. Potem uprowadzi mnie potajemnie i ogłosi, że odkryłem w sobie po-

wołanie. Ja zaś spędzę resztę życia w jakiejś skalnej grocie...

Przełknął ślinę i spróbował poszukać jakichś powodów, dla których można by odrzucić

ten wariant i uznać go za paranoidalną fantazję. Jednak każda myśl, która przychodziła mu do

głowy, była kolejnym argumentem

potwierdzającym, że takie posunięcie ze strony Withena

byłoby zupełnie logiczne.

Vanyel starał się przezwyciężyć strach, wmawiając sobie, że nim cokolwiek się

wydarzy, nie ma powodu, aby przejmować się czymś, co może być tylko urojeniem. Straszna

myśl jednak nie chciała go opuścić. Od tamtego dnia powracała często. Stała się wręcz obsesją,

niestety nazbyt prawdopodobną.

To wystarczyło, aby przez wszystkie

pozostałe dni podróży Vanyel
pozostawał

zatoniony w swych przepelnionych
lękiem rozmyślaniach, a nocami przez
długie godziny

walczył z bezsennością. Nawet sny, w
których przywoływał swą samotną
śniegową krainę, nie

pomagały mu odpędzić złych myśli.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wporządku, Tylandelu, mogę to uznać,
ale nie powiem, żebyś uniknął pewnych
błędów

- upominała swego protegowanego mag heroldów Savil, wsuwając nogi pod drewniany stołek i

gładząc bezwiednie fałdy swej białej tuniki. - Pamiętaj, energia ma przepływać od ciebie na

osłonę i z powrotem. Płynnie, nie zrywami. A teraz powiedz mi, dlaczego właśnie tak musi być.

Tylendel, wysoki, uderzająco przystojny szesnastoletni chłopiec o ciemnych blond

włosach, kandydat na herolda, zmarszczył brwi, koncentrując się na pytaniu Savil. Ona zaś

przyglądała się barierze energetycznej, jaką stworzył wokół siebie za pomocą jej Magicznego

Wzroku. Spostrzegła, że gdy tylko chłopiec skoncentrował uwagę na jej pytaniu, utracił

kontrolę nad osłoną i blada, fioletowa kopuła zachwiała się, a jej drzenie wprowadziło w

wibrację całe pomieszczenie. Pokój zaczął pulsować w rytm uderzeń jego serca. Savil

wiedziała, że jeśli tego nie przerwie, osłona załamie się.

- Tylendelu, tracisz ją - ostrzegła go.
Chłopiec skinął głową i spojrzał na
Savil, a jego

twarz wykrzywił grymas. Nic jednak nie
powiedział - jego reakcja wystarczyła
za odpowiedź.

Pole energetyczne tworzące kopułę
przestało falować, wzmocniło się, a
jego barwa nabrała

intensywności.

- Czy możesz już odpowiedzieć na moje
pytanie?

- Myślę, że tak - odparł. - Jeżeli energia
nie będzie wędrowała płynnie, to w

momentach

jej osłabienia odsłonię się na ingerencję z zewnątrz?

- Właśnie - odparła Savil, skinąwszy głową. - Nie myśl jednak o “ingerencji” z

zewnątrz, chłopcze. Myśl o “ataku”. Tak jak teraz.

Bez dalszego ostrzeżenia, rzuciła piorun na jego osłonę i z satysfakcją spostrzegła, że

wprawdzie sama osłona znacznie się wygięła ku górze i została wchłonięta przez barierę

chroniącą całą salę ćwiczeń, jednakże chłopiec, nie mając ani chwili na przygotowanie się do

obrony, zdołał odeprzeć atak.

- Teraz było dobrze, mój chłopcze -
pochwaliła go, a brązowe oczy
Tylendela

zaiskrzyły się w odpowiedzi na
komplement.

- A więc...

Wtem w sali rozległo się pukanie do
drzwi, a Savil, zamiast dokończyć to, co
chciała

właśnie powiedzieć, z cicha zaklęła ze złością.

- Co tam? - huknęła, odsuwając swój wysoki taboret, po czym obeszła dokoła magiczną

barierę Tylendela, by otworzyć drzwi.

Sala ćwiczeń była okrągłym pomieszczeniem osłoniętym stałą barierą energetyczną.

Znajdowała się w obrębie części pałacu oddanej do całkowitej dyspozycji magów heroldów.

Tutaj właśnie ich protegowani pracowali nad doskonaleniem swych

magicznych umiejętności

posiadanych dzięki darowi. Osłona sali była niesłychanie stara i posiadała wielką moc. Jej pole

energetyczne tłumiło fale dźwiękowe i nawet odgłos Dzwonu Śmierci nie był dość silny, aby

się przez nią przebić. Obowiązkiem każdego maga heroldów będącego członkiem Kręgu było

zasilać tutejszą osłonę, kiedy tylko mógł poświęcić trochę wolnego czasu i energii. Bariera

zawsze musiała zachowywać stałą moc.

Musiała być wystarczająco silna, aby tłumić skutki

drobnych “wypadków” przy posługiwaniu się magią. Czasami bowiem, nawet przy

najdrobniejszych potknięciach młodych adeptów sztuki magicznej, wyzwalała się tutaj energia,

która znajdujące się w sali nieliczne sprzęty mogłaby obrócić w drzazgi. Właśnie ze względu na

owe “wypadki” ściany sali zbudowane były z kamienia, a umeblowanie ograniczone do kilku

zwykłych taboretów i równie zwykłego stołu. Dlatego też każdy mag heroldów już w progu sali

nakładał na siebie i swych uczniów osobistą barierę ochronną.

Każde niespodziewane zachwianie równowagi ćwiczącego ucznia mogło się wiązać z

niebezpieczeństwem, toteż każdy, kto ważył się przerywać ćwiczenia w tej sali, musiał mieć ku

temu bardzo ważny powód.

Savil otworzyła drzwi i rzuciła piorunujące spojrzenie na odzianego w

niebieski

uniform strażnika pałacowego. Ten stał jak należy - wyprostowany, na baczność.

- O co chodzi? - spytała, pozwalając by jej głos zabrzmiał chłodno.

- Wybacz, magu heroldów - odpowiedział. Jego twarz, podobnie jak całe ciało, nawet

nie drgnęła. - Rozkazałaś, aby powiadomiono cię, gdy tylko przybędzie twój bratanek. -

Wręczył jej złożony i zalakowany list. - Jego eskorta życzy sobie, abyś to wzięła.

Wzięła list i - nie rzuciwszy nawet nań okiem - wepchnęła go do kieszeni swych bryczesów.

- No dobrze - huknęła. - A więc już go wzięłam. Westchnęła, a potem rzekła już nieco

bardziej uprzejmie:

- Dziękuję, strażniku. Zaprowadź go razem z jego przekłętą eskortą do moich pokoi.

Przyjdę do nich, gdy tylko będę mogła.

Strażnik zasalutował i pospiesznie odwrócił się pięcie. Nim jednak to

zrobił, Savil

zatrzasnęła drzwi i zwróciła się ku swemu uczniowi.

- W porządku, chłopcze. Jak długo nam to zajęło?

Tylendel położył rękę na swej kędzierzawej czuprynie, a jego twarz rozjaśnił szeroki

uśmiech.

- Wystarczająco długo, aby zaczęło mi burczeć w brzuchu. Przykro mi Savil, ale jestem

głodny. Pewnie dlatego nie potrafię się

porządnie skoncentrować.

Zagroziła mu palcem.

- Ach, ta młodzież i ich żołądki! A co zrobisz, jeśli zgłodniejesz w środku tajemnego

pojedyнку, co?

- Przekąszę coś - uciał figlarnie Tylendel. Savil w odruchu udanej rozpaczycy wyrzuciła

w górę rękę.

- No, dobrze, idź już sobie - rzekła z sympatią, ale widząc, że chłopiec przygotowuje się

do rozproszenia osłony przez zatopienie energii w podłożu, znów zagroziła mu palcem. Był to

wprawdzie sposób bardzo skuteczny, jednak zupełnie niewłaściwy.

- Zrób to jak należy, mój chłopcze...

Tylendel ukłonił się z największą dworską

galanterią, wywołując jej śmiech.

- Jeśli rzeczywiście ci tak spieszo, aby napchać sobie żołądek, to się nie ociągaj.

Tylendel zabrał się więc jeszcze raz do zdjęcia osłony, tym razem stosując się

do

wszelkich zaleceń Savil i odnosząc się z wielką uwagą do każdego szczegółu, jak uwolnienie

energii bariery i wpuszczenie jej dokładnie w ten sam strumień, z którego ją zaczerpnął. Savil

obserwowała jego zabiegi w skupieniu, a potem, gdy opuściwszy miejsce, gdzie znajdowała się

przedtem bariera, Tylendel wskazał, że zdjął już wszystkie osłony, skinęła aprobusz.

- Robisz postępy, Tylendelu -

powiedziała i przyłożywszy palec
wskazujący do czoła

chłopca, uwolniła go od energii osłony,
pochłaniając ją w siebie. Neutralizując
nadmiar energii,

przez chwilę poczuła lekkie swędzenie
skóry, - Idziesz do przodu szybciej niż
się

spodziewałam. Jeszcze rok - nie... nawet
nie rok - i będziesz gotów, aby
spróbować swych sił,

towarzysząc mi podczas jakiejś misji
specjalnej na Pograniczu. Wkrótce
potem przywdziejesz

Biel.

- Oto cała moja nauczycielka - odparł żartobliwie chłopiec, ujmując jej dłoń i składając

na niej pocałunek. Jego długie włosy opadające na jej nadgarstek łaskotały ją.

- Jakże mógłbym

się oprzeć tak atrakcyjnej kompanii.

Savil wyrwała rękę i delikatnie pociągnęła chłopca za ucho.

- Zabieraj się stąd! Jestem w takim wieku, że mogłabym być twoją babcią, a poza tym

oboje wiemy, że moja płeć nie wydaje ci się dość pociągająca!

Tylendel zareagował szerokim uśmiechem i nim Savil zdążyła dać mu delikatnego

klapsa, odchylił się i otworzył przed nią drzwi.

- Och, Savil, czyż nie wiesz, że moje serce oddałem swej nauczycielce, lecz wiedząc,

że nie mam u niej żadnych szans, nie mogłem zadowolić się kobietą gorszą od...

- Wyjdź! - wykrztusiła, dusząc się ze

śmiechu. - Kłamco! Wyjdź, zanim zrobię
ci

krzywdę!

Tylendel puścił się pędem przez
wyłożony boazerią korytarz, unosząc ze
sobą brzmiały

echem śmiech.

Savil zamknęła drzwi sali ćwiczeń,
oparła się o ścianę, tłumiąc śmiechem
niepokój

czający się w jej sercu. A to ci dopiero
figlarny diabeł. Ma więcej uroku niż
pięciu młodych

chłopców, a psoci jak mały kotek! Od lat tak się nie śmiałam, nie tak, jak śmieję się od czasu,

kiedy przyjął Tylendela na swego protegowanego. Ten chłopiec to skarb. Jeśli tylko uda mi

się odciągnąć go od tej bezsensownej waśni, w którą zaangażowana jest jego rodzina, będzie z

niego dobry mag heroldów. Pod warunkiem, że go prędzej nie zabiję!

Wciągnęła kilka głębokich haustów powietrza i uspokoiła się. Tymczasem muszę się

zająć tym zepsutym dzieciuchem, moim bratankiem - powiedziała do siebie ostro, korzystając z

tej myśli, by przywołać się do porządku. Ale nie mam zielonego pojęcia, co z nim począć. No,

może z wyjątkiem tego, że chętnie bym go udusiła, ale... to nie jest dobry pomysł. Takie

rozwiązanie za bardzo ucieszyłoby Withena. O dobry bogowie, ten człowiek stał się w ostat-

nich latach takim nadętym osłem! Ledwie go poznałam. Ten absurdalny list sprzed tygodnia

mógłby równie dobrze napisać nasz ojciec.

Upewniając się, że jej koczek z tyłu głowy nie poluźnił się, przygładziła ręką włosy,

obciągnęła tunikę i sprawdziła, czy działa już magiczne zaklęcie zamykające drzwi sali. Zaraz

potem, stukając energicznie obcasami o kamienną posadzkę korytarza, skierowała kroki ku

swym pokojom, po drodze odwzajemniając skinieniami głowy pozdrowienia mijających ją

dworzan i innych heroldów.

Gdyby chociaż Tressa nie zepsuła go w tak skandaliczny sposób, może nawet

znalazłoby się w nim coś godnego ocalenia. Ale z tego, co widziałam... Na pewno nie mam

czasu sama się nim zajmować. Ha, zastanawiam się... może poślę go na lekcje razem z innymi

kandydatami na magów heroldów, a resztę czasu pozostawię do jego dyspozycji. W ten sposób

może uda mi się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Jeśli nie odda się

hazardowi, polowaniom i

dzikim ucztom... Jeśli znudzą go
dworskie lekkoduchy... Otworzyła jedno
skrzydło drzwi

prowadzących do nowych kwater
heroldów i poszła dalej. Jej apartamenty
znajdowały się na

samym końcu, po lewej stronie
korytarza. Zmiany, zmiany - pomyślała.
Pięć lat temu tłoczyli-

śmy się po cztery osoby w jednym
pokoju i nie było nawet miejsca na
porządną awanturę.

Teraz rozbijamy się w tym nowiutkim

budynku, jak garść grochu w wiaderku.
A ja rozpieram

się w moim apartamencie i ani Jays, ani
Tantras nie rzucają mi zasepionych
spojrzeń tylko

dlatego, że jeden z pokoi stoi pusty. Nie
wyobrażam sobie, kiedy będziemy mieli
dość ludzi,

aby zapełnić te wszystkie komnaty...
Drzwi były lekko uchylone. Pchnęła je i
weszła do środka.

Zatrzymała się kilka kroków za progiem
pokoju i założywszy ręce na piersi,
przyglądała się

trójce siedzącej na kanapie w głębi pokoju, pod jej kolekcją masek Sokolich Braci.

Właściwie tylko jeden z nich, Vanyel, siedział. Obok niego stali wojowie Withena, w

tej chwili nazbyt sugestywnie odgrywający rolę nadzorców chłopca. Niski, krępy mężczyzna

po jego prawej stronie wyglądał, według Savil, na człowieka sprawnie władającego toporem.

Ten po lewej stronie zaś, wyższy od tamtego o głowę, smagły na twarzy, robił wrażenie

zwykłego woja posługującego się w walce mieczem. Vanyel przysiadł sztywno na brzeżku

kanapy między nimi.

Savil westchnęła ciężko, lecz tak, aby nie usłyszeli tego obecni w pokoju goście.

Chłopcze, przez ten rok nic się nie zmieniłeś na lepsze, chyba że z wyglądu, a z tego nie ma

żadnego pożytku. Jesteś zbyt przystojny i dobrze o tym wiesz.

Od czasu kiedy widziała go po raz ostatni, sylwetka Vanyela wyraźnie

nabrała

szlachetnych kształtów. Jego twarz
mogłaby złamać - i prawdopodobnie już
złamała - niejedno

serce. Szerokie, czarne brwi, wystające
kości policzkowe, spiczasty podbródek,
zmysłowe usta

i nieprawdopodobnie srebrzyste oczy
miały w sobie nieodparty urok. Na
dodatek cała twarz

chłopca otoczona była burzą gęstych,
prostych, kruczoczarnych włosów o
niebieskim połysku,

za jakie większość kobiet dałaby się

zabić. Mimo że nie był zbyt wysoki,
miał ciało akrobaty,

harmonijnie umięśnione, wprost idealne.

Teraz jednak przyjął postawę wręcz
zuchwałą. Z ustami zasznurowanymi
milczeniem,

z nadąsaną miną patrzył na Savil
wzrokiem, który jednocześnie rzucał jej
wyzwanie.

O wielkie nieba. Czy istotnie mam dać
wiarę temu, co mówi mój brat, czy
ryzykować

stwierdzenie, że sporą część wad tego
chłopca zawdzięczać można samemu

Withenowi, który

na siłę próbował zrobić z syna kogoś takiego jak on sam?

Zastanawiając się wciąż, jaką podjąć decyzję, skinęła w kierunku dwóch wojów.

- Dziękuję wam, mili panowie - powiedziała szorstko. - Wspaniale wypełniście swe

zadanie. Możecie odejść.

Wyższy zakasłał niespokojnie i spojrzał na nią z zaniepokojeniem.

- O co chodzi? - spytała wyczuwając, że

zanosi się na coś, co na pewno nie
przypadnie

jej do gustu. Z pewnością będzie
chodziło o jakiś drobiazg wymyślony
przez człowieka

małostkowego.

- Koń chłopca...

- Zostaje, oczywiście - przerwała,
widząc cień bólu w oczach Vanyela i
reagując

momentalnie, nie tracąc czasu na
zastanawianie się, w którą strunę
uderzyć.

- Ależ heroldzie, to bardzo cenne zwierzę! - zaprotestował wojak, w niezadowoleniu

zaciskając usta. - Lord Withen... mój pan... z pewnością tu jest dość zwierząt...

- Co to ma znaczyć? - warknęła Savil, zwracając się ku niemu z nie ukrywanym gniewem. O bogowie, jeżeli tak

wyglądała cała podróż chłopca tutaj, to nic dziwnego, że

jest taki ponury.

Zabrałbyś ze sobą konia chłopca, tak?

Ty wstrętny, mały... - Opanowała się i

przedstawiła im swe niepodważalne argumenty, które z kolei oni mieli przekazać swemu panu.

W końcu wypełniali tylko rozkazy. -
Myślicie, że prowadzimy tutaj hodowlę?
Nie mamy

wolnych koni. Chłopiec będzie brał
lekcje jazdy konnej, a pieszo nie jest w
stanie skakać przez

przeszkody!

- Ależ... - wybełkotał wojak, nie
przygotowany na rezygnację. - Z
pewnością

Towarzysze...

- Towarzyszy dosiadają tylko Wybrani, nikt inny. - Wzięła głęboki oddech i za wszelką

cenę próbowała się uspokoić. Była strasznie rozzłoszczona uporem człowieka, który zaczął

doprowadzać ją wręcz do wściekłości. Pomyślała, że jeżeli postępowanie woja było próbką

tego, co Vanyel znosił przez ostatnie lata, to może rzeczywiście nie powinno się go obwiniać za

jego obecne zachowanie.

- Powiedziałam - rzekła, ciskając na męczyznę piorunujące spojrzenie - możecie

odejść.

- Ale... ja otrzymałem określone rozkazy... mam ci powiedzieć o paru sprawach...

- Odwołuję te rozkazy - ucięła, przywołując cały swój autorytet, nie tylko jako herolda,

ale także jako jednej z najpotężniejszych w Kręgu maga heroldów, ustępującej jedynie

heroldom samej Królowej, Kasztelana i

lorda Marszałka. - Tutaj ja rządzę.
Możecie powiedzieć

mojemu bratu, Withenowi, że to ja
zadecyduję o tym, co się będzie dalej
działo z chłopcem.

Jeżeli pragnie powierzyć młodego
Vanyela mojej opiece, musi pogodzić
się z moimi postano-

wieniami. Możecie mu przekazać, że tak
właśnie powiedziałam. Żegnam panów.

-

Uśmiechnęła się jadownicie. - Czy
poprosić służbę, aby was
odprowadziła?

Nie mieli wyboru, musieli odejść, choć
zrobili to z wyjątkową niechęcią. Nim
Savil

wyjęła z kieszeni przyniesiony przez
nich list, odczekała, aż sobie pójdą i
znajdą się poza

zasięgiem głosu. Uniosła zwitek tak, aby
Vanyel mógł zobaczyć, że pieczęć nie
jest jeszcze

złamana, po czym wolno, z namysłem,
podarła go na cztery części i rzuciła na
podłogę.

Margret obedrze mnie ze skóry -
pomyślała kpiąco. W kółko mi
powtarza, żebym nie

rzuciła niczego na podłogę...

- Nie wiem, co Withen miał mi do powiedzenia w tym liście - zagadnęła do obcego,

milczącego chłopca. Zastanawiała się, czy na jego ustach maluje się przygnębienie, czy raczej

strach. Czy uczucie, które czai się w głębi oczu, to podejrzliwość czy arogancja? - Szczerze

mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Mogę ci jedynie powiedzieć, młody człowieku, że tylko od

twojego postępowania zależy, czy

utrzymasz się tutaj na powierzchni, czy utoniesz. Powiem ci

też, że mam za złe Withenowi to, co zrobił. Zajmuję się już trzema protegowanymi, których

uczę, i nie mam czasu na pieszczenie się z marzycielem. - Mogłam mu od razu powiedzieć, co

myślę naprawdę. I tak prędzej czy później dowie się wszystkiego z plotek. Nie mogę dopuścić,

aby ludził się nadzieją, że otoczę go opieką i rozwiążę jego problemy. - Moją intencją nie jest

przekształcenie cię w kogoś, kim nie jesteś. Jednakże nie mam też zamiaru pozwolić ci na

robienie ze mnie idiotki czy przysparzanie mi jakichkolwiek kłopotów.

Od strony drzwi dobiegł ją jakiś cichy dźwięk.

Nie odwracając się, Savil wyczuła za swymi plecami muśnięcia pełnej zakłopotania

myślomowy i zorientowała się, że stoją za nią Tylendel i dwoje innych protegowanych, Mardik

i Donni. Jej podopieczni nie spodziewali się znaleźć w pokoju nikogo prócz Savil, dlatego

zaskoczeni widokiem swej mentorki rugającej nieznanomego chłopca i zażenowani faktem, że

przybyli w tak drażliwym momencie, zatrzymali się w progu.

Oczywiście wycofanie się i udawanie, że nic się nie stało, byłoby jeszcze bardziej

nieprzyjemne. Na to było już za późno.

- Gdy tylko uda mi się wszystko zorganizować, zaczniesz pobierać nauki

wraz innymi

kandydatami na heroldów i kilkoma spośród młodych dworzan - ciągnęła spokojnie Savil,

dając jednocześnie ręką znak swojej trójce “dzieci”, by podeszły bliżej. - Vanyelu, to jest

Donni, to Mardik, a to Tylendel. Jako uczniowie herolda mają oni większe prawa od ciebie.

Chcę, aby było to od początku jasne.

- Tak, ciociu - odrzekł Vanyel, ani odrobinę nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Co te “większe prawa” oznaczają w rzeczywistości, sama nie wiem dokładnie. Chcę

tylko, abyś okazywał im grzeczność.

- Tak, ciociu.

- Opiekuje się nami moja służąca Margret. Śniadania i obiady, podawane na zimno,

zostawia na tym stole. Kolację będziesz jadał razem z całym Dworem, wkrótce po tym, kiedy

cię przedstawię. Jeżeli opuścisz kolację, zadrzesz z nami. Co do lekcji, hmm... Na razie... och...

Donni, chciałabym, abyś zabrała go jutro ze sobą i przekazała Kayli. Withen nalegał bardzo,

aby ćwiczył władanie bronią i w tym akurat zupełnie się z nim zgadzam.

- Dobrze, Savil - odpowiedziała spokojnie niewysoka uczennica o zmierzwionej

czuprynie. Savil z radością w sercu pomyślała o kojącym istnieniu Donni i pobłogosławiła więź

życia, która łączyła ją z Mardikiem. Poza śmiercią jednej ze stron, nic nie mogło zagrozić takiej

więzi. Dlatego też Savil była spokojna, że piękna twarz Vanyela nie zawróci dziewczynce w głowie.

Mimo wszystko jednak Savil mocno obawiała się wpływu, jaki wywrze pojawienie się jego osoby na młodzież Dworu.

- Mardiku?

Powściągliwy syn chłopca bez słowa skinął głową.

- Po południu zaprowadź go do Kolegium Bardów i powiedz tam, aby

przyjęli go na

lekcje historii, literatury i... -

Zmarszczyła brwi, namyślając się.

Tymczasem jej trzej

protegowani otoczyli ją kołem.

- A może religii? - zaproponował

Tylendel. Uniósł jedną ze swych

ciemnozłotych brwi

i zwięzając z lekka usta, przemówił do

swjej nauczycielki używając

myśłomowy:

- On jest śliczny, Savił W głębi duszy

musi być albo małym aroganckim

draniem, albo

*bezbronny chłopcem, któremu
zadawano cierpienie przez okropnie
długi czas. Szczerze*

*mówiąc, nie potrafię powiedzieć, która
z tych możliwości jest prawdziwa. Czy
będzie nam aż*

takim ciężarem, jak przeczuwam ?

*- Me wiem, chłopcze - odparła trzeźwo
Savil. - Ale nie trać dla niego głowy,*

*przynajmniej do czasu gdy poznamy
prawdę o nim. Nie zakochuj się w nim.
Nie mam pojęcia,*

*którą płć woli, lecz nawet Withen nie
wspomniał, aby chłopiec był*

shay'a'chern. *Nie chcę znów*

sklejać twego złamanego serduszka.

- *Nie ma obawy, nauczycielko.* -

Tylendel posłał jej szeroki
myślouśmiech. - *Dostałem*

już za swoje.

- *Ha, mam nadzieję. Och, Panie
Światła... Gdy mieszkaliśmy w starym
pokoju*

*Dominika, okazywałam wam chyba
dosyć czułości, prawda? Nie zamierzam
zaczynać od zra-*

nionych uczuć...

- O tak, byłaś bardzo czuła i żadne z nas nie chciało się przeprowadzać - zachichotał

Tylendel. - Może to i pięknie, że w moim nowym pokoju są drzwi do ogrodu, ale są tam też

przeciagi jak w Jaskini Wiatrów. Gdybym choć miał kogoś, kto chciałby mnie ogrzać...

- Mogę ci podarować psa - zaproponowała Savil, a jego usta wykrzywiły się, gdy

usiłował powstrzymać uśmiech. - W ten sposób jeden kłopot mamy z głowy. - Wreszcie

powiedziała głośno:

- A zatem, Vanyelu, przed południem będziesz pobierał lekcje historii, literatury, religii

oraz władania orężem z Kaylą. Ona uczy młodzież szlachecką i jest bardzo dobra. Jeśli się

dowiem, że opuszczasz lekcje, złoję ci skórę.

Słowa te wywołały rumieniec na twarzy Vanyela, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Donni, Mardiku, Tylendelu, pomóżcie Vanyelowi przenieść jego rzeczy.

Ulokujemy

go w izbie z wyjściem na ogród. Dziś rano poprosiłam Margret o jej przygotowanie.

Podczas gdy trzech uczniowie pochyliłi się, aby wziąć każdy po jednym tłumoku, a

Vanyel powoli sięgał po czwarty, Savil dorzuciła ostatnią uwagę:

- Vanyelu, jak będziesz spędzał swój czas wolny, to jest wyłącznie twoja sprawa -

powiedziała trochę bardziej szorstko niż zamierzała. - Lecz jeśli ściągniesz na

siebie jakieś

kłopoty, a o to tutaj nietrudno, nie spodziewaj się, że będę cię z nich wyciągać. Nie mogę i nie

chcę tego robić. Zmuszono mnie do przyjęcia ciebie. Twój interes leży w tym, aby nikomu nie

zawadzać.

Gdy uczniowie złożyli tłumoki w pokoju, pod drzwiami, Vanyel podziękował im za

pomoc, ale jego głos, nawet w jego uszach, zabrzmiał głucho i bezsilnie.

Chłopiec o blond włosach zawahał się przez moment i nim wyślizgnął się z pokoju,

posłał Vanyelowi coś na kształt szczerego uśmiechu.

Jednak Vanyel był zadowolony, że nie zwlekali z odejściem. Zamknął za nimi drzwi i

oparł się o nie z zamkniętymi oczami. Ten dzień, tak wyczerpujący i pełen zamętu, zdawał się

teraz jakimś uczuciowym torem przeszkód, który szczęśliwie udało mu się pokonać.

Najtrudniejsze były ostatnie godziny.
Najpierw odesłanie do apartamentów
Savil, wraz

z Erykiem i Garthem, którzy nagle
postanowili zachowywać się jak
nadzorcy, później nie

kończące się oczekiwanie, w końcu
spotkanie.

Jej słowa zaboląły go, choć bardzo
chciał, aby tak nie było. Starał się nie
brać sobie ich

do serca.

Stanął na środku swego nowego pokoju,
rozejrzał się i aż zamrugał powiekami ze

zdziwienia.

Pokój był wspaniały. Ciepły i przyjemny, wyłożony drewnianą boazerią i wyposażony

w meble ze złocistego dębu był urządzone równie starannie, jak osobista komnata jego matki.

Zupełnie nie przypominał jego pokoju w Forst Reach. Przy ścianie stało ogromne łóżko, tak

wielkie, że pomieściłoby trzy osoby, przykryte miękką, grubą, czerwoną narzutą. W rogu stała

solidna szafa na ubrania, a nie pospolita

skrzynia, w której trzymał swe rzeczy w domu. Obok

szafy biurko z wyściełanym krzesłem i...
o nieba, stojak na instrumenty tuż obok
stelaża na

zbroję! Przy oknie drugie, jeszcze
grubiej wyściełane krzesło, a obydwa
obite czerwonym

materiałem harmonizującym z narzutą.
Własny kominek. Stoliczek przy łóżku i
biblioteczka.

Ale nie to zdumiało Vanyela
najbardziej...

Jego pokój miał własne, oddzielne

wejście, coś na kształt małych
przeszklonych drzwi

czy też ogromnego okna wychodzącego
na ogród.

Nie mogę w to uwierzyć - pomyślał,
wpatrując się z oszołomieniem w
przystrzyżone

krzewy i odbicie zachodzącego słońca
na rzece za ogrodem. Po prostu nie
wierzę. Myślałem, że

znajdę się w następnym więzieniu, a
tymczasem...

Spróbował otworzyć owe “drzwi-
okno”. Nie były zamknięte i rozchyliły

się pod

dotknięciem jego ręki. ...tymczasem
ofiarowano mi absolutną wolność. To
nie do wiary!

Poczuł, jak kolana uginają się pod nim i
zmuszają go, by przysiadł na brzegu
łóżka, nim się

przewróci. Lekki powiew wiatru, który
wpuścił do pokoju otworzywszy okno,
wprawił

delikatną tkaninę spełniającą rolę zasłon
w leniwy łopot.

O bogowie - pomyślał w oszołomieniu.
Nie pojmuję, co mam o tym myśleć.

Ciotka

najpierw zatrzymuje Gwiazdę, potem upokarza mnie na oczach swych uczniów, a w końcu daje

mi ten pokój, oświadczając mi, że nic dla niej nie znaczę i grozi, że spuści mi łanie. Czemu tutaj

dać wiarę?

Za drzwiami, tymi, które zamknął za sobą wysoki blondyn, dało się słyszeć szmery

głosów. Brzmią tak swobodnie, tak bezpośrednio - zadumał się. Tamci troje byli do siebie

zupełnie niepodobni. Dziewczyna,
Donni, mogłaby być siostrą bliźniaczką
Eryka, wyglądali na

ulepionych z tej samej gliny - mieli
czarne kręcone włosy i oboje byli tak
samo flegmatyczni.

Niższy chłopiec, Mardik, dość
ordynarny, barczysty szatyn miał
aparycję jednego z chłopów

małorolnych Withena. Ale ten trzeci...

Na myśl o rośłym, pełnym wdzięku
blondynie imieniem Tylendel ogarnęło
Vanyela

nieznane, rozedrgane uczucie. Nie

wiedział, dlaczego.

Nawet minstrel Szansę nie wywołał u niego tak głęboko... poruszającej emocji.

Za drzwiami rozległ się wybuch śmiechu. Wydaje się, że są tak szczęśliwi - pomyślał

Vanyel z nutą smutku, zanim jego serce znów okrył mrok. Prawdopodobnie śmieją się ze mnie.

Do diaska! Zacisnął zęby. Nic mnie to nie obchodzi, nie będę się tym przejmował. Nie

potrzebuję ich aprobaty.

Zacisnął jeszcze ciaśniej swój pancerz obojętności, jakże skutecznie izolujący go od

świata, i oddał się prozaicznej czynności urządzania się w nowym mieszkaniu. Ze wszystkich

sił próbując zwalczyć ogarniające go uczucie osamotnienia, powtarzał sobie bez ustanku, że nic

nie ma znaczenia.

Wysmukła dziewczyna, nazywana przez ciotkę Vanyela Donni, popatrzyła spod oka na

ochraniacze i zbroję, które Vanyel zdjął

właśnie ze stelaża na broń.

- Naprawdę zabierasz to wszystko? -
zapytała, rozszerzając ze zdziwienia swe
piwne

oczy.

Vanyel skinął potakująco.

Donni z niedowierzaniem potrząsnęła
głową, a jej grube czarne loki nawet nie
drgnęły.

- Nie rozumiem, po co ci to wszystko,
ale zdaje się, że to nie moja sprawa.
Chodźmy.

Gdy Vanyel się obudził, w apartamencie

nie było nikogo, ale na kredensie w dużym

pokoju czekał na niego jabłecznik, chleb z masłem, ser i owoce. Widząc, że ktoś - a raczej

kilkoro "ktosiów" - posiał już znaczne spustoszenie wśród przygotowanego jedzenia, domyślił

się, że to śniadanie. Posiłł się więc, a następnie odnalazłszy służącego, który wskazał mu drogę

do łaźni i wygódek, poszedł się umyć.

Ubrał jedne z najgorszych i najbardziej wytartych rzeczy, domyślając się, że

podczas

nadchodzącej lekcji fechtunku bardzo się ubrudzi. Gdy wreszcie wytropiła go Donni, był już z

powrotem w swym pokoju i pogrążony w przygnębieniu, siedział na podłodze, zakładając

nowe rzemyki do swej zbroi.

Zebrał swój ekwipunek i podążył za dziewczyną, pozostając o krok w tyle. Wyszli

przez szklane drzwi do zalanego słońcem, pełnego zapachów ogrodu, a Vanyel cały czas starał

się nie dopuścić do tego, aby
jakikolwiek miłe spostrzeżenia zdołały
przekraść się przez jego

skorupę. Donni prowadziła go krętą
ścieżką, która zaczynając się przy
drzwiach pokoju

Vanyela, wiodła wzdłuż kilku grot i
stawów rybnych, aby spotkać się z
wysypaną żwirem

drogą biegnącą wzdłuż rzeki.

Minęli pawilon, który - gdyby jego
przegrody zaopatrzyć w drzwi -
wyglądałby na

stajnię, a potem mniejszy budynek z nim

sąsiadujący. Zaraz potem ścieżka gwałtownie skręciła

w prawo, kończąc się na bramie umieszczonej w wysokim, drewnianym ogrodzeniu. Do tego

czasu Vanyel zdążył już odczuć, że jego ramiona są już znacznie nadwerężone; było mu gorąco

i spływał po nim pot. Całą nadzieję pokładał w tym, że są już blisko celu.

Było jednak inaczej. Uczennica sprawiająca jak dotąd wrażenie osoby o pogodnym

usposobieniu posłała mu uśmiech, który

z trudem można było odczytać jako
życzliwy, i

otworzywszy bramę, zachęcającym
gestem skinęła na Vanyela, aby wszedł
do środka.

- To tam - powiedziała, wskazując na
drugi koniec starannie pielęgnowanego
trawnika,

rozmiarami przypominającego owiane
legendą Równiny Dorisza. Na
przeciwległym skraju

łąki stał prosty, dość nowy drewniany
gmach o wysokich oknach. - Oto sala -
wyjaśniała Donni,

- Tam właśnie idziemy. Zbudowano ją w zeszłym roku, abyśmy mogli trenować przez cały rok.

- Zachichotała. - Myślę, że zmęczyły ich bitwy, które w razie deszczu czy śniegu toczyliśmy

wprost na korytarzach pałacu!

Vanyel skinął tylko potakująco głową, zdecydowanie ukrywając wszelkie objawy

zmęczenia. Donni zaś ruszyła przez trawnik z takim zapałem, że musiał spaść wszystkie siły,

aby dotrzymać jej kroku. Do momentu

kiedy dotarli na miejsce, Vanyel z
trudem ukrywał

urywający się oddech, a gdy dziewczyna
zwolniła, by otworzyć przed nim drzwi,
był bliski

kompletnego wyczerpania.

Znalazłszy się wewnątrz odkrył, że
budowla tworzy tylko jedną, za to
ogromną salę

zjedną lustrzaną ścianą i drewnianą
podłogą, starannie wysypaną piaskiem.
W sali znajdowało

się już kilkoro młodych ludzi w różnym
wieku: od jedenastu, dwunastu lat aż po

dwudziestolatków. Większość z nich prowadziła między sobą walki treningowe...

Vanyel był nazbyt zmęczony, aby dokładnie przyjrzeć się ćwiczącym, lecz serce mu

zamarło, gdy zauważył, że para znajdująca się najbliżej niego walczy stylem niemal takim

samym, jakim posługiwał się Jervis.

- To on?

Za ich plecami rozległ się miękki, melodyjny kontralt. Vanyel odwrócił się gwałtownie,

upuszczając część zbroi, którą właśnie miał założyć.

- Tak, pani - odpowiedziała Donni i nim Vanyel zdążył się zarumienić, dziewczyna

podniosła z ziemi jego ochraniacz. - Vanyelu, oto fechtmistrzyni Kayla. Kaylo, cały ten

ekwipunek należy do niego. Domyślałam się, że przywiózł to z domu. Muszę już iść, inaczej nie

zdążę na moją lekcję w sali ćwiczeń.

- Niechaj cię bogowie od tego uchronią
- rzekła szorstko Kayla. - Gdybyś nie

przyszła

na czas, Savil zjadłaby mnie na obiad.
Nie zapomnij o popołudniowej lekcji
władania

sztyletem.

Donni skinęła potakująco i zniknęła za
drzwiami, zostawiając Vanyela w
towarzystwie

srogiej fechtmistrzyni.

Kayla bowiem prezentowała się
rzeczywiście groźnie. Z jej umięśnionej
sylwetki biła

wielka siła. Jej czarne włosy splecione

w warkocze starannie upięte wokół
głowy nie nosiły

śladu siwizny, tylko subtelna siateczka
zmarszczek w okolicach oczu i ust
zdradzała, że jest

kobietą niemłodą. Patrząc w jej
szaroniebieskie oczy, odnosiło się
wrażenie, że niejedno już w

życiu widziały.

Jeśli idzie zaś o resztę, barki Kayli były
o dłoń szersze od jego, a jej nadgarstki

dorównywały grubością jego kostkom.
Vanyel nie wątpił, że bez trudu mogłaby,
władać

którymkolwiek z oręży znajdujących się na stojakach wzdłuż ściany, nawet tymi z ostrzami

równającymi się czy zgoła przewyższającymi długością jej wzrost. Zdecydowanie nie pałał

szczególną chęcią do stawienia jej czoła w jakiegokolwiek sytuacji bojowej. Zdawało się, że dość

zręcznie potrafiłaby zaatakować Jervisa i wytrzeć podłogę jego odrażającą gębą.

Na zewnątrz Vanyel pozostawał niewzruszony, tymczasem gdy tylko spostrzegł, że i

ona mu się przygląda, ogarnęło go jakieś wewnętrzne drżenie.

- No cóż, młody człowieku - zagadnęła spokojnie Kayla po zbyt długiej, jak się

zdawało Vanyelowi, chwili milczenia. - Możesz zostawić to wszystko tam, w kącie... -

Wskazała na stertę porzuconego ekwipunku w odległym końcu sali. - Zobaczymy, co z tego

nadaje się jeszcze do użytku. Tutaj jednak z pewnością nie będzie ci to potrzebne.

Vanyel popatrzył na nią przymrużonymi

oczami, zastanawiając się, czy może coś uszło

jego uwadze.

- Dlaczego nie? - zapytał z cicha.

- Dobrzy bogowie, chłopcze, ta zbroja pasuje ci równie dobrze jak buty kotu! - odparła

rozbawiona. - Ktokolwiek był twym poprzednim fechtmistrem, postąpił jak głupiec ubierając

cię w tę zbroję. Nie, młodzieńcze. Widzisz Redela i Odena, o tam?

Wskazała głową parę smukłych sylwetek

o trudnej do zidentyfikowania płci

pochłoniętych finezyjnym, lecz może śmiertelnym, tańcem z lekkimi, cienkimi mieczami.

- Uczynię księcia Oldena twym instruktorem. Z radością przyjmie jeszcze jednego

ucznia, poza lordem Ledelem. Posługuje się stosownym dla ciebie stylem walki, a zatem z nim

właśnie będziesz trenował - oznajmiła.

Dusza Vanyela powróciła teraz na swe właściwe miejsce, po tym, jak chwilę wcześniej

czmychnęła z przerażenia gdzieś w okolicie pięt.

Kayla zaszczyciła go zdawkowym uśmiechem.

- Zważ chłopcze, że Olden nie jest pobłażliwym trenerem. Przekonasz się, że zdrowo

się napocisz i zbierzesz nie mniej siniaków niżli każdy wywijający bez opamiętania mieczem

zabijaka. - A teraz przygotujmy cię należycie do treningu, co ty na to?

Podczas gdy przedpołudnie upłynęło nadspodziewanie przyjemnie - po raz

pierwszy

Vanyel usłyszał szczerą pochwałę za swe umiejętności władania bronią i bardzo się tym pysznił

- popołudnie okazało się istną katastrofą.

Wszystko zaczęło się, gdy tylko powrócił do swego pokoju z ekwipunkiem wazącym

trzecią część tego co zbroja, którą zabrał ze sobą rano. Ze starannością, jakiej nie okazywał

nigdy przedtem w obchodzeniu się z bronią, ułożył wszystko na stojakach i

podążył do

centralnego pokoju apartamentu.

Ktoś - zapewne dotychczas niewidzialna
Margret - zabrał pozostawione rano na

kredensie jedzenie, zastępując je
pasztecikami, świeżymi owocami i
serem, dodając nawet

butelkę lekkiego wina.

Tylendel leżał rozciągnięty na kanapie,
trzymając w jednej ręce pasztecik, w
drugiej

książkę. Na jego twarzy malowało się
skupienie. Gdy Vanyel niepewnym

krokiem wsunął się

do wspólnej izby, Tylandel nie podniósł nawet na niego wzroku.

Vanyel uświadomił sobie, że znów przepełnia go owo podniecające, na wpół lękliwe

uczucie, którego doświadczył już wcześniej. Chrząknął. Tylandel poderwał się, upuścił książkę

i uniósł na Vanyela szeroko rozwarte oczy przysłonięte kosmykiem włosów.

- O bogowie, Vanyelu, następnym razem nie wchodź tak bezszelestnie! - powiedział

pochyliwszy się, by podnieść z podłogi swą książkę. - Nie miałem pojęcia, że poza mną ktoś tu

jest! Tam jest obiad...

Wskazał ręką z nadgryzioną bułeczką.

- Savil powiedziała, że masz się najeść i umyć. Zamierza zaprezentować cię Królowej

podczas południowego zgromadzenia. To da ci prawo do zasiadania do kolacji razem z całym

dworem. Pozostali z nas także biorą w nich udział, kiedy tylko pozwala nam na to nasz rozkład

zajęć. Savil wróci tu za pięć minut, więc lepiej się pospiesz. - Przechylił nieznacznie głowę i

zapropozował: - Jeżeli mógłbym ci w czymś pomóc...

Vanyel zamarł. Propozycja wcale nie zabrzmiała nieprzyjaźnie, lecz może Tylendel

szukał tylko sposobu, aby wkraść się w jego łaski i zacząć szpiegować. Savil niekoniecznie

musiała być szczerą.

...gdyby tylko...

- Nie - odciął się szorstko. - Nie
potrzebuję pomocy - przerwał, po czym
dodał gwoli

uprzejmości: - Dziękuję.

Tylendel obrzucił go dwuznacznym
spojrzeniem, wzruszył ramionami i na
nowo

zagłębił się w swej lekturze.

Savil pojawiła się w mgnieniu oka.
Vanyel z ledwością zdołał doprowadzić
się do

stanu, w jakim mógł się pokazać
ludziom, a ciotka już prowadziła go do
Sali Tronowej,

Okazało się, że Sala Tronowa jest znacznie mniejsza niż Vanyel się spodziewał. Była

długa, wąska i dość mroczna. Co gorsza, panował w niej straszny zaduch, a liczba stłoczonych

tam ludzi znacznie przewyższała pojemność komnaty. Sam tron znajdował się w odległym

końcu sali, poniżej zajmującego całą ścianę ogromnego błękitno-srebrzystego gobelinu

przedstawiającego nieokiełzanego, uskrzydłonego rumaka z wiszącymi u szyi i nóg zerwanymi

łańcuchami. Vanyel widział wprawdzie dobrze gobelin, lecz nic poza tym.

Wszyscy

zgromadzeni w sali zdawali się być najmniej o dłoń wyżsi od niego i chłopiec nie był w stanie

zobaczyć nic, poza ich głowami. Sama prezentacja przyniosła przykre rozczarowanie. Vanyel i

towarzyszająca mu Savil musieli czekać niemal godzinę, nim załagodzono jakąś awanturę

pomiędzy parą dworzan. Wreszcie wyczytano imię Savil i wówczas oboje - Vanyel posuwając

się w ślad za bijącą potęgą sylwetką
ciotki - zbliżyli się do tronu i zostali
zaanonsowani przez

herolda w średnim wieku, odzianego w
dworską Biel. Następnie ten sam herold
podprowadził

Vanyela do stóp tronu, gdzie królowa
Elspeth - szczupła, ciemnowłosa kobieta
o wyglądzie

osoby dość zmęczonej i zajętej - skinęła
do niego przyjaźnie i wypowiedziała
kilka słów

powitania. Vanyel uklonił się i został
odprowadzony z powrotem do miejsca,
gdzie czekała na

niego Savil. Na tym prezentacja zakończyła się. Savil przynagliła go, by czym prędzej przebrał

się z ubioru dworskiego w zwykły strój dzienny i przygotował się do zajęć popołudniowych.

Ledwie zdążył to zrobić, do jego pokoju wpadł Mardik i zabrał go ze sobą.

Przeszli długim,

mrocznym korytarzem prowadzącym z apartamentu Savil, przez podwójne drzwi, do starszej

części pałacu. Stamtąd bocznymi drzwiami wyszli do ogrodów - tym razem pełnych ziół i

warzyw. Mardik nie wyglądał
wprawdzie na osobę rozmowną, nie
ulegało jednak wątpliwości,

że potrafi się poruszać. Jego szybki krok
nadawał ich marszowi takiego tempa, że
gdy mijali

granitowy budynek w kształcie litery *L*,
Vanyel nie zdążył nawet zapytać, co się
w nim mieści.

Już bowiem szli dalej, w górę, w
kierunku gmachu wzniesionego z
kamieni polnych.

- To Kolegium Bardów - oświadczył
krótko Mardik, zatrzymawszy się na
moment, by

przepuścić parę młodzików, po czym otworzył przed Vanyelem czarne drewniane drzwi.

Potem nie odezwał się już ani słowem. Po prostu zostawił Vanyela przed wejściem do

sali, gdzie miała odbyć się jego pierwsza lekcja, i zniknął w głębi budynku.

Vanyel nie mógł wprost uwierzyć, że Savil lekceważyła wolę Withena tak dalece, aby

umieścić jego syna w Kolegium Bardów. Niemniej jednak tutaj właśnie znajdował się w tej

chwili.

Był wewnątrz Kolegium Bardów. Był naprawdę w środku. Siedział wraz z trzema

innymi chłopcami w małej, słonecznej izbie na parterze, na jednym z ustawionych w rzędzie

krzesel.

Ale to nie wszystko. Vanyel miał teraz przed sobą prawdziwego, żywego barda

odzianego w Szkarłaty. Postawny, silny mężczyzna, który prawdopodobnie włada pałaszem

równie wspaniale, jak gra na lutni,
przechadzał się po salce, opowiadając
coś i zadając pytania

swym uczniom.

W domu podczas lekcji scholastyki
Vanyel znacznie się wybijał spośród
braci i

kuzynów, a zatem i tutaj spodziewał się
godziny nudy. Historia była dla niego
jak

przysłowiowa otwarta księga, z której
czyta się bez zajknięcia - przynajmniej
tak zawsze

myślał. Jeszcze na początku lekcji

ogarnęło go pełne chępliwości
przekonanie, że jego wiedza

wprawi nowych kolegów w
oszołomienie.

Odkąd wszedł do sali i usiadł obok nich,
wszyscy trzej chłopcy popatrywali na
niego z

zaciekawieniem, ale mimo to żaden nie
odezwał się ani słowem. Jeden,
myszowaty blondyn,

drugi o włosach koloru kasztanów,
trzeci, szatyn - wszyscy trzej ubrani byli
podobnie jak

Vanyel, w zwykły codzienny strój,

składający się z uszytych z białej tkaniny koszuli i tuniki

oraz bryczesów z miękkiego popielatego lub brązowego materiału. Vanyel nie potrafił

odróżnić, czy byli oni kandydatami na heroldów, czy też bardów, gdyż - w przeciwieństwie do

starszej młodzieży - nie nosili oni jeszcze uniformów. Oczywiście i tak nie miało to większego

znaczenia, wyjąwszy fakt, że gdyby okazali się uczniami bardów, zaimponowanie im swą

wiedzą, sprawiłoby Vanyelowi wielką satysfakcję.

Pokój, w którym odbywała się lekcja, był niewiele większy od sypialni Vanyela w

apartamencie Savil, lecz w przeciwieństwie do mieszkań heroldów, tutejszy budynek był już

stary, zniszczony, a nawet troszkę zaniedbany. Nim stojący przy oknie bard, przypominający

swą potężną sylwetką lwa, rozpoczął lekcję, Vanyel miał dość czasu, by z rozczarowaniem

zauważyć wytartą podłogę, zakurzone sprzęty i wyblakłą farbę na ścianach.

Wszystko to wywołało w nim szok, nie tak bowiem wyobrażał sobie Kolegium Bardów.

- Wczoraj omawialiśmy aneksję Arvalu. Dzisiaj zajmiemy się negocjacjami z

Rethwellan, do których przystąpiono zaraz po aneksji. - Tymi słowami bard Chadran rozpoczął

wykład na temat bardzo ważnych negocjacji między Arvalem a Zalmonem za panowania króla

Tavista. Wszystko to byłoby bardzo

fascynujące, gdyby nie jeden drobny problem.

Vanyel nigdy nawet nie słyszał o negocjacjach pomiędzy Arvalem a Zalmonem, a cała

jego wiedza o królu Taviście ograniczała się do tego, że był on synem królowej Terile oraz

ojcem królowej Leszji. Ponadto pamiętał tylko, że czas jego panowania upłynął dość spokojnie,

a wszystkie ówczesne wydarzenia więcej miały wspólnego z czystą dyplomacją niżli czynami

opiewanymi w balladach. Dlatego też, w momencie gdy bard zachęcił chłopców do dyskusji,

Vanyelowi nie pozostawało nic innego, jak tylko siedzieć i udawać, że wszystko rozumie.

Oczywiście zrobił mnóstwo notatek, ale nawet z nich nie wyłaniał się żaden spójny

obraz wydarzeń. Wciąż nie wiedział, dlaczego owe negocjacje miały tak duże znaczenie, a tym

bardziej czego dotyczyły.

Po lekcji wymknął się z klasy z

uczuciem, jak gdyby właśnie udało mu się uniknąć

zostania obdartym ze skóry i żywcem pożartym.

Podczas lekcji o religiach Vanyel czuł się nieco lepiej, ale wciąż był trochę zgubiony.

Początkowo myślał, że będzie się tam mówić o ich własnym wyznaniu, ale znów okazało się, że

był w błędzie. W rzeczywistości na zajęciach tych dyskutowało się o różnych religiach, które

można było spotkać na terenie całego

królestwa. Ludność Valdemaru była zbieraniną

składającą się z tuzina odrębnych ludów, które z powodu różnych nieszczęść poszukały sobie

tutaj schronienia. Zaś fakt, że każdy z tych ludów wyznawał swą własną religię, nikogo nie

dziwił. W trakcie lekcji nauczyciel w kółko powtarzał, że prawo Valdemaru zajmuje w kwestii

religii stanowisko, iż “nie istnieje jedyna słuszna droga”. Wskutek tej różnorodności “dróg”

bard czy herold przebywający pośród obcych mu ludów, mógłby z łatwością narazić się na

popętnienie jakiegoś nietaktu. Dlatego też dzisiejsza lekcja poświęcona była “Ludowi

Jedności”, który obrał za swą siedzibę wybrzeże Rosnącego Jeziora. Vanyel był wręcz

wstrząśnięty widząc, że to, co jego ksiądz nazwałby bezwstydną herezją, było tutaj prezento-

wane jako jeszcze jedno oblicze prawdy. Przez pierwszą połowę lekcji czuł się kompletnie

zdezorientowany, a podczas drugiej skupił się na wysiłkach, aby to jak najskuteczniej ukryć.

Jednakże dopiero lekcja literatury - a raczej pewne wydarzenie tuż przed nią - sprawiły,

że balonik pychy, na którym dotąd unosił się Vanyel, pękł, a jego właściciel poczuł się niczym

strącony z piedestału przywódca.

Przed rozpoczęciem popołudniowych zajęć, pomyśl zwrócenia się do jednego z

bardów z prośbą o przyjęcie do

Bardicum, zdawał się Vanyelowi
igraszką. Teraz jednak

chłopiec miał poważne wątpliwości, czy
zdoła przebrnąć przez wszystkie lekcje.

Bogowie, ja... ja... na tle tutejszych
uczniów jestem takim samym nieukiem
jak moi

kuzynowie w porównaniu ze mną -
pomyślał ponuro, opadając na krzesło
stojące najbliżej

drzwi. Wraz z dwoma innymi uczniami
oczekiwał teraz pojawienia się
nauczycielki literatury.

Ale... może tym razem... Pan Światła

wie, że wyuczyłem się na pamięć każdej ballady, jaka

kiedykolwiek wpadła mi w ręce.

W tym momencie do jego uszu dobiegł głos barda Chadrana, rozmawiającego w

korytarzu z innym bardem, najprawdopodobniej nauczycielką literatury. Gdy usłyszał swe imię

i uzmysłowił sobie, że mówią właśnie o nim, bez cienia wstydu czy wahania, badawczo

nadstawił ucha. Nie chciał uronić ani słowa.

- ...dlatego Savil chce, abyśmy się nim zajęli, jeśli tylko ma jakieś zadatki - mówił

Chadran.

- A zatem, ma? - zapytał tajemniczy, zmysłowy kobiecy głos.

- Szansę słyszał jego śpiew. Powiada, że chłopiec ma głos i sprawne dłonie, a ja mu

ufam - odparł z wahaniem Chadran.

- Lecz nie ma daru? - nalegał drugi głos. Chadran chrząknął.

- Nie... nie dostrzegłem żadnej oznaki

tego podczas lekcji. A jest dość pewne,
że nie

komponuje, inaczej wiedzielibyśmy o
tym. Szansę powiedziała by nam albo
napisały by o tym w

raporcie, a nie zrobił tego.

- Chłopiec musi posiadać przynajmniej
dwa z trzech zadatków: dar, talent albo

kreatywność. Wiesz o tym Chadranie -
odpowiedziała kobieta. - Szansę nie
zauważył żadnych

oznak daru, prawda?

Chadran westchnął. Nie, Bredo. Gdy

Savil zapytała mnie o chłopca,
przejrzałem raport

Szansę o regionie, z którego pochodzi
Vanyel. Co prawda wspomina o nim i
pochwały na temat

jego muzykalności wystarczyłyby, aby
przyjąć chłopca jako ucznia na
minstrela, gdyby tylko...

- Gdyby tylko...

- Gdyby tylko nie był spadkobiercą
swego ojca. Niemniej jednak Szansę
twierdzi, że

chłopiec ma doskonały słuch,
umiejętność grania ze słuchu i wielki

talent. Brak mu jednakże

kreatywności, no i daru, a to, co ma, nie wystarcza, by uczynić z dziedziczącego syna minstrela.

Mimo to, Bredo droga, szukaj daru. Robisz to o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Naprawdę

chciałbym oddać Savil przysługę. Ona twierdzi, że chłopiec tak kocha muzykę, że byłby nawet

gotów przeciwstawić się dla niej swemu groźnemu ojcu, my zaś jesteśmy jej coś winni.

- Wypróbuję go - odparła kobieta. - Nie

porzucaj nadziei. Może i Szansę sam nie posiada daru, lecz z pewnością potrafi go rozpoznać, gdy go słyszy.

Vanyel miał ledwie chwilkę na zastanowienie się, co też mogli mieć na myśli mówiąc o

“darze”, zanim kobieta, której głos przed chwilą słyszał, weszła do sali. Wysoka jak

mężczyzna, szczupła, niezbyt ładna, mimo wszystko miała prezencję, co zmuszało Vanyela do

pilnego słuchania wszystkiego, co miała do powiedzenia i baczego

obserwowania każdego jej

gestu.

- Dziś rozpoczniemy cykl wykładów o
Jeźdźcu Wichrów - zapowiedziała,
biorąc w

dłonie cytrę wiszącą dotąd na jej
plecach. - Zaćmę od pierwszej znanej
ballady o Jeźdźcu

Wichrów i zaprezentuję ją w sposób, w
jaki powinno się to robić. Trzeba jej
słuchać, nie czytać.

Ballada ta w ogóle nie była
przeznaczona do czytania i, prawdę
mówiąc, wszelkie obecne w

niej niedociągnięcia znikają, gdy tylko się ją śpiewa.

Brzdąknęła kilka akordów i zaraz potem przeszła do wstępu pieśni zatytułowanej

“Jeździec Wichrów uwolniony”, i już pierwsze takty muzyki i słowa płynące z jej ust rozwiały

wątpliwości Vanyela, czym może być “dar”.

Breda bowiem nie śpiewała - nie tak, jak zaśpiewałby Vanyel czy nawet minstrel

Szansę, który teraz był pewnie już bardem. Nie, ona sprawiała, że

słuchacze wręcz do-

świadczali każdego słowa utworu, wprost doznawali każdej kryjącej się w nim emocji. Gdy

skończyła, Vanyel wiedział, że nigdy nie zapomni słów tej pieśni.

I całą swoją duszą czuł, że jemu nigdy nie uda się zaśpiewać tak jak ona.

Mimo to, gdy Breda zachęciła go, by zaśpiewał następną balladę o Jeźdźcu Wichrów,

dał z siebie wszystko. Jednakże z oczu swych kolegów - zaciekawionych, lecz z pewnością nie

urzeczonych i nie zafascynowanych -
mógł wyczytać, że jego wykonanie nie
przyniosło nawet

kiepskiej imitacji jej śpiewu.

Breda wyznaczyła innego ucznia, aby
zaprezentował następną pieśń, a Vanyel,

zająwszy na powrót swe miejsce, ujrzał
żał w jej oczach, gdy z lekka potrząsnęła
głową. Wie-

dział, że poznała, iż usłyszał rozmowę w
korytarzu. Wiedział, że w ten delikatny,
nie

bezpośredni sposób daje mu do
zrozumienia, że jego marzenie może się

nie ziścić.

Ale gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że jego zdolności są niewystarczające, aby uczynić

go bardem, właśnie ów żal w jej spojrzeniu ranił go najbardziej. Zadawał mu ból okrutny i

przenikliwy, jak cios sztyletu. Cała praca, trudy związane z doprowadzeniem do sprawności

chorej ręki, wszystko to na nic. Nie było już żadnej nadziei.

Vanyel rzucił się na łóżko. Ból rozdzierał mu pierś, w głowie huczało...

Myślałem, że nigdzie nie może mi być gorzej niż w domu, ale tam przynajmniej miałem

swe marzenia. Teraz nie pozostało mi już nawet to.

Kulminacją tego nieszczęsnego dnia było zachowanie ciotki - jego nieocenionej,

bystrej, bezinteresownej ciotki. Niech ją piekło pochłonie.

Przewrócił się na brzuch, usiłując zwalczyć kłujący ból w oczach.

Zaraz po kolacji ciotka odciągnęła go na bok.

- Zwróciłam się z prośbą do bardów, aby sprawdzili, czy mogą cię, do siebie przyjąć -

powiedziała. - Przykro mi, Vanyelu, lecz powiedziano mi, iż jesteś wprawdzie utalentowanym

muzykiem, ale nie będziesz nigdy nikim więcej. Jeśli jest się spadkobiercą posiadłości, to

nawet takie umiejętności jak twoje nie wystarczają, aby zostać przyjętym do Bardicum.

- Ależ... - zaczął Vanyel, ale szybko zacisnął usta. Savil obrzuciła go surowym

spojrzeniem.

- Wiem, co czujesz, Vanyelu, lecz twój obowiązek, jako spadkobiercy, ma

pierwszeństwo. Dlatego więc będzie lepiej, jeśli pogodzisz się z sytuacją, zamiast zмагаć się z

nią.

Podczas gdy on usiłował zachować pozory spokoju, Savil przyglądała mu się w

zadumie.

- Bogowie wiedzą - przemówiła w końcu - że kiedyś sama znalazłam się w

podobnej

sytuacji. Pragnęłam posiadłości, lecz nie byłam pierworodnym synem. Jednakże dzięki

późniejszemu obrotowi spraw, teraz cieszę się, że nie odziedziczyłam majątku. Jeżeli

wykorzystasz wszystkie atuty swego obecnego położenia, pewnego dnia dojdiesz do wniosku,

że twoje życie nie ułożyłoby się lepiej, gdyby to do ciebie należał wybór.

Skąd ona może to wiedzieć? - złościł się Vanyel. Nienawidzę jej. Tak ma

wyglądać jej

pomoc? Nienawidzę jej. Wszystko, co robi, jest takie okrutnie akuradne! Nigdy nic nie mówi,

ale przecież ona nie musi się odzywać. Wystarczy, że tak na mnie patrzy. Chyba oszaleję, jeżeli

jeszcze raz przyjdzie mi usłyszeć o tym, jak bardzo powinna mi się podobać pułapka, w której

tkwię!

Przewrócił się na plecy i pograżył w rozmyślaniach. Słońce nie skłaniało się jeszcze

nawet ku zachodowi, a on tkwił w swym pokoju wraz z lutnią patrzącą na niego ze ściany, wraz

ze wszystkimi przekreślonymi marzeniami, które ta lutnia symbolizowała.

Nie było nic, co mogłoby rozproszyć smutek ciężący mu na sercu. Chociaż...

Kolacja dobiegła już końca, lecz w Wielkim Refektarzu przez całą noc mieli gromadzić

się ludzie. Było tam mnóstwo rówieśników Vanyela - młodzieży nie będącej ani uczniami

Bardicum, ani też protegowanymi heroldów. Byli to po prostu zwykli młodzi ludzie.

Vanyel zapomniał o wszelkich obawach, że przezwą go wiejskim gamoniem. Myślał

tylko o podziwie, jaki wzbudzały jego dowcip i uroda przy niezbyt częstych okazjach, kiedy w

jego zamku gromadziła się młodzież z kilku posiadłości. Potrzebował teraz dawki owego

podziwu, potrzebował jego słodyczy, by zabić cierpki smak porażki.

Poderwał się z łóżka i przetrząsnął szafę w poszukiwaniu najbardziej okazałego stroju.

Wybrał popielaty aksamit, jako odpowiadający jego nastrojowi i skłonności do dramatyzmu.

Swe wejście do Wielkiego Refektarza zaplanował starannie. Odczekał, aż nadejdzie

moment, jaki zdarza się podczas każdej biesiady, kiedy nagle wydaje się, że wszyscy milkną w

tej samej chwili. Gdy w końcu moment ten nadszedł, Vanyel natychmiast go wykorzystał,

wkraczając do sali pośród ciszy, jak gdyby zaległa ona specjalnie po to, by on sam mógł się

zaprezentować.

Wszystko ułożyło się doskonale. Nim upłynęło parę chwil, otaczało go już kółeczko

dworzan, chętnych do zademonstrowania mu swej przyjaźni. Blisko godzinę Vanyel

rozkoszował się ich uprzejmościami, aż w końcu poczuł się znudzony.

Kościsty młodzian o imieniu Lers ze wzrastającym zaangażowaniem

rozwoził się na

temat tego, w jaki sposób jego starszy brat poradził sobie z jakimiś zbrojami. Vanyel po-

wstrzymywał ziewanie. Wszystko, co działo się dookoła nie różniło się wcale od podobnych

wieczorów w Forst Reach!

- Wtedy ruszył prosto na nich...

- Co według mnie było piekielnie głupim posunięciem - wtrącił Vanyel, marszcząc

brwi.

- Ale tylko bardzo dzielny mąż
odważyłby się to zrobić... - skromnie
zaprotestował

młodzieniec.

- Powtarzam, że było to okrutnie głupie
posunięcie - upierał się Vanyel. - Oni

zdecydowanie przewyższali go
liczebnością, a on nie miał pojęcia, czy
jego towarzysze

znajdujący się w tyle zdążą przyjść mu z
pomocą. O dobrzy bogowie,
najwłaściwszą rzeczą

byłoby podwinąć ogon i uciec gdzie
pieprz rośnie! Jeżeli zrobiłby to dość

przekonująco,

rzuciłby ich prosto w ramiona swych własnych żołnierzy! Szarżując, mógł co najwyżej dać się

zabić!

- Ale to właśnie dało efekt. - Lers sposepniał.

- O tak, z pewnością dało efekt, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie porwałby

się na coś podobnego!

- A jednak był to bardzo odważny czyn - odparł Lers z dumą zadzierając nos.

Vanyel ustąpił. Lękał się, aby nie zrazić do siebie swych nowych kolegów. Byli wszystkim, co mu pozostało...

- Masz rację, Lers - przyznał, choć nie znosił kłamstwa. - Był to odważny czyn.

Podczas gdy Vanyel poczynił jeszcze kilka niemądrych uwag, aby uspokoić chłopca,

Lers uśmiechał się z głupawą satysfakcją. Wreszcie Vanyel opuścił grupkę dworskich próż-

niaków i ruszył na poszukiwanie czegoś bardziej zajmującego.

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nowi koledzy są równie niemądrzy jak jego brat. Nie

był w stanie wbić im do głów, że nie ma nic “romantycznego” w tym, aby dać się posiekać na

kawałki w imię Valdemaru lub jakiejś damy, że nie ma nic uwznioślającego w utracie ramienia

czy też oka, że wojna nie ma w sobie nic “wspaniałego”.

Ledwie uwolnił się od męskiego towarzystwa, obsiadło go szczebiotliwe stadko

dziewcząt, flirtujących, kokietujących, i ze wszech miar starających się przyciągnąć uwagę

Vanyela. Ich zaloty wyglądały dokładnie tak samo, jak gierki toczone bez końca w buduarze

jego matki. Tutaj tylko grono uczestniczek zabawy było nieco szersze, inne twarze, często

ładniejsze, lecz scenariusz ten sam.

Vanyel był znużony.

Wszystko to było jednak choć odrobinę przyjemniejsze niżli wysłuchiwanie kazań

Savil lub poddawanie się tęsknym
myślom o bardach i “darze”, który i tak
nigdy nie stanie się

jego udziałem.

- ...Tylendel - westchnęła zgrabna mała
brunetka, stojąca tuż obok niego.

- Co “Tylendel”? - zapytał Vanyel,
usłyszawszy wreszcie coś, co pobudziło
jego

ciekawość.

- Och, Taszi jest zakochana w tych
ogromnych brązowych oczach Tylendela
- zaśmiała

się inna dziewczyna, wysoka panna o
bladych licach i rudych włosach.

- Nie masz szans, Taszi - odezwała się
Rewa, której policzki oblał rumieniec
wywołany

nadmiarem wina. Zachichotała. - Nie
masz szans. On jest... jak to określa
Savil?

- *Shay'a'chern...* - dokończył Kress. -
To jakieś obcojęzyczne określenie.

- Co ono oznacza? - spytał Vanyel.
Rewa zachichotała i wyszeptała:

- To znaczy, że on nie lubi dziewcząt.
On lubi chłopców. Mają szczęście te

chłopaki!

- Dla Tylendela zamieniłabym się w chłopca! - westchnęła Taszi i uśmiechnęła się

do przyjaciółki. - Och, co za strata! Czy jesteś tego pewna?

- To pewne jak gwiazdy na niebie - odrzekła Rewa.

- Dopiero co, w zeszłym roku, ten drań Nevis złamał mu serce.

Vanyel stłumił, naturalne w tej sytuacji, zdumienie. Tylendel nie lubi dziewcząt.

Dowiedział się przynajmniej, że młodzi

dworzanie używają słowa “lubić” w
znaczeniu “sypiać

z kimś”. Lecz nie “lubił” dziewcząt?
“Lubił” chłopców?

Zdawał sobie sprawę z tego, że dotąd
izolowano go od pewnych spraw, ale
nigdy nie

przyszło mu do głowy, że może istnieć
coś takiego.

Czy to z tego powodu Withen...

- Nevis... czyż to nie ten, który nie
potrafił się zdecydować, twierdząc, że
zostaje

uwiedziony za każdym razem, gdy
znajdzie się w czyimś łóżku? - zapytała
Taszi z gwał-

townym zainteresowaniem.

- Ten sam - odparła Rewa. - Tak się
cieszę, że rodzice wezwali go do domu!

Dziewczęta pochłonęło teraz
drobiazgowo roztrząsanie postępów
perfidnego Nevisa, a

to już nie interesowało Vanyela.

Przeszedł się po Wielkim Refektarzu,
nie znajdując jednak nic

zajmującego i nikogo, z kim chciałby
spędzić czas. Wypił troszkę więcej

wina, niż zamierzał,

lecz i to nie pomogło ożywić, choć odrobinę, tego wieczora. Wreszcie zrezygnował i

powędrował do łóżka.

Długo leżał nie mogąc zasnąć, opędzając się od myśli, które zaprzętały mu głowę już

wcześniej. Sądząc po śmiechu, jaki wzbudzało to u dziewcząt, upodobania Tylandela

zdecydowanie nie przysparzały mu szacunku. A Withen...

O, Vanyel wiedział, jak zareagowałyby
Withen, gdyby usłyszał, że jego syn
dzieli nawet

z Tylendelem to samo mieszkanie.

Kiedy byłem malutki - wspominał -
rugał mnie za każdym razem, gdy
ściskałem i

całowałem Mekeala. Dlatego ciągle coś
knuł razem z ojcem Lerenem i wygłaszał
te kazania o

“właściwym zachowaniu mężczyzny”.
Stąd ten atak szalu, gdy zobaczył, jak
Liss przebrała

mnie w swoje stare suknie; wyglądałem

wtedy jak wyrosnięta lalka. O bogowie.

Nagle przyczyny wielu, inaczej
niemożliwych do uzasadnienia
zachowań Withena,

stały się jasne: Dlatego napuszczał na
mnie te wszystkie dziewczyny, dlatego
kupił dla mnie

tę... profesjonalistkę. Dlatego spraszał
przyjaciółki matki; te, które miały uległe
córki. Dlatego

tak nie znosił mojego widoku, kiedy
ubierałem się w wykwinne szaty.
Dlatego niektórzy

wojacy milkli, gdy przechodziłem obok

nich, i urywały się nie dopowiedziane dowcipy. Ojciec

pragnął, aby nie dotarła do mnie najmniejsza wskazówka, mówiąca o istnieniu czegoś takiego.

Vanyel czuł w sercu ból, tylko ból.

Straciłem muzykę... - pomyślał. Nawet jeśli Tylendelowi można zaufać, nie mogę

ryzykować. Nawet na tyle, aby zostać jego przyjacielem. Nawet, jeżeli miałyby się okazać, że

nie zdoła rozbudzić we mnie pożądania. Coś mi się jednak wydaje, że udałoby

mu się to

uczynić.

Ostatnią rzeczą, jaka mu jeszcze pozostała, był ów sen - senne marzenie o lodowej

krainie. Jedyne marzenie, jakie nie mogło sprawić mu bólu.

Przepaść nie była aż tak szeroka, aby nie potrafił jej przeskoczyć - była jednak głęboka,

a na jej dnie znajdowało się coś... strasznego. Nie miał pojęcia, skąd o tym wiedział, lecz był

*pewny, że tak właśnie jest. Za plecami
miał tylko pustą, zimową równinę
lodową. Ale po drugiej*

*stronie przepaści kwitła wiosna. Vanyel
pragnął się znaleźć w jej ciepłe i
słuchać śpiewu*

*ptaków wśród drzew, ale bał się
skoczyć. Zdawało mu się nawet, że gdy
patrzy na przepaść, ona*

poszerza się.

- V anyelu?

Ostupiały podniósł wzrok.

Po drugiej stronie stał Tylendel. Jego

włosy rozwiewał wiatr, na twarzy
promieniał

szeroki uśmiech, ciepły i przyjazny
niczym wiosenne słońce.

- Czy chcesz tutaj przyjść? - zapytał
cicho chłopiec

i wyciągnął ręką. - Pomogą ci.

Vanyel cofnął się o krok. Z całych sił
przyciskał ramiona do piersi,
powstrzymując się

od mimowolnego uchwycenia tej
wyciągniętej dłoni.

- Vanyelu? - Oczy starszego chłopca

*patrzyły na niego łagodnie,
pieszczotliwie. -*

*Vanyelu, chcę być twoim przyjacielem -
powiedział jeszcze bardziej
przyciszonym głosem,*

*niemal szeptem, i skinął zachęcająco. -
Chciałbym - ciągnął - być nawet więcej
niż twym*

*przyjacielem. - Nie! - krzyknął Vanyel i
odwróciwszy się gwałtownie, puścił się
biegiem w głąb*

*pustej białej krainy. Gdy się wreszcie
zatrzymał, był sam. Zupełnie sam,
przemarznięty do*

*szpiku kości. Z początku boi
przejmował całe jego ciało, lecz
wkrótce zimno zapanowało nad*

*nim tak, że zupełnie stracił czucie. Nie
było już śladu przepaści i Tylendela.*

Poczucie

*osamotnienia przeszło go bólem
gorszym nawet niż mróz.*

*I wtedy udręka samotności poczęła
stopniowo ustępować straszному
chładowi, który*

wprowadzał go w odrętwienie.

*Vanyel ruszył przed siebie, wybierając
kierunek na chybił trafił. Naraz*

śniegowe pole

*przestało być monotonnym bezkresem,
pozbawionym jakichkolwiek
nierówności. Na płaskiej,*

*gładkiej równinie pokrytej skrzypiącym
pod jego stopami śniegiem pokazały się
wzniesienia.*

*Wkrótce Vanyel zaczął obchodzić
dookoła ogromne kły lodowe,
wybijające się przez grubą*

*warstwę śniegu. Po chwili, nie mogąc
już ich omijać, a chcąc wciąż posuwać
się do przodu,*

musiał wspinać się na nie.

*Ich bryły miały krawędzie ostre jak
rozbite szkło. W pewnym momencie
Vanyel zranił*

*się w rękę i zaskoczony stanął,
przyglądając się śladom swej krwi na
śniegu. Najbardziej dziwił*

*go brak bólu, nic go nie bolało... Czuł
tylko chłód.*

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tylendel, czytając, rozciągnął się
swobodnie na trawie w ogrodzie.

Vanyel przyglądał

mu się ukradkiem zza zasłon w oknach
swego pokoju. Targające nim uczucia

doprowadzały go

już do wyczerpania. Wiatr tańczył w
zmierzwionych włosach Tylendela
niemal tak samo, jak

we śnie Vanyela.

Vanyel zadrżał i zamknął oczy. O
bogowie, bogowie, dlaczego akurat ja?
Dlaczego

teraz? Dlaczego, och, dlaczego akurat
on? Ulubieniec Savil...

Uchwycił się kurczowo kotary, jakby
była ona jakimś kołem ratunkowym.
Potem

otworzył oczy. Tylendel, zmieniwszy nieco pozycję, leżał teraz z głową opartą na ręce. Na jego

czole malowało się skupienie. Vanyel poczuł, że serce bije mu jak rozkołysany dzwon. Drgnął

i zagryzł wargi. Żadna dziewczyna nie przyprawiła go dotąd o taki łomot serca...

Własne myśli Vanyela przywoływały rumieniec na jego policzki, w żołądku czuł

skurcz. Bogowie, kim jestem? Czy jestem taki jak on? Pewnie tak. Ojciec... och, bogowie. Oj-

ciec mnie zabije, zamknie mnie, powie
wszystkim, że popadłem w obłąd. A
może rzeczywiście

oszalałem?

Tylendel nagle uśmiechnął się.
Rozweseliło go coś, co przeczytał.
Serce Vanyela

zamarło. Chciał krzyzczeć. Jeśli
uśmiechnie się tak do mnie... och,
bogowie, nie mogę, nie mogę

mu ufać, rozbudzi moje pożądanie.
Będzie ze mną to samo, co ze
wszystkimi innymi.

Ze wszystkimi innymi.

Odwrócił się od okna, z ciężkim sercem
chroniąc się w swym pancerzu
obojętności.

Gdybym tylko miał dość odwagi.
Gdybym tylko się ośmielił.

Drżącymi palcami Savil przekręciła
klucz w zamku okutych mosiądzem
drzwi swej

osobistej sali ćwiczeń i odwróciła się
twarzą ku swemu ulubieńcowi,
Tylendelowi.

O bogowie. To nie będzie łatwe.

Zbierała siły, przygotowując się do
groźnej konfrontacji, groźnej zarówno

dla niej, jak i

dla Tylendela. Nie spodziewała się, aby chłopiec próbował od razu skakać jej do gardła, lecz...

no cóż, tym razem miała zamiar popchnąć go nieco dalej niż kiedykolwiek wcześniej, a zawsze

istniało ryzyko, że może posunąć się za daleko.

Tylendel stał mniej więcej pośrodku sali, z rękoma założonymi na piersi okrytej

brązową tuniką; jego twarz przybrała dość dla niego nietypowy, surowy

wyraz. Było jasne, że

domyślił się już, iż nie czeka go lekcja, czy też zwyczajna rozmowa.

Pokój, w którym się znajdowali, był zupełnie pusty. W przeciwieństwie do sali ćwiczeń

dostępnej dla wszystkich, ta miała kształt nie okrągły, a kwadratowy. Ściany jednak - podobnie

jak tam, i z tych samych przyczyn - wzniesiono tutaj z kamienia, a na samym środku, w dREW-

nianej posadzce, ułożono dodatkowo idealny okrąg z jaśniejszego drewna.

Ściany tego

pomieszczenia miały w sobie coś
niezwykłego, czuło się wręcz ich
obecność, jak gdyby żyły.

Właściwie było to częściowo prawdą.
Wszakże w pewnym sensie stanowiły
one część Savil,

która poświęciła na stworzenie
stabilnych osłon wokół salki sporo
własnej energii. Dzięki

temu, w razie niebezpieczeństwa, tutaj
mogła znaleźć najbezpieczniejsze
schronienie.

- Nie przyprowadziłaś mnie tutaj, aby ze

mną ćwiczyć - zagadnął szorstko
Tylendel.

Savil przełknęła ślinę i potrząsnęła
głową.

- Nie, nie dlatego. Masz rację. Pragnę z
tobą porozmawiać. Mam dwie sprawy i

chciałam uniknąć ryzyka, że ktoś mógłby
nas podsłuchać.

- Jaka jest ta pierwsza sprawa? - zapytał
Tylendel. - Właściwie myślę, że wiem.
Znow

chodzi o moją rodzinę. - Wyraz jego
twarzy nie zmienił się wyraźnie, lecz po
zaciśniętej

szczęcie chłopca Savil rozpoznała, że jest rozgniewany.

- Tak, znów chodzi o twą rodzinę - zgodziła się. - Tylendelu, jesteś heroldem, no,

prawie. Herold w żadnych sporach nie opowiada się po niczyjej stronie. Nawet wtedy, gdy ma

to związek z jego rodziną. Twoi krewni naciskali, abyś działał. Teraz wiem, że się w to nie

wmieszales, lecz wiadomo mi także, że chciałbyś to zrobić i boję się, że możesz ulec tej

pokusie.

Zacisnąwszy usta, Tylendel odwrócił od niej wzrok.

- A więc Evan Leszara może wlewać swój jad do uszu każdego człowieka na dworze,

który zechce go słuchać, a mnie nie wolno na to reagować, czyż nie tak? Nie wolno mi nawet

nazwać go przeklętym kłamcą, za to wszystko, co naopowiadał o Stavenie. - Zwrócił oczy na

Savil i popatrzył na nią z takim gniewem, jakby to ona ponosiła

odpowiedzialność za

postępowanie jego wroga. - On jest dla mnie kimś więcej niż bratem, jest moim bratem

bliźniakiem. Wobec wszystkiego, w co wierzy i co uważa za słuszne, mam pewne obowiązki.

W dodatku Staven - mimo swego młodego wieku - jest teraz lordem posiadaczem. To on

decyduje. Pozostali z nas, Frelenów, muszą i będą go wspierać. Poza tym, do stu diabłów, racja

stoi po jego stronie!

- Bez względu na to, że jest lordem posiadaczem, młodym czy starym, ma rację czy nie,

pozostaje piekielnie porywczym głupcem - wybuchnęła Savil, wyrzucając przed siebie ramiona

w geście kompletnej rezygnacji. - Cóż to za obowiązki? Aby dać się powiesić. To przede

wszystkim z takiego właśnie niemądrego rozumowania zrodziła się ta idiotyczna waśń między

rodem twoim i Leszarów! Przelewając krew, nie wskrzesisz umarłych!

- Do diabła, chodzi o honor! - Tylendel zacisnął dłonie w pięści. - Czyż nie możesz

choć spróbować tego zrozumieć?

- To nie ma nic wspólnego z prawdziwym honorem - odparła Savil z pogardą. - To

tylko pusta duma pełna zaciętrzewienia. Tylendelu, nie możesz się w to mieszać.

Zrobił krok w jej stronę. Savil zamarła z sercem w gardle.

Tylendel spostrzegł jej reakcję i zatrzymał się.

Brnęła dalej, ufając w słuszość rady, jaką sama kiedyś otrzymała.

Proszę, Jaysenie, obyś miał i tym razem rację.

- Ta cała waśń to szaleństwo!

Tylendelu, posłuchaj mnie. Trzeba z tym natychmiast

skończyć. Jeśli sami do tego nie doprowadzicie, będą musieli zrobić to heroldowie. Tobie zaś

nie wolno opowiadać się po żadnej ze stron!

Jak dotąd, wszystko było w porządku. Savil nie powiedziała nic nowego. Ale

Tylendel

nie wiedział, że jego mentorka przygotowała jeszcze inne, nowe argumenty.

- Tylendelu, wiem, że nigdy nie udało ci się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ty i

Staven nie zostaliście Wybrani przez Towarzyszy. Wiedz zatem, że właśnie owa waśń była

powodem tego, że twój ukochany brat bliźniak nie został Wybrany, a ty tak. Ty przynajmniej

potrafisz dostrzec błahość tego sporu,

pod warunkiem, że nie pochłania cię
akurat obrona brata.

On natomiast jest zbyt zarozumiały i
uparty, aby poszukać rozwiązania
innego, niżli starcie

rodu Leszarów z powierzchni ziemi!
Twój brat jest idiotą, Tylendelu! Jest
takim samym idiotą

jak Wester Leszara, ale to nie zmienia
faktu, że ze zwykłej głupoty doprowadzi
do śmierci

wielu ludzi! Nie pozwolę, aby to się
dłużej ciągnęło. Jeżeli będę musiała
zadenuncjować

Stavena, aby uciąć twój związek z tą sprawą, zrobię to. Nie miej co do tego wątpliwości. Masz

o wiele ważniejsze rzeczy do zrobienia w życiu, niż branie w obronę głupca.

Pięści Tylendela znów się zacisnęły. Cały zeszywniał ze złości, a pod wpływem emocji

jego oczy pociemniały, stając się niemal czarne. Krew odpłynęła mu z twarzy i przez moment

Savil zastanawiała się, czy tym razem chłopiec jej nie uderzy, a właściwie uderzy na nią. Jeśli

bowiem miałoby do tego dojść, Savil
nie zamierzała być tam, gdzie chłopiec
wyceluje swój

lewy sierpowy.

Proszę, o Panie i Pani, nie pozwólcie,
aby tym razem stracił panowanie nad
sobą. Nigdy

nie posunęłam się aż tak daleko. Nie
pozwólcie mu wykorzystać magii. Jeśli
uderzy we mnie,

nie będę w stanie uchronić go od tego,
co zrobią z nim moje osłony.

Modliła się i uparcie, ze współczuciem,
patrzyła prosto w jego pałające

gniewem oczy.

Czuła, że chłopiec sam szamoce się w potrzasku między potrzebą zadania ciosu temu, kto

zaatakował jego ukochanego brata, a własnym sumieniem i zdrowym rozsądkiem.

Savil trwała na swej pozycji, nie godząc się na kapitulację. Napięcie w salce osiągnęło

taki poziom, że naładowane energią ściany przechwyciły jego część, odbijając wściekłość

Tylendela. Ze ścian zaś cały nadmiar

energii spływał na Savil, ciężąc jej bardzo. Ona jednak nie

powstrzymywała tej fali. Nie mogła zrobić nic więcej, aby utrzymać panowanie nad wszystkim

i zachować przynajmniej spokojny wyraz twarzy.

Wtem Tylendel odwrócił się i na oślep rzucił się w kąt sali. Przycisnąwszy czoło do

chłodnej kamiennej ściany, jedną ręką zasłonił głowę, a pięścią drugiej jął walić w szare

kamienie, przeklinając cicho pod nosem.

Nie wypowiedziawszy ani słowa więcej, Savil pozostawiła go samemu sobie.

Gdy doprowadzisz go do wściekłości, pozwól mu poradzić sobie ze złością i

wewnętrznym wrzeniem na swój własny sposób - radził Jaysen. Pozostaw go w samotności do

czasu, kiedy sam osiągnie spokój.

Kuląc się w kącie, Tylendel odwrócił się do niej plecami. Przymknął oczy; oddychał

ciężko, jakby miał za sobą długi bieg.

- Wiesz, że nigdy nie zdołasz odwieść
mnie od popierania Stavena -
powiedział

zupełnie spokojnie. - Nie będę się
wtrącał do pracy heroldów, nie będę się
mieszał do waśni i

nie będę nazywał Evana Leszarę
przeklętym kłamcą, ale zawsze będę
bronił Stavena i jego

poglądów, nawet przed tobą. Kocham go
i nie wyprę się tego.

Po jego wściekłej - wręcz zabójczej -
pasji sprzed kilku chwil, nie pozostał już
nawet

ślad.

- Wiem - odparła Savil z takim samym spokojem, nie zdradzając, że wewnątrz wciąż

jeszcze jest roztrzęsiona. - Nie proszę cię, abyś przestał kochać Stavena. Pragnę tylko, abyś

zastanowił się nad tym wszystkim, a nie poddawał się emocjom. Byłoby wystarczająco źle,

gdyby w waśni uczestniczyły tylko wasze dwa rody, lecz wy wciągacie weń cały region.

Doskonale wiemy o tym, że - zarówno

wy jak i oni - poszukiwaliście magów,
którzy pomogliby

wam rozjrzeć ten spór jeszcze
bardziej, ale, Tylandelu, nie chcę
słyszeć ani słowa o tym, kto

go wszczął. Liczy się tylko to, że to się
stało. Istotne jest to, że jeśli któraś ze
stron posłuży się

magią, heroldowie będą musieli się tym
zająć. Nie możemy pozwolić, aby magia
szerzyła się

bez kontroli i siała spustoszenie wśród
niewinnych ludzi. Jesteś heroldem,
prawie heroldem.

Musisz pamiętać, iż nie wolno ci przyznawać racji żadnej ze stron. Musisz pozostać

bezstronny. Bez względu na to, co Evan Leszara czyni czy mówi.

Tylendel wzruszył ramionami, ale nie z obojętnością. Jego cierpienie było bardzo realne

i nazbyt widoczne dla jego mentorki. Savił cierpiała razem z nim. Była to jednak jedna z

najważniejszych spraw, o jakich powinien pamiętać każdy herold, który zawsze musi

zachowywać bezstronność, bez względu na ważkość sprawy i bez względu na koszt, jaki będzie

musiał ponieść on sam czy też ci, których kocha.

- Zgoda - powiedział Tylenel matowym głosem. - Będę się trzymał od tego z dala. A

teraz, skoro udało ci się dopiąć swego, powiedz, o czym jeszcze chcesz ze mną porozmawiać.

- O Vanyelu - rzekła Savil, rozluźniwszy się. Jej głos przytłumiło zmęczenie. - Jest tutaj

już przeszło miesiąc. Chciałabym, abyś mi powiedział, co o nim myślisz.

- Bogowie. - Tylendel znów wsparł się o ścianę i szeroko otworzył oczy, które odzyskały już swój normalny, brązowy kolor. - Wiedziałem, że wspomnisz o Jego Wysokości.

- O co chodzi? - zapytała surowo Savil, przyglądając się chłopcu z uwagą. Na jego

twarzy widniał dość szczególny uśmiech. Poczwała, że to coś zwiastuje.

- Tylendelu, nie powiesz mi chyba, że zadurzyłeś się w tym chłopcu! Tylendel

parsknął.

- Nie, lecz, za twym pozwoleniem, muszę przyznać, iż ten młodzieniec nadmiernie

nadweręza moją zdolność samokontroli! Jeżeli nie czuję właśnie chęci, aby zetrzeć z jego buzi

ten władczy uśmieszek, to opanowuje mnie pragnienie, by go przytulić i rozproszyć wszelkie

jego smutki. Nie mam pojęcia, która z tych rzeczy jest gorsza.

- Nie wątpię - odparła sucho Savil i przybliżywszy się do Tylandela, oparła

się o ścianę

naprzeciwko niego. - A więc dobrze,
najwyraźniej miałeś go na oku. Powiedz
mi, co udało ci

się zauważyć do tej pory. Zadowolę się
nawet domysłami.

- Połowę czasu spędzam, będąc
przekonanym, że powinnaś go utopić -
oparł uczeń,

potrząsając z obrzydzeniem głową. - Ten
miniaturowy orszak, jaki zgromadził
wokół siebie,

przyprawia mnie o mdłości. Te pozy, to
wdzięczenie się...

Savil skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie musisz mi tego mówić. Lecz co z drugą połową twych myśli?

- W chwilach gdy do głosu dochodzi współczucie, nabieram pewności, że on cierpi, a

cała ta gra jest właśnie tylko tym - grą, reakcją obronną. Ta świta Vanyela istnieje tylko po to,

aby podtrzymać jego poczucie własnej wartości. Próbowalem się do niego zbliżyć, ale on na

mój widok zamienia się w sopel lodu. Nie atakuje, ale po prostu staje się

niedostępny.

- Cóż... - Savil z namysłem
przypatrywała się swemu
protegowanemu. - Akurat ten

wariant wydawał mi się niezbyt
przekonujący. Miałam wrażenie, że
teraz, kiedy pozostawiono

go samemu sobie, zaczął odsłaniać swe
prawdziwe oblicze. Byłam niemal
zdecydowana dać

sobie z nim spokój. Chciałam oddać go
pod opiekę Odena albo kogoś innego,
kogoś o większej

cierpliwości, mniej zajętego i z

lepszymi ode mnie stosunkami na dworze.

- Nie rób tego - uciał Tylendel, a na jego twarzy błysnęła czujność. - Właśnie coś

przyszło mi do głowy. Czy nie wspominałaś, że jedną z rzeczy, których najbardziej nienawidzi

jego ojciec, jest zabawianie się muzyką?

- W istocie - odparła Savil, udając, że zajmuje ją właśnie analiza knykcii prawej dłoni,

jak gdyby rzeczywiście godne były uwagi. W rzeczywistości jednak w skupieniu chłonęła

każde słowo Tylendela. Jego dar empatii nie był zbyt silny, gdy nie myślał o nim. Savil nie

chciała przypominać mu o tym w tej chwili, kiedy potrzebowała informacji, jakie mogła od

niego uzyskać.

- W istocie - powtórzyła. - W rzeczy samej, powiedział mi, abym trzymała chłopca z

dale od bardów.

- Powiedziałaś mi też, iż Breda delikatnie rozwiała jego marzenia, przynajmniej

najdelikatniej, jak potrafiła. Jak często Vanyel grywa od tego momentu?

Teraz Savil sama obrzuciła chłopca badawczym spojrzeniem.

- W ogóle nie gra - powiedziała powoli.
- Ani jednej nuty, od tamtej pory.

Margret

mówi, że na jego lutni gromadzi się kurz.

- C Panie i Pani! - Tylendel, zagryzłszy wargi, odwrócił wzrok, skupiając w sobie

wszystkie myśli. - Nie wiedziałem, że jest aż tak źle. Myślałem, że gra przynajmniej dla tego

towarzystwa wzajemnej adoracji, jakie zebrał wokół siebie.

Ani jednej nuty - ze stanowczością powtórzyła Savil. - Czy to źle?

- Dla młodzieńca, który z pewnością jest dość dobry, aby zasługiwać na zachwyty tych

pochlebców? Dla chłopca, który wszystkie swe ambicje wiązał z muzyką? To bardzo źle. To

gorzej niż źle. Rozwialiśmy jego marzenia. Savil, cofam pierwszą połowę tego, co

powiedziałem. - Tylendel potarł kark, zdradzając wzrastające uczucie zażenowania. Popatrzył

na sufit, potem znów na Savil. Jego oczy wyrażały teraz szczerą i niepokój. - Mamy problem.

Poważny problem. Serce tego chłopca krwawi. Jeżeli nie uda nam się nakłonić go, aby się

otworzył, może wykrwawić się śmierć.

- Jak się do niego zbliżymy? - zapytała Savil, ufna słowom Tylendela. Jej słabość leżała

w braku umiejętności nawiązywania

bliższych kontaktów z ludźmi. To też czyniło ją złym

heroldem polnym i często sprawiało trudności w stosunkach z jej protegowanymi. Nie potrafiła

ich dobrze rozumieć i zupełnie nie wiedziała, jak radzić sobie z nimi w sytuacjach

kryzysowych. Sprawa Tylendela, jego brata bliźniaka oraz owej waśni była tego przykładem.

Nigdy nie pomyślałabym o takim rozwiązaniu. Nie przyszłoby mi do głowy, że mogę

znieczulić go poprzez doprowadzenie do granicy wytrzymałości, nie dopuszczając jed-

nocześnie, aby ją przekroczył, i w ten sposób skłonić, aby pomyślał o wszystkim logicznie.

Niech bogowie błogosławią Jaysena. I niech go potępiają. O niebiosy, za każdym razem, kiedy

prowadzimy tę grę, wyczerpuje mnie ona tak samo jak biednego Tylendela. Wciąż jeszcze drzę

jak struna. Nim Tylendel odpowiedział na pytanie Savil, długo ważył je w myśli. Na jego

twarzy malował się absolutny spokój,
oczy zwrócił jakby w głąb swej duszy.

- Po prostu nie wiem, Savil Tak długo,
jak będzie odtrącał każdy gest
wskazujący na

chęć nawiązania kontaktu, nie będę
wiedział. Myślę, że aby coś działać,
potrzebujemy trochę

czasu, a także jakiegoś wydarzenia,
które choć na chwilę rozwarłoby tę
skorupę, w której

chowa się Vanyel. Dopóty, dopóki coś
takiego się nie wydarzy, nie będziemy w
stanie do niego

dotrzeć, a on pozostanie bezczelnym
zuchwalcem, aż w końcu pęknie jak
balon.

Savil poczuła, jak od wewnątrz
przejmuje ją chłód. - Samobójstwo?

Tylendel potrząsnął głową, przynosząc
jej ulgę.

- Nie przypuszczam, on nie należy do
tego rodzaju ludzi. To nie przysłoby mu
do

głowy. Co do mnie... nie ważne. Nie, on
w taki czy inny sposób po prostu straci
panowanie nad

sobą i stanie się to już wkrótce. Potem

popadnie w załamanie nerwowe lub też powoli będzie

poddawał się deprawacji, aż do momentu, kiedy będzie miał tyle samo rozumu co kupa siana.

- Wspaniale. - Savil prawą dłonią dotknęła czoła, pocierając palcami brwi. - To właśnie

chciałam usłyszeć. Tylenel wzruszył znacząco ramionami.

- Sama pytałaś.

- Tak, pytałam - odparła niechętnie. - Bogowie, dlaczego to akurat na mnie padło?

- Jeśli będzie to dla ciebie jakieś pocieszenie, mogę ci powiedzieć, że nic nie wydarzy

się natychmiast.

- Lepiej, abyś miał rację. Mam dziś wieczór nadzwyczajne zebranie Rady. -

Westchnęła i zatarła ręce. - To będzie pewnie trwało przez pół nocy, a więc nie czekaj na mnie.

- Czy to ma znaczyć, że to już koniec naszej rozmowy? - zapytał unosząc kącik ust.

- Tak. Dziś wieczorem masz cały apartament do swojej dyspozycji. Nie

zostawiaj tylko

okruchów na podłodze i nie zatłuść
poduszek. Mnie by to nie przeszkadzało,
ale Margret

obdarłaby cię ze skóry. I nie szukaj
papużek - są na dwutygodniowej Polnej
Próbie z Szallan i

jej stadkiem. Tak więc będziesz dziś
wieczór zupełnie sarn.

- O bogowie, zupełnie sam z pięknym
Vanyelem. Chcesz sprawdzić moją
zdolność

panowania nad sobą, prawda? - zaśmiał
się, a potem spoważniał i odsunąwszy

się od ściany,

wyprostował się. - Z drugiej jednak strony, może dzięki temu nadarzy się sposobność, o jakiej

mówiłem. Jeżeli zastanę go samego, może uda mi się nakłonić go, aby otworzył się choć trochę.

Savil westchnęła i sama odsunęła się od ściany.

- Radzisz sobie z ludźmi lepiej niż ja, chłopcze. Dlatego poprosiłam cię o radę. Jeśli

zauważysz okazję, wykorzystaj ją. Tymczasem muszę spieszyć na

konsultację do Osobistego

Królowej.

- A stamtąd prosto na posiedzenie? Bez żadnej przerwy? - współczująco zapytał

Tylendel. Savil skinęła potakująco.

Chłopiec wziął ją w ramiona i mocno uściskał.

- Dopilnuj, abyś coś zjadła - szepnął, przytulając głowę do jej włosów. - Chcę, żebyś

pożyła jeszcze trochę. Nie doprowadzaj się do następnego nawrotu zapalenia płuc. Mogłoby cię

to zabić. Choć cię nie znoszę, stara
jędzo, wiesz, że cię kocham.

Jeszcze raz przełknęła ślinę i
odwzajemniła uścisk, czując w oczach
ostre pieczenie.

- Wiem, mój drogi. Nie myśl, że nie
liczę na to. - Znów przełknęła ślinę,
zamknęła oczy

i przycisnęła go z całych sił. Był to
krótki moment, gdy czuła równowagę w
świecie, który zbyt

często pozostawał daleki od stabilności.

- Ja też cię kocham. I nigdy o tym nie
zapominaj.

Pustka panująca w apartamencie przytłaczała Tylendela. Nie było papużek. Nie było

Savil, którą - jako rzecznika heroldów kształcących swych protegowanych - odwołano na

konferencję, mającą przeciągnąć się aż do rana. Tak przynajmniej głosiła plotka powtarzana

przez obecnych w kuchni w porze obiadu. Nie było też Vanyela, który najprawdopodobniej

zabawiał właśnie swe kółko wielbicieli. Nie było nic, co mogłoby przerwać tę grobową ciszę

oblekającą Tylendela ze wszystkich stron niczym całun, pozwalając mu tylko słyszeć bicie

własnego serca. Za oknami panowała piekielna ciemność; niebo było tak zachmurzone, że

księżyc stał się zupełnie niewidoczny. Tyndel miał wilgotne włosy, głowa go paliła. Pot

spływał mu po karku, wsiąkając w kołnierz, ale teraz chłopiec nawet tego nie czuł. Czas owego

wieczoru nie płynął, lecz pełził.

Tyndel porzucił lekturę rozprawy

traktującej o wykorzystaniu magii do

kontrolowania pogody, którą Savil
poleciała mu przeczytać, i zamiast tego
wybrał książkę histo-

ryczną. Manuskrypt eseju na temat
czarowania pogody nie był tym, co miał
ochotę czytać w tej

chwili. W każdym razie nie teraz, gdy
zbliżała się burza. Nie zawsze potrafił
dobrze

kontrolować swą energię, a nie chciałby
nieumyślnie przyczynić się do nasilenia
tego, co

właśnie nadchodziło. Teraz o wiele

sprawniej panował nad swą
podświadomością niż kiedyś,

lecz podejmowanie jakiegokolwiek
ryzyka nie miało sensu, gdy w pobliżu
nie było Savil.

Chyba przez zbliżającą się burzę w
pokoju zdawało się bardzo duszno.
Tylendel

wyciągnął się wygodnie na kanapie
wspólnej izby i mimo że z miejsca,
gdzie się teraz

znajdował, nie mógł nic dostrzec,
wyczuł gromadzące się na zachodzie
chmury burzowe. Ten

właśnie dar uczynił go kandydatem na maga heroldów, a nie na zwykłego herolda. Była to

umiejętność widzenia (czy też postrzegania) oraz sterowania polami energetycznymi, zarówno

naturalnymi, jak i nadprzyrodzonymi. Owe dary ujawniły się u niego bardzo wcześnie, na

długo zanim został Wybrany. Przez niemal połowę jego krótkiego życia owe umiejętności

przysparzały mu kłopotów i tylko wsparcie jego brata bliźniaka pomogło mu uchronić się od

obłądu w trudnym okresie między
ujawnieniem się darów a pojawieniem
się jego Towarzysza,

Gali.

- *Czy jesteś bezpieczna, moja
najdroższa?* - przemówił do niej,
korzystając z

myślomowy. - *Piorun, który się zbliża,
będzie potężny.*

Senne potwierdzenie, jakie dotarło do
jego umysłu, powiedziało mu, że Gala
śpi. To

upał tak ją zmorzył.

Jego samego jednak upał najczęściej wprowadzał w stan irytacji. Nie robiąc sobie nic z

robactwa, otworzył na oścież wszystkie drzwi i okna. Ale na zewnątrz panowała taka cisza, że

nie dało się słyszeć nawet szeptu lekkiego podmuchu wiatru, który mógłby wprawić powietrze

w ruch. Nawet płomienie świec stały nieruchomo, a zapach wosku pszczelego, unoszący się we

wspólnej izbie, swą słodyczą przyprawiał go o duszności.

Odrzucił do tyłu wilgotne włosy,
przetarł oczy i spróbował skupić uwagę
na lekturze,

lecz część jego myśli wciąż błędziła
wokół nadziei na błysk za oknem czy
orzeźwiający deszcz.

Gdzieś w głębi duszy coś mówiło mu, że
wystarczy, aby tylko lekko trącił chmurę,
a deszcz

spadnie. Powtarzał sobie wtedy, by
kusicielskie myśli oddaliły się lepiej na
długi spacer, i

niecierpliwie wyczekiwał, aż deszcz
sam spadnie.

Nic się nie działo. Narastało tylko nieprzyjemne napięcie. Tylendel porzucił próby

skoncentrowania się na lekturze, wstał i podszedł do kredensu, aby nalać sobie kieliszek wina.

Musiał się uspokoić, pozbierać myśli i pozbyć nadwrażliwości, a sam nie był w stanie tego

zrobić. Zostało tylko białe wino, troszkę nazbyt wytrawne jak dla Tylendela, lecz dzięki niemu

udało mu się osiągnąć spokój. Rozluźnił się i powrócił do swej przeklętej książki.

Pochłonęła go ona tak bardzo, że gdy równocześnie pojawił się pierwszy podmuch

wiatru i grzmot piorunu, zerwał się niemal z kanapy.

Połowa świec - tych nie osłoniętych szklanymi kloszami - zgasła. Wiatr dmuchnął przez

pokój, wprawiając w łopot zasłony i przynosząc z dworu przyjemny chłód i woń deszczu.

Okiennice w pokojach Mardika i Donni uderzały miarowo, wprawdzie nie tak mocno, by

rozbić szyby, ale lada moment wiatr mógł się nasilić. Tylendel upuścił książkę i wstał,

zwracając się twarzą ku drzwiom dokładnie w chwili, gdy Vanyel wchodził właśnie z korytarza

wprost do izby zalanej jasnością błyskawicy.

Mrużąc oczy porażone błyskiem, chłopiec stanął skamieniały niczym posąg. Tylendel

poczuł skurcz w żołądku. Vanyel wyglądał jak śmierć.

Cerę miał jasną z natury, ale dziś

wieczór ubrany był w czerń, co jeszcze bardziej

uwypatniało jego bladość. Teraz jego twarz nie miała żadnej barwy, była biała, niemal

przezroczysta. Zapadnięte oczy i wyraz twarzy wskazywały na kogoś, kto wprawdzie widział

już niebiosą, lecz ich wrota pozostawały dla niego zamknięte.

- Vanyelu - powiedział, a właściwie wyszeptał Tylendel głosem ledwie słyszalnym

pośród hałasu uderzających okiennic i

odgłosów burzy. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz:

- Vanyelu, nie spodziewałem się ciebie tak... tak wcześnie. Czy coś się stało?

Przez krótką chwilę - przez jedną bezcenną chwilę - Tylendelowi zdawało się, że już go

dostał. Był pewny, że chłopiec otworzy się przed nim. Jego oczy błagały o litość, jego twarz,

tak wygłodniała uczuć i zastraszona, poruszyła Tylendela. Zrobił w kierunku chłopca niepewny

krok...

I popełnił błąd. Twarz Vanyela stężała i przybrała swój zwyczajny wyraz bezczelnej

arogancji.

- Czy coś się stało? - odrzekł z udaną wesołością.

- O Jasna Pani, nie, oczywiście, że nic się nie stało! Kilkoro bardów przyszło właśnie z

Kolegium i zorganizowało zaimprovizowany turniej. W tym wielkim tłumie zgromadzonym w

Wielkim Refektarzu zrobiło mi się tak gorąco, że zrezygnowałem...

Właśnie w tym momencie okiennice w pokoju Mardika i Donni oraz w pokoju Savil

uderzyły o okna z takim hukiem, że tylko cud sprawił, że szyby nie rozsypały się w drobny

mak.

- O niebiososa! - jęknął Vanyel. - Ona nas zabije!

- I rzucił się w stronę pokoju Savil. Tylendel pospieszył do drugiej izby, ganiać w

myślach swą niezręczność i przeklinając się za to, że reakcją na widok chłopca

zaprzepaścił

swą szansę na poznanie prawdziwego „ja” Vanyela.

Nim zabezpieczył wszystko i powrócił do wspólnej izby, Vanyel wycofał się do swego

pokoju, którego drzwi były teraz szczelnie i nieodwołalnie zamknięte.

- Vanyelu - powiedział łagodnie chłopiec. Jego oczy pałały współczuciem i

rozumieniem. - Czy coś się stało?

- Ja... - zaczął Vanyel, po czym zamknął

*oczy, czując ogarniające go drżenie. -
Ja...*

muzyka... ja...

*Nagle Tylendel znalazł się obok niego,
przytrzymując go, łagodząc drżenie.*

*- Już dobrze - szepnął do ucha Vanyela,
który poczuł jego ciepły oddech we
włosach jak*

*pieszczotą. - Wszystko w porządku,
rozumiem.*

*Vanyel stał skamieniały jak posąg,
ledwie wążąc się oddychać, lękając się
otworzyć*

oczy. Tylendel gładził jego włosy i kark; jego dłonie były ciepłe i delikatne. Vanyel miał

ważenie, że jego serce walące jak młot, rozpadnie się na kawałki.

- Rozumiem - powtórzył Tylendel. - Wiem, jak to jest, kiedy się pragnie czegoś, i ma się

świadomość, że nigdy się tego nie osiągnie.

- Naprawdę? - zapytał Vanyel drżącym głosem. Tylendel zaśmiał się z cicha. Był to

śmiech pełen ciepła i uczucia.

*Jego palce powędrowały wzdłuż
kręgosłupa Vanyela, powoli, zmysłowo.
W ramionach*

*Tylendela Vanyel zaczął się rozluźniać,
a gdy jego dłonie na piersi Tylendela
wyczuły nie*

*materiał, lecz nagie ciało, otworzył
szeroko oczy ze zdumienia.*

Chłopiec był zupełnie nagi.

*- Ale może - wyszeptał Tylendel,
zaglądając głęboko w oczy Vanyela. -
Może choć mnie*

uda się to osiągnąć.

*Z gardła Vanyela wyrwał się zduszony
krzyk. Wyswobodził się z objęć
Tylendela i*

pognał w ciemność, w chłód...

Pognał do swego dawnego snu.

*Najpierw ukazała się przed nim pokryta
śniegiem równina, a gdy ją
przemierzył, przez*

*grudkowaty śnieg zaczęły wybijać się
lodowe zęby. W miarę jak posuwał się
dalej, zęby*

*wyrastały coraz wyżej. Rosły przed nim
i za jego plecami. Wreszcie zorientował
się, że tkwi w*

*potrzasku z utworzonego przez nie
pierścienia. Był uwięziony pośród
lodowych ścian,*

*gładszych niż najgładsze szkło,
zimniejszych niż najmroźniejsza zima.
Nie mógł się wydostać z*

*tej pułapki. Bił pięściami w lodowe
ściany tak długo, aż jego dłonie stały
się ciężkie jak ołów.*

*Bez rezultatu. Gdziekolwiek spojrział,
był tylko lód, śnieg, ani śladu życia, nic
poza bielą i*

*bladym srebrzystym błękitem. Nawet
niebo było białe. Został zupełnie sam,
przeraźliwie sam.*

*Dookoła nie było nic przyjemnego, nic,
co mogłoby przynieść pociechę. Nic*

*przyjaznego. Tylko lód, tylko
nieustępliwy, nieruchomy lód i biały,
grudkowaty śnieg.*

*Było mu zimno, tak przeraźliwie zimno,
że całe jego ciało przejął ból.*

Koniecznie musi się stąd wydostać.

*Wiedziony nadzieją że zdoła wspiąć się
na ścianę, wyciągnął ręce ku szczytowi
jednego*

*z lodowych kłów, lecz uczucie bólu
przeszywającego dłonie, zmusiło go do
cofnięcia się.*

*Ogłupiały, wlepił w nie wzrok. Na
wewnętrznej stronie dłoni ujrzał
nacięcia sięgające niemal*

*do kości; z ran sphywała krew, tworząc
kałużę u jego stop.*

*Na śniegu widniała krew, czerwona
krew. Ale podczas gdy Vanyel
przyglądał jej się w*

*oszołomieniu, plama przybrała barwę
niebieską.*

*W tej samej chwili, mimo ostrego bólu,
poczuł w dłoniach pieczenie mrozu.*

Stracił

oddech i łzy zamglily mu oczy. Chciał

krzyczeć, lecz nie mógł wydobyć z siebie nawet jęku. O

bogowie, jakież to był ból! Oddałby wszystko, aby go uśmierzyć!

Nagle ból ustąpił, ręce mu zdrętwiały. Gdy jego oczy odzyskały ostrość widzenia,

jeszcze raz spojrzął na swe okaleczone dłonie i wtedy, ku swemu przerażeniu, ujrzał, że

nacięcia zamarzły i całe dłonie, niebieskie, lśniące, bez czucia, zamieniają się w lód. Nawet

wówczas gdy patrzył na nie, lód

*posuwał się coraz dalej, ku
nadgarstkom, pełził wzdłuż*

*przedramion... z jego gardła wyrwał się
wrzask...*

*Wtem okazało się, że jest już gdzie
indziej.*

*Wokół panował mrok, lecz mimo to
dzięki błyskawicy - dzięki dziwnej,
błękitnej jasności*

*- widział. Błyskawica zamigotała nad
jego głową i zdawała się pozostawać
pod kontrolą jego*

*czynów i myśli. Stał na kopcu ze śniegu,
pośrodku wąziutkiej doliny. Po obu*

stronach wznosiły

*się lodowe ściany, górujące nad nim,
sięgające z idealną perfekcją aż ku
niebu. Za nim nie było*

*nic. Coś dawało mu pewność tego. Lecz
przed nim...*

- Vanyelu!

*Przed nim stała armia, armia
bezmózgich potworów - stworzeń, które
miały tylko jeden*

*cel: zdeptać go. Już był ranny, Okręcił
się, by skierować błyskawicę w ich
szeregi, i w prawym*

boku poczuł najpierw przeszywający ból, a potem krew spływającą po nodze i zamarzającą w

bucie. Było ich zbyt wielu. Był skazany na śmierć. Oddychał ciężko i szlochał, czując w boku

przeraźliwy ból. Wiedział, że umiera. Umiera w samotności, tak okrutnej samotności...

- Vanyelu!

Wydostał się z lodowego kanionu i z głębi snu. Z koszmaru wyrwały go gorące, niemal

palące ręce, które poczuł na swych

ramionach i rozkazujący ton głosu
dźwięczący w uszach.

Zamrugął powiekami. Miał różne
odczucia, lecz nie potrafił ich nijak
powiązać. Oczy

pały go. Płakał. Włosy i poduszka
przemoczone były od łez i wciąż czuł
chłód, zbyt silny

nawet, by przyprawić go o dreszcz. To
dlatego dłonie Tylendela na jego nagich
ramionach

sprawiały wrażenie tak rozgrzanych.

- Vanyelu... - Oczy Tylendela w świetle
nikłego płomienia świecy przy łóżku

Vanyela

przybrały łagodny, czarny odcień.
Wyglądały jak ciemne okna nocą, okna,
które w jakiś sposób

odbijały troskę. Vanyel czuł jego dłonie
na swych ramionach jak żelazo do
wypalania piętna. -

Bogowie, Vanyelu, jesteś zimny jak lód!

Próbując usiąść, Vanyel uzmysłowił
sobie, że wciąż roni łzy.

Ledwie się poruszył, opanowały go
drgawki tak silne, że nie mógł
wypowiedzieć ani

słowa.

- Ja... - zaczął, ale nie zdołał wykrztusić już nic więcej.

Tylendel, nie rozglądając się nawet po pokoju, podniósł z podłogi szlafrok leżący u stóp

łóżka i okrył nim nagie ramiona Vanyela. To jednak nie wystarczyło. Vanyelem wstrząsały

drgawki, których nie potrafił powstrzymać, a szlafrok wcale nie dawał ciepła.

- Vanyelu - powiedział Tylendel, a potem objął go i przytrzymał w

ramionach.

Vanyel wzbraniał się, próbował się wyrwać.

Przymrużył oczy.

Dookoła niego rozpościerała się pokryta śniegiem równina. Była opustoszała, lecz nie

wzywała go do niczego. Była mroźna, lecz nie sroga. Przepętniała ją samotność, samotność... o

bogowie, jakże była pusta...

Ale niczego się nie domagała, nie przynosiła cierpienia...

Znów zamrugał powiekami, a Tylendel wciąż tam był, wciąż patrzył w jego oczy ze

szczerością i troską, w które nie sposób było wątpić.

- Odejdź! - wykrztusił Vanyel, w obawie przed cierpieniem, spodziewając się, że zostanie wyśmiany.

- Dlaczego? - zapytał cicho Tylendel. - Chcę ci pomóc.

Zamieniał się w lód. Wkrótce nie będzie już nic czuł, nie pozostaną żadne uczucia... i

znajdzie się w potrzasku.

Korzystając z chwilowego rozproszenia uwagi Vanyela, Tylenel oplótł go swymi

ramionami.

- Vanyelu, nie skrzywdziłbym cię. Nie mógłbym cię skrzywdzić.

Vanyel przymknął oczy, próbując złapać oddech. W piersi czuł skurcz i ból. ...O

bogowie... chcę tego...

- Próbuję tylko cię rozgrzać - ciągnął Tylenel z nutą zniecierpliwienia w głosie. - To

wszystko. Rozluźnij się, dobrze?

Rzeczywiście rozluźnił się, nie potrafił pozostać obojętny, i - ku swemu zawstydzeniu -

znów zaczął płakać, nie mogąc powstrzymać łez tak samo, jak nie potrafił przerwać drgawek.

Lecz Tylenel nie tylko nie miał przeciwko temu...

- Chodź do mnie, Vanyelu - uspokajał go, nakłaniając, aby oparł się wygodnie na jego

ramieniu, i podtrzymywał go jak małego chłopca. - Już dobrze, mówiłem, że cię

nie skrzywdzę.

Nigdy bym cię nie skrzywdził. Wypłacz się. Jesteśmy tutaj tylko ty i ja, nic nikomu nie

powiem. Na mój honor. Przysięgam na mój honor.

Dla Vanyela i tak było już za późno, by mógł ocalić swą pogruchotaną dumę...

zaprzepaścił swój wizerunek, poczucie własnej godności, wszystko. Wsparł się na ramieniu

Tylendela, chowając twarz w miękkiej materii jego znoszonej, błękitnej szaty. Uwalniając łzy

więzione dotąd za barierą obojętności i arogancji, pozwolił, by uleciały resztki jego pychy. Po

chwili płakał już tak głośno, że nie potrafił nawet myśleć, mógł tylko przywrzeć mocno do

ramion Tylendela i szlochać. Właściwie nie słyszał nawet, co mówił Tylendel. Zapamiętał

tylko ton jego głosu, pocieszający, współczujący, pełen troski.

Wreszcie oczy zaczęły go palić, były już zupełnie suche. Płakał tak długo, że jego nos

napuchł do rozmiarów jabłka. Cały czas wstrząsały nim dreszcze i wydawało mu się, że

przenikające go zimno stopiło się w jedno z jego kośćmi. Trząśł się tak, że całe łóżko dygotało

razem z nim.

W końcu nie pozostała mu już ani jedna łza, dreszcze ustały, było mu ciepło, a nawet

więcej - czuł, że otoczono go opieką. Był zupełnie wyczerpany. Tylenel podtrzymywał go tak

delikatnie, jak gdyby Vanyel był szklaną

figurką, mogącą roztrzaskać się pod
wpływem

tchnienia.

Ale nie musiał robić nic więcej. Dla
Vanyela to i tak było dużo. Było to
więcej, niż

kiedykolwiek mu ofiarowano. Pragnął,
aby pozostało tak na zawsze.

...Niech bogowie mi pomogą. Zawsze
tego chciałem...

- Już? - zapytał cicho Tylendel,
odczekawszy dłuższą chwilę po tym, jak
ostatni szloch

i drgawki przestały wstrząsać ciałem chłopca.

Vanyel skinął z niechęcią i poczuł, że uścisk obejmujących go ramion rozluźnia się.

Usiadł, a Tylendel, ująwszy jego twarz w dłonie, skierował ją ku światłu.

Vanyel odwrócił się,

zdając sobie sprawę z tego, jak musi wyglądać. Na to Tylendel zaśmiał się, ale był to śmiech

przyjazny, nie szyderczy.

- Doprowadziłeś się do ruiny, piękniśiu
- powiedział, układając słowa w żart,

który

mógłby rozweselić ich oboje. Vanyel uśmiechnął się niepewnie, a Tylendel przetarł mu oczy

rogiem prześcieradła.

- Czy posiadasz coś tak pospolitego jak chusteczka do nosa? - zapytał swobodnie.

Vanyel skinął i jął niezdarnie sięgać dłonią do szuflady stolika nocnego. Tylendel odsunął jego

dłoń i sam wyciągnął lnianą chusteczkę.

- Proszę. - Podał ją Vanyelowi i usiadł

w nieco wygodniejszej pozycji. - Nie mogłem

zasnąć, wstałem, aby nalać sobie trochę wina i usłyszałem cię. Często ci się to zdarza?

Vanyel wydmuchał nos i na wpół zapuchniętymi oczami spojrzał na starszego chłopca.

- Wystarczająco często - wyznał.

- Jakiś koszmarny sen?

Pokiwał głową i spojrzał na swe ręce.

- Wiesz dlaczego?

- Nie - wyszeptał. Ale wiedział,
doskonale wiedział, dlaczego. To
słuchanie śpiewu

bardów, słuchanie tego, co nigdy nie
stanie się jego udziałem, a potem
spotkanie z Tylendelem

i świadomość...

Bogowie.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Odważył się jeszcze raz spojrzeć na
Tylendela. Choć niełatwo było wyczytać

cokolwiek ze spokojnej twarzy chłopca,
Vanyel wyraźnie widział, że nie ma w

niej nic

nieszczerego.

Ale...

- Będziesz się ze mnie śmiał - odparł, gotów ponownie się wycofać.

- Nie. Na mój honor. Van, ja nie kłamię. Nie będę się z ciebie śmiał i nic z tego, co mi

powiesz nie wyjdzie poza ten pokój, chyba że sam sobie tego zażyczysz.

Vanyel znów zadrżał i słowa same zaczęły płynąć z jego ust

- To lód - powiedział, pociągając nosem i przyglądając się swym dłoniom ściskającym

chusteczkę. - Jest wszędzie dookoła mnie. Jestem w pułapce. Nie mogę się wydostać. Jest mi

strasznie zimno... bardzo zimno. Wtedy ranie sobie dłonie i zaczynam zamieniać się w lód. A

później, czasami, tak jak dziś, jestem gdzie indziej, walczę z tymi stworami i wiem, że umrę. A

najgorszy z tego wszystkiego jest ból i umieranie... to ta... ta... - zająknął się - jestem... zupełnie

sam. Tak okrutnie samotny...

Wszystko to brzmiało tak banalnie, tak nieprawdopodobnie głupio, kiedy próbowało się

to ująć w słowa. Szczególnie dlatego, że nie opowiedział, nie mógł opowiedzieć, Tylendelowi

drugiej części snu, tej o nim. Podniósł oczy na Tylenдела, spodziewając się zobaczyć na jego

twarzy szydrczy uśmiech... i nie spostrzegłszy nic podobnego do niego, osłupiał. - Van, chyba

wiem, co masz na myśli - powiedział

wolno Tylendel. - Czasem bywa tak, że samotność przy-

nosi ból większy niż umieranie; kiedy łatwiej byłoby umrzeć, niż pozostać w samotności. Czyż

nie mam racji?

Vanyel zamrugał powiekami, zabrakło mu słów.

Głos Tylendela brzmiał tak łagodnie, jak gdyby chłopiec mówił do siebie.

- Czasem lepiej jest stracić kogoś bliskiego, niż nigdy nie zaznać przyjaźni...

Na moment oczy Tylandela skupiły się na Vanyelu. I serce Vanyela zadrżało na widok

błysku uczucia, które w nich ujrział. Była to tęsknota, jakiej nigdy nie spodziewał się tam

odnaleźć. Tęsknota za nim.

...O bogowie... nigdy... nie przypuszczałem... on nie może...

Ależ tak. On naprawdę... ojciec mnie... Nie dbam o to!

Postanowił pochwycić to, co mu zaofiarowano, nim ktokolwiek zdoła mu to odebrać.

- Vanyelu - zaczął Tylendel.

- Lendelu... - przerwał mu Vanyel z naciskiem. Odważył się nazwać Tylendela

zdrobnieniem, jakiego używała jego ciotka. - Zostań ze mną... proszę. Proszę.

- Słowa zbijały

się w jedno, gdy Vanyel próbował wypowiadać je jak najszybciej, zanim Tylendel mu

przerwie. Kurczowo ścisnął nadgarstek ręki starszego chłopca. - Ten lód wciąż tam jest. Wiem,

że tam jest, jest we mnie i zamarza od

wewnątrz... zabija moje... uczucia.
Czuję, że mnie zabija.

Proszę, proszę, nie zostawiaj mnie
samego z tym...

- Nie wiesz, o co mnie prosisz - odparł
Tylendel niemal ze złością, zsuwając
dłoń z

dłoni Vanyela. Z jego oczu nie dało się
już nic wyczytać. - Nie możesz
wiedzieć. Nie wiesz kim
jestem.

- Ależ wiem - rozpaczliwie
zaprotestował Vanyel. - Wiem.
Dziewczyny opowiadały mi

różne rzeczy, aby przyciągnąć moją uwagę... Powiedziały, że jesteś... ach... *shay'a'chern*.

Mówiły, że nie sypiasz z dziewczętami, że... - Poczuł, że rumieniec oblewa jego nabrzmiące od

płaczu policzki; gwałtownie napływająca krew przyprawiała go niemal o ból.

- Do diabła, Vanyelu, z czego, myślisz, jestem? - wrzasnął ostro Tylendel.
Twarz

wykrzywiła mu się w grymasie, w oczach odbijało się cierpienie. -
Myślisz, że kim jestem?

Myślisz, że jestem z kamienia? Jesteś piękny, jesteś bystry, jesteś wszystkim, o czym mógłbym

zamarzyć. Wydaje ci się, że jestem tutaj i nie pragnę cię? Wielcy bogowie, nie wykorzystałbym

niewinnego chłopca, lecz to, o co ty mnie prosisz, wystawiłoby na próbę opanowanie świętego!

- Nic nie rozumiesz. Wiem, o co proszę
- odparł Vanyel, ponownie ściskając

nadgarstek Tylendela, nim ten wstanie i odejdzie w ciemność. - Naprawdę wiem.

Tylendel gwałtownie potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Lendelu, spójrz na mnie - błagał Vanyel, otwierając swe serce w wyznaniach, jakich

nigdy wcześniej nie odważyłby się uczynić. - Posłuchaj, ja też nie lubię dziewcząt. Nie jestem

niewiniątkiem. Wiem, czego chcę, Lendelu, proszę, wysłuchaj mnie. Byłem... spałem z

wystarczającą liczbą dziewcząt, aby się przekonać, że wcale na mnie nie działają. To jest...

niemał tak samo mechaniczne jak taniec czy jedzenie. One po prostu nic dla mnie nie znaczą.

Tylendel przestał się wyrywać i spojrzał na Vanyela. Na jego twarzy odbiło się takie

zduwienie, że Vanyel z trudem zdołał powstrzymać śmiech.

- A czyja coś dla ciebie znaczą? Czy... - zaczął Tylendel, ale zaraz sposepniał. - Nie

igraj ze mną, Vanyelu. Nie zabawiaj się moim kosztem. Już raz ktoś mnie tak potraktował i nie

chcę słyszeć, jak rano będziesz się skarżył Savil, że cię uwiodłem.

Vanyel zagryzł wargi i błagalnie popatrzył w oczy Tylendela.

- Nie zabawiam się z tobą, Lendelu.

Proszę. - Znow poczuł w oczach piekący ból, ale

tym razem nie próbował ukryć łez, które zaraz spłynęły po jego rozpalonych policzkach. -

Myślałem o tym od dawna. Niemal od chwili kiedy się tu znalazłem i one... opowiedziały mi o

tobie. Nigdy mnie nie wyśmiałeś. Byłeś

dla mnie miły nawet wtedy, gdy ja
odnosiłem się do

ciebie niegrzecznie. To znaczyło dla
mnie bardzo wiele i nie wiedziałem, jak
ci się

odwdzięczyć. Zacząłem... odczuwać...
coś dziwnego, kiedy tylko byłeś w
pobliżu. Bałem się.

Nie ważyłem się dać ci tego po sobie
poznać. Nie chciałem się przyznać,
czego pragnę. A teraz

ci o tym mówię.

Starszy chłopiec popatrzył na niego spod
oka.

- To znaczy?

Vanyel poczuł ściśnięcie w gardle.

- Pragnę być z tobą, Lendelu. A jeżeli odejdziesz, pozostanie mi tylko tamten lód...

Tylendel znów ujął twarz Vanyela w swe silne dłonie i delikatnie, drżącymi palcami

starł łzy z jego policzków. Tak długo trwał bez ruchu, patrząc badawczym wzrokiem głęboko w

oczy Vanyela, że ten miał wrażenie, jak gdyby chłopiec sięgał myślą aż do dna jego duszy.

Wytrzymał to spojrzenie i skoncentrował się na swych uczuciach, aby Tylendel mógł odnaleźć

w jego oczach potwierdzenie każdego wypowiedzianego słowa. Wreszcie Tylendel z wolna

skinął głową,

Potem dość zdecydowanym ruchem pochylił się i nim wziął Vanyela w ramiona,

zdmuchnął świecę.

Dookoła panowała głęboka ciemność; na zewnątrz nie było żadnego światła, żadnego

dźwięku, prócz odgłosów deszczu. Po chwili Tylendel, jakby zaskoczony, wybuchnął

zduszonym śmiechem i szepnął łagodnie do ucha Vanyela:

- Zaczynam się zastanawiać, kto kogo tutaj wykorzystuje?

Później, po dłuższej chwili, znów dało się słyszeć śmiech Tylendela. Miał to być znak

dla Vanyela, że tylko żartuje.

- Posuń się, mały, samolubny piękniśiu. Zaraz zamarznię na śmierć.

A potem zapadła cisza.

Wreszcie słowa stały się zupełnie zbędne.

Korytarze były zupełnie opustoszałe, chłodne, oświetlone Wygasającymi stopniowo

lampkami, w których dopalały się już resztki oleju. Powolne, ociężałe ze zmęczenia kroki Savil

brzmiały echem przed i za nią, nie burząc spokoju nawet pajaków. W pewnym momencie,

podczas długiej drogi powrotnej z Sali Rady, Savil zwątpiła, czy wystarczy jej

sił, aby dotrzeć

do apartamentu. Ogarnęło ją takie wyczerpanie, że gotowa była położyć się pośrodku zimnego

korytarza.

Jestem na to za stara - mówiła do siebie.
- Po tych, których mam pod opieką teraz, nie

chcę już żadnych uczniów. Nie mogę już znieść tych emocjonalnych wzlotów i upadków. A

narady ze stadem tych starych, twardogłowych osłów są już naprawdę ponad moje siły.

Uśmiechnęła się do siebie ironicznie.

Sama należę do najbardziej upartych spośród nich. Ale, bogowie... to jest pora raczej

dla młodych. Wszystko mnie boli. Coś mi się wydaje, że będę musiała odwołać dzisiejszą

lekcję magii pogodowej Tylandela, inaczej ból nasili się nie do wytrzymania. Niech bogowie

błogosławią, nareszcie drzwi.

Weszła do swego apartamentu. Tylandel wprawdzie pozostawił dla niej zapaloną

świecę, lecz i ona już się dopalała. Nie miało to jednak znaczenia, bo przez okna pokoi, jej,

Mardika i Donni oraz Tylendela...
wkradało się srebrzystoszare światło zachmurzonego świtu.

Oślupiała. Łóżko Tylendela stało puste. Zobaczyła to przez otwarte drzwi.

Nie wpadaj w panikę, staruszek -
zganiała się. Spróbuj troszkę pomyśleć.
Po pierwsze,

łączy was wspólna magia, możesz mieć dostęp do jego umysłu. Sprawdź, dokąd prowadzi ta

droga.

Odnalazła cieniutką nitkę połączenia ich energii mówiącą “Tylenel” i podążyła za nią

do miejsca, gdzie znajdował się sam chłopiec. Nie było to zbyt daleko, właściwie nawet w tym

samym apartamencie. W pokoju Vanyela.

W pokoju Vanyela?

W pierwszej chwili chciała rzucić się do drzwi, otworzyć je i zażądać wyjaśnień. Ale

już po chwili zaśmiała się z cicha, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam?

Lecz... Vanyel? Bogowie, zlitujcie się. Nic nie wskazywało, że jest *shay'a'chern*...

Ale biorąc pod uwagę uprzedzenia Withena, można by przypuszczać, że już od dawna

dręczyły go obawy, iż chłopiec różni się od większości swoich rówieśników. A reakcją

Withena na te obawy byłoby...

Dokładnie to, co zrobił. Zatrzymał chłopca w domu, izolując go od

prawdziwego życia,

zamiast powierzyć jego wychowanie komuś z zewnątrz, i próbował narzucić mu zain-

teresowania, które sam uważał za właściwe. Usiłował ukształtować chłopca na sposób zupełnie

niezgodny z jego naturą.

Prawdopodobnie postarał się nawet, aby Vanyel nie dowiedział się, iż

współżycie dwóch osób tej samej płci jest możliwe. W konsekwencji tego, aż do momentu gdy

dowiedział się o Tylandelu, Vanyel sam

nie uzmysławiał sobie swych własnych skłonności.

Wszystko to stanowiło odpowiedź na szereg pytań. Teraz jednak należało się

zastanowić, jak doszło do tego, co wydarzyło się dziś, i jaki będzie to miało wpływ na

przyszłość?

Wciągnęła głęboko haust zimnego, wilgotnego powietrza i po omacku odnalazła drogę

do swego pokoju. Nie trzeba się śpieszyć. Można porozumieć się z Tylendelem leżąc w łóżku.

Zważywszy na jej obecny stan, będzie to nawet łatwiejsze.

Rozebrała się do naga, obiecując swemu umęczonemu ciału późniejszą kąpiel i -
nim

wślizgnęła się pod kołdrę - naciągnęła koszulę nocną. Czując ciepło pościeli, pobłogosławiła

wspaniałomyślność Tylandela, który przed pójściem spać pozostawił na jej łożu rozgrzewające

zakłęcie.

Usadowiła się wygodnie i uchwyciła cieniutką wstążkę myśloczucia. Jeśli ten

diabełek

nie śpi...

- *Savil?* - Odebrała przytłumioną snem, lecz przesyconą, uczuciem spełnienia myśl. -

Miałem wrażenie, że słyszałem, jak weszłaś. Odnalazłaś mnie, co?

- *No tak. I mam do ciebie mnóstwo pytań.* - Uniosła się nieco na posłaniu i poczuła, że

ból w ramieniu stał się mniej dokuczliwy. - *Jedyne naprawdę istotne brzmi: Jak udało ci się go*

do tego namówić?

- Nie musiałem tego robić. To on tego chciał.

Zdumienie niemal wytrąciło Savil ze stanu myślowy, co sprawiło, że musiała na nowo

odszukać płynącą ku niej wiązkę myśli Tylendela.

- Wygląda na to, że o czymś jeszcze nie wiem! Wielkie nieba, cóż to się wydarzyło

ostatniej nocy?

- Zbyt wiele, aby o tym teraz mówić. -

W tonie jego myśli pobrzmiwało
fizyczne i

psychiczne wyczerpanie. - *Nic mu nie
będzie, Savil. Doszło między nami nie
tylko do fizycznego*

*zbliżenia. Mam wrażenie, że przedtem i
potem rozmawialiśmy godzinami.
Podarował mi klucz*

*do swego serca i sam chciał, abym go
zatrzymał.*

Savil sardonicznie uniosła brwi.

- *Lendelu, nie chciałabym burzyć twego
szczęścia, ale czy mogę ci przypomnieć,
co się*

wydarzyło poprzednio, gdy poranek zastał cię w cudzym łóżku?

- Wszystko w porządku, Savil.

Naprawdę, tym razem wszystko jest w najlepszym

porządku. - Poczuję się nawet lekko zaskoczony tą pewnością. - Zawsze z przymrużeniem oka

traktowałaś moje miłości... ale... wiem, że tym razem to co innego.

Savil parsknęła.

- Prawda. Za każdym razem tak jest i lepiej nie pozwalaj starej, cynicznej kobiecie

zakłócać tej idylli.

- Nauczycielko... myślę, że to będzie coś więcej. Myślę, że on mnie potrzebuje.

- O nieba. Zgoda, jeśli twoim zdaniem to wszystko zmierza w tym kierunku....

Daj mi

*znać rano, jeżeli zechcesz
przeprowadzić się do niego, albo on do
ciebie. Chociaż... jego pokój*

*jest ładniejszy. Wolny moglibyśmy
przeznaczyć dla gości.*

*Dobiegł ją ton dźwięcznego śmiechu
Tylendela. - Chciałabyś odzyskać mój
pokój.*

- Jeżeli z niego nie korzystasz... a mówiąc poważnie, Tylandelu, gdy tylko wstanę, chcę

uciąć sobie z nim długą pogawędką i pragną, abyś i ty był przy niej obecny. On naprawdę

powinien się dowiedzieć, co go czeka jako shay'a'chem. Nie sądzą, abyśmy mogli sobie

pozwoić na zaniedbanie uświadomienia mu tego. W tej sprawie jeszcze są z tobą porozumieniem.

Hm... odwalaj wszystkie swoje przedpołudniowe zajęcia. Jestem zbyt zmęczona i odnoszę

wrażenie, że i ty nie zasnąłeś dziś zbyt wcześnie.

Ponownie Savil poczuła łagodny śmiech Tylendela i ich myśli zatraciły kontakt. Savil

poddała się zupełnie swemu wyczerpaniu i zapadła w sen, na który tak naprawdę straciła już ochotę.

Ale nim zasnęła, przez głowę przemknęła jej ostatnia myśl.

Co ja powiem Withenowi?

Uniósłszy głowę, Tyndel oparł ją na

łokciu i popatrzył na drzemiącego u jego boku

chłopca. Odpoczynek załagodził już ślady wielu godzin rozdzierającego serce płaczu.

Zrelaksowany, uwolniony od swej maski, Vanyel wyglądał teraz niczym niewinne, śpiące

dziecko...

...którym zresztą wcale nie był, o czym Tyłendel miał okazję przekonać się w dość

intymnych okolicznościach. Nie był nim w najmniejszym stopniu, pomijając

może jego

bezbronność.

- Van - szepnął, kładąc rękę na ramieniu chłopca. Mimo zapewnień przekazanych swej

mentorce, Tyłendel czuł lekki dreszcz niepewności. - Czy mógłbyś się przebudzić?

Vanyel poruszył się, zmarszczył nos i lekko uchylił powieki, a kiedy zobaczył, kto leży

obok niego, jego twarz rozpromienił serdeczny uśmiech. Pozbawiony swej pozy obojętności,

stał się równie czarujący jak piękny.

- Hm? - odezwał się mrużąc oczy, a Tyłendel poczuł w sobie wzbierającą falę

wdzięczności i ulgę, że jednak nie powtórzy się to, co zakończyło jego niesławny romans z

Nevisem.

- Chciałbyś mieć sublokatora?

- Ciebie... dlaczegoż to?

Uśmiechnął się. Wiedział już, że trzeba Vanyelowi dawać do zrozumienia, jeśli coś jest

tylko żartem, bo inaczej brał wszystko zbyt poważnie.

- Wygląda na to, że Savil chciałaby odzyskać swój pokój. Mówi, że dla gości. Poza tym

lubię twoje towarzystwo.

Odpowiedź Vanyela, choć nie wyrażona słowami, była stanowcza i bezsprzecznie

oznaczała zgodę.

- Mamy - rzekła surowo Savil - kilka problemów.

Podczas porannej toalety odbyła już w

myśli zapowiedzianą naradę z Tylendelem.

Myślomowa to przyjemna rzecz, pozwala zająć się kilkoma sprawami naraz. Gruntownie roz-

ważywszy całą sprawę zadecydowała, że jej rozmowa z Vanyelem powinna mieć miejsce w

jego pokoju. Przy odrobinie szczęścia, może tam będzie się czuł bardziej pewnie.

Savil wybrała sobie najwygodniejsze krzesło w całej izbie. To przywilej wieku -

tłumaczyła sobie, czekając, aż obydwaj młodzieńcy sami zajmą miejsca. Nie pytając o po-

zwolenie Vanyela, Tylendel przysiadł na brzegu łóżka, a Vanyel usadowił się na podłodze,

usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami.

Ach, ta łatwość przystosowywania się ludzi młodych! Gdybym i ja wciąż mogła taka

być! - pomyślała Savil. Sposób, w jaki chłopcy usiedli, podniósł ją na duchu. Vanyel usadowił

się u stóp Tylendela, poniżej niej i

swego kochanka. Mogło to wskazywać, że porzucił pozę

aroganczkiej wyższości. Bardzo ją to zaniepokoiło.

Czy posiadanie stałego partnera - zastanawiała się - mogłoby skłonić Lendela, aby

zaczął myśleć o czymś innym niż jego brat bliźniak i ta przeklęta waśń. Z drugiej jednak strony

ten chłopiec jest tak zgłodniały uczuć, że to wszystko może go wpędzić w inne tarapaty.

- Tak, istotnie mamy tutaj kilka

problemów do rozwiązania -
powtórzyła.

Tylendel przyjął te słowa potakującym
skinieniem głowy. Vanyel zaś zrazu
wydawał

się zakłopotany, potem zamyślił się.

- Pierwszy problem to twój ojciec,
Vanyelu. - Przerwała. Vanyel zagryzł
wargi. -

Jestem pewna, że zdajesz sobie sprawę
z tego, że jeśli twój ojciec się o tym
wszystkim dowie, z

pewnością nie będzie uradowany.

Vanyel chrząknął i pochylił głowę, na moment ukrywając twarz. Kiedy ponownie ją

uniósł, malował się na niej znużony, ironiczny półuśmiech, który wyrażał tyle samo bólu, co

rozbawienia. Był to zdecydowanie najszczerzy wyraz twarzy, jaki Savil do tej pory u niego

widziała.

- “Nie będzie uradowany” to mało powiedziane, ciociu - odparł pocierając palcem

skroń. - Ojciec... bogowie, nie potrafię

przewidzieć, co zrobi, ale wpadnie we wściekłość, to

jest pewne.

- Wezwie cię do domu, Van - odezwał się Tylendel matowym głosem. - Może to

zrobić, ponieważ nie jesteś pełnoletni, nie zostałeś Wybrany i nie należysz do Bardicum.

- A ja nie mogę cię przed nim obronić - westchnęła Savil, szczerze żałując, że nie jest w

stanie tego zrobić. - Przez jakiś czas, dzięki temu, że ojciec oficjalnie

powierzył cię mej opiece,

mogę go trzymać na dystans; ale tylko przez kilka miesięcy. Wówczas, cóż, znam twego ojca i

mogę ci powiedzieć, co zrobi. Myślę, że zamknie cię w areszcie domowym na okres

wystarczająco długi, aby wszyscy o tobie zapomnieli, aż wreszcie znajdzie jakiegoś uległego

księdza i wyśle cię do świątyni, najprawdopodobniej bardzo odległej, o szalenie ścisłej regule

kontaktów ze światem zewnętrznym.

Istnieje, przykro mi to mówić, kilka sekt, które

utrzymują, że *shay'a'chern* są plugawymi wykolejeńcami. Członkowie takiej sekty będą bardzo

szczęśliwi, mogąc cię „oczyścić” dla Withena i jego złota. A według praw tego królestwa,

żadne z nas nie będzie władne im w tym przeszkodzić.

Vanyel skinął potakująco głową. Patrząc w jego zatrwożone oczy, Savil

wywnioskowała, że Vanyel sam snuł już takie domysły, z innych powodów

jednakże.

- Czy mógłbym w takim razie coś zrobić? - zapytał z cicha.

- Oczywiście - odparła Savil. - Inaczej nie rozmawiałabym teraz z tobą.

Rozwiązanie to

jednak nie przypadnie ci do gustu. Jest ono proste, acz niesłychanie przykre. Za progiem tego

pokoju, Vanyelu, nic nie może się zmienić.

- Ależ... - Vanyel odwrócił się, aby zobaczyć, co Tylendel o tym myśli. Ten zaś

pokiwał głową, absolutnie zgadzając się z Savil. - Savil ma rację - rzekł ze smutkiem.

- Ależ... - zaprotestował Vanyel, błagalnie wyciągając ku niemu dłoń. Widząc jednak,

że Tylendel potrząsa tylko głową, zwrócił swe bolejące spojrzenie ku Savil. - Mardik i Donni są

dyskretni i sędzę, że można zaufać też Margret. Będzie trzymała język za zębami, nawet pod

groźbą tortur. Jeżeli chcesz tu pozostać, Vanyelu, nie wolno ci powiedzieć ani uczynić niczego,

co zdradziłoby twój związek z
Lendelem. Jeśli ludzie wezmą was na
języki, natychmiast

porozumiem się z twym ojcem.

- Najprostszy sposób, aby dać powód do
plotek, kochanie, to zmienić się i być dla
mnie

milszym niż dotychczas. Mówiłeś mi, że
dziewczęta powiedziały ci, iż jestem
zbożem. -

Oczy Vanyela rozszerzyły się w reakcji
na bezpośredniość Tylandela. - Z
pewnością nie

umknęło twej uwadze rozbawienie, jakie

to w nich wzbudza, a w po* równaniu do innych one i

tak wydają się dość grzeczne. Moje skłonności nie są ogólnie akceptowane przez społe-

czeństwo. To, że nie spotykają mnie nieprzyjemności, zawdzięczam dwóm sprawom. Po

pierwsze, jestem kandydatem na herolda, a heroldom wolno troszkę więcej niż zwykłym

śmiertelnikom. Poza tym moją patronką jest Savil i tak się składa, że ma ona najwyższy status

spośród wszystkich heroldów,
wylanczając oczywiście Osobistego
Królowej.

- A drugi powód? - zapytał Vanyel
przyciszonym głosem.

Usta Tylendela wykrzywiło coś na
kształt uśmiechu.

- Fakt, ze dwóch najbardziej
uciążliwych spośród moich dręczycieli
dostało ode mnie

taką nauczkę, że nie mogli się podnieść z
ziemi. - Och. Tylendel ujął dłoń Vanyela
w swoje

dłonie.

- Zdaję sobie sprawę, że chciałbyś, aby wszyscy o tym wiedzieli. Trudno mi wyrazić,

ile to dla mnie znaczy. Lecz jeszcze cenniejszą będzie dla mnie świadomość, że możesz ze mną

zostać.

- Nie sprzeciwiaj się, chłopcze - powiedziała Savil, zakłócając pełną namiętności

interakcję, jaka się między nimi nawiązała. - Musisz dać przedstawienie, z którym nawet sztuka

Mistrza Aktorów nie będzie mogła się

równać. Tylendel i ja rozmawialiśmy o tobie dziś po po-

łudniu.

Widząc głębokie zdziwienie bijące z twarzy chłopca, Savil odgadła, iż Vanyel nie

domyślił się, że odbyła z Tylendelem naradę w myślomowie. Jeśli tak, to może on nawet nie

wie, iż oboje posiadają ten dar.

- Oboje mamy dar myślomowy, chłopcze, który jest niezwykle przydatny w

wypadkach takich jak ten. Tylendel wyjawiał mi co nieco z tego, co sam mi opowiedziałeś, i

skłoniło mnie to do zmiany mojej opinii o tobie. Nie będę cię jednak okłamywać. Pomogę ci,

ponieważ Tylendel tego chce, ponieważ chce, abyś tutaj został. A teraz, rozkazuję ci: za

progiem tego apartamentu masz pozostać tym samym małym draniem, który tu przyjechał. A

jeśli uda ci się być choć trochę nieprzyjemnym w stosunku do Tylendela, to jeszcze lepiej. W

nagrodę przemienię zaraz to mieszkanie w mały raj dla was obojga. Czy to dobry interes?

Vanyel pobladł, przełknął ślinę i skinął potakująco.

Twarz Savil, po raz pierwszy od początku tej rozmowy, rozjaśnił uśmiech.

- To dobrze, chłopcze. Jeżeli choć połowa z tego, co mówi o tobie Tylendel, jest

prawdą, chyba cię bardzo polubię. Współczuję ci z powodu tego, co musiałeś znieść od swego

ojca. Powiem ci szczerze, że on nie jest już tym samym człowiekiem, którym był, gdy zostałam

Wybrana. Zrobił się zawzięty i uparty, a do tego ograniczony. Może to upływający czas go tak

zmienił, a może fakt, iż wielu jego starych przyjaciół odeszło już na Długi Spacer i on sam

czuje skradającą się po niego śmierć. A może to ten księżulo, z którym się związał. Nie wiem. -

Zakasłała. - Cóż, to nie jest w tej chwili istotne. Istotne jest to, że to udawanie potrwa tylko do

momentu, gdy ukończysz osiemnaście lat. Będiesz wtedy panem własnego losu, mogącym

robić, co mu się żywnie podoba. Ja ze swej strony postaram się, aby Tylendel zaczął mieć

kłopoty z lekcjami magii. - Tylendel zaśmiał się głośno. - Sądzę, że można go trzymać z dala od

Bieli, aż do chwili gdy osiągniesz pełnoletność. Później - jeśli ten romans przetrwa tak długo -

będziecie musieli sami decydować. Czy wszystko jasne?

- W zupełności, ciociu Savil. - Vanyel sprawiał wrażenie opanowanego i wyglądał

zupełnie inaczej niż chłopiec, który stanął przed nią miesiąc wcześniej. Nie potrafiła wskazać

przyczyny tej przemiany.

- *Lendelu, co się z nim stało?*

- *Żadnych masek - nadeszła natychmiastowa odpowiedź. - To jest właśnie prawdziwy*

Vanyel o złotym sercu. Taki, jakiego, poza mną i może jego siostrą, nikt nie poznał. Teraz

rozumiesz, dlaczego go kocham?

Ostatnie jego słowa zmroziły Savil.

- Czy jesteś tego pewny, mój mały? Czy naprawdę jesteś tego pewny?

Ich oczy spotkały się ponad głową Vanyela i Tylendel zatrzymał jej wzrok.

- Jestem pewny.

- A on?

- Nie wiem, lecz dla mnie był gotów przeciwstawić się ojcu. Myślę, że to o czymś

świadczy.

Zamknęła oczy, uciekając przed jego palącym, namiętym spojrzeniem.

- Jeśli tak, niech bogowie wam pomogą i mają w swej opiece.

Savil szybko przeniosła swą uwagę z powrotem na Vanyela, który wciąż - z tym samym

lękiem i poczuciem bezbronności, rozdzierającym jej serce - patrzył w stronę Tylendela.

- Pomogę ci, jak tylko będę mogła, synu
- powiedziała cicho. - Pomogę ci, jak tylko

będę mogła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie odchódź jeszcze - odezwał się niespodziewanie Tylendel, gdy Vanyel podniósł się z

podłogi. Ten popatrzył na niego z niepewnością. Nie przyzwyczał się jeszcze do nowej

sytuacji, do szczerości. Ciągle czekał na nagły zwrot, jakiś wstrząs, który jednak wcale nie

nadchodził. Tylendel zdawał się doskonale o tym wiedzieć.

- Wszystko w porządku, Van - rzekł łagodnie. - Naprawdę wszystko w

porządku, mam

ważny powód.

- Mam lekcję - zaprotestował Vanyel. -
Historię. W dodatku wciąż jestem
daleko w tyle

za pozostałą trójką. Twarz Tylandela
wykrzywił grymas.

- Jesteś sobie sam panem, pamiętasz?
Przynajmniej tak właśnie powinieneś się

zachowywać. Opuściłeś lekcje dziś
rano, opuść resztę zajęć po południu.
Powiesz im, że byłeś

chory. Powiesz, że burza przyprawiła

cię o ból głowy.

- Ależ...

- To ważne - głos Tylandela przybrał
pieszczotliwy ton. - Naprawdę. To jest
ważniejsze

niż lekcja historii. Jeżeli masz
zaległości, pomogę ci je nadrobić.
Proszę.

Nie musiał długo zachęcać Vanyela do
tego, co ten i tak zamierzał zrobić.
Lekcje nie

były nawet w najmniejszym stopniu tak
atrakcyjne jak towarzystwo Tylandela.
Tutaj nikt go

nie skrzywdzi. Tutaj komuś na nim
zależy. Był tym tak oszołomiony, że czuł
się, jak gdyby

wypił zbyt dużo wina. Tylko że teraz nie
dokuczał mu ból głowy.

Zamknął drzwi i odwrócił się ku swemu
kochankowi. Na jego twarzy odbijało
się

napięcie oczekiwania. Z ręką wciąż na
klamce, zastygł w bezruchu.

Tylendel przeciągnął się leniwie,
przechylając głowę do tyłu, jak gdyby
chciał

dosięgnąć sufitu. Wreszcie opuścił ręce,

wstał z łóżka i zbliżywszy się do Vanyela, położył mu

dłoń na ramieniu.

- Jest ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić - powiedział, delikatnie kierując przyjaciela

w stronę drzwi wyjściowych.

- Ależ... - z cicha zaprotestował Vanyel.

- Myślałem...

- Jesteś okrutnie przywiązany do słowa "ależ", kochanie - zachichotał Tylandel.

- Jak

cię nakłonić, abys powiedział coś

innego?

Otworzył drzwi, w dalszym ciągu nie wyjaśniając, z jakich to powodów ma zamiar

przedstawić kogoś Vanyelowi...

Sam przyznał przecież rację Savil, która przykazała im, aby utrzymywali swój związek

w tajemnicy.

Vanyel znów zaprotestował, lecz uzmysłowiwszy sobie, że jedyne słowo, jakie

przychodzi mu na myśl, to “ależ”, zaraz

zamilkł. Tymczasem Tylendel
wyprowadził go już na

zewnątrz, do ogrodów.

- Widzisz ten most? - Tylendel wskazał
na północ, ku pierwszemu z dwóch na
terenie

pałacu mostów na rzece Teril. - A ten
las sosnowy po drugiej stronie?

Vanyel skinął potakująco. Był to dość
spory las; drzewa wrastały nawet
daleko w

łąkę. Były wysokie, bardzo grube, o
barwie ciemnozielonej, niemal czarnej, i
ogromnych

konarach, które uginały się pod własnym ciężarem, dotykając ziemi.

- W momencie gdy mnie tam zobaczysz, zacznij liczyć do pięćdziesięciu, a później

rusz za mną - rozkazał Tylendel. - W razie gdyby ktoś nadszedł czy wyglądał przez okno, radzę

ci popробować swych umiejętności, odgrywając rolę małego zarozumialca.

Vanyel jeszcze raz pokiwał głową, kompletnie ogłupiony, lecz gotowy zastosować się

do wszelkich poleceń Tylendela.

Podczas gdy ten oddalał się, Vanyel z
rozmysłem przyjął

odpowiednią pozę: z rękoma założonymi
na piersi oparł się o małą bramę,
dokładając

wszelkich starań, aby sprawiać
wrażenie, że wyszedł tylko na
przechadzkę do ogrodu.

To będzie trudniejsze niż gra, którą
prowadziłem przedtem - pomyślał
posepnie,

usiłując rozglądać się dookoła, lecz nie
patrzeć w kierunku, w którym udał się
Tylendel. Wtedy

nie miałem nic do stracenia. Teraz, jeśli
powinno mi się noga, mogę stracić
wszystko.

Przymknął oczy i zwrócił twarz ku
słońcu, udając, że rozkoszuje się jego
ciepłem. Jeśli nie

powinno mi się noga... och, bogowie...
potrafiłbym oddać wszystko, aby tak się
stało...

wszystko. Przysięgam, mogę zrobić
wszystko, czego ode mnie zażadasz!

Zaryzykował spojrzenie z ukosa na drugi
brzeg rzeki. Tylendel zbliżał się właśnie
do

lasku sosnowego. Vanyel rozejrzał się,
podszedł do kępki liliowców, przez
chwilę przyglądał

im się z zachwytem i znów rzucił okiem
na drugi brzeg. Jasne włosy Tylendela
migotały

między ciemnymi drzewami jak
zaplątany pośród gałęzi kłębek włóczki
uprzedzonej z

promieni słonecznych.

Vanyel przeniósł swój zachwyty na
różowe winogrona, w rozmarzeniu
pochylając się,

aby uraczyć się ich wonią. Cały czas

jednak nie przerywał odliczania do pięćdziesięciu. Ledwie

jednak dobrnął do wymaganej liczby, zza żywopłotu wyłoniło się chichoczące stadko jego

wielbicielek, które spostrzegłszy go, postanowiły zmienić trasę swej przechadzki, aby się z nim

spotkać.

O, nie! - pomyślał przerażony i ukradkiem ogarnął wzrokiem okolicę, szukając

możliwości ucieczki. Nie znalazł jednak żadnego sposobu na uniknięcie spotkania

z nimi.

Wzdychając z rezygnacją, pogodził się z tym i czekał, aż się zbliżą.

- Vanyelu, co tutaj robisz? - zapytała łopocząc płowymi rzęsami smukła, dziecinna

jeszcze Jillian, - Czyż nie powinieneś być na zajęciach?

Vanyel zamaskował grymas. Pomyślał, że tylko Jillian mogła się tak zachowywać: To

cała ona - ani krzty zdrowego rozsądku i moralność charta w rui. Wlecze się za mną z

determinacją sokoła, który wypatrzył
właśnie gołębia. Panie, cała nadzieja w
tym, że ojciec

szybko wyda ją za męż. Inaczej
przewinie się przez wszystkie łóżka
dworu.

Mimo to uśmiechnął się do niej,
załączając do uśmiechu skrzętnie
wykalkulowany

grymas bólu.

- Mam okrutny ból głowy. Zaczął się w
nocy, wraz z burzą, i nie mogę się go
pozbyć.

Próbowałem zasnąć, ale... - Wzruszył

ramionami. - Ciocia zaproponowała,
abym poszedł na
długi spacer.

Cała grupka dusiła od chichotu.

- Założę się, że zaproponowała kijem -
parsknęła ironicznie ciemnowłosa Kerti,
odwracając się do słońca. - Zgorzkniała
Savil. Cóż, pospacerujemy z tobą i
obronimy cię przed
nudą.

Vanyel w złości zagryzł wargi, ale w
głowie zaświtała mu pewna myśl.

- Ciotka zasugerowała mi też trasę spaceru. - Zatrzymał ich, wykrzywiając twarz z

niezadowolenia. - Powiedziała, żebym się przeszedł na drugą stronę Łąki Towarzyszy i z

powrotem. Jestem pewien, że przez cały czas obserwuje mnie przez okno.

Popatrzył na nich z kwaśną miną.

- Choć wielce byłbym rad z waszego towarzystwa, mam jednak wątpliwości, czy

wasze buciki mogłyby znieść niedogodności spaceru przez łąkę

pełną...

- Końskiego łajna - dokończyła niezbyt
wykwintnie Jesalis, marszcząc nos i
zarzucając

do tyłu swe blond loki. - Szkoda. Masz
rację - ciągnęła i wysuwając nieco
przed siebie stopę, z

żalem popatrzyła na zdobiony bucik z
różowej satyny. - Właśnie ukończyłam
dekorowanie

pantofelków i odebrałam je od szewca.
Nie chciałabym ich zniszczyć, a byłyby
do niczego,

zanim przeszlibyśmy połowę drogi. - Na

innych twarzach pojawiły się podobne grymasy. -

Nigdy nie wybaczymy ci, że nas opuszczasz.

- Nie, to niesprawiedliwe - wykrzyknął Vanyel, przybierając zboląły wyraz twarzy. -

Obwinić mnie za rozkazy mojej kapryśnej ciotki! - Z żalością wywracał oczami. Jesalis zachichotała.

- Wybaczymy ci pod warunkiem, że nadrobisz to dziś wieczór, po kolacji.

- Dziś wieczór? - zapytał. Perspektywa spędzenia wieczoru z nimi, a nie z Tylendelem,

jak to zaplanowali wspólnie dziś rano, zasmuciła go.

Jego mina została odczytana jako grymas wywołany bólem głowy.

- Cóż, niekoniecznie, jeżeli w dalszym ciągu nie czujesz się najlepiej - poprawiła się

Jesalis.

- Po wędrowce przez łąkę, na której roi się od niebezpiecznych przeszkód -

zamaszystym gestem wskazał w kierunku
łąki po drugiej stronie rzeki - jestem
prawie pewny,

że nie poczuję się lepiej.

- Cóż...

- Zróbmy interes. Jeżeli mi wybaczycie,
przyjdę wam zagrać, kiedy będziecie

wykonywać swe robótki ręczne jutro
rano - rzekł zdesperowany,
przypomniawszy sobie, że

zawsze nalegali, aby dla nich zagrał.
Teraz był gotów przyrzec im niemal
wszystko, aby tylko

uniknąć utraty dzisiejszego wieczoru.
Przedtem nie mógł spełnić ich prośby.
Zbyt wiele

cierpienia by go to kosztowało. Teraz
jednak to, czy będzie, czy nie będzie
bardem, nie

wydawało się już tak istotne. W związku
z tym myśl o muzyce nie sprawiała mu
już bólu,

przynajmniej nie tak wielkiego jak
dawniej. I tak nie przyszło mu zapłacić
zbyt wygórowanej

ceny za ten wolny wieczór.

- Zagrasz? - zapiszczała Wendi, której

starsza siostra była wychowanicą matki

Vanyela. - Naprawdę? Rata mówiła mi,
że grasz równie pięknie jak bard!

- Cóż. - Wzruszył ramionami i
uśmiechnął się z afektacją. - Nie mogę
powiedzieć,

abym nie umiał grać na lutni. Znam też
jedną czy dwie ballady i jakieś tańce.

- Załatwione - potwierdziła Jesalis. -
Umowa stoi.

- Niech cię bogowie błogosławią, moja
droga - dodał ze szczerą wdzięcznością.

- A

teraz, jeżeli możecie mi wybaczyć, im
wcześniej uporam się z tą absurdalną
przechadzką, tym

szybciej będę mógł wrócić do łóżka.

Gromadka zatrzęsała się od chichotu i
wszyscy zawrócili, wybierając tę samą
drogę,

którą przyszli. Podczas gdy Vanyel
odprowadzał ich wzrokiem, zniknęli za
żywopłotem,

kierując się w stronę labiryntu.

Gdy tylko stracił ich z oczu, ruszył z
miejsca ciężkim | i krokiem i - udając
wielkie

zniechęcenie - przeszedł przez most.
Pokonał niewielkie wzniesienie i zaczął
posuwać się, choć

nie bezpośrednio, w stronę sosnowego
zagajnika.

Minał go, brodząc w miękkich trawach,
z których najwyższe sięgały aż do kolan.

Pomimo tego, co powiedział
dziewczętom, wśród traw nie kryły się
“pułapki” czyhające na

nieostrożnych. Troszkę go to zaskoczyło,
bo przecież przechadzki po pastwiskach
i wiążące się

z tym niespodzianki nie były mu obce.

Co, u diabła, robią te Towarzysze?
Zostawiają wszystko w jednym miejscu?
Chyba tak.

Powiadają, że one są równie
inteligentne jak ludzie. Przypuszczam, że
to możliwe. Naprawdę

prawdopodobne. Choć, tak samo jak
konie, jedzą trawę, a któż chciałby
spożywać posiłek w

wychodku?

Upewniwszy się, że nikt go nie zobaczy,
Vanyel zawrócił do sosnowego
zagajnika i

rozchylił ciężkie, szorstkie gałęzie.

Musiał niemal siłą torować sobie drogę
między nimi. Igły

wplątywały mu się we włosy i ubranie,
konary tworzące sklepienie nad jego
głową odcinały

niemal zupełnie dopływ promieni
słonecznych. Bezpośrednie światło
docierało nie dalej niż

metr w głąb lasu. Vanyel szedł pośród
pachnącego żywicą mroku, gałęzie
splatały się nad jego

głową w leśną koronkę, a usłana grubą
warstwą suchych igieł ziemia pod jego
stopami była

niczym miękki kobierzec. Dało się
wprawdzie słyszeć łamane z cichutkim
chrzęstem igły,

wydzielające dodatkową porcję
zapachu, ale mimo to Vanyel posuwał
się niemal bezgłośnie.

Gdzieś ozwały się głosy ptaków, lecz
ich śpiew zdawał się dobiegać z
wielkiej dali. Teraz, gdy

Vanyel znalazł się już między drzewami,
zagajnik robił wrażenie ogromnego lasu.
Był o wiele

większy niż wtedy, gdy patrzyło się na
niego z zewnątrz. Panowała w nim
magiczna, niemal

mistyczna atmosfera. Jakże się różnił od zalanej słońcem, zielonej łąki leżącej zaledwie kilka

metrów stąd.

Nie był to lasek, o którym słyszał. Ten znajdował się dużo dalej, w głębi łąki. Jednakże

stary las sosnowy przyprawiał Vanyela o przyjemne drżenie serca, ożywiał go i jakby

wzbogacał świadomość.

- Lendelu? - zawołał łagodnie w głąb błękitno-zielonej ciszy zalegającej pod konarami

drzew. Jego głos zabrzmiał głucho,
przytłumiony drzewami, których gęste
szpalery otaczały go

ze wszystkich stron. Ich pnie zdawały
się wznosić niczym zszarzałe hebanowe
kolumny. Od-

wrócił się powoli i wyteżył wzrok, by
spomiędzy cieni błakających się pośród

rozczapierzonych gałęzi wyłowić jakiś
kształt.

- Tutaj. - Usłyszał blisko za sobą. Wtem
po prawej stronie mignęła, niczym duch,
biała

sylwetka, która nagle okazała się być...

Towarzyszem. Pierwszym, jakiego Vanyel zobaczył z bliska. Obok, dotykając ręką

śnieżnobiałej, pochylonej szyi zwierzęcia, stał Tylendel.

- Oto ten, kogo chciałem ci przedstawić. Van, to jest Gala. Ona już o tobie wie,

Vanyelu, wiedziała już w nocy. Nasze umysły łączy specjalna więź.

Powiedziałem jej wszy-

stko, a ona zapragnęła cię natychmiast poznać.

Vanyel poczuł się dziwnie niezręcznie. Szafirowe oczy Gali błyszcząły

ogromną,

zatrważającą wręcz inteligencją, mimo że ciało nie odróżniało jej od zwykłego konia. Jak, do

diaska, przedstawić się koniowi?

Zaległo milczenie. Vanyel wpatrywał się w oczy Gali. Wreszcie przełknął ślinę i

odważył się spróbować ją zagadnąć.

- Witam - powiedział niepewnie, patrząc prosto w jej oczy, licząc na to, że przemawia

wprost do inteligencji zwierzęcia.

Próbował zapomnieć o swym uczuciu
onieśmielenia i

dezorientacji. - Mam nadzieję, że nie
masz nic przeciwko...

Gala parsknęła, a Tylendelem
wstrząsnął zduszony śmiech.

- Ona mówi, że od dawna żywiła
nadzieję, że znajdę miłego partnera i
dam jej spokój.

Twierdzi, że ogarnął ją lekki niepokój,
kiedy pewnego razu, poddając się
pieszczotom jakiegoś

dorodnego ogiera, nagle poczuła, że
przerywam jej idyllę swymi

nagabywaniami o bajkę na

dobranoc!

Takiej odpowiedzi Vanyel nigdy by się nie spodziewał. Stłumił śmiech.

- Lendelu, chyba nie zrobiłeś tego!
Tylendel skinął potakująco głową.

- Oczywiście, że to zrobiłem, ale tylko raz. To było bezpośrednio po tej historii
z

Nevisem i czułem się troszkę - zająknął się i odwrócił wzrok - samotny.

Vanyel położył rękę na jego dłoni spoczywającej na szyi Gali.

- Mam nadzieję, że po raz pierwszy i ostatni.

Tylendel przeniósł wzrok z dłoni Vanyela na jego twarz, w jego oczach zabłyśnięcie

uśmiechu.

- Tak - powtórzył cicho. - Po raz pierwszy i ostatni.

Cisza i spokój panujące w lesie sprawiły, że wszystko, prócz nich samych, przestało się

liczyć. Zakłęci czarem miejsca i sytuacji, zapomnieli o przemijającym czasie... Vanyel poczuł

silne pchnięcie w plecy, zachwiał się i
zrobił krok do przodu. Tylendel
podtrzymał go i uchronił

przed upadkiem. Obydwaj byli za
bardzo przestraszeni, aby wydobyć z
siebie coś ponad jęk

zdumienia.

Gala uskoczyła kilka kroków do tyłu,
wydając dziwne odgłosy. Vanyel gotów
był dać

głowę, że usłyszał jej śmiech. Nie
ulegało wątpliwości, że to ona pchnęła
go łbem prosto w

ramiona Tylendela.

Tylendel wybuchnął śmiechem, złapał się za brzuch i zakołysał się, nie mogąc złapać

tchu. Gala parsknęła, pokiwała głową, a Tylendel znów zaniósł się od śmiechu.

Rozmawiają. - Zrozumiał wreszcie Vanyel, patrząc na krztuszącego się Tylendela.

Albo... może ona droczy się z nim. O bogowie w niebie i piekle, wszystkie historie, jakie

opowiadają o Towarzyszach są prawdziwe! Szkoda, że nie słyszę, o czym oni mówią.

Poczuł niemiły skurcz w żołądku i jakiś
cierpki posmak. Tak smakowała tylko

zazdrość. Tylendela i Galę łączyło coś,
co nigdy nie będzie jego udziałem - coś,
co nawiązało

się między nimi na długo przed
pojawieniem się Vanyela. Ze względu
na to, on zawsze

pozostanie kimś z zewnątrz.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, poczuł
ostre ściśnięcie w gardle, a

do gorzkiego uczucia zazdrości dołączył
nagły dreszcz osamotnienia i cień
wątpliwości.

Właściwie Tylandel mógłby przecież mieć, kogo by tylko zechciał, prawda? - pomyślał.

A więc dlaczego miałby zawracać sobie głowę akurat mną? Skąd mam wiedzieć, że jest wobec

mnie szczerzy?

Nie zdążył jednak pogрузić się w otchłani czarnych myśli, bo naraz zdał sobie sprawę,

że ma zajęte ręce. Podtrzymywał właśnie Tylandela, który zanosząc się od śmiechu, nie mógł

złapać tchu i charczał jak wyciągnięta z

wody ryba.

- Nie zrobiłabyś tego! - wykrztusił Tylendel. Po policzkach spływały mu łzy. Wysunął

się z objęć Vanyela, by podejść do Towarzysza i zagrozić jej z udanym gniewem. Niestety

zamiar nie powiódł się, bo nim Tylendel zdołał się do niej zbliżyć, odpowiedź Gali przyprawiła

go o kolejny wybuch i chcąc zachować równowagę, musiał znów szukać oparcia, tym razem w

pniu jednego z drzew. - Nie waż się!

Galo, nie zrobiłbym czegoś takiego! Ty wstrętna szkapo!

Gala zatańczyła w miejscu, bezgłośnie stąpając kopytami po grubym dywanie z igieł.

Jej oczy połyskiwały szelmowsko i przez krótką chwilę Vanyel odniósł niepokojące wrażenie,

jakoby miał przed sobą wierzgającego Towarzysza i jednocześnie psotną młodą kobietę, mniej

więcej rówieśnicę Tylendela, niemo żartującą ze swego Wybranego.

To było jeszcze gorsze. Vanyel poczuł

się całkowicie osamotniony i zepchnięty
na

margines.

Tylendel zaś, nie zauważając wcale
rozpaczy przyjaciela, zdołał właśnie
opanować

śmiech i wyprostowawszy się, wycierał
wierzchnią częścią dłoni zamglone łzami
wesołości

oczy.

Jego twarz przybrała srogi wyraz.

- Widzisz, paskudna panno! - odezwał
się, udobruchany jej radosnym rzeniem i

pieszczotą chrap muskających jego policzek.

Pochylił się, a Vanyel ujrzał, że jego oczy łagodnieją.

- No, już dobrze, wybaczam ci - westchnął Tylendel poddając się i objąwszy szyję Gali,

przyłożył policzek do jej pyska. - Ale, do diabła, lepiej nie próbuj...

Czym było to, czego Gala miała “nie próbować”, Tylendel nie powiedział głośno, a

Vanyel nie był zupełnie pewny, czy chciałby się dowiedzieć. Coś

podpowiadało mu, że byłoby

to zbyt krępujące.

Wreszcie Gala wyswobodziła się z uścisku Tylendela i - znacznie łagodniej niż

poprzednio - popchnęła go w kierunku przyjaciela. Zbliżyła się jeszcze tylko do Vanyela i

leciutko - jak gdyby prosiła o wybaczenie - pogłaskała go nozdrzami po twarzy; było to niczym

delikatny pocałunek. Potem puściła się kłusem w głąb błękitnego mroku i zniknęła między

drzewami. Po jej odejściu w lesie zaległa cisza.

- Cóż - odezwał się w końcu Tylendel. -
To właśnie była Gala.

Vanyel odpowiedział pierwszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy.

- Bardzo ją kochasz, prawda?

- Bardziej niż cokolwiek czy kogokolwiek, wyłączając ciebie i Stavena - odparł niemal

przepraszającym głosem. - Nie jestem pewny, czy umiałbym to wyjaśnić... -
urwał,

spozstrzegłszy na twarzy Vanyela coś, co pozwoliło mu uzmysłowić sobie, jak przykre dla

przyjaciela było to spotkanie.

- Van. - Wyciągnął niepewnie rękę, chcąc położyć ją na ramieniu Vanyela.

Zaraz

jednak zrezygnował i cofnął dłoń, jakby w niepewności, czy w ogóle powinien go dotykać. -

Nie przyprowadziłem cię tutaj, aby cię zranić.

Szczery żal w głosie przyjaciela zmusił Vanyela do zebrania się w sobie i

przeanalizowania kotłujących się w jego sercu uczuć, nie tylko poddawania się im.

A odczucia owe były - delikatnie mówiąc - mieszane.

- Chyba jestem zazdrosny - powiedział po długiej chwili ciszy. - Wiem, że to niemądre,

bo przecież ona nie może cię mieć w taki sposób jak ja... ale w przeciwieństwie do niej nigdy

nie będę miał udziału w twych myślach.

- Och, nawet byś tego nie chciał... -
zaczaj Tyrendel.

- Nie w tym rzecz - przerwał mu Vanyel, cofając się kilka kroków. - Skąd mogę to

wiedzieć? Możesz mi powiedzieć, ale sam nigdy się o tym nie przekonam, prawda?

- Nie miał pewności, co jeszcze powiedzieć czy zrobić. Zamilkł więc i odwróciwszy się

z wolna, patrzył gdzieś w bok, w mrok cieni, które wchłonęły sylwetkę Towarzysza.

- Van. - Poczł na swym ramieniu lekki dotyk dłoni Tylendela. Zajrzał w jego oczy. -

Chciałbyś o tym porozmawiać? Czy chciałbyś usłyszeć, co to dla nas oznacza, jak to się zwykle

zaczyna? Myślisz, że pomogłoby ci to więcej zrozumieć?

Nie ufając swemu głosowi, Vanyel skinął głową.

- To nam zabierze chwilkę. Wybierz sobie jakieś wygodne miejsce, gdzie będziesz

mógł usiąść. A może chcesz wrócić do pokoju? - Tylendel uniósł brwi, podkreślając zapytanie.

- Nie, podoba mi się tutaj. Tutaj panuje

jakby bardziej intymna atmosfera. -
Vanyel

zająknął się, lecz szybko skrył wahanie,
rozglądając się w poszukiwaniu
dogodnego miejsca.

Wreszcie je znalazł, u stóp jednego z
największych drzew w zasięgu wzroku,
pomiędzy dwoma

jego korzeniami, z których każdy był tak
gruby jak jego jedno udo. Oparł się o
drzewo i

ześlizgnął po nim, aby usadowić się w
miejscu, gdzie korzenie odchodziły od
pnia.

Tylendel zamyślił się na chwilę nad własnym wyborem.

- Cóż, widzę tylko dwa sposoby na to, abym rozmawiając z tobą mógł jednocześnie na

ciebie patrzeć, a ponieważ nie chciałbym krzyczeć przez całą polanę...

I nim Vanyel zdążył zareagować, Tylendel wyciągnął się, na ziemi, kładąc mu głowę na

kolanach.

- ...tak jest lepiej - westchnął. Vanyel osłupiał.

- Van - powiedział cicho Tylendel,
zamykając oczy.

- Nie skrzywdzę cię. Nic mnie do tego
nie zmusi. Lubię przebywać w twojej
bliskości,

z tobą. Potrzebuję kontaktu

z ludźmi i nigdy nie wyrządę ci
krzywdy. Vanyel uspokoił się trochę.

- Mnie się też podoba ten las, choć
wygląda na to, że mało kto go lubi.
Zdawać by się

mogło, że czas przystanął tu w miejscu.
Tylendel miał wciąż zamknięte oczy, a
Vanyel

dostrzegł

między jego brwiami małą zmarszczkę
wywołaną bólem. Często nawiedzają go
bóle

głowy. Mówił mi o tym ostatniej nocy.
A może... może nie miałby nic
przeciwko temu,

gdybym spróbował mu ulżyć... -
pomyślał. Zawahał się przez moment,
ale w końcu

delikatnie, koniuszkami palców, zaczął
masować skronie Tylendela.

Ten zaśmiał się i Vanyel poczuł, że jego
ramiona rozluźniają się.

- Chyba będziesz musiał to robić przez jakieś sto lat. Zdaje się, że to mnie dostał się ból

głowy, który ty dziś sobie przypisywałeś.

- Miałeś mi opowiedzieć o Gali i tym, jak zostałeś Wybrany - zachęcił go Vanyel,

mimo że myśl o tych sprawach wciąż przyprawiała go o dziwaczne uczucie. - Choć praktycznie

rzecz biorąc, opowiedziałeś mi wczoraj całą historię swego życia, właściwie w dalszym ciągu

nic o tobie nie wiem.

- Zaczynając od początku, mam brata bliźniaka, który ma na imię Staven. Jest ode mnie

starszy o około godzinę. Przy okazji, on wcale nie jest do mnie podobny. Jest smuklejszy, ma

ciemniejsze włosy i jest o wiele bardziej przystojny. To on jest przywódcą, a ja jego poddanym.

Już od chwili gdy przyszliśmy na świat, nasze umysły łączyła więź, wtedy dość

nieskomplikowana. Przez cały czas coś się między nami działo. Dochodziło do

najróżniejszych

sytuacji. Na przykład wtedy gdy on wpadł do studni, ja straciłem przytomność. Kiedy ja

złamałem nogę, on zachowywał się tak, jak gdyby jemu się to przytrafiło.

Zawsze

wiedzieliśmy, co się dzieje z drugim z nas. - Tylenel wziął głęboki oddech. - Ludzie znali takie

przypadki, ale ja posiadałem także inne dary, z których mogłem korzystać.

Oprócz tej więzi ze

Stavenem, od czasu gdy miałem jakieś

dziewięć lat, mogłem odbierać myśli
innych. To dar

myśloczucia. Poza tym umiałem
sprawiać, żeby różne wypadki
przytrafiały się ludziom,

których nie lubiłem.

- Nie przysporzyło ci to żadnych
kłopotów? - zapytał Vanyel. - To znaczy
problemów z

innymi ludźmi. Domyślam się, że ta
twoja umiejętność niezbyt przypadła im
do gustu.

Tylendel nieznacznie potrząsnął głową.

- Nie zdarzało się to aż tak systematycznie, aby ludzie mogli się zorientować, a jeśli coś

zauważyli, to i tak bali się mojego ojca wystarczająco, żeby nie pisnąć ani słowa. Nie robiłem

tego często, to znaczy niezbyt często sprowadzałem na innych wypadki. Zawsze potem miałem

wyrzuty sumienia. Czasem Staven podjudzał mnie do psot, ale w tym akurat nie byłem mu

posłuszny. - Tylendel przerwał i zagryzł wargi. Na moment jego twarz okrył cień zadumy, ale

już po chwili chłopiec ponownie się rozchmurzył. - Najsilniejszym i najłatwiejszym do

opanowania darem była więź ze Stavenem. Była ona wprawdzie ograniczona do odczuć

fizycznych, lecz z czasem, kiedy nauczyliśmy się, jak z niej korzystać...

Vanyel zachichotał.

- Idę o zakład, że byliście postrachem dla innych. Tylenel odpowiedział zduszonym

śmiechem i puścił do niego oko.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby i nas obu łączyła taka więź.

Vanyel zarumienił się, ale powiedział dokładnie to, co myślał.

- Ja też nie miałbym nic przeciwko temu. Tylendel spoważniał.

- A teraz o dziwnych rzeczach, które wydarzyły się dalej. Staven dorósł dość wcześnie.

W wieku trzynastu lat był niemal tak wysoki jak ja w wieku lat piętnastu, i dziewczyny zaczęły

z nim flirtować. Zresztą nie tylko dziewczyny - dorosłe kobiety także.

Prawdę mówiąc, myślę,

że dostała mu się nie tylko jego, ale także i moja część zainteresowania kobietami. Tego lata

organizowaliśmy w naszym zamku turniej i wszystkie przedstawicielki płci żeńskiej, od

gęsiarek po goszczące u nas arystokratki, zabiegały o jego względy. On zaś zachowywał się jak

młody chutliwy kogut w korniku.

Napięcie sięgnęło zenitu, gdy jedna z dam przebywających z

wizytą u mojej matki przesłała

Stavenowi liścik, w którym
niedwuznacznie wyznała, iż byłaby

wielce rada zastać go wieczorem w
swym łóżu. Cóż...

Tylendel przymknął na chwilę powieki,
a po chwili spojrział z ironią na Vanyela.

- Zrozum, tak jak każdy dwunastoletni
chłopiec byłem po prostu ciekawy, jak
to się

robi. Przyrzekłem mu, że go nie zdradzę,
pod warunkiem, że pozwoli mi... och...
podśłuchiwać.

- Coś każe mi przypuszczać, że nie
wszystko potoczyło się zgodnie z planem

- odgadł

Vanyel.

- Zupełna klęska - odparł z powagą
Tylendel. - Byłem “z nim” aż do chwili,
gdy

naprawdę zaczęło się coś dziać. Od
początku czułem się nieswojo, lecz
starałem się nie zwracać

na to uwagi i skoncentrować się na
kontakcie ze Stavenem. Wtedy stało się
coś... nie wiem, jak

to opisać. W każdym razie zacząłem
zatracać poczucie własnego ciała,
zlewając się jakby ze

Stavenem. Im bardziej się koncentrowałem, tym dziwniej się czułem. Przypominało to trochę

wrażenie, jakie odnosiłem w czasie ściągania na ludzi tych małych katastrof. Obraz pokoju raz

zamazywał się, to znów stawał się wyrazisty, opanowała mnie jakaś chorobliwa gorączka,

serce waliło jak młotem i straciłem rozeznanie co do tego, gdzie byłem ja, a gdzie Staven.

Myślę, że w innych okolicznościach przerwałbym wszystko, lecz byłem zanadto uparty, a poza

tym lękałem się, że jeśli stchórzę, Staven wyśmieje mnie. Trzymałem się więc kurczowo

naszego kontaktu, łudząc się, że jeśli tylko uda mi się przetrzymać najgorsze, znów zacznie się

dziać coś zabawnego. Nagle...

- Potrząsnął z lekka głową, jego usta wykrzywił grymas.

- Dokładnie w chwili gdy Staven sięgał szczytu, coś... we mnie pękło. Ledwie mogę

sobie przypomnieć, jak to się zaczęło. To było tak, jak gdyby ni stąd, ni zowąd

wrzuciono mnie

prosto w ogień. To był
nieprawdopodobny ból. Czułem się,
jakby pchnięto mnie w sam środek

burzy z piorunami, a sądząc po tym, jak
zdemolowałem cały pokój, chyba
właśnie do tego

doprowadziłem. Coś z tamtych
wydarzeń, coś, co miało związek z moją
więzią ze Stavenem,

wyzwoliło wszystkie moje dary, które
ekspłodowały nagle z niesamowitą
mocą. Straciłem

przytomność na niemal dobę, a kiedy się

obudziłem... Wzdrygnął się.

- ...nagle wszystko się zmieniło.

Przymknął oczy. Vanyel pogładził jego czoło. W kąciakach zaciśniętych ust pojawił się

cień smutku. Gdzieś w dali Vanyel usłyszał śpiew jerzyków, lamentujących jak zagubione

duszycki dzieci.

- Nagle stałem się innym człowiekiem - ciągnął Tylenel cienkim, urywanym głosem. -

Nagle okazało się, że posiadam dar

magii, myśloczucia, przenoszenia i nieco daru empatii, a

działania żadnego z nich nie dało się przewidzieć, żaden z nich nie podlegał mojej kontroli i

każdy mógł dać o sobie znać, wybuchając w dowolnej chwili. - Spojrzawszy na twarz Vanyela,

odczytał na niej zakłopotanie.

- O bogowie, wciąż zapominam, że nie jesteś adeptem. Przenoszenie oznacza, że mogę

przenosić różne przedmioty, nie dotykając ich. Empatia to umiejętność

odczuwania tego, co

czuje ktoś inny. Dzięki temu ostatniej nocy wiedziałem, że dręczy cię koszmar. Myśloczucie to

zdolność czytania w myślach innej osoby, pod warunkiem, że osoba ta nie osłania się. Istotę

daru magii trudniej wyjaśnić, ale jest to właśnie coś, co daje magowi heroldów umiejętność

posługiwania się magią.

- Możesz czytać w moich myślach? -
rzekł Vanyel z powątpiewaniem.
Chciałby umieć

dzielić myśli Tylandela, w taki sam sposób jak Gala, lecz nie był zupełnie przekonany, czy tego

rodzaju jednostronna bliskość będzie dobra dla ich związku.

- Mogę, lecz nie będę tego robił. - Tylandel powiedział to z taką stanowczością, że

Vanyel nie odważyłby się wątpić w jego słowa. - Byłoby to nie tylko niesprawiedliwe wobec

ciebie, lecz przede wszystkim sprzeciwiałoby się to zasadom etyki herolda. Najczęściej

używam tego daru w kontaktach z Galą i Savil.

Vanyel, uspokojony, pokiwał głową.

- A więc wszystkie te dary jakby spadły na ciebie, a ty nie potrafiłeś ich ujarzmić.

- W rzeczy samej - odparł spokojnie Tylendel. - Wszystko to wydarzyło się o północy,

dwa lata przed tym, jak Gala przybyła po mnie. Gdyby nie Staven, oszalałbym.

- Dlaczego? - wyszeptał Vanyel. - Co się działo?

- Zapytaj raczej, co się nie działo.
Miałem napady - nagle budziłem się
pośród

spustoszeń, które sam posiałem w
promieniu kilkunastu metrów. Działo się
tak na skutek

współdziałania daru magii i
przenoszenia w sposób, jakiego nigdy z
Savil nie udało nam się

odtworzyć. Po prostu wpadałem w szal.

Zmarszczył brwi i potarł czoło.

- Tylko Staven mógł się do mnie zbliżyć,
tylko on chciał się do mnie zbliżyć,

niezależnie od tego, czy miałem właśnie atak, czy nie. Mówili, że zapanował nade mną demon.

Mówili, że to przez to, co Staven i ja chcieliśmy przeżyć wspólnie, zostałem opętany. Kiedy

zaczęło wychodzić na jaw, że jestem *shay'a'chern*, doszli do wniosku, że jestem potępieńcem.

- To... to idiotyczne! - z oburzeniem krzyknął Vanyel.

- Mimo to tak właśnie wszyscy twierdzili. Gdyby mieli odwagę, wygnaliby mnie. Lecz

nie zrobili tego. Staven poprzysiął, że jeśli mnie wypędzą, pójdzie ze mną, a on był

spadkobiercą, jedynym spadkobiercą, zważywszy na moje zachowanie. Matka nie mogła mieć

już więcej dzieci. Ojciec nie ożeniłby się z inną, a dochowywał wierności matce, więc nie miał

żadnych nieślubnych potomków. Nie było wyboru. Musieli pozwolić mi zostać, ale nie

nakładało to na nich obowiązku ułatwiania mi życia.

Vanyel pomyślał z trwogą, że Tylendel znajdował się w znacznie gorszym położeniu

niż on sam.

- Izolowali mnie. Omijali nawet wtedy, gdy czułem się zupełnie dobrze. Lecz kiedy

podczas jednego z moich ataków wszyscy mnie opuścili, on został i zaopiekował się mną z

całkowitą i niezachwianą wiarą, że nie wyrządzą mi krzywdy. Mimo plotek był absolutnie

przekonany, że nie jestem opętany, że

temu, co dzieje się ze mną, z pewnością można zaradzić.

Tylendelem znów wstrząsnął dreszcz; jego wylękłe oczy zdawały się patrzeć w inny

czas, inne miejsca. Vanyel, odczuwając przejmujący przyjaciela ból, złożył obydwie ręce na

jego ramionach, próbując wesprzeć go swą obecnością, nie przeszkadzając mu jednocześnie.

Tylendel podniósł nań oczy, poklepał jego dłoń i uśmiechnął się nieznacznie.

- Widzisz? Myślę, że to dzięki temu tak

dobrze się rozumiemy. No cóż, w końcu

pojawiła się Gala. Och, bogowie, nie potrafię nawet opisać, co czułem po raz pierwszy patrząc

w jej oczy. To było jak spotkanie naszych dusz. W dodatku ulga, uświadomienie sobie, że nie

jestem opętany... w mgnieniu oka przebyłem całą drogę z piekła do niebios.

Westchnął i na długą chwilę zatopił się w swych wspomnieniach.

- Co ona zrobiła?

- Przede wszystkim otoczyła mnie osłoną i zapewniała panowanie nad moimi

zmysłami przez cały czas potrzebny na dotarcie tutaj, zanim Savil przygarnęła mnie pod swoje

skrzydła. To wystarczający powód, aby ją kochać, bez względu na łączącą nas więź. Jest moim

najlepszym przyjacielem i siostrzaną duszą.

Chłodną, prawie zimną ręką dotknął policzka Vanyela.

- Ale ona nigdy nie będzie dla mnie tym,

czym jesteś ty. Czy pojmujesz, co mówię,

kochany? Zawdzięczam jej to, że jestem przy zdrowych zmysłach, lecz pod wieloma

względami ona nade mną góruje. Kocham ją taką samą miłością, jaką kocham Savil czy swoją

matkę, jak podwładny miłuje władcę. To nie jest uczucie, jakim brat darzy siostrę czy kochanek

kochanka. To nie jest miłość istot równorzędnych.

Przyłożywszy dłoń do dłoni przyjaciela,

spoczywającej na jego policzku, Vanyel ogrzewał ją swym ciepłem.

- Kim więc jestem dla ciebie?

- Jesteś moim partnerem, moim przyjacielem... i moją miłością. Vanyelu, nie

powiedziałem ci tego pośród tylu wyznań ostatniej nocy, ale wiedz, że naprawdę cię kocham.

Słowa te padły nieoczekiwanie. Z pewnością Vanyel nie spodziewał się, że ich zażyłość

przybrała już takie natężenie.

- Ależ... - wyjąkał, niezupełnie pewny, czy narastające w nim uczucie to radość czy

strach.

- Van, wiem, że nie znamy się zbyt długo, ale naprawdę cię kocham. - powiedział

Tylendel, ignorując “ależ” Vanyela. Zwrócił ku niemu oczy i ich spojrzenia się zbiegły. -

Kocham cię, ponieważ cię kocham, nie dlatego, że coś ci zawdzięczam, albo dlatego, że jakiś

bóg gdzieś tam zdecydował, iż mam

być heroldem, czy też dlatego, że jesteś
mym ukochanym

nauczycielem. Kocham cię, bo jesteś
Vanyelem i należymy do siebie i razem,
ramię w ramię,

możemy stawić czoło wszystkiemu.

Z zakłopotaniem Vanyel poczuł
pieczenie w oczach.

- Nie wiem... naprawdę nie wiem, co
powiedzieć - wyjąkał onieśmielony,
mrugając

powiekami. - Chociaż... Lendelu, po
ostatniej nocy... nie przypominam sobie,
abym

kiedykolwiek był tak szczęśliwy. Nigdy nikogo nie kochałem i nie wiem, co się wtedy czuje,

ale jeżeli... - próbował ująć w słowa swe odczucia - jeżeli gotowość oddania za ciebie życia to

miłość...

Potarł dłonią piekące oczy i ze wszystkich sił skupił się, by znaleźć słowa dla zwięzłego

opisania swych uczuć. Starał się pozbierać nie uporządkowane, wypływające z głębi serca

myśli, lecz wciąż z trudem przychodziło

mu wyartykułowanie tych wszystkich
oszałamiających emocji. Jeszcze nigdy
przed nikim nie otwierał swego serca
tak, jak robi to

dziś, i jeszcze nigdy nie czuł się tak
bezsilny.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko.
Zniósłbym szyderstwa, wytykanie
palcami... nie

zwracałbym na to uwagi, jeśli tylko
mógłbym być z tobą. Gdybym mógł,
oddałbym ci

wszystko. Uczyniłbym wszystko, aby
tylko cię uszczęśliwić. I z przyjemnością

podzielię się

tobą z Galą.

- Wielkie nieba, nie mów tak. - Tylenel zachichotał, choć jego głos zabrzmiał dziwnie

nisko, a oczy błyszczały pośród cieni. - Wiesz, że ona chciała podsłuchiwać? Ta lubieżna

szkapa na pewno z radością przyjęłaby twą ofertę.

Policzki Vanyela oblał gorący rumieniec. Zaśmiał się, wykorzystując chwilowe

zakłopotanie do przetrwania chwili,
kiedy poczuł się kompletnie bezbronny.

- Wiedziałem, że Gala mówiła o czymś,
od czego zrobię się czerwony jak burak.

Wiedziałem!

- No cóż, nie uda jej się zaspokoić swej
pożądliwości - obiecuję ci - rzekł
stanowczo

Tylendel. - Nie mam zamiaru się tobą
dzielić i basta.

Vanyel wszedł do pokoju przez drzwi
ogrodowe i na moment zmrużył oczy

potrzebujące paru chwil, aby po

jasności panującej w zalanym
południowym słońcem ogrodzie

przystosować się do półmroku izby. W
prawej ręce niósł swą lutnię, lewą dłoń,
owiniętą w

chusteczkę, przyciskał do piersi.

O bogowie, powinienem był uważać -
pomyślał posepnie, czując pulsujący ból
w lewej

ręce. Jestem beznadziejnym głupcem.

- Lendelu? - zawołał w kierunku
sąsiedniego pokoju, jedną ręką starannie
układając

lutnię na stojaku. - Jesteś tam?

- Oczywiście, że jestem. - Tylenel powoli wszedł do pokoju z nadgryzioną kanapką z

serem w dłoni. - To pora obiadu, przecież wiesz, że zawsze można mnie znaleźć tam, gdzie jest

coś do jedzenia!

Vanyel z wolna zaczął odwijać chusteczkę na swej dłoni...

Tylenel przestał przeżuwać i rzucił kanapkę na stół.

- O bogowie, Vanyelu, coś ty narobił?

Usiądź!

Widać było, że koniuszki palców Vanyela wcześniej pokryły bąble, które teraz

popękały. Sączyła się z nich krew, a skurcz tak zacisnął mięśnie całej dłoni, że chłopiec za nic

w świecie nie mógł jej rozewrzeć. Spoglądał tylko na okaleczenia z bolesnym

niedowierzaniem. Tylendel położył go na łóżku i ujął w dłonie okaleczoną rękę.

- Co narobiłem? Zrobiłem z siebie głupca i tyle - z żalością odparł Vanyel.

- Obiecałem

wczoraj dziewczętom, że jeśli zostawią
mnie w spokoju, przyjdę dziś rano
zagrać dla nich. Nie

pomyślałem o tym, że nie grałem
przecież od dawna... i cóż, szczerze
mówiąc, zupełnie

zapomniałem, że kiedy złamałem rękę,
straciłem częściowo czucie w
niektórych palcach. Nie

zdawałem sobie sprawy, co się z nimi
dzieje, aż do chwili, gdy poczułem, że
mięśnie dłoni

ściąga mi skurcz.

- Zostań tu. - Tylenel podszedł do małej szafki w nogach łóżka, która przywędrowała

do tego pokoju w trakcie przeprowadzki wraz z innymi jego rzeczami. Pochylił się nad nią na

moment i wrócił do Vanyela z bandażem i miseczką, do której nałożył jakiś balsam.

- Nie jestem uzdrowicielem - rzekł i usiadłszy obok Vanyela, wziął jego chorą dłoń w

swoje ręce - ale sam zraniłem się raz czy dwa, a ten balsam naprawdę pomaga.

Nabrał trochę maści na opuszki palców i rozmasował ją na wewnętrznej stronie dłoni

Vanyela. W pokoju uniósł się przyjemny, roślinny, ostry zapach, a palce Vanyela, pod

wpływem rozgrzewającej maści i masażu zaczęły się rozluźniać.

- Co to jest? - zapytał Vanyel, badawczo wdychając nieznaną woń. - Będę pachniał jak

makaron. Tylendel zaśmiał się.

- Nie kuś mnie o tak wczesnej porze, Vanyelu - *ashke*. To cynamon i nagietek.

Dobre

na skurcz mięśni i biedne,
złotretowane palce.

Rozmasował dłoń Vanyela aż po
koniuszki palców. Skurcz ustąpił niemal
całkowicie, a

balsam, zamiast szczytać - jak się tego
spodziewał Vanyel - uśmierzał ból
wszędzie tam, gdzie

wcierał go Tylenel.

- A teraz zabandażujemy.

- Jak ty przed chwilą mnie nazwałeś?

- *Ashke?* To *Tayledras*, język Sokolich Braci. Wszystkie te maski z piór na ścianie

Savil we wspólnej izbie pochodzą z *Tayledras*. Savil odbywała naukę wspólnie z jednym z ich

Biegłych, Gwiezdnym Wichrem k'Treva, a oni uczynili ją Skrzydlatą Siostrą. To dla nich coś

jak brat krwi.

Tylendel, nie spiesząc się, z troskliwością owijał każdy palec przyjaciela. Vanyel nie

miał nic przeciwko temu powolnemu

tempu, bo teraz, gdy ból ustąpił, zabiegi owe niosły z sobą

coś zmysłowego.

- Kiedy tylko w naszym języku zabraknie właściwego słowa na określenie czegoś,

Savil ucieka się do mowy Sokolich Braci i używa ich wyrażeń. Na przykład *shay'a'chern...*

oznacza... och... “ktoś, czyj kochanek jest jak on sam”, tej samej płci, nie “taki sam” w sensie

kazirodczym (nie jest to brat lub siostra) czy też ze względu na podobne

zainteresowania. To bardzo skomplikowany język. Tylenel podniósł wzrok i Vanyel

spozrzegł iskry rozbawienia na dnie jego oczu.

- Smakowicie pachniesz. Jesteś pewny, że chcesz pójść na zajęcia dzisiejszego popołudnia?

- Przyrzekliśmy Savil, że dziś będziemy cnotliwi - przypomniał Vanyel, mimo wzbierającego w nim pożądania.

Tylenel westchnął ciężko.

- Niestety, to prawda. Cóż, “ashke”
oznacza po prostu „ukochany”. I tak jest
to już

częścią twego nazwiska - *ashke*,
Ashkevron. Widzisz?

Zamaszystym ruchem wykończył
opatrunek na rękę przyjaciela,
zawijając końce

bandaża w ozdobną kokardę. - *Ashke* -
zadumał się Vanyel. - Podoba mi się to.
- Pasuje do

ciebie, *ashke*. Savil mówi, że Sokoli
Bracia rzadko posługują się imionami
nadanymi im przy

narodzinach. Gdy zostają magami,
wybierają sobie przydomki. Może
właśnie takie imię

zawsze było tobie przypisane. A teraz,
zanim postanowię złamać dane Savil
słowo, chodźmy

zjeść obiad i zachowajmy
wstrzemięźliwość!

Savil podniosła wzrok sponad książki i
przetarła zmęczone, zachodzące już mgłą
oczy.

Tylendel i Vanyel, pochłonięci nauką,
zajmowali kanapę naprzeciwko niej.
Światło świecy

otaczało aureolą złote loki Tylendela i rozświetlało swym ciepłym blaskiem jego złoto-brązową

tunikę. Siedzący obok Vanyel, odziany w głęboki błękit, zdawał się stanowić przedłużenie jego

cienia. Wspólnie czytali podręcznik historii Vanyela. Każdy z nich przytrzymał z jednej

strony rozłożoną na kolanach książkę. Tylendel objął Vanyela ramieniem, a ich głowy stykały

się we wspólnym skupieniu. Od czasu do czasu Savil dobiegał cichy pomruk pytań zadawanych

przez bratanka, po których następował o kilka tonów wyższy szelest odpowiedzi Tylendela.

To dziwne, że starszy, Tylendel, mówi tenorem, a młodszy, Vanyel, ma głos niższy,

głębszy od niego. - Zadumała się, mrużąc ze znużenia powieki. Ale i tak dobrali się w

niezwykły sposób. Nigdy nie przypuszczałabym, że Vanyel, syn Withena, jest *shay'a'chern*,

Ziewnęła niemo i przymknęła oczy. Sylwetki obydwu chłopców po drugiej stronie

pokoju zlały się w złotogranatową
plamę.

Vanyel musi sprawić, żeby Lendel
przynajmniej czasami przestał myśleć o
tej

przeklętej waśni. Chętnie bym go do
tego zachęciła. Nawet jeśli czasami
mam ochotę ukręcić

mu głowę za to zadzieranie nosa, wydaje
mi się, że pod wpływem Lendela Vanyel
zaczyna

postępować troszkę bardziej rozważnie,
a nawet staje się grzeczniejszy. Na
szczęście Mardik i

Donni biorą poprawkę na wszystko, co mówi, inaczej sami zbiliby go na kwaśne jabłko. Niech

ich bogowie błogosławią! On czasem nawet niechcący potrafi zachować się tak niegrzecznie!

Koniuszkiem kciuka przesuwała skórki przy paznokciach.

Chłopiec żył w kompletnej izolacji, więc przypuszczam, iż nie powinnam być

zaskoczona jego zachowaniem. Dzięki pomocy bogów, Lendel zdaje się nieco go cywilizować.

Już można zauważyć, że jest bardziej cierpliwy i chyba dużo miłszy, a z pewnością mniej

arogancki. Moje relacje powinny być wystarczająco zadowolające dla Withena, aby pozwolił

chłopcu tu zostać.

Widząc, jak Vanyel w skupieniu pochyła się nad książką, powstrzymała grymas

wykrzywiający właśnie kąciki jej ust.

Wygląda na to, że dobrze się bawi. Nie powiem, żebym miała coś przeciwko temu, aby

mój Lendel pomagał mu w nauce!
Biedaczysko, zawsze wtedy gdy
angażuje się w coś

emocjonalnie, nie jest w stanie wykonać
nawet połowy tego, co zaplanował.
Wciąż jednak nie

mam pewności, czy podoba mi się
sposób, w jaki Vanyel uzależnia się od
Lendela. To nie

wróży nic dobrego dla żadnego z nich.
W przyszłości może im to przysporzyć
nawet kłopotów.

Nagle, mimo że wzrok Tylendela wciąż
spoczywał na książce, dotknęła ją
cieniutka

nitka myśli płynących z drugiego końca pokoju.

- *Wiem, że taki widok przynosi ci ulgę, moja nauczycielko.*

- *Och, jakże ślicznie wyglądacie razem, mój mały diabełku* - odpowiedziała tym samym

tonem. - *I jakże jestem wdzięczna za waszą dyskrecją.*

- *To dyscyplina, tylko dyscyplina* - odrzekł wesoło Tylendel. - *Naprawdę nie dotarły do*

ciebie żadne plotki?

- Doszły mnie tylko słuchy, że pewnego dnia rzucicie się na siebie z nożami.

Oboje byli w świetnym nastroju.

- W takim razie, skoro wszystko idzie dobrze, jestem Vanyelowi coś winien.

Savil, zaskoczona tymi słowami, uniosła brwi i otworzywszy oczy, napotkała wzrok

Tylendela, patrzącego na nią z przyczajonym w kącikach ust szelmowskim uśmiechem.

- Jak to, ty mały nicponiu?

- Vanyel oczerniał mnie za moimi

plecami. Wiesz, to było takie zwykłe gadanie lalusia,

przede wszystkim na temat moich skłonności. Tak więc, jeśli coś z tego dotrze do Withena...

Zdecydowaliśmy, że powinienem się “dowiedzieć “ o tych obmowach i jak tylko ludzie zaczną o

tym mówić, złoić Vanyelowi skórę.

- Wielkie nieba! - Savil przygryzła wargi, powstrzymując się od śmiechu. - Przyganiał

kocioł garnkowi. Och, gdzież przepadają moje nadzieje na żywot w

niebie! Co chcecie zrobić?

*Masz zamiar wyzwąć go na pojedynek?
Wolałabym, abyście nie rzucali się na
siebie z niczym*

ostrym.

*- Cóż, moja kochana nauczycielko,
prawdopodobnie doprowadzę do
poważnej*

*konfrontacji z udziałem jak największej
liczby świadków, ale bez broni. Vanyel
za dobrze nią*

*włada, a doszliśmy do wniosku, że
powinien przegrać, aby wzbudzić
współczucie swych*

wielbicieli. Naszym zdaniem
najstosowniejsza będzie walka wręcz,
zapasy. Postaramy się też

nie machać za dużo pięściami. Przyszło
nam nawet do głowy, żeby spróbować
zorganizować

ten “pojedynek” przy okazji
następnego deszczu, w błocie. Będzie
świetna zabawa.

Savil, nie mogąc opanować śmiechu,
musiała przerwać na chwilę kontakt z

Tylendelem. Świetna zabawa,
rzeczywiście. O dobrzy bogowie, już
sobie wyobrażam ich obu,

gdy szamoczą się na oczach wszystkich,
kpiąc sobie z tego, że nikt nie ma
pojęcia, jaką

przyjemność im to sprawia.

*- Ty nicponiu, jak tylko przywdziejesz
Biel, wyślę cię na koniec świata jako
posta. Masz*

zbyt szalone pomysły!

*- Cóż, w ten sposób unikniemy ryzyka i
nie okaleczymy się za bardzo. Ale ja nie
mam*

*zwyczaju oszczędzać swych
przeciwników i biedny Vanyel jest
zmuszony zdecydować, który z*

jego strojów będę mógł zniszczyć. Dla zachowania pozorów, będę musiał rozszarpać jego

ubranie na strzępy.

Savil omal się nie udusiła, dławiąc śmiech wywołany wizjami i wyobrażeniami, jakie

dotarły do niej wraz z tą ostatnią myślą.

- Dla zachowania pozorów! Po prostu chcesz...

- Niby dlaczego, Savil? - Patrzył na nią z udaną niewinnością w oczach. - Jak coś

takiego mogło ci przyjść do głowy?

- Tak po prostu - odparła tonem tak chłodnym, że jej myśl ukłuła go jak igła.

- Biorąc

pod uwagę, kim jest dla ciebie w rzeczywistości mój protegowany.

- Cóż...

- No tak. Lendelu, jeszcze tylko słówko ostrzeżenia. Może i nie jest po twojej myśli, że

się do tego wtrącam, ale nie podoba mi się sposób, w jaki Van uzależnia się od ciebie. To nie

*przyniesie nic dobrego żadnemu z was.
On musi się zacząć uczyć, jak radzić
sobie*

samodzielnie.

- Och, Savil.

- Mówię poważnie.

*- To tylko taki okres. On jest młody i
tak bardzo mnie potrzebuje. Wielkie
nieba,*

*wyłaczając jego siostrę, nikt nigdy nie
chciał go pokochać. Jeśli tylko będę
przy nim przez*

pewien czas, a on będzie wiedział, że

go nie zawiodę, wyrośnie z tego.

- Lendelu, nie znam się tak dobrze na naturze ludzkiej jak Lansir, ale z mojego

doświadczenia wynika, że ludzie nie wyrastają z nawyku uzależniania się od innych. - Rzuciła

okiem na świecę wskazującą upływ czasu. - Och, zostawmy już tę sprawę, dobrze? Miej jednak

na uwadze, co ci powiedziałam. Dostyc już nauki jak na jeden wieczór. Idźcie do łóżka.

Znów razem z myślą Tylendela dobiegł

ją jego śmiech.

- *Dlaczegoż to, Savil?*

- *Do licha, żeby położyć się spać!*

Tylendel trącił łokciem Vanyela i zamknął książkę, po czym jeszcze raz obdarzył Savil

swym ironicznym spojrzeniem, które znała tak dobrze.

- Skończmy już na dziś, Van - powiedział cicho i...

- *Oczywiście, nauczycielko, aby położyć się spać* - przesłał jeszcze jedną myśl swej

opiekunce. A potem, gdy zniknęli już w swym pokoju...

- W rzeczy samej, później położyć się spać...

Do czasu nadejścia następnej porządnej ulewy, blisko dwa tygodnie później, Savil

zupełnie zapomniała o planowanym pojedynku. Tego popołudnia zarezerwowała salę ćwiczeń

dla Mardika i Donni. Mimo że oboje jej podopiecznych łączyła więź życia, współpraca przy

wykonywaniu jakichkolwiek zadań

magicznych przychodziła im z wielkim trudem. Donni

zwykle rzucała się do wykonania każdej czynności z pełnym rozmachem, Mardik natomiast,

zupełne jej przeciwieństwo, zatrzymując rezerwy sił do ostatniej chwili, wiecznie obawiał się

pełnego zaangażowania. Ich aury nigdy nie mogły zlać się w harmonijną całość, a ciągle ich

pulsowanie z kolei powodowało pojawianie się słabszych punktów w ich osłonach, które nigdy

w pełni się nie zazębiały. Savil przygotowała dla nich ćwiczenia, które miały zmusić niesforną

parę do wzajemnej synchronizacji poziomu emitowanej przez nich energii i podjęcia pracy jako

jedna całość, a nie niezrównoważony zespół. Wtem rozległo się nerwowe pukanie do drzwi.

Zjednoczone pola energetyczne rozproszyły się już przy pierwszym dźwięku i z cichym

plum rozpierzchły się, tworząc mżawkę dostrzegalnych gołym okiem iskierek, by w końcu

rozdzielić się na osobiste aury - zieloną
Donni i żółtą Mardika - otaczające teraz
sylwetki

obojga uczniów. Savil obrzuciła parę
piorunującym spojrzeniem i przyrzekła
sobie, że pośle im

jeszcze jedno takie, ale już ostrzejsze.

A niech to, ich koncentracja zupełnie się
rozproszyła. Jak te aury pulsują! Jeśli to
nic

ważnego, uduszę tego, kto się tam
dobija!

Gwałtownym ruchem zdjęła otaczającą
parę uczniów liliową osłonę i

zbliżywszy się do

drzwi, otworzyła je szarpnięciem. Na stojącego za progiem strażnika padło gniewne spojrzenie.

- Tak? - rzekła głosem ostrym jak brzytwa.

- Heroldzie Savil, między waszym bratankiem a protegowanym Tyłendelem...

wywiązała się bójka... - wyjąkał strażnik, mimo woli cofając się pod ostrzem jej wściekłych

oczu. - Tyłendel wzniosł wokół ich obu osłonę, przez którą nie możemy się

przedrzeć. Położył

waszego bratanka na łopatki i obawiamy się, że może zrobić mu krzywdę...

- Psiakrew! - wyrwało jej się, gdy przez krótką chwilę myślała, że rzeczywiście coś

mogło się stać i naprawdę doszło do bijatyki.

Wtedy dopiero przypomniała sobie o spisku chłopców i roześmiała się głośno prosto w

twarz strażnika.

Natychmiast jednak przybrała surowy,

wystudiowany wyraz twarzy, jaki z pewnością

pojawiłby się na jej obliczu, gdyby bójka była autentyczna. Zaciśnęła usta i zwiężyła oczy,

udając gniew.

- Prowadź - warknęła. - Zaraz ukróczę te brewerie!

Strażnik puścił się przodem wzdłuż korytarza. Savil podążała krok w krok za nim, z

każdym niemal stąpieniem zmagając się z przyniesionym przez deszczową pogodę bólem w

stawach.

Idę o zakład, że Lendel otoczył się magiczną osłoną tylko po to, aby ludzie nie byli w

stanie dostrzec, że on i Vanyel tak naprawdę wcale się nie biją - myślała, przyspieszając nieco

kroku, gdy strażnik wysunął się do przodu. I oczywiście po to, aby zbyt wcześnie nie przerwano

ich walki. Lepiej będzie, jeśli urządzię porządną scenę, bo inaczej Lendel mi nigdy nie wybaczy

przepuszczenia takiej okazji.

Nietrudno było odgadnąć, gdzie odbywa się walka. Kandydaci na heroldów, młodzi

dworzanie, uczniowie Bardicum i cała zbieranina innych młodych ludzi tłoczyła się wokół

bramy prowadzącej do ogrodów od południowowschodniej strony pałacu. Tłumek pochłonięty

bezmyślną paplaniną wrzał. Strażnik, nie zważając na tytuły czy stanowiska uczestników

zbiegowiska, przepychał się między ludźmi, a Savil, posuwając się za nim, wyglądała na zew-

nątrz przez ścianę deszczu.

Walczący znajdowali się około pięćdziesięciu kroków od drzwi, tuż obok

wybrukowanej ścieżki, w miejscu, gdzie trawa została już całkowicie wytarta.

Placyk, na

którym toczył się pojedynek, przypominał wybieg dla świń, ale rzeczywiście otaczała go

magiczna bariera. Mgiełka osłony oraz deszcz zamazywały obraz w takim stopniu, że napra-

wdę trudno było dojrzeć, co się

właściwie dzieje. Vanyel leżał na plecach. Tak przynajmniej

wydawało się Savil, ponieważ przyciśnięty do ziemi pokonany był nieco drobniejszy od swego

przeciwnika, a jego ubłocone włosy zdawały się mieć ciemniejszy kolor. Tylendel siedział mu

na piersi i gdyby Savil nie wiedziała, co się dzieje naprawdę, przysięgłaby, że chłopiec dusi

właśnie swego przeciwnika.

- Cofnij to, ty mały szczurze! - ryczał Tylendel. - Cofnij to, jeśli nie chcesz,

żebym ci

wetknął do gardła następny kilogram
błota!

Savil naprężyła się i wydała z siebie
okrzyk ubrany w najsroźszy z jej
repertuaru ton:

- DOŚĆ!

Obydwaj walczący natychmiast
znieruchomieli.

Powoli, spokojnie Savil wyszła na
deszcz. Zamiast miarowego dudnienia,
spod jej stóp

dobywał się chlupot, który z miejsca

naruszył powagę jej kroków. Deszcz w mgnieniu oka

przykleił jej włosy do czaszki, opuszczając kilka ociekających wodą pasemek na twarz i

przysłaniając oczy i usta.

Mimo to oceniła, że wygląda wystarczająco groźnie, gdyż ledwie zbliżyła się do

krawędzi magicznej bariery Tylandela i zatrzymała się, szemrania za jej plecami ustały.

- Zdejmij ją, uczniu - rozkazała. Jej głos był tak lodowaty, że mógłby zamienić

lejący

się z nieba deszcz w śnieg.

Tylendel wstał i zdjął osłonę. Teraz, gdy było go widać wyraźnie, rzeczywiście

sprawiał wrażenie, jak gdyby powrócił właśnie z wielkiej bitwy. Jego posklejane błotem włosy

rozsypały się na twarzy jak oblepione brudem kędziorki, jedno oko zaczęło zachodzić

siniakiem i puchnąć, a rozcięta dolna warga krwawiła. Tunika, podobnie zresztą jak i bryczesy,

była poszarpana i umazana błotem, a jeden butów zsunął mu się ze stopy i przekręcił na kostce.

Jego ponura twarz pałała, nietypową zupełnie dla Tylendela, dziką wściekłością.

Vanyel jeszcze przez kilka chwil leżał plackiem i w konwulsjach próbował złapać

oddech. Trwało to tak długo, że Savil przestraszyła się, że może chłopcu rzeczywiście coś się

stało. Gdy podniósłszy się z błota, stanął o własnych siłach, odetchnęła z ulgą.

Był w gorszym stanie niż Tylendel. Z jego podartej tuniki pozostało niewiele, a to co

ocalało wisiało strzępami, przytrzymywane paskiem i mankietami. Na ramionach i klatce

piersiowej Vanyel miał kilka groźnie wyglądających zadrapań i podobnie jak Tylendel,

rozpłataną wargę. Po chwili jednak okazało się, że najpoważniej ucierpiała jego prawa stopa.

Ledwie stanął na niej całym ciężarem ciała, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

Po tej jedynej próbie nie ruszał się już, stał tylko z założonymi rękami, z wyrazem

twarzy tak podobnym do Tylendela, że wzbudził tym prawdziwe obawy Savil.

- *Lendelu?* - Savil przemówiła myślą do swego ucznia, wkładając w to jedno słowo

cały swój niepokój i zdenerwowanie.

Twarz Tylendela nie drgnęła nawet, lecz ton płynących ku niej myśli chłopca był

równie radosny i rozbawiony, jak jego oblicze ponure i gniewne.

*- Nie bój się, moja droga nauczycielko.
Wszystko toczy się prawie zgodnie z
planem.*

Westchnęła z ulgą.

- Prawie?

*- W trakcie naszych treningów nie
mogliśmy posunąć się aż tak daleko, a
więc nie*

*wszystko udało nam się przewidzieć.
Van ugodził mnie łokciem w oko,
obydwu nam udało się*

*utaplać nawzajem w błocie, ale wydaje
mi się, że Vanyel skręcił sobie nogę,
kiedy go*

przewróciłem. Pospiesz się ze swoim kazaniem, bo z trudem utrzymuję powagę na twarzy!

Savil wyprostowała się i spojrzała na chłopców z wysokości nasady swego długiego

nosa, nie zważając na spływające po nim strużki wody.

- Ładne rzeczy - syknęła jadowicie. - Jak mam ufać swym podopiecznym, którzy

podczas mojej nieobecności nie potrafią się zachować jak cywilizowani ludzie!
Co mam z

wami zrobić? *Znaleźć* wam specjalnych opiekunów?

Tylendel otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz pod naporem lodowatego

spojrzenia Savil, szybko zrezygnował z tego zamiaru. Deszcz powoli wypłukiwał błoto z jego

włosów.

- Uczniu Tylendelu, powinieneś wiedzieć, jak się zachowywać! Jesteś kandydatem na

herolda. Oczekuję od ciebie postępowania, które licuje z godnością i

honorem należnym naszej

pozycji. Nie życzę sobie widzieć cię
tarzającego się w błocie jak sześciolatek
pozbawiony

manier i rozumu! Bez względu na to, czy
Vanyel cię prowokował, czy nie,
powinieneś być

przyść najpierw do mnie, a nie
próbować samodzielnie radzić sobie z
problemem!

Tylendel zwiesił głowę i mamrotał coś
w kierunku kałuży u swych stóp.

- Głośniej, uczniu! - rzuciła. - Nie
słyszę, co mówisz.

- Tak, heroldzie Savil - powtórzył szorstkim głosem, pobrzmiwającym stłamszonymi

uczuciami. - Nie miałem racji.

- Idź do swego pokoju. W tej chwili. Ogarnij się. Zajmę się tobą, gdy tylko skończę z

Vanyelem.

Tylendel lekko skłonił głowę, a potem bez słowa przeszedł obok niej i przecisnął się

przez tłum w drzwiach. Savil nie odwróciła się, aby odprowadzić go wzrokiem, ale spośród

równomiernego szumu deszczu
wyłowiła szmer rozstępującego się
przed Vanyelem tłumy.

Jedna czy dwie osoby parsknęły
zduszonym śmiechem, ale nie stało się
nic więcej.

Zwróciła teraz swe świdrujące
spojrzenie na Vanyela, który rzucał na
nią gromy spod

kosmyka czarnych włosów,
zakrywających jedno oko.

- Co do ciebie... Bardzo ładnie. -
Postąpiła kilka kroków naprzód i stojąc
z założonymi

na piersiach rękami walczyła z
targającym nią drżeniem, było jej bardzo
zimno.

- Słyszałam o twoich wstrętnych
obelgach, obmowach i tym podobnych
sprawkach.

Dokuczałeś Lendelowi od momentu,
kiedy się tutaj znalazłeś, młodzieńcze.
Nie mam zamiaru

tego dłużej tolerować!

Vanyel uniósł na nią wzrok,
odpowiadając spojrzeniem, W którym
zawarł całą swą

wrogość.

- On jest zwykłym...

- On zajmuje tutaj pozycję nieco wyższą niż ty, chłopcze, i lepiej to sobie zapamiętaj! -

wrzasnęła. - Zabraniam ci opuszczać własny pokój, do odwołania! Jak tylko się dowiem, że

wytknąłeś nos z apartamentu, oczywiście wyłączając pory zajęć obowiązkowych, odeślę cię do

ojca tak szybko, że nie zdążysz nawet się obejrzeć! A teraz, marsz!

Vanyel zacisnął zęby, odwrócił się na pięcie i obrawszy kierunek przeciwny

do

Tylendela, ruszył do komnat Savil przez zalany deszczem ogród. Vanyel wyraźnie utykał, a

Savil, patrząc na to ze współczuciem, przejęła się tak mocno, że sama poczuła ból w kostce. Nie

drgnęła jednak i nie zrobiła nic, aby mu pomóc. Poszła tylko za nim, jak gdyby chciała się

upewnić, że chłopiec dotrze na miejsce.

Ledwie jednak zniknęli za załamaniem muru i tłumek zgromadzony przy drzwiach

stracił ich z oczu, porzuciła swą dumną pozę i pobięła przez śliski trawnik, aby dogonić

Vanyela.

- Oprzyj się na mnie, chłopcze - powiedziała, zbliżywszy się do niego i założyła jego

rękę na swe ramiona.

- Już od dawna nazywano mnie starą babą sztywną jak kij od szczotki, a teraz wreszcie

mogę ci posłużyć za podporę.

- Ciociu... dzięki bogom... - wybąkał

Vanyel. - Myślałem, że nigdy nie
znikniemy z ich

pola widzenia. - Potknął się i prawie
upadł, ale całym ciężarem ciała oparł
się o Savil, aż i ona

zachwiała się na nogach. - Proszę,
muszę chwilkę odpocząć. O bogowie w
niebiosach, co za

ból...

- Czy jest aż tak źle? - zapytała ciotka,
czując drżenie chłopca przemarzniętego
na

zimnym deszczu.

- Nie wiem, jak źle. - Z trudem przywołał na usta blady uśmiech. - Boli bardziej, niż

wtedy, gdy wbiłem sobie cierń w palec, ale mniej niż złamane ramię. Czy to daje ci jakieś

pojęcie?

- Raczej nie - odparła. - Chodźmy, im wcześniej wejdziemy do środka, tym będę

szczęśliwsza. Mam tylko nadzieję, że mój protegowany ma dość zdrowego rozsądku, aby nie

wybiegać nam naprzeciw.

Widać już było okna apartamentu Savil.
Jej serce zamarło na moment, gdy
ujrzała

kogoś spieszącego ku nim w deszczu.
Wtedy zobaczyła jeszcze jedną sylwetkę
i uświadomiła

sobie, że to nie Tylendel biegnie im na
pomoc, lecz Mardik i Donni.

Oboje przejęli zadanie podtrzymywania
Vanyela, dzięki czemu Savil mogła
swobodnie

ich wyprzedzić, a była im za to wielce
wdzięczna. Przemarzała już do szpiku
kości i całe jej ciało

począł ogarniać uporczywy ból.

Weszła do pokoju Vanyela przez drzwi ogrodowe i nim zdążyła przestąpić próg, już

ktoś owinał ją w ciepły pled i niósł do wspólnej izby. Osobą tą okazał się oczywiście Tylendel.

Został przy niej, aż usadowiła się w swym ulubionym fotelu, a następnie podał jej kubek

grzanego wina z korzeniami. Zaraz potem zniknął.

Po chwili był znów z powrotem, prowadząc wspartego na swym

ramieniu,

kuśtykającego niezgrabnie Vanyela.

Na kanapie czekał już pled. Tylendel omotał nim przyjaciela i wcisnął mu do ręki kubek

grzanego wina z korzeniami.

Mardik i Donni zjawili się zaraz po nich i z chichotem strząsając z włosów krople

deszczu, rzucili się wprost ku garnkowi z winem na piecu.

Vanyel natomiast znacznie bardziej interesował się opuchniętym okiem i

rozciętą

wargą kochanka niżli swym własnym
kubkiem wina.

- O bogowie... Lendelu, nie chciałem
tego zrobić... - użalał się, nieśmiało
wyciągając

dłoń, aby dotknąć sińca. - O Panie i
Pani, dlaczegoż muszę być taką
niezdarą?

- Och, rzeczywiście bijesz się jak
dziewczyna - przekomarzał się Tyrendel.

-

Wymachujesz tylko rękami i nogami.
Przecież sam jestem sobie winien, że

podetknąłem twarz

pod twój łokieć. To o twoją kostkę się
martwię. - Zabrał się do
rozsnurowywania buta

Vanyela, mocując się z mokrymi
sznurówkami i przeklinając pod nosem,
gdy nie chciały

ustępować.

- To... auć! Tylenel zamarł.

- Czy coś zrobiłem?

- Nie - jęknął Vanyel przez zaciśnięte
zęby. - Zdejmij tylko ten but, zanim
będziesz

musiał go rozciąć.

Tylendel jednak tak długo mozolił się z butem, że w końcu zniecierpliwiony Mardik

odsunął go na bok i sam zabrał się do tego trudnego zadania. Szarpnął z całej siły, but zszedł z

nogi, ale w tym samym momencie twarz Vanyela zrobiła się woskowobiała, a jego palce wpiły

się w dłoń Tylendela. Tymczasem Mardik przyglądał się chorej kostce, po czym zawyrokował,

że prawdopodobnie nie jest złamana i

uniósł stopę ku górze.

- O nieba, nauczycielko - śmiał się Mardik. Odebrał od Donni swój kubek z winem i

powrócił na swe miejsce u jej stóp, naprzeciw Savil. - Czy i my byliśmy tak zwariowani?

Bogowie, czuję się, jakby mnie ktoś oblewał słodkim syropem!

- Przez jakieś pięć czy sześć pierwszych miesięcy tak - odparła z powagą Savil,

upiwszy łyk wina. - Równie zwariowani i równie przesłodzeni, a nawet bardziej sentymentalni.

Wy dwaj moglibyście mi podziękować.

- Oczywiście, Savil - odezwał się Tylendel, przekręcając głowę. - Jeśli tylko nam

powiesz, za co mamy ci dziękować w tej chwili.

- O bogowie, Vanyelu, czy ty nigdy nie słuchasz, o czym się mówi?

- Wybacz mi, ciociu - stęknął zakłopotany. Włosy wciąż zakrywały mu jedno oko. -

Moja stopa boli tak mocno, że nie zwracałem uwagi na to, co mówiliście. A poza tym, muszę ci

powiedzieć, że to nie było porządne kazanie.

Savil wzniosła oczy ku niebu.

- Bogowie, dodajcie mi sił. Właśnie zakazałam ci opuszczać te pokoje do czasu, kiedy

uznam za słuszne odwołać mą decyzję, ty mały głuptasie. Właśnie uwolniłam cię od tych

chichoczących panienek i wydałam ci rozkaz pozostawania tutaj przez czas nieokreślony. Z

wyjątkiem lekcji, całe dni będziesz spędzał tutaj. Rozkaz obejmuje też

spożywanie tutaj

posiłków.

- Naprawdę? - zapytał Vanyel
zdziwiony. - Naprawdę? To znaczy, że
mogę tu zostać?

- Razem z Tylendelem macie tu zostać i
nie wzbudzać żadnych podejrzeń -
dodała. -

Właśnie to miałam na myśli. Twój
ograniczony ojciec najprawdopodobniej
ucieszy się, gdy

usłyszy, że...

Urwała, widząc, że żaden z nich już nie

zwraca na nią uwagi. Z drugiego końca pokoju

dobiegł ją chichot Mardika.

Posłała mu ironiczne spojrzenie.

- Nie bądź taki zadowolony z siebie -
rzuciła w jego stronę. - Bo opowiem
parę

historyjek o was.

- Dobrze, Savil - odparł Mardik, bez
cienia skruchy.

- Co tylko sobie życzysz. Czy chciałabyś
trozkę miodu do wina?

Savil popatrzyła na parę na kanapie. Tylendel bandażował właśnie kostkę Vanyela,

podchodząc do tego z taką delikatnością, jak gdyby było to skrzydło owada. Savil skrzywiła się.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. - Jak na jeden wieczór, mamy tutaj aż nadto słodczy.

Tylendel podniósł na nią oczy i pokazał jej język. Vanyel oblał się rumieńcem.

Savil zareagowała uśmiechem i zadowolona ze swej uwagi, zanurzyła się głębiej w

fotel. Oby tylko zrelaksować się przynajmniej przez chwilę - pomyślała, popijając wino - to

wszystko, na co może mieć nadzieję herold. O jutro będę się martwić, gdy nadejdzie jutro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tylendel rozparł się w swym ulubionym fotelu i spoglądał na Vanyela, który siedząc na

łóżku ze skrzyżowanymi nogami, pochłonięty był zakładaniem nowych strun do swej lutni.

Blask świecy podkreślał miodowe

żłobienie wzdłuż okrągłego pudła instrumentu.

Czy to już czas? - zastanawiał się. Gra wprawdzie dla dziewcząt, ale to nie ma większego znaczenia. Wtedy nie dba o to, czy gra dobrze czy źle. Ale czy zagra dla kogoś, kogo

kocha, dla kogoś, kto się liczy? Czy potrafi? Czy czuje się już na tyle dobrze?

Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

- *Ashke* - podjął z cicha, wykorzystując, jak tylko mógł, swój dar empatii. Vanyel

uniósł oczy znad lutni. Ze strunami
zwisającymi mu z ust niczym wąsy suma,
przedstawiał dość

komiczny widok.

- Hm? - odparł

- Zagrasz dla mnie, gdy już nastroisz
swego Skowroneczka?

Vanyel osłupiał. Tylendel dzięki swemu
darowi wyczuł wstrząs i... ból
wywołany

pytaniem. Natychmiast zareagował.

- Proszę? Tak bardzo bym tego chciał.
Vanyel wyjął struny z ust i Tylendel

zrozumiał,

że jego przyjaciel znów chowa się w swej skorupie.

- Dlaczego? - zapytał gorzko. Jego wilgotne oczy błyszczały. - Tu na miejscu, w

Bardicum, są dziesiątki lepszych ode mnie. Po co słuchać okaleczonego amatora? Tylenel

powstrzymał naturalny odruch - nie podszedł do niego, nie przytulił, aby w ten sposób ulżyć mu

w bólu. Z pewnością załagodziłoby to cierpienie, ale nie mogłoby zaleczyć ran.

- Ponieważ jesteś już zdrowy - odparł. -
Ponieważ nie jesteś amatorem. Jesteś
dobry.

Wszyscy bardowie tak mówią.

- Ale nie dość dobry, aby stać się
jednym z nich. - Zanim Vanyel zdążył
odwrócić

głowę, Tylendel ujrzał łzy w jego
oczach.

- To nieprawda - łagodnie
zaprotestował. - Posłuchaj, Van, nie
idzie o to, że nie jesteś

dość dobry. Rzecz w tym, że brak ci
daru. Czy ślepiec może być malarzem?

Vanyel potrząsnął głową, a Tylendel poczuł, że Vanyel coraz bardziej ucieka od tej

rozmowy.

- To nie to samo - rzekł matowym głosem. - Ślepiec nie widzi obrazu, a ja mam zdrowe

uszy.

Tylendel przez chwilę zastanawiał się, jak dotrzeć do tego najciemniejszego zakamarka

zbolełej duszy swego ukochanego. W końcu wydało mu się, że znalazł pewną drogę.

- *Ashke*, z jakich powodów, twoim zdaniem, w Bardicum kształci się minstrelki?

Dlaczego ludzie z chęcią przyjmują minstrelki, choć dookoła roi się od bardów? - Kiedyś zadał

to samo pytanie Bredzie, która posiadała wszystkie trzy talenty barda: dar, umiejętność i

kreatywność. Jej odpowiedź okazała się bardzo pouczająca.

Vanyel, wciąż nieprzystępny, potrząsnął głową.

- Bo za mało jest bardów, zupełnie tak

samo, jak ciągle brakuje heroldów czy
uzdrowicieli.

- Mylisz się - stanowczo zaprzeczył
Tylendel - a wiem to od Bredy. Czasem
dar

przeszkadza muzyce.

- Co? - Vanyel ze zdumienia poderwał
głowę, a Tylendel ujrzał spływające po
jego

twarży łzy. - Jak to rozumiesz?

- Dokładnie tak, jak powiedziałem. -
Teraz nadszedł odpowiedni moment, aby
wstać i

podejść do Vanyela, i Tylendel
dokładnie to zrobił. - Posłuchaj i
pomyśl, czym jest dar barda.

To umiejętność przelewania uczuć w
serca ludzi przy pomocy muzyki. Tylko
że podczas gdy

bard zajmuje cię owymi emocjami
zawartymi w pieśni, nie zważasz na
muzykę, prawda? W

rzeczywistości nigdy nie doceniasz jej
piękna, bo jesteś zbyt pochłonięty
słowami płynącymi z

ust barda. Nigdy nie słuchasz muzyki dla
niej samej, a gdy zapamiętujesz pieśń
barda, nie

zapamiętujesz jej melodii, lecz uczucia,
jakie w tobie wyzwoliła jej treść. Jest
jeszcze jeden

powód: gdy gra bard, nie wkładasz w
słuchanie żadnego wysiłku. Natomiast
gdy gra minstrel

lub bard pozbawiony daru, dociera do
ciebie dokładnie tyle muzyki, ile
wysiłku kosztuje cię

wysłuchanie się w nią. - Zaśmiał się i
ujął w dłonie omdlałe ręce Vanyela. -
Breda twierdzi, że to

taka sama różnica, jak między miłością z
opłaconą kurtyzaną a pieścizotami
kochanka. Twój

kochanek może nie być tak biegły w sztuce miłosnej, ale jego pieśczoćy mają w sobie dużo

więcej autentyzmu.

- Breda tak powiedziała? - wyjąkał Vanyel.

- Tak, kiedy była troszkę podchmielona.

- Nie dodał, że było to w mieszkaniu Savil,

tego samego wieczoru, kiedy sprawdzała umiejętności Vanyela i rozwiła jego marzenia. Pod

jej kościstą pierśią kryło się miękkie serce i nie sprawiło jej przyjemności to,

co musiała

powiedzieć Vanyelowi. - Mówią, że na
dnie każdej butelki wina kryje się
prawda. - Przerwał i

spod oka spojrzął na swego kochanka. -
Powiedziała też, że gdybyś nie był
spadkobiercą swego

ojca, awansowałiby cię tak szybko, że w
tym pędzie zgubiłbyś buty.

- Naprawdę tak powiedziała? - Tylendel
poczuł, że Vanyel znów uspokaja się i
rozluźnia.

- Tak powiedziała. - Poniósł lutnię i

włożył ją na powrót w dłonie Vanyela. -
A teraz,

przez wzgląd na to, że nie lubię kurtyzan,
nawet bardzo doświadczonych, zagrasz
dla mnie?

- Tylko... - Vanyel przełknął ślinę, jego
oczy napotkały wreszcie wzrok
Tylendela.

Wciąż czaiło się w nich cierpienie,
coraz jednak słabsze. - ... tylko ją
nastroję.

*Do Vanyela Ashkevron, od lorda
Withena Ashkevron*

Witaj. Otrzymałem od herold Savil

*pomyślne wieści o Tobie, wyłączając
sprawę*

*awantury z jednym z jej
protegowanych. Choć nie mogę
pogratulować Ci Twego postępu,*

*rozumiem, że mieszkanie z tym
młodzieńcem pod jednym dachem musi
być irytujące. Trzeba Ci*

*trzymać nerwy na wodzy i nie
prowokować go więcej, gdyż wiadomo,
że na jego opanowaniu*

*nie można polegać. Doniesiono mi
także, iż porzuciłeś swe pretensje do
muzyki i nie zwracasz*

*sobie już tym głowy. Koniec z zabawną
igraszką. Jestem uradowany tym
postępem. Odnoszę*

*wrażenie, iż jest to oznaka Twojej
dojrzałości i akceptacji Twojej właściwej
pozycji życiowej.*

*Załączam też mały dowód mej
aprobaty.*

*Spisane ręką ojca Lerena Benevy, z
mojej woli i moją pieczęcią opatrzone
lord Withen*

Ashkevron

*Do lorda Withena Askkevron, od
Vanyela Ashkevron*

*Witaj. Otrzymałem Twój list i
upominek, za które dziękuję. Dokładam
starań, aby*

*stosować się do instrukcji Savil. Jest
ona mądrą i światłą nauczycielką i
żywię nadzieję, że w*

*przyszłości przyniosę jej jeszcze więcej
zadowolenia.*

Spisane moją ręką Vanyel Ashkevron

Najdroższy synu!

*Z całego Serca Modłę się, aby mój list
zastał cię w dobrym Zdrowiu. Mam też
nadzieję,*

*że ten Brutalny Chłopak nie naraził cię
na Cierpienie. Od momentu kiedy Twój
Ojciec*

*powiadomił mnie o swych Planach
wobec Ciebie, obawiałam się że stanie
się Coś Takiego.*

*Miałam Smutne i Ponure Sny, od chwili
gdy Wyjechałeś. Najwyraźniej nie
można polegać na*

*Savil, która nie potrafi trzymać swych
Stworzeń na uwięzi. Proszę Cię, nie
Prowokuj więcej*

*tego Barbarzyńcy. Ze wszystkich sił
próbuję Przekonać Twego Ojca, aby
sprowadził cię z*

*powrotem do Domu, ale jak dotąd
Wszystko na Nic. Jestem Zrozpaczona,
a jak gdyby nie dość*

*było Twej nieobecności, nawiedziło
mnie jeszcze inne Nieszczęście. Moja
pokojowa Melenna*

*jest Brzemienna, i to za sprawą twego
Brata, Mekeala! Nie tylko ona sama tak
Utrzymuje, ale*

*także i Twój Brat się do tego Przyznaje.
W Ojcu wcale nie znajduję Oparcia w
tej Trudnej*

*Sprawie. On zdaje się Uważać to
wszystko za Dobrą Zabawę. W
rezultacie tracę już*

*Cierpliwość i nie Wiem, Co Mam
Robić! Lecz nawet u Kresu Sił, nie
zapomniałam Cię, mój*

*Ukochany Synu, ani też tego, że dziś
przypadają Twe Urodziny. Załączam
mały Upominek - to*

*Wszystko, co udało mi się dla Ciebie
Przygotować, choć nawet w Części nie
jest tym, na co*

*Zasługujesz. Błagam cię, jeśli
znajdziesz się w potrzebie, Zaraz Mnie
o tym Powiadom. Wtedy*

*spróbuję Wydostać coś więcej od
Twego Ojca, mimo iż ma tak Kamienne
Serce.*

Twoja Kochająca Matka

lady Tressa Ileana Brendywhin-Ashkevron

- Purpurowy atrament? - spytał Tylandel z niedowierzaniem, spoglądając przez ramię

Vanyela na list. - Czy moje oczy naprawdę widzą purpurowy atrament? I różowy papier?

- Kosztuje majątek, a innego ona nie używa - odparł Vanyel, zastanawiając się w jakich

słowach odpowiedzieć matce, aby znów jej nie urazić. Różowa kartka leżała na

bibularzu, na

biurku, a sama jej obecność była niczym
matczyne oskarżenie, że nie napisał do
niej, od chwili

kiedy tu przyjechał. Obok listu leżały
dwie kupki srebrnych monet - wszystkie
tej samej

wartości.

Jedna to nagroda za pobicie zboczeńca,
druga na pocieszenie po zostaniu obitym
przez

zboczeńca - westchnął w duchu. - O
bogowie, czasem chciałbym być sierotą.

- Czy mogę? - spytał Tylendel. Vanyel
wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. W końcu i tak na pewno
kiedyś ją spotkasz. Powinieneś
wiedzieć, jaka

jest.

Tylendel przebiegł wzrokiem po pełnym
ornamentów i zakrętasów arkusiku, po
czym

oddał go Vanyelowi z grymasem
wymownym bardziej niż słowa.

- Ten jeszcze nie jest taki zły -
powinieneś zobaczyć, co ona wypisuje
do swych

przyjaciółek lub, co gorsza, do ludzi,
którzy, jej zdaniem, zrobili jej afront
Trzy, cztery, a nawet

pięć stron, purpurowy atrament
rozmazany kroplami łez, a każde słowo
od dużej litery. - Znów

westchnął. - W dodatku okropne błędy
gramatyczne. Kiedy wpada w histerię,
uderza w

oficjalny ton i nie potrafi nad tym
zapanować.

Przez moment zadumał się nad listem.

- Najgorsze jest jednak to, że ona tak
nawet mówi. Tylenel wybuchnął

śmiechem,

rzucił się na łóżko i powrócił do swej lektury.

Kochana Matko!

Zapewniam Cię, że czuję się dobrze.

*Proszę, nie martw się o mnie -
powinnaś raczej*

zadbać o swe wiosnę samopoczucie.

*Jeżeli nie będziesz na siebie uważać,
jeśli pozwolisz, aby*

Twe zmartwienia zanadto nadwerężyły

Twe zdrowie, wpędzisz się w chorobę.

Savil jest dla

mnie bardzo miła, a problemy, które miałem z Tylandelem, zostały już zażegnane. Każda plotka,

jaka wychodzi z tego pałacu, jest nad wyraz przesadzona w najlepszym wypadku, a w

najgorszym okazuje się kłamstwem.

Dlatego też, nie zwracaj uwagi na to, o czym donoszą Ci

Twoi przyjaciele. Przykro mi z powodu Melenny. Ta cała sprawa musi Ci strasznie ciążyć na

sercu. Twój prezent sprawił mi wielką przyjemność, bardzo go doceniam, lecz znacznie

*przewyższa on moje potrzeby. Kocham
Cię i często o Tobie myślę. Bądź
zdrowa.*

Vanyel

Kochany Vanyelu!

*Cóż to się dzieje? Czy rzeczywiście
jesteś zdrów? Jeśli naprawdę nie
możesz już tego*

*znieść, na miłość boską, daj mi znać, a
przyjadę Ci na ratunek z siedmioma
Paniami*

*Miecza z Corey. One wprost umierają z
niecierpliwości, aby móc odegrać rolę
niosących*

*zemstą anielic, choć znając ich
delikatne fizjonomie, mogłyby
wyrządzić tyle krzywdy, co*

*rozzłoszczone aniołki. Całuję cię
mocno.*

Lissa

Vanyel wybuchnął głośnym śmiechem i
podał list Tylandelowi. Tylandel
uśmiechnął

się szeroko i z powrotem wręczył mu
kartkę.

- Ten mi się podoba. Kiedy będę miał
okazję ją poznać?

- Niedługo - odparł Vanyel,
przeciągając się. - Gdy tylko nasz sekret
wyjdzie na jaw,

ojciec wydziedziczy mnie, matka
dostanie spazmów i wtedy, z mieczem w
dłoni, pojawi się

Lissa, by obronić mnie przed gniewem
ojca. Stała się bardzo odważna, od
czasu gdy oddano ją

na wychowanie do Coreyów. Lord
Trevor obiecał jej właśnie stanowisko
w Gwardii.

- A miał prawo to zrobić, ponieważ to
on jest odpowiedzialny za rekrutację
członków

Gwardii - dodał rzeczowo Tylendel. -
Czy to ostatnia korespondencja, jaką
wymieniliście?

- Nie, po tym jest jeszcze jeden mój list
do niej...

Najdroższa Lissa!

*Nie martw się, wszystko układa się
dobrze. Czują się świetnie i jestem tutaj
szczęśliwszy*

*niż kiedykolwiek. Mam Savil po swojej
stronie, przeciwko ojcu, a awantura, o
której doszły cię*

*słuchy była zaaranżowana tylko po to,
aby uśpić jego czujność i sprawić mu*

przyjemność.

*Uwierz mi, wszystko jest w jak
najlepszym porządku. Kocham cię i
tęsknię.*

Vanyel

*Do Vanyela Ashkevron, od Evana
Leszary*

*Witaj. Ufam, że nasze interesy zbiegają
się i byłbym zaszczycony i uradowany,*

*gdybyśmy mogli spotkać się, aby je
omówić. Jestem do twojej dyspozycji
każdego wieczoru.*

Spisane moją ręką i opatrzone

pieczęcią

Evan Leszara

- Lendelu... - rzekł powoli Vanyel, szczerze zdezorientowany treścią ostatniego listu,

który został mu doręczony przez pазia tegoż popołudnia. - Kim jest Evan Leszara?

Tylendel przemierzał pokój jak niespokojny lew w klatce. Savil zdawało się, że obaj

chłopcy tam są, ponieważ Tylendel nie powiedział jej, że Vanyel zdecydował złamać jej

zakaz, aby pójść na spotkanie z Evanem Leszara, i przekonać się, czego też ten mógł od niego

chcieć. Tylendel rzucił okiem w stronę świecy wskazującej czas, ale od momentu gdy ostatnio

na nią spoglądał, wcale jej nie ubyło.

Nie powinienem był pozwolić mu iść - pomyślał. - Jeśli Leszara odkryje, że nasza

bijatyka była tylko fortelem...

Chodził w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Jak na jesienną noc było wręcz gorąco. A

może to świadomość zagrożenia
sprawiała, że spływał po nim pot? Czuł,
jak gdyby w głowę

wbito mu dziesiątki cierni, pod jego
prawym okiem zaczynał pulsować ból.
Cienie rzucane

przez płomień świecy do odmierzania
czasu tańczyły, migotały, to kurczyły się,
to znów

ogromniały.

...jeśli tylko przejrzy naszą grę, może
zacząć szantażować Vanyela, aby zmusić
go do

współpracy, a mnie po to, abym stanął

przeciwko Stavenowi. O bogowie. Nie
powinienem był

pozwolić mu iść. Powinienem był kazać
mu zignorować zaproszenie Leszary.
Powinienem był.

Po...

Z zamyślenia wyrwało go nagłe
skrzypnięcie drzwi od ogrodu i cały jego
niepokój w

jednej chwili rozwiął się. Vanyel
wsunął się do pokoju i zamknął za sobą
zasuwę na drzwiach.

- *Ashkel* - odezwał się Tylenel, ale
widząc zakłopotanie w oczach Vanyela,

zawahał

się na moment.

- Ten przeklęty Leszara ma ogromny dar przekonywania - rzekł spokojnie Vanyel, siadając w fotelu przed kominkiem.

- Właśnie dlatego tu jest - odparł ponuro Tylendel. - To odpowiedź Leszarów na mój

pobyt tutaj. Ponieważ nie mogą wkupić się w szeregi heroldów, wysłali swego krewnego o

najbardziej jadowitym języku, aby wyjednał im przychylność Królowej.

- Mówi, że już udało mu się to zrobić. W ogóle opowiadał różne rzeczy. Lendelu, wiele

z tego, co mówił, brzmiało sensownie.

- Oczywiście! - przerwał mu Tylendel. - Jestem gotów pójść o zakład, że połowa z tego

była prawdą. Liczy się tylko to, jak on to wszystko opowiedział, kontekst, w jakim to ukazał i

oczywiście to, jakie wnioski chciał ci narzucić! Sam powinieneś już wiedzieć, choćby ze

swoich listów do domu, że najlepsze

kłamstwo to powiedzieć prawdę, ale nie całą prawdę!

- Ależ Lendelu. - Vanyel wciąż sprawiał wrażenie nie przekonanego. - Lendelu, on

mówi, że jego rodzina od miesięcy jest przygotowana do zawarcia ugody, którą uznałaby sama

Królowa, a twoja rodzina odmawia przyjęcia jej...

- Nie powiedział ci jednakże, na czym ma polegać ta „ugoda”? Vanyel potrząsnął

głową. - Na wydaniu za mąż mojej

trzydziestoletniej kuzynki, która jest
dziewicą i nigdy nie

przestąpiła progę furty klasztornej, za
pięćdziesięcioletniego rozpustnika. Na
pozbawieniu

Stavena prawa dziedziczenia i nadaniu
owej kuzynce jego tytułu - ciągnął
Tylendel z

wściekłością - co w rezultacie prowadzi
do objęcia przez Leszarę całego
majątku, ponieważ

niemożliwe jest, aby ona kiedykolwiek
mu się przeciwstawiła. Ona raczej
uschnie i wyzionie

ducha, gdy tylko ten na nią spojrzy. Tak właśnie przedstawia się Leszarów wizja

sprawiedliwego pojednania. - Obrzucił Vanyela gniewnym spojrzeniem, zraniony trochę tym,

że Vanyel mógł w ogóle brać pod uwagę słuszość racji Lesz ary. - On próbuje wykorzystywać

fakt, że Staven ma niespełna siedemnaście lat. Chce w ten sposób dowieść, że mój brat jest

jeszcze zbyt młody, aby podejmować rozumne decyzje. W dodatku wiele wpływowych osób na

dworze, takich samych rozpusztników jak on, daje się na to nabrać. Okazuje się, że

siedemnastolatek jest wystarczająco dojrzały tylko wtedy, gdy rozkazuje mu się iść na wojnę i

umrzeć za coś. Jest natomiast zbyt młody, aby mieć prawo wypowiedzenia swego własnego

zdania!

Oczy Vanyela przysłoniło okrutne strapienie. Wcisnął się najgłębiej, jak mógł, w

miękki fotel.

- Lendelu - wyjąkał. - Nie chciałem...
nie miałem wątpliwości, że ty...

Tylendel zganił się w duchu za zranienie przyjaciela.

- *Ashke*, nie chciałem na ciebie krzyczeć
- powiedział i usiadłszy na podłodze,
obok

fotela Vanyela, położył dłoń na jego
kolanie. - Przepraszam cię, ale jestem
zupełnie

zrozpaczony. On może sobie mówić, co
mu tylko ślina na język przyniesie, a ja,
tylko dlatego,

że jestem kandydatem na herolda, nie

mogę odeprzeć jego zarzutów. Czasem wyprowadza

mnie to z równowagi.

Vanyel rozchmurzył się i położył dłoń na rękę Tylendela.

- Już dobrze. Wiem, co czujesz. To tak jak ze mną, ojcem i Jervisem.

- Coś w tym rodzaju.

- Lendelu - Vanyel zawahał się - opowiedziałbyś mi, jak to wygląda od twojej strony?

Tylendel wziął głęboki oddech.

- Jeśli to zrobię, złamię słowo dane Savil. Obiecałem jej, że nie będę cię w to

angażował.

- Ale ja już jestem w to zaangażowany. Ja... dlaczego? Przecież chcę się tylko

dowiedzieć, co powoduje, że ta waśń nie może się zakończyć?

- Tu chodzi o coś, co zrobił Wester Leszara - odparł Tylandel, tłamsząc w sobie

nieprzewartą chęć, aby skoczyć na równe nogi, porwać konia, popędzić do Westera i udusić go

gołymi rękami. Niełatwo mu było tłumić
dziką wściekłość, jaka opadała go za
każdym razem,

kiedy odezwało się w nim to jedno
wspomnienie. - Savił powtarza mi, że
powiniennem być

absolutnie sprawiedliwy, a więc będę
tak sprawiedliwy, że powiem ci, że jego
najmłodszy syn

zginął podczas naszej zemsty po ich
najeździe na nasze ziemie. My, to znaczy
moja rodzina,

rozpuściliśmy ich bydło. Chłopiec spadł
z konia i zginął pod racicami krów. Nie
uważam

jednak, aby usprawiedliwiało to
postępek Westera.

- Jaki postępek?

- Gdy tylko zmarł mój ojciec, Wester za
jakieś marne dwa miedziaki najął
kuglarza,

który miał przekonać moją matkę, że
duch ojca chce z nią mówić. Matka nie
odzyskała jeszcze

wówczas równowagi po śmierci ojca, a
Wester doskonale o tym wiedział. To
doświadczenie

zaś popchnęło ją w przepaść.

Pozbyliśmy się szarlatana, ale było już

za późno, gdyż jemu udało

się wmówić mojej matce, że jeśli tylko znajdzie odpowiedni środek, będzie mogła porozumieć

się z duchem ojca. Matka, chcąc ujrzeć ojca, zaczęła zażywać najróżniejsze mikstury. W końcu

spotkała się z nim, po zjedzeniu grzybów Czarnego Anioła.

Tylendel nie dodał, że on sam, wraz ze Stavenem, ją odnalazł. Ale Vanyel i tak

wyglądał już jak śmierć. Tylendel powściągnął gniew i zmienił temat.

- A czego właściwie chciał ten łajdak?

- Chce, abym dał mu znać, jeśli dowiem się czegoś o tobie albo twojej rodzinie, i abym

nakłonił swego ojca do przejścia na jego stronę.

- A co mu odpowiedziałeś? Twarz Vanyela wykrzywił grymas.

- Zdaje się, że zagrałem według tych samych reguł, co on, i nie mówiłem całej prawdy.

Powiedziałem mu, że o twojej rodzinie dowiedziałem się więcej od ciebie niż od innych, a

wyciągnięcie wniosków zostawiłem
jemu samemu.

Tylendel rozluźnił się i zachichotał.
Vanyel jeszcze bardziej poweselał.

- A co z twoim ojcem?

- Byłem szczery. Powiedziałem, że
przysłano mnie tutaj w ramach kary,
ponieważ w

domu nie byłem posłuszny, a ojciec
prędzej przyjmie radę od jakiegoś
kompletnego durnia niż

ode mnie. Poczul się dość zawiedziony.

Tylendel zaśmiał się i objął go

ramieniem.

- *Ashke, ashke*, nawet gdybym napisał ci na kartce, co masz mu powiedzieć, nie poradziłbyś sobie lepiej!

- A więc postąpiłem słusznie? - Vanyel był już wręcz purpurowy na twarzy.

- Lepiej nie można było.

Bogowie - pomyślał Tylendel, widząc podniecenie Vanyela - on blednie niczym

porzucony kwiat, kiedy myśli, że gniewam się na niego... a teraz...
Pomyślałby kto, że

zapropnowałem mu wieniec laurowy barda. Czy moja opinia tak wiele dla niego znaczy? Czy

ja sam naprawdę tyle dla niego znaczę?

Myśl ta otrzeźwiła go, pociągając za sobą następną: Być może Savil ma rację...

- Powiedział, że mimo wszystko chce pozostać ze mną w kontakcie, na wypadek

gdybym dowiedział się czegoś. Zgodziłem się. Właściwie okazałem nawet spory entuzjizm. -

Vanyel przekręcił z lekka głowę i

zapropował nieśmiało: - Pomyślałem, że moglibyśmy się

postarać, aby dowiedział się tego, co będzie dla nas wygodne.

Ha. "My", nie "ty". Nie, Savil nie ma racji. On polega na mnie, a ja polegam na nim, a

jeśli on jest ode mnie troszkę bardziej zależny, cóż, żadnemu z nas to nie zaszkodzi. Vanyel po

prostu nie przywykł podejmować decyzji samodzielnie, to wszystko.

- Wspaniale - powiedział głośno, oparłszy się o fotel. - Absolutnie

wspaniale. A teraz,

skoro dla mnie stawiałeś czoło smokowi,
czcigodny wojownik, jak mogę cię
wynagrodzić? -

Zatrzepotał powiekami w stronę
Vanyela, a ten przyjął pozę, jak gdyby
siedział na tronie. - Zro-

bię cokolwiek...

- Ach? - westchnął figlarnie Vanyel. -
Cokolwiek?

- Savil powiedziała mi dziś coś
zabawnego - szepnął Tylendel do ucha
przyjaciela.

Jego głos wyrwał Vanyela z półsnu, jaki spłynął na niego, gdy tylko rozsiedli się w swym

ulubionym zakątku Łąki.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez któregokolwiek z nich od momentu,

kiedy zagłębili się w gąszcz zagajnika.

Choć był to jesienny wieczór, wydawało im się, że mimo otartych na oścież okien w

apartamencie jest zbyt duszno. W dodatku od czasu ich “bójki” Vanyel rzadko opuszczał pokój,

wyjąwszy lekcje i obowiązkowe spotkania z Evanem Leszarą, którego wciąż karmił

zmyślonymi informacjami. Nie dało się też unikać wizyt na dworze, potrzebnych, aby

podtrzymać uwielbienie jego miłośników oraz utwierdzać ich mylne przekonania co do jego

osoby. Noc była bezksiężycowa, co zupełnie wykluczało niebezpieczeństwo, że ktoś mógł

zobaczyć ich zmierzających wspólnie ku Łące Towarzyszy. Dlatego też, gdy tylko Vanyel

podniósł wzrok sponad swego
podręcznika religii i z wahaniem
zapropozował spacer, Tylendel

z szelmowskim uśmiechem zamknął swą
książkę i skłoniwszy się zamaszystym
gestem,

otworzył przed Vanyelem drzwi
prowadzące do ogrodu.

Utartym zwyczajem Gala dołączyła do
nich, gdy tylko znaleźli się po drugiej
stronie

rzeki. Po kilku wycieczkach, jakie udało
im się bezpiecznie odbyć, Vanyel zaczął
już

traktować jej obecność jako coś
oczywistego. Naturalnym zaś kierunkiem
owych ukradkowych

spacerów stał się sosnowy zagajnik,
który przyciągał ich jak żadne inne
miejsce w okolicy.

W tę bezksiężycową noc pod koronami
drzew panował mrok czarniejszy niżli
rozpacz

Słonecznego Śpiewaka. Lecz gdy minęli
pierwszą ścianę drzew i las osłonił ich
przed oczami

innych, Tylendel zapalił małe
magiczne światełko. Potem długo
wędrowali od jednego

krańca zagajnika do drugiego,
spacerując bez słowa i nie dotykając się
nawet, bo ani rozmowa,

ani gesty nie były im potrzebne.

Dopiero gdy odreagowali wreszcie
wszelkie napięcia dnia, postanowili
usiąść u stóp

najstarszego drzewa lasu i zrelaksować
się w ciszy. Gala chętnie posłużyła
swym ciałem i

obydwaj oparli się o jej ciepły, miękki
grzbiet, a Vanyel złożył głowę na
ramieniu Tylendela.

Tylendel zagasił magiczne światełko i

wszystko pogrążyło się w niemal absolutnej ciemności.

W trawie grało jeszcze kilka świerszczy, którym udało się przetrwać pierwsze przymrozki.

Teraz z różnych stron słyhać było ich nawoływania. W pewnej chwili doszedł Vanyela nawet

krzyk gęsi przelatującej gdzieś w górze. Gdyby nie te odgłosy, uzupełniane miarowym

oddechem Gali, mogłoby się zdawać, że Vanyel i Tyłendel to jedyne żywe istoty w

nieskończenie pustym, pachnącym
żywicą wszechświecie.

Tego właśnie Vanyel pragnął
najbardziej. Gra, jaką toczyli bez
ustanku, była

jednocześnie trudniejsza i łatwiejsza, niż
się tego spodziewał. Łatwiejsza,
ponieważ związując

się z Tylandelem, nie musiał już
tamować swych uczuć i wmawiać sobie,
że nie potrzebuje

nikogo bliskiego. Łatwiejsza, ponieważ
jego arogancka poza i udawane flirty
zlały się w jedną

nie kończąca się grę pozorów, która nie kosztowała go wiele wysiłku.

Trudniejsza jednakże,

ponieważ jeden fałszywy krok, jedna drobna plotka, która naprowadzi

Withena na prawdę o

jego pobycie tutaj, może doprowadzić do utraty wszystkiego, co sprawiło, że życie stało się dla

niego czymś więcej niżli tylko udawką, którą trzeba jakoś znieść. Trudniejsza też z powodu

podwójnej gry prowadzonej z Leszarą. Jedno potknięcie w tej rozgrywce i Leszarą dowie się,

co dzieje się w rzeczywistości.

Wówczas wykorzystanie tej wiedzy jako broni przeciwko

Vanyelowi i Tylendelowi będzie tylko dziecinną igraszką.

Nie było sposobu na wysondowanie, jak wiele, lub też jak niewiele z informacji

przekazywanych Leszarze przez Vanyela trafiało do jego przekonania. Nie orientując się do-

statecznie w sprawach związanych z waśnią, Vanyel mógł tylko ufać, iż Lendel wiedział dosyć,

aby w każdym kłamstwie przemycić

choć ziarno prawdy.

Całe to udawanie nadszarpnęło dość poważnie wytrzymałość emocjonalną Vanyela i

nieczęsto przychodził moment, gdy chłopiec czuł się bezpiecznie i potrafił cieszyć się radosną

chwilą. Niepokój wywołany niepewną sytuacją był pierwszą rzeczą, jaka nawiedzała jego

myśli, gdy się budził co rano, i ostatnią, gdy zasypiał wieczorem. Na domiar złego,

towarzyszyły mu też inne napięcia.

Bardowie, heroldowie i wszyscy ich uczniowie nieustannie

odsuwali się od niego, wykluczając go ze swego towarzystwa. Tylandel - ku własnemu

zaskoczeniu - cieszył się wielkim poważaniem wśród “pracujących” mieszkańców Wielkiego

Dworu królowej Elspeth. Oznaczało to, że za sprowokowanie bójki Vanyel skazany był na

powszechną pogardę i nawet jego nauczyciele, nie przekraczając granic uprzejmości, odnosili

się doń z nie ukrywaną niechęcią. Lekcje stały się uciążliwym obowiązkiem i tylko nalegania

Tylendela, aby kontynuować grę tak długo, jak tylko będzie ona przynosiła skutek, dodawały

Vanyelowi wytrwałości w stawianiu czoła nieprzyjaznej rzeczywistości. Jedynym

nauczycielem, który zdawał się zachowywać obojętność był lord Odeń, i to

najprawdopodobniej dlatego, że zastępca lorda Marszałka pozostawał zawsze obojętny na

wszystko, co nie dotyczyło sztuki wojennej. Sytuacja Vanyela - w stosunku do tego, co działo

się w Forst Reach - zakrawała na ironię losu i on sam miał wiele okazji, aby się o tym

przekonać. Tam był ulubieńcem wszystkich nauczycieli, z wyjątkiem fechtmistrza, a

pogardzali nim wszyscy rówieśnicy. Tutaj, jeśli pominąć uczniów, rówieśnicy płaszczyli się

wręcz przed nim, a nauczyciele z kolei, z wyjątkiem fechtmistrza, dokładali wszelkich starań,

aby go zniechęcić do swych zajęć. To, że traktowano go gorzej niż innych uczniów, nie było

tylko wytworem jego imaginacji. Mardik chodził teraz razem z nim na lekcje religii i

potwierdzał te podejrzenia.

- Cóż więc powiedziała Savil? - zapytał, zamykając znużone oczy. Uniósł się nieco,

aby nie ciążyć zanadto na ramieniu przyjaciela, na co Tylendel zareagował jeszcze silniejszym

uściskiem.

- Powiedziała, że nie może pojąć, jak to się dzieje, że jeszcze ani razu się nie

pokłóciliśmy - odparł Tylandel, śmiejąc się z cicha. - Mówi, że mdli ją nasza cikliwość.

- Coś w tym jest - przyznał Vanyel ze śmiechem. - Rzeczywiście jesteśmy dość

sentymentalni.

- Stwierdziła też, że nie rozumie, jak wciąż możemy być tak pełni poświęcenia dla

siebie nawzajem. Mówi, że zachowujemy się jak para spanieli. Ty

takiego psa kopniesz, a on po

chwili wraca, błagając o następne kopnięcie. Z nami jest jeszcze gorzej, bo my nie wydzielamy

sobie nawet kopniaków.

- Savil po prostu nie zdaje sobie sprawy
- powiedział poważnie Vanyel po chwili

refleksji - z tego, że ja, Lendelu, nie wyobrażani sobie, abym mógł się z tobą pokłócić, gdy w

każdej chwili mój ojciec może dowiedzieć się o nas i wezwać mnie do domu. Nie zniósłbym

tego, gdyby ostatnie słowa miały być wypowiedziane w złości. Każdy moment, który z tobą

spędzam, muszę ocalić jako piękne wspomnienie.

- Nie pozwól, aby cię to zadręczało - przerwał mu Tylendel. - Masz teraz szesnaście lat,

ja mam siedemnaście. Już za dwa lata osiągniesz pełnoletność. Wszystko potoczy się gładko

dopóty, dopóki będziesz sobie radził z lordem Evanem.

Vanyel westchnął.

- Bogowie, bogowie, dwa lata... to jak wieczność. Wydaje się, że już minęły lata całe.

Po prostu nie mogę sobie wyobrazić końca tego wszystkiego.

Tylendel pogładził go po włosach, a dotyk jego ręki wydał się Vanyelowi lekki niczym

muśnięcie wiatru.

- Dasz radę, *ashke*. Jesteś silniejszy, niż myślisz. Czasem wydaje mi się nawet, że

silniejszy ode mnie. Wątpię, czy zniósłbym to wszystko, co ty znosisz. I

możesz w to wierzyć

lub nie, ale wierzę, że polegam na tobie w takim samym stopniu, jak ty polegasz na mnie. Tak

mówi Gala.

- Tak mówi? - Vanyel uniósł głos w zdumieniu. - Naprawdę? - Powtarza to dosyć

często. - Westchnął, ale Vanyel nie wiedział, co było powodem tego westchnienia. Czasami

odnosił wrażenie, że między Galą a jej Wybranym dochodziło do różnicy zdań w sprawie

silnego poparcia, jakiego Tylendel udzielał swemu bratu. Vanyel nie rozumiał, dlaczego tak się

dzieje. Według niego, nawet gdyby Tylendela i Stavena nie łączyła ich więź, nawet gdyby

Wester Leczara nie przyłożył ręki do samobójstwa matki Lendela, to i tak wspieranie brata

pozostałoby jego obowiązkiem. Mimo że Vanyela i jego brata, Mekeala, więcej dzieliło niż

łączyło, to jednak w przypadku waśni z innym rodem Vanyel nie miałaby wątpliwości, po której

stanąć stronie. Wiedział też, że prawdopodobnie Mekeal myśli podobnie. Biorąc pod uwagę, ile

Tylendel zawdzięcza swemu bratu, który wspierał go, gdy wszyscy się odwrócili... cóż, Vanyel

nie wyobrażał sobie, jak inaczej, dochowując wierności uczciwości i honorowi, Tylendel

mógłby postąpić. Z drugiej strony jednak Vanyel nie rozumiał wielu spraw dotyczących życia

heroldów. Na przykład...

- Lendelu, jeśli wytrwamy tak długo... aż

do momentu gdy przywdziejesz Biel...

- Jeżeli? Nie myśl kategoriami
przypuszczeń, kochanie - upomniał go
łagodnie

Tylendel. - To może nie być łatwe, ale
uda nam się. O niebios, ja mówię o
trudnościach, a

tymczasem to na twoje barki spadła ich
przytłaczająca większość. Ale pomogę
ci, pomogę, jak

tylko będę mógł i przebrniemy razem na
drugi brzeg.

- A co się z nami stanie, gdy ty
przywdziejesz Biel, a ja osiągnę

pełnoletność... co

wtedy?

Zapadło długie milczenie, dłoń Tylandela zatrzymała się na karku przyjaciela.

- To jest zupełnie proste. Po pierwsze, musisz podjąć decyzję co do lorda Withena. To

znaczy, możesz mu otwarcie o nas opowiedzieć albo pozwolić, aby sam odkrył prawdę. Zrobisz

to, co uznasz za słuszne. Wówczas najgorszą rzeczą, jaka grozi ci z jego strony, będzie

wydziedziczenie, A wiesz przecież, że wszystko, co należy do mnie, należy też do ciebie. Krąg

nie wykluczy mnie ze swych szeregów. Będę miał dość pieniędzy, aby starczyło na utrzymanie

dwóch osób.

- On pewnie mnie wydziedziczy - rzekł gorzko Vanyel. - Dlatego będę musiał zwrócić

się do mojego Lendela.

- Więc? Jesteśmy partnerami, tak? To nie będzie dobroczynność. Po prostu będę się z

tobą dzielił.

Vanyel chciał zauważyć, że i tak byłaby to dobroczynność, ale ugryzł się w język.

- Zgoda, Przypuśćmy, że powiedziałem już ojcu i mogę sam o sobie decydować.
Co

wtedy?

- Wtedy Savil przekaże swe papużki innemu heroldowi i zabierze mnie...
nas... w teren,

aby wypełnić jakąś misję. Nas,
ponieważ oczywiście nie pojedę bez
ciebie. Savil wie o tym, a

więc to już załatwione. Wyprawa będzie trwała rok, mniej więcej rok. A potem... nie wiem.

Będę magiem heroldów. W przeciwieństwie do zwykłych heroldów, którzy muszą nieustannie

patrować swe okręgi, nam zwykle przydziela się stałe placówki.

Prawdopodobnie zatrzymają

mnie tutaj, w Przystani, albo wyślą gdzieś na Pogranicze, gdzie potrzebna jest magia. Gdzieś w

okolice Przełęczu Białego Żrebięcia, nieopodal Pelagris...

- Dlaczego? Właśnie to mnie
zastanawia. Dlaczego? - zapytał Vanyel.
- Dlaczego masz

robić to, co nakazuje ci ktoś inny?
Dlaczego musisz jechać tam, gdzie oni
chcą? A właściwie

kim są ci “oni”?

- “Oni” to krąg heroldów. Należą do
niego Osobisty Królowej, herold
Kasztelana,

herold lorda Marszałka, rzecznik
heroldów i uczniów, czyli Savil, oraz
rzecznik magów

heroldów i rzecznik heroldów na

placówkach. No i oczywiście sama Królowa oraz Następca.

Oni wszyscy decydują o tym, gdzie i jak heroldowie mają odbywać służbę. Tak... tak już po

prostu jest. Van, nie rozumiem, o co ci chodzi. - W głosie Tylendela pobrzmiwał ból. - Czyż

nie chcesz ze mną jechać?

- O bogowie... - Vanyel pochwycił dłoń Tylendela i mocno ją ścisnął. - Lendelu, nie to

miałem na myśli. Chętniej pozbyłbym się rąk i nóg, niż rozstałbym się z tobą.

Pójdę

gdziekolwiek pójdiesz ty i zrobię to z przyjemnością. Próbuję tylko zrozumieć to wszystko.

Dlaczego to robisz, dlaczego jedziesz, gdzie ci każą i wykonujesz ich polecenia? Dlaczego te...

te sprawy heroldów są dla ciebie takie ważne?

Vanyel niemal sam odczuwał, jak bardzo Tylendel stara się znaleźć właściwe słowa.

- To... nie wiem, to jakiś rodzaj wewnętrznej potrzeby. Nie jestem w

stanie się jej

sprzeciwić. Posiadam te umiejętności, te dary, i po prostu nie mogę nie robić z nich użytku. Nie

mógłbym, na przykład, siedzieć tutaj beczynnym, mając świadomość, że gdzieś są ludzie,

którzy potrzebują pomocy dokładnie takiej, jakiej ja mogę im udzielić. Musiałbym pośpieszyć

im na ratunek. Podobnie jest z moim poparciem dla Stavena. To coś, czego nie mógłbym mu

nie dać. Nie potrafię tego wyjaśnić, Van,

nie potrafię. Musiałbym... albo... albo
nie byłbym już

sobą.

Vanyel potrząsała nieznacznie głową.

- W porządku, przyjmuję to, co
powiedziałaś, choć wciąż nie mogę tego
pojąć -

wyznał. - Nie wiem, jak możesz
porzucić wszystko tylko po to, aby zająć
się niańczeniem

ludzi, których nawet nie znasz. Czy w
ogóle nie będziesz już miał swojego
życia? Kim są ci

anonimowi ludzie, dla których się poświęcasz?

- Ha - odparł Tylendel. - Mówisz zupełnie jak Sta... - Wtem zmartwiał. - Staven? -

wyszeptał. - Stav...

Nagle, gdy wykrzyknął jeszcze raz imię Stavena, jego ciałem wstrząsnęła konwulsja, a

spokój nocy w jednej sekundzie obrócił się we wszechogarniający zamęt.

Z gardła Tylendela wciąż dobywał się wrzask, napełniając bólem straty cały

wszechświat. Napięcie dookoła nich
wzrosło niewyobrażalnie. Nieruchome
dotąd powietrze

zakipiało i jego prądy, niczym pięści z
burzącego się ukropu, jęły okładać obu
chłopców.

Gala skoczyła na równe nogi. Vanyel z
całych sił ścisnął ciało kochanka
szarpane nie

kontrolowanymi drgawkami. Na czole
Tylendela, u podstawy nosa, pojawiła
się głęboka

bruzda. Przed oczami zawirowwały mu
gwiazdy, poczuł w ustach smak krwi, ale
zacisnął zęby i

wytrwale znosił ból.

Z dna zamętu wyłoniła się potężna trąba powietrzna. Szalejąc z wyciem, kręciła się

ruchem spiralnym z taką prędkością, że nim minęła chłopców, zdarła niemal do szczętu

odzienie z Vanyela. Tylendel jakby płonął. Wokół niego pulsowało wściekłe, czerwone

światło. W jego blasku Vanyel ujrzał oszalałą twarz Tylendela, wciąż zaciśnięte z bólu zęby;

puste, dzikie oczy bez wyrazu.

Stojące najbliżej drzewa eksplodowały, rozbryzgując deszcz drzazg. Te znajdujące się

niedaleko dalej, dotąd targane konwulsjami ciała Tylendela, teraz jęły rozdzierać się na strzępy.

Wiatr nabierał mocy, grube drzewa ugięły się pod jego naporem, a trąba powietrzna w

swym szaleńczym biegu zataczała coraz szerszy okrąg. Światło wokół Tylendela - a teraz i

Vanyela - pulsowało, gasnąc i rozbłyskując z każdym skurczem jego ciała. Coś przerażającego,

jakby piorun, odłupywał po kawałku
brzegi tej poświaty. W miejscu
uderzenia momentalnie

rodziło się coś na kształt naturalnej
błyskawicy. Pnie drzew rozłupywały
się, a wypalona

ziemia rozstępowała.

Wiatr zmiatał wszystko, strzelając
pociskami z martwych igieł i kłód
drewna. Nawet

ziemia zadrżała w konwulsjach,
wierzgając niczym koń, który za wszelką
cenę próbuje zrzucić

swego jeźdźca.

Vanyel starał się z całych sił
przytrzymać ciało Tylandela,
rozglądając się

rozpaczliwie w poszukiwaniu Gali.
Wreszcie ujrzał ją na krawędzi
obłądnego koła zamętu

wokół nich. Od niej także bił blask -
niebieski. Obrzeże jej poświaty zdawało
się zakrzywiać

obraz rumowiska i błyskawicy, sama
Gala jednak wyglądała na niezdolną do
wykonania

żadnego ruchu. Próbowwała wyrwać się
ku nim, wyciągała szyję ku swemu
Wybranemu, a jej

błyszczące oczy pałały rozpaczą. Ale nie była w stanie zrobić nic, tylko ochraniać samą siebie.

Nie mogła nawet zbliżyć się do nich.

- Galo! - zawołał Vanyel, przekrzykując wycie wiatru i przytrzymując Tylendela,

którym szarpnął kolejny wstrząs. -

Sprowadź pomoc! Przyprawadź Savil! -

Nie potrafił już

nawet myśleć, ale jeśli Gala nie mogła pomóc, Savil była ostatnia deską ratunku.

Gala potrząsnęła głową. Próbowwała przedostać się przez szalejącą wokół

nich

zawieruchę, ale jakaś siła, w której władaniu pozostawał piekielny wichur, spychała ją w tył.

Spróbowała jeszcze raz i drugi, ale wichura spychała ją z powrotem. Krąg spustoszenia

poszerzał się. Wreszcie Gala wierzgnęła, wrzasnęła niczym zatrwożony człowiek, odwróciła

się i pognała w ciemność.

Vanyel zamknął oczy i przycisnął Tylendela do piersi, usiłując osłonić go przed

wiatrem, próbując obronić go przed krzywdą, jaką mogło zadać mu jego własne, wstrząsane

konwulsjami ciała. Przekroczył już barierę strachu. Jego umysł popadł w odrętwienie, usta

spierzchły, serce waliło jak młotem. Błagał o nadejście kresu tej udręki, modlił Się o pomoc.

Nie mógł już myśleć, nie mógł się ruszać - mógł tylko trwać.

Lendelu, jestem tutaj - pomyślał, natężając umysł z całych sił, jak gdyby w nadziei, że

Tylendel go usłyszy. Lendelu, wróć do mnie...

Chłopcem szarpnął jeszcze jeden wstrząs, wyginając jego plecy w łuk... i nagle

wszystko się skończyło. Poświata zniknęła, a z nią ucichł wiatr. Ziemia zamarła i wszystko

utoneło w śmiertelnej ciszy i martwej ciemności. Vanyel uczył w ramionach ciężar

zneruchomiłego ciała kochanka.

- Lendelu? - Potrząsnął nim i nie spostrzegłszy żadnej reakcji,

rozpaczliwie jęknął. - O

bogowie... - Tylendel oddychał jeszcze,
lecz był to dziwny, płytki oddech. Jego
skóra stała się

wilgotna i niemal zupełnie zimna.

Już po kilku chwilach przybyli,
galopując na swych Towarzyszach,
Savil oraz dwaj inni

heroldowie. Nad ich głowami jaśniały
magiczne światełka i dopiero w ich
blasku Vanyel

zobaczył, że ciało Tylendela leży
zupełnie bezwładnie, ze zwieszoną
głową i martwymi oczami

pod na wpeł przymkniętymi powiekami.
Chłopiec był nieprzytomny. Ale na
widok Savil

ześlizgującej się w pełnym pędzie z
grzbietu Kellan i lądującej ciężko na
ziemi obok nich,

Vanyel zdławił narastający w nim
strach. Gdy jej magiczne światło
rozbłysnęło jaśniej, Vanyel

spozrzegł, że z całego zdrowego
sosnowego lasu dookoła nich nie
pozostała nawet jedna ga-

łązka.

- Nie... nie mam pojęcia co... co się

stało - wyjąkał, gdy Savil, uklękawszy przy nich,

rozwarła powieki Tylendela, a potem sprawdzała jego puls. W błękitnym blasku magicznego

światełka jej twarz nabrała ponurej, szarej barwy. Pozostali dwaj heroldowie powoli zsiadli z

koni i w osłupieniu wodzili wzrokiem po spustoszonej okolicy. - Czuł się dobrze i wtem, w

jednej chwili... ciociu Savil, proszę, ja mu tego nie zrobiłem... prawda?

- Nie, chłopcze - odparła jakby

nieobecna myślami. - Jaysenie, podejdź tutaj i

potwierdź, dobrze?

Wyższy z dwóch heroldów uklęknął obok i przeprowadził takie samo badanie, jakie

przed chwilą wykonała Savil.

- To wstrząs spowodowany sprzężeniem zwrotnym - zawyrokował. - Jest bardzo źle.

Możemy tylko położyć go do łóżka i zostawić pod opieką kogoś, kogo darzy zaufaniem.

- Tak właśnie myślałam - odparła i podniósłszy się z ziemi, przywołała gestem

drugiego herolda, aby pomógł Jaysenowi przenieść nieprzytomnego chłopca. - Nie, Vanyelu,

nie masz z tym nic wspólnego. -

Wreszcie przeniosła na niego wzrok. -

Wiesz, że masz złamany

nos?

- Złamany nos? - zdziwił się, wciąż pochłonięty obawami o życie Tylendela.

- Tak. Stój spokojnie. Dar uzdrawiania Jaysena nadaje się w sam raz, aby coś

na to

zaradzić... Wysmukły, blady herold
zbliżył dłoń do twarzy Vanyela.

Chłopiec poczuł dziwne

szarpnięcie, a potem przeszywający ból,
od którego na moment pociemniało mu
w oczach;

wreszcie przyszło odrętwienie. Savil
szybko oceniła jego stan.

- Już dobrze. Przez następne kilka dni
będzie cię piekielnie bolało, ale zagoi
się w

mgnieniu oka. Później zmyjemy ci krew
z twarzy. Jaysenie, Rolfie, przenieście

Tylendela do

moich pokoi. Uzdrowiciel tu nic nie pomoże. Sami się nim zaopiekujemy.

- Ciociu, proszę, powiedz mi, co się stało? - Chwiejąc się, stanął na równe nogi i ścisnął

mocno dłoń nieprzytomnego, bezwładnego niczym zepsuta lalka, Tylendela, którego obaj

mężczyźni podnosili właśnie z ziemi. Nie chciał ustąpić, póki nie dowie się, co zaszło.

Savil delikatnie rozluźniła uścisk jego palców.

- Jeśli wiadomość, jaką przekazała nam Gala, jest prawdziwa, to w momencie gdy

rozpoczął się atak u Tylendela, ktoś zamordował jego brata - powiedziała gniewnie. - Wiesz o

więzi łączącej go ze Stavenem.

Vanyel pokiwał głową, jego twarz drgnęła.

- Tylendel poczuł to wszystko, poczuł śmierć, wiedział, co się stało. Stracił panowanie

nad swym ciałem, a na moment nawet świadomość. Przypominało to napady,

które miewał

wcześniej, ale teraz chyba było o wiele gorzej. Tym razem atak uczynił zeń rozwścieczone

zwierzę, wyzuł go ze wszystkiego. Ciało nie wytrzymało wielkiej mocy energii, jaka przez nie

przepłynęła, umysł jest w stanie szoku po śmierci Stavena. To szok spowodowany sprzężeniem

zwrotnym.

Vanyel, niezupełnie pewny, czy pojął to wszystko, pokiwał głową ze zrozumieniem.

Twarz Savil pociemniała z wściekłości.

- Niechaj wszyscy bogowie potępia tych głupców i ich spory! Śmierć za śmiercią, a oni

wciąż nie są zaspokojeni! Van, naszym zadaniem jest dopilnować, aby Tylendel nie stracił

życia.

- Stracił życia? - głos Vanyela załamał się i chłopiec powiódł dzikim wzrokiem za

heroldami i ich nieprzytomnym podopiecznym.

- Och... nie... bogowie... ciociu,
powiedz, co mam robić, nie mogę
pozwolić mu...

- Nie zamierzam pozwolić mu umrzeć -
przerwała, popychając go, aby podążył
za

heroldami. - Koniec maskarady i do
diabła z tym, czego się dowie twój
ojciec. Sama się zajmę

Withenem i zatrzymam cię tutaj, nawet
jeśli będę musiała uzyskać na to rozkaz
Królowej. Ty

idź z nimi i zostań przy Tylendelu, bez
względu na to, co się będzie działo. -
Savil przygryzła

wargi, a gdy sparaliżowany strachem Vanyel popatrzył na nią, jeszcze raz lekko go pchnęła. No

idź. On cię potrzebuje, chłopcze... tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie potrzebował. W tobie cała

nadzieja na przywrócenie go do życia w pełni sił fizycznych i psychicznych. Gdy dwaj

heroldowie, nazywani przez Savil Jaysen i Rolf, rozbierali Tylendela i kładli go do łóżka,

chłopiec nie zdradzał żadnych oznak powrotu do przytomności. Vanyel z zaciśniętymi w pięści

dłońmi krążył po pokoju. Czuł pulsowanie twarzy i zdawało mu się, że jego policzki są tak

białe jak policzki Tylendela. Gdy tylko heroldowie wyszli z pokoju, obrzuciwszy go przedtem

badawczymi spojrzeniami, Vanyel usadowił się w fotelu przy łóżku, ujął bezwładną, zimną

rękę kochanka w swą dłoń i zastygł w bezruchu.

Trwał tak przez resztę nocy, niezdolny do snu, niezdolny do jasnego myślenia. Tylendel

wyglądał upiornie – jego skóra stała się
woskowobiała, w jego dłoni nie drgnął
nawet mięsień,

a jedyną oznaką tego, że jeszcze tli się w
nim życie, był ledwie dostrzegalny ruch
klatki

piersiowej.

Savil zajrzała w nocy raz czy dwa, ale
nie odezwała się ani słowem. O
wschodzie słońca

pojawił się Mardik, próbując nakłonić
Vanyela do odpoczynku, ale ten
odmówił, uparcie

potrząsając głową. Nie zaśnie, nie

będzie mógł zasnąć dopóty, dopóki nie będzie wiadomo, że

Tylendel czuje się lepiej.

Zaraz po wschodzie słońca, Savil udała się na zebranie Rady, zwołane

najprawdopodobniej w sprawie waśni. Później Mardik i Dormi, dość niechętnie, ale poszli na

swoje lekcje. Gdy Mardikowi nie udało się namówić Vanyela do drzemki, Donni usiłowała

przekonać go do zjedzenia czegoś. I jej odmówił, podejrzewając, że - kierowana najlepszymi

intencjami - dziewczynka mogła
wmieszać w jedzenie jakiś środek, który
szybko sprowadziłby

na niego sen.

- Lendelu, poszli już - powiedział,
usłyszawszy dźwięk otwieranych i
zamykanych

drzwi. Odezwał się tylko po to, aby
usłyszeć w pokoju jakikolwiek dźwięk,
poza odgłosem

oddechu Tylendela. - Jesteśmy tutaj
tylko ty i ja. Lendelu, musisz wrócić...
proszę. Potrzebuję

cię, Lendelu.

- Bliski hysterii, zażartował: - Słuchaj, sam dobrze wiesz, że moje zaległości z historii

są zbyt wielkie, aby Mardik mógł mi pomóc je nadrobić.

Nagle wydało mu się, że chyba... właśnie dostrzegł jakiś przebłysk reakcji na twarzy

Tylendela. Serce podskoczyło mu do gardła, ale mówił dalej. Z pieśczętą w głosie recytował

nawet fragmenty ulubionych wierszy Tylendela - robił wszystko, co mogłoby wyrwać chłopca

z owego nienaturalnego snu. Mówił tak długo, że w ustach i gardle poczuł suchość, a jego głos

zamienił się w jakieś krakanie. Wyszedł na moment, aby przynieść sobie trochę wody i znów

powrócił do swego monologu. Mniej więcej około trzeciej po południu stracił wątek. Przez cały

czas miał świadomość, że ktoś ich obserwuje, ale nie chcąc przerywać potoku myśli, dotąd nie

przejmował się tym. Tym bardziej, że nim nadeszło popołudnie, nie było wątpliwości, że w sta-

nie Tylendela zachodzi zmiana, i to na lepsze. Nie miał pewności, że właśnie jego słowa

sprowadzały tę poprawę, ale mimo to nie chciał ryzykować. Wciąż siedział, ściskając dłoń

Tylendela i opowiadał mu, co tylko przyszło mu do głowy, nie zważając, czy były to rzeczy

przemyślane, czy też kompletne brednie.

Nadszedł zachód słońca, obracając rzekę za oknem w płonącą wstęgę.

Światło

przybladło, w pokoju robiło się coraz

ciemniej, a on wciąż siedział bez ruchu.
Weszła Savil,

zapaliła świece i szepnęła mu coś do
ucha. Zdaje się, że pochwaliła jego
postępowanie. Tak mu

się przynajmniej zdawało, ale nie był
pewny. Nie bardzo nawet dbał o to.
Cały jego świat

zwięźlił się do tej białej twarzy
spoczywającej na poduszce i z wolna
ogrzewającej się właśnie

dłoni.

Jego oczy stawały się coraz cięższe,
ciało ogarniał ból, a głos przycichł do

szeptu, który

stał się nieczytelny nawet dla niego samego. Wreszcie oparł głowę na ramieniu i postanowił

zdrzemnąć się choć przez chwilę...

Nagle ocknął się, czując, że ktoś pieści jego włosy. Poderwał się. Gwałtownie unosząc

głowę z koca, poczuł ostry, pulsujący ból.

Tylendel patrzył na niego opuchniętymi, okolonymi sińcami oczami przepelnionymi

taką udręką, że Vanyel na ich widok
omal nie zalał się łzami.

- Słyszałem cię - wyszeptał Tylendel. -
Słyszałem, ale nie miałem siły, żeby
odpowiedzieć. Van... Staven...

Jego twarz ściągnął grymas cierpienia.
Vanyel ześlizgnąwszy się z fotela
przysiadł na

brzegu łóżka, wziął Tylendela w
ramiona i przytulił go z całych sił, dając
mu oparcie swym

ciałem i starając się, aby jego obecność
przyniosła ulgę kochankowi. Tylendel,
wstrząsany

szlochem, przyciskał się do Vanyela tak,
jak gdyby ten pozostał jedynym na całym
świecie

źródłem pocieszenia, Vanyel płakał
razem z nim.

Wreszcie spłynął na nich sen,
prawdziwy sen, niepodobny do snu
Tylendela

wywołanego wstrząsem. Vanyel, w
pełnym odzieniu, wyciągnął się, siedząc
jeszcze na fotelu,

głowę złożył na brzegu łóżka, a Tylendel
przyłgnął do niego jak porzucone
dziecko.

- Jedz - rozkazał Vanyel, stawiając tacę na okrytych kołdrą kolanach Tylendela.

Tylendel popatrzył na jedzenie z obrzydzeniem i potrząsnął głową.

- Nie mogę - wyszeptał zawzięcie.

- To znaczy, że nie zjesz - rzucił ostro Vanyel, próbując lekceważyć ból twarzy. - Już

całą dobę nic nie jadłeś. Savil powiada, że jeżeli nie zjesz czegoś, znów wpadniesz w ten szok.

Nie zmarnowałem tyle czasu tylko po to, żebyś ty znów tracił przytomność. A teraz jedz, do

diabła! - Założył ręce na piersi i obrzucił Tylendela gniewnym spojrzeniem. Chłopiec uniósł się

niedość na poduszkach i spróbował odsunąć tacę. Niestety, był tak słaby, że nie miał nawet siły,

aby ją podnieść. Przesunął ją tylko o kilka centymetrów, a Vanyel natychmiast położył ją z

powrotem.

Tylendel popatrzył na tacę takim wzrokiem, że mogłoby się wydawać, iż widzi na niej

poomyje dla świń, a nie całkiem

apetycznie wyglądającą zupę. Mimo to jednak wziął do ręki

łyżkę. Przełykając pierwszy haust, sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się, że ledwie coś zje,

zaraz to zwróci, ale kiedy zorientował się, że nic niepokojącego się nie dzieje, ożywił się i z

ochotą przełknął drugą i trzecią łyżkę.

Vanyel przysiadł ostrożnie na brzegu łóżka, bacząc, by nie strącić leżącej obok tacy.

Odkąd Tylendel zbudził się ze snu, zauważał w nim coś tajemniczego, a

zarazem pełnego pasji.

Wyczuwał to w każdym jego słowie,
wypowiedzianym od tamtej pory.

Przypuszczał, że wie,

co to jest, ale domysły mu nie
wystarczały. Chciał mieć pewność.

- Obawiają się, że oszaleję - wyszeptał
spokojnie Tylendel, opróżniwszy miskę
do

połowy.

- Wiem - odparł Vanyel takim samym
tonem, wyczuwając, że sekret wkrótce
wyjdzie

na jaw. - To dlatego chcieli, żebym był przy tobie. A ty? Też myślisz, że tak może się stać?

Tylendel podniósł wzrok znad zupy, a w jego oczach czaiło się to niepokojące, pałające

“coś”, którego istnienia Vanyel domyślał się od jakiegoś czasu.

- Oni pewnie tak sądzą. Van, musisz mi pomóc.

- Nie potrzebujesz mnie o to prosić - rzekł Vanyel rzeczowo. - Powiedz tylko, czego ci

trzeba, a ja zdobędę to dla ciebie.

- Zemsty. - Płomień na dnie jego oczu
rozbłysnął na chwilę i znów zamienił
się w

ledwie tłący się ognik, ukryty przed
wzrokiem obcych.

Vanyel pokiwał głową. Spodziewał się
tego. Jeśli Tylendel chce się zemścić...

- Powiedz tylko słowo. Jeśli potrafię,
zrobię to.

Tylendel opadł na poduszki ułożone
jedna na drugiej pod jego plecami,
głowę zwiesił

lekko w tył i przymknął oczy. Twarz
rozjaśniło mu uczucie ulgi.

- Och, na bogów, Van... myślałem...

- Jedz - warknął Vanyel. - Powiedziałem ci już, że rozumiem wszystko, nawet jeśli

Savil nie aprobuje tego.

Zadaję sobie tylko jedno pytanie: jak niedorośli, nie w pełni wyszkoleni chłopcy mają

wziąć odwet na ludziach znajdujących się w miejscu oddalonym o dobre dwa tygodnie drogi?

Domyślam się, że masz gotową odpowiedź na to pytanie.

Tylendel otworzył oczy i z powagą
skinął głową. Vanyel zobaczył jednak,
że łyżka

wciąż tkwi w misce, a przecież w tej
chwili koncentrował się na zadaniu
pilniejszym niżli

odegranie się na Leszarach, czyli na
postawieniu chłopca na nogi. O plan
zemsty będzie się

martwił dopiero wtedy, gdy Tylendel
osiągnie tak dobrą formę, że będzie w
stanie sam

wprowadzić go w życie, i ani chwili
wcześniej.

- Do diabła, Lendelu, jeśli nie będziesz jadł, nie pomogę ci!

Tylendel drgnął, podniósł się powoli i dokończył posiłek.

Vanyel wziął kubek przyjaciela, aby łyknąć wina. Jego twarz przedstawiająca wciąż

dość opłakany widok, cały czas bolała go bardzo, a kiedy spojrzał na swe odbicie w lustrze,

szybko odwrócił oczy. Jego wielbiciele nie mieliby nad czym wzdychać.

Wyglądał, jak gdyby

buzię okryła mu sina maska z

ziemniakiem zamiast nosa. Cierpiał. O bogowie, jakież cierpiał

katusze. Zasnąć udało mu się tylko dzięki temu, że był już całkiem, całkiem wyczerpany.

- Czy to moje dzieło? - zapytał łagodnie Tyrendel, spoglądając na jego twarz i nabierając ostatnią łyżkę zupy.

Nie widząc powodu, dla którego miałby zaprzeczyć, Vanyel skinął potakująco.

- Niezupełnie byłeś sobą - powiedział, pochylając się nad łóżkiem, aby odłożyć tacę na

nocny stolik.

- O bogowie... Van, tak mi przykro... -
Cień dzikiej pasji znikł na moment z
jego oczu,

a gdy wyciągnął dłoń, by dotknąć nosa
Vanyela, na mgnienie zastąpiła go
głęboka troska.

- Możesz mnie dotykać gdziekolwiek
chcesz, ale nie tam. Piekielnie mnie boli,
ale nie

zrobiłeś tego z własnej winy, w
porządku? - Widząc błysk bólu w
oczach Tylendela, Vanyel

przysunął się bliżej, wziął go w ramiona

i mocno przytulił. Po chwili, ująwszy jego dłoń w

swoje ręce, powiedział: - Chciałbyś porozmawiać? Chyba teraz moja kolej na wystąpienie w

roli słuchacza.

Ogień w oczach Tylendela rozblęsnął na nowo, kłócąc się z uczuciem udręki, wciąż

odbijającej się na jego twarzy.

- Ta więź pomiędzy Stavenem i mną... to było coś innego, niż oni myślą. W większości

przypadków odległość odgrywa
ogromną rolę w działaniu takiej więzi,
osłabia ją. Naszej nigdy

nie osłabiła. Ale Savil myśli, że było
inaczej, a ja pozwolę jej trwać w tym
przekonaniu. W

przeciwnym razie, kazałaby mi przerwać
więź. - Jego twarz stężała, zamknął
oczy. Vanyel

zaciśnął palce na jego dłoni.

- Zawsze wystarczyło, że pomyślałem o
nim, a on zjawiał się przy mnie. I
odwrotnie: ja

byłem przy nim, gdy on pomyślał o mnie.

Tamci... Leszarowie... zastawili na niego pułapkę.

Zabili jego eskortę. Zabili jego. Ale to nie było zwykłe morderstwo, Van. Posłużyli się magią.

Vanyel poczuł, że usta mimowolnie otwierają mu się ze zdumienia.

- Co zrobili? Jak? Jak herold mógł...

- To nie był herold. Wynajęli maga z innego królestwa. Napuścili na posiadłość

jakieś... bestie. Jakieś magiczne potwory, może z Pelagris. Staven ścigał je ze swą strażą przy-

boczną, ale kiedy dotarł na miejsce,
stwory zniknęły. Spędził chyba cały
następny dzień,

próbując wytropić je na nowo,
wyczerpując siły swoje, żołnierzy i
koni. Wtedy właśnie magia

sprowadziła bestie z powrotem, a mój
brat i jego ludzie wpadli w zasadzkę. -
Oczy Tylendela

pały przeraźliwie, jakby patrzył w
piekło. - Te stwory, nim zabiły,
poszarpały go potwornie.

Zrobiły to na rozkaz swego pana. Na
rozkaz Leszary. Nie potrafię opisać...

Wzdrygnął się ze wstrętem.

- Stav przywołał mnie... przywołał mnie drogą naszej więzi... Van, byłem z nim.

Czułem, jak umierał!

Ścisnął rękę Vanyela tak mocno, że z obydwu ich dłoni odpłynęła krew. Jego głos

zadrżał.

- Wiedział, że jestem przy nim. Wiedział od momentu, kiedy odpowiedziałem na jego

wołanie. Dzięki wam, bogowie, za to. Wiedział, że nie jest sam. Ale ostatnią

rzeczą, o jaką

mnie prosił, o jaką mnie błagał, była zemsta. - Tylendel rozwarł szeroko oczy. Nie było już w

nich owego malutkiego ognika. Teraz gorzały tam płomienie wściekłości i bólu. - Przyrzekłem

mu to, Van. Przyrzekłem mu. Te kanalie zabiły Stavena, ale nie ujdzie im to na sucho. Vanyel

napotkał jego pałający wzrok i spuścił oczy.

- Powiedziałem już, Lendelu -
odpowiedział cicho. - Wystarczy tylko

słowo.

- Och, kochany... - Jego głos przełamał się w szloch, a podniósłszy głowę, Vanyel

zobaczył łzy spływające po policzkach Tylendela. - Nie powinienem cię w to mieszać...

bogowie, nie powinienem. To nie w porządku. Przecież to nie twoja sprawa.

- Sam powiedziałaś, że jesteśmy partnerami, że będziemy się wszystkim dzielić -

odrzekł Vanyel tak stanowczo, jak tylko potrafił. - Według mnie oznacza to, że

będziemy

dzielić to, co dobre i to, co złe. - Teraz nadeszła jego kolej, aby sięgnąć po chusteczkę z

szuflady stolika nocnego i podać ją przyjacielowi. - Powiedz mi, co mam robić.

Tylendel drżącą dłonią otarł łzy.

- Nie możemy dopuścić, aby Gala dowiedziała się, co przygotowujemy. Chciałaby

mnie powstrzymać. Mogę temu zaradzić i odciąć ją od wiedzy o tym. Zrobiłem to już, nie

dopuszczając, aby dowiedziała się o moim kontakcie ze Stavenem. Będę... będę udawał

chorego...

- Przecież jesteś chory. Spójrz tylko, jak ci się trzęsą ręce.

Tylendel, dość zaskoczony, popatrzył na drżące dłonie.

- A więc, jeszcze bardziej chorego. Zbyt chorego, żeby robić cokolwiek, poza leżeniem

tutaj. Chcę tylko, abyś wślizgnął się do pokoju Savil i przyniósł mi dwie książki. To księgi

zakazane. Nikt, z wyjątkiem najwyższych rangą magów heroldów, nie powinien nawet

wiedzieć o ich istnieniu, a Savil jest jedną z trzech osób w Przystani, które posiadają jej kopie.

Vanyela zaczęły ogarniać złe przeczucia.

- W takim razie, czy nie znajdują się one pod kluczem? Kąciki ust Tylandela drgnęły.

- Och, oczywiście, że tak. Savil umieściła je pod specjalnymi osłonami. Ale te osłony

nie działają przeciwko komuś nie

posiadającemu daru magii.

- Co? - Szczeka Vanyela znów opadła.

- Margret musi przecież wycierać kurze nawet tam, a więc Savil nałożyła na nie tylko

zaklęcie chroniące je przed rękoma kogoś, kto posiada dar. Dzięki temu Margret może ich

dotykać i odkładać na miejsce, gdy Savil zostawi je na wierzchu. Savil wychodzi z założenia, że

człowiek nie posiadający daru nie wiedziałby nawet, czego w nich szukać. Dzięki temu ty

możesz bez przeszkód po nie sięgnąć,
choć dla mnie pozostają niedostępne.

- Teraz? - zapytał niepewnie. Tylendel
potrząsnął głową.

- Nie, nie byłbym... teraz nie byłbym w
stanie już nic zrobić. Później... - Zdusił
w

gardle płacz i wyszeptał: - Och,
bogowie... Staven...

Potem jego oddech znów jakby się
urwał, ale tym razem Tylendel nie zdołał
opanować

rozpaczy i wybuchnął gwałtownym
szlochem. Vanyel zaś od razu porzucił

myśli o zemście i

zaczął z całego serca pocieszać przyjaciela.

- Będziesz musiał przewracać kartki - rzekł Tylendel, spoglądając na niepozorną,

oprawną w czarną skórę księgę, leżącą na łóżku pomiędzy nimi. - Wolę ich nie dotykać.

Vanyel wzruszył ramionami i wykonał polecenie, otwierając książkę na pierwszej

stronie.

Podstęp świetnie się sprawdzał. Tylenel symulował, że jest o wiele słabszy, niż był w

rzeczywistości, a Savil interesowało tylko to, aby odpoczywał jak najwięcej. Nie zdradzała

żadnych oznak zaniepokojenia, że jego rekonwalescencja się przeciąga. Nie sprowadziła

uzdrowiciela nawet wtedy, gdy Vanyel - wypróbując tylko jej reakcję - zasugerował, że stan

zdrowia Tylenela nie polepsza się w zadowalającym tempie.

- Taki wstrząs to okrutnie paskudna rzecz, chłopcze

- odpowiedziała wzdychając. - Mijają tygodnie, nim człowiek się z niego wyrwie,

czasem nawet miesiące. Nie spodziewałam się nawet, że uda mu się wyjść z tego tak szybko i w

tak dobrej kondycji. Chyba tobie zawdzięczam to wszystko.

Vanyel zarumienił się i wymamrotał jakieś słowa sprzeciwu, ale Savil potargała

pieszczotliwie jego włosy i odparła, aby

lepiej wracał do swego podopiecznego i nie zacho-

wywał się jak głuptas. Ten bezpośredni gest z jej strony sprawił, że Vanyel poczuł się w jakiś

sposób winny. W tej jednej chwili uświadomił sobie, że wiedząc to, co wie, i knując z

Tylendelem spisek, który z pewnością by się Savil nie spodobał, nie jest wobec niej do końca

uczciwy.

Ale ona na pewno i tak by tego nie zrozumiała - powtarzał sobie Vanyel po

raz setny.

Nie zrozumiałyby tego. Zerwała swe kontakty z rodziną dawno temu, a przecież i tak nigdy nie

były one zbyt zażyłe .

Od czasu do czasu żądza zemsty Tylendela przerażała trochę i jego samego, ale

wmawiał sobie wtedy, że Tyndel ma prawo wziąć odwet za śmierć swego brata. Jednakże gdy

po raz pierwszy nawiedziła go obawa, iż zemsta stała się obsesją jego kochanka, uznał to

wy tłumaczenie za niegodne - niegodne
Lendela i Stavena. To nie zemsta - to
sprawiedliwość,

pomyślał wtedy. Z pewnością
heroldowie nie poczynili żadnych starań,
aby poskromić

Leszarów.

Tego popołudnia Savil zaplanowała
lekcję z Mardikiem i Donni w sali
ćwiczeń i

zagroziła, że uśmierci każdego, kto
odważy się zakłócić tok zajęć. Mając w
ten sposób wolne

pole działania, Vanyel zakradł się do jej

pokoju.

Książki - jak wyjaśnił mu Tylendel -
miały leżeć w małej szafce wbudowanej
w ścianę

tuż obok drzwi prowadzących do
osobistej sali ćwiczeń Savil. W istocie
były tam.

Spostrzegłszy obydwie tomy na swoim
miejscu, na najwyższej półce, Vanyel
poczuł dreszcz

lęku. Sięgnął po nie, spodziewając się,
że lada moment może paść rażony
piorunem.

Nic się nie stało.

Wrócił do sypialni, gdzie czekał na niego Tylendel, siedzący już w łóżku z papierem i

piórem w dłoni. Vanyel ukradkiem wślizgnął się do środka i przyciskając książki do piersi,

zamknął za sobą drzwi.

Błysk dzikiej satysfakcji w oczach Tylendela na widok książek leżących na łóżku

sprawił, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Jednak reakcję przyjaciela usprawiedliwił pod-

niecieniem wywołanym sukcesem.

- Czego szukasz? - spytał z zaciekawieniem, powoli przewracając strony na znak

dawany mu przez Tylendela.

- Dwóch zaklęć. Nieczęsto używamy zaklęć, ale to nie znaczy, że one nie działają -

odpowiedział Tyndel jakby nieobecny myślami. - Działają, i to nawet dobrze, jeśli posługuje

się nimi ktoś o tak silnym darze magii, jak mój. Savil twierdzi, że mógłbym czerpać energię

nawet ze skał... ale cóż, większość z nas

nie jest do tego zdolna i dlatego nie korzystamy z

zaklęć nazbyt często. Jedno z tych, których szukam to zaklęcie o nazwie "Brama". Pozwoli

nam ono przebyć odległość stąd do posiadłości Leszary w niespełna godzinę.

- Chyba żartujesz - odparł Vanyel, nie dowierzając. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Magowie heroldów wolą raczej, aby ludzie nie dowiedzieli się, że potrafią...
to

znaczy, że najlepsi z nich potrafią robić takie rzeczy. Savil potrafi i powiedziała kiedyś, że i

mnie powinno się to udać, a także Mardikowi i Donni, pod warunkiem, że nauczą się

współpracować ze sobą. Większość tych, którzy mają takie możliwości nie wykorzystuje ich w

pojedynek. To dlatego, że do posłużenia się zaklęciem mag potrzebuje bardzo dużo energii.

Zaklęcie wysysa z niego całą moc, a kiedy znajdzie się na miejscu, po drugiej stronie Bramy,

jest już zupełnie wyczerpany.

- A jak ty zamierzasz sobie z tym poradzić?

- Pożyczę trochę energii od ciebie...
jeśli... pozwolisz... - wyjąkał Tylendel,
spoglądając

na Vanyela błagalnym wzrokiem.

Vanyel przybrał poważną minę.

- Co masz na myśli mówiąc „jeśli”?
Oczywiście, że mogę ci jej użyczyć. Na
co jeszcze

mogę się przydać?

- Na bogów... *ashke, ashke*, nie zasługuję na ciebie - rzekł łagodnie Tylendel,

uśmiechając się. Drżenie w jego głosie powiedziało Vanyelowi, że przyjaciel znów jest bliski

płacz.

Jest zupełnie odwrotnie, kochany - odparł krótko Vanyel. - A któż to powstrzymał mnie

od powolnego umierania? Któż to pokazał mi, czym jest szczęście? Któż to kocha mnie jak nikt

inny? No powiedz.

- A kto podbił ci oczy, złamał nos i niemal zmiążdżył Stopę?

- No cóż, to chyba wystarczające powody, prawda? - odciął się żartobliwie Vanyel. -

Mówią, że jeśli nie ranisz, nie kochasz.

Tylendel potrząsnął głową.

- Ja... bogowie, nie pozwólcie mi znów się rozkleić. Vanyelu *ashke*, bez ciebie nigdy

nie mógłbym nawet marzyć o zrealizowaniu mojego planu. Nikt inny nie pomógłby mi przy

wzniesieniu Bramy... ale Van, muszę cię ostrzec, że potem będziesz się czuł bardzo kiepsko.

Podobnie jak podczas mojego ataku, który odbił się też na tobie.

- Naprawdę potrafisz pożyczać energię?
- przerwał mu Vanyel z powątpiewaniem. - Ja

przecież nie mam żadnego daru ani nic podobnego.

- Nie masz aktywnego daru, ale posiadasz potencjał, który na razie jest zablokowany.

Sam nie wiedziałbym o tym, ale odnoszę

wrażenie, że jest coś między nami, coś,
dzięki czemu

możemy się komunikować. To “coś”
sprawia, że nasze “komunikowanie”
odbywa się na dużo

głębszym poziomie niż między mną a
Savil... czy nawet Galą. To “coś” jest
bliższe więzi, jaka

łączyła mnie z moim bratem. Nasza więź
wprawdzie nie istnieje na poziomie
świadomości, ale

mimo to dzieje się tak, że... wiem, że ty
wiesz, kiedy jestem...

- ...nieszczęśliwy - dokończył Vanyel,

pogrążony w myślach. - To się zdarza w różnych

sytuacjach. Och, wydaje mi się, że masz rację. Dotychczas byłem przekonany, że to wypływa z

mojej troski o ciebie, ale teraz muszę przyznać, że to wszystko istotnie sięga dużo głębiej.

Weźmy, na przykład, ostatnią noc. Przebudziłem się, ledwie zaczął się twój koszmar.

Tylendel skinął głową.

- A więc coś nas łączy i myślę, że nawiązało się to między nami, mniej

więcej

pomiędzy początkiem mojego ataku a chwilą, kiedy odzyskałem przytomność. Wyczuwam...

coś w tobie. Coś ogromnie głębokiego, o wielkiej mocy. Gdy pomyślałem o zaklęciu Bramy,

przejrzałem cię Głębokim Spojrzeniem. Już wcześniej wyczuwałem tę więź, ale dopiero

wówczas zobaczyłem, że masz w sobie pewną magiczną moc, którą będę mógł wykorzystać.

- Bogowie... Lendelu, nie mów mi tylko,

że zostanę magiem heroldów -
powiedział,

zatrwożony taką możliwością.

- Jeżeli nim jeszcze nie jesteś, to
prawdopodobieństwo, że się nim
staniesz, jest

niewielkie - odparł Tylendel,
przynosząc swymi słowami ogromną
ulgę Vanyelowi. - Savil

twierdzi, że wielu ludzi posiada
potencjał, ale nic nigdy go nie wyzwala.
Ty po prostu jesteś

jedną z takich osób.

- A więc i ty nie wyzwalam we mnie tego potencjału - rzucił Vanyel i nagle, z

niewiadomego powodu, przeszył go dreszcz. - Nie chcę być heroldem czy magiem heroldów,

ani nikim w tym rodzaju.

Tylendel obrzucił go zagadkowym spojrzeniem, ale powiedział tylko:

- Wątpię, abym był zdolny do zrobienia tego, nawet gdybym chciał. Krążą legendy o

szkołach dla magów, gdzie znajdują sposoby na wyzwolenie potencjału, ale nikt nigdy nie widział,

jak to się robi. A zatem, nawet jeśli to jest rzeczywiście możliwe, ludzie zajmujący się tym

utrzymują to w głębokiej tajemnicy.

- To dobrze - odetchnął Vanyel, wciąż zmagając się z niepokojącym dreszczem.

- O to

mi właśnie chodzi. Więc... użyjesz tego zaklęcia. Co dalej?

- Gdy przedostaniemy się na drugą stronę Bramy, będziemy już na ziemiach Leszarów,

a dokładnie na szczycie ich twierdzy. Skorzystam wtedy z jeszcze jednego

zaklęcia, którego w

tej chwili szukam i będzie po wszystkim.

Nie mając pojęcia skąd się bierze to przekonanie, Vanyel poczuł nagle, że nie chce

wiedzieć, jakie jest to drugie zaklęcie.

- Dobrze - zgodził się krótko, przewracając następną kartę. - Szukaj i powiedz mi, na

której stronie mam się zatrzymać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

a

V nyel wpatrywał się nerwowo w swe odbicie w szybie, upiorne, blade, niewyraźne

niczym duch z czarnymi dziurami zamiast oczu. Za oknem ciemność okryła już ogrody. Noc

była bezksiężycowa, wietrzna i zachmurzona. Nawet najmniejsze światełko nie rozjaśniało

nieba, nawet jedna gwiazda.

Była to Noc Sovan. Noc uroczystego zakończenia żniw, ale także noc poświęcona

wspomnieniom o tych, którzy umarli w

ostatnim roku. Była to noc, podczas której - jak

utrzymywało wiele podań - ludzie zbliżają się do zaświatów bardziej niż kiedykolwiek indziej.

Noc głębokiej ciemności, jak ta miesiąc wcześniej, gdy zamordowano Stavena.

Savil, wspólnie z innymi heroldami, opłakiwała śmierć zmarłych na przestrzeni

ostatniego roku. Dormi i Mardik, nie mając nikogo, kogo mogliby dziś wspomnieć, wraz z

innymi uczniami uczestniczyli w

uroczystościach organizowanych w pałacu. Uroczystości te

obejmowały najróżniejsze zabawy inspirowane przesądami związanymi ze Świętem Plonów,

które - przynajmniej dla młodzieży - stanowiły nieodłączną część Nocy Sovan.

Lord Evan Leszara udał się do domu, do Twierdzy Westrel. Vanyel miał już całkowitą

pewność, że to jego własne opowiadania dostarczyły lordowi Evanowi wszelkich informacji,

które wskazały mu najlepszy sposób na wciągnięcie Stavena w śmiertelną pułapkę. Wspólnie z

Tylendelem próbowali wykorzystać Leszare, a okazało się, że sami zostali wykorzystani.

Świadomość tego napełniała Vanyela goryczą.

Ale tej nocy pozostawiono ich samych w całym apartamencie...

- Jesteś gotów? - zapytał Tylendel, stojąc w progu, za jego plecami.

Vanyel skinął głową i powstrzymując drżenie wywołane własnym odbiciem w

szybie,

naciągnął na głowę kaptur swego granatowego płaszcza. Wyglądał teraz niczym wyobrazenie

samej śmierci. Tylendel stanął obok niego i w szybie pojawiły się odbicia dwóch postaci:

śmierci i jej cienia.

Vanyel potrząsnął głową, by pozbyć się złowieszczych myśli, a kiedy Tylendel

otworzył drzwi, obydwaj stanęli pośród chłodnej, nieprzeniknionej nocy.

Dzisiejszego ranka Vanyel wymknął się

do Przystani i od pierwszego lepszego

handlarza kupił parę koni nieokreślonej
maści, wydając na ten cel większość
pieniędzy uz-

bieranych wspólnie z Tylendelem w
ciągu ostatnich trzech tygodni.

Zaprowadził konie na

zachodni skraj miasta i pozostawił pod
opieką stajennego w zajezdzie poza
murami.

Wykonał w ten sposób zalecenia
Tylendela, który powiedział mu, że nim
użyje

zaklęcia, które błyskawicznie przeniesie

ich na teren twierdzy Leszarów, muszą znaleźć się

poza zasięgiem zmysłów magów heroldów. Potrzebowali też jakiegoś środka transportu, przy

czym kondycja wierzchowców nie odgrywała żadnej roli. Wystarczyło, aby miały dość sił, by

odbyć godzinną przejażdżkę za bramy miasta. Co się z nimi stanie później, nie miało większego

znaczenia.

Oczywiście zabranie Gali nie wchodziło w rachubę. Nie wzięli też Gwiazdy ani

nie

próbowali “pożyczyć” żadnego innego przyzwoitego wierzchowca ze stajni pałacowych.

Istniało niebezpieczeństwo, że zniknięcie koni zostanie zauważone, a Tylendel nie

chciał wzbudzać żadnych podejrzeń, które mogłyby doprowadzić do udaremnienia ich planu.

Dlatego też Vanyel bez zastrzeżeń zastosował się do jego poleceń. Jeśli nie mogą

przeprowadzić swych koni przez Bramę

- a Tylendel dał Vanyelowi do zrozumienia, że nie

będą w stanie, bądź też nie będą próbować nawet tego robić - trzeba będzie puścić je wolno i

zatroszczyć się o samych siebie. Vanyel zaś nie życzył sobie być odpowiedzialnym za

zaginięcie czyjegokolwiek ulubionego wierzchowca tak samo, jak nie chciał utracić swojej

Gwiazdy.

Lodowaty wiatr podrywał płaszcze, wciskając się pod nie wszelkimi

otworami i

przeszywając grubą wełnianą tkaninę.
Nim jeszcze prześlizgnęli się obok
straży przy bramie

pałacu i pomknęli na ulice miasta,
Vanyel już drżał na całym ciele. Przy
bramie strażnik zajęty

był ogrzewaniem się przy koszach z
rozpalonym koksem, i zdawało się, że
nie zauważył nawet,

kiedy cienie obu chłopców przemknęły
przez mrok bramy i podążyły ku
wybrukowanej ulicy.

Teraz znajdowali się w

najzamożniejszej dzielnicy miasta.

Zdawało im się, że wysokie

budynki po obu stronach ulicy ustawiono tylko po to, aby utworzonym przez nie korytarzem

wiatr mógł dąć prosto na nich. Tylenel, nie będąc jeszcze w pełni sił, uchwycił się ramienia

Vanyela i wtulił się w niego. Vanyelem wciąż wstrząsał dreszcz, częściowo wywołany

chłodem, lecz - sądząc z blasku oczu chłopca połyskujących w cieniu kaptura - częściowo także

podnieceniem.

W większości rezydencji, należących do bogatych i wysoko urodzonych obywateli,

światła były dziś wygaszone. Ich mieszkańcy uczestniczyli w obrzędach w świątyni bądź też w

uroczystościach zorganizowanych w pałacu z okazji Święta Plonów. Vanyel nie otrzymał

zaproszenia na jego obchody i choć daleki był od rozczarowania, nie bardzo wiedział, dlaczego

tak się stało. Wyraźny zwrot w jego

stosunkach z Tylendelem zdezorientował nie tylko jego

własny krąg wielbicieli, lecz także pozostałych uczniów i heroldów. W dodatku nikomu nie

spieszyło się, aby rozwiać ich wątpliwości. Savil uważała bowiem, że utrzymując w nieświa-

domości plotkarzy, można zapobiec dotarciu prawdy do Withena i w ten sposób zyskać na

czasie.

Przy założeniu, że lord Evan - dla własnej przyjemności dokuczenia

Tylendelowi i jego

kochankowi - już nie doniósł Withenowi o romansie jego syna, w istocie taki stan rzeczy

wydawał się szalenie korzystny.

Vanyel pomyślał przez chwilę o zabawie, która właśnie, bez jego udziału, odbywa się w

pałacu. Prawdopodobnie ludzie odpowiedzialni za uroczystości doszli do wniosku, że będzie

wolał towarzyszyć Tylendelowi, szczególnie w taką noc. Możliwe było też, że obwiniano go za

stan zdrowia Tylandela i nie przysyłając mu zaproszenia, wymierzano mu karę za jakieś

domniemane złe postęпки. Mardik opowiadał nawet o kilku historyjkach krążących na dworze,

które potwierdzałyby takie przypuszczenie.

Bez względu jednak na powody, dla których stało się tak, a nie inaczej, trudno byłoby

wymarzyć sobie dogodniejszą okazję do wymknięcia się z pałacu nie zauważonym.

Minęli róg ulicy i typ zabudowań się zmienił. Domy były mniejsze, bardziej stłoczone i

nie odgródzone od ulicy murami. Tu okna także pozostawały dziś ciemne, ale w niektórych z

nich - zgodnie ze zwyczajem związanym z Nocą Sovan - zapalono świece. Tylko dzięki

blaskowi tych świec chłopcy zdołali rozeznaczyć się w ciemności i odnaleźć właściwą drogę, gdyż

latarnie oświetlające zwykle ulice dawno już wygasły.

Od paru dni, a właściwie od dnia, kiedy Vanyel wykradł książki Savil, Tylendel zaczął

stopniowo zamykać się w sobie, a jego zachowanie stawało się coraz dziwniejsze. Czasem

Vanyel budząc się w środku nocy, zastawał Tylendela siedzącego w fotelu i wpatrującego się

rozgorączkowanym wzrokiem w spisana ręcznie kopię zaklęć. W dzień natomiast często

można było zobaczyć, jak godzinami patrzy przed siebie nie widzącym wzrokiem albo wbija go

w płomień świecy. Gdy się do niego mówiło, odpowiadał monosylabami. Jedynie w tych

krótkich chwilach, gdy Vanyel wyrывał go w nocy z koszmaru, Tylendel reagował normalnie,

po staremu. Płakał przez chwilę na ramieniu Vanyela, a potem obydwaj rozmawiali tak długo,

aż zmorzył ich sen. Wówczas mówił jak prawdziwy Tylendel, bez obawy dzieląc smutki i

niepokoje ze swym ukochanym. Lecz gdy nadchodził dzień, Tylendel powracał do swej

skorupy, której żadne słowa Vanyela i żadne jego uczynki nie zdołały skruszyć.

Vanyel stopniowo utwierdzał się w przekonaniu, że Tylendel nie odzyska już swego

dawnego „ja”, przynajmniej do momentu, gdy zostanie wymierzona zemsta. Sprawilo to, że

Vanyel zaczął oczekiwać nadejścia tej chwili z niecierpliwością taką samą, z jaką gotował się

do tego wydarzenia jego kochanek.

Przez całą drogę nie napotkali ani jednego człowieka. Dopiero gdy dotarli

do dzielnicy

sklepów i zajazdów, ujrzeni na ulicy
dwie sylwetki ludzkie, a była to tylko
nocna straż. Dwaj

mężczyźni ledwie omietli ich obojętnymi
spojrzeniami. Vanyel i Tylendel nie byli
oczywiście

uzbrojeni, jeśli nie liczyć noży. Poza tym
nosili zbyt bogate stroje, aby strażnicy
mogli ich

wziąć za chuliganów, a byli za mało
atletyczni jak na młodych arystokratów
szukających

sposobu, jak napytać sobie biedy.

Obydwaj strażnicy skłonili się niemal równocześnie, krótko i

z powagą, a gdy światło latarni strażnika idącego z prawej strony padło na nich, Vanyel i

Tylendel odpowiedzieli skinieniem głowy. Usatysfakcjonowani tym, co zobaczyli, strażnicy

poszli dalej, a chłopcy podążyli w swoją stronę, stukając obcasami na kocich łbach ulicy.

Dalej ciągnęły się już budynki jedno- i dwupiętrowe i nic nie przeszkadzało wiatrowi

wyć i szaleć między nimi. Im bliżej było do zachodnich bram Przystani, tym bardziej jakość i

stan budynków - w większości sklepików, karczem, domów czynszowych i warsztatów -

pogarszały się. Choć tej nocy straż przy wielkiej bramie miasta Przystani nie ustawiła się w

miejscu widocznym, w ścianie znajdował się punkt widokowy i gdy przemykali się przez

bramę, Vanyelowi zdawało się, że czuje oczy strażnika na swych plecach. W rzeczywistości

jednak straż nie zainteresowała się dwoma młodzieńcami, którzy spokojnie przeszli pod ścianą,

bardziej niż nocni strażnicy w mieście. Zajazd pod Czerwonym Nosem był jasno oświetlony i

dobiegały z niego głosy co chwila wybuchających śmiechem hulaków. Nawet pośród wycia

wiatru przebijały się ich niewprawne śpiewy i prostacki śmiech, które Vanyel posłyszał, gdy

mijali drzwi prowadzące do wnętrza budynku. Dym i światło sączyły się przez drzwi, a kiedy

chłopcy znaleźli się na ich wysokości,
owiał ich dym, jakiś cuchnący swąd, od
którego

zakrztusili się kaszlem, a ich oczy zaszyły
łzami. Trwało to na szczęście tylko
moment, bo zaraz

podmuch czystego powietrza zdjął
nieprzyjemny odór z ich twarzy. Przeszli
obojętnie obok

uchylonych drzwi i skierowali się na
podwórze, ku stajni.

Pełnił tam akurat służbę jeden na wpół
pijany stajenny, rozwalony na snopkach
siana

przy wejściu do stajni, oświetlonym
ledwie tłącą się latarnią. Chrapał z
głową zwieszoną na

piersi, wydając woń, która nawet przy
silnym przecieź wietrze, była tak
intensywna, jak gdyby

śpiący wylazł właśnie z beczki
kiepskiego piwa. Tylendel czekał w
mroku, poza zasięgiem

światła padającego od latami
zawieszanej od zawietrznej strony drzwi
stajni, gdy tymczasem

Vanyel zabrał się do budzenia
stajennego. Tak długo potrząsał go za
ramię, aż ten wreszcie

otworzył oczy. - Co tam? - zamruczał,
bezsukutecznie próbując z ocienionej
kapturem twarzy

Vanyela odczytać jakieś rysy. Jego
oddech był równie obrzydliwy jak
odzienie, oblicze

plugawe i nie ogolone, a koło uszu
wisiały cienkie, tłuste strąki włosów. -
Czego chcesz? Gdzie

twoje kobyły?

- Są już tutaj - odpowiedział Vanyel
tonem tak dojrzałym, szorstkim i
gburowatym, na

jaki tylko potrafił się zdobyć. - Masz... -

Podstawił stajennemu pod nos kwity i
dwie srebrne

monety. Mężczyzna przez moment gapił
się na nie, mrugając ze zdumienia, jakby
nie potrafił

odróżnić kwitów od monet. W końcu,
doznawszy nagłego olśnienia,
wyszczrzył na wpół

zgniłe zęby i pokiwał głową.

- Mamy dość świętowania, co, panie?
Proszę tu poczekać. - Wsunął kwity
wraz z

pieniędzmi do kieszeni z przodu
poplamionego, zatłuszczonego

skórzanego fartucha, dźwignął

się ze swego barłogu na snopku siana i
pokuśtykał do środka. Wrócił dużo
wcześniej, niż

Vanyel się tego spodziewał, prowadząc
parę marnych, gniadych wałachów
nieokreślonej rasy.

Konie były już osiodłane, miały też
założoną połatana i zużyta uprząż.

Vanyel skrzywił się,

ujrzawszy je w przydymionym świetle i
próbował rozpoznać, czy są to te same
konie, które

przyprowadził tu dzisiejszego ranka. Po

chwili jednak uzmysłowił sobie, że i tak nie ma to

większego znaczenia. Nie chodziło przecież o to, że konie, które kupił, były jakimiś okazami

godnymi nagród. Właściwie jeżeli nawet teraz nie dostanie tych samych, to i tak jest mało

prawdopodobne, aby jakieś inne zwierzęta z tej stajni mogły się okazać choć odrobinę lepsze!

Bez słowa przejął wodze od stajennego, odwrócił się i poprowadził konie przez zaśmiecone podwórze do miejsca, gdzie

czekał na niego Tylendel, przytulony do ściany

budynku, bezskutecznie usiłujący schronić się przed przeszywającym wiatrem. Gdy Vanyel

obejrzał się przez ramię, zobaczył, że stajenny zdążył już położyć się na swym snopku siana i

na powrót zapaść w drzemkę.

Vanyel podał Tylendelowi wodze lepszego z dwóch wierzchowców i wdrapał się na

siodło swojego. Cętkowany wałach wierzgał, próbując uniknąć przyjęcia

jeźdźca, i bryknął

lekko, gdy tylko Vanyel zajął miejsce w siodle. Vanyel zacisnął dłoń w pięść i dał mu lekkiego

kuksańca pomiędzy uszy. Koń wierzgnął, usiłując go zrzucić, ale po chwili się uspokoił.

Siodło miało pęknięcie na grzbiecie, a zwierzę pochylało się dziwnie do tyłu. Vanyel

jeszcze nigdy nie spotkał konia o tak nierównym chodzie. Gdy Tylendel, wysunąwszy się do

przodu, skierował się na zachód, w

stronę Drogi Wygnańców, Vanyel pocieszał się nadzieją, że

ich podróż nie będzie trwała zbyt długo.

Wiatr ucichł, przynajmniej chwilowo, gdy Tylendel w końcu ściągnął wodze. Było tak

ciemno, że tylko nagłe ustanie tętentu kopyt na twardym trakcie powiedziało Vanyelowi, że

Tylendel się zatrzymał. Wybrali właśnie tę drogę, Drogę Wygnańców, ponieważ była ona po

obu stronach obsadzona żywopłotem, który gwarantował, że ich konie nie

zboczą z traktu.

Vanyel popędzał swego konia tak długo, jak tylko czuł obecność Tylendela i jego konia u

swego boku.

Nagle błysnęło jakieś światło. Vanyel odwrócił oczy, porażony jego blaskiem. Kiedy

był już gotów, aby znów na nie spojrzeć, zauważył, że Tylendel zsiadł z konia i prowadzi go za

cugle, a nad jego głową unosi się kula magicznego światełka.

Teraz i Vanyel zsunął się ze swego wierzchowca, szczęśliwy, że może wyskoczyć z

siodła, gdyż siedzenie w nim stawało się już nie do zniesienia. Przerzucił cugle przez głowę

konia i przyspieszył, aby zrównać się z Tylendelem. - Czy oddaliliśmy się już wystarczająco? -

zapytał i z utęsknieniem wyczekiwał choć jednego słowa odpowiedzi, które przełamałoby

narastające napięcie i ciszę. Twarz Tylendela wydłużyła się i ściągnęła, przypominała twarz

szaleńca. Najwyraźniej jego myśli krążyły gdzie indziej. Cała jego postać pogrążona była w

jakieś przerażającej koncentracji, jakże typowej dla niego ostatnimi czasy.

- Prawie - odparł po długotrwałej, deprymującej ciszy. W jego głosie pobrzmiwała

osobliwa nuta, jak gdyby za każdym razem, gdy koncentrował na czymś całą swą uwagę,

wypowiedzenie każdego słowa kosztowało go wiele wysiłku. - Szukam... czegoś...

Vanyel zadrżał, bynajmniej nie z zimna.

- Czego?

- Miejsca, gdzie wzniosę Bramę. -
Zbliżyli się do przerwy w żywopłocie.
Nie... nie

przerwy. Gdy Tylendel zatrzymał się i
przeprowadził przez nią konia, Vanyel
zauważył, że

były to pozostałości furty umieszczonej
w płocie, lecz dawno już zarośniętej.
Poza tą przerwą w

bladym świetle magicznej lampki widać
było jakiś spory kształt. Tylendel skinął
lekko.

- Wiedziałem, że zapamiętałem to miejsce - wymamrotał. Nie wydawało się, aby

oczekiwał odpowiedzi, a więc Vanyel się nie odezwał.

To, że konie nie przecisną się przez tak wąskie przejście, było rzeczą oczywistą.

Tylendel zdjął uzdę swego konia, zawiesił ją na łęku siodła i wymierzył zwierzęciu potężnego

klapsa w udo. Wałach zrazu zareagował zaskoczonym rzeniem, ale zaraz potem puścił się

cwałem w głąb ciemności. Vanyel

postąpił tak samo ze swoim koniem,
puszczając go wolno

bez żalu, i odwrócił się ku Tylendelowi,
który, jak się okazało, przeszedł już na
drugą stronę

wyrwy w żywopłocie i zniknął z pola
widzenia. Tylko czerwone błyski
magicznego

światełka pomiędzy bezlistnymi
gałązkami krzewów pozwalały
zorientować się, dokąd

poszedł.

Vanyel przecisnął się między konarami,
przeklinając, gdy zaczepiły się o jego

płaszcz i

zadrapały mu twarz. Gdy wydostał się wreszcie z kłującego uścisku zawziętych krzaków,

zorientował się, że stoi po kolana w zaroślach chwastów, na czymś, co było kiedyś podwórkiem

małego budynku. Mógł to być sklepik albo dom mieszkalny, ale teraz chylił się ku upadkowi, a

podwórko było tak zarośnięte jak sama furтка. Budynek zdawał się nie mieć już dachu, a po

oknach i drzwiach pozostały jedynie

puste otwory. Tylendel z uwagą badał stan szczątków

drzwi.

Wyrwa pozostała po drzwiach była dość duża, na tyle nawet, że z łatwością przeszedłby

przez nią jeździec na koniu. Tylendel znowu pokiwał głową, lecz tym razem na jego twarz

wypłynął wyraz srogiej satysfakcji.

- To wystarczy - powiedział spokojnie. - Van, myślisz, że jesteś gotów?

Vanyel wziął głęboki oddech i

spróbował rozluźnić się choć trochę.

- Tak gotów, jak tylko to możliwe -
odpowiedział.

Tylendel zwrócił się ku niemu, ujął obie
jego dłonie w swe ręce i na długą
chwilę wbił

badawczy wzrok w jego oczy.

- Van, aby wszystko się powiodło,
muszę uaktywnić całą moc łączącej nas
więzi. Mogę

cię skrzywdzić. Będę się starał nie
zrobić tego, ale nie potrafię nic obiecać.
Czy nadal chcesz mi

pomóc?

Vanyel skinął, myśląc: Zabrnąłem tak daleko. Byłoby głupotą wycofać się na tym

etapie. Poza tym... on potrzebuje mojej pomocy. Jakże mógłbym mu jej odmówić?

Tylendel zamknął oczy, jego twarz zastygła w masce takiej obojętności, jakiej nawet

Vanyel nigdy nie zdołał przybrać. Vanyel, drżąc z lekka, czekał, aż coś się stanie.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo.

Wtem...

Nagle zawrzała w nim niepoohamowana wściekłość, obsesyjny gniew, który nie pozostawiał już wiele miejsca na inne uczucia. Liczyła się tylko jedna rzecz: Staven nie żyje.

Przyświecał mu tylko jeden cel: zadać równie okrutną śmierć mordercom Stavena. Pozostał

jednak jeden maleńki skrawek umysłu, który zachował zdolność samodzielnego myślenia,

który w tej chwili zadrżał przed przytłaczającą potęgą furii Tylendela.

Ale ten zakamarek

umysłu Vanyela nie był teraz zdolny do podejmowania jakichkolwiek decyzji.

Przypomniało mu się banalne powiedzenie: “Ból podzielony na dwoje, to połowa

bólu”. Ale ten ból dzielony między nich dwóch podwajał swą moc.

Bez jakiegokolwiek świadomej decyzji, odwrócił się twarzą ku starym drzwiom.

Tylendel zrobił to w tej samej chwili. Wtedy Vanyel zobaczył, jak Tylendel, wyrzuciwszy ra-

miona w górę, rozsypuje na ziemi przed drzwiami dwie garści jakiegoś proszku, aby zaraz

potem rozpocząć monotony śpiew w jakimś nieznanym języku. Wreszcie nieruchomieje z

rozwartymi dłońmi skierowanymi w pustą wyrwę.

Vanyel poczuł, że coś umyka z niego, wycieka jak krew sącząca się z rany. Wiedział, że

razem z tym odpływają wszystkie jego siły.

Ościeża rozpadającego się otworu drzwi

poczęły płonąć blaskiem, tym samym

ponurym, czerwonym blaskiem co
magiczne światełko nad głową
Tylendela, niczym bryła roz-

żarzonego węgla. Zdawało się, że
krawędzie drzwi gorzeją. W miarę jak
Vanyelowi ubywało

sił i energii, rozpalone ościeża pałały
coraz to jaśniejszym blaskiem, aż
gniewne jęczyczki

szkarłatnych ogni jęły pełgać do resztek
muru i sięgać w głąb zionącego pustką
otworu.

Powstawało ich wciąż więcej i więcej,

wydawały się niczym wodne rośliny unoszone prądem.

Wreszcie osiągnęły taką długość, że ich końce się połączyły.

Wezbrała w nim potężna fala odpływającej mocy, tak silna, że z trudem utrzymał się na

nogach. W tej samej chwili cała wyrwa po drzwiach wypełniła się jednym wielkim, krwistym

płomieniem...

Po sekundzie płomień zniknął... a ościeża nie okalały już czarnej pustki, lecz ogród -

udekorowany ogród przygotowany do święta, wypełniony ludźmi, światłem i ruchem. Ledwie

zdażył ogarnąć wszystko wzrokiem, Tylendel chwycił go za ramię i, potykającego się,

pociągnął za sobą, na drugą stronę przejścia. Na moment Vanyel zupełnie stracił rozeznanie w

rzeczywistości, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg, a potem...

Głosy: śmiech, muzyka, okrzyki. Stał u boku Tylendela, zwrócony twarzą do ogrodu,

który oglądał przed chwilą przez rozpadające się odrzwia. Za ogrodem wznosił się obcy zamek.

Między konarami drzew odgradzających ich od zgromadzonych w ogrodzie ludzi, migotały

wesołe ognie latarni. Nieco dalej, z boku, widać było stoły zastawione jadłem i lampkami.

Blżej drzew znajdowała się platforma, na której ustawili się odziani w błazeńskie stroje

muzycy, swym zapałem do gry nadrabiający niedostatki umiejętności. Przed platformą, śmiejąc

się i przyśpiewując sobie do muzyki, tańczyła w kółku grupka ludzi.

Nogi Vanyela odmawiały mu posłuszeństwa. Ledwie Tylendel puścił jego ramię,

kolana ugięły się pod nim i Vanyel natychmiast poczuł, że klęczy na ziemi. Kompletnie opadł z

sił, ogarnęły go mdłości i świat zawirował mu przed oczami. Tylendel nie zwrócił na to uwagi.

Całą uwagę koncentrował właśnie na tańczących.

- Świętują - wyszeptał Tylendel, a

gniew, który wyraźnie i Vanyel teraz
dzielił, wezbrał

nagle niczym potężna fala.

Staven nie żyje, a oni świętują!

W malutkim, wolnym jeszcze od obsesji
zakamarku umysłu Vanyela zaświtała
myśl, że

jest to przecież tylko Święto Plonów,
nie różniące się od innych takich świąt,
że Leszarowie nie

urządzili wcale uczyty z powodu śmierci
Stavena. Ale ten głos rozsądku był zbyt
słaby, aby

przebić się przez grzmącą piorunami
wściekłość Tylandela. Nagle atak
zawrotów głowy

przysłonił mu oczy czerwoną mgiełką, a
w uszach zabrzmiało walące jak młotem
serce.

Gdy jego oczy odzyskały ostrość
widzenia, zobaczył, że Tylandel
odstąpiwszy od

niego, stał teraz między nim a szpalerem
drzew, z rękami uniesionymi wysoko
ponad głową.

Jego dłonie ciskały takie same
cynobrowe błyskawice, jakie miesiąc
wcześniej smagały lasek

sosnowy. Tym jednak razem błyski były dokładnie kontrolowane i skierowane na jeden cel.

Przecinając ogród po przekątnej, w chwili krótszej niż mgnienie oka obróciły w pył kępkę

drzew, razem ze zgromadzoną tam grupką krewnych Leszary.

Jak grzmot wybuchły przerażone wrzaski, muzyka urwała się ostatnim brzdękiem strun

i skrzekiem trąbek. Tancerze zbili się w grupki po dwie lub trzy osoby i zamarli w bezruchu.

Magiczne światełko Tylendela nad jego głową płonęło jak kula słońca, jego twarz szaleńca

pałała nienawiścią. Łzy spływały mu po policzkach, gdy wrzasnął załamującym się głosem:

- O, wy podłe kanalie, on nie żyje! On nie żyje, a wy się śmiejecie, śpiewacie! Niech

was piekło pochłonie, nauczę was innej piosenki! Chcecie magii? Proszę, oto coś specjalnie dla

was...

Vanyel nie był w stanie wykonać

żadnego ruchu, zdawało mu się, że jest przywiązany

do znajdującej się za jego plecami, wciąż rozpalonej jasnym blaskiem Bramy. Mógł tylko

patrzeć w odrętwieniu na Tylendela, który ponownie wyrzucił w górę ramiona. Tym razem

jednak nie błyskawice wystrzeliły z jego dłoni. Przy wtórze piorunu nad jego głową zawisła

wirująca z wolna, świetlista, żółtawa kula wielkości, mniej więcej, melona. Z każdym obrotem

kula rosła i oddalając się od Tylendela,
przemieszczała się w kierunku ciasno
zbitych członków

rodu Leszarów. W miarę jak zmniejszała
się odległość między nią a tłumkiem
ludzi, kula

obniżała się, aż wreszcie zbliżyła się do
ziemi w samym środku wypalonego
placu, gdzie

jeszcze chwilę wcześniej stały drzewa.

Tam osiadła, wciąż nie przestając
wirować i pęcznieć, aż w końcu
osiągnęła wielkość

dwa razy większą od człowieka.

Wtedy ni stąd, ni zowąd rozerwała się.
Po raz wtóry zalała Vanyela fala
oszołomienia.

Mrugał powiekami, ale jego wzrok
wciąż nie mógł nabrać ostrości. W
miejscu, gdzie

spoczywała wcześniej kula, unosiła się
masa kłębiących się i splatających cieni,
płynnych jak

atrament, wijących się niczym węże
kształtów, które zdawały się być
równocześnie zwiądą i

rzeczywistym tworem. Nagle
poszczególne cienie poczęły się
oddzielać, tworząc pięć

wykręcających się na wszystkie strony sylwetek.

Te nabierały konkretnych kształtów...

Gdyby jakiś szalony bóg skrzyżował
zmiję i psa gończego, a powstałe w
wyniku tej

krzyżówki zwierzę wypasł do
rozmiarów cielaka, owoc tych
wszystkich starań miałby wygląd

zbliżony do tych pięciu stworzeń,
których gibkie ciała splatały się teraz i
opływały w blasku

magicznego światelka Tylendela. Ich
czarna skóra sprawiała wrażenie

pokrytej raczej haską

niżli sierścią. Miały długie szyje i
powstałe jakby z połączenia głowy węża
i charta łby, niczym

groty strzał, o żółtych, odrażających
oczach, połyskujących takim samym
różnobarwnym

blaskiem jak ognista kula, która je
zrodziła. Z ich pysków wystawały
zaostrzone jak igły, długie

na palec kły. Całe ich ciała
przypominały budową charty, ale nogi i
ogony tych stworów robiły

wrażenie nienaturalnie napiętych i

giętkich, jak gdyby pozbawione były kości.

Spoglądały na Tylendela nieruchomymi, pomarańczowymi oczami, zdając się

oczekiwać czegoś.

Tylendel drżącym głosem, załamującym się przy ostatniej, najgłośniejszej sylabie,

wypowiedział tylko jedno słowo, a cała sfera, z pyskami rozdziawionymi w piekielnej parodii

głupkowatych pieskich min, w jednej sekundzie zwróciła się ku skulonym ze strachu krewnym

Leszarów.

Ale nim bestie zdążyły postąpić choć krok ku swym ofiarom, za plecami Vanyela

rozległo się przeszywające, pełne protestu rzenie.

Przez Bramę przeskoczyła Gala. Minęła Vanyela, pognała w stronę Tylendela, lecz i

jego ominęła, ignorując zupełnie jego obecność.

Z jej gardła wyrwał się wrzask, przepelniony wściekłością i walecznością, jakiej Vanyel

nigdy nie spodziewał się odnaleźć w
rzeniu konia. Wreszcie ryjąc kopytami
ziemię, zatrzymała

się pomiędzy Tylendelem a
przywołanymi przez niego bestiami.
Podobnie jak podczas ataku

Tylendela, bił od niej blask, a jej czysta,
biało-błękitna poświata wabiła oko z
równą siłą, jak

żółte błyski oczu bestii odpychały. Gala
zaś, odwróciwszy się do Tylendela
zadem, nadal nie

zwracała na niego uwagi. Wierzgnęła,
unosząc się na tylnych nogach,
wyprężyła się do pełnej

wysokości i wymachując w powietrzu przednimi kopytami, rzuciła wyzwanie pięciu stojącym

przed nią stworom.

Te w jednej chwili, nim kopyta Gali opadły na ziemię, obróciły się w miejscu, stając z

nią oko w oko. Wokół słychać było tylko ich ciche, wściekłe warczenie. Gala, tupnąwszy o

ziemię, wyszczerzyła ku nim zęby, zachęcając je do podjęcia walki.

- Galo! - wrzasnął z bólem Tylendel. Głos znów mu się załamał. - Galo! Nie

rób tego!

Ona obróciła głowę, na tyle, aby móc zajrzeć mu głęboko w oczy, a Vanyel usłyszał jej

odpowiedź, przesłaną myślą, która osiągnąwszy Tylendela, zagrzmiała w jego umyśle niczym

piorun i rozplatała serce i duszę.

- *Nie znam cię* - rzekła chłodno jak do nieznajomego. - *Nie jesteś moim Wybranym.*

Wraz z tymi słowami urwała się łącząca ich więź. Vanyel czuł teraz pustkę, jaką po

sobie pozostawiła. Wciąż przecież
dzielił wszystkie emocje rodzące się w
sercu Tylendela.

Zajadła wściekłość Tylendela nagle
rozpierzchła się.

A kiedy zniknęła więź, zastąpił ją tylko
piekący żal.

Vanyel rozpaczał w udręce, dzieląc
tragedię Tylendela, jego mękę i boleść,
gdy na

wołanie za Galą nie odpowiadało mu
nawet echo. Tam, gdzie kiedyś była
czułość, miłość i

wsparcie, teraz nie pozostało nic, nawet

cień tych uczuć.

Teraz wszystko, co łączyło Vanyela z Tylendelem, zalała fala rozdzierającego żalu, a

oczy Vanyela przysłoniła czarna mgła.

Vanyel usłyszał, że Tyndel wykrzykuje imię Gali. Chcąc widzieć, co się dzieje,

zmusił swe oczy do odzyskania ostrości widzenia.

I zdjęła go trwoga. Gala, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, rzuciła się na pięć

diabelskich bestii.

Te otoczyły ją ze wszystkich stron swymi czarnymi cielskami, podkreślając blask

bijący od niej. Vanyel usłyszał znów jej krzyk, tym razem wywołany bólem. Na białą sierść

Gali trysnął jaskrawy potok krwi.

Vanyel próbował zerwać się na równe nogi, ale wciąż brakowało mu sił. Nagle w

uszech mu zahuczało i padł nieprzytomny.

Nie czuł już nawet, co się z nim dzieje, i tylko wrzask Tylendela, pełen żalu i

rozpaczy,

wyrwał go z letargu i zmusił do walki z niemocą.

Leżał wyciągnięty na lodowatej ziemi.
Po chwili jednak, mimo zawrotów
głowy, udało

mu się usiąść i rozejrzeć za Galą...

Ale nie było już Towarzysza i nie
toczyła się już żadna walka. Pozostało
tylko

okaleczone martwe ciało z rozplatanym
gardłem, poszarpane i splugawione, Z
szafirowych

oczu Gali uszedł blask. U jej boku
klęczał Tylandel, ze szlochem pieszcząc
jej roztrzaskaną
głowę.

Obok leżał jeden z pięciu potworów. Z
jego głowy pozostała tylko bezkształtna
miazga.

Inne krążyły wokół ciała Towarzysza
niczym sępy nad padliną. Zdawało się,
że czekają, aż

Gala ponowne powstanie. Wtedy znów
mogłyby przypuścić atak. Dwa z nich
kulały na trzech

nogach, ale dwa jeszcze nie doznały

żadnych ran. Zważywszy na to, co w ciągu paru chwil

zdołały uczynić z Galą, nie było wątpliwości, że nadal są w stanie w mgnieniu oka rozszarpać

wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci rodu Leszarów.

W końcu przestały krążyć nad Galą i zwróciły swe ohydne pyski ku przerażonym

uczestnikom zabawy. Tylendel nie interesował ich już bardziej niż martwe ciało Gali.

Z tłumu wyskoczył jakiś człowiek.

Vanyel z miejsca rozpoznał w nim lorda
Evana. Z

jego zachowania trudno było
wywnioskować, czy miał zamiar rzucić
się na bestie, czy tylko

ratować się ucieczką. Właściwie i tak
nie miało to większego znaczenia, bo
jeden z dwóch nie

ranionych jeszcze potworów skoczył
przez pusty plac i porwał mężczyznę.
Nim ten zdążył

wydać choćby jęk, leżał martwy z
rozprutym brzuchem.

Jakaś kobieta podniosła krzyk - był to

ostateczny sygnał zachęcający do jatki.
Nie

zwlekając dłużej, dzikie bestie zbite w jedno ciało, zaczęły posuwać się ku swym ofiarom...

Tymczasem ni stąd, ni zowąd, za plecami Vanyela rozbłysła potężna błyskawica. Jej

zygzak przeszył powietrze, sięgając przywódcę sfory i rozprysł się iskrami, wypalając ziemię

przed samym jego pyskiem.

Zza Bramy dobiegł tętent koni. Vanyel, oślepiiony chwilowo światłem i

następnym

przyływem słabości, znów osunął się na ziemię.

Gdy jego oczy odzyskały zdolność widzenia, trzech odziani w Biel heroldowie i ich

Towarzysze otaczali kręgiem diabelskie bestie i miotając garście błyskawic z wyrzuconych w

górze dłoni, usiłowali zagrozić stworom drogę ku ich ofiarom.

Nim rozgorzała walka, Vanyelowi z ledwością udało się rozpoznać dwóch spośród

trzech heroldów. Byli to Savil i Jaysen.

Vanyel zorientował się, że po raz kolejny traci przytomność. Miał wrażenie, jakby coś

wydzierało mu duszę. Próbował zatrzymać opuszczającą go świadomość, choć zdawało mu się,

że nie ma już z czym walczyć.

Wściekłość i rozpacz rozpląnęły się, pozostawiając w sercu

wyrwę, próżnię, która samą swą obecnością zadawała mu ból. Nagle poczuł nikły przypływ

energii, słabiutki, lecz wystarczający, by

zdjąć z oczu czarną mgłę, powstrzymać
zawroty

głowy i odzyskać kontakt z otaczającą go
rzeczywistością. Ale może lepiej byłoby
nie

wiedzieć, co dzieje się wokół.

Najpierw jego wzrok padł na Tylendela,
który wciąż klęczał, choć już dawno
przestał

szlochać. Błady jak śmierć, pustymi
oczami wpatrywał się teraz w swe
zbroczone krwią ręce,

W miejscu, gdzie stało przedtem pięć
bestii, teraz nie było nic, tylko

poszarpane ciało Gali i

wypalona, rozryta ziemia.

Savil zdejmowała właśnie rękę z jego ramienia. Jej twarz przybrała nieodgadniony

wyraz.

Savil odwróciła uwagę od Tylendela, który osunąwszy się na ziemię obok niej, popadł

w jakiś rodzaj żalosnego transu.

Ponownie skierowała wzrok na Vanyela, przysłuchując się

temu, co chłopiec opowiadał dwóm

pozostałym heroldom.

- ...i wtedy powiedziała: “Nie znam cię, nie jesteś moim Wybranym” - szeptał chłopiec.

W jego oślepiających oczach odbijało się wycieńczenie, głos stracił barwę. - I odwróciła się od

niego, po prostu odwróciła się i rzuciła się na te bestie.

- Dając nam w ten sposób czas na przybycie tutaj - mruknął pod nosem Jaysen głosem,

który zdradzał udrekę, do jakiej nigdy by się nie przyznał. - O bogowie, dzielne

biedaczysko.

Gdyby nie zatrzymała ich przez tych parę chwil, zastalibyśmy tutaj tylko stertę trupów.

- Wyparła się go - powiedział Lansir, Osobisty Królowej, takim tonem, jak gdyby

wciąż temu nie dowierzał. - Wyparła się go, a potem...

- Popełniła samobójstwo - dokończyła matowym głosem Savil, choć jej serce dławiała

rozpaczą. Cierpiała za Tylendela, za utraconą Galę, za wszystko, co powinna

była dostrzec już

dawno, a przeoczyła.

- Bogowie, ona popełniła samobójstwo.
Wiedziała, musiała wiedzieć, że żaden

Towarzysz nie jest w stanie wyjść cało z
walki z wyrzami.

Tylendel siedział nieruchomo, tak jak
zostawili go przed chwilą. W milczeniu,
nie

widzącymi oczami, w których odbijało
się całe piekło, patrzył w nicość.

Samorodne magiczne

światełka, zawieszane nad jego głową,

bezlitośnie rzucały blask na wszystko dookoła.

Jaysen przez długą chwilę, bez słowa, potrząsając jedynie nieznacznie głową,

przyglądał się uczniowi Savil. Potem obrzucił spojrzeniem Vanyela, a Savil doszła jego myśl:

- Chłopak jest wciąż połączony z Bramą i słabnie z każdą chwilą. Jeśli chcesz, aby

wyszedł z tego bez uszczerbku na umyśle...

Zabrzmiała w jego słowach niewypowiedziana, lecz wyraźnie

dostrzegalna myśl, że nie

stałoby się nic złego, gdyby

“przeoczywszy” Vanyela, pozostawić go samemu sobie aż do

momentu, kiedy nie będzie już można uchronić go przed skutkami działania zaklęcia. Ta nuta w

myśli Jaysena pozwoliła Savil zorientować się, że właśnie Vanyela Jaysen obarcza całą winą za

wszystko, co zaszło.

- *To nie była jego wina, Jaysenie* -
odparła z bólem w sercu, bliska płaczu,
lecz mimo to

niezdolna do oszukiwania samej siebie.

- Cała jego wina ogranicza się tylko do spełnienia

prośb Tylendela i nie informowania mnie o tym. To wszystko przez moją opieszałość.

Jaysen odpowiedział jej krótkim, ale wyraźnie sceptycznym skinieniem.

- W takim razie, musimy czym prędzej zamknąć Bramę, inaczej chłopiec rozchoruje

się,., albo jeszcze gorzej.

Nie było potrzeby ustalać, co owo “gorzej” mogło oznaczać. Vanyel,

zupełnie już

wyczerpany, niemal przezroczysty, leżał z twarzą przy ziemi, a Brama wysysała z niego

ostatnie siły życiowe. Savil nie potrafiła sobie wytłumaczyć, jak niewprawny jeszcze Tylendel

i pozbawiony daru Vanyel zdołali wykorzystać zaklęcie. Jednakże dopóty, dopóki nie przejdą

na drugą stronę Bramy, nie miała odwagi zrywać podtrzymującej działanie zaklęcia więzi

łączącej chłopców.

- *Dobrze, ale co zrobimy z tym pobojewiskiem?* - spytała, wskazując skinieniem głowy

na tłum ludzi dreptających w miejscu, rozszarpane zwłoki jedynej ofiary wyrzósów i żalosne ciało

Towarzysza. - *Ktoś musi nad nimi zapanować, bo nie wiadomo, do czego są zdolni. Mogą zaraz*

się zebrać i wziąć odwet za to wszystko, wyrzynając do nogi rodzinę Tylendela, albo wymyślić

jakąś historyjkę o heroldach wplątanych w tę... - Nawet łzy przysłaniające mgłą oczy nie mogły

przeszkodzić jej w logicznym rozumowaniu.

- *Zostanę tutaj* - zdeklarował się Lansir,
- *Elsbeth poradzi sobie beze mnie przez*

miesiąc czy dwa. Zajmę się Leszarami i... - zająknął się - *...Galą.*

- *A jak się dostaniesz do domu?* - z troską zapytał Jaysen. - *Zamkniemy przecież Bramę*

od drugiej strony, jak tylko się przez nią przedostaniemy, a ty sam nie masz ostatnio dość sił,

aby wznieść nową.

- *Jak każdy zwykły śmiertelnik* - odparł z powagą. - *Na nogach.*

- *A... co zrobimy z...* - Savil obrzuciła krótkim spojrzeniem Tylendela.

Chłopiec wciąż

trwał w bezruchu, patrząc przed siebie martwym wzrokiem. Jego pobladła twarz pozbawiona

była jakiegokolwiek wyrazu, ale oczy pały taką udręką, że Savil nie odważyła się zajrzeć w

nie głębiej. Bała się, że widok tego, co mogłaby w nich zobaczyć, nie pozwoliłby jej dłużej

dławić wzbierającego w niej płaczu.

- *Nie wiem* - bezbarwnym głosem odparł Lansir. - *Po prostu nie wiem. Nigdy coś*

takiego się nie wydarzyło. Zabierz chłopca do domu. Pomyślisz o tym, kiedy będziesz miała na

to czas. Zapytajcie o zdanie swych Towarzyszy. Przecież ten, który umarł, był jednym z nich. To

wszystko, co przychodzi mi do głowy. A teraz lepiej zabieraj się stąd, jeśli chcesz, aby ten drugi

został przy zdrowych zmysłach.

- Jays, zabierz Tylandela, dobrze? -
powiedziała Savil na głos, chwytając
Vanyela za

ramię i pomagając mu wstać. - Lansir...

- Niech was bogowie mają w swej
opiece, moi drodzy - powiedział
Osobisty Królowej,

a jego swojska, pospolita twarz w
jednej sekundzie przeobraziła się w
oblicze świętego

uwiecznionego w pięknej rzeźbionej
figurce. - Będziecie potrzebowali
pomocy. Traver?

Jego Towarzysz przysunął się doń

bokiem i stanął nieruchomo, by Jaysen mógł mu

pomóc go dosiąść. Podobnie jak Królowej czy Savil, tej jesieni wiek dawał się Lansirowi we

znaki i potrzebował już pomocy Jaysena, aby wspiać się na konia. Ledwie jednak znalazł się w

siodle, zaraz odzyskiwał wigor i godność dużo młodszego Osobistego Królowej - mężczyzny,

którym był dwadzieścia lat temu. Traver zadarł głowę i spokojnym krokiem ruszył ku

ogarniętemu szokiem,
zdezorientowanemu tłumowi Leszarów
stojącemu wciąż po przeciwnej
stronie ogrodu.

Jaysen szarpnął Tylendela za ramię.
Chłopiec, wciąż pochłonięty własnymi
myślami,

wstał, lecz związany zaklęciem, nie
mógł poruszać się swobodnie. Herold
Kasztelana

poprowadził go ku Bramie, trzymając
rękę na jego ramieniu. Za nimi szedł
jego Towarzysz.

Jaysen, obejrzawszy się za siebie, rzucił

do Savil:

- Nie mam specjalnej ochoty na przejażdżkę, która nas czeka. Zbyt wiele może się

wydarzyć. Znasz to zakłęcie lepiej ode mnie, a więc może orientujesz się, czy udałoby się prze-

kształcić tę Bramę tak, aby przeprowadziła nas aż do pałacu?

Savil oderwała myśli od nierozwiązywalnego w tej chwili problemu chłopców i - nadal

nie wiedząc, co z nimi począć - zajęła się szczegółową analizą struktury

Bramy. Od tej strony

portal miał formę ozdobnego balkonu,
stojącego teraz pośrodku wypalonego
ogrodu. W łuku

przejścia

natomiast widać było mroczne,
zrujnowane podwórze wiejskiego
domku.

- Nie ma ku temu żadnych przeszkód -
odparła po namyśle. - Mogę nas
przenieść do

Leśnej Świątyni, jeśli nie masz nic
przeciwko temu.

- To chyba dobry pomysł - powiedział Jaysen, rzucając okiem na iskrzące się

błyskawicami niebo po drugiej stronie portalu. - Wielcy bogowie, co przywiodło taką pogodę?

Nie zanosiło się na burzę.

- Nie dziw się tak, Jays - mruknęła Savil. Doszła chyba do wniosku, że roztargnienie

Jaysena to dobry pretekst do wyładowania złości. - Powtarzam ci już chyba po raz dziesiąty, że

zakłęcie Bramy wyczynia różne cuda z pogodą. Dlatego właśnie nie lubię z

niego korzystać.

Pogoda pogorszy się jeszcze bardziej,
kiedy przekształcę Bramę, a gdy ją
zamknę, rozpęta się

istne piekło.

Jaysen ściągnął usta i zmarszczył czoło,
ale nic nie odpowiedział. Savil puściła

Vanyela, który osunął się z powrotem na
kolana, zbyt słaby, aby utrzymać się na
nogach bez jej

pomocy. Uniosła wysoko w górę
obydwie ręce i jęła wykonywać nimi
bardzo skomplikowane,

acz delikatne gesty. Z Bramy poczęły
płynąć ku niej cieniutkie nitki bladego
czerwonego

światła, które w miarę falowania jej
dłoni, oplatały jej palce. Gdy trzymała
je już dość pewnie,

zacisnęła dłonie i tchnęła w świetliste
włókienka swą wolę, która z ogromną,
imponującą mocą,

rozpalając czerwone włókna do
białości, poczęła przepływać ku Bramie.

Ledwie fala białego światła dotarła do
muru, portal na moment przysłonił się
mgłą, by

po sekundzie zajarzyć się białym blaskiem. Gdy światło zgasło, za łukiem przejścia ukazał się

zupełnie inny fragment scenerii - rozświetlona błyskami na niebie Łąka Towarzyszy, widziana

od strony Leśnej Świątyni.

Savil pochyliła się i uchwyciwszy tunikę Vanyela, jeszcze raz pomogła mu stanąć na

nogach. Pociągnęła go za sobą, podążając za Jaysenem, który pośpiesznie przekroczył próg

Bramy, popychając przed sobą

Tylendela. Savil zaś, pozostając tylko o krok w tyle, biegła

niemal, z całych sił ciągnąc za sobą bezwładnego Vanyela.

Przekraczając Bramę, poczuła dobrze znane, przyprawiające o mdłości wrażenie

spadania w dół, a potem... pod stopami poczuła gładki, twardey marmur, co oznaczało, że są już

w domu.

W jedno z pobliskich drzew strzelił piorun, którego trzask ogłuszył ją na moment.

Usunęła się ze ścieżki prowadzącej przez Bramę, a Kellan i Felar widząc, że ona i Vanyel

schodzą im z drogi, skoczyły na drugą stronę.

Nie podtrzymywany już przez Savil, Vanyel zatoczył się kilka kroków i przywarł do

jednego z filarów przejścia. Nie zważając na kolejne uderzenie pioruna, Savil stanęła znów

twarzą do Bramy. Cała konstrukcja nagle zatrzęsa się, rozpalając się na przemian białym i

czerwonym płomieniem, by po chwili zatonąć w mroku. Każde wahanie pola energetycznego

Bramy odbijało się w nasilającej się burzy nad ich głowami. Savil ponownie uniosła ramiona i

rozpoczęła zamykanie Bramy. Napotkała jednakże niespodziewany opór.

Spróbowała jeszcze raz, kuląc się pod łoskotem piorunu roztrzaskującego się nad jej

głową. Działo się coś złego, coś bardzo złego. Brama stawiała opór.

- Jays - zawołała, przekrzykując ryk

piorunu i skowyt wiatru. - Potrzebuję pomocy.

Jaysen puścił Tylendela i pospieszył ku Savił, łącząc z jej siłami swe siły.
Zespolona w

jedno moc ich woli rozwiązała węzeł zaklęcia szybciej, niż jakakolwiek siła zdołałaby go na

powrót zacisnąć.

Przy wtórze grzmotu piorunów strzelających w dzwonnice świątyni, Brama runęła...

Wtem, nagle, cała pozostała po niej energia, miast rozpierzchnąć się w

powietrzu i

ziemi, rozpalila się wielkim
płomieniem, zajmując ostatnie szczątki
swego istnienia - linię

energii, na której końcu tkwił Vanyel.
Savil spostrzegła wybuch, ale było już
za późno, aby

cokolwiek zaradzić.

Z gardła Vanyela dobywał się
przeraźliwy krzyk. Jego ciałem
wstrząsały konwulsje,

gdy z całych sił ściskając filar, oddawał
z siebie energię, która unosząc się falą,
wciąż po-

wracała i odpływała do niego, po przeciwnej, słabszej stronie sięgając Tylendela.

Naraz Tylendel poderwał się... Z jego piersi wydarł się najbardziej wstrząsający,

nieczłowiecki ryk rozpaczony, jaki Savil kiedykolwiek słyszała; ryk, który stał się koszmarem prze-

śladowym ją w snach do końca życia.

Zakręciła się w miejscu i - najszybciej jak tylko mogła - próbowała uchwycić jego

ramię. W tej samej chwili Vanyel,

wyczerpany do cna, osunął się na ziemię u stóp filaru.

Savil spóźniła się. Tylandel, otępiały od szoku, odepchnął jej wyciągniętą dłoń.
W

świecie następnej błyskawicy ujrzała jego twarz zastygłą w masce udręki, ze źrenicami

rozszerzonymi do nienaturalnych rozmiarów. Wodził dookoła rozgorączkowanymi, strasznymi

oczami, w których nie zachował się już nawet cień rozsądku. Odepchnął ją jeszcze raz i

szalonym pędem puścił się w kierunku pokurczonych drzew zagajnika.

Jaysen rzucił się w pogoń za nim, a Savil kulejąc pobiegła ich śladem.
Błyskawice

przelatywały teraz po niebie z taką częstotliwością, że zrobiło się jasno jak za dnia. Próbując

dopędzić biegnących przed nią, Savil usiłowała uaktywnić magiczną więź łączącą jej umysł z

umysłem Tylendela. Tylko taki sposób dawał jeszcze nadzieję na nawiązanie z nim kontaktu.

Nagle dotknęła wreszcie jego myśli i doznała wstrząsu. Zachwiała się i upadła osłabiona

szokiem. Nie było już nic, co mogłoby ich połączyć - po jego umyśle pozostała pustka

ogarnięta chaosem bóleści, żalu i samotności. Był tak pusty, tak nieludzki, że przez chwilę

Savil, niezdolna do czegokolwiek innego, zamarła skulona na zimnej trawie, wsłuchując się w

bicie swego zdjętego paniką, przepracowanego serca. Po zetknięciu się z tym przerażającym,

obezwładniającym bólem, opanowanie własnych myśli nie było dla niej łatwe.

Dopiero wtedy przypomniała sobie o Vanyelu. Jeśli w ogóle nawiązanie kontaktu z

Tylendelem jest jeszcze możliwe, to na pewno Vanyel jest jedyną osobą, której może się to

udać.

Zerwała się na równe nogi i chwiejnym krokiem skierowała się z powrotem ku

świątyni. W blasku błyskawicy zobaczyła Vanyela, który po omacku, zataczając się, wychodził

właśnie z budynku. Chłopiec kulił się w sobie, jakby przeszywany mrozem.

Nagle potknął się i

- nie próbując nawet się ratować - upadł bezwładnie na ziemię.

W tej samej chwili Savil ujrzała Tylendela. Wybiegł on z zagajnika po prawej stronie,

przemknął obok niej, minął swego leżącego kochanka i wpadł do świątyni.

Serce Savil zamarło w przeczuciu katastrofy.

Próbowała przymusić swe zmęczone nogi do jakiejś parodii biegu, ale wciąż

była zbyt

powolna.

W chwili gdy, dysząc i jęcząc, dopadła
miejsca, gdzie leżał Vanyel, spostrzegła,
że

chłopiec podrywa głowę jakby w
odpowiedzi na coś, co właśnie usłyszał.
Zdawało się, że

patrzy na wieżę, gdzie wisi Dzwon
Śmierci. Jej uszu doszedł jakiś
niezrozumiały okrzyk

wyrywający mu się z gardła i podążający
za jego przerażonym wzrokiem...

...na tle rozświetlonego błyskawicami
nieba zobaczyła Tylendela. Stał z
rozpostartymi

ramionami, jakby gotował się do lotu...

...i skoczył...

Przez moment zdawało się, że zawisł w
powietrzu, jak gdyby jakimś cudem
opanował

sztukę latania.

Ale trwało to tylko moment. Po chwili
runął w dół. Savil nie wiedziała, czy
krzyk

świdrujący jej uszy to wrzask Vanyela,

jej samej czy ich obojga. Na pewno nie był to głos

Tylendela. Jego szczęki zaciskał głęboki żal, usta wykrzywiał grymas, a oczy były zamknięte.

Savil poczuła zetknięcie jego ciała z ziemią, jak gdyby to ona sama upadała...

...i krzyk ucichł.

Jaysen, osłupiały, zamarł w pół kroku obok niej.

Z jej gardła dobył się rozpaczliwy skowyt. Jaysen zbliżył się wolno do wykręconych

szczałków leżących na ziemi,
dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie
teraz stała. Osunął się na

kolana obok niego i po chwili, uniósłszy
głowę, skinął potwierdzając tylko to, co
Savil i tak już

wiedziała.

W tej właśnie chwili rozległ się
majestatyczny głos Dzwonu Śmierci.

Chwiejąc się, Savil podeszła do
Jaysena, a każdy krok przyprawiał ją o
ból, jakiego nie

doświadczyła w całym życiu, pełnym
poświęceń na rzecz Królowej i Kręgu.

Upadła ciężko na

kolana i przycisnęła do piersi
bezwładne, biedne ciało Tylandela.

Ścisnęła go, zarzuciła sobie jego ręce na
ramiona, kołysała delikatnie, jak kołysze
się

małe dzieci. Po jej policzkach spływały
łzy, mieszając się z kroplami deszczu,
lejącego się

strumieniem z nieba. Zdawało się, że jej
lament rozchodzi się echem po całej
ziemi. Jaysen

przyklęknął obok niej. Głowa kiwała mu
się, ramionami wstrząsał szloch.

Dookoła nich

zgromadziły się Towarzysze, a dzwon wciąż nie chciał zamilknąć.

O Vanyelu przypomnieli sobie dopiero wtedy, gdy nadeszli inni heroldowie.

Natychmiast posłali kogoś, aby go odszukał.

Ale chłopca już nie było.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Vanyel szedł niepewnym krokiem, potykając się i błędząc po omacku w lodowatym

deszczu. Na wpół zaślepiony rozpaczą,
stracił nadzieję na jakąkolwiek otuchę.
Nie zostało mu

już nic... zupełnie nic.

On nie żyje... o bogowie, nie żyje, i w
dodatku ja jestem temu winien...

Całe jego ciało zdawało się stać w
ogniu bólu, który tłąc się powoli, zaczął
wypalać go

od wewnątrz, zupełnie tak samo, jak
mróz ze snu ścinał lodem.

Nie było już żadnego powodu, aby
walczyć z tym ogniem i lodem. Nie
potrafił już

przejąć się ani jednym, ani drugim.
Który z nich go pochłonie - a może
zrobią to oba naraz -

było mu obojętne.

Deszcz chłostał go, grad bombardował
niczym wyrzucane z procy kamienie.

Świat

wirował przed oczami, w głowie
huczało. Cierpiał katusze, ale bez oporu
przyjmował ból.

Tylko na to zasługuję. To wszystko
przeze mnie...

Nie wiedział, dokąd zmierza i nic go to
nie obchodziło. Potykał się i upadał

wiele razy,

ale sińce i rany nie miały znaczenia. Po prostu podnosił się i biegł, nie zastanawiając się, jaki

obrać kierunek.

Z chwilą kiedy Tylendel rzucił się z wieży, zawalił się cały jego świat. Gdzieś na dnie

duszy czaiło się przeświadczenie, że jeśli będzie biegł dość szybko i dość daleko, może uda mu

się przeskoczyć kraj tego świata, by znaleźć się w krainie niepamięci, gdzie nie będzie uczuć i

nie będzie bólu.

W rzeczywistości nie udało mu się przekroczyć kraju świata. Udało mu się jednak

przeskoczyć brzeg rzeki...

Nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Wymachując dziko ramionami ni to spadł, ni to

stoczył się w dół po stromym brzegu i, fiknąwszy kozła na samym dole, wpadł do lodowatej

wody. Ledwie głowę nakryła mu woda, szok spowodowany nagłym zimnem sprowadził chwilę

zapomnienia, ale pragnienie śmierci natychmiast ustąpiło instynktowi i Vanyel momentalnie

wyplłynął na powierzchnię. Zachłysnął się. Wciągając pierwszy haust powietrza, strząsnął

wodę zalewającą mu oczy i w świetle błyskawicy ujrzał walące się na niego drzewo. Było za

późno, aby zrobić jakikolwiek unik. Udało mu się odwrócić, ale kłoda uderzyła go w tył głowy

i wcisnęła pod wodę. Gdy znów się wynurzył, był oszołomiony i niezdolny do myślenia. Kiedy

następna błyskawica rozwidniła niebo,
zobaczył obok siebie gałęzie jakiegoś
krzaka i

wyciągnął rękę, by je pochwycić...

Były zbyt daleko, poza zasięgiem jego
oszałałych rak...

Raptem krzak zatrzęsł się gwałtownie i
zdawało mu się, że roślina wyciąga się
ku

niemu. Jeszcze raz sięgnął i chwycił się
jej gałęzi...

Jakimś dziwnym sposobem rzeczywiście
złapał je. Wpijały mu się w rękę, ale
dzięki

nim udało mu się przesunąć się na płyciznę.

Pozostało mu już tylko tyle sił, aby przepłynąć połowę odległości dzielącej go od

brzegu i tylko tyle przytomności, aby zastanowić się, dlaczego właściwie chciał się uratować.

Leżał z twarzą zwróconą do ziemi na rozmokłej, zgniłej trawie porastającej brzeg rzeki.

Był przemarznięty, odrętwiały i kompletnie wyczerpany udawką, żalem i poczuciem winy.

Lendelu, Lendelu, to moja wina... och,
bogowie, to moja wina... powinienem
był

powiedzieć Savił. Powinienem był
spróbować cię powstrzymać.

Łkał z twarzą wtuloną w nieprzyjemną
w dotyku trawę i pachnącą wilgocią
ziemię, bez

słów błagając o siłę, która pozwoliłaby
mu cofnąć czas i odwrócić to, co już się
stało.

Przepraszam... och, błagam, niech ktoś
cofnie to wszystko! Jeśli musisz kogoś
zabrać,

weź mnie! Niech to będzie sen, och,
bogowie... błagam...

Ale to nie był sen. Wszystko, co się
wydarzyło, było nie mniej rzeczywiste
niżli deszcz,

który mieszał teraz swe krople z jego
łzami, czy lodowata woda obmywająca
mu stopy. I żaden

bóg nie zstąpił, by cofnąć to, co już się
stało. Przenikający chłód, oziębiający
nawet rozpaloną

krw w żyłach, stawał się coraz bardziej
dokuczliwy. Nie miał sił, by się
poruszyć, był zbyt

wycieńczony i oszołomiony rozpaczą,
aby przejmować się czymkolwiek.
Dopiero w tej chwili

uświadomił sobie, że zaraz może
umrzeć, że może umrzeć w samotności
jak Tylendel.

W tej chwili nie pragnął niczego więcej,
dlatego zaraz zmienił słowa swej
modlitwy.

Błagam... - zanosił rozpaczliwe prośby
do mocy, które nie zsyłały żadnej
odpowiedzi.

Błagani... pozwól mi umrzeć.

Lamentował, myśląc o wszystkich

popęłnionych przez siebie błędach, o
każdym złym

posunięciu. Zasługuję tylko na śmierć -
wmawiał sobie, zaciskając powieki.
Chcę umrzeć.

- *Nie* - dobiegł go jasny jak płomień,
ostry jak stalowa igła, głos czyichś
myśli,

niweczący jego mroczne marzenia o
śmierci. - *Nie możesz. Musisz żyć, mój
Wybrany.*

Uniósł nieco głowę, ale nie mógł, nie
chciał nawet, otworzyć oczu.

- *Nic nie wiesz* - rzucił ponuro w

odpowiedzi intruzowi. - *Zostaw mnie w spokoju. Nikt*

*mnie nie chce, nikt nie powinien mnie
chcieć. Zabijam wszystko, co kocham.*

Ale ktoś chwycił go za kołnierz i
pociągnął wyżej na brzeg. Vanyel
próbował się

wywinąć, ale ciało odmawiało mu
posłuszeństwa i zdobył się zaledwie na
bezsilne wzdryg-

nięcie. W chwilę później poczuł, że
deszcz nie zacina już tak bardzo w
plecy, a pachnący,

miękki mech pod jego omdlałymi dłońmi

jest suchy. Ktoś wciągnął go pod jakąś osłonę. Ten

ktoś, opuściwszy go delikatnie na mech, puścił teraz jego kołnierz. Vanyel zdołał otworzyć

oczy, ale przy ginącym właśnie gdzieś w oddali błysku, nie zobaczył nic prócz ciemności.

Obok niego leżało coś ciepłego i wielkiego. Vanyel usłyszał jego westchnienie i poczuł

na policzku głaskanie miękkich nozdrzy...

...zupełnie jak Gala...

Ten dotyk przywołał wspomnienia, które roztopiły mu serce. Podciągnął kolana pod

brodę i skulił się, zanosząc się nieopanowanym szlochem. Żal i poczucie osamotnienia

przywodziły go do granicy szaleństwa.

- ...*ależ ja tutaj jestem...*

Dźwignął nieco głowę i zamglonymi od łez oczami rozejrzał się za swym rozmówcą... i

w świetle ostatniej błyskawicy, napotkał wzrok błyszczących szafirowych oczu...
oczu

pałających takim współczuciem i miłością, że natychmiast nabrał pewności, iż ich właściciel

wybaczy mu wszystko. Ta miłość sięgnęła i jego, napełniając sobą całą jego duszę. Nie mogła

zatrzeć wyrwy po stracie, ale mogła ulżyć mu w udręce... i nie winiła go za to, co się stało.

Wyprostował się po omacku, jak wtedy, gdy wyciągał rękę ku gałęziom krzaka, by

ratować się przed utonięciem. Teraz odnalazł gładką, białą szyję.

Płakał do wyczerpania, aż do momentu, gdy nie miał już siły uronić ani jednej łzy.

Wtedy spłynął na niego gorączkowy półsen, w którym przez cały czas słyszał w myślach jakiś

pogodny głos, powtarzający w kółko:

- Jestem tutaj, mój Wybrany. Kocham cię. Nigdy cię nie opuszczę.

- Savił, znaleźliśmy go. - Do pokoju Vanyela i Tylendela wpadł Mardik; przemoczony

od stóp do głów, ociekając wodą, trząsał się w chłodzie wiatru wpadającego

przez otwarte drzwi

za jego plecami.

W czasie gdy zamykał drzwi, Savil zebrała resztki sił, o jakich posiadanie nawet by się

nie posądzała, i zaczęła powoli podnosić się z miejsca. Jaysen i Andrel, uzdrowiciel,

jednocześnie chwycili ją za ramiona i posadzili z powrotem w fotelu.

- Gdzie? - zapytała głosem szorstkim od szlochów. - Kto go znalazł? Nic mu nie jest?

- Nie wiem, Towarzysze go odnalazły, to znaczy Yfandes - odpowiedział Mardik

wymijająco. - Znalazła go na brzegu rzeki od strony ogrodu i zaciągnęła go do groty. Tantras

twierdzi, że jest chory i w szoku, ale nie jest tego pewien. Próbuje ją przekonać, aby pozwoliła

przenieść Vanyela tutaj, żeby Andrel mógł się nim zająć.

Savil potrząsnęła głową, próbując wyłowić jakiś sens ze słów chłopca.

- Mardiku, co to ma znaczyć? Co ma do

tego Yfandes?

- Nie pozwala nikomu nawet go tknąć,
Savil - odparł Mardik, mrugając
powiekami.

Wciąż, mimo ciepła panującego w
pokoju, nie mógł opanować dreszczy. -
Nie daje się

przekonać. Prawie odgryzła Tantrasowi
dłoń, kiedy próbował zbliżyć się do
Vanyela.

Powiedziała mojemu Fortinowi, że nie
ufa nam, że nie będziemy go dostatecznie
chronić... że

nie wiemy, z kim mamy do czynienia...

że on cierpi i jego serce jest rozdarte w strzępy, a my nie

wiemy nawet, jak się zabrać do uleczenia go...

- Mardiku - powiedział wolno Jaysen - czy to znaczy, że Yfandes wybrała Vanyela?

Jedyny dojrzały Towarzysz na Łące, który nie wybrał dotąd nikogo...
Towarzysz, który czekał

z górą dziesięć lat, aby kogoś wybrać - i tym wybranym okazuje się Vanyel?

- Nie powiedziała tego, ale myślę, że tak właśnie jest - wybełkotał ostatkiem sił

Mardik,

osuwając się po futrynie drzwi na podłogę. - Nie wiem, dlaczego ułożyła się przy nim, jak

gdyby był jej żrebakiem i nie dopuszcza nas do niego. On jest chyba nieprzytomny, nie rusza

się i nie odpowiada, gdy do niego mówimy, ale Yfandes nie pozwala się zbliżyć nikomu, kto

mógłby lepiej mu się przyjrzeć.

Savil i herold Kasztelana wymienili zdumione spojrzenia, uzdrowiciel Andrel ubrał ich

myśli w słowa.

- Na Jasną Panią - zamruczał pod nosem, rozszerzając oczy w konsternacji. - Co, na

bogów, to wszystko ma znaczyć?

Natarczywy głos, dźwięczący od jakiegoś czasu w jego głowie, wyrwał Vanyela z

gorączkowego, niespokojnego snu pełnego koszmarów. Jęknął i rozwarł suche, piekące od

płaczu oczy. W jego głowie wciąż pulsował ból i nawet nieznaczny ruch sprawiał, że oczy

zachodziły mgłą. Czuł się, jak gdyby całe jego ciało zamieniło się w jakiś palący, ciasny,

ograniczający ruchy kombinezon jak gdyby nie należało do niego.

Przez skalisty prześwit wkradała się jasność dnia. Z odległości kilku kroków dobiegało

szemranie rzeki. Gdyby nie ławki z różowego marmuru znajdujące się przy wejściu, wydawać

by się mogło, że Vanyel jest w jakiejś grocie. Ale przecież w grotach nie ma ławek z różowego

marmuru. Nie ma też zadbanych,
wyściełanych mchem podłóg.

Dopiero teraz rozpoznał to miejsce.
Była to jedna z grot ogrodowych,
ciągnących się

wzdłuż brzegu rzeki, popularnych wśród
umawiających się na schadzki par i ludzi
szukających

w ich zaciszu samotności i chwili
wythnienia od zgiełku panującego w
pałacu. Tylendel nieraz

wyrażał tęskne pragnienie, aby
skorzystali kiedyś z jednej z nich...

Tylendel. Żałość ścisnęła mu gardło i

odebrała dech w piersi.

- Nie, Vanyelu, mój Wybrany. Nie teraz. Później będziesz go opłakiwał, a teraz wstań.

Nie wiedząc właściwie, jak się tam dostał, stanąwszy na nogach, całym ciężarem oparł

się o jedwabisty kark Towarzysza.

Jego Towarzysza.

Usiłował odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens, ale zawroty głowy wciąż nie pozwalały

mu pozbierać myśli, które rozplywały

się szybciej niż powstawały.

- *Jesteś chory* - odezwał się zatroskany głos w jego umyśle. - *Nie mogę się tobą zająć.*

Chciałam cię chronić, lecz nie potrafię ci pomóc. Masz gorączkę i musi cię zbadać uzdrowiciel.

No zróbże krok. I jeszcze jeden...

Vanyel poczuł, że całe jego ciało drży i wtulił się jeszcze bardziej w Towarzysza.

Posłuszny jej głosowi, niepewnie postawił drugą stopę, ale szybko spostrzegł, że aby utrzymać

równowagę, musi całym ciężarem ciała opierać się o bok Yfandes. Po kilku krokach musiał

przymknąć oczy i zaufać jej także jako swemu przewodnikowi. Dręczyły go takie zawroty

głowy i mdłości, że nie potrafił zrozumieć nic z tego, co działo się dookoła.

Stanęli w końcu w pełnym świetle słońca, które natychmiast oślepiło Vanyela.

Otworzył oczy na ułamek sekundy i zaraz je zamknął. Wtedy poczuł, że Towarzysz nagle od-

stąpił od niego, a on sam osunął się wprost w ramiona nieznanego herolda. Raptem, gdy jego

kontakt z Yfandes urwał się, w głowie momentalnie zahuczały mu dziesiątki jazgotliwych,

wprawiających w zakłopotanie głosów. Vanyel zakwilił jak niemowlę, próbował się wycofać i

wtulił głowę w ramiona. Czuł, że dźwięk tych wrzasków rani go i zadaje ból, ale nie potrafił

odróżnić, które z nich są jego własnymi myślami, a które pochodzą od kogoś innego.

*- Powiedz swojemu niemądrému
Wybranemu, żeby go osłaniał,
Delianie!*

Vanyel rozpoznał ten głos, choć Yfandes nigdy nie zwracała się do niego tak ostrym

tonem. Nieznajomy, tłumiąc przekleństwo, zamruczał coś pod nosem i przyłożył dłoń do czoła

Vanyela, a wszystkie głosy naraz ucichły. Vanyel otworzył oczy i zaraz tego pożałował.

Wszystko wirowało wokół niego, jakby on sam stał się nagle punktem centralnym jakiegoś

wszechświata chaosu. Od razu zamknął oczy, przysięgając nie otwierać ich już więcej.

- Pozwól, Tantrasie. - Ten łagodny głos też nie wydawał się znajomy.

Na jego głowie spoczęły dwie chłodne dłonie, a z nimi spłynęła obietnica ukojenia i

spokoju snu. Przyjął z wdzięcznością wszystko, co mu dawały, zapadając powoli w słodki stan

zapomnienia.

Pomyślał, że jeśli dopisze mu szczęście, może już nigdy się nie obudzi.

Łóżko zdawało się o wiele za duże dla niego. Nigdy nie był wysoki, ale teraz jakby

jeszcze skurczył się w sobie. Był blady i - może przez tę naturalnie jasną cerę i czarne włosy -

Savil wydawało się, że wygląda gorzej niż Tylendel po swym ataku. Dotąd nie wyobrażała

sobie, aby w ogóle można było wyglądać tak za życia.

Tylendelu. Och, mój Lendelu, mój biedny, biedny, Lendelu.

Uwięzione pod powiekami łzy zamgliły

jej oczy, w gardle poczuła skurcz.
Dlatego

przeoczyła moment, gdy Andreł zabrał
rękę z czoła chłopca i z ciężkim
westchnieniem opadł z

powrotem na fotel. Jego siwiejące
rudawe włosy, posklejał pot, a
zmarszczki pogłębiły się

jeszcze bardziej na umęczonej,
powleczonej bladością twarzy.

Jego strapione westchnienie przywołało
Savil do rzeczywistości.

- Andrełu? - odezwała się cicho. -
Potrafisz już coś powiedzieć?

- Zrobiłem dla niego, co tylko mogłem, a nawet więcej. Odnalazłem pewną ścieżkę

dostępu do jego umysłu - powiedział, nie unosząc głowy, odziany w Zieloną uzdrowiciel

heroldów. - Chcę, abyś poszła jej śladem, ale jeśli myślisz, że nie zniesiesz tego, pomóż mi

znaleźć innego maga heroldów o twoich umiejętnościach. Szczerze mówiąc, nie wierzę w to, co

sam zobaczyłem i dlatego potrzebuję potwierdzenia.

Savil zacisnęła zęby i jeszcze raz powtórzyła sobie, że Vanyel nie ponosi

odpowiedzialności za nic, co się stało.

Poza tym, i tak była jedyną osobą w pałacu, która mogła

mu okazać jakiegokolwiek miłosierdzie.

- Dobrze, będę się trzymała tej ścieżki. Chcesz jeszcze coś powiedzieć, czy...

- Najpierw ty mi coś powiesz. Moja odpowiedź będzie uzależniona od tego, czy

uznasz, że posunąłem się za daleko, czy nie.

Savil uniosła brwi ze zdumienia, ale zdecydowała się na współpracę z uzdrowicielem.

Pochwyciła kojącą obecność Andreła z taką łatwością, jakby po prostu wzięła go za rękę.

Kiedyś byli kochankami, a i przedtem, i potem, często pracowali razem.

Ich aury splotły się, jak splatają się dwie dłonie, i Savil podążyła ścieżką, którą

wytyczył dla niej uzdrowiciel przez kipiący chaos najpłytszych pokładów śpiącego umysłu Va-

nyela, ku mrokowi rozszalałego żalością
dna jego duszy. Potęgą jego żalu
skruszyłaby jej serce,

nawet gdyby wierzyła w winę Vanyela.
Dobrze wiedziała, że Tylendel darzył go
miłością o

wielkiej głębi, ale teraz zdało jej się, że
sercem Vanyela zawładnęło uczucie
jeszcze większe.

Cały czas była pewna, że ma
świadomość, co przeżywa Vanyel, że -
tak jak ją - dręczy go

rozpacz i żal, ale teraz zobaczyła dużo,
dużo więcej...

Och, bogowie... stało się dokładnie to, przed czym ostrzegałam Lendela. On jest zagubiony, kompletnie zagubiony bez Lendela...

Ale nie to przyprawiło ją o prawdziwy szok.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Savil była jedynym magiem heroldów, tak głęboko

zaangażowanym w wychowywanie młodych magów heroldów. To ją właśnie najczęściej

proszono o rozpoznanie, czy dziecko posiada dar i ma szansę zostać

Wybranych. Widziała

wiele dzieci z jednym, dwoma darami,
ale najczęściej zupełnie ich pozbawione.

Tylendel

posiadał nieprzeciętny dar myślowy,
przenoszenia, empatii i magii -
wszystkie mniej więcej

o równej mocy. Większość heroldów
mogła się poszczycić zaledwie jednym
lub dwoma

silnymi darami, a trzy posiadało
niewielu.

Vanyel był obdarzony wszystkimi.

Każdy z nich, prócz uzdrawiania, był

aktywny i

większość z nich osiągnęła maksymalną moc. Vanyel posiadał dar myśłomowy, przenoszenia,

dalekowzroczności, przewidywania, także - równie silny jak u Tylendela - dar empatii, a nawet

dar niecenia ognia sprawny na tyle, że chłopiec już nigdy nie będzie musiał brać do ręki hubki z

krzesiwem. Przede wszystkim jednak Vanyel posiadał dar magii. Ponadto jego dar myśłomowy

rozwinął jednocześnie myśloczucie i

projekcję.

A w dodatku - o ironio - bogowie, chcąc
chyba zrekompensować mu dawny
zawód,

obdarowali go darem barda.

Ten chłopiec posiadał więcej darów niż
którykolwiek z pięciu najważniejszych

heroldów i wszystkie uaktywniły się w
ciągu niespełna doby.

Ku swemu przerażeniu Savil spostrzegła
też, że kanały przepływu energii darów
swą

wrażliwością na wszelkie bodźce

przypominają otwarte rany. Zdawało się, że nie zostały

zwyczajnie uaktywnione, ale rozerwane. Jeśli Vanyel cierpiał tak strasznie, to tylko cudowi

można było zawdzięczać, że ból nie doprowadził go do szaleństwa.

Savil wypadła z jego umysłu jak z ukropu i momentalnie przerzuciła wzrok na

uzdrowiciela, a potem jeszcze raz na chłopca. Była bliska szoku.

- O wielkie nieba - wyjąkała. - Jak do tego doszło?

Andrel potrząsnął głową.

- Ty możesz lepiej odpowiedzieć na to pytanie. Ja nie zastanawiałem się nigdy nad tym,

skąd pochodzą nasze siły. Staralem się tylko nauczyć, jak je wykorzystywać.

Ale czy

rozumiesz teraz, z czym mam do czynienia?

- Myślę, że tak - odparła Savil, po omacku szukając oparcia w poręczy łóżka. - Pozwól,

że podsumuję to wszystko. Pierwszy szok spowodowało sprzężenie zwrotne,

gdy zakłęcie

wyssało z niego całą energię, aby
wznieść Bramę; później przyszedł
następny wstrząs, kiedy

ściągnąwszy tę energię z Bramy,
wtłoczyliśmy ją z powrotem w jego
ciało. Poza tym z

przedwczesnym albo opóźnionym
wyzwoleniem darów zawsze wiążą się
problemy. U niego

dary od razu osiągnęły pełną moc. A co
gorsza, przepływają one kanałami, które
nie otworzyły

się same, ale zostały rozsadzone,

wypalone.

- W dodatku przeżył, już bardziej zwyczajny, szok emocjonalny i fizyczny. Zanoszę

modły do niebios, żeby do tego wszystkiego nie dostał jeszcze zapalenia płuc. Już raz zbiłem

mu gorączkę, którą jego ciało zareagowało na przytłaczający napływ energii. - Sprawdzając

temperaturę, Andrel przyłożył wierzchnią stronę dłoni do woskowego policzka Vanyela. - Na

razie nie jest tak źle, ale wciąż istnieje

zagrożenie. Próbuję też zwalczyć skutki działania energii

o tak wielkiej mocy. Savil, ten chłopiec jest w stanie beznadziejnym.

- Masz skłonności do używania zbyt łagodnych określeń, mój kochany. -
Wzrok Savil

spoczął na wymizerowanej, zastygłej w masce udręki twarzy.

Cierpienie nie opuszcza go nawet podczas snu, pomyślała.

- Teraz rozumiem, dlaczego Yfandes oddawała go nam z taką niechęcią. Do czasu

kiedy połączy ich prawdziwa więź,
Vanyel musi mieć z nią fizyczny kontakt,
aby mogła go

ochroniać. Ale co my możemy zrobić?
Nie można sprowadzić jej tutaj ani jego
przenieść do

stajni, przynajmniej w taką pogodę.

- Spróbuj tylko, a odpowiesz mi za to -
odparł Andrel, a Savil wiedziała, że nie
żartuje.

- Przenieś go tam w ten chłód, a
zobaczysz, że go zabijesz. Nawet w
ciepłym łóżku grozi mu

niebezpieczeństwo.

- A jak mam go chronić przed działaniem jego własnych sił?

- Nałóż na niego własne osłony i módl się, żeby nic się przez nie przedostało.

- Ale przecież nie mogę ich utrzymywać cały czas - ostro przypomniała mu Savil.

- I

tak jestem dość zmordowana. W tej chwili nie zdołam utrzymać ich dłużej niż kilka godzin.

- To, do diaska, idź zamówić dwie trumny! - warknął Uzdrowiciel w nagłym wybuchu

gniewu. - Bo i tego chłopaka stracisz,

jeśli nie zajmiesz się porządnie
wszystkim!

Savil skuliła się, ogromnie zaskoczona
jego nieoczekiwanym wzburzeniem.

- Ja... - wyjąkała, a potem, gdy
uświadomiła sobie w pełni znaczenie
jego słów, gdy

pomyślała o tym, który już leżał w
Leśnej Świątyni, sama straciła kontrolę
nad własnymi

emocjami.

Chwiejąc się, wstała i odwróciwszy się
do Andrela plecami, oparła się o
framugę drzwi.

Jej ramionami wstrząsnął szloch, gdy zapłakała cicho.

- Savil...

Silne, ale teraz drżące ręce na jej ramionach zmusiły ją, by znów stanęła twarzą do

pokoju i przyciągnęły ją do kościstej piersi, okrytej miękką, zieloną wełną.

- Savil, przepraszam - szepnął Andrel, tuląc głowę w jej włosach. - Nie powinienem był

tego mówić. Jesteś wykończona, ja jestem wykończony i żadne z nas nie jest w formie, aby

radzić sobie z ciężkimi sprawami, jakie wiążą się z tym chłopcem. Czy jest ktoś, kto mógłby się

nim zająć, przynajmniej przez jedną dobę? Miałybyś trochę czasu na odpoczynek i

zastanowienie się nad wszystkim.

Kwadratowy kawałek białego płótna pojawił się w samą porę. Wytarła oczy

zaoferowaną przez Andreła chusteczką i wydmuchała nos.

- W innych okolicznościach poprosiłabym kogokolwiek, aby mnie zastąpił... ale nie

wiem, Andy. Wielu z nich wciąż myśli, że to Vanyel ponosi winę za to, co się stało. Nawet jeśli

użyczą mu swych osłon, przy jego darach może się to okazać bezskuteczne. Sam powinieneś

wiedzieć najlepiej, jak trudno jest okiełznać nowy, nie oszlifowany jeszcze dar. Nawet wtedy,

gdy nie jesteśmy w stanie napięcia.

Andrel westchnął.

- Serdeńko, myślę, że nie masz wyboru. Możesz tylko pocieszać się nadzieją, że jeśli

dotrą do niego jakieś powierzchowne myśli, on nie będzie jeszcze w stanie ich zrozumieć.

Jeżeli jednak nie zatroszczysz się o swój własny odpoczynek, to wkrótce zupełnie opadniesz z

sił. Nawet najbardziej początkujący uzdrowiciel ci to powie.

Skinęła głową i nagle wydało jej się, że na jej barki spadło brzemie wszystkich lat, które

przeżyła, i smutków, których w tym życiu doznała.

- Dobrze - zgodziła się, wbrew własnej

ocenie sytuacji, lecz nie znajdując
innego

wyjścia. - Spróbuj sprowadzić Tantrasa.
On przynajmniej nie znał zbyt dobrze
Tylendela.

Vanyel obudził się właśnie. Śniło mu
się, że Tylendel ożył i drażnił się z nim,
żartując

sobie z jego żalu. Przez krótką chwilę po
przebudzeniu Vanyel nie mógł rozeznaczyć,
co było

snem, a co rzeczywistością.

Wtedy otworzył oczy i uświadomił
sobie, że leży we własnym łóżku, we

własnym

pokoju, oświetlonym bladym blaskiem
starannie przyciemnionych latarenek ze
świecami,

Mimo to dostrzegał coś osobliwego, co
sprawiało, że pokój jakby się odmienił.

Po dłuższej chwili zrozumiał wreszcie:
zniknęło wrażenie obcowania z
Tylendelem,

uczucie, że - choć fizycznie nieobecny -
przyjaciel wciąż jest przy nim.

Nagle pojął wszystko. Stłumił w gardle
jęk rozpacz i zacisnął powieki,
powstrzymując

napływające do oczu łzy. Zrobił to w samą porę, bo właśnie ktoś delikatnie otworzył i zamknął

drzwi, a Vanyel poczuł czyjąś obecność.

Zamarł na moment, potem westchnął, jakby we śnie, i przewrócił się na bok, ukrywając

twarz w cieniu.

Usłyszał jakieś głosy... jak gdyby ktoś mówił do siebie, tylko... tylko że one nie

dochodziły z zewnątrz, ale po prostu siedziały w jego głowie, zupełnie jak odzywał się w jego

głowie głos Yfandes, kiedy do niego mówiła. Słuchanie sprawiało mu ból, ale nie mógł

powstrzymać napływających wciąż słów. Po tonie tego głosu w myślach rozpoznał nawet, kto

przy nim siedzi. Był to jeden z heroldów, którzy towarzyszyli Savil, ten o imieniu Jaysen.

Tymczasem sam Jaysen w najmniejszym stopniu nie przejmował się Vanyelem.

- ...*bogowie*... - usłyszał Vanyel, zbity z tropu bólem przepelniającym słowa. -

...zamienić Tylendela na tego małego

gbura. To ci dopiero interes.

Z chwilą gdy Vanyel poczuł na sobie zamyślony wzrok, słowa stały się wyraźniejsze i

wypowiadane w większym skupieniu.

- Bez względu na to, co mówi Savil, nigdy nie uwierzę w to, że on nie miał nic

wspólnego ze śmiercią Tylendela. Gdyby rzeczywiście byli ze sobą tak blisko, Tyndel na

pewno by go posłuchał. Nawet jeśli Lendela tak opętała idea zemsty, ten tutaj był od niej wolny.

*Może i Lendel go kochał, ale
Vanyelowi na pewno nie zależało na
nim aż tak bardzo, bo inaczej*

*powstrzymałby go. Lendel był tylko
dodatkiem do grona jego wielbicieli.
Gdyby Vanyel*

*zostawił go w spokoju, gdyby nie
wykorzystywał jego... słabości...*

Vanyela przytłoczył ciężar tych
bezlitosnych słów, opisujących go jako
aroganckiego

samoluba wykorzystującego Tylendela,
którego nie kochał. Co gorsza, z tego, co
myślał

Jaysen, wynikało, że Vanyel utwierdzał nawet Tylandela w jego obsesji, że wślaczał mu ją do

głowy, jak gdyby poił wiecznego pijaka wódką, której nie jest w stanie wypić.

Mimo woli Vanyel przeniósł się jakby poza pokój. Zdawało mu się, że po prostu natęży

słuch, aby usłyszeć jakąś rozmowę dobiegającą z oddali. Ból, jaki czuł przy tym, przypominał

trochę naciąganie mięśni na złamanej kości. Nagle uzmysłowił sobie jednak, że odbiera jakieś

strzępy... najwyraźniej myśli...
spływających ku niemu.

Mogło to być echo myśli Jaysena.

Uciekł od tych głosów, kuląc się w
sobie jak wystraszone dziecko, które
szybko cofa z

ognia sparzoną rączkę. Były tylko dwie
istoty, o których wiedział z całą
pewnością, że kochały

go mimo jego wad: Tylendel i Yfandes.
Ale żadne z nich nie znało całej prawdy
o nim. Yfandes

działała pod wpływem jakichś
magicznych sił, które kazały jej go

wybrać, a Tylendel...

Tylendel nie żyje. A on ponosi za to winę. Jaysen ma rację. Gdyby rzeczywiście

zależało mu na Lendelu, powstrzymałby go. To niekoniecznie musiało być trudne. Gdyby nie

zgodził się na wykradzenie tych książek, gdyby nie zgodził się pomóc mu w wykorzystaniu

zaklęcia, Tylendel żyłby teraz. A gdyby nie uwiódł go, zaspokajając swe egoistyczne potrzeby,

nic by się w ogóle nie stało.

Nie może być już gorzej. A teraz stał się ciężarem dla heroldów, którzy go nienawidzą,

ale związani poczuciem honoru, postanowili przyjąć go na miejsce Tylendela. Ale on nigdy,

przenigdy nie będzie w stanie godnie zastąpić Tylendela i doskonale o tym wie. Nie posiada

żadnej z jego cnót, za to wszystkie jego wady i całe mnóstwo swoich.

Wyteżał wszystkie siły, wsłuchując się w głos myśli mężczyzny siedzącego obok i nie

zwracał uwagi na ból, jaki mu to sprawiało. Całą nadzieję pokładał w tym, że herold da mu

jakaś szansę na ucieczkę... i naprawienie wszystkiego. Gdyby tylko herold po prostu... odszedł

na moment albo... albo, jeszcze lepiej, zasnął...

A Jaysen rzeczywiście był zmęczony. Choć nie musiał czynić żadnych magicznych

zabiegów i miał więcej czasu na odpoczynek, wciąż czuł się utrudzony. Usadowił się w

najwygodniejszym fotelu w całej izbie, tym, w którym Tylendelowi zdarzało się zasnąć.

Czując, że na Jaysena począł spływać sen, Vanyel wstrzymał oddech w nadziei, że herold

zaśnie na dobre.

Bo z tych wszystkich przemyśliwań ludzkich odczytywanych przez jego zmysły,

dowiedział się czegoś...

Ponieważ Dzwon Śmierci zabrzmiał dla Tylendela, bez względu na jego czyny, uznano

go za pełnoprawnego herolda i jutro, ze
wszystkimi należnymi mu honorami,
chłopiec zostanie

pochowany.

Jutro. Ale dzisiejszej nocy... leżał w
świątyni w Lasku. A Vanyel, jeśli tylko
zdoła tam

dotrzeć, postanowił odpokutować za zło,
które stało się jego udziałem,
ofiarowując tę jedyną

rzecz, jaka mu jeszcze została.

Myśli Jaysena ogarnęły już majaki senne
i po chwili ciche chrapanie dobiegające

Z

fotela przy łóżku powiedziało Vanyelowi, że herold pogrążył się w głębokim śnie.

Vanyel przewrócił się, umyślnie robiąc to z jak największym hałasem.

Jaysen nie przestawał chrapać.

Vanyel usiadł powoli, lustrując wzrokiem otoczenie i swój własny wygląd.

Po kilku minutach był już ubrany. Ale jeśli nawet nie groziło mu wytrącenie ze snu

herolda, to i tak ze względu na swój mizerny stan był zmuszony poruszać się

niezmiernie

wolno. Jego nogi były tak słabe, a kroki tak chwiejne, że z początku szukał nawet oparcia w

sprzętach dookoła siebie. Po pewnym czasie jednakże jego ruchy zaczęły nabierać pewności.

Bezszelestnie przemknął przez pokój i odsunął rygiel w drzwiach. Uchylił je,

prześlizgnął się przez małą szparę i zamknął na powrót. Na dworze panowała ciemna noc,

niebo było bez chmur. Z pewnością nikt go nie zobaczy, ale miał do przebycia

długą drogę do

Lasku.

Uzbroił się w odwagę i postawił
niepewną stopę na zwirowej ścieżce
prowadzącej od

jego drzwi w głąb zalanego księżycem
ogrodu.

Ale tam ktoś już na niego czekał.

Ledwie uszedł pięć kroków, z ciemności
wyłoniła się Yfandes.

- *Nie* - powiedziała surowym tonem,
zagradzając mu drogę. - *Jesteś chory,
powinieneś*

leżeć w łóżku.

Przez moment zdawało mu się, że lada chwila runie na ziemię.

...bogowie, ona mnie nie przepuści...

Wtem zaświtał mu pomysł, jak nakłonić Yfandes, aby - nie zdając sobie nawet z tego

sprawy - udzieliła mu pomocy.

- *Proszę...* - Skupił całą uwagę na części planu opierającej się na prawdzie.

Wiedział

przecież, że nie jest w stanie okłamywać jej swymi myślami. Jednakże dopóty,

dopóki Yfandes

nie zapyta go o to wprost, nie musiał też odsłaniać przed nią wszystkich swych intencji. Na

dodatek więź między ich umysłami nie była jeszcze stabilna, na przemian słabła i wzmacniała

się, sprawiając tym ogromny ból, a Vanyel był gotów iść o zakład, że Yfandes nie będzie

chciała robić niczego na siłę.

- *Proszę, Yfandes, muszę...* - wyjąkał -
...pożegnać się.

Skłoniła głowę niemal do ziemi, a on pozwolił, by jego żal spłynął na jej serce.

- *Dobrze.* - Usłyszał zrezygnowany głos.

- *Pomogą ci. Ale później musisz odpocząć.*

- *Zgoda* - przyrzekł szczerze, choć miał na myśli zupełnie co innego niż ona.

Yfandes przyklęknęła, aby mógł ją dosiąść. Vanyel, kiedyś najlepszy jeździec w Forst

Reach, nie potrafiłby teraz wdrapać się na jej grzbiet o własnych siłach.

Przywarł do niej z

rozdygotanymi ramionami i nogami i
gdyby nie Yfandes, której niezwykła
umiejętność

balansowania swym ciałem potrafiłaby
uchronić od upadku nawet niemowlę,
Vanyel już po

kilku chwilach znalazłby się na ziemi.

Skoncentrował się na własnym
zmęczeniu i lichym samopoczuciu, a
najmniej starał się

myśleć o swych prawdziwych
zamierzeniach. Zamknął oczy w
koncentracji, ale też i dlatego,

że widok przesuwającej się z wielką

prędkością ziemi pod kopytami Yfandes,
przyprawiał go o

mdłości i wprowadzał w głowie zamęt.

Nie miał pojęcia, jaką prędkość
rozwijają Towarzysze idąc stępa. W
każdym razie

Yfandes przekroczyła próg przedsionka
świątyni dużo wcześniej, niż Vanyel się
tego

spodziewał i dźwięczny stukot jej kopyt
o marmurową posadzkę
niespodziewanie wyrwał go z

głębokiej zadumy, zmuszając do
otworzenia oczu.

- *Jesteśmy na miejscu* - rzekła i przyklękła, by ułatwić mu zejście.

Marmurowa posadzka świątyni połyskiwała w poświacie księżyca i w szparce pod

drzwiami Vanyel zauważył odbijające się o płyty świec. Ześlizgnął się z grzbietu

Yfandes i korzystając ze swego nowego zmysłu “wysłuchał” się w ciszę świątyni, upewniając

się, czy nie ma tam kogoś poza nim.

Nie było nikogo.

Zimny wiatr przeszył go dreszczem.
Strój dobrał wprawdzie z jak
największą

starannością - włożył czarną jedwabną
tunikę i bryczesy, w których najbardziej
podołał się

Tylendelowi - ale nie ogrzewany już
ciepłem ciała Yfandes, narażony był na
chłód wiatru

przenikającego przez ubranie.

- *Ale tylko na chwilę* - przestrzegła go
Yfandes, gdy przywarłszy całym ciałem
do

drzwi prowadzących do wnętrza,

usiłował otworzyć tkwiącą w nich zasuwę.

- *Tak, Yfandes* - odparł ze szczerością. - *Tylko na chwilę.*

Uchylił drzwi i zaraz zamknął je za sobą, a wtedy... najciszej jak potrafił, przesunął

rygiel.

Za drzwiami nie odezwało się żadne rzenie, uznał więc, że Yfandes nie zauważyła, iż

zasuwa powróciła na swe dawne miejsce. Odwrócił się, zbierając wszystkie siły na następny

krok, i stanął twarzą do ołtarza.

Sama świątynia był malutka, niewiele większa od wspólnej izby ich apartamentu. Całe

jej wnętrze wyłożone było białym marmurem, a ściany odbijały płomyki świec, rozpalając je

roziskrzonym blaskiem. W pomieszczeniu stały tylko dwie ławki i ołtarz, a za nim lichterze

pełne świec. Ścianę w ich tle pokrywał subtelny relief figuralny przedstawiający skłębione

chmury, księżyc, gwiazdy i słońce.

Chmury ukształtowano w wyobrażenia
twarzy kobiety i

mężczyzny, na których przy każdej
zmianie natężenia światła pojawiały się
coraz to nowe

emocje.

Przed ołtarzem stały mary.

Z każdym krokiem nogi Vanyela ugiwały
się coraz bardziej. Zbliżył się ostrożnie
do

okrytego białym całunem podwyższenia
i opuścił wzrok na leżące na nim ciało.

Tylendel był odziany w pełną Biel.

Kiedy leżał tak z zamkniętymi oczami,
na jego

urodziwej, spokojnej twarzy nie dało się
dostrzec żadnych śladów rozpaczy i
obłąkania. Jego

piękne, silne dłonie, które kiedyś
przynosiły jego ukochanemu tyle
ukojenia, spleciono na jego

piersi. Zdawało się, że wygląda tak
samo, jak każdego ranka, kiedy budząc
się pierwszy,

Vanyel przyglądał mu się, pogrążonemu
we śnie. Jego długie, złociste kędziory
spływały na

białą tkaninę, a kilka splątanych loczków wprowadzało małe zamieszanie nad prawą skronią.

Policzki ocieniały długie, ciemnozłote rzęsy. Tylko ta dziwna pozycja zdradzała

nienaturalność. Tylendel nigdy, przez cały czas jaki spędzili razem, nie spał inaczej jak z

szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami.

Vanyel lekko wyciągnął dłoń i dotknął gładkiego policzka, z wiarą, że wystarczy go

tylko musnąć, by Tylandel zbudził się na nowo.

Ale policzek był zimny - zimny jak marmurowa płyta ołtarza - a powieki nawet nie

drgnęły. Tylko w baśniach zdarza się, że śpiącego królewicza budzi ze snu magiczny dotyk

ukochanej osoby; a to, co działo się tutaj, nie miało z baśnią nic wspólnego.

- Tylandelu, proszę, przebacz mi - wyszeptał prosto w twarz chłopca i wyciągnął nóż z

białej pochwy u jego paska. - Zapłacę za

wszystko, co cię ode mnie spotkało.

Jego ręce drżały, ale wola wciąż pozostawała niezachwiana.

W pośpiechu - jakby obawiając się, że odwaga może go opuścić - pochylił się i wiedziony nadzieją, że i to zostanie mu wybaczone, złożył pocałunek na zimnych ustach. I

nagle ogarnął go taki smutek, że nie miał już nawet siły, by zapłakać. Potem uklęknął na

lodowatym marmurze podłogi, u stóp marów, ścisnął kolanami rękojeść sztyletu i przycisnął

nadgarstki do obydwu ostrzy noża.

- Lendelu, bez ciebie wszystko straciło sens. Wybacz mi... jeśli tylko możesz - szepnął,

zwracając się jednocześnie do Tylendela i zadumanych twarzy w tle ołtarza.

A potem, nim zdążył dopaść go lęk, przeciągnął szybko obie ręce po ostrzach,

rozcinając je równocześnie.

Dobrze naostrzony sztylet spełnił jego nadzieje, ale i przerósł oczekiwania. Rozpruł oba

nadgarstki niemal do kości. Vanyel zachwiał się, ból zatrzymał mu oddech i szarpnął

ramionami. Nóż, uwolniony mimowolnym drgnieniem kolan, upadł z brzękiem na marmurową

posadzkę.

Oszołomiony nagłym zawrotem głowy, Vanyel zawisł ku przodowi i wreszcie runął na

podłogę. Głowa opadła na dłonie, a ramiona spłynęły bezwładnie na marmurową posadzkę.

Biały kamień zalała krew, tworząc

kałużę wokół okaleczonych rąk. Vanyel
przypatrywał się

temu z niezdrową satysfakcją.

Czerwone na białym. Jak krew na
śniegu...

I dopiero w tym momencie Yfandes
zorientowała się, co robi jej Wybrany.

Zarżała głośno i rzuciła się na drzwi,
kopiąc w nie z całych sił.

Ale było już za późno. Wzrok Vanyela
tracił ostrość, a ból w nadgarstkach stał
się

obojętny.

Wciąż jednak chłopiec czuł straszny, przejmujący chłód.

- *Przykro mi.* - Na wpół oszołomiony zwrócił się w myśli do swego oszalałego

Towarzysza, pogrążając się w nieprzytomności. Czuł, jak jego ciało przechyla się na bok. -

Yfandes, przepraszam... znajdziesz sobie kogoś... lepszego ode mnie. Kogoś, kto będzie ciebie

wart.

- Nie ma go? - Głos Savil załamał się. - Co, u diabła, ma znaczyć: “nie ma go”?

- Savil, przysięgam, chłopak spał.
Uciałem sobie krótką drzemkę, a kiedy
się

obudziłem, już go nie było - odparł
Jaysen, targając ręką kępkę włosów z
boku głowy. Na jego

twarzy wściekłość mieszała się z
poczuciem winy. - Myślałem, że może
wymknął się do

wygódki, ale nie mogłem go nigdzie
znaleźć.

Savil wyskoczyła z łóżka i przetarła oczy,
usiłując zebrać myśli. Dokąd Vanyel
mógł

pójść i, na bogów, po co?

Odpowiedź jednak przyszła w mgnieniu oka - zza rzeki dobiegło ją przerażone,

rozwścieczone rzenie Towarzysza, a w jej głowie zabrzmiał świdrujący pisk jej własnej Kellan:

- Savil... chłopiec... - I przed jej oczami stanął obraz miejsca, gdzie uciekł Vanyel i

tego, co z sobą zrobił.

Wstrząśnięty wyraz twarzy Jaysena pozwolił jej wywnioskować, że i jego Felar zdążyła

powiedzieć mu, co zaszło.

- Bogowie! - Savil porwała płaszcz z krzesła przy łóżku i bosą wybiegła przez wspólną

izbę ku pokojowi Vanyela. Na karku czuła oddech biegnącego zaraz za nią Jaysena.

W szaleńczym pędzie pchnęła drzwi do ogrodu. Na szczęście były otwarte, inaczej

swoim uderzeniem wyrwałaby je z zawiasów. Chłód nocy zdzielił ją w twarz niczym ręka

jakiegoś szubrawca. Zatrzymało ją to na

chwilę - na bardzo krótką chwilę. W sekundzie

pojawiły się Felar i Kellan, galopując ku nim co sił. Felar zaryła kopytami w ziemię i obróciła

się w miejscu, podstawiając zad swemu Wybranemu, który wskoczył na niego z taką

zwinnością, że gdyby nie powaga sytuacji, Savil nie omieszkałaby skomentować tego jako

popisu podyktowanego próżnością. Teraz jednak wyczekała, aż zatrzyma się jej Towarzysz, po

czym wdrapała się na jego grzbiet,
marszcząc koszulę nocną wokół nóg.
Potem z całych sił

przywarła do ciała Kellan, gdy ta
zerwała się i ruszyła przed siebie w
pełnym galopie.

Teraz Jaysen, młody herold Kasztelana,
wyprzedzał Savil o włos, wiodąc ją
przez

najbliższy most na Łąkę Towarzyszy i
dalej, ku świątyni w Lasku. Nie oni
jedyni zareagowali

na oszalałe wrzaski i wołania myśli
Yfandes. Heroldowie i uczniowie
wybiegali teraz z pałacu

niczym podeksycytowane mrówki.
Dosiadając swych Towarzyszy, rzucili
się pędem w stronę
mostu.

Jednak Jaysen i Savil pierwsi dotarli na
miejsce, korzystając z wątpliwego
przywileju

oglądania Yfandes usiłującej sforsować
nie ustępujące ani o włos masywne
brązowe drzwi

świątyni. Spod jej kopyt trących o metal
sypały się iskry, a jej wrzaski pełne
udręki

przypominały raczej ludzkie żałosne

zawodzenia niżli rzenie konia. Jaysen
zeskoczył z

grzbietu Felar w pełnym biegu i nie
robiąc sobie nic z niebezpieczeństwa,
dał nura wprost pod

kopyta Yfandes, by samemu spróbować
rozprawić się z drzwiami.

- Są zamknięte od środka! - zawołał,
niepotrzebnie zresztą, bo Savil,
ześlizgnąwszy się

z Kellan, stała już obok niego.
Przycisnął ramię do drzwi i pchnął je,
ale nie udało mu się

zdziałać więcej niż Yfandes.

- Vanyelu! - Savil przyłgnęła twarzą do szpary między drzwiami a futryną i zawołała: -

Vanyelu, chłopcze, wpuść nas do środka!

Teraz przyłożyła do szpary ucho, próbując wyłowić jakiś dźwięk, ale nie usłyszała nic.

- *Kellan...*

- *Yfandes powiada, że on żyje, ale słabnie i jest nieprzytomny.* - Doszła ją odpowiedź.

Yfandes wierzgała w miejscu; jej szafirowe oczy przysłoniła rozpacz,

nadając im odcień bliski

czerni.

- Niech ktoś oświetli magiczną lampką
tę przekłętą wieżę.

Był to głos Mardika. Położył ręce na
ramionach Donni i z zadartą głową
patrzył na

dzwonnice. Donni trzymała w dłoni
kuszę z potężnym pociskiem
przygotowanym do

wystrzału.

Savil pierwsza odpowiedziała na jego
wołanie, odsuwając się od drzwi na

tyle, by móc

dojrzeć czubek wieży. Jej światełko
płonęło jednak zbyt bladym blaskiem, by
Donni mogła

wycelować kuszę. Wtedy wyrzuciwszy
ramiona w górę, posłała w górę taką
moc energii, że

cały czubek wieży zalała jasność.

Mardik zamknął oczy i koncentrując się,
przybrał groźną minę. Donni uniosła
kuszę,

starannie wycelowała i wystrzeliła.

Użyta przez nią strzała o dość

niecodziennym kształcie leciała wolno i dziwnym torem,

a w dodatku ciągnęło się za nią coś jaskrawego. Dopiero po chwili Savil uświadomiła sobie, co

to było. Nim Donni została Wybrana, terminowała u pewnego złodziejaszka, a pocisk, który

przed chwilą wystrzeliła, to kotwica ciągnąca za sobą lekką, ale mocną linę. Kotwica miała

zaczepić się o parapet okna. Mardik posiadał co prawda bardzo słaby, lecz niesłychanie

przydatny dar przenoszenia. Użył go, by nakłonić strzałę do wyniesienia w górę czegoś

cięższego niż cienki sznur, a mianowicie liny do wspinaczki.

Pocisk wpadł przez okno do dzwonnicy, z brzdękiem obijając się o Dzwon Śmierci.

Savil przeszył dreszcz, a ona sama uczyniła gest, jakby chciała oddalić zło. Inni zrobili to samo.

Zobaczyła, że wszyscy ludzie zgromadzeni wokół świątyni zareagowali na dźwięk Dzwonu z

takim samym poruszeniem, a z gardła Yfandes wydarł się żałosny jęk.

Zwykle ożywiona twarz Donni nie zdradzała żadnych uczuć. Dziewczyna nie zważała

na nic, koncentrując się w pełni na strzale i linie. Cała jej uwaga skupiona była na

wykonywanym właśnie zadaniu. Powoli - zdawało się, że trwało to wieki - przyciągnęła do

siebie linę, a Savil z trudem powstrzymała się od ponaglania jej. W końcu Donni wyczuła opór,

szarpnęła, pociągnęła jeszcze mocniej, wreszcie uwiesiła się na sznurze całym swym ciężarem.

Nim Savil zdążyła mrugnąć, Donni pięła się w górę jak wiewiórka.

Jeden czy dwóch uczniów wyraziło swe uznanie, Donni jednakże zignorowała ich

aplauz. Dotarła do okna i precyzyjnie się do środka, a Savil - ku swemu zaskoczeniu -

spozstrzegła, że Mardik podąża jej śladem. Wcześniej tak bardzo zajęła ją wspinaczka Donni, że

w ogóle nie zauważyła, iż wskoczył na

linę, i zobaczyła go dopiero wtedy, gdy znalazł się w

obrzebie magicznego światła.

Savil dała susa z powrotem pod drzwi - tłum rozsunał się, by ją przepuścić - i wraz z

innymi czekała, drżąc w zniecierpliwieniu.

- *Uspokój się, Savil.* - Usłyszała głos myśli Mardika. - *Żyje. Na szczęście nie wiedział,*

jak skutecznie podciąć żyły. Donni zatamowała krew, ale czym prędzej potrzeba tu

*Uzdrowiciela. Yfandes walcząc z
drzwiami, wypaczyła je, więc otwarcie
ich zajmie nam trochę*

czasu.

Mardik zaczął od środka uderzać w
drzwi i zmagając się z wielkim rygłem,
jął

przesuwać go centymetr po centymetrze.
Tymczasem z tłumu wyłoniła się rosła
sylwetka

odziana w Zieleń uzdrowicieli. Andrel
rozchylił ramiona i zagarnął Savil pod
swój ciepły,

podszyty futrem płaszcz.

Wreszcie drzwi ustąpiły i otworzyły się ze skrzypieniem. Andrel natychmiast opuścił

Savil, zostawiając ją nagle w posiadaniu ciężkiego płaszcza, lecz i ona zaraz podążyła za nim

do środka.

Donni klęczała u stóp podwyższenia z trumną. Dookoła niej na marmurowej posadzce

rozlewała się szkarłatna plama.

Trzymała w dłoniach obie ręce Vanyela, który leżał na

podłodze przy murach z twarzą

powleczoną niemal przezroczystą
bladością podobną do bieli

marmuru pod jego głową. Chłopiec
tracił przytomność. Andrel, nie troszcząc
się o swe

odzienie, klękał właśnie obok niego w
kałuży krwi, i wyciągnąwszy ręce,
zacisnął je mocno na

zakrwawionych dłoniach Donni.
Tymczasem Savil, wraz z innymi
niedoszłymi ratownikami,

chwiejnym krokiem zbliżyła się ku nim.

Twarz Andrela zastygła w absolutnym
skupieniu i Savil poczuła płynącą od

niego moc.

Jednakże uświadamiając sobie, że Andrel ma za sobą ciężki dzień pełen napięć i bardzo krótki

wypoczynek, wiedziała, iż nie starczy mu sił na zbyt długo...

Podbiegła ostatnie kilka kroków i złożywszy ręce na jego ramionach w chwili gdy

zaczął słabnąć, uwolniła swą energię, przesyłając ją ku niemu silnym, równomiernym stru-

mieniem. Przez krótką chwilę poczuła więź z Jaysenem, Mardikiem i Donni.

Wszyscy czworo

spletli się w niemalże idealną jedność.
Nigdy jeszcze nie była nawet świadkiem
tak idealnego

zespolecia podczas jakiegokolwiek
zabiegu magicznego.

W końcu uzdrowiciel odetchnął i odjął
swe dłonie od rąk Donni, a wtedy
pozostałe trzy

osoby, idąc jego śladem - lecz nie
ukrywając niechęci, z jaką przerywały
zabieg - zrobiły to

samo. Nawet heroldom nieczęsto
zdarzało się doświadczyć upajającego

uczucia

wszechogarniającego spokoju, które przychodziło po osiągnięciu doskonałego zespolenia

energii uzdrowicielskich. Było to doznanie niemal mistyczne, przywodzące na myśl

wyobrażenia o błogiej ciszy niebios, tak upragnionej przez Savil. Przez całe życie marzyła, że

tego właśnie chciałyby doświadczyć, gdy już zostanie wezwana.

Wreszcie Donni uniosła dłonie z nadgarstków Vanyela, odsłaniając je

przed wzrokiem

innych, i Savil zobaczyła, że żyły,
ściętna i pokrywająca je skóra są znów
całe, jakby w ogóle

nietknięte. O ranach przypominały
jeszcze jaskrawoczerwone blizny, lecz i
one natychmiast

zniknęły, zostawiając po sobie
cieniutkie, białe kreseczki.

Jaysen energicznym ruchem przygarnął
chłopca do siebie. Krew z rękawów
chłopca

zakrzepła na jego białej tunice, ale on
zdawał się w ogóle tego nie zauważać.

Głowa Vanyela opadła mu bezwładnie na pierś. Mimo wszelkich ruchów, chłopiec w

dalszym ciągu nie zdradzał oznak odzyskiwania przytomności.

Savil pomogła Andrełowi wstać i przysunąć się bliżej chłopca. Uzdrowiciel,

wyciągnąwszy drżącą rękę, sprawdził puls na szyi Vanyela, a potem uniósł powiekę. Wreszcie

potrząsnął głową.

- Jest gorzej, niż myślałem, a w dodatku, biorąc pod uwagę jego ostatnie

przeżycia,

stracił zbyt wiele krwi - powiedział
Andrel, marszcząc brwi. - Jaysenie, czy
mógłbyś razem z

Felar przenieść go piorunem z powrotem
do łóżka?

- Nie - przerwała mu Savil. - Nie,
musicie zostawić to mnie i Yfandes.
Jays, podasz mi

go, jak tylko wsiądę na jej grzbiet.

Przecisnęła się przez milczący,
ogarnięty szokiem tłum i tuż przed
wejściem spotkała

czekającą w pełnej gotowości Yfandes.
Jej oczy odzyskały już spokój i na
powrót przybrały

swój bezdennie szafirowy odcień.
Zajrzała teraz głęboko w oczy herolda i
przyklękła, by

ułatwić jej dosiadanie.

Savil wspięła się na jej grzbiet, a
Yfandes z gracją, ani razu nie
poślizgnąwszy się na

gładkiej posadzce, uniosła się na równe
nogi. Potem Savil, nie mogąc się
nadziwić własnemu

opanowaniu, wyciągnęła ramiona, a

Jaysen uniósł bezwładnego Vanyela i posadził go przed

nią. Objęła ramieniem jego ciało i otuliła ich oboje płaszczem Andrela. Nie czuła w ogóle

ciężaru chłopca... zdawał się nader lekki w porównaniu do udręki ciężającej na jej sercu i

sumieniu.

Och, chłopcze, chłopcze... - westchnęła, spinając piętami Yfandes. Biedny chłopcze...

wprowadziliśmy okrutny zamęt w twoje życie, prawda? A wszystko przez

obojętność na twe

uczucia. Nie wiem już, kto ponosi za to
większą winę, ja czy Withen.

Przytuliła go jeszcze mocniej.

Tymczasem Yfandes, idąc lekkiego
stępa, zbliżała się do

drzwi jej mieszkania, które teraz zdały
się niczym mrugająca latarnia na
rozszałym morzu.

Vanyel był wszystkim, co zostawił jej
po sobie Tylenel, dlatego poprzysięgła
pogrążonemu w

wiecznym śnie chłopcu w świątyni, że
dołoży wszelkich starań, by odtąd być

jego ukochanemu

lepszą opiekunką.

Ale najpierw muszę postawić cię na nogi, mój biedny, zagubiony chłopczyku.

Oby

tylko mi się to udało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Savil zdawało się, że minęły wieki, nim udało się jej w końcu założyć jakieś ubranie.

Jakże pragnęła pokrzepiającego snu, jakże tęskniła do chwili, kiedy będzie wreszcie mogła się

położyć. Potrzebowała odpoczynku, jak głodujący łaknie chleba, lecz nie miała odwagi

zostawić Vanyela bez opieki. W końcu przysunęła sobie do łóżka fotel, w którym wcześniej

siedział Jaysen, i owinęła się pierwszym ciepłym nakryciem, jakie wpadło jej w rękę. Owym

okryciem okazał się podszyty futrem płaszcz Andreła. Mimo okrutnego zmęczenia,

postanowiła starać się nie zasnąć najdłużej, jak tylko będzie mogła.

Ale mniej więcej o świcie zapadła w drzemkę i obudził ją dopiero dźwięk stłumionego

łkania.

Czym prędzej wyswobodziła się z krępującego ruchy okrycia i pierwszą rzeczą , jaka

ukazała się jej oczom, gdy zdołała wyplątać głowę z fałdów kaptura, był oskarżycielski smutek

w świdrujących ją oczach Vanyela.

- Dlaczego? - szepnął żałośnie. -

Dlaczego nie pozwoliłaś mi tego zrobić?

Savil zrzuciła płaszcz, uniosła się z fotela i powiodła wzrokiem dookoła. Dokładnie

wypełniając jej polecenia, Mardik stał na warcie u drzwi prowadzących do innych pokoi

apartamentu. Donni drzemała, osunąwszy się na podłogę przy wyjściu do ogrodu. Minio iż tym

razem zdawać by się mogło, że prawdopodobieństwo ponownej ucieczki Vanyela jest dość

nikłe, to jednak Savil wołała nie ryzykować. Wszak i poprzednio nikt nie przypuszczał, że

chłopiec zechce się wyniknąć.

Skinieniem głowy dała znak Mardikowi i przesłała mu myślą jeszcze jedno polecenie:

- *Wyjdź, złotko, to delikatna sprawa.* -
A potem delikatnym muśnięciem
myślodotyku

zbudziła Donni. Dziewczyna ocknęła się momentalnie, wzbudzając w ten sposób zazdrość

Savil, bo wyrwanie się ze snu nigdy nie przychodziło jej z łatwością. Donni podciągnęła się w

górze po framudze drzwi za jej plecami i

wraz z Mardikiem i wyszła z pokoju,
zamykając za

sobą drzwi do wspólnej izby.

Savil sztywno uniosła się z fotela; czuła
ból w każdym stawie. Przysiadła na
brzegu

łóżka i ujęła dłonie Vanyela w swoje.
Były lodowate i blade, jakby odpłynęła
z nich cała krew.

- Nie pozwoliłam ci, ponieważ to był
mój obowiązek - odezwała się. -
Ponieważ...

Vanyelu, samozagłada nie jest żadnym
rozwiązaniem; ponieważ straciliśmy już

jedną

ukochaną osobę... i nie mogłam
dopuścić, abyś i ty odszedł...

- Ale ja zasłużyłem sobie tylko na
śmierć... - Jego słabiutki głos załamał
się na ostatnim

słowie.

Unikał jej wzroku.

Wielcy bogowie, co kłębi się w tej
głowie? Co on sobie wmawia?

- Czym? - zapytała głosem, który nawet
w jej uszach zabrzmiał zbyt szorstko. -
Tym, że

popęłniłeś błąd? Bogowie, jeśli za to
miałby grozić wyrok śmierci, to w takim
razie i ja na niego

zasługuję.

Od zimnych dłoni Vanyela marzły jej
ręce, więc spróbowała je rozgrzać
delikatnym

rozcieraniem.

- Posłuchaj, Vanyelu. Wszystkie
nieszczęścia, które nas ostatnio dotknęły
są wynikiem

wielu błędów. To ja popełniłam błąd,
ponieważ powinnam była obserwować
Lendela z większą

uwagą i po śmierci jego brata nakłonić
go do rozmowy z Lansirem. Troska o
jasność naszych

umysłów i prawość naszych serc należy
do obowiązków Lansira. A niech to!
Wiedziałam

przecież, do czego zdolny był Lendel,
gdy szło o Stavena! Na pewno nie
udałoby mu się skryć

tej obsesji przed uzdrowicielem
umysłów! I Lendel popełnił wiele
błędów - bogowie wiedzą,

dlaczego. Powinien był najpierw
pomyśleć, a dopiero potem działać.
Próbowałam go do tego

przekonać. My, heroldowie, uznajemy dowody pochodzące z odczuć zmysłowych!

Wystarczyłoby, gdyby zwrócił się do kogoś z prośbą o wysłuchanie jego argumentów i już

mielibyśmy wystarczające dowody, aby ukrócić knowania Leszarów. To prawda, że i ty

zblądziłeś, ale szedłeś przecież za głosem serca. On potrzebował pomocy, poprosił o nią ciebie,

a ty po prostu udzieliłeś mu jej tak, jak dyktowała ci to twoja dotychczasowa wiedza. A poza

tym, bogowie, nawet Gala popełniła błędy!

Jej głos pod wpływem łez i poczucia winy brzmiał teraz chrapliwie, ale nie wstydziła

się tego przed Vanyelem.

- Van, Van, jesteśmy tylko zwyczajnymi, omylnymi śmiertelnikami... nie świętymi, nie

aniołami... błądzimy, popełniamy błędy, które czasem przyplacamy życiem...
nierzadko

umierają ludzie, których szczerze kochamy...

Zachłysnąwszy się szlochem, opuściła głowę.

Vanyel uwolnił dłoń z jej rąk i nieśmiało dotknął jej policzka. Czując na twarzy jego

lodowate palce, pochwyciła je i ścisnęła, a potem podniosła wzrok i zajrzała w jego oczy. Nim

zdążył je spuścić, dostrzegła w nich coś straszniejszego nawet od rozpacz.

- Myślałeś, że bez ciebie ten świat stanie się lepszy, czyż nie tak?

Skinął potakująco, głupawo, a jego ręce zdrząły w jej dłoniach.

- Nie myślałeś, jak ja się poczuję? Byłeś miłością Lendela. Czyż nie przyszło ci do

głowy, że choćby przez wzgląd na jego pamięć, staniesz się bliski memu sercu?

Jak miała do niego dotrzeć... jeśli nigdy nie radziła sobie zbyt dobrze ze słowami?

- Dziś go pochowałam. Myślałeś, że twój pogrzeb był by mi obojętny? A co z

Jaysenem? Zostawiłam go tutaj, aby miał ciebie na oku. Myślisz, że jest zadowolony ze swej

nieostrożności? Jak ci się wydaje, co by

czuł, gdybyś umarł? A poza tym,
bogowie...

zastanawiałaś się, co zrobiłaby
Yfandes?

- Myślałem... myślałem, że poszuka
sobie kogoś lepszego - wyjąkał drżącym
z lekka

głosem.

- Umarłaby, mój drogi. Towarzysze
nieczęsto żyją dłużej niż ich Wybrani. A
ona

wybrała ciebie. Jeśli umrzesz, to i ona
umrze. Najprawdopodobniej
zmarniałaby i uschła z

tęsknoty, a ona na to nie zasługuje.

Vanyel skulił się, odsuwając się od niej coraz bardziej. Widząc to, Savil przeklęła

niezręczność swych słów. Przeklęła się za to, że nie potrafi przekazać Vanyelowi tego, co

zamierzyła, bez zadawania mu dalszych cierpień.

- Van... och, do diabła... miałam to powiedzieć zupełnie inaczej. Posłuchaj, jesteś chory

i aby wydobrzeć, musisz odpoczywać. Innymi sprawami zajmiemy się później,

dobrze? Po

prostu... nie odchodź jeszcze z tego świata. Jeśli sobie pójdziesz, to w życiu niektórych ludzi

pojawią się ogromne, puste wyrwy. Wiem, bo sama jestem jedną z tych osób.

Vanyel pokiwał głową. Nie wyglądał na przekonanego, ale Savil wykorzystała już całe

zasoby swej skromnej elokwencji i nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Wykorzystała zatem jeszcze jeden

sposób.

Oby tylko udało mi się utrzymać go przy życiu... jeśli to się powiedzie, może będzie

można mu pomóc.

- Czy jesteś gotów dać mi słowo honoru, że nie będziesz próbował zrobić tego jeszcze

raz? Jeśli tak, zaufam ci i nie postawię straży pod twymi drzwiami.

Vanyel przełknął ślinę, wysunął dłonie z jej uścisku i wyszeptał urywającym się

głosem:

- Przysięgam. Słowo honoru. - W dalszym ciągu nie patrzył jej w oczy, ale mimo to

zaufała jego słowom. Skinęła.

- Przyjmuję twoje słowo. A teraz powiedz mi, czy jest coś, cokolwiek, co mogłabym dla

ciebie zrobić? - Może... może chciałbyś porozmawiać?

Potrząsnął głową, Savil wyczuwając, że zupełnie już wycofał się z rozmowy, znów

zakłęła. A niech to, akurat teraz, gdy tak bardzo potrzebuję Lansira, nie ma go

tutaj.

- Na pewno? - Napierała nawet w obliczu klęski. Taką już miała naturę. - Vanyelu...

Vanyelu, tylko tobie Lendel był tak bliski jak mnie. Jeśli... chciałbyś z kimś nad nim zapłakać...

Jeszcze raz potrząsnął głową, unikając jej wzroku, a Savil westchnąwszy, postanowiła

się poddać.

- Gdybyś zmienił zdanie... cóż, odpoczywaj. Zdrowiej szybko i zawołaj, jeśli będziesz

czegoś potrzebował... myślą czy głosem, obojętnie. Usłyszę cię.

Skinął lekko głową, a potem zamknawszy oczy, położył się i odwrócił twarzą do ściany.

Blandość jego twarzy nie odróżniała się od poduszek, na których spoczywała jego głowa.

Zabolał Savil ten zagubiony wyraz jego oczu. Nie odchodziła jeszcze przez chwilę, czekając na

jakąś reakcję, może prośbę, ale na Vanyela spłynął już płytki, niespokojny sen. W końcu

podniosła się, zabrała z fotela płaszcz Andrela i wyszła, zostawiając Vanyela samego.

O zachodzie słońca przyszedł Andrel. Savil zaprosiła go, by mógł odebrać swój płaszcz,

podzielić się z nią przemyśleniami na temat ostatnich wydarzeń i spożyć z nią wieczorny

posiłek. Obydwoje mieli już za sobą wiele takich intymnych kolacyjek, z których większość

odbywała się w tym właśnie pokoju, lecz nigdy dotąd nie towarzyszyło im przy tych okazjach

takie widmo smutku. Tymczasem Mardik i Donni poszli zasięgnąć języka wśród wielbicieli

Vanyela i przeprowadzić staranny wywiad, czy nie istnieje jeszcze jakaś osoba, która mogłaby

okazać się pomocna w wyciągnięciu duszy Vanyela ze stanu zamętu, w jaki niewątpliwie

popadła.

Maska Sokolich Braci wisząca nad lewym ramieniem Andrela nieubłaganie wbijała w

nią beznamiętny wzrok swych pustych

otworów na oczy. Płomienie świec
migotały na stole

pomiędzy dwojgiem biesiadników.

Żadne z nich nie miało siły przełknąć
czegokolwiek z podanej im kolacji;
myślami cały

czas byli przy chłopcu śpiącym za
drzwiami, za plecami Savil.

- Potrzebujemy - zaczęła ponuro Savil,
przymuszając się do jedzenia, które w
ogóle jej

nie smakowało - Lansira. Potrzeba nam
jego umiejętności uzdrawiania umysłów.
Z każdą

chwilą Vanyel coraz bardziej zamyka się w sobie i za nic nie chce mi pozwolić zbliżyć się choć

trochę. Znow buduje dookoła siebie jakąś barierę. Co prawda odmienną od tej poprzedniej,

polegającej głównie na arogancji wobec świata, ale ta różnica nie gra tu żadnej roli, bo i tak

pozostaje faktem, że chłopiec stara się wyizolować. Niestety jednak Lansir na razie pozostaje

nieosiągalny.

Andrel, dziobiąc widelcem na talerzu,

przesuwał kawałki jedzenia z jednego
jego

krańca na drugi. Wreszcie westchnął
ciężko, wprawiając płomyk świecy w
swoisty taniec.

- Muszę się z tobą zgodzić. Ale czy nie
można by sprowadzić Lansira przy
pomocy

Bramy?

Savil potrząsnęła głową, opędzając się
od ogarniającej ją rezygnacji.

Rozmawiała już o

tym z Jaysenem.

- Nie ma mowy, ponieważ nie wiemy nawet, gdzie on może być w tej chwili. Poza tym,

jego zmysł myśloczucia nie jest aż tak silny, by mógł odczytać dalekonośne przesłanie. Nie

jesteśmy też w stanie przewidzieć, jaką obierze drogę powrotną. Istnieje przecież około pięciu

różnych tras. Gdyby coś się stało Elspeth, nikt nie miałby nam za złe wyprawienia na jego

poszukiwania aż pięciu heroldów, ale Vanyel nie jest żadną ważną osobistością. - Jej głos nagle

zabrział zjadliwie. - W każdym razie, tak mi właśnie powiedziano.

Andrel zmarszczył czoło, aż jego brwi połączyły się w jedną kreskę.

- Ale może zostać ważną osobistością. Osłaniam go, jak tylko potrafię, ale

traumatyczne przeżycia ostatniego czasu wciąż znajdują sobie jakieś ujście i rozsiewają smutek

dookoła. Większość uczniów pogрузzyła się w takiej rozpacz, że zaczynają już płakać po

kątach, a najgorzej jest z kandydatami na bardów, uzdrowicieli i heroldów.

Wszystko przez te

ulatniające się wciąż doznania Vanyela.

- A czego się spodziewałaś? -
odparowała, nie ukrywając autentycznej
złości. -

Widziałeś przecież, że jego dary mają
nieprzeciętną moc i głębię. Nawet bez
przygotowania

bezwiednie nadaje dalekonośne
przesłania, a o osłanianiu swego umysłu
wie dokładnie tyle, co

o lataniu! Nie co dzień mamy do
czynienia z przypadkiem, kiedy
połączoną więzami życia parę

rozdziela samobójcza śmierć jednego z kochanków. Toteż nawet staranne szkolenie nie byłoby

w stanie pomóc Vanyelowi zwalczyć tego przenikania jego żalu do serc innych. A jednak nikt

nie chce dać wiary, że dary Vanyela to niezwykła siła. Wszyscy uważają, że poddając się

rozpaczy po śmierci Tylendela, tracę poczucie rzeczywistości i wyolbrzymiam znaczenie

wszystkiego, co miało z nim jakikolwiek związek.

- Na bogów! - Andrel podniósł wzrok
znad talerza, z wyrazem twarzy
upodobniającym

go do przerażonej owcy. - Vanyel i
Tylendel... połączeni więzią życia?

Savil bez entuzjazmu skinęła potakująco.

- Jestem tego niemal pewna. Co gorsza,
także Mardik i Donni to potwierdzają, a
oni,

jako para połączona takimi więzami,
znają się na tym najlepiej.

Spodziewałam się smutku,

żałości - naturalnych reakcji młodego
chłopca, który w bardzo nieprzyjemnych

okolicznościach stracił swego
pierwszego kochanka. Nie
przewidziałam, że zobaczę rozpacz i

zdruzgotaną psychikę. Nigdy nie
zetrzymałam się z tak głębokim uczuciem u
żadnego herolda, z

wyjątkiem oczywiście Mardika i Donni.
A zatem powiedz mi, jak, do diaska,
radzić sobie z

przerwaną więzią życia?

Andrel potrząsnął głową; był wyraźnie
zbity z tropu.

- Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie znam
odpowiedzi. Nie uzdrawiam umysłów,

uzdrawiam ciała. I nie znam nikogo, kto potrafiłby uleczyć serce.

Savil westchnęła i spuściła oczy na zakrzepłe, zimne jedzenie na talerzu.

- Obawiałam się, że to właśnie mi powiesz. W dodatku mamy jeszcze jeden problem: w

ich związku Lendel był przywódcą, Vanyel zaś był tym, który się podporządkowywał. Vanyel

całkowicie się od Lendela uzależnił emocjonalnie. Próbowałam przestrzegać Lendela przed

tym, ale... - Wzruszyła ramionami. - Na

domiar złego Vanyela przygniata okrutne
poczucie

winy i chłopiec nie pozwala wybić
sobie z głowy przeświadczenia, że to on
skazał na śmierć

Lendela, ponieważ go uwiódł. Pozwolę
sobie zauważyć, że o ile mi wiadomo,
nikt tutaj nikogo

nie uwiódł, a jeśli uwiódł, to zrobili to
obaj jednocześnie. Ale... cóż.

- Jaysen - stanowczym głosem rzucił
Andrel. Skinęła.

- W rzeczy samej, mój drogi przyjacielu.
Jaysen nie potrafi zerwać ze swymi

uprzedzeniami względem związków ludzi tej samej płci, które wyniósł z Klejmaru. Za-

akceptował Lendela dopiero po tym, jak rzuciłam mu prosto w twarz, że jest nietolerancyjny.

Ale Vanyel? Gdy zeszli się z Lendelem, nie był nawet kandydatem na herolda. Jays nie

powiedział co prawda ani słowa, lecz nietrudno się domyślić, o czym dumał siedząc przy jego

łóżku.

- A Vanyel to podchwycił - rzekł Andrel

ze smutkiem.

- Prawdopodobnie. - Wzięła kęs jedzenia, ale czując, że zimna papka utknęła jej w

gardle, zrozumiała, że nie jest w stanie nic przełknąć i odsunęła talerz.

- Z tego, co zauważyłam, wnioskuję, że Vanyel potrafiłby wyciągnąć z pamięci

człowieka rzeczy, do których ten nie powracał latami, a osłony nie stanowiłyby wtedy żadnej

przeszkody. Ach, na bogów.

Oparła łokcie na stole i zakryła rękami

zmęczone oczy. Po chwili poczuła na głowie

dłoń Andrela delikatnie głaszczącą jej włosy. Położyła ręce na stole i zatopiła spojrzenie w

swym przyjacielu. W jego nieruchomych zielonych oczach, patrzących na nią przez płomienie

świec, odbijała się głęboka troska.

- A ty? - zapytał nieomal szeptem.

- Staram się dotrzeć do niego - odparła bliska rezygnacji, czując się nagle stara i umęczona. - Zdołałam nawet przekonać

samą siebie, że Vanyel za nic nie ponosi
winy większej

niż ktokolwiek inny. I mam nadzieję, że
to prawda, bo inaczej nawet ja go nie
oszczędzę. A on

przecież nie zasługuje na to. Co do
reszty spraw... bogowie, nie mam
najmniejszego pojęcia,

jak postępować.

- Nie o to pytałem - powiedział, biorąc
ją za rękę. - Chcę wiedzieć, jak to
znosisz. Może

potrzebujesz wsparcia?

- Chcesz znać prawdę? - Drżała już na całym ciele, ze wszystkich sił powstrzymując się

od krzyku. - Tak, potrzebuję wsparcia i nie, nie znoszę tego dobrze. Tak bardzo bym pragnęła,

by wrócił Lendel, Andrelu, on był mi jak syn, jak syn mojej duszy, kochałam go i chcę go mieć

z powrotem przy sobie.

Głos jej się załamał, porzuciła wszelkie pozory opanowania i zalała się łzami.

Andrel

wstał, powoli, nie wypuszczając z ręki

jej dłoni, obszedł dookoła stół, pomógł
jej podnieść się i

podprowadził do kanapy. A potem już
tylko dołożył wszelkich starań, by
przekonała się, że nie

musi zmagać się ze swymi problemami
w samotności.

Spokojem nocy nieoczekiwanie
wstrząsnął rozdzierający serce lament.
Vanyel wił się

w konwulsjach...

Jego krzyk, podobny do ryku
umierającego zwierza, zjeżył włos na
głowie Savil.

Drgawki wstrząsały całym pokojem.
Ściany dygotały szarpane skurczami
mięśni

chłopca.

Szeroko rozwarte oczy nic nie widziały,
źrenice rozszerzył strach. Vanyel
szarpnął się

ponownie, a wraz z nim pałac zatrzęsł
się w posadach. Łóżko podskoczyło,
jakby nagle ożyło.

Lutnia zawieszona na ścianie spadła z
trzaskiem, który przekreślił wszelkie
nadzieje na

reperację. Stojak na zbroję runął, a

części ekwipunku rozsypały się po całym pokoju. Savil

stojąca przy łóżku Vanyela padła na podłogę prędzej, niżli zdążyła się zorientować, co się

dzieje.

Szybko jednak dźwignęła się na równe nogi i nie zważając na zagrożenie i sińce,

jeszcze raz rzuciła się na Vanyela.

Ten szarpał się na wszystkie strony, okładając ją z nie ludzką siłą. Nie wiedział już,

gdzie się znajduje ani kim jest. Miotał się tylko w niewyobrażalnej męczarni, pod której

powłoką Savil wyczuła ból, dezorientację i panikę zwierzęcia w potrzasku. Chwyciła go za

nadgarstki i spróbowała przycisnąć je do poduszki, a potem przydusiła kołdrą jego samego.

Wygiął się w łuk, z jego gardła dobył się wrzask, a ścianami wstrząsnął jego skurcz.

Mardik, nieprzytomny, leżał w rogu pokoju. Donni, trzymając jego głowę na kolanach,

osłaniała go własnym ciałem przed spadającymi na nich przedmiotami. Kiedy zaczął się

koszmarny sen Vanyela, Mardik popełnił ten drobny błąd i próbował dotrzeć do jego umysłu,

by wyrwać go ze snu. Wtedy niespodziewanie Vanyel rzucił nim o ścianę.

- *Donni...* - Savil wykorzystała chwilę ciszy, aby porozumieć się myślą ze swą

podopieczną. Zrobiła to odrywając drobnutką cząstkę uwagi skupionej na próbie - próbie, gdyż

nie przynosiła ona żadnych rezultatów - osłaniania Vanyela i zapanowania nad nim w

jakikolwiek sposób. - *Donni, co z Mardikiem?*

- *Nic poważnego, jest tylko ogłuszony - zapewniła dziewczyna. - Mogę użyzyć ci*

trochę mojej siły. Chwytaj, prędko...

Donni “rzuciła” jej wiązkę myśli, a gdy tylko Savil “pochwyciła ją”, zaczęła przesyłać

dodatkową porcję niezbędnej energii.

Niestety pozwoliła ona jedynie utrzymać przytomność Savil po straszliwym smagnięciu

bicza rozszalałych zmysłów Vanyela.

Z pomocą nadbiegał Jaysen. Savil poczuła, że próbował rozeznać się w sytuacji i

zauważyła panikę ogarniającą jego umysł, gdy zorientował się, że próbują właśnie okiełznać

obdarzonego wielką mocą chłopca, uwięzionego w pułapce żalości i halucynacji. Wyłamał

drzwi, aby dostać się do pokoju, i bez

chwili zastanowienia rzucił się w wir walki.

- Do diabła, osłaniaj go - krzyczał, skacząc na nogi Vanyela. Ściany, choć już nie cały

budynek, zatrzęsły się ponownie.

- Właśnie usiłuję to robić - rzuciła. Ponechała teraz wszelkich wysiłków, by utrzymać

pod sobą całe ciało Vanyela, i ograniczyła się do samych rąk. - Niszczy moje osłony szybciej,

niż ja nadążam je wznosić!

Jaysen, dużo cięższy od Savil, zdołał unieruchomić całe ciało Vanyela. Zaraz potem

dołączył do Savil i Donni, wspomagając ich beznadziejne zabiegi w celu osłaniania chłopca.

Ale i to na nic się zdało. Ich panowanie nad chłopcem słabło z każdą chwilą, a sam Vanyel

oddalał się, coraz bardziej pograżając się w swym koszmarze.

Wpadł Andrel. Savil nie zauważyła nawet, gdy pojawił się w pokoju. Po prostu nagle

wyrósł przed nią i zamiast natychmiast
rzucić się w zamęt oszalałej walki,
począł odrywać ich

ręce od ciała chłopca.

Sięgnął po coś stojącego na podłodze,
uniósł wiadro z lodowatą wodą i bez
chwili

wahania chlusnął ją wprost na Vanyela.

Ten momentalnie wyrwał się ze snu i
konwulsje ustały.

Usiadł... rozejrzał się... i padł bez
czucia.

Ściany uspokoiły się.

- Savil, przynieś koc - rozkazał Andrel cichym głosem. - Jaysen, pomóż mi zabrać go z

tego mokrego łóżka, nim wpadnie w szok, a potem zdejmij pościel, aby nie nasiąkł materac.

Nim Savil powróciła z pledem, który porwała ze swego łóżka, dwaj mężczyźni

dźwignęli nieprzytomnego chłopca z przemokniętej, rozwichrzonej pościeli, którą Jaysen zaraz

zrzucił na podłogę. Teraz Andrel potrząsał ramionami chłopca, a Jaysen podtrzymywał go.

Za ich plecami Mardik podnosił się na swe rozdygotane kolana przy pomocy Donni,

która starała się go podeprzeć. Savil postąpiła krok w ich stronę, ale natychmiast ujrzała ich

gesty wskazujące, by nie zaprzętała sobie nimi uwagi.

- *Mc nam nie jest* - rzuciła Dormi. - *Sama zaprowadzę Mardika do łóżka, a potem*

wrócę, żeby posłać łóżko Vanyela,

Ufając słowom Donni, która bez wątpienia poprosiłaby o pomoc, gdyby

nie miała

pewności, że sprosta sytuacji, Savil
zajęła się na powrót Vanyelem.

- Vanyelu, zbudź się - mówił
pieszczotliwie Andrel. - No dalejże,
chłopcze, wróć do

nas. Zbudź się, wyrwij się z tego.

Powieki chłopca drgnęły, potem
mrugnęły, oczy znów nabrały ludzkiego
wyrazu.

Ogarnął wzrokiem pokój, zrazu zdawał
się być zbity z tropu, ale po chwili zdał
sobie sprawę, że

otaczające go zniszczenia są jego dziełem. Zamknął oczy i z jego gardła wydobył się ledwie

słyszalny, łagodny jęk.

W tej samej chwili Savil poczuła, że przygniatają brzemie wszechogarniającej

rozpaczy, potwornego poczucia winy i smutek tak wielki, że nogi ugięły się pod nią, jakby pod

przemocnym ciężarem.

Wtem wszystko urwało się, a nastąpiło to tak szybko, że przez moment wątpiła nawet,

czy odczucie sprzed chwili było
rzeczywiste.

Lecz wystarczyło jedno spojrzenie na
Andrela i Jaysena, by przekonała się, że
jednak

było. Obaj stali jak wryci; Andrel był
wstrząśnięty, z warg Jaysena odpłynęła
krew.

Spodziewała się czułości i troski ze
strony Andrela, lecz

- ku jej zaskoczeniu - to Jaysen ostrożnie
posadził chłopca w fotelu i owinął
pledem, a

później, gdy Donni na nowo posłała

łóżko, położył w suchej pościeli. To Jaysen został przy

nim, by Savil mogła pójść sprawdzić, czy Mardikowi rzeczywiście nic nie jest. Savil jednak nie

była w nastroju, by wypytywać go o tę odmianę w jego sercu.

Okazało się, że Mardik jest cały, zdrow i nawet dość wesół.

- Będę miał potworny ból głowy - powiedział. - Biedny Vanyel myślał, że chcę go

uśmiercić, wziął mnie za swego wroga ze snu. Kiedy się zorientował, że to

tylko sen,

zrezygnował...

- Zrezygnował? - Savił zakrztusiła się, tłumiąc śmiech.

- Zwalił cię z nóg, a ty mówisz, że zrezygnował?

- Prawie. - Mardik przyłożył sobie dłonie do skroni i począł je masować. - Cóż, gdy

cofnął cios, nagła fala mocy zalała rozognione kanały przepływu jego energii, zadając mu ból i

stracił panowanie nad wszystkim.

Wtedy, tak mi się przynajmniej wydaje,
zatracił się zupełnie

w swoim cierpieniu. Andrel miał dobry
pomysł - szok fizyczny pomógł mu
uchwycić się

czegoś.

- Ale tobie nic nie jest?

Mardik uśmiechnął się zawadiacko.

- Jeśli pozwolisz mi trochę pospać...

Savil potraktowała jego słowa jako
niezbyt taktownie wyrażoną prośbę i
szybko

opuściła pokój.

Powróciła do pokoju Vanyela w chwili, gdy Andrel właśnie dawał chłopcu do wypicia

jakiś środek uspokajający. Ale znów Jaysen pozostał przy chłopcu aż do momentu, gdy

lekarstwo zaczęło działać. Także on postawił na miejsce stojak na zbroję i z grymasem smutku

na widok ruiny pięknego instrumentu podniósł z podłogi rozbitą lutnię.

- Zajmę się nią, jeśli w ogóle można ją jeszcze naprawić - powiedział, widząc

przyglądającą mu się Savil. Savil
wygasila ogień na kominku. Nie
odważyliby się zostawić

śpiącego Vanyela w pokoju z choćby
jedną zapaloną świecą, więc o
rozpalaniu kominka nie

było mowy. Chyba że Andrel znajdzie
jakiś sposób, by powstrzymać chłopca
przed kolejnym

atakiem.

- Jaysenie, co ja mam z nim począć? -
zapytała cicho, podnosząc się znad
kominka.

Skrzywiła się, czując nagle skurcz

mięśnia, przypominający jej, że nie powinna była się

schylać. Jays skinął ku niej, wskazując, by wyszła z nim na zewnątrz. Idąc obok niego, Savil

zwróciła ku niemu twarz. - Jest pod wpływem szoku i jego stan pogarsza się, zamiast polepszać.

Jego kanały przepływu energii są zupełnie nieprzystosowane do takich napięć. Nie można

porozumieć się z nim zmysłem myśloczucia bez przyprawiania go o wstrząs, zaraz popada w

konwulsje. Właśnie tak się dziś zaczęło. Mardik chciał go tylko wyrwać ze złego snu. Jak mam

postąpić następnym razem, gdy nawiedzą go koszmary?

Jaysen był bezsilny, wzruszył ramionami i zamknął za nią drzwi. Obeszła wspólną izbę,

wstawiając świece do lichtarzy i zapalając je.

- Jeśli ty nie umiesz mi poradzić, skąd, u diabła, mam się tego dowiedzieć? Andy, czy

możemy poddać go działaniu środków

uspokajających na cały okres rekonwalescencji?

Na twarzy Andrela pojawił się grymas. Wyglądał, jakby przełknął właśnie coś gorzkiego.

- Gdyby chodziło o innego pacjenta powiedziałbym ci, co możesz zrobić z takim

pytaniem. Właśnie zaaplikowałem chłopcu argonel.

Jaysen i Savil zamarli ze zdumienia. W przypadku Savil zdumieniu towarzyszył szok.

- Wielkie nieba, Andy!

- Uspokój się, nic mu nie będzie -
przerwał jej Andrel, rzucając się na
kanapę ze swym

zwykłym brakiem dbałości o meble.
Wydał jakiś nieokreślony pomruk,
przeciągnął się i

spojrzał spod oka na herolda
Kasztelana. - Jaysenie, czy mogę
nadmienić, że masz urocze nogi?

Jaysen odziany tylko w koszulę i
pończochy, dopiero teraz zdał sobie z
tego sprawę i na

jego twarz wypłynął dorodny rumieniec.

Nie pozwolił jednak Andrelowi zbić się z pantałyku.

- Argonel, Andy... - zaczął, usiadłszy na fotelu z pruderyjnie skrzyżowanymi nogami.

- Chłopiec spala lekarstwo w dość szybkim tempie. Inaczej nie podałbym mu go -

odparł Andrel. - Dobroczynność tego leku polega na tym, że jest on jednocześnie środkiem

uspokajającym i rozluźniającym. Nie zagrażają Vanyelowi już żadne drgawki, nawet jeśli

spróbujesz porozumieć się z nim za pomocą myśloczucia. Trudno mi odpowiadać za ruszanie z

posad całego pałacu, ale z pewnością nie grożą mu już konwulsje. Jeśli zaś idzie o jego

rekonwalescencję, wszystko zależy od tego, co rozumiesz przez to słowo.

Savil zajęła miejsce w fotelu, zagłębiając się weń z rumorem podobnym temu, który

wydobył się przed chwilą, kiedy Andrel opadł na poduchy kanapy.

- Powrót do sił fizycznych - rzekła

sucho. - Czyste fizyczne podejście.

Objawy szoku,

wyczerpania, utrata krwi. O

nieprzystosowane kanały będą się
martwić później.

- Rzeczywiście mogę podtrzymać
działanie środków uspokajających
dotąd, dokąd

będą utrzymywać się objawy szoku, na
czas powrotu do sił fizycznych i
wyrównania utraty

krwi. Mogę łączyć argonel z
herwawinem i stłumić działanie
wszystkich zmysłów związanych

z darem na tyle, by nie reagowały na bodźce. To może pomóc w zaleczeniu kanałów, jednak nie

daję za to głowy. Nigdy nie widziałem i nie czytałem o takim przypadku, żeby rozerwały się

wszystkie kanały naraz, jak u niego.

- A umysł? - naciskał Jaysen, marszcząc czoło. - A uczucia?

- Przy obecnym stanie rzeczy wątpię, czy nawet Lansir potrafiłby mu pomóc - ze

smutkiem odparł Andrel. - Obydwoje czuliście...

Jaysen ponuro pokiwał głową.

- Myślę... zdaje się, że mnie udało się wyczuć nawet troszkę więcej niż wam -

powiedział. Na jego twarzy mignął cień poczucia winy. - On jest przekonany, że wszystko,

czego dotyka, zostaje potępione, skazane na zagładę przez to, że on i Lendel byli...
A ja wiem,

skąd przyszedł mu do głowy ten niemądry wniosek, który teraz przestał być tylko niemądry. To

przeświadczenie stało się jego obsesją, podobnie jak było obsesją Tylendela.

Zwiesił głowę, nie miał odwagi spojrzeć Savil prosto w oczy.

- Nie przypuszczałem... - zająknął się. -
Nie wiedziałem... wydawało mi się, że
tylko

wykorzystał... Savil nie miała ochoty na
miłosierdzie.

- Rzeczywiście, nigdy nie myślałeś -
wybuchnęła. - W ogóle ci to nie przyszło
do

głowy ! Och, ty i te przekłete
prowincjonalne...

- Savil - ostrzegł ją Andrel i
przekręcając głowę lekko w bok,

pokiwał nią, wskazując

na drzwi prowadzące do pokoju
Vanyela.

Zamilkła. Gdyby wpadła w złość,
Vanyel mógłby to odczuć, a wtedy
groziłby mu

kolejny atak.

- Wybacz, Jays - powiedziała w końcu z
urazą w głosie. Wcale nie chciała go

przeprosić.

- No, przynajmniej ty nie postarałaś się,
by ktoś podciął sobie żyły -
odpowiedział

Jaysen rozgoryczony. Skrzywiła się.

- Nie... ja tylko... do diabła, w ten sposób nic nie zdołałyśmy. Andy, uważasz, że możesz

przywrócić zdrowie jego ciała, czy tak?

Płomyki świec odbijały się w jego oczach, które zdawały się być zwrócone raczej ku

jego duszy niżli na zewnątrz.

- Można tak powiedzieć, ale z wielką ostrożnością.

- Zajmijmy się więc tym przez następnych kilka dni. Mam pewien plan,

lecz jego

powodzenie zależeć będzie przede wszystkim od tego, czy uda ci się przywrócić go do takiego

stanu, aby mógł jeździć konno.

- Jeśli nie dam rady dokonać tego w ciągu najbliższych tygodni, to już nigdy nie będzie

to możliwe - odparł Andrel.

- A jaka jest nadzieja, że znajdziemy sposób, aby przekonać go, by przestał się od nas

izolować... albo przynajmniej pomóc mu

okiełznać swą własną moc?

Andrel zamyślił się nad jej pytaniem, słuchając przez chwilę ognia trzaskającego na

kominku.

- Zapytajcie swych Towarzyszy. Vanyel może izolować się przy tobie, lecz wątpię, by

zdołał ukryć cokolwiek przed Yfandes.

Savil przycisnęła dłoń do oczu i potrząsnęła głową.

- Bogowie, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? - I w tej samej chwili

zawołała:

- *Kellan?* - Wiedziała, że Jaysen robi to samo, porozumiewając się z Felar.

- *Słucham* - Usłyszała niemal natychmiast.

Savil przedstawiła jej cały problem w jednej zawiąlanej wiązce myśli i odczekała, aż

Kellari zdoła wszystko rozplatać i - najprawdopodobniej - skonsultować się z Felar i Yfandes.

- *Yfandes mówi, że ich więź jest jeszcze słaba.* - Usłyszała odpowiedź, wyraźnie

pobrzmiwającą troską. - *Wciąż
pulsuje, słabnie i rośnie na przemian...
a czasem nawet*

*rozmowa z Yfandes sprawia Vanyelowi
ból.*

- *Czy można temu jakoś zaradzić?* -
Nieoczekiwanie przerwał ich naradę
Jaysen.

Gdyby nie napięcie spowodowane
trudnym problemem, Savil z pewnością
nie byłaby w stanie

pochwycić jego myśli w trakcie
rozmowy z Felar, ale obecna sytuacja
była wyjątkowa. Myśli

Felar przepływały teraz ku niej przez Jaysena.

- Może pomóc tylko kontakt fizyczny - odrzekła Felar.

Kellan zgodziła się.

- Jak najbardziej intensywny. Więź wzmacnia się, gdy Wybrany przebywa ze swym

Towarzyszem. Teraz jednak Yfandes nie jest jeszcze zdolna pomoc chłopcu zapanować nad jego

czynami.

- A gdy więź umocni się? - spytał

Jaysen.

- *Może wtedy* - odparła Felar.

- *Więc jest nadzieja* - dodała Kellan.

Jaysen odwrócił twarz ku Savil i z drugiego końca pokoju przerzucił na nią swe posępne

spojrzenie, zapiając je w głębi jej zatroskanych oczu. Pokiwał głową. W tej chwili pozostaje im

tylko zadowolić się cieniem nadziei, choćby nawet najbardziej nikłym.

Ból ustąpił. Ognista mikstura podana przez rudowłosego uzdrowiciela

zdawała się koić

cierpienie. Vanyel wciąż odczuwał wszystko, co tak bardzo szarpało go wewnątrz i paliło, lecz

był to już ból tak dalece wyciszony i odległy, jakby należał do kogoś innego. Wszystko nagle

straciło znaczenie i nie potrafił skupić na niczym uwagi dłużej niż przez kilka sekund.

Tylko pustka w sercu pozostawała wciąż ta sama, jak jątrząca się rana, której bólu nie

uśmierzą specyfiki uzdrowiciela. To

miejsce, które kiedyś zajmował
Tylendel... a teraz...

Na szczęście lekarstwa sprowadziły sen,
długi sen bez snów. Śniegowy koszmar

nawiedził go już wcześniej. To on
sprowadził nań ów napad szału.

Och, bogowie... myślał, że... myślał, że
ten straszny sen dawno się już skończył,
że

Lendel rozpędził go na cztery wiatry.

Pojawił się jednak nowy, w którym nie
było już lodowej pułapki, więc może
jednak

Lendel...

A może wcale nie. Nie wiadomo. W każdym razie ten ostatni sen różnił się od poprzednich. Był wyraźny i żywy, jak żaden inny; bardziej rzeczywisty przez mnogość szczegółów.

Vanyel znalazł się na dnie kanionu, wąziutkiego przesmyku pomiędzy zadziwiająco

wygładzonymi ścianami skał. Wiedział, że nie jest to prawdziwa przełęcz - że powstała za

sprawą magii.

Wiedział też, że była to zła, podstępna magia, żerująca na bólu i śmierci, że każdy

centymetr tego kanionu wzniesiono, przelewając ludzką krew.

Dookoła panowała czarna noc. Na niebie kłębiły się chmury, a wiatr przynosił zapach

śniegu. Vanyel stał pośrodku gwałtownego przewężenia doliny, w miejscu często

nawiedzanym przez lawiny. Choć na ramionach czuł ciężar futrzanego

płaszcz, marzył coraz

bardziej, a jego stopy stały się niczym
bryły lodu u podnóża skalistych ścian
kanionu.

Gdy tylko zorientował się, że przesmyk
jest tak wąski, iż przejść przez niego
mogą

jednocześnie tylko dwie osoby, ogarnęło
go uczucie ponurej satysfakcji.

Wiedział, że owo

przewężenie jest jego własnym dziełem,
że stworzył w ten sposób miejsce, gdzie
jeden

człowiek będzie mógł powstrzymać

napór całej armii.

A właśnie nic innego, tylko wielka armia szła wprost na niego korytem kanionu.

Posłał po posiłki, po Yfandes i Tylendela...

Tylendela? Ależ on nie żyje...

...lecz doskonale wiedział, że pomoc nie nadejdzie na czas.

Wyczekał moment, kiedy - nie spodziewając się niczego - byli już bardzo blisko. Czuł,

że siłą własnej woli sprawia, iż w ogóle

go nie widzą. Wtedy wznosił wysoko w górę swe prawe

ramię i rozpalił je magicznym światłem o jaskrawości, której potęga przełamała pierwsze

szeregi straszliwej armii, zamieniając je w czarne cienie. Zagradzał im drogę - tylko na tym

polegało jego zadanie.

Stali przed nim żołnierze uzbrojeni po zęby, dźwigający swe czarne, matowe pancerze z

wysiłkiem nie większym, niż Vanyel nosił swój płaszcz z białego futra. W

dłoniach dzierżyli

długie pałasze i proste, okrągłe tarcze z tego samego co zbroje materiału. Co do reszty, sądząc

po ubraniach wyzierających tu i tam spod pancerzy i płaszczy ich okrywających, była to zwykła

zbieranina przypadkowych ludzi. Ich ociężałe ruchy i niedbałość o porządek w szyku, nasunęły

Vanyelowi skojarzenie z Jervisem. Zdawało się, że szkolila ich ręka pozbawiona litości

bardziej nawet niż ciężka łapa

fechtmistrza z Forst Reach.

Wlepili w niego nieruchome oczy.
Żaden z nich nawet nie drgnął.

Wreszcie pierwsze szeregi rozstały się
i wyszedł przed nie czarownik.

Wszak w istocie był to czarownik.
Vanyel czuł bijącą od niego moc. Lecz
moc ta

poходила od tych samych sił, które
wycięły ten kanion, które żywiły się
śmiercią. Jeśli Vanyel

zdoła zgładzić czarownika, razem z nim
zniszczy całą tę piekielną moc. Vanyel
miał za sobą

wszystkie siły życia, moc śpiącej ziemi i szumiącego lasu...

Rozpostarł ramiona i uwolnił życiodajną energię, która spływając od niego, utworzyła

barykadę w poprzek doliny...

...niczym w poprzek serca...

...i osłonę, za którą schronił się sam Vanyel. Stał teraz twarzą do czarownika, z dumnie

uniesioną głową; każdym drobnym gestem wyzywał go, zachęcając do zbliżenia się.

Lecz szeregi wojowników rozstały się ponownie i do czarownika dołączył następny

mag, a potem jeszcze jeden. Vanyel poczuł, że serce zamiera mu na myśl o wyroku śmierci

wpisanym w zbliżający się pojedynek.

Wciąż jednak nie ustępował...

Aż do momentu, gdy Mardik musnął jego zmysły.

Jakże bolesny był ten delikatny dotyk, niczym garść soli sypnięta wprost na jątrzącą się

ranę. Wziął ten dotyk za atak czarowników i odparł cios, tak by zabić. I dopiero gdy uderzył,

zrozumiał, że...

...to sen, och, bogowie... sen, to nie rzeczywistość, to Mardik...

I wtedy próbował zahamować uderzenie. Udało się, lecz cała, ogromna przecież,

energia ciosu spłynęła z powrotem na niego samego, zalewając wielką falą rozpalone, poroz-

rywane kanały jego nowych zmysłów, które nawet na najmniejszy bodziec

reagowały bólem

nie do zniesienia. Starał się
powstrzymać tę falę, ale bezskutecznie.
Porwał go szal rozpaczy,

której nie potrafił już okiełznać i
zupełnie stracił kontakt z
rzeczywistością. Vanyel nie wiedział
już, gdzie jest ani co się z nim dzieje.
Całe jego ciało, cały umysł rozrywał
potworny ból.

Uwięziony w potrzasku piekielnej
tortury, wił się w konwulsjach i krzyczał
co sił, choć wie-

dział, że i tak nikt jego wołania nie

słyszcy. Raptem... zatracił zupełnie
poczucie własnego ciała,

nic już nie słyszał i nie widział. Szedł na
dno morza męczarni...

Na raz szok... jak nokaut...

Poczuł, że próbuje złapać oddech, że
jest znów w swym ciele,
przemarzniętym na

wskroś, utrapionym zwykłym
cierpieniem.

Potem zemdlał na chwilę i powrócił do
rzeczywistości w ramionach mówiącego
coś i

potrząsającego nim uzdrowiciela.

Był przemoczony i odrętwiały z zimna.

A Mardik? Co z Mardikiem? - pomyślał.
Słaniał się na nogach, podtrzymywany
przez

uzdrowiciela Jaysena...

Tylendel nie żyje, leży u stóp Jaysena.
To przeze mnie, och, bogowie, to moja
wina...

Żal znów zatopił w nim swe szpony, ale
gdzieś na dnie serca odezwała się
świadomość,

że jego ból dotyka ich wszystkich, że oni

wszyscy cierpią jego męczarnie. Wtedy odciął się...

Po chwili w niezmaconej ciszy jego oziębiałego umysłu rozległ się pełen udręki ton

myśli Jaysena, tak wyrazistych, jakby ich autor szeptał wprost do ucha Vanyela.

- Bogowie... o bogowie, nie wiedziałem, nie miałem pojęcia... myślałem, że Tylendel był

dla niego tylko zabawką, myślałem, że... och, bogowie, co ja narobiłem?

Vanyel wzdrygnął się przed tym objawem współczucia ponieważ.

Słowa Jaysena

zasyczały w jego sercu niczym kwas rozlany na najboleśniejże rany, z bezwzględnością

urywając kontakt.

Potem zaaplikowano mu miksturę, która spowiała całe ciało w odrętwieniu.

Dryfował

swobodnie i nic nie zaprzętało już jego uwagi, nawet troska o Mardika. Otulił go czarny mrok,

nie pozostawiono mu nawet jednej świeczki w pokoju, czyniąc zresztą dość rozsądnie, jeśli

wziąć pod uwagę? okoliczności. Gdzieś tam błędziły strzępy myśli, to głos Savil, Jaysena

(przybity poczuciem winy, choć Vanyel nie mógł pojąć, dlaczego), to znów Mardika.

Usłyszawszy tego ostatniego, Vanyel poczuł, że wielki kamień spada mu z serca. Nie

zabiłem go... dzięki bogom, nie zabiłem go - pomyślał.

Odpływał coraz dalej i dalej, aż urwały się wszelkie dźwięki, rozpięzchły myśli.

Pozostał tylko sen i smutek, który nigdy, przenigdy go nie opuszczał.

U drzwi prowadzących do ogrodu stała Savil. Oparłszy się jedną ręką o framugę,

pogrążyła się w modlitwie. Nieczęsto to robiła, podobnie zresztą jak większość heroldów.

Modlitwa zwykle łączy się z zanoszeniem do boga jakichś próśb, a heroldowie należą do osób,

które niechętnie szukają pomocy u innych, zwracając się o nią dopiero wtedy, gdy wyczerpią

się wszelkie nadzieje.

W końcu i w życiu Savil nadszedł taki moment.

Zaraz za progiem, oparty o bok leżącej Yfandes, drzemał Vanyel, otulony pościelą i

pledami. Lekarstwa Andreła wciąż utrzymywały go w stanie tępego oszołomienia. Na dwór

wyniósł go Jaysen, używając do tego celu najdelikatniejszego sposobu, czyli siły woli. Otoczył

przy tym własne myśli osłoną tak szczelną, by nic nie zakłóciło spokoju

śpiącego chłopca. Nim

wypalą się następne dwie miarki
świacy, Jaysen przyjdzie znów, tym
razem po to, aby

przenieść chłopca z powrotem do łóżka.
Dzień był zbyt chłodny, by Andrel mógł
zezwoić na

dłuższe spotkanie z Yfandes. To już
trzeci raz Vanyel i jego Towarzysz
mogli spędzić ze sobą

parę chwil. Ostami kryzys nie powtórzył
się co prawda, lecz obawa, że w każdej
chwili może

nastąpić nieoczekiwany wybuch, co noc

spędzała Savil sen z powiek.

Vanyel westchnął przez sen i wyciągnąwszy spod kołdry rękę, pogładził szyję Yfandes.

Ona zaś, w odpowiedzi na jego pieśczętę, trąciła nozdrzami ucho Vanyela, który nie stroniąc

już od czułości, wtulił się jeszcze bardziej w jej ciepło.

Ledwie Savil zdołała nacieszyć oczy owymi pierwszymi objawami rozkwitu więzi

między chłopcem a jego
Towarzyszem, błogą ciszę zmaćciło

gwałtowne pukanie do drzwi.

Odwróciła się i posłyszała kroki Donni, biegnącej przez wspólną izbę. Potem dało się słyszeć

jakieś odgłosy rozmowy, lecz zbyt przytłumione, by można je było rozróżnić.

Głos za drzwiami nabrał wyrazistości.

- Proszę, jestem siostrą Vanyela...
pozwól mi choć pomówić z ciocią...

Savil natychmiast ruszyła się z miejsca i szybko przemierzywszy pokój, otworzyła

drzwi. Tylko jedna z sióstr Vanyela mogła zawitać w te progi w tak nieoczekiwanym

momencie, oczywiście ta, która przebywała pod opieką na dworze lorda Coreya,

przygotowując się do służby w Gwardii.

- Wpuść ją, Donni - powiedziała Savil, mrugając powiekami w zdumieniu.

Dziewczyna stojąca w drzwiach mogłaby być nią samą w wieku siedemnastu czy osiemnastu

lat.

Niech bóg ma ją w swej opiece... nic
dziwnego, że wybrała Gwardię -
pomyślała. - Nie

oszczędziła jej natura, przydając ten nos
Ashkevronów.

To samo spostrzeżenie najwyraźniej
przemknęło przez myśl dziewczyny.

- To ty musisz być moją ciotką Savil -
powiedziała bezceremonialnie, stojąc
ciągle na

progu. - Poznałam cię po nosie. Jestem
Lissa. Czy mogę mu jakoś pomóc?

Savil z miejsca spodobała się ta szczerą,
prostolinijna dziewczyna.

- Może, jeszcze nie wiem - odparła. -
Najpierw, Lisso, wejdź i opowiedz mi,
co już

wiesz.

Lissa wzdrygnęła się i odwróciła wzrok
od drzwi ogrodowych.

- Wygląda, jakby go kto przeciągnął
przez dziewięć piekieł - powiedziała.

- I tak jest już lepiej niż trzy dni temu -
odparła Savil. Chciała dodać coś
jeszcze, ale

przerwało jej następne pukanie do drzwi
apartamentu. Gdy Donni otworzyła, uszu
Savil

dobiegł znajomy, grzmiący głos.

- Co to znaczy zajęta? - warczał lord Withen Ashkevron. - Nie po to zajeżdżani swego

najlepszego konia, żeby mnie odprawiono z kwitkiem. Mów mi tu zaraz, gdzie ona jest.

Savil, z Lissa u swego boku, podeszła do drzwi, pchnęła je i stanęła twarzą w twarz z

Withenem. Naprężona jak struna, z lekko rozstawionymi nogami i rękoma założonymi na

piersi, prezentowała się nader groźnie.

- Czego chcesz, Withenie? - rzuciła sucho, wbijając w niego zwężone gniewem oczy.

- A czego ja, u diabła, mogę chcieć? - huknął, ignorując zupełnie obecność Lissy i

Donni. Wręcz buchał wściekłością; wziął się pod boki i stanął w rozkroku. - Chcę się

dowiedzieć, co wyrabiasz z chłopakiem, którego ci oddałem na wychowanie! Przysłałem go tu,

żebyś zrobiła z niego mężczyznę, a nie wykolejonego homoseksualistę! - Twarz nabiegła mu

krwią, a głos stawał się coraz donośniejszy z każdym słowem. - Ja...

- Wystarczy, Withenie - przerwała Savił, ucinając jego wywód, nim zdążył się zanadto

rozpędzić. - Ja, ja, ja... a niech to, ty rozzuchwalony durniu, czy tylko o sobie potrafisz myśleć?

Vanyel był bliski śmierci cztery dni temu, prawie umarł trzy dni temu i za pięć minut może

umrzeć albo postradać zmysły, a ty wściekasz się, że zrobił coś, co według twoich

prowinjonalnych uprzedzeń jest godne potępienia! O wielcy bogowie, nawet jego imię nie

może ci już przejść przez gardło! Dla ciebie to tylko “chłopak”!

Postąpiła w kierunku Withena. Ten, na widok zbliżającej się coraz bardziej, pałającej

wściekłością twarzy, zrobił krok w tył; oczy zaszły mu trwogą i zdumieniem. Lissa, przesu-

nawszy się wraz z Savił, stała teraz u jej boku, wyprężona, z zaciśniętymi pięściami.

- Wpadasz tutaj jak burza, nie pytając nawet o pozwolenie, i to akurat wtedy, gdy jest

nadzieja, że udało nam się opanować jego stan. Nie zapytałeś nawet, czy on w ogóle może

rozmawiać. Oczywiście potrafisz tylko wywrzaskiwać, że zrobiłam z niego homoseksualistę,

podczas gdy ty przysłałeś go tutaj, aby ukształtować w nim mężczyznę.

Mężczyznę! - Z jej

gardła wyrwał się śmiech podobny do chrapliwego krakania. - Wielcy bogowie... za kogo ty go

masz? Kto oddaje swego syna w obce ręce tylko dlatego, że ten nie odpowiada jego

wyobrażeniu o męskości!

Savil straciła wątek, ale zaraz okazało się, że Lissa też ma coś do powiedzenia.

- Kto pozwala, żeby pierwszy lepszy zabijaka bez powodu łamał rękę jego synowi? -

warknęła. - Kto doprowadza do kalectwa emocjonalnego swego rodzzonego syna, dając mu

zamiast miłości ojcowskiej tylko kary i poniżenia? Kto wierzy słowom obcego

człowieka, tym

samym bezpodstawnie oskarżając o kłamstwo własnego syna? - Lissa atakowała ojca, jakby ten

był jej przeciwnikiem w zaciekłym pojedynku. - No powiedz, ojcze! Jakie prawo pozwala ci

stawiać mu jakiegokolwiek wymagania? Co mu dałeś w życiu poza pogardą? Czy kiedykolwiek

zareagowałeś na jego potrzeby i pragnienia? Czy kiedykolwiek pochwaliłeś jego po-

stępowanie? Czy choć raz powiedziałaś

mu, że go kochasz?

Withen, cofnąwszy się następne dwa kroki, oparł się o ścianę obok drzwi. Wyglądał,

jakby go kto zdzielił toporem.

Savil nabrała nowych sił.

- Mężczyznę... obyś doczekał wszystkiego, na co zasługujesz, ty bałwanie! Jaki

człowiek dba bardziej o własną reputację niż życie swego syna? - Spychała go w kąt pokoju,

dając upust całej udręce, frustracji i

złości, jaka kotłowała się w niej przez cały ostami tydzień.

Withen zbladł, otworzył usta, chcąc coś wykrzyczeć, ale Savil natychmiast mu przerwała.

- Posłuchaj, Withen - syknęła. - Do wszystkiego, co stało się z Vanyelem, ty sam

przyłożyłeś rękę, ponieważ wcale nie chciałeś syna. Potrzebowałeś tylko zabawki, mi-

niaturowej kopii siebie samego.

Paradowałbyś z nią przed ludźmi, a oni gratulowałiby ci twych

sypialnianych wyczynów. To ty pomogłeś mu stać się tym, kim jest. To przez ciebie Vanyel

wykształcił w sobie tak skrzywiony system wartości, że za cud chyba można uznać fakt, iż

rozpoznał miłość, gdy po raz pierwszy jej doświadczył. I ty właśnie nauczyłeś go, że ze swymi

uczuciami trzeba się kryć, bo dorosłym nie można ufać. Ja zaś właśnie pochowałam już jednego

chłopca. Drugi jest o krok od śmierci, ale mimo to wciąż jedynym problemem, który zaprzęta ci

głowę, jest obawa, że ktoś może sobie pomyśleć, iż nie byłeś dość męski, by wychować syna na

mężczyznę! Wynoś się stąd, zejdź mi z oczu...

Odwróciła się gwałtownie, chowając przed nim zaszkłone łzami oczy. Lissa położyła

dłoń jej na ramieniu, po czym obrzuciła swego ojca takim spojrzeniem, iż wydawać by się

mogło, że rozszarpie go na strzępy, jeśli ten odważy się wypowiedzieć jeszcze jedno słowo.

- S-Savil...ja... - wybełkotał. - Mówiono mi... ale nie wierzyłem... czy Vanyel jest...

- Jedno słowo, jeden fałszywy krok, a on umrze, Withenie - rzuciła oschle i zacisnęła

powieki, uspokajając rozedrgane nerwy.
- Jedna niewłaściwa myśl już niemal go zabiła.

Podciął sobie żyły, gdyż odkrył, że ktoś, komu ufał, uważał, że to jego miłość zabiła Tylendela.

Pewnie teraz jesteś usatysfakcjonowany.
W końcu to poczucie honoru popchnęło go do tego,

prawda?

- Ja... ja...

- A teraz z przyjemnością zawiadamiam cię, że Vanyel nie należy już do ciebie,

Withenie, teraz jest mój. Został wybrany. Jeśli tylko uda mu się przeżyć, zostanie kandydatem

na herolda i będzie podlegał tylko mnie. Nie masz już do niego żadnych praw. Nadszedł

moment spełnienia twoich najskrytszych pragnień. Teraz Mekeal stanie się twym spadkobiercą

i w związku z tym nie będziesz musiał zaprzętać sobie głowy Vanyelem.

Withen aż zadrżał na dźwięk tych dosadnych słów. Zdawało się, że zaczyna wręcz

kurczyć się w sobie.

- Savil... nie chcesz chyba powiedzieć... nie chciałem...

- Nie chciałeś? - zapytała z ironią, unosząc brwi. Uciekł przed jej wzrokiem.

- Savil, czy mogę... go zobaczyć? Nie zrobię mu nic złego! Do diabła, w końcu jest

moim synem!

- Lisso, jak myślisz?

Lissa omiotła ojca spojrzeniem, jakim ocenia się zazwyczaj podejrzanego

nieznajomego.

- Nie jestem pewna, czy on może zaufać samemu sobie. Twarz Withena pociemniała.

- Ty niewdzięczna...

Lissa wzruszyła ramionami, zwracając się do Savil.

- Widzisz, co mam na myśli? Savil

skinęła potakująco.

- Rozumiem... ale chyba będzie lepiej, jeśli mu pozwolimy. Może na własne oczy

powinien przekonać się, do czego doprowadził. - Nieznacznym ruchem głowy wskazała drzwi

do pokoju Vanyela. - Chodź ze mną, Withenie. I trzymaj na uwięzi ten swój niewyparzony

język. Inaczej cię wyrzucę.

Withen stanął jak wryty. Przywarł rękoma do szyby drzwi ogrodowych, nie mogąc

uwierzyć własnym oczom.

- Wielkie nieba... - wycharczał. -
Mówiono mi... ale myślałem, że to
niemożliwe. Savil,

widziałem tygodniowe zwłoki, które
wyglądały lepiej niż on teraz!

Lissa parsknęła. Savil zaś,
zniecierpliwiona zachowaniem Withena,
odepchnęła go od

drzwi, a potem otworzyła je. Zimny
powiew przeszył ją dreszczem.
Spojrzała za siebie, ale

Withen nie zrobił jeszcze ani kroku.

- Idziesz czy nie? - spytała jak najciszej, by nie obudzić Vanyela.

Pobladła z przerażenia twarz Withena skamieniała. Przełknął ślinę, a potem powoli,

niepewnym krokiem, ruszył za nią. Savil podeszła szybko do małego skrawka trawnika oto-

czonego osłoną, gdzie na wypalonej słońcem, pożółkłej murawie spoczywał Vanyel wsparty o

bok Yfandes. Odkąd odeszła, chłopiec leżał wciąż w takiej samej pozycji. Zdawał się nie

zauważać nawet jej obecności, gdy przyklęknęła przy nim na suchej, szorstkiej trawie, kłującej

kolana przez tkaninę bryczesów i pończoch.

- Van, zbudź się - powiedziała łagodnie, nie dotykając go nawet. - Van.

Chłopiec poruszył lekko głową i zamrugał powiekami.

- Ciociu? - wyszeptał.

- Jest tutaj twój ojciec... Withen... chce się z tobą widzieć. Vanyelu, nie zabierze cię do

domu. Nie ma już do ciebie żadnych praw, odkąd zostałeś wybrany. Jeśli nie chcesz, nie musisz

z nim rozmawiać.

Powieki Vanyela znów drgnęły, zdradzając, że jej słowa wzbudziły w nim czujność.

- Nie, Savil. Zobaczę się z nim. Yfandes twierdzi, że powinienem.

Savil wstała i spiesznie wróciła do Withena, czekającego na wydeptanej ścieżce, w

połowie odległości między drzwiami a miejscem, gdzie leżał chłopiec.

- Idź - rzuciła oschle. - Tylko nie podnoś głosu. Miej na uwadze, że on cały czas

znajduje się pod wpływem leków. Jeśli będziesz nieostrożny, możesz wywołać coś, czego z

pewnością nie chciałbyś zobaczyć.

Podążyła za nim. Nie chcąc uronić ani słowa z ich rozmowy, zatrzymała się w

odległości kilku kroków i nadstawiła uszu. Lissa poszła za nią. Tymczasem Withen zapadł

ciężko kolanami w suchą trawę i wyciągnąwszy rękę, próbował położyć ją na ramieniu

chłopca. Savil już chciała mu przeszkodzić, lecz Vanyel sam odepchnął nieczułą dłoń ojca.

- Vanyelu... - odezwał się Withen, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. -

Vanyelu... słyszałem, że jesteś chory...

Vanyel zaśmiał się szyderczo.

- Słyszałeś, że zabawiałem się w owieczkę tryka Tylendela, tak? Nie okłamuj mnie,

ojcze. Okłamywałeś mnie przez całe życie, a ja nie byłem zdolny tego dowieść, ale teraz już

umiem rozpoznać, czy ktoś mówi prawdę.

Withen zapłonął rumieńcem, lecz Vanyel jeszcze nie skończył.

- Myślisz, że jestem... zdeprawowany, zbrukany czy coś podobnego, że... jestem zły,

niewdzięczny i że nigdy nie potrafiłem... cię usatysfakcjonować... ale ja zawsze chciałem,

żebyś choć raz w życiu pochwalił mnie i powiedział, że zrobiłem dobrze! Choć raz, ojcze,

jeden, jedyny raz! Ale ty tylko

pozwalając, żeby Jervis tłukł mnie do
upadłego, a potem sam

mnie kopając! Lendel mnie kochał, a ja
kochałem jego, więc skończ z tymi...
przeklętymi,

ohydnyymi domysłami...

Withen odsunął się i skoczył na równe
nogi, otwierając usta, jakby miał zaraz
ryknąć na

syna potwornym wrzaskiem...

Ale nie zrobił już nic więcej. Oczy
Vanyela zaszyły mgłą, twarz zapalała
wściekłością i

nim Withen zdążył wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, Vanyel wyprysnął z kokonu swej

pościeli i siłą nieposkromionych mocy własnego umysłu ogłuszył Withena, rzucając go w

pobliskie krzaki.

Ten podźwignął się z ziemi, ale Vanyel powalił go jeszcze raz. Widząc to, Lissa

wykonała ruch, jakby chciała dołączyć do jednego z nich, lecz Savil powstrzymała ją, silnym

uściskiem chwytając jej ramię.

- Spójrz na Yfandes - powiedziała. -
Jest opanowana, nawet nie drgnęła.
Zostaw ich w

spokoju. Między nami mówiąc, jestem
zdania, że Yfandes i ja zdołałybyśmy
same

powstrzymać Vanyela od zabicia twego
ojca, a on przecież nie ma zamiaru tego
robić.

Jeszcze dwa razy Withen gramolił się,
chcąc stanąć na nogi, i dwa razy syn
posyłał go

na ziemię. Vanyel płakał. Jego białe
policzki znaczyły ślady spływających
łez.

- No, jak się czujesz, ojczy? Czy jestem już dość silny? Jak to jest, być zwałonym z nóg

i przydepniętym przez kogoś, z kim nie można się ani porozumieć, ani walczyć? Jesteś

zadowolony? Jestem teraz takim samym zbirem znęcającym się nad słabszymi, jak Jervis!

Jesteś usatysfakcjonowany?

Withen poruszył ustami, ale nie wydał z siebie żadnego głosu.

Vanyel prześwidrował go rozwścieczonym wzrokiem, lecz już po

chwili miejsce

gniewu w jego oczach zajęła gorycz obrzydzenia.

- Ja w każdym razie nie czuję się uszczęśliwiony - powiedział cicho i wyraźnie. Znać

było, że otrząsnął się do reszty z zamroczenia spowodowanego lekami. - Zbiera mi się na

mdłości, gdy pomyślę, że mógłbym cię teraz zabić. Nic nie sprawia mi przyjemności. I nic już

nigdy mnie nie uszczęśliwi.

Opadł z powrotem na trawę, owinał się pościelą i wtulił twarz w szyję Yfandes.

- Odejdź, ojcie - zabrzmiał jego przytłumiony głos. - Po prostu, idź sobie.

Withen powoli, niezgrabnie podniósł się z ziemi i stanąwszy nad swym synem, patrzył

na niego przepraszająco.

- Czy jeśli powiem ci teraz, że jest mi przykro, będzie to miało jakieś znaczenie? -

zapytał w końcu po długiej chwili milczenia. Z jego zakłopotanego wyrazu

twarzy i szczerze

zatroskanych oczu z łatwością wyczytać można było, że niezupełnie jeszcze uświadamia sobie

fakt, iż cały jego świat zawalił się właśnie w gruzy. Nietrudno też było się domyślić, że nie ma

pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć i że nie wie nawet, co zrobić za moment.

- Może... kiedyś. - Usłyszał słowa syna wypowiedziane przez łzy. - Ale nie teraz.

Odejdź, ojcze. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Drogi Withenie,

*Myślę, że po raz pierwszy w życiu
postąpiłeś słusznie. Wszak chłopiec ten
nie jest już*

*chłopcem. Nigdy zresztą nie był
podobny do twego wyobrażenia o nim.
Jeżeli zdobędziesz się*

*na to, by traktować go jak dorosłego,
znajomego raczej niżli potomka, z
pewnością dojdziecie*

kiedyś do porozumienia.

- Savil?

Savil uniosła głowę. Przez uchylone

drzwi do pokoju zaglądał Mardik. Od razu

dostrzegła jakąś niepewność w jego gestach.

Ha. Wreszcie zaczynam rozpoznawać, co kryje się pod powłoką ludzkich zachowań -

pomyślała.

Rzuciła okiem za okno. Vanyel siedział na ławce rozmawiając z Lissa; nad nimi górowała oczywiście Yfandes.

Niech bogowie błogosławią tę dziecinę. Nie mam pojęcia, jak dałabym sobie

radę bez

niej.

Raptem poczuła bezlitosne brzemie
zmęczenia, opadające na jej ramiona
niczym

przyciężki płaszcz. Na krótki moment
zapomniała nawet o Mardiku.

Bogowie. Cóż ja mam zrobić? -
westchnęła. - Jego stan zdrowia wcale
się nie polepsza.

Może jest troszkę silniejszy, ale to
wszystko. Ze wszech miar stara się
zastąpić Lendela mną

albo Lissa, by miał komu się podporządkować. Nie mogę mu na to pozwalać. To jeszcze

bardziej pogorszyłoby sprawę. Jednakże przy każdej okazji, gdy próbujemy go nakłonić do

tego, by stanął wreszcie na własnych nogach, zaraz zaczyna się dąsać. Tak mnie to złości, że

czasem mam ochotę porządnie mu przyłać. Ale i tak dosyć już wycierpiał, a poza tym, nie

zasługuje na to. A niech to ogień piekielny pochłonie! Biorąc pod uwagę jego zachowanie

ostatnimi czasy, te dąsy wydają się i tak najbardziej zbliżone do normalności.
Och, bogowie...

Mardik chrząknął. Savil aż podskoczyła.

- Wybacz, chłopcze, zamyśliłam się.
Chyba się starzeję. Wejdz.

Mardik wsunął się nieznacznie do pokoju, lecz wciąż stał w progu.

- Savil, Donni i ja chcielibyśmy cię o coś zapytać. - Słowa uwięzły mu w gardle.

Złożył ręce z tyłu i pocierał lewą stopą o prawą kostkę.

- My... Savil, jesteś najlepsza ze wszystkich, lecz... Vanyel potrzebuje cię bardziej niż

my.

- Bogowie - westchnęła, masując palcami prawą skroń. - Zaniedbywałam was...

przepraszam...

- Nie, wcale nie mamy ci tego za złe - wtrąciła Donni, wykukując zza drzwi, tuż ponad

ramieniem Mardika.

- Zastanawiałam się, kiedy pojawi się

twoja śliczna główka - powiedziała Savil.

- Jesteśmy nierozłączni - zauważyła dziewczyna. - Nie, Savil, nie uważamy, abyś nas

zaniedbywała. Obawiamy się raczej, że możesz się zamęczyć, zajmując się zbyt wieloma

rzeczami na raz. Vanyel naprawdę cię potrzebuje, a my otrzymaliśmy już wszystko, co mogłaś

nam dać. Nikt inny nie zdołałby nauczyć nas pracować w zespole, ale popatrz tylko...

Mardik wsunął się wreszcie do pokoju,

Donni jednak została przy drzwiach.

Wyciągnęli ku sobie ramiona, nie stykając się dłońmi, a potem...

Ich emanacje zlały się w jedną wspólną aurę. Złoto-zielony obłok, o wiele bardziej

intensywny niżli każda z tworzących go emanacji występująca osobno, okalał ich sylwetki ze

wszystkich stron, wprawiając Savil w istne zdumienie.

- Od kiedy umiecie robić coś takiego? - zapytała.

- Od tej nocy, kiedy usiłowaliśmy dostać się do świątyni - pospieszył z wyjaśnieniem

Mardik. - Gdy wystrzeliliśmy ten pocisk, a potem wszyscy połączyliśmy się w przepływie

mocy uzdrawiających. Wtedy właśnie wszystko, czego nas dotąd uczyłaś, jakby się w nas samo

ułożyło. Teraz więc może nas uczyć którykolwiek mag heroldów, lecz ze względu na nasze

umiejętności powinien to być Lansir albo Jaysen. On nie prowadzi teraz nikogo.

- Głupstwa pleciesz i za dużo mówisz -
prychnęła Donni. - Savił,
rozmawialiśmy już z

Jaysenem. Powiedział, że nas przyjmie,
jeśli tylko ty wyrazisz zgodę.

Savił odłożyła pióro i zamknęła
rozwarłe ze zdumienia usta.

- Chętnie was ucałuję - rzekła wreszcie,
na co Donni uśmiechnęła się do
Mardika,

jakby chciała powiedzieć: A nie
mówiłam? - Długo rozmyślałam o
znalezieniu dla was nowego

mentora, lecz nikt nie przychodził mi do

głowy, ponieważ jestem chyba jedyną osobą, która

mogła was nauczyć pracy w parze.
Niech was bogowie błogosławią, moi kochani.

Wstała i przygarnęła oboje w swe ramiona, a oni dając wyraz swemu uczuciowemu i

fizycznemu wsparciu odwzajemnili jej uścisk.

- Savil - odezwała się Donni, gdy Savil ze szczerą niechęcią wypuściła ich ze swych

ramion. - Co zrobisz z Vanyelem? Jest...

jeszcze ciągle taki zrozpaczony... a tutaj wszystko

przypomina mu Lendela. Szkoda, że nie możesz przenieść go gdzieś, w zupełnie inne

otoczenie.

- Niestety, masz rację - odparła Savil i pomyślała: ...zupełnie inne otoczenie... bogowie,

wielkie dzięki za zesłanie mi takich bystrych podopiecznych!

- Donni - rzekła powoli. - Zdaje się, że znalazłaś rozwiązanie dla moich problemów.

Teraz jestem wam wręcz wdzięczna za znalezienie sobie nowego nauczyciela.

- Masz jakiś pomysł? Savil przytaknęła skinieniem.

- Pomysł na upieczenie dwóch pieczeni przy jednym ogniu. Te stwory zemsty

przywołane przez Leszarów, a potem Vanyela, z pewnością pochodziły z Pelagris. I tak miałam

tam pojechać, aby dowiedzieć się, kto maczał w tym palce. Zabiorę więc Vanyela ze sobą do

moich przyjaciół, Sokolich Braci. Są samozwańczymi strażnikami Pelagris,

toteż powinni

wiedzieć, że ktoś posłużył się ich zwierzakami w swych magicznych manipulacjach. Postępują

oni według nieco innych zasad niż my tutaj, dlatego może się okazać, że będą mogli pomóc

Vanyelowi. Jeśli nie uda im się udzielić mu pomocy, zdołają przynajmniej okiełznać jego dary.

- Naprawdę myślisz, że mogliby mu pomóc? - zapytała Donni z nadzieją w głosie.

- No cóż, ja nie potrafię, ale wiem na

pewno, że Gwiezdny Wicher jest silniejszy ode

mnie. Ponadto Andrel obawia się, że jeśli nadal będziemy faszerować Vanyela lekarami,

jego organizm może się od nich łatwo uzależnić, ale jeśli odstawimy je...

- Moglibyśmy doprowadzić do ruiny cały Pałac. - Mardik posępnie pokiwał głową. -

Kiedy go zabierasz?

- Kiedy... myślę, że za parę dni. Im szybciej, tym lepiej. - Przeniosła wzrok na ścianę,

gdzie nad głową Mardika wisiał jej Talizman Skrzydlatej Siostry. - Jedyne problem polega na

tym, że aby odnaleźć Gwiazdowego Wichra k'Trevę i Tańczącego Księżyca k'Trevę będę

musiała pojechać do nich, ponieważ oni nigdy nie ruszają się z Pelagris. Pociąga to za sobą

dwie sprawy. Będę musiała wznieść Bramę, a później, gdy już uda mi się tego dokonać,

pozostanie mi tylko krzepić się nadzieją, że jeszcze potrafię ich odnaleźć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bogowie, nie cierpię wznoszenia Bramy
- bąknęła Savil do Andrela, oślepiąca

blaskiem promieni słonecznych
odbijających się na śniegu. Rozglądała
się po niebie w

poszukiwaniu choćby najdrobniejszej
chmurki.

- Dlaczegoż to? Masz jakieś inne
powody, poza skojarzeniem z ostatnimi
przykrościami?

- To zakłęcie jest piekielnie
niebezpieczne. Płata różne figle. Wokół

Bramy powstaje

pole energetyczne, które potrafi zakłócić każdy wysokoenergetyczny układ pogodowy w oko-

licy i wprowadza zmiany w pogodzie, zazwyczaj na gorsze. - Zamknęła oczy, skoncentrowała

się, uziemiła przepływ energii, by rozszerzyć zasięg swego daru magii i ogarnąć jeszcze

większą przestrzeń w poszukiwaniu ewentualnych źródeł zakłóceń działania zaklęcia.

Odetchnęła jednak z ulgą, przekonując

się, że nic nie powinno jej przeszkodzić.
Jedynym

polem energetycznym w pobliżu było
kilka wstępujących prądów powietrza
nad cieplejszymi

obszarami, lecz zbyt małych, by
stworzyć jakiegokolwiek zagrożenie.

Westchnęła.

- No cóż, pogoda chyba nie przysporzy
nam kłopotów. Jak tam nasz
młodzieniec?

- Oszołomiony lekami. Daję głowę, że
do wieczora nie będzie nawet w stanie

powiedzieć, jak się nazywa. Ja zaś bardzo się cieszę, że powiedziałaś mi o tym, iż zamierzasz

wznieść Bramę. - Andrel zatopił swe długie, delikatne dłonie w kieszeniach płaszcza i mrużąc

oczy w słońcu, sięgnął spojrzeniem na drugą stronę łąki. - Przecież to właśnie moc Bramy

rozerwała w nim kanały przepływu energii...

- Może - przerwała mu Savil.

- W porządku, może rozerwała w nim kanały, ale faktem jest, że od tamtej pory

zdwoiła

się jego wrażliwość na to zakłucie.
Najprawdopodobniej będzie odczuwał
każde wykorzystanie

tego zakłęcia w promieniu kilku
kilometrów, a przechodzenie przez samą
Bramę może się

skończyć atakiem. Dlatego...

- ...uśpiłeś go lekami. Nie mam nic
przeciwko temu. Co prawda jest to
trochę

niewygodne, ale do takich przypadków
przystosowane są siodła naszych
Towarzyszy.

Ruszyli przez Łąkę Towarzyszy,
przysypaną pierwszym śniegiem. Z
każdym krokiem

Savil powtarzała sobie ćwiczenie
uspokajające, wiedząc, że za wszelką
cenę musi osiągnąć

bezwzględny spokój ducha. Zakłęcie
Bramy będzie wymagało od niej
wykorzystania

wszystkich sił, zwłaszcza, że będą
musieli przenieść się na ogromną
odległość.

Dlatego też wcześniej przekazała
wszystkie swoje sprawy w ręce innych,
a sama

skupiła się na zaklęciu. Mardik i Donni zapakowali jej rzeczy, a Lissa zajęła się bagażem

Vanyela i nim samym, gdy tylko Andrel zaaplikował mu lekarstwo. Wszyscy czekali teraz w

Leśnej Świątyni.

- A więc, dlaczego nie lubisz Bramy? - zapytał Andrel. Pole wokół nich mieniło się

tysiącem błysków w świetle słońca.

- Ponieważ kiedy wreszcie przez nią przejdę, stanę się zupełnie bezużyteczna
- odparła

sucho. - Pozostanie mi tylko liczyć na to,
że Talizman pomoże mi dotrzeć do
Gwiezdnego

Wichru, bo inaczej staniemy się z
Vanyelem zupełnie bezbronni.

- Dlaczego nie postąpisz podobnie jak
Tylendel i nie wykorzystasz energii
innej osoby?

- Bo sama nie wiem, co on właściwie
zrobił - rzekła po długiej chwili
milczenia,

przerywanej tylko skrzypieniem śniegu
pod ich stopami. - Nikt tego nie wie.
Może dlatego

energia, zamiast rozproszyć się w ziemi, uderzyła z powrotem w Vanyela. Ja nie mam zamiaru

ryzykować narażania na coś podobnego żadnej żywej istoty. Vanyelowi udało się przeżyć, ale

kto inny mógłby umrzeć. Poza tym jest bardzo prawdopodobne, iż taką operację może

przeprowadzić tylko para połączona więzami życia. Dlatego - wzruszyła ramionami - użyjemy

tradycyjnej metody, a ja padnę na nos po drugiej stronie Bramy.

Zagłębili się w lasek. Bezlistne korony drzew nad ich głowami tworzyły coś na kształt

misternej koronki. Panował tu zawsze niezmacony spokój, bez względu na porę roku, co

stanowiło jeden z powodów, dla których Savil wybrała na wzniesienie Bramy właśnie ten

zakątek. Ponadto lasek był najbezpieczniejszym miejscem, ponieważ odwiedzają je jedynie

heroldowie, co eliminuje niebezpieczeństwo, że ktoś przypadkowy mógłby nagle znaleźć się

W

polu działania zaklęcia.

Grupka oczekująca przy świątyni nie była zbyt liczna. Stali tam Jaysen, Donni i Mardik

oraz Lissa, a z daleka wydawało się, że ich sylwetki są tylko figurami usypanymi z tego samego

świeżego śniegu, który pokrywał ziemię. Ze względu na to, że Towarzysze omijali zwykle

lasek i przychodzili tutaj tylko wtedy, gdy zmarł jakiś herold, żadna z osób odprowadzających

dziś Savil i Vanyela nie przyprowadziła swego konia. Były z nimi tylko Kellan i Yfandes, na

której grzbiecie siedział już Vanyel. Był otulony w najcieplejszy płaszcz, jaki Savil udało się

zdobyć, i przywiązany do swego siodła tak, aby nie groził mu upadek, nawet jeśli Yfandes

będzie musiała stanąć do walki albo pełnym galopem rzucić się do ucieczki. Odejdźcie złe

moce - pomyślała Savil, poddając się swej skłonności do wiary w przesady. Oby nie wydarzyło

się nic, co zmusiłoby nas do walki albo ucieczki. I tak prześladowe nas pech.

Savil podeszła najpierw do Vanyela. Rzeczywiście Lissa i inni dołożyli wszelkich

starań, by Vanyel siedział pewnie na Yfandes. Ręce chłopca uwiązali luźno do przedniego łęku.

Pasy, na których zazwyczaj wiszą strzemiona, owinęli wokół jego łydek i także przymocowali,

unieruchamiając w ten sposób nogi chłopca. Same strzemiona zaś najwyraźniej powędrowały

do któregoś z tłumoków przytroczonych za siodłem. W pasie umocowali Vanyela na dwa

sposoby: przywiązując jednym paskiem do przedniego łęku, a drugim, przeciągniętym przez

specjalnie do tego celu przystosowane uchwyty, do tylnego łęku siodła.

Do Savil dołączył Andrel i zajął się krótkim badaniem stanu chłopca. Ten nawet nie

zareagował, gdy uzdrowiciel uniósł jego powiekę. Źrenice oczu Vanyela zwężyły się do

malutkich punkcików. Potem na moment wzrok Andrela stracił nagle ostrość i zagłębił się we

wnętrzu chłopca. Wreszcie uzdrowiciel, najwyraźniej usatysfakcjonowany tym, co zobaczył,

pokiwał głową.

- Nic mu nie będzie, Savil. Ale później nie może już przyjmować żadnych lekarstw.

Nawet mikstur tych twoich przyjaciół...

Savil skinęła potakująco.

- Oni nie przepadają za tego typu

lekarstwami. Nie używają ich nawet w najcięższych

przypadkach. Zbyt łatwo popaść w nałóg.

- Ja też ich nie lubię, ale czasami zdarzają się sytuacje, kiedy nie ma wyboru. Nam się

właśnie to przytrafiło. - Andrel pogładził rękę chłopca, a gdy pogrążył się w zadumie, na kilka

chwil jego zielone oczy pociemniały. - Bogowie, mam nadzieję, że nie mylisz się co do tych lu-

dzi. Zmysły chłopca nie są jeszcze w

pełni sprawne. Prawdę mówiąc, kanały przepływu energii

wcale się nie zaleczyły.

- Jeśli oni nam nie pomogą, nikt nie zdoła tego zrobić. - Savil odwróciła wzrok od

swego półprzytomnego podopiecznego i stanęła twarzą do świątyni, przygotowując się do

wypowiedzenia zaklęcia.

I do wzniesienia Bramy...

Było to zaklęcie bardzo osobiste, ponieważ tylko jedna osoba

uczestniczyła we

wznoszeniu Bramy i tylko jeden umysł kierował energią na jej powstanie. Jej twórca musiał

umieć określić z wielką dokładnością, dokąd powinna go zaprowadzić Brama, a nie jest wszak

możliwe, by istniało dwoje ludzi, którzy noszą w pamięci identyczne wyobrażenia jakiegoś

miejsca. Poza tym spośród wszystkich obecnych tylko Savil odwiedziła kiedykolwiek ziemie

k'Trevów w Pelagris. Żaden inny mag

heroldów nie może jej pomóc, ponieważ całą swą uwagę

Savil musi skupić na Bramie i nie starczyłoby jej energii, by nawiązywać kontakt z innym

heroldem. Przede wszystkim jednak ze względu na to, że zakłęcie wymaga, aby z ogromną

dokładnością skierować energię w ściśle określone miejsce, musi ona płynąć tylko z jednego,

jedyne źródła...

...z wnętrza twórcy Bramy. A może... z ducha osoby związanej z twórcą Bramy?

Więzy

życia zajmują najniższe pokłady duszy ludzkiej, nie muszą przebijać się do świadomości, a

zatem może właśnie dzięki nim Tylendelowi udało się wykorzystać Vanyela jako źródło swej energii.

Specyfika sił potrzebnych do wzniesienia Bramy polega na tym, że można je gromadzić

przez dłuższy czas, jeśli wcześniej zaplanuje się użycie zaklęcia. Jednakże podobnie jak każde

naczynie, które może pomieścić
ograniczoną ilość płynu, mag jest zdolny
zebrać w sobie

ograniczoną ilość energii. Savil, dobrze
o tym wiedząc, była na to przygotowana.
Po przejściu

przez Bramę będzie potrzebowała całej
doby, aby odzyskać siły, a przez
dwadzieścia cztery

świece pozostanie w stanie całkowitego
wyczerpania sił fizycznych,
psychicznych i - rzecz

jasna - magicznych.

Teraz nie pora o tym rozmyślać. Bierz

się do roboty, kobieto. Najpierw portal,
potem

konstrukcja.

Drzwi świątyni tak często służyły jako
szkielet Bramy, że nie wymagały nawet

szczególnych przygotowań. Wystarczyło
tylko... dotknąć...

Uniosła ramiona, zamknęła oczy i
pogрузzyła się w takiej koncentracji, że
wszystko

dookoła niej jakby przestało istnieć.
Pozostała tylko siła wewnątrz niej samej
i miejsce, gdzie

ma stańc Brama.

Przyzywam Portal...

Z wiązki energii uformowała odrzwia
wspierające się na autentycznych
odrzwiach

świątyni i obudowując je warstwa po
warstwie, stworzyła mocny szkielet
podtrzymujący przed

zawaleniem całą konstrukcję, na
wypadek gdyby wydarzyło się coś
nieprzewidzianego.

Wtedy, wysupłując pojedyncze nitki
energii z całej tej konstrukcji, poczęła
przerzucać

je jakby w głąb utworzonego już przejścia.

- Oto jest wasz cel - rzekła, kierując je na poszukiwania rzeczywistego odpowiednika

obrazu miejsca przywołanego z pamięci.

- Gdzie są góry skaliste i drzewa rosną tak... a ziemia

pachnie...

Nitki energii wydłużyły się, stały się cieńsze, wreszcie zupełnie zwiotczały.

Wtedy

wzmocniła je swą własną energią, czując jednak, że traci coraz więcej sił.

Savil słabła. Traciła energię w takim tempie, że miała wrażenie, jakby krew odpływała

jej strumieniem z otwartej rany. Po chwili jednak zdawało się, że sama Brama wysysa z niej

resztki sił. Był to moment największego niebezpieczeństwa. Jeżeli teraz nie przeciwstawi się tej

zaborczej mocy, Brama pozbawi Savil resztek sił, doprowadzając ją do utraty przytomności.

W tej sekundzie jedna z poszukujących w dali nici energii zaczepiła się o coś

znajdującego się poza zasięgiem wzroku. Za nią podążyła następna...

Naraz Brama eksplodowała jasnością i w jednej chwili ze szkieletu energii powstała

nietrwała, lecz na razie zupełnie stabilna całość.

Savil opuściła ramiona, otworzyła oczy i zakółysała się, tracąc równowagę z

wyczerpania. Na szczęście tuż obok niej stała Kellan i Savil uratowała się przed upadkiem,

chwytając szybko łęk jej siodła.

Brama nie okalała już wejścia do świątyni. Teraz jej biały marmur, jarzący się wielką

jasnością, stał się oprawą dla zupełnie innego obrazu, przedstawiającego fragment obcego,

niezwykłego krajobrazu.

- Czy tam właśnie się udajesz? - zapytał Jaysen z powątpiewaniem, obrzucając

wzrokiem dziwaczne kształty przysypanych piaskiem i śniegiem skał po drugiej stronie

portalu. Padał tam śnieg... Jego grube płaty leciały z czarnych, niskich chmur.

Savil skinęła

potakująco.

- W rzeczy samej. To właśnie pogranicze Pelagris w pobliżu terytorium Gwiezdnego

Wichru. Po drugiej stronie Bramy znajduje się wyjście z grotty, a więc będziemy mogli się tam

schronić, do czasu gdy Gwiezdny Wicher albo Tańczący Księżyc nas odnajdą.

- A jeśli nie odnajdą? - zapytał Jaysen. - Savil, nie podoba mi się, że znajdziecie się

sami w takim miejscu. Chłopak jest zupełnie niezdolny do udzielenia ci jakiegokolwiek pomocy,

a ty jesteś skrajnie wyczerpana.

- Jaysenie, nie wiesz, co to za ludzie. Całkiem możliwe, że zobaczywszy cię,

pojawiającego się nagle ni stąd, ni zowąd, zabiliby cię bez zastanowienia - odparła i uchwycy-

ciwszy siodło, spróbowała zebrać resztki sił do wdrapania się na nie. - Oni przywiązują

nieprawdopodobną wagę do nienaruszalności ich terytorium i

zachowania tajemnicy. Zresztą

mają ku temu powody. Sam pomyśl.
Muszą się dowiedzieć, że ktoś zabawiał
się magią i

wykradł zwierzęta, które oni uważają za
dobrze strzeżone. Jeśli napotkają na
swej drodze

obcego człowieka posiadającego dar
magii, najprawdopodobniej najpierw go
zabiją, a dopiero

później będą pytać, kim był ów
nieznajomy. Mówię całkiem szczerze,
nie przesadzam. I tak

ryzykuję, zabierając ze sobą Vanyela, a

przecież jest za mną i nietrudno
rozpoznać, że

naprawdę potrzebuje pomocy.

Wreszcie poddała się, stwierdzając, że
jednak nie jest zdolna osiąść Kellan o
własnych

siłach.

- Mogę się na tobie oprzeć? - zapytała z
pokorą w głosie.

Taka pomoc jednak nie wystarczyła i
Jaysen wraz z Andrelem musieli unieść
ją i

umieścić w siodle.

- Czy zabrałaś wszystkie potrzebne rzeczy?

- Myślę, że tak. - Ale naprawdę była zbyt osłabiona, aby o tym pomyśleć. Przecież

musiała wciąż skupiać uwagę na następnym etapie podróży. - Rzućcie polana.

Cztery ciężkie belki suchego drewna wylądowały na śniegu po drugiej stronie Bramy.

Vanyel zakwilił jak niemowlę, a jego twarz wykrzywiła maska bólu.

Rzeczywiście jest tak, jak mówił Andy.

Vanyel odczuwa działanie pola energetycznego

Bramy. Lepiej się pospieszyć.

- Mardiku... - powiedziała cicho. -
Donni...

Wychowankowie zbliżyli się posłusznie,
a ona, wyciągnąwszy ku nim dłonie,
połączyła

się z nimi w chwili zjednoczenia, które
znaczyło dużo więcej niż zwykłe
pożegnanie. Znaczyło

wymianę podarunków. Ona obdarzyła
ich swą dumą z poczynionych przez nich
postępów,

miłością i błogosławieństwem, oni zaś przekazali jej swą miłość i życzenia dobrej podróży.

- Lisso...

Dziewczyna stanęła obok jej uczniów.

- Nie wiem, jak ci dziękować - zaczęła Savil, jak zwykle z trudem ujmując myśli w

słowa.

- Podziękujesz mi, przywożąc Vanyela z powrotem do domu. - Wyciągnęła rękę,

ścisnęła krótko dłoń Savil i odsunęła się.

Mardik i Donni usunęli się z drogi, a Jaysen i Andrel, nie czekając na zachętę, zajęli ich

miejsce. Savil ponownie przymknęła oczy, podała dłoń każdemu z nich i otworzyła swą duszę

dla ich uczuć, łącząc się z nimi jeszcze ściślej niżli ze swymi uczniami. We troje nie mieli przed

sobą żadnych sekretów. Przed Jaysenem i Andrelem nie ukrywała tego, o czym nie powiedziała

Mardikowi i Donni. Przed nimi przyznała się otwarcie, że z tej podróży mogą nigdy nie

powrócić ani ona, ani Vanyel. Jeśli nie uda jej się okiełznać darów Vanyela, jego potężna moc

może zabić ich oboje. Jego zmysły miały siłę tak wielką, że nawet teraz, po zażyciu dawki

narkotyku, która uspiłaby przeciętnie uzdolnionego herolda na tydzień, Vanyel pojękiwał i

wybudzał się ze snu, dręczony mocą energii płynącej od Bramy.

Savil rozżłościła się na moment. Mógł nas wszystkich pozabijać, nie zdając sobie nawet

z tego sprawy. Och, bogowie. Bogowie,
wyrządziliście mu tyle krzywd! Musicie
mu to

wynagrodzić! Zabraliście jego miłość -
dajcie chociaż coś w zamian!

Zmęczenie jednak nie pozwalało jej
wytrwać nawet w gniewie wobec
opatrzności,

bogów czy... czegokolwiek. A to
pożegnanie mogło naprawdę być
ostatnim.

Poprosiła więc swych przyjaciół, aby
wybaczyli jej wszystko, co złego
uczyniła im w

przeszłości. Oni zrobili to samo i tak cała ich trójka zjednoczyła się w pojednaniu.

Gdy Savil uniosła wreszcie ciężką od zmęczenia głowę, ujrzała łązy w szarych i zielonych oczach swych przyjaciół. Ale łązy te nie mogły być uronione, nie teraz. Uścisknąwszy

jeszcze raz ich dłonie, puściła je, czekając, by obydwaj usunęli się z jej drogi. Potem

wyprostowała się w siodle, wzięła głęboki oddech i zwróciła się twarzą ku Bramie i szarej

krajinie rozpościerającej się za nią.
Widok nie zdawał się wcale bardziej
zachęcający niż kilka

minut wcześniej, lecz nie można było
dłużej zwlekać. I tak nic by to nie
zmieniło.

- *No, moja Kellan, ruszajmy.*

I pojechali wprost ku pulsującej wielką
mocą Bramie, której Savil tak
nienawidziła.

Savil podkuliwszy nogi usadowiła się
przy ogniu. Musiała teraz ze wszystkich
sił

zwalczyć sen. Na szczęście nie było

wiatru i powietrze w grocie stawało się coraz cieplejsze.

Ale wraz ze wzrostem temperatury nieprzyjemny zapach wilgotnych, na wpół zgniłych liści

przyniesionych tutaj jeszcze przez jesienny wiatr, stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Wilgoć

stanowiła też swoiste niebezpieczeństwo. Jeśli bowiem zgaśnie ogień, rozpalenie drugiego

stanie się zupełnie niemożliwe, a wtedy w grocie zapanuje taki chłód, że nawet ciepłe, grube

płaszcz nie zdadzą się na nic.

Odkąd przeszli przez Bramę, Savil opanowało wszechogarniające wyczerpanie. Ledwie

starczyło jej sił na ułożenie ogniska i rozpalenie węgla, który przywiozła w swym podręcznym

przyborniku do rozpalania ognia. Potem już tylko opadła na piaszczystą ziemię przy ognisku i

przygarnęła pod swój płaszcz drżącego jak liść Vanyela. Ten wtulił się w nią i oparł głowę na

jej kolanach. Od czasu do czasu z jego

ust dobywał się cichutki jęk. Wysuwał wtedy dłoń spod

płaszcz, szukając po omacku czegoś, co widział chyba tylko we śnie, Savil koła wówczas

jego niepokój, głaszcząc go po głowie tak długo, aż Vanyel znów przekonywał się, że nie jest

sam, i uspokojony na powrót zapadał w sen.

Przejście przez Bramę rzeczywiście wyraźnie dało się Vanyelowi we znaki. Obawy

Savil spełniły się. Gdy zbliżyła się do

Yfandes, chcąc zdjąć Vanyela z jej
grzbietu, chłopiec był

na wpół rozbudzony. Oczy miał szeroko
rozwarłe, szczęki zaciśnięte. Ból i
przerażające

męczarnie sparaliżowały go zupełnie i
dopiero po upływie jednej świecy Savil
udało się

uśmierzyć jego cierpienie.

Gdzieś na zewnątrz, nieopodal grotty
pełniły straż Kellan i Yfandes.

Biedaczki stały na

śniegu w pełnej uprzęży. Savil, słaniając
się na nogach, ledwie zdołała rozwiązać

pasy, którymi

Vanyel przyczepiony był do siodła, i nie starczyło jej sił, by ulżyć Towarzyszom. Była tak

zmęczona, że niewiele brakowało, a zapomniałaby nawet o uaktywnieniu Talizmanu. Dopiero

ostra uwaga Kellan wyrwała ją z zamroczenia i pomogła zebrać siły potrzebne, aby nakłuć szty-

letem palec i upuścić na Talizman niezbędne trzy krople krwi.

I wtedy zalała ją fala wspomnień z czasów pobytu u Sokolich Braci. Przed

oczami

stanął jej żywy obraz sceny pożegnania z nimi i zdało jej się, że od tamtej pory minęło zaledwie

parę dni, a nie lata całe.

- Krew przyzywa krew, a serce serce -
rzekł z powagą Gwiezdny Wicher,
zwracając w

głąb siebie swe szkliste, błękitne oczy.
Zawiesił swą rozciętą dłoń ponad
Talizmanem

Skrzydlatej Siostry, utkanym ze
srebrnych drucików i kryształów
górskich, a krew z jego rany

poczęła kapać na kamień w samym jego
środku, przemieniając bezbarwny
kryształ w jaskrawy

rubin.

Savil przyglądała się temu w milczeniu,
napawając się mocą spływającą na
klejnot z

mieniącym się wszystkimi barwami
tęczy kryształem wplecionym w misterną
koronkę

srebrnych nitek.

W niczym nie przypominało to magii, do
której sama przywykła, ale różniło się
też od

metod, jakich nauczyli ją Sokoli Bracia.
Były to pradawne czary pochodzące
może nawet z

czasów Wojen Magów, wojen, które
wyniszczyły cały świat, a Pelagris
obróciły w ruinę, w kraj

rządzący się prawami magii. Savil
zadrżała z lekka. Wtedy Gwiezdny
Wicher uniósł wzrok i

jego oblicze rozjaśnił na moment, jakże
rzadko pojawiający się na jego ustach,
uśmiech.

Potem zaniknął dłoń, a gdy tańczący
Księżyc musnął ręką jej wierzchnią
stronę, rozwarł

ją na nowo. Rozcięcie na jego dłoni
zagoiło się z prędkością, jaką osiągnąć
może tylko myśl.

Wówczas osiemnastoletni przybysz z
dalekiego kraju, nazywający siebie
Tańczącym

Księżycem, był na najlepszej drodze do
zostania najwyżej cenionym z magów -
biegłym

uzdrowicielem.

Gwiezdny Wicher umocował Talizman
na jego miejscu, na masce z piór i
paciorków z

kryształu, gdzie umieszczony ponad

otworami na oczy wyglądał niczym
diadem wielkości

dłoni. Potem wręczył maskę Savil i
wskazując na Talizman powiedział:

- Gdy będziemy ci potrzebni, przybądź
do naszego kraju i upuść trzy krople
własnej

krwi na kryształ w sercu Talizmanu.
Rozpoznam twój znak i odnajdę cię.

Przez wszystkie te lata jasny szkarłat
kamienia zachował swą barwę, a Savil
krzepiła się

teraz nadzieją, że i zaklęcie przypisane
mu zachowało swą moc. Zauważyła

wprawdzie, że z

chwilą gdy pierwsza kropla krwi
spłynęła na kryształ, w jego wnętrzu
zdawało się błysnąć

blade pulsujące światło, nie dowierzała
jednak własnym oczom. Mógł to być
blask ognia

odbijający się w kamieniu bądź wytwór
jej umęczonych oczu, tracących już
ostrość widzenia.

Nie miała siły dociekać istoty tego
światełka ani nawet wyczuć energii
pulsującego na jej piersi

blasku.

Vanyel poruszył się i ułożył wygodniej, bardziej przyciągnąwszy nogi do piersi.

Savil

uniosła się troszkę, z zadowoleniem zauważając, że podłoże jaskini pokrywa kilku-

nastocentymetrowa warstwa suchego piasku.

Biedaczku - pomyślała, pogrążając się w smutku. Zupełnie nie wiem, co z tobą zrobić.

Wiecznie szukasz we mnie wsparcia, a ja chciałabym ci go udzielić, choć nie powinnam, wręcz

nie mogę. Jeśli pozwolę ci polegać we
wszystkim na mnie, wpadniesz z
powrotem w te

wszystkie przyzwyczajenia, jakie
wyrobiły się w tobie, gdy miałeś
Lendela u swego boku.

Gładziła bujne, jedwabiste włosy
Vanyela, czując przejmujący smutek.
Sam już nie

wiesz, co myśleć, prawda? Nie masz
odwagi otworzyć się na innych, twoje
serce przepęlnia taki

strach i ból... o bogowie, nie zapomnę
nigdy dźwięku twych słów, gdy
powiedziałeś swemu

ojcu, że już nic nigdy cię nie
uszcęśliwi...

Przełknęła ślinę, czując, że żal ściska jej
gardło. Zmrużyła oczy widząc, że
płomienie w

ognisku poczęły tańczyć jak szalone, i
zamknęła piekące oczy. Na jej rzesach
zawisły łzy.

Gwiezdny Wicherze, stary przyjacielu -
zawołała rozpaczliwie w głębi swych
myśli. Gdzie

jesteś? Nie mam już sił. Nie wiem, co
czynić. Potrzebuję twojej pomocy...

- *Właśnie ci ją niosą, siostró mej duszy.*

Zamarła. U wejścia do groty podniósł się tuman śniegu, mieniając się bielą i złotem w

świetle błyskającego płomienia na ognisku. Towarzysze na zewnątrz zachowywały cały czas

spokój...

Ale gdy śnieg opadł, on stał przed nią.

Taki sam jak przed laty, nic nie zmieniony.

Cały czas przypominał jej lodowy miecz. Tak go nazwała przy pierwszym spotkaniu.

Spod kaptura wysypały się jego falowane, srebrne włosy sięgające niżej pasa. Jego twarz ciągle

wolna była od zmarszczek, nawet skóra wokół skośnych oczu pozostawała gładka i jedwabista.

Wciąż był wysoki i smukły niczym młodzieniec, a czas nie zgiął mu pleców. Jedyne z chłodnej

głębi jego oczu wyczytać można było wiek tego mężczyzny i aurę wielkiej mocy pulsującą

wokół niego. Nikt przenigdy nie miałby żadnych wątpliwości, że był to obdarzony potężną siłą

biegły.

Uśmiechnął się i wyciągnął ku niej dłoń.

- Witaj, siostrze mego serca, Skrzydlata Siostrze Savil - powiedział w swym języku

Tayledras, postępując ku niej, by uścisnąć jej przyjazne ręce. - Zawsze z radością ciebie

witamy, moja droga.

- Gwiezdny Wicherze, *shaydra*. - Raptem pociemniało jej w oczach. Gdy się ocknęła,

biegły klęczał u jej boku, podtrzymując ją.

- Savil, ty uparta kobieto o żelaznej woli
- skarcił ją, a ona poczuła nagle silny strumień

energii spływającej na nią z jego serca.
Chwiała się, ale on podpierał ją nadal. -
Jakaż to wielka

potrzeba skłoniła cię do przybycia tutaj i
zameczania się wznoszeniem Bramy?

- Ta oto... - Savil odrzuciła płaszcz i
oczom Gwiezdnego Wichru ukazał się
zwinięty w

klębek na ziemi chłopiec z twarzą

napiętą w zmaganiach z cierpieniem.

- O boże moich ojców... - Wyciągnął dłoń, dotknął lekko czoła Vanyela i cofnął rękę w

takim pośpiechu, jakby się sparzył.

- O bogini moich matek! A cóż ty mi tu przywiodłaś, siostrze?

- Nie wiem - odparła, zwisając bez sił na jego ramieniu, - Wszystkie jego dary

ekspłodowały naraz i nie może powrócić do zdrowia... co więcej... och, jestem nazbyt

zmęczona, aby opowiadać. Tyle się

wydarzyło w naszym życiu, że nie mam już pojęcia, co

robić. Wiem tylko, że on przeżywa koszmarne męczarnie, a ja nie jestem w stanie mu pomóc, a

gdybym zostawiła go tam, gdzie mieszkamy, w najlepszym wypadku zabiłby siebie, a w

najgorszym obrócił w gruzy połowę stolicy.

- Nie mylisz się w swych sądach - odparł Gwiezdny Wicher i usiadłszy na piętach

zatopił w Vanyelu swe badawcze

spojrzenie. - On ma w sobie potencjał...
który wzbudza we

mnie strach. Jego duszę zaś spowija taki
mrok... nie, Skrzydlata Siostrze, nie zło,
nie ma w nim

żadnego zła. Po prostu... mrok. Rozpacz
jednakże nie jest jedynym powodem tego
stanu - on

odżegnuje się od swej tożsamości, od
tego, że musi zostać magiem heroldów.

To on sam, z własnej woli, narzuca
sobie ten stan. Tak myślę.

- Widzisz dużo więcej, niżli ja zdołałam
dostrzec - rzekła, pocierając bolące

czoło. -

Nie mam prawa prosić cię o to, wiem,
ale czy pomożesz mi uporać się z tym,
co nie pozwalała mu

żyć? Czy w ogóle możesz mi pomóc?

Płomień ogniska przemienił lodowy
blask oczu Gwiezdnego Wichru w złoto-
błękitne

światło.

- Masz prawo prosić twego brata o
każdą rzecz. Czyż nie obdarowałaś mnie

największym ze wszystkich podarków,
moim *shay'kreth'ashke*?

Rzeczywiście, temu nie mogła
zaprzeczyć. To, że dawno, dawno temu
przywiodła do

Gwiezdnego Wichru pewnego chłopca,
uważała po dziś dzień za jeden z
niewielu dobrych

uczynków, jakie jej się w życiu udało
zrobić. - A gdzież jest Tańczący
Księżyc?

*- Tańczący Księżyc stoi na śniegu,
chroniąc swą głowę i życie. Przekonuje*

*nieznajomego laska'Kaladra, aby mnie
nie zjadła. - Posłyszała pogodną
odповідź. - Prze-*

straszyłem ją. Myślę, że mi nie ufa.

- Kellan... - zawołała w myśli Savil.

- Wyrósł spod ziemi wprost pod nosem Yfandes i śmiertelnie ją przestraszył - odparła

przepraszająco Kellan. - Ta rzuciła się na niego, nim zdołałam go rozpoznać. Ale już wszystko

jest dobrze.

- Wielkie nieba, Kellan, na szczęście przynajmniej ty go znasz! - rzuciła. Zmęczenie za

bardzo dawało jej się we znaki i zaczęła

już tracić cierpliwość.

- *Już nie...*

- Obawiam się, że bardzo się zmieniłem,
moja Skrzydlata Siostra - rzekł
Tańczący

Księżyc, stając na tle wejścia do grotty. -
Obawiam się też, że już nawet o tym
zapomniałem.

Savil uniosła wzrok ponad ramię
Gwiezdnego Wichru i uzmysłowiła
sobie, że ze

zdumienia otworzyła usta. Gwiezdny
Wicher przyłożył palec pod jej
podbródek i ze zgrzytem

zamknął opadającą szczękę.

- Wielcy bogowie! - powiedziała wreszcie po długiej chwili martwej ciszy. -

Postarzałeś się!

Tańczący Księżyc, którego znała - wtedy od niedawna nosił to imię - był szatynem o

brązowych oczach i wyglądzie tak pospolitym jak zwykła chłopska chata. Nic dziwnego,

pochodził wszak z wieśniaczej rodziny. Ale teraz - teraz nosił długie, tak samo srebrzyste jak u

Gwiezdnego Wichru włosy, a jego oczy
nabrały tej samej lodowatej głębi, co
oczy jego

przyjaciela. Rysy jego okrągłej twarzy
niewiele się zmieniły, jedynie kości
policzkowe

zdawały się być dużo bardziej wystające
niż dawniej. Jego postura dawno
zatraciła

młodzieńczą niezgrabność i zamieniła
nastolatka w smukłego, dojrzałego
mężczyznę. Obaj, on

i Gwiezdny Wicher, mogliby być
rodzonymi braćmi, a nie braćmi krwi.

- *On nawet pachnie inaczej* - uskarżała się Kellan.

- Jak tego dokonałeś? - zapytała Savil.

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami i odrzucił na boki białą pelerynę, ukazując, że

ma na sobie tylko popielate bryczesy i bezrękawnik ze skóry, dopasowany kolorem do

wysokich butów. Savil przeszył dreszcz, gdy przypomniała sobie, iż ludzie z Tayledras nic

sobie nie robią z chłodów i mrozów.

- To magia, którą się posługujemy -
powiedział. - Ona przemienia nas w to,
czym sama

chce, abyśmy byli. Tak mi się
przynajmniej wydaje.

- Jak zwykle upraszczasz wszystko -
upomniał go pieszczotliwie Gwiezdny
Wicher. -

Ka'sheeleth. Savil przywiozła ze sobą
pewien problem. Podejdz i przyjrzyj się
temu chłopcu...

Tańczący Księżyc zbliżył się do Savil,
usiadł na piętach u jej boku i na parę
chwil

zatopił wzrok w twarzy Vanyela.

- *Hai'yasha* - westchnął. - *Shay'a'chern*,
prawda? I utracił swą miłość? Nie, to
jeszcze

głębsze. - Podobnie jak wcześniej zrobił
to Gwiazdny Wicher, wyciągnął rękę i
dotknął czoła

chłopca, ale nie cofnął jej. - *Ai'she'va...*
Najświętsze Matki! Jakiż to potworny
ból! - Zacisnął

szczęki i źrenice jego oczu ściągnęły się
do średnicy czubka igły. - Ograbiony i
osierocony po

stracie swego *shay'kreth'ashke*. - Jego

twarz skamieniała. - Sługą jest... i sługą
był... - wyrzekł

matowym głosem, zniżonym o pół tonu. -
Sługą, którym jest, a być nie pragnie.
Lecz nieza-

leżnie od jego woli toczy się gra... a gra
ta jest próbą...

- Co za gra? - zapytał szeptem Gwiezdny
Wicher.

Tańczący Księżyc zawahał się przez
moment, ale już po chwili jego twarz na
powrót

ożywiła się, a źrenice odzyskały dawny
kształt.

- Tego wiedzieć nie sposób - odparł, z wolna unosząc dłoń z czoła Vanyela. -
To jest

całkowicie zależne od tego, czy on chce zostać kimś więcej niżli tylko sługą.
Lecz wydaje mi

się, że nauka należy do ciebie -
powiedział, unosząc wzrok na biegłego.
- On zdaje się mieć w

sobie jakby twe własne siły. A co do jego powrotu do zdrowia, uważam, że najpierw sam musi

tego chcieć, to już będzie połowa sukcesu... a potem... zobaczymy czy w ogóle uda się go

postawić na nogi...

- Druga połowa leży w twoich rękach -
uśmiechnął się z ironią biegly.

Tańczący Księżyc odwrócił ręce
Vanyela i ujrzał blizny w nadgarstkach...
potem sam

przekręcił własną dłoń i światło bijące
od ogniska padło na długą szramę na
jego ręce, biegnącą

od środka pokrytej złotawą skórą dłoni
aż do połowy przedramienia, wzdłuż
niebieskiej tętnicy

pulsującej pod grubą krechą blizny.

- No, kto z nas był lepszy? - zapytał. -
Zdaje się, że coś nas łączy.

Savil znów straciła równowagę, ścięta z
nóg nowym zawrotem głowy. Gwiezdny

Wicher jednak w porę uchwycił jej
ramiona i nie pozwolił upaść.

- Chcesz spędzić noc tutaj, czy możesz
jechać konno?

Savil opadło nagle pragnienie rzucenia
się na piasek, tak jak stała, lecz na myśl
o

ciepłym łóżku szybko zrezygnowała z
tego zamiaru.

Wszak tam, na mrozie, w śniegu czekają
Towarzysze wciąż uwięzione w swych
uprzężach.

- Towarzysze mogą unieść dwie osoby -
rzekła z westchnieniem, czując się
bliska

omdlenia. - Jeśli nie masz nic przeciwko
temu, możesz dosiąść jednego z nich
albo przywiązać

nas do siodeł i wtedy będziemy mogli
jechać sami. Mnie jest to obojętne,
róbcie, jak chcecie. Ja

pragnę tylko, aby Towarzysze znalazły
ciepłe schronienie.

- W takim razie jedziemy - rzekł
Gwiezdny Wicher. Tańczący Księżyc
bez wysiłku

uniósł chłopca jakby ten nic nie ważył.
Starszy biegły wstał i podał rękę Savil,
która z trudem

zebrała siły, by podnieść się z ziemi. -
To niedaleko, Skrzydlata Siostró.

- Mam nadzieję - odparła z powagą,
chwiejnym krokiem wychodząc na śnieg.

Tymczasem Tańczący Księżyc jednym
spojrzeniem rzuconym w pośpiechu
przez ramię ugasił

ogień. - Jeśli to nieprawda, będziecie

musieli nieść nie tylko chłopca, ale też i mnie.

Najpierw była ciemność, a potem wszechogarniający spokój oszołomienia spływającego nań z chwilą przyjęcia leku. Spokój bez cienia jakiegokolwiek myśli. Tajemnicza

mikstura stała się jedynym źródłem ciszy i ukojenia. Dlatego też z radością witał Vanyel

rudowłosego uzdrowiciela pojawiającego się przy jego łóżku co dzień. Czasem jednak cisza i

ukojenie zdawały się nie wystarczać.

Wtedy Vanyel z nadzieją wyczekiwał momentu, gdy

uzdrowiciel pomyli się w swych obliczeniach i poda zbyt dużą dawkę... a on już nigdy nie

przebudzi się ze snu.

Potem znów dopadał go ból, nieokreślony ból, choć bliski, dotkliwy niczym ukłucie

promienia słońca na spalonej skórze.

Nawet leki nie zdołały go stłumić.

Vanyel próbował go

odrzucić, lecz ból nie ustawał. Pulsował wszędzie tam, gdzie rany wciąż jątrzyły

się,

zapowiadając nadejście cierpień o
wiele większych.

Raptem... potworne boleści ogarnęły
całe jego ciało i umysł. Krew w żyłach
rozpaliła

się wielkim ogniem, płomienie tańczyły
wzdłuż nerwów, wypalając mu umysł.
To na pewno

ogień Bramy i jej energia. Przestał już
wątpić. Ale ból wciąż trwał, choć
dawno minął moment,

w którym Vanyel czuł, że męczarnia
pozbawia go zmysłów i zatrzymuje bicie

serca. Krzyczał

co sił... a może tylko mu się wydawało.
Zagubił się zupełnie, nie było już
ucieczki, nawet w

śmierć. Ból nie chciał pozwolić mu
umrzeć.

Nagle cierpienie ustało, lecz jego
drobne ogniki wciąż pełgały po
rozpalonych na nowo

ranach, co gorsza, przed oczami stanęły
mu nagle wspomnienia
najtragiczniejszych chwil -

umierająca Gala, Tylandel rzucający się
z wieży, a potem jego ciało na marach...

Naraz, niespodziewanie, pojawił się sen.

*Vanyel stał w wąskim przesmyku
Garbatej Przełęczy, blokując przejście.
Magiczne*

*światło bijące od jego uniesionej w
gorę dłoni odbijało się na kamiennych
twarzach i w*

*pustych, zapadniętych oczach trzech
czarowników.*

To nie był już tamten sen o samotności
pośrodku lodowej krainy. Teraz pod
powłoką

snu Vanyel wyczuwał różne rzeczy, ale

nie był jeszcze w stanie zrozumieć ich prawdziwego

znaczenia..

Wszystko zdawało się tak realne, przerażająco realne.

- Dlaczego zajmujesz się tymi bzdurami?

Za plecami czarowników odezwał się słodki, śpiewny głos. Szeregi armii rozstały się

ponownie i wyłoniła się jeszcze jedna sylwetka.

- Jesteś zupełnie sam magu heroldów. -

*Jeden z czarowników usunął się na bok,
robiąc*

*przeście dla nowo przybyłego, by ten
mógł stanąć przed Vanyelem.*

*Młody nieznajomy był piękny. Nie ma
słowa, które mogłyby opisać lepiej jego
idealne*

*rysy twarzy, proporcjonalne dało,
włosy i oczy połyskujące blaskiem
przedświtu. Od jego*

*sylwetki biła wielka pewność siebie i
moc tak potężna, że cała jego osoba
zdawała się dziełem*

sztuki.

*Gdyby nie ciemne oczy, można by go
wziąć za brata Vanyela, a nawet
samego Vanyela*

*sprzed paru lat. Jednakże fakt, że
wszystko w nim zdawało się
nieskazitelne, perfekcyjne wręcz,*

*nie pozwalał snuć domysłów o
podobieństwie.*

*Chłopiec odziany był w popielatą
zbroję, jak jego żołnierze, lecz nie
dzierżył żadnego*

*oręża. Bo też wcale go nie
potrzebował; sam stanowił broń, której
jedynym celem było*

*zglądzenie tego, którego zdoła opętać
swą potężną mocą. W przeciwieństwie
do noża, który*

*tnąc może i leczyć, i zadawać rany, on
potrafił tylko zadawać cierpienie.*

Vanyel wiedział o tym

równie dobrze, jak on sam.

*- Jesteś sam - powtórzył młody
nieznajomy, z uśmiechem
wypowiadając słowa*

*obliczone na zadanie bólu. - Zupełnie
sam.*

Vanyel pokiwał głową.

- Nie mówisz mi nic, czego sam bym nie wiedział. Znam cię. Jesteś Lareth.

Słowo to

oznacza...

- Ciemność. - Lareth zaniósł się śmiechem. - Jestem ciemnością. A to moje sługi.

Osobliwa koncepcja, nieprawdaż?

Vanyel nie odpowiedział.

Przetrzymując Laretha jak najdłużej, zyskiwał na czasie,

wygrywał kolejne minuty dla Tylendela i Yfandes pędzących mu na pomoc...

... ale przecież Tylendel nie żyje...

- *Nie musisz być sam - ciągnął Lareth, zmysłowo zwilżając językiem wargi. -*

Wystarczy, abyś wyciągnął do mnie dłoń i przyjął w siebie mój mrok... a nigdy nie będziesz sam.

We dwóch moglibyśmy wiele dokonać. A jeśli chcesz... mógłbym nawet... -
postąpił krok

naprzód - mógłbym nawet przywrócić ci twego kochanka. Pomyśl tylko. Pomyśl o Tylendelu...

żywym, znów u twego boku.

- *NIE!*

*Zanosząc się od szlochu, zamachnął się
i całą swą mocą uderzył w tę
przeróżającą,*

piękną twarz.

- *To sny, Vanyelu.* - Zabrzmiał
niespodziewanie zielono-błękitny głos,
powstrzymując

go od zadania ciosu, - *To tylko sny.*
Jeśli zechcesz, rozplyną się we mgle.

Na dźwięk tych słów wszystko - armia,
przesmyk, Lareth - wszystko rozwiało
się w

ogarniającym go znów mroku, w
ciemności ukojenia, w której Vanyel
zatonął równie ochoczo,

jak przed chwilą odtrącił propozycję ze
snu.

Po jakimś czasie w ciszę wkradła się
chłodna, zielonozłota muzyka. Nie
zakłóciła

jednak spokoju, wręcz przeciwnie, stała
się jego uzupełnieniem. Odnajdując
drogę do jego

umysłu, wędrowała po różnych jego
zakamarkach, pozostawiając po sobie
ukojenie i zaleczone

rany. Przepływała przez niego szerokim strumieniem, a on z rozkoszą poddawał się jej

działaniu. Otaczała go, obmywała swym balsamem, uwalniając ze wszystkich trosk i cierpień...

... poza poczuciem pustki w zakątku serca należącym niegdyś do Tylandela - ta rana

wciąż jątrzyła się przynosząc ból i poczucie krzywdy...

Naraz do łagodnych dźwięków zielono-złotej melodii dołączyła błękitno-zielona

harmonia podobna do głosu, który przed momentem rozproszył koszmarne sen.

Nowa muzyka

nie pozwalała bezwiednie unosić się na jej falach bez celu i sensu. Nowa muzyka wskazywała

mu jakąś nową drogę. Oplotła swą melodią duszę Vanyela z takim wdziękiem, że był gotów

pójść, dokądkolwiek go wiodła.

Teraz błękitno-zielone dźwięki wysunęły się na pierwszy plan, a melodia zielono-złota

powoli rozwiała się w oddali. Wtedy

we śnie odezwał się znów znajomy już głos.

- Posłuchaj, chcesz zapanować nad sobą... oto na czym masz się skoncentrować...

Muzyka zaprowadziła go w dal, w przestrzeń, gdzie odnalazł równowagę. I dopiero gdy

odczuł dobroczynną moc owej równowagi, zdał sobie sprawę, jak bardzo jej pragnął. Muzyka

wirowała wokół niego, a on wirował razem z nią i wiedział, że gdy raz odnalazł spokój, już

nigdy go nie utraci.

- *Tak, tak, właśnie tak* - mówił ze śmiechem głos muzyki. - *Teraz będziesz potrafił się*

chronić... oto twa osłona, widzisz? Jest gęsta, szczelna i powolna twej woli. Tylko twojej woli,

Vanyelu, bo sama jest tylko wolą...

Otoczyły go ściany odgradzające jego umysł od umysłów innych. Rozpoznał ich

działanie i sprawił, by stały się jeszcze grubsze, bardziej masywne... a potem zamienił je w

przesłonki lekkie niczym woal. Wiedział już, że w każdej chwili będzie mógł je wzmocnić.

Naraz błękitno-zielona muzyka ucichła i melodia pobrzmiwała znów tylko tonami

złotej zieleni. Opowiadała mu o ukojeniu, spoczynku, spokoju, a on znów śnił. Śnił o

przebudzeniu, o poddaniu się woli drugiej osoby, o najprostszych potrzebach: picciu, jedzeniu i

ponownym odpłynięciu w sen. Nie nawiedzały go już żadne koszmary. Pozostała tylko zielono

brzmiąca muzyka.

Wtedy przebudził się... prawdziwym przebudzeniem, nie takim ze snu.

Przebudził się

na dźwięk donośnych, natarczywych tonów, raz po raz wkradających się pomiędzy łagodne

akordy muzyki. Nowe tony zdawały mu się znajome, lecz nie potrafił ich zidentyfikować. W

powietrzu unosiła się woń paproci, wznoszących roślin i świeżo zaoranej ziemi oraz delikatna

nuta jakiegoś metalicznego zapachu.

Nie czuł już działania lekarstw. Ustała męczarnia boleści płynąca z ognisk energii w

jego umyśle.

Bez pośpiechu otworzył oczy.

Przez krótką chwilę opanowało go przeświadczenie, że tkwi w powietrzu, zawieszony

na drzewie. Ze wszystkich stron otaczała go zieleń, a nad głową pochylały się konary drzewa z

obfitym listowiem. I wtedy uzmysłowił sobie, że choć drzewa i liście w istocie były prawdziwe,

nie były one częścią jednego i tego samego organizmu. Gałęzie podtrzymywały niespotykanej

wielkości paprocie, splatające swe liście w olbrzymi żywy baldachim, podobny do tego nad

łożkiem Vanyela w Przystani. Natomiast zieleń dookoła niego nie była niczym innym jak

kotarą składającą się z wielu warstw tkaniny o wszelkich możliwych odcieniach zieleni,

zwisającej z ramy utworzonej z konarów drzew. Każda z warstw tej lekkiej niczym pajęczyna

materii przycięta została na kształt opadającej kaskady liści. Vanyel nigdy w życiu nie widział

czegoś podobnego, nigdy nie wyobrażał sobie nawet, że w zwykłej zieleni może kryć się tyle

przeróżnych odcieni.

Pomiędzy liśćmi paproci przebijały się promienie słońca. Pościel - jeśli tak ją można

było nazwać - o ciemnozielonej barwie mchu była miękka i w dotyku przyjemna jak aksamit,

lecz zdawała się bardzo ciężka.

Vanyel spróbował wstać, ale szybko przekonał się, że nie potrafi. Był kompletnie

wyczerpany. Nie miał sił na najmniejszy ruch.

Muzyka dobiegająca spoza zasłon umilkła nagle i kotary się rozchyliły.

Mrugając oczami ze zdumienia, popatrzył na stojącą przed nim na tle zielonej materii

postać młodego mężczyzny. Zdawał sobie sprawę z tego, że takie bezmyślne gapienie się nie

jest przejawem dobrych manier, ale nie

mógł się powstrzymać. Vanyel nigdy nie
widział

człowieka o podobnym wyglądzie...

Młodzieńca... o włosach siwych niczym
u mężczyzny w jesieni wieku, dłuższych
niżli

włosy wielu niewiast, i błękitnych,
połyskujących lodowym chłodem,
oczach przeszywających

go na wskroś. Oczach pełnych myśli i
sekretów, o których odczytaniu Vanyel
nie mógł nawet

marzyć. Mężczyzna miał na sobie
skórzany kaftan bez rękawów i

ciemnozielone bryczesy, a w

ręce podtrzymującej zasłony trzymał biały flet wycięty z nieprzezroczystego, fosforyzującego

kryształu.

Vanyel nagle uświadomił sobie, iż rzeczywiście nie potrafi odczytać myśli

nieznajomego. Czuł obecność jego umysłu, lecz nie udawało mu się z otaczającej go ciszy

wyłowić ani jednej myśli młodego mężczyzny.

Wyjąkał więc pierwsze słowa, jakie

przyszły mu na myśl. Nie były one może nazbyt

mądre, ale...

- Gdzie... ja jestem? Kim ty... jesteś?

Nieznajomy przechylił głowę lekko na bok i Vanyel ujrzał cień uśmiechu przemykający

po jego twarzy. Potem usłyszał wypowiedane powoli, z dziwnym akcentem, słowa.

- No cóż. Pytasz: Gdzie ja jestem?... To dużo lepiej niż myślałem. Przyznam, Vanyelu,

że obawiałem się, iż powiesz: Kim
jestem? - Przechylił głowę w drugą
stronę i tym razem jego

oblicze rozjaśnił prawdziwy uśmiech. -
Jesteś na ziemiach k'Trevów na
Wzgórzach Pelagris i

nim zadasz mi następne pytanie, spieszę
wyjaśnić, że to twoja ciotka, Skrzydlata
Siostra Savil,

cię tu przywiozła. Jesteśmy
przyjaciółmi, a ona zwróciła się do nas
z prośbą o pomoc dla ciebie.

Jestem Tańczący Księżyc k'Treva z
Tayledras, twój uzdrowiciel. Leżysz
teraz na moim łóżku.

Podoba ci się ono? Gwiazdny Wicher uważa cały jego wystrój za zbyt udziwniony, ale myślę,

że jest po prostu zazdrosny, iż sam tego nie wymyślił.

Pod wpływem zamętu rodzącego się w jego głowie, Vanyela stać było tylko na mruganie powiekami.

Tańczący Księżyc sposepniał i pokiwał głową.

- Za bardzo się rozpedziłem, prawda?
Najpierw zajmijmy się mniej skomplikowanymi

sprawami. Jesteś głodny? Spragniony?
Chciałbyś wziąć kąpiel?

Vanyel uzmysłowił sobie nagle, że czuje
głód, pragnienie, a poza tym, jego ciało

rozpaczliwie domaga się kąpieli.

- Wszystko naraz - odparł niezbyt
pewnie.

- A więc zaspokoimy wszystkie trzy
potrzeby. - Tańczący Księżyc odsunął
zasłony i...

wyciągnął rękę, by odkryć pościel.
Wtedy dopiero Vanyel zreflektował się,
że jest całkiem

nagi, oblał się rumieńcem i ścisnął mocno kołdrę.

Tańczący Księżyc był tym szczerze ubawiony.

- Jak ci się wydaje, kto cię rozebrał i położył do łóżka? - zapytał. -
Zapewniam cię, że

nie był to Wschodni Wiatr.

Vanyel znów się zarumienił, ale wciąż nie puszczał kołdry.

- No dobrze... wstydlivi chłopcze... -
Tańczący Księżyc włożył rękę między zasłony i

rzucił coś na kołdrę.

- Vanyel sięgnął po to zaraz... Był to zielony szlafrok z jedwabistej tkaniny, na

szczęście dużo grubszej niż materia, z której zrobiona kotary. Gdy Tańczący Księżyc osten-

tacyjnie odwrócił się plecami, Vanyel wygramolił się z łóżka i narzucił na siebie okrycie.

Od razu poczuł nowy zawrót głowy i przed upadkiem uratowała go tylko bliskość

wezglowia łóżka, którego w ostatniej

chwili zdołał się uchwycić.

- To się nigdy nie skończy. - Poczł między oczami jakiś chłodny dotyk i pokój nagle

przełwał wirować.

- Chodź. - Tańczący Księżyc stał tuż przed nim, wyciągając doń zachęcająco ręce. -

Patrz na mnie... tak. Zrób krok. A teraz drugi. Dużo czasu spędziłeś w łóżku. Musisz niemal od

nowa uczyć się chodzić.

Uzdrowiciel szedł powoli tyłem, a

Vanyel, prowadzony jego wzrokiem, postępował za

nim. Nie podpierał chłopca w żaden sposób i ten utrzymywał się na nogach o własnych siłach.

Tylko raz, gdy Vanyel potknął się, Tańczący Księżyc chwycił go na chwilkę i odczekał, aż

odzyska równowagę.

Dopiero widząc, że Vanyel znów mocno stoi na nogach, puścił go i pozwolił iść dalej.

Vanyel nie zorientował się nawet, że przekroczyli próg innego pokoju.

Zwykle

chodzenie wyciskało z niego tyle potu,
że koncentrował się wyłącznie na tej
czynności, nie

mając odwagi rozejrzeć się wokół.
Zdawało mu się, że minęły lata, nim
Tańczący Księżyc

zatrzymał się, uchwycił go za łokieć i
podprowadził do siedzenia na gładkim
kamiennym

występie opasującym basen pełen
parującej wody.

- A teraz rozejrzyj się. - Tańczący
Księżyc ogarnął gestem cały pokój. - To

jest basen

do mycia. Tu masz mydło. Gdy już się umyjesz, idź tam, do basenu przeznaczonego do

odpoczynku.

Basen, przy którym Vanyel teraz siedział, nie był co prawda nazbyt obszerny, ale

przynajmniej dość głęboki. Obok niego znajdował się drugi, dużo większy, dużo głębszy basen

do odpoczynku. Nieco wyżej, ponad taflą wody, w ścianie widniał dość spory otwór, z którego

łała się gorąca woda. Patrząc na kamienne obrzeża obydwu basenów i piaszczyste dno,

odnosiło się wrażenie, że obydwa baseny są raczej tworem natury niżli rąk ludzkich.

- Wydaje mi się, że choć jesteś jeszcze dość słaby, świetnie dasz sobie radę.

Przyjdę

później i przyniosę ci coś do jedzenia i picia. - Mężczyzna zawahał się przez moment... a potem

ze zwinnością spadającego na swą ofiarę sokoła, pochylił się i pocałował Vanyela prosto w

usta. - Cieszymy się, że możemy cię
gościć, Vanyelu - powiedział, nim
Vanyel zdążył

otrząsnąć się ze zdumienia. - Ja i
Gwiezdny Wicher przyjmujemy cię z
radością, i to nie tylko

ze względu na Skrzydlatą Siostrę Savil.

A potem ulotnił się jeszcze szybciej, nie
czekając na reakcję chłopca.

Vanyel zaraz zorientował się, że jeśli
tylko unika gwałtownych ruchów, nie
męczy się

na zbyt szybko i rzeczywiście może dać
sobie ze wszystkim radę. Natychmiast

więc zrzucił

szlafrok i oddychając z ulgą, zanurzył się w gorącej wodzie. Namydlił całe ciało, a potem

dokładnie opłukał. Basen opróżniał się sam, nadmiar wody wylewał się przez jego obrzeża do

kanalu w podłodze, lecz skąd i dokąd płynęła woda, w dalszym ciągu pozostawało dla Vanyela

zagadką. Wreszcie domyślił się, że musiała pochodzić z jakiegoś gorącego źródła, a to

tłumaczyłoby także obecność

metalicznego zapachu w powietrzu.

Teraz, gdy był już całkiem sam, Vanyel mógł wreszcie rozejrzeć się dookoła i

zastanowić się nad własną sytuacją. W całym mieszkaniu zdawało się nie być żadnych drzwi, a

przejścia pomiędzy poszczególnymi pomieszczeniami pozostawały stale otwarte. Sama

łazienka zaś sprawiała osobliwe wrażenie, ponieważ składała się z kilku poziomów. Na

najwyższym z nich znajdował się basen do odpoczynku, z którego woda

splywała kaskadą do

basenu do mycia. Ten z kolei
umieszczony był także powyżej poziomu
właściwej podłogi, w

której wydrążono kanał odprowadzający
wodę. Ściany wzniesione z naturalnych
skał nie miały

okien, ale dzięki przeszklonemu sufitowi
całe wnętrze było doskonale oświetlone.
Łazienka

wręcz tonęła w zieleni. Wszędzie pełno
było paproci, pnączy i najróżniejszych
roślin

obsypanych kwiatami. Vanyel zauważył

też, że jest tylko jedno wyjście, do sypialni. Tam także

wykute w skale ściany pozbawione były okien, a światło wpadało przez przeszklone sklepienie.

Choć skalny murek odgradzający obydwa baseny nie był wysoki i Vanyel nie

spodziewał się, aby mógł stanowić znaczącą przeszkodę, przedostanie się na drugą jego stronę

okazało się dla chłopca wyczynem dość wyczerpującym. W końcu jednak udało mu się go

dokonać i już po chwili Vanyel płaWił się w gorącej, krystalicznie czystej wodzie. Zaraz też

odkrył, iż jego przypuszczenie co do pochodzenia wody w basenie było słuszne. Rzeczywiście

z piaszczystego dna unosiła się burza bąbelków, świadczących o tym, że wybija tam źródło.

Człowiek tylko poprawił autentyczne dzieło natury, wygładzając skały tworzące naturalny

zbiornik.

Vanyel poczuł się wspaniale.

Temperatura wody, choć dość wysoka,
zdawała się

wprost idealna; nie sposób było się
oprzeć jej relaksującemu działaniu.

Vanyel zamknął oczy,

ułożył się wygodnie i oddał się
rozkosznej beztrosce, pozwalając swym
myślom rozpływać się

w krążącej nad basenem parze. Z owego
błogostanu wytrącił go dopiero dźwięk
kroków na

kamiennej posadzce.

Do łazienki wszedł właśnie Tańczący
Księżyc, przynosząc dzban jabłecznika i

dużą

misę pełną chleba, sera i owoców.

- Jedz powoli - powiedział, wspinając się na poziom basenu, by postawić jedzenie na

kamiennym murku. - Od trzech tygodni nie miałeś nic w ustach i prawie cały czas znajdowałeś

się pod wpływem leków.

- Od trzech tygodni?

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami.

- Trzeba było kuracji, jakiej nie mógł ci

zapewnić twój poprzedni uzdrowiciel,
Andrel.

Przypuszczam, że żaden spośród
waszych uzdrowicieli nie byłby w stanie
zastosować

podobnej terapii. Wasi ludzie nie mają
pojęcia o leczeniu ran zadanych przez
magię. Potrafią

zwalczać tylko zwykłe choroby i
obrażenia ciała. W twoim przypadku
trzeba było posłużyć się

wiedzą, jaką posiadało dotąd niewielu, w
większości mieszkańców Tayledras.
Posil się,

Vanyelu. Do chleba i jabłeczniaka
dodano zioła, które cię wzmocnią.

- A gdzie... gdzie jest Savil? - zapytał
Vanyel, zaniepokojony przedłużającym
się

obcowaniem sam na sam z nieznanym.

- Jest z Gwiezdnym Wichrem. Była
niezwykle wyczerpana, zarówno na
duszy jak i

ciele. To przez te... wszystkie
wydarzenia. Podobnie jak ty bardzo
ciężko to przeżyła. Myślę, że

jej serce nadal krwawi. Mój
shay'kreth'ashke i Savil są starymi

przyjaciółmi, którzy kochają się

szczerze i nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Savil bardzo potrzebowała takiej miłości.

Może nawet bardziej niż ty, ponieważ naprawdę od dawna nie miała w nikim oparcia.

Słowo *ashke* wypowiedziane przez mężczyznę podziałało na Vanyela jak kubeł zimnej

wody. Serce skoczyło mu do gardła. Błyskawicznie zadarł głowę i obrzucił Tańczącego

Księżycą drapieżnym spojrzeniem.

Ten spuścił wzrok na chłopca i zamyślił się nad czymś przez moment. Potem popatrzył

na niego badawczo, odchrząknął i odwrócił oczy.

- Mam ci coś do powiedzenia i chciałbym bardzo, abyś się nad tym zastanowił.

Vanyel odstawił dzban z jabłecznikiem, zamieniając się w słuch.

- Zagłębiłem się w twe myśli. Wiem o tobie więcej niż ktokolwiek inny, może z wyjątkiem twego *shay'kreth'-ashke*.

Tańczący Księżyc zmienił pozycję.
Odwrócił się tyłem do basenu i
wsparłszy głowę na

rękach, począł wpatrywać się w chmury
widoczne przez przeszkłone sklepienie.
Widać było,

że starannie unika wzroku Vanyela.

- Jak już zapewne zgadłeś - zaczął -
jestem *shay'a'chern*. Podobnie jak
Gwiezdny

Wicher i ty. - Teraz dopiero rzucił na
chłopca krótkie, niemal niedostrzegalne
spojrzenie spod

oka i kontynuował. - Jestem biegłym

uzdrowicielem i leczę nie tylko ludzi,
leczę miejsca.

Znam świat natury bardzo dobrze.
Jedynie człowiek pragnący przywrócić
mu dawną

równowagę może wiedzieć o nim tak
wiele. Oto co chcę ci przekazać: Na
całym świecie żyje

wiele stworzeń, które łączą się w pary,
by spędzić razem całe życie. Są to
zwierzęta otoczone

największym szacunkiem i podziwem,
jak: wilki, łabędzie, gęsi, wielkie ptaki
drapieżne oraz

wiele innych, które człowiek może jedynie naśladować w swych zachowaniach. Chcę, abyś

wiedział, że związki osobników tej samej płci zdarzają się pośród wszystkich gatunków

zwierząt. Nie są może częste, ale uwierz mi, można je spotkać.

Vanyel poczuł nagle, że znieruchomiał. Nie miał pojęcia, dokąd ten wywód zmierza.

Tańczący Księżyc spuścił nań oczy i wtedy ich spojrzenia połączyły się ogromną mocą

ich wspólnej woli.

- Zadręcza cię strach, poczucie wstydu, które zrodziło się z twych wątpliwości i

przemyśleń na temat związku z Tylendelem. Chcę, abyś wziął sobie do serca to jedno: związku

shay'a'chern zdarzają się w naturze. Jak więc mogą być nienaturalne? Zwyczajnie nie są. Nie są

pożądane z punktu widzenia przetrwania gatunku, ponieważ nie doprowadzają do prokreacji.

Nie są jednak nienaturalne. Jakże niewinne są zwierzęta zamieszkujące

poła i lasy. Człowiek

nigdy nie dorówna im czystością myśli i
uczuc, ponieważ zna zło i dobro, między
którymi

zawsze musi wybierać. A jednak one
nigdy nie odrzucają osobników
shay'a'chern. Z twym

shay'kreth'ashke łączyła cię wielka
miłość, tylko miłość. Nie można się
wstydzic miłości.

Vanyel stracił dech w piersi. Przed sobą
widział tylko błękitne, lodowate oczy
mężczyzny.

- Myślę, że tam gdzie jest miłość, nie liczy się sposób, w jaki ona się przejawia, a

bogowie się radują. Tyle nauczyły mnie moje obserwacje. Co się rodzi w naturze, jest jej

dziełem, a jeśli bogowie odnaleźliby w tym coś złego, nie pozwoliliby na jego istnienie. Chcę,

aby ta prawda wzmocniła twe serce i duszę.

Jeszcze raz, nim Vanyel zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Tańczący Księżyc pochylił

się i pocałował go, tym razem w czoło.

- Zostawiam cię teraz z tą strawą wielorakiego przeznaczenia. -

Uśmiechnął się i

mrugnął porozumiewawczo. - Ponieważ nie masz chyba zamiaru zapuścić korzeni w tym

basenie, muszę pójść poszukać ci czegoś do ubrania. Ja nie miałbym nic przeciwko temu, abyś

sobie tu jeszcze

posiedział, ale twoja ciotka nie może się wprost doczekać, kiedy zobaczy cię wreszcie

przytomnego i w pełni sił, a nie
chcielibyśmy chyba wywołać
rumieńców na jej twarzy,

prawda?

Powiedziawszy to, zeskoczył z brzegu
basenu i znów zniknął.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Proszę. - Nim minęło parę chwil,
Tańczący Księżyc znów wszedł do
łazienki,

przynosząc tym razem ręcznik i złożone
w kostkę, zielone jak jego ubranie.
Vanyel dostrzegł

jednak gwałtowną odmianę w nastroju mężczyzny; na jego twarzy odbijało się przygnębienie.

- Obawiam się, że sam będziesz musiał dać sobie radę. Wydarzyło się coś złego i

wezвано mnie, abym się tym zajął. Gwiezdny Wicher i Savil wkrótce tu będą. - Zawahał się

przez moment, był wyraźnie rozdarty. - Wybacz mi, muszę już iść.

Położył rzeczy na brzegu basenu i w mgnieniu oka wybiegł z łazienki.

Bogowie, czuję się jak postać z bajki -

pomyślał Vanyel. Ktoś, kto zasypia i
budzi się po

stu latach. Wciąż trudno mi w to
wszystko uwierzyć, jakbym wciąż spał.

Ubierał się powoli, starając się zebrać
myśli, co wciąż przychodziło mu z
wielkim

trudem. Pamiętał wprawdzie - choć dość
słabo - że Savil mówiła mu, iż jest zbyt
ciężko chory,

aby Andrel zdołał go wyleczyć swoimi
sposobami. Przypominał sobie też, że
mówiła mu o

tym, iż chciałyby go zabrać do jakichś

przyjaciół. Wtedy jednak nie przywiązywał wielkiej

wagi do tego, co się z nim działo. Wciąż albo spał, odurzony lekami, albo zmagał się z

cierpieniem, które nie pozwalało mu myśleć o niczym innym.

Najwyraźniej Tańczący Księżyc i Gwiezdny Wicher byli właśnie owymi przyjaciółmi.

Zdawali się równie osobliwymi ludźmi jak tamte maski z paciorków i piór na ścianie w

apartamencie Savil. To miejsce również

sprawiało wrażenie dość niezwykłego.
Tym bardziej

że Vanyel nie wiedział nawet, gdzie
naprawdę ono się znajduje.

Przeciągnął przez głowę zieloną tunikę i
nagle uprzytomnił sobie coś. Nie był już

odurzony lekami, co więcej, nie czuł
cierpienia. Najbardziej rozognione
źródła bólu w jego

umyśle, choć wciąż je odczuwał,
przystały już być tak wrażliwe jak
przedtem.

Tańczący Księżyc powiedział, że mnie
wyleczył. Czy dlatego wydaje mi się,

jakbym

znał go od dawna? Tayledras. Czyż nie jest to kraina z opowiadań ciotki?

Myślałem zawsze, że

tym właśnie jest ten kraj - krainą z bajki. Nie rzeczywistą ziemią.

Rozejrzał się po dziwnym, na wpół wybudowanym, na wpół stworzonym przez

naturę pomieszczeniu, w którym dzieło ręki ludzkiej i natury splatały się w tak idealnej har-

monii, iż nie sposób było odróżnić, gdzie kończy się jedno a zaczyna drugie.

To naprawdę istnieje - pomyślał.
Bogowie, gdybym miał opisać to
miejsce, nikt nigdy

nie dałby wiary ani jednemu mojemu
słowu. Wszystko tutaj jest... takie inne.
Nawet ja sam

czuję się inaczej.

Wyczuł wokół siebie jakąś barierę,
jakąś osłonę otaczającą jego myśli.
Zrazu odniósł

się do jej istnienia z wielką
ostrożnością, zbadał ją, wciąż dość
niepewnie, i uświadomił sobie,

że sam może panować nad jej

działaniem. Gdy ją osłabiał, stawała się cieńsza i wówczas

doznawał jakby poczucia obecności innych umysłów gdzieś w oddali, poza ścianami pokoju, w

którym się znajdował. Musiały to być, nie miał co do tego wątpliwości, myśli zwierząt, może

ptaków, sądząc po ich przytłumionych tonach. Oprócz nich i ponad tamtymi brzmiały dwa

zupełnie wyraźne głosy. Te jednak były zupełnie nieprzejryste dla myśli Vanyela, który nie

potrafił rozpoznać, o czym mówią. Jeden miał ton głosu Savil, drugi zaś musiał należeć do

owego tajemniczego Gwiezdnego Wichru. Dalej pobrzmiwały jeszcze dwa, równie wyraźne i

równie nieprzejrzyste... lecz jeden z nich rozpoznał od razu jako głos myśli Yfandes.

Yfandes. Towarzysz. Mój Towarzysz.

A więc... to nie było złudzenie.

Rzeczywiście jakimś zrzędzeniem losu ujawniły się u

niego dary heroldów i został wybrany

przez Towarzysza.

Ujawniły się u mnie dary, których nigdy nie pragnąłem, zwłaszcza za taką cenę.

Oddałbym je wszystkie wraz z połową życia, aby tylko... być znów z nim.

Myśl ta ugodziła go niczym cios w serce. Zszedł z poziomego górnego basenu i opadł

ciężko na jedną z kamiennych ław ustawionych wzdłuż ścian łazienki. Był zbyt przygnębiony i

wyczerpany, by zrobić cokolwiek więcej.

Och, Lendelu... bogowie - pomyślał,
pogrążając się w beznadziejnej
rozpaczy. Co ja tu

robię? Dlaczego nie pozwolili mi
umrzeć?

- *Czyżbyś mnie nienawidził, mój
Wybrany?* - zapytał z wyrzutem wyraźny
głos w jego

myślach. - *Czyżbyś nienawidził mnie za
to, że pragnę, abyś żył?*

- *Yfandes?* - Przypomniał sobie nagle
słowa Savil mówiące o tym, że gdyby
umarł,

Yfandes zagłodziłaby się na śmierć i

uschła z poczucia winy. - *Och, bogowie, Yfandes, nie...*

nie, przepraszam... ja tylko...

Wcześniej oszałamiająco działające leki nie pozwalały mu o tym rozmyślać.

Wówczas

nie był w stanie skoncentrować się na niczym bardziej zawiłym niżli zastanawianie się, co

może przynieść następna chwila. Teraz jednak... jego myśli znów stały się jasne i przejrzyste.

Nie mógł dłużej ignorować faktu, że Tylenel nie żyje, nie było też leków,

które pomogłyby mu

pogrążyć się w błogim stanie
zapomnienia.

*- Tęsknisz za nim, prawda? - zapytała
łagodnie. - Potrzebujesz go i dlatego
tęsknisz.*

*- Jest częścią mnie, jak moje ramię, jak
moje serce. Wprost nie potrafię sobie
wyobrazić życia bez niego. Nie wiem,
co ze sobą zrobić, dokąd pójść, jaki
zrobić następny krok.*

Czy Yfandes miała na to jakąś radę, czy
nie, Vanyel już nie usłyszał, gdyż w tym

właśnie momencie Savil i jeszcze jeden
mieszkaniec Tayledras weszli do
pokoju. Mężczyzna

miał na sobie białe bryczesy, miękkie,
niskie buty i kaftan. Vanyel zerwał się na
równe nogi,

lecz Savil gestem wskazała mu, aby
pozostał na miejscu. Obydwoje, ona i
nieznajomy

mężczyzna, weszli do łazienki i usiedli
na kamiennej ławie obok niego.

Vanyel był wstrząśnięty wyglądem
Savil. Choć włosy jego ciotki, odkąd ją
znał, zawsze

okrywała siwizna, nigdy nie wyglądała na osobę w podeszłym wieku. Teraz wydawała się

wręcz stara. Na jej twarzy i ciele odznaczał się każdy rok jej życia. Vanyel przypomniał sobie,

że Tańczący Księżyc powiedział coś o tym, iż śmierć Tylendela była dla Savil przeżyciem

równie wstrząsającym jak dla niego. Teraz w to uwierzył.

- Ciociu Savil - rzekł z wahaniem, podczas gdy ona i nieznajomy sadowili się na swych

miejskach. - Nic ci nie jest? To znaczy...

- Wyglądam jak wiedźma, tak? -
zapytała oschle. - Nie, nie przepraszaj
mnie. Mam

lustro. Nie potrafię już podnosić się po
tragedii z taką łatwością jak kiedyś.

Vanyel zarumienił się zmieszany.

- Vanyelu, to jest Gwiazdny Wicher
k`Treva - ciągnęła ciotka. - On i
Tańczący Księżyc

są biegłymi z Tayledras, o których wam
opowiadałam raz czy dwa. A to -
zatoczyła ręką wokół

siebie - wszystko w większości należy do niego jako rzecznika k'Trevów.

- Gdyby ktokolwiek w Tayledras mógł być właścicielem ziemi, byłoby to prawdą -

zauważył Gwiezdny Wicher, unosząc brwi. Brzmienie jego głosu przywodziło przed oczy

Vanyela obrazy odwiecznych skał i głębokiej, spokojnej wody. - Na razie jednak ja posiadam tę

ziemię w takim samym stopniu, w jakim sam jestem jej własnością.

- Racja. Oto *voorthayshen* k'Trevów...

to znaczy... jak byś to przetłumaczył,
shayana?

Mieszkaniec Tayledras siedzący u boku
Savil miał twarz o trójkątnym kształcie,

okoloną srebrzystymi włosami,
zaplecionymi w dwa - nie jeden, jak u
Tańczącego Księżyca -

warkocze zwisające znad skroni.

Mężczyzna wyglądał na starszego od
swego przyjaciela. Tak

przynajmniej wydawało się Vanyelowi.

- Twierdza Klanu wydaje mi się
najbliższym odpowiednikiem tego
określenia - rzekł

Gwiezdny Wicher. - Choć k'Treva nie można nazwać klanem w waszym rozumieniu tego

słowa. Tutaj słowo “klan” jest bliższe temu, co oznacza ono w języku Shin'a'in.

Jego głos był o ton niższy od głosu Tańczącego Księżyca i po krótkiej chwili Vanyel

rozpoznał w nim błękitno-zieloną muzykę ze swego snu.

- Panie - zaczął Vanyel z wahaniem.

- Nie ma tutaj żadnych panów, Vanyelu - odparł biegły. - Ja przemawiam głosem

k'Trevów, lecz każdy z nich żyje swym własnym, niezależnym od nikogo życiem.

Vanyel niezgrabnie skinął głową.

- Dlaczego jestem tutaj? - zapytał, po czym dodał nieśmiało: - Co ze mną zrobiliście?

Ja... wybacz moją nieuprzejmość, ale wiem, że coś zrobiliście. Czuję się zupełnie inaczej.

- Jesteś tutaj, ponieważ posiadasz dary magii o niespotykanej mocy. Obudziły się one

w tobie dość późno, za to z wielką

gwałtownością i w bólu. Ponadto nie sposób było nad nimi

zapanować - odparł biegle. Jego twarz przybrała wyraz spokojny, naznaczony głęboką powagą,

błąkał się po niej ledwie cień strapienia.
- Twoja ciotka doszła do wniosku, całkiem zresztą

słusznego, że nie możesz pobierać nauki od heroldów, którzy nie byłiby dla ciebie żadnymi

przeciwnikami, którzy nie stwarzaliby dla ciebie ani dla innych żadnego zagrożenia. Tańczący

Księżyc i ja przywykliśmy już do poskramiania niebezpiecznych sił magicznych. Właściwie

poświęcamy na to cały czas, jest to częścią naszych zwyczajnych zajęć. Możemy pomóc ci

panować nad twymi zmysłami, a Savil uważa, że możemy też nauczyć cię posługiwać się nimi

ku ogólnemu pożytkowi. Jeśli nawet nie uda nam się nauczyć cię panowania nad nimi,

potrafimy utrzymywać je w ryzach, tak aby nie zagrażały innym.

Tańczący Księżyc wyglądał inaczej - nie tak bezosobowo, nie tak nieprzejednanie.

Chłód w oczach Gwiezdnego Wichru przejmował Vanyela dreszczem.
Chłopiec nie miał

pewności, co biegły rozumiał pod pojęciem “trzymać w ryzach”, mimo to nie spieszyło mu się,

aby się tego dowiedzieć.

- Wróćmy jednak do twego pytania o to, co tutaj z tobą robiliśmy. Tańczący Księżyc

zaleczył kanały, którymi przepływa twa

energia, ja zaś nauczyłem cię paru rzeczy, podczas gdy

ty znajdowałaś się w uzdrawiającym transie. Nie mogłem niestety nauczyć cię więcej, ale

wiedza, którą ci przekazałem jest niezwykle ważna i w dużym stopniu zapewni ci

bezpieczeństwo pośród innych. Wiesz teraz, gdzie znajduje się główne ognisko twojej energii,

potrafisz chronić się przed innymi i osłaniać swe myśli. Dzięki temu możesz przynajmniej

zachować pewną równowagę i
odgradzać się od myśli napływających z
zewnątrz, swoje zaś

zatrzymywać tylko dla siebie. Nie grożą
ci też kolejne trzęsienia ziemi
spowodowane

koszmarnymi snami.

A więc to wszystko działo się, gdy
słyszał muzykę o różnych barwach. To
stąd bariera

wokół jego umysłu.

Gwiezdny Wicher pochylił się lekko do
przodu, a jego twarz nabrała nowych,
bardziej

ludzkich rysów; odmalowała się na niej troska i szczerść.

- Vanyelu, chłopcze, Tańczący Księżyc i ja jesteśmy zachwyceni tym, że możemy cię

tutaj gościć i udzielić ci pomocy. Na tym jednak kończy się nasz udział w twoim życiu. Sam, z

własnej woli, musisz nauczyć się opanowania. My nie możemy ci tego narzucić. Musisz

nauczyć się korzystać ze swych darów, gdyż w przeciwnym razie one zrobią użytek z ciebie.

Taka już natura magii. Bardzo cię proszę, uwierz moim słowom, bo wypowiadam je na

podstawie własnego doświadczenia. Jeśli ty jej nie wykorzystasz, ona wykorzysta ciebie. A

jeśli już zacznie przejmować panowanie nad tobą - jego oczy ponownie nabrały chłodnego

blasku - trzeba ją poskromić.

Na widok lodowatego wzroku mężczyzny Vanyel aż skulił się w sobie.

- Nie jest to jednak ani miejsce, ani pora, by rozmawiać o podobnych

rzeczach - dodał

Gwiezdny Wicher, podnosząc się z ławy. - Na razie otaczamy cię osłoną, a ponadto jesteś nadal

zbyt wyczerpany, aby zagrażać komukolwiek. No cóż, młodzieńcze, potrafisz jeszcze chodzić?

Jeśli możesz chodzić, dobrze ci zrobią ćwiczenia fizyczne i świeże powietrze. Potem zabiorę

cię do naszego punktu widokowego, skąd będziesz mógł obejrzeć dom i okolicę, i opowiem ci,

czym się tutaj zajmujemy.

Vanyel, niechętny perspektywie
pozostania sam na sam ze swymi
bolesnymi

wspomnieniami, ochoczo pokiwał
głową na znak, że akceptuje propozycję.
Wstając poczuł się

jakby silniejszy niż przedtem. Nie mógł
wprawdzie chodzić zbyt szybko, ale
dotrzymywanie

kroku Savil i Gwiezdnemu Wichrowi,
posuwającym się w zwykłym,
spacerowym tempie, nie

przysparzało mu większej trudności.

Przeszli z łazienki z powrotem do

sypialni i Vanyel dostrzegł, że pokój ten jeszcze

bardziej niż łazienka przypomina naturalną grotę. Niełatwo było odróżnić zwisające wokół

łóżka pędy obsypanych liśćmi roślin od naśladowujących je kawałków tkaniny, a “meble”, czyli

krzesła, ławy i stoły o nieregularnych kształtach, wyściełane zieloną materią, oraz pergole o

wygiętych poprzeczkach tak idealnie harmonizowały z roślinami, że czasem oko ludzkie

ulegało złudzeniu, iż są ich częścią. W głębi pokoju znajdowała się nisza, również odgradzona

od reszty pomieszczenia ową “roślinopodobną” zasłoną.

Najprawdopodobniej urządzono w

niej garderobę, bowiem spod odchylonej z jednej strony kotary dojrzeć można było wiszące

tani ubrania.

Z sypialni przeszli do trzeciego, najbardziej niezwykłego pokoju. Nie było tam żadnych

mebli, ale za to w samym środku

pomieszczenia z kamiennej posadzki
wyrastało żywe drzewo

o pniu tak potężnym, że nawet
dwanaścioro ludzi, stając wokół niego
ze złączonymi rękami,

nie zdołałoby go opasać. Dookoła pnia
wiła się spirala schodów. Ledwie
zaczęli piąć się w

górze, Vanyel poczuł, że słabnie.
Uchwycił się kurczowo balustrady i
tylko dzięki temu udało

mu się dotrzeć na górę. Okazało się, że
schody prowadzą na coś w rodzaju
zadaszonego tarasu,

z którego rozciągał się widok na całe maleńkie królestwo Gwiezdnego Wichru.

Znajdowali się w dolinie, a może raczej kanionie o niemal pionowych ścianach, z

wytryskującymi tu i ówdzie gorącymi źródłami. Praktycznie wszędzie znad bujnej zieleni

wzbijały się chmury pary. Pomimo śniegu zalegającego na obrzeżach skał kanionu, na jego

dnie, niczym w wielkiej misie, roślinność wręcz kipiała obfitością.

- To k'Treva - rzekł Gwiezdny Wicher,

ogarniając kolistym gestem całą dolinę.

- Choć

zazwyczaj tylko Tańczący Księżyc i ja
mieszkamy tu w dole, poniżej siedlisk
hertasi i tych,

którzy nie lubią przebywać w otoczeniu
drzew.

Vanyel wychylił się za balustradę
balkonu i spojrzał w dół. Pod nimi
znajdowało się

mnóstwo pokoi podobnych do tych,
które Vanyel już poznał, wszystkie bez
okien, oświetlone

promieniami słonecznymi wpadającymi

przez przezroczyste sklepienia.

Pomieszczenia te

jednak nie tworzyły żadnej uporządkowanej struktury, nie miały też regularnych kształtów,

toteż całe to miejsce trudno byłoby nazwać domem.

- Są tutaj także inne pokoje - nad nami. Tam właśnie mieszka większość z nas - ciągnął

Gwiezdny Wicher z ironicznym uśmiechem. - Tańczący Księżyc zaś nie jest taki jak my, ludzie

z Tayledras, i nie potrafiliby przywyknąć

do oderwania się od ziemi, dlatego mieszka na dole.

Hertasi to stworzenia, które nam usługują. Opiekujemy się nimi i udzielamy im tutaj

schronienia. W zasadzie możesz ich w ogóle nie widywać, ponieważ lękają się obcych - nawet

tych z Tayledras. Tak naprawdę tylko Tańczący Księżyc uchodzi pośród nich za przyjaciela.

Hertasi podobne są do wielkich jaszczurów, lecz inteligencją dorównują człowiekowi. Jeśli

spotkasz któregoś z nich, błagam cię,
uczyni wszystko, aby go nie przestraszyć.
I choć na dole

możesz poruszać się z pełną swobodą,
proszę, nie przychodź na górę bez
zaproszenia.

Vanyel zadarł głowę, lecz nie udało mu
się dostrzec żadnych śladów siedlisk,
nic ponad

pnące się jeszcze wyżej schody
znikające w koronie drzewa. Sama myśl
o przebywaniu na

takiej wysokości przyprawiała go o
zawroty głowy. Do odbycia wycieczki
na górę musiałyby

go nakłonić chyba coś więcej niż zaproszenie Gwiezdnego Wichru.

- Ja też wolę zostać razem z Tańczącym Księżycem - rzekła Savil. - Pamiętam, jak

podczas mojej pierwszej wizyty tutaj uparłeś się, abym spała na jednej z tych waszych grzęd.

Nie chciałabym przeżyć tego kolejny raz.

- Bo nie jesteś żadna przygód - odparł Gwiezdny Wicher i położywszy ręce na

balustradzie, przechylił się lekko. - Ostatnia rzecz, o której chciałem ci

powiedzieć, to bariera

otaczająca cały wąwóz; może nawet sam wyczujesz jej obecność. Chroni nas ona od różnych

niebezpieczeństw i utrzymuje stałe ciepło w dolinie. Tak więc... to jest k'Treva. A czym się

tutaj zajmujemy? Dwoma sprawami. Po pierwsze, tworzymy miejsca, gdzie magiczne stwory z

Pelagris mogą toczyć spokojne życie. Po drugie, usuwamy magię z miejsc, których zwierzęta te

nie zamieszkują i czynimy je

przyjaznymi dla człowieka. Magiczne
moce tych miejsc

wykorzystujemy, okrywając osłonami
skupiska ludzkie i zabezpieczając je
przed

niepożądanymi gośćmi. Oto właśnie
zadania k'Varda, klanu magii z
Tayledras. Jesteśmy

strażnikami Pelagris strzegącymi ją
przed rabusiami, podobnie jak nasi
kuzynowie, Shin'a'in, są

strażnikami Równiny Dorisza.

- Ja dodaję zawsze, że odgrywacie tutaj
rolę zbliżoną do roli heroldów w

Valdemarze.

Wy jesteście strażnikami Pelagris,
heroldowie zaś Valdemar - dorzuciła
Savil.

Gwiezdny Wicher pokiwał głową, a
jego warkocze zakołysały się
swobodnie.

- Można tak powiedzieć, zaznaczając
jednak, że heroldowie chronią ludzi, a
my,

Tayledras, ziemię.

- Ależ Valdemar to właśnie ludzie.
Moglibyśmy zebrać cały dobytek,
przenieść się w

inną część świata i wciąż pozostać ludem Valdemaru. Podejrzewam, że i ty mógłbyś

powiedzieć to o swoich ludziach.

- Nie, Tayledras są związani z ziemią i nie mogliby żyć poza Pelagris.

Musimy... -

Przerwał mu dobiegający znad ich głów krzyk sokoła. Wysunął w bok ramię, a wtedy z

baldachimu liści wyłonił się wielki biały ptak i spadł wprost na rękę Gwiezdnego Wichru.

Vanyel wzdrygnął się na widok

ochraniacza na przedramieniu bieglego.
Nosili je wszyscy

mieszkańcy Tayledras dla ochrony przed
groźnymi pazurami.

Owym białym ptakiem był sokół
białozór. Przez parę chwil trzepotał
skrzydłami w

powietrzu, aż w końcu usiadł, wbijając
swe złociste oczy w twarz Gwiezdnego
Wichru. Ten

pogładził palcem białą głowę ptaka, a
potem zatopił wzrok w jego oczach,
zdając się coś w nich

czytać. Trwało to dość długo.

Raptem Gwiezdny Wicher podrzucił rękę do góry, a ptak poderwał się, zatrzepotał

skrzydłami w ciężkim wilgotnym powietrzu, wzbił się w górę i zniknął wśród gałęzi drzewa.

- Złe wiadomości? - zapytała Savil.

- Nie... dobre. Sytuacja nie jest tak groźna, jak przypuszczaliśmy. Tańczący Księżyc

jest bardzo wyczerpany, ale przed wschodem słońca będzie z powrotem.

- Przyjemnie jest słyszeć, że komuś dzieje się dobrze - westchnęła Savil.

- W rzeczy samej - odparł biegły,
zwracając swe dziwne, nieprzeniknione
oczy na

Vanyela. - W rzeczy samej. Vanyelu,
chłopcze, radziłbym ci dużo
spacerować, nabierać sił,

jeść i odpoczywać. Gdy tylko Tańczący
Księżyc powróci do domu i zregeneruje
własną

energię, rozpoczniesz naukę.

Tymczasem jednak Vanyel zabrał się do
zwiedzania tego, co Gwiezdny Wichor

nazywał wąwozem. Przemierzając go
wzdłuż i wszerz, Vanyel odkrył, że w

rzeczywistości jest

on znacznie mniejszy, niż wydawał się
być wcześniej. Była to dolina o kształcie
kropki łzy,

obfitująca w źródła, wodospady i małe
gejzery, kryjące się pośród
nieprawdopodobnie bujnej

roślinności. Pomiedzy nimi wiły się
niezliczone ścieżki, pokrywając cały
wąwóz siatką tak

gęstą, że spacerując nimi odnosiło się
wrażenie przebywania w nieskończenie
wielkim dzikim

parku.

Przynajmniej to zajmowało Vanyela przez jakiś czas. Dolina zdawała mu się miejscem

tak osobliwym i egzotycznym, że przechadzając się po niej i obserwując barwne ptaki i ryby w

strumykach, zupełnie zapominał o swej samotności.

Coś ciągnęło go do wspomnień z czasów zanim w jego życiu pojawił się Tylendel, do

stanu całkowitej izolacji pośród lodowego krajobrazu ze snu.

Jednocześnie coś sprawiało, że

wzdragał się na samą myśl o owym odosobnieniu. Nie wiedział już, czego pragnie i kim jest.

Przede wszystkim jednak nie miał pojęcia, co zrobić z Yfandes. Wszak potrzebował jej

i kochał ją szczerze, ale zdawało mu się, że uczucie to może stać się jego słabym punktem,

źródłem kolejnych cierpień. Yfandes, wyczuwając obawy dręczące jej Wybranego,

pozostawała wprawdzie blisko, ale nie chcąc go irytować, nie szukała towarzystwa Vanyela i

kontaktowała się z nim myślową tylko wtedy, gdy on sam odezwał się do niej pierwszy.

Savil również zachowywała dystans, z czego Vanyel był szczerze rad. Także Tańczący

Księżyc, powróciwszy wreszcie ze swej wyprawy, zachowywał się dość przyjaźnie, nie

przekraczając jednocześnie pewnej granicy poufałości. Wszystko to bardzo cieszyło Vanyela.

Za każdym razem, kiedy Vanyel zadawał mu jakieś pytanie, Tańczący Księżyc wnet

zamieniał się w przewodnika i chętnie zwracał uwagę chłopca na rzeczy, które ten przeoczył,

objaśniał mu zasady działania magicznej bariery wokół wąwozu, a nawet opowiadał o wielu

innych, nie związanych z życiem w dolinie sprawach.

Tajemnicze stwory, hertasi, nie ukazały się oczom Vanyela ani razu, choć wszędzie

można było napotkać ślady ich działalności. Niespodziewanie znikwały ubrania i równie

niespodziewanie powracały na swoje
miejsce, czyste i zreperowane; posiłki
zjawiały się na

stole regularnie, a pokoje zdawały się
same sprzątać.

Gdy tylko Vanyel znudził się
spacerowaniem w dolinie, zaczął
polować na hertasi, by

choć raz przez moment móc się przyjrzeć
któremuś z nich. Robił wszystko, aby
tylko wynaleźć

sobie jakieś zajęcie.

Wkrótce jednak zajęło go coś zupełnie
innego.

- *Nie dajesz rady* - rzekł Gwiezdny
Wicher, wyraźnie formułując kierowane
drogą

myśloczucia słowa. Siedział na
kamiennej posadzce ze skrzyżowanymi
nogami, odgradzony

od Vanyela błękitno-zieloną świetlistą
barierą. Był niewzruszony niczym głaz. -
Jeszcze raz,

chłopcze.

- *Ależ...* - zaprotestował Vanyel
otoczony mgiełką osłony, jaką wzniosł
wokół niego

biegły. - *Ja...* - Układanie myśli w słowa

przekazywane drogą myśloczucia
przychodziło mu z

wielkim trudem.

- *Tak, ty.* - Skinął Gwiezdny Wicher. -
Właśnie ty i tylko ty masz to zrobić.
Jeśli nie

uchwycisz swej bariery i nie połączysz
jej z moją, moja pozostanie
nienaruszona. Wówczas nie

będziesz mógł przez nią przejść, a ja
nie będę mógł cię zabrać z tego pokoju.

Vanyel opadł z sił. Zdawało mu się, że
minęły lata, a nie godziny od chwili, gdy

rozpoczęli lekcję. Był to już siódmy... a może ósmy test, któremu poddał go biegły. Najpierw

Gwiezdny Wicher w jakiś sposób dotarł do umysłu Vanyela i wyjaśnił mu, jak to się robi.

Potem, już przy pierwszej próbie, chłopcu udało się samodzielnie przedrzeć w myśli

nauczyciela i od tamtej pory biegły zadręczał go kolejnymi próbami wykonania tego samego

ćwiczenia.

W nagich, kamiennych ścianach

pomieszczenia, do którego
przyprowadził go

Gwiezdny Wicher, nie było śladu drzwi.
Vanyel nie wiedział nawet, w której
części kompleksu

pokoju znajdowała się owa sala. Był sam
na sam z biegłym, którego trójkątna
twarz niczym

kamień zastygła w wyrazie
pozbawionym wszelkich emocji.

Vanyel nie wiedział już, co o tym
wszystkim sądzić. Jego nowe zmysły
mówiły mu

rzeczy, o których istnieniu wolałby

nawet nie wiedzieć. Wyczuwał na przykład w dolinie

obecność jakiejś mocy, żywej mocy, która pulsowała w jego umyśle wraz z krwią w tętnicach.

Myśląc, że jest to może oznaka zbliżania się jakiejś choroby lub też wytwór wyobraźni,

powiedział o tym Savil. Ciotka pokiwała tylko głową i powiedziała, aby nie przejmował się tym

zanadto.

Nieczęsto ostatnio rozmawiał czy spotykał się z Savil. Jeśli nie będę się

do nikogo

zbliżał, nie będę cierpiał. Nadal, na
współ świadomie powtarzał sobie w
kółko to zdanie, ale

teraz zmieniło się jego znaczenie: Jeśli
nie otworzę się przed drugim
człowiekiem, nie będzie

mi groziło, że go utracę.

Mieszkańcy Tayledras, Gwiezdny
Wicher i Tańczący Księżyc na przemian
fascynowali

go i budzili w nim przestrasz. Byli
niepodobni do ludzi, których spotykał
wcześniej, i nie

potrafił przeniknąć ich natury.
Zwłaszcza Gwiezdny Wicher stanowił
nie lada zagadkę.

Tańczący Księżyc zdawał się bardziej
przystępny.

Mimo to zawsze istniało jakieś
niebezpieczeństwo, toteż z dna duszy,
wciąż jeszcze

cierpiącej po utracie Tylendela, często
dobywał się głos: Nie zbliżaj się, nie
przywiązuj się. Nie

próbuj nawet tego robić.

Był wprawdzie taki moment, jeszcze w
Przystani, kiedy Vanyel usiłował znaleźć

oparcie w innej osobie; najpierw w Savił, potem w Lissie. Bardzo pragnął znów mieć kogoś,

kto dawałby mu wskazówki, mówił, co ma robić. Ale za każdym razem, kiedy próbował się

zbliżyć do którejś z nich, one delikatnie dawały mu do zrozumienia, że nie tędy droga.

Teraz jednak pożegnał się z owymi dawnymi pragnieniami. Teraz chciał tylko jednego -

aby pozostawiono go samemu sobie.

Ale przyjaciele z Tayledras zdawali się

mieć co do niego zupełnie inne plany.

Pewnego ranka, po kilku dniach bezmyślnego błąkania się ścieżkami w dolinie,

odwiedziła go Savil, przypominając o tym, co mówił Gwiezdny Wicher na temat czekającej go

nauki. Vanyel miał się uczyć panować nad swymi nowymi zmysłami. Savil poprowadziła go

przez kilka pokoi, które poznał już wcześniej, aż do...

... jakiegoś osobliwego pomieszczenia...

Vanyel nie miał nawet pewności, jak można by je nazwać. Przypominało nieco Bramę,

ale zamiast portalu był tam tylko okrąg zaznaczony na podłodze. Vanyel przekroczył go

niepewnie i ni stąd, ni zowąd znalazł się w owym dziwnym pokoju bez drzwi.

Tuż przed nim wyrosła nagle Savil. Ledwie zdążył rzucić na nią zaniepokojone

spojrzenie, ona rzekła do Gwiezdnego Wichru:

- Nie skrzywdź go, *shayana*. - I

zniknęła. Cofnęła się za linię okręgu i rozplynęła w

powietrzu, zostawiając go samego z tym... szaleńcem; z tym nieobliczalnym stworzeniem,

które przez całe przedpołudnie zmuszało go do robienia rzeczy, których nawet nie pojmował,

do korzystania z mocy, do posiadania której nawet nie zdążył się przyzwyczaić.

- Dlaczego mi to robisz? - wrzasnął Vanyel, gotów zalać się łzami z wyczerpania.

Gwiezdny Wicher zignorował jego słowa, jak gdyby wcale nie zostały wypowiedziane.

- *To myślomowa, mój Wybrany.* -

Chłopiec posłyszał nagle spokojną myśl Yfandes. -

To część ćwiczeń. Użyj myślomowy.

Vanyel zebrał siły, sformował myśli na kształt sztyletu i pchnął je w umysł nauczyciela.

- *Dlaczego mi to robisz?*

- *Zrób to delikatnie, łagodnie.* - Poczł niewzruszoną odpowiedź. - *Zrób to delikatnie,*

w przeciwnym razie nie odpowiem ci.

Były to najbardziej wymowne słowa, jakie usłyszał od biegłego od wielu godzin.

- *Dlaczego?* - zapytał.

- *Jesteś jak hubka bez krzesiwa* - odparł ze spokojem Gwiezdny Wicher. -
Stanowisz

zagrożenie nie tylko dla siebie, ale także dla innych. Wystarczy mała iskierka, abyś wybuchnęła

jak wulkan. Uczę cię panować nad tkwiącymi w tobie mocami aby ogień pojawiał się tylko

*wtedy, kiedy ty sam będziesz sobie tego
życzył. - Patrzył na Vanyela spoza
migotliwej powłoki*

*magicznej bariery, - Chciałbyś jeszcze
raz przechodzić przez to wszystko?*

I prosto w twarz rzucił Vanyelowi garść
wspomnień, o których mógł wiedzieć
tylko od

Savil. Chłopiec ujrzał nagle grupkę
adeptów w Przystani, zanoszących się
histerycznym

płaczem wywołanym żalem
rozsiewanym przez umysł Vanyela.
Zobaczył Mardika lecącego na

ścianę i bez czucia osuwającego się na podłogę. Zobaczył pałac trzęsący się w posadach...

- *Nie...* - Wzdrygnął się.

- *Mogło być jeszcze gorzej...* - I

Gwiezdny Wicher pokazał mu, co miał na myśli

mówiąc “gorzej”. Przed oczami Vanyela stanął nagle wyraźny obraz martwego ciała Withena...

zmiażdżonego, niczym robaczek pod ciężkim buciorem, potworną mocą swego własnego syna,

nad którą ten nie potrafił zapanować.

- *Nie!* - V anyel próbował odpędzić myśl, że mógłby kiedykolwiek doprowadzić do

czegoś takiego. Usiłował rozwiać ten straszliwy obraz z gwałtownością, od której...

...od której zatrzęsała się pod nim ziemia.

- *Widzisz?* - rzekł Gwiezdny Wicher, wciąż tak samo niewzruszony. -

Widzisz? Bez

opanowania, bez zrozumienia tego wszystkiego możesz - i będziesz - zabijał, mimo woli, nie

zdając sobie nawet z tego sprawy. A

teraz...

Odpowiadając na alarmujące wezwanie Gwiezdnego Wichru, Savil rzuciła się pędem

ku przejściu do tajemniczego pokoju. Tańczący Księżyc podążał w ślad za nią. W pełnym biegu

przekroczyła linię okręgu wyznaczającego pole stałego działania zaklęcia Bramy. Przez

moment poczuła nieodłączny przy takich okazjach zawrót głowy i w mgnieniu oka stała już na

pokrytej łupkiem podłodze sali ćwiczeń

Gwiezdnego Wichru, w samym środku nieprawdopodobnego zamętu.

Gwiezdny Wicher właśnie podnosił się z podłogi. W powietrzu unosił się zapach

spalonej skały, mieszający się z lekką wonią ozonu. Ale to jeszcze nie wszystko. Posadzka w

samym centrum pokoju, wokół miejsca, gdzie wcześniej stał Vanyel, spalona była na węgiel.

Obok wypalonej plamy leżał sam chłopiec, poparzony i nieprzytomny.

Tańczący Księżyc przeskoczył Bramę,
wyrósł wprost przed Savil, przerzucił
spojrzenie

z jednego poszkodowanego na drugiego
i skierował się ku chłopcu, który zdawał
się

najbardziej potrzebować pomocy. Savil
zaś zajęła się Gwiezdnym Wichrem.

Podąła mu obie ręce i pomogła wstać.
Biegły potrząsnął głową, by rozproszyć
oszołomienie, i odrzucił włosy do tyłu.

- Boże moich ojców - rzekł, pocierając
dłonią czoło. - Czuję się, jak gdyby ktoś

wystrzelił mnie z katapulty.

Savil szybko skontrolowała ogólny stan Gwiezdnego Wichru i spostrzegłszy

niebezpieczne pulsowanie jego ognisk energii, uspokoiła je.

- Co się stało? - zapytała, trzymając go wciąż pod ramię. - Pomyślałby kto, że toczy się

tu jakaś magiczna wojna.

- Obawiam się, że troszkę przeraziłem chłopca - odparł posępnie Gwiezdny Wicher,

sprawdzając, czy nie pokaleczył sobie

rąk. - Chciałem go troszkę nastraszyć,
choć nie tak

mocno. Miał przywołać piorun, ale
wciąż się przed tym wzbierał.
Odmawiał wręcz

wykorzystania energii, którą już zebrał
w sobie. Straciłem cierpliwość i
zesłałem na niego

wspomnienie psów wyrza. Wtedy
Vanyel wpadł w panikę i zgromadził w
sobie nie tylko

własną moc, lecz także i energię z
ogniska naszego wąwozu. Wówczas
uświadomił sobie, co

zrobił i próbował powstrzymać działanie mocy, a jedynym sposobem, jaki przyszedł mu do

głowy, było zogniskowanie całej energii w sobie. - Gwiezdny Wicher spojrział na nią z

wyrzutem. - Mówiłaś mi, że Vanyel wyczuwa ognisko energii wąwozu, ale nie powiedziałaś

mi, że potrafi z niej czerpać.

- Sama o tym nie wiedziałam. Wielcy bogowie, przecież to właśnie psy wyrśa nasłał

jego *shay'kreth'ashke* na swych

wrogów. Czy nie mówiłam ci tego? -
Savił poczuła

przejmujący chłód. Przygryzła wargi i
obejrzała się przez ramię na Tańczącego
Księżycyca i jego

pacjenta. Biegły uzdrowiciel klęczał
przy chłopcu, trzymając dłonie nad jego
czołem. - O Panie

i Pani, mało brakowało a zmiotłby to
miejsce z powierzchni ziemi!

Gwiezdny Wicher ze ściśniętym gardłem
obserwował zabiegi Tańczącego
Księżycyca,

który odjął właśnie ręce od głowy

chłopca i podpierając go ramieniem,
utrzymywał w pozycji
siedzącej.

- Mówiłaś mi... ale zapomniałem o tym.
Na boginię mojej matki, co ja
narobiłem?

- Co zrobiłeś, *ashke*? - zawołał
Tańczący Księżyc zatroskanym głosem,
przykładając

znow jedną dłoń do czoła chłopca. -
Umysł chłopca jest w szoku.

- Uczyniłem najgorszą z możliwych
rzeczy - jęczał Gwiezdny Wicher. -
Ściągnąłem na

niego obraz stworów, które wezwał jego ukochany, by zemścić się na swych wrogach.

- *Shethka*. Cóż, nic już nie można na to poradzić. Co się stało, to się nie odstanie. *Ashke*,

położę go do łóżka, sprowadzę jego Towarzysza i wspólnie się nim zajmiemy. Zobaczymy, co

z tego wyniknie. - Tańczący Księżyc podniósł chłopca i nie oglądając się za siebie przeszedł

przez Bramę.

- O bogowie, do tego momentu wszystko

układało się dobrze - lamentował
Gwiezdny

Wicher. - Vanyel zaczął zyskiwać
autentyczne panowanie nad swymi
zmysłami. Bogowie,

jakże mogłem być takim głupcem?

- Zdarza się - westchnęła Savil. - A jeśli
ma się do czynienia z Vanyelem,
przytrafia się

to jeszcze częściej. Mogło by się
wydawać, że on w jakiś sposób
mimowolnie przyciąga

nieszczęścia, jak magnes. *Shayana*,
dlaczego w ogóle go karałeś?

- Bo choć wreszcie udało mi się go nakłonić do wykonania ćwiczeń pozwalających mu

kontrolować tkwiące w nim moce, a nawet bronić się, Vanyel wciąż wzbraniał się przed

przystąpieniem do ataku. - Gwiezdny Wicher zmarszczył czoło z bólu i przyłożył dłonie do

skroni, by pomasować je przez moment.

- Jeśli nie opanuje sposobów atakowania i

wykorzystywania swych mocy...

- Siły pozwalające mu bronić się przed

atakami z zewnątrz pozostaną nadal

nieposkromione - dokończyła ponuro Savil. Wokół niej wciąż unosił się zapach spalenizny.

- Z Tylandem było podobnie. Nie mogłam przewyciężyć zadręczających go

wspomnień o wstrząsających przeżyciach i zmusić go do zapanowania nad jego magiczną

mocą. Powinnam była przywieźć go do ciebie.

- Moja Skrzydlata Siostrze, kiedy oglądaliśmy się wstecz, wszystko zawsze

wydaje się

proste. - Gwiezdny Wicher przesłał ku jej sercu dotyk szczerego współczucia, na co ona

zareagowała bladym uśmiechem. - Jeśli zaś idzie o chłopca... jak już mówiłem, Vanyel zdołał

zgromadzić w sobie energię pioruna, ale nie chciał jej wyzwolić. Myślałem, że jeśli się

przestraszy, zacznie się bronić. - Opuścił ręce i spojrzał bezradnie na Savil. - On jest dla mnie

prawdziwą zagadką. Nie potrafię

zrozumieć, dlaczego wciąż nie chce w pełni wykorzystywać

swych mocy.

- Moim zdaniem dlatego, że nadal nie rozumie, po co miałyby to robić - rzekła Savil,

pogrążając się w zadumie. Przez chwilę stała, kołysząc się na piętach w przód i w tył.

- Nie widzi powodu, dla którego miałyby korzystać ze swych sił. Nie chce nikomu

pomagać i pragnie tylko, aby dać mu święty spokój.

Gwiezdny Wicher osłupiał.

- Ależ... z jego mocą... jakże...

- Nie czuje jeszcze potrzeby, *shayana*, a nawet jeśli ją ma, wszelkie inne uczucia tak go

przytłaczają, że widzi tylko swe cierpienie. - Savil potrząsnęła głową. - Tak przynajmniej mi się

wydaje. Może dzieje się tak też dlatego, że nigdy nie odczuwał potrzeby troszczenia się o

kogoś, kogo osobiście nie zna. A może nie ma po prostu sił, aby zajmować się teraz

czymkolwiek poza własną osobą. Kellan powiada, że Yfandes wskoczyłaby za nim w ogień, a

więc Vanyel musi mieć w sobie coś naprawdę szczególnego. Może Tańczący Księżyc zdoła się

do niego zbliżyć.

- Jeśli tylko chłopiec przetrwa wszystko, czym go tutaj zadręczamy - odparł Gwiezdny

Wicher, wskazując skinieniem, aby Savil podążyła za nim przez Bramę, i zatopił się w

przygnębieniu.

Vanyel obudził się z bólem serca i łzami na policzkach. Obraz psów wyrsa ożywił

wszystkie najstraszliwsze wspomnienia, których tak bardzo pragnął się pozbyć.

Zorientował się zaraz, że leży w łóżku, wciąż ubrany, ale poczuł nagle, że jego ręce i

przedramiona są zabandażowane, a skóra na twarzy paląca i ściągnięta.

Cały pokój tonął w srebrzystym blasku pełnego księżyca. Vanyel dokładnie widział

jego tarczę prześwitującą między liśćmi

paproci. W głowie mu huczało, ręce
trawił piekący ból,

ale największe cierpienie zadawało
chłopcu potworne uczucie pustki w
sercu. A może raczej

winy... straszliwej winy.

Lendelu, Lendelu... to moja wina.

Usłyszał obok siebie czyjś oddech, a
muśnięcie myśli owej osoby upewniło
go, że jest

przy nim Tańczący Księżyc. Vanyel
jednak nie chciał z nikim rozmawiać;
pragnął jedynie, aby

zostawiono go w spokoju. Zaczął
właśnie odwracać twarz do ściany, gdy
na łagodny dźwięk

niezwykle młodo dźwięczącego głosu
zastygł w bezruchu.

- Opowiedziałbym ci o czymś...

Vanyel zwilżył wargi i popatrzył na
srebrzystoczną sylwetkę siedzącą
obok łóżka, na

jednym ze swych ulubionych
dziwacznym “krzesel”.

Tańczący Księżyc wyglądał niczym
posąg, srebrzona figura boga siedzącego
z jedną

nogą podwiniętą pod siebie,
skrzyżowanymi ramionami wspartymi o
kolano i głową zwróconą

ku księżycowi. Cała jego postać
połyskiwała w łagodnym blasku
księżyca.

- Był taki chłopiec - powiedział cicho
Biegły. - Na imię miał Talio. Jego
rodzice byli

prostymi chłopami, na swój sposób
nawet dobrymi ludźmi, przywiązaniymi
bardzo do swej

ziemi i rytmu życia wyznaczanego przez
pory roku. Ów Talio... był jednak inny.
Czuł w sobie

różne rzeczy, które zdawały się kłócić z życiem, jakie prowadziła jego rodzina.

Rodzice nie

rozumieli swego syna, który pragnął czegoś więcej niżli tylko pól porośniętych zbożem i żniw.

Mimo to bardzo kochali go i starali się pojąć, co też mu chodzi po głowie.

Zadbali o jego

wykształcenie, próbowali nakłonić księdza, aby się nim zajął, ale nie wiedzieli, że uczucia

przepełniające duszę ich syna to coś więcej niż powołanie do stanu duchownego. Była to jakaś

moc, lecz o naturze innej niżli moc księdza. Wreszcie z ksiązek, jakie dał mu ksiądz, chłopiec

dowiedział się, że siłę, którą nosi w sobie, nazywają magią. Później z tych samych ksiązek oraz

zasłyszanych opowieści Talio próbował się dowiedzieć, do czego owa magia może mu

posłużyć. Bardzo go to odróżniało od jego rówieśników i coraz częściej spędzał czas w

samotności. Rodzice nie rozumieli tej potrzeby przebywania sam na sam ze swymi myślami i

nie pojmowali tego, co Talio mówił i robił. Dlatego też zaczęli go zmuszać, aby znów zaczął

żyć tak jak oni, zgodnie ze starymi tradycjami. Dochodziło do... kłótni i po obu stronach

zrodziła się złość. A potem wydarzyło się jeszcze coś. Rodzice bardzo chcieli, aby ich syn

ożenił się i założył rodzinę. Jednakże Tallo nie pociągały młode dziewczęta, miał za to wielkie

zamiłowanie do młodych mężczyzn. Ale to już inna historia. Tańczący Księżyc westchnął i w

blasku księżyca Vanyel zobaczył łązy
błyszczące na jego rżęsach.

- Wreszcie pewnego lata, gdy awantury
stały się już nie do zniesienia, do wsi
zawitała

trupa wędrownych komediantów. Do
trupy tej należał pewien młody
mężczyzna, bardzo

przystojny młody mężczyzna, i Tallo
odkrył, iż nie jest jedynym chłopcem na
świecie, w

którego sercu odezwało się pragnienie
obcowania z osobą tej samej co on płci.
W niedługim

czasie chłopcy zostali kochankami i Tallo był szczęśliwy jak nigdy przedtem. Postanowił

nawet, że wspólnie z trupą odejdzie z wioski, a jego kochanek bardzo go do tego zachęcał.

Pewnego razu jednak przyłapano ich razem. Wszyscy, rodzice, ksiądz i cała wieś, wpadli w

straszny gniew, ponieważ dotąd nie wspominało się tam nawet o *shay'a'chern*, a o tym, że ktoś

z ich wioski mógłby okazać się takim, w ogóle nie było mowy. Tallo został bardzo dotkliwie

pobity. Ucierpiał także młody komediant. W końcu Tallo i jego ukochany zostali wygnani z

wioski. Zaraz potem kochanek Talio pogardliwie go odtrącił, mówiąc w złości i gniewie różne

rzeczy, których naprawdę wcale nie miał na myśli. Tallo opanowała dzika wściekłość. Bardzo

go zaboląły słowa przyjaciela. Wszakże cierpiał za niego, został wygnany z wioski i odrzucony

przez rodzinę, a na końcu odtrącony. Wówczas, korzystając ze swej na wpół opanowanej sztuki

magicznej, wezwał piorun. Chciał tylko
nastraszyć młodego człowieka, stało się
jednak

inaczej. Zabił go. Uśmiercił go używając
mocy, nad którą nie potrafił zapanować.

Łzy spływające powoli po policzkach
biegłego, połyskiwały w srebrzystym
blasku

księżycu.

- Talio słyszał myśli swego kochanka i
wiedział, że naprawdę ani jedno z
owych

przykrych słów wykrzyczanych w chwili
gniewu nie było prawdziwe. Chciał

tylko, aby jego

ukochany wypowiedział głośno to, co
brzmiało w jego sercu. Dlatego właśnie
wezwał piorun,

aby go nastraszyć. Niestety jednak wnet
się przekonał, że jeśli ktoś działa w
złości, a nie

posiada odpowiednich umiejętności,
pioruny i błyskawice nie będą mu
posłuszne. Potem

usłyszał już tylko swe imię, które
wydarło się z gardła jego miłego w
chwili śmierci. Usłyszał

okrzyk przepełniony potwornym bólem,

ale nie mógł już nic zrobić. Porwał
sztylet z pochwy u

pasa umierającego, przeciął sobie żyły i
czekał na śmierć, bo myślał, że tylko w
ten sposób

będzie mógł odkupić morderstwo,
jakiego się dopuścił.

Tańczący Księżyc podniósł swą potężną
rękę, by odgarnąć opadające na twarz
włosy, i

tym razem w srebrzystej poświacie
oczom Vanyela ukazała się biała blizna
ciągnąca się od

nadgarstka aż do połowy przedramienia

biegłego.

- Tymczasem tą samą drogą
podróżowała pewna nieznajoma
przybywająca z odległego

kraju. Wyczuła ona, że w pobliżu dzieje
się coś niedobrego, że gdzieś wyzwoliła
się ogromna,

lecz nie kontrolowana moc. Przyjechała
najszybciej, jak tylko mogła, choć nie
dość szybko,

aby ocalić obydwóch młodych
mężczyzn. Gdy ich odnalazła, jeden był
już martwy, drugi bliski

śmierci. Uratowała tego, który jeszcze

żył i zabrała go ze sobą do swego przyjaciela, który, jak

się spodziewała, mógł mu pomóc.

Tańczący Księżyc zamilkł. Cisza przedłużała się i Vanyelowi zdawało się, że biegły już

skończył. Ten zaś wpatrywał się nieruchomo w srebrzystą tarczę księżycy, a jego wilgotne

policzki i oczy błyszczały niczym u marmurowego posągu splukanego deszczem.

Wtedy przemówił jeszcze raz, a każda sylaba wypowiedzanego przezeń słowa

naznaczona była głębokim cierpieniem.

- I tutaj mamy paradoks. Gdyby Talio nie użył swej mocy i nie zabił kochanka,

wędrowaliby dalej razem, aż w końcu rozstaliby się. Talio napotkałby może na swej drodze

jakiegoś maga, który udzieliłby mu nauk, a kto wie, czy nie zawędrowałby aż do Valdemaru,

gdzie zostałby wybrany przez Towarzysza. Ci, którzy mają w sobie moc, nigdy nie są

pozostawiani sami sobie. Mogło zdarzyć się nawet tak, że mag, który by go

przygarnął,

zajmowałby się czarną magią i wtedy Talio zszedłby na złą drogę. Stało się jednak inaczej.

Chłopiec zabił wprawdzie człowieka, lecz uczynił to przez własną niewiedzę i głupotę, a potem

przywieziono go do k'Trevów. Tam znalazł wybaczenie i naukę, której potrzebował, jak

nasiono potrzebuje deszczu. I odnalazł też jeszcze jedno: swego *shay'kreth'ashke*. W waszym

języku oznacza to “przypisany przez

nierozerwalne więzy życia”. Vanyel drgnął. Tańczący

Księżyc pokiwał głową, wciąż nie odwracając ku niemu twarzy.

- Widzisz? To istny paradoks. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, Talio nigdy nie

spotkałby Gwiezdnego Wichru. Ludzie z Tayledras, zwłaszcza k'Treva, żyją w ukryciu, a

Skrzydłata Siostra Savil była jedną z pierwszych osób od wielu, wielu lat, które nas ujrzały.

Drogi tych dwóch mężczyzn

przeznaczonych sobie przez więzy życia,
nigdy by się nie zeszyły.

Nie byłoby wśród k'Trevów biegłego
uzdrowiciela, a wiele problemów w
Tayledras nie

znalazłoby rozwiązania. A zatem
spotkanie to zaowocowało mocą dobra i
miłości, jednakże

swe korzenie miało w morderstwie,
wprawdzie przypadkowym, ale jednak
morderstwie.

Tańczący Księżyc westchnął.

- Cóż więc miał sobie myśleć ów Talio?
Gwiazdny Wicher zdecydował, że

najlepszym rozwiązaniem będzie ogłosić, iż Talio umarł z własnej ręki - co miało być wy-

starczającym zadośćuczynieniem za jego winę - a potem powołać do życia nowego człowieka,

Tańczącego Księżyca k'Trevę. Nie ma więc chłopca o imieniu Talio, jest za to mężczyzna,

którego magia tak bardzo upodobniła do ludzi z Tayledras, że dziś zdaje się być jednym z ich

braci. Czasem jednak głos Talio odzywa się w sercu Tańczącego Księżyca, który bardzo się

wówczas smuci... płacze... i żałuje za
zło, które uczynił.

Odwrócił głowę i wyciągnął rękę ku
Vanyelowi.

- *K'chara*, czy podzielisz smutek Talio?
Sam płacz nie przynosi ukojenia, a twoje
serce

krwawi tak samo jak moje.

Vanyel wykonał gest, jakby chciał
uchwycić wyciągniętą dłoń, ale zawahał
się.

Jeśli nie będę się do nikogo zbliżał...

- Jeśli się nie zbliżysz - rzekł Tańczący

Księżyc, jak gdyby czytał w jego
myślach - nie

będziesz mógł żyć. Jeśli zamkniesz się w
swym pancerzyku, odizolujesz się nie
tylko od bólu,

ale i od miłości. A choć miłość czasem
przynosi ból, nie jesteś w stanie
przewidzieć, czy ból,

który czujesz teraz, nie przywiedzie cię
znów ku miłości.

- Tylenel nie żyje. - Tak, powiedział
to, i to głośno. Naprawdę. Ściągnięta,
poparzona

skóra na twarzy piekła go, gdy zaciskał

powieki, by zatrzymać łzy. - Nic mi go nie przywróci.

Zawsze już będę sam.

Tańczący Księżyc pokiwał głową i pochylił się powoli, aż jego głowa spoczęła na

brzegu łóżka. Vanyel nie widział jego twarzy przysłoniętej białymi włosami.

- Wielka miłość przeminęła, ale są jeszcze małe miłości: do przyjaciela, do siostry,

brata, nauczyciela. Odmówisz sobie ciepła płynącego od paleniska w wiejskim domu tylko

dlatego, że nie możesz już zasiąść przy kominku w pałacu? Odmówisz ciepła swego serca tym,

którzy zwracają się do ciebie prosząc o nie? To okrutne, a ja nie uczyłem cię okrucieństwa,

Vanyelu. A co z Yfandes? Ona cię kocha całą swą istotą. Czy jej także odmówisz swego

uczucia? To byłoby więcej niż okrutne.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko? Dlaczego zadajesz mi takie pytania? - wyrwało się

z mimo woli z gardła Vanyela.

- Ponieważ ja sam byłem bliski zejścia na ścieżkę, którą ty właśnie podążasz. -
Biegły

uniósł się lekko na swym krześle i Vanyel usłyszał ciche skrzypienie drewna. - Dlatego, że

myślałem, iż lepiej jest nie zbliżać się do nikogo, niżli skazywać na cierpienie siebie i innych.

Wydawało mi się, że lepiej nie robić nic niż zrobić krok, który okaże się fałszywy. Tymczasem

jednak unikając bliskości z innymi, także podjąłem jakąś decyzję i zamiast uchronić się od

cierpienia, zadałem ból innym, którzy pragnęli zbliżyć się do mnie. - Zamilkł i czekał na

odpowiedź. Vanyel jednak nie potrafił się zmusić do wykrztuszenia choćby jednego słowa.

Twarz Tańczącego Księżyca nagle stała się obca. Nie można już było nic z niej

wyczytać. Biegły wzruszył ramionami.

- Decyzja należy do ciebie, to twoje życie. Uzdrowiciel nie mógłby tak żyć, ale może ty

potrafisz.

Wykonał jakiś ledwie dostrzegalny ruch i już stał wyprostowany, odrzucając włosy na

plecy. Łzy w jego oczach dawno już wyschły, a gdy spoglądał z góry na Vanyela, na jego

obliczu malował się taki spokój, że zdawało się, iż nigdy ich tam nie było.

- Jeśli będziesz cierpiał, wezwij mnie w myśli, a przyjdę do ciebie.

Nim Vanyel zdążył mrugnąć, już go nie było.

Nadszedł poranek, ale choć Vanyel spodziewał się, że Savil albo Gwiezdny

Wicher

wezwał go znów na ćwiczenia w sali, nic podobnego się nie wydarzyło. Słońce dawno już

wstało, a on spacerował od jednego pustego pokoju do drugiego, nie spotykając jednak nikogo.

Zaczął się nawet zastanawiać, czy fakt, że poprzedniego wieczoru odtrącił przyjaźń

Tańczącego Księżycy, nie spowodował, że wszyscy postanowili się od niego odwrócić.

Wreszcie postanowił pójść na

przechadzkę w dolinie i stał właśnie pod kamiennym

łukiem drzwi, mrużąc oczy porażone jasnym światłem słonecznym, nie przytłumionym, jak to

było wewnątrz, przez ciemne szkło okien w suficie. Przed sobą miał ogromne paprocie o

rozmiarach małego pokoju, krzewy i małe drzewka o liściach tak dużych, że można by się pod

nimi schronić przed deszczem. Były tam także dość duże drzewa, i choć nie mogły się równać z

tym największym, rosnącym w “domu”,
miały pnie, które opasać mogłoby nie
mniej niż pięciu

ludzi trzymających się za ręce.

- *Yfandes?* - zawołał nieśmiało,
korzystając z myślomowy. Nie był
wcale pewien, czy

otrzyma odpowiedź.

- *Słucham* - odezwała się klacz. Po kilku
chwilach wynurzyła się z lasku, jednym
susem

przesadziła krzewy i już stała przy
Vanyelu, radośnie unosząc ogon i
głaszcząc go nozdrzami

po policzku. - *Czy twoje rance już się zagoiły?*

Vanyel zdjął bandażę rano i okazało się, że oprócz małych podrażnień na skórze nie ma

już śladów oparzeń. Z pewnością jego ręce nie były tak obolałe jak poprzedniej nocy.

- *Myślę, że tak.* - Oparł czoło o jej szyję. Sama jej obecność przynosiła mu ukojenie.

Przy niej Vanyel nie potrafił zamykać się w swym pancerzu. - *Gdzie są wszyscy?*

- *Savil jest na górze, w mieszkaniu*

Gwiezdnego Wichru. - Yfandes
przekazała mu obraz

pokoju o wielu oknach, zawieszzonego
pomiędzy czymś, co mogło być tylko
konarami

ogromnego drzewa wyrastającego w
samym środku “domu”. - *Savil nie lubi
tam przebywać i*

*Kellan bardzo się o nią niepokoi, ale
wczorajszy wypadek bardzo zmartwił
Gwiezdnego*

*Wichra, a on najlepiej czuje się właśnie
w swym pokoju, tam w górze.
Rozmawiają.*

- *Ona i k'Treva?*

- *Chyba tak.*

- *A gdzie Tańczący Księżyc?*

- *Myśli w samotności* - odparła Yfandes.

- *Yfandes, czy... - Przełknął ślinę. - Czy zrobiłem wczoraj coś złego?*

Yfandes spojrzała na niego z wyrzutem.

- *Tak. Myślę, że powinieneś z nim porozmawiać. Bardzo go zraniłeś, choć nie okazał ci*

tego. Nigdy jeszcze nikomu nie

opowiadał tej historii. Savil i Gwiezdny Wichur znają ją , ale nie

usłyszeli o niej od niego. Nigdy też nie mówił Gwiezdnemu Wichrowi, jak bardzo wciąż cierpi.

Bardzo dużo go kosztowało, aby podzielić się z tobą tym wszystkim.

Zrazu opanowało Vanyela uczucie winy, potem złość.

Według tego, co mówił Tańczący Księżyc, jego tragiczny romans był niczym innym

jak... właśnie romansiem skazanym na krótki żywot. Jak więc w ogóle można

porównywać jego

cierpienie z bólem, który trawi serce Vanyela? Tańczący Księżyc nie jest sam...

Tańczący Księżyc nie zabił Gwiazdnego Wichra, tylko jakiegoś głupiego komedianta,

który i tak zniknąłby z jego życia po kilku tygodniach. Zwykły aktorzyzna, przelotna miłostka:

Tańczący Księżyc miał jeszcze Gwiazdnego Wichra. Zawsze go będzie miał. Vanyel

zaś na zawsze pozostanie samotny. Jak

więc Tańczący Księżyc może
porównywać swe

położenie z jego?

Yfandes zdawała się wyczuwać, co
dzieje się w sercu chłopca. Odsunęła się
od niego

lekko i popatrzyła nań urażona.

To jeszcze bardziej go rozzłościło.

Bez słowa, na ustach czy w umyśle,
odwrócił się na pięcie i rzucił się
pędem... przed

siebie, byle dalej od niej, byle dalej od
Tayledras, od nich wszystkich.

Zatrzymał się w małym

zakątku wąwozu, w ponurym zagajniku z
paproci i drzew o mięsistych liściach,
między

którymi nie przebijało się prawie żadne
Światło. Rozchylając gałęzie, utorował
sobie drogę

między nimi i skulił się na ziemi,
rozpaczając nad swym nędznym losem.
Był zły, w żołądku

czuł dotkliwe skurcze, w oczach palący
ból.

Nic ich nie obchodzi, myślą tylko o tym,
co mogą zrobić. Nie obchodzi ich, jak

bardzo

cierpię; chcą tylko, abym robił, co mi
kaza. Savil chce mnie podstępnie
zmusić, abym został

heroldem. Żadne z nich nic nie rozumie!
Żadne z nich nie wie, jak bardzo...

Zaczął cicho płakać.

Lendelu, Lendelu, oni nie mają pojęcia,
ile mnie samego umarło wraz z tobą.

Chcę

tylko, aby zostawili mnie w spokoju.
Dlaczego nie chcą zostawić mnie w
spokoju? Dlaczego

nie przestają mnie przymuszać do rzeczy, których nie chcę robić? Do diabła, wszyscy są tacy

sami, zupełnie jak ojciec! Jedyna różnica polega na tym, że ci tutaj chcą ode mnie czegoś

zupełnie innego! Och, Lendelu... tak bardzo mi ciebie brak...

Wypłakiwał swe żale bardzo długo, aż do chwili, gdy dolinę spowiła zupełna ciemność.

Wtedy dopiero - najciszej, jak tylko mógł - wślizgnął się do "domu". W głębi duszy miał

nadzieję, że będą na niego czekali.

Ale pokoje były równie opustoszałe, jak wtedy gdy wychodził. Paliły się tylko nocne

lampki pozostawione dla mieszkańców Tayledras, którzy zażyczyliby sobie zejść w nocy na

dół. Nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek za nim tęsknił.

Nic ich nie obchodzi - myślał posępnie, lustrując puste pokoje oświetlone nikłym

blaskiem. Naprawdę nic ich nie obchodzi. Och, bogowie...

Żołądek skurczył mu się w kamień.

Nikt o mnie nie dba. Oprócz Lendela,
nigdy nikomu na mnie nie zależało. I nikt
już

nigdy mnie nie pokocha.

Zwiesił ramiona i poczuł, że gardło
zaciska mu żal. Jeszcze raz przeszedł
wszystkie

pokoje, ale nic się w nich nie zmieniło.
Wciąż były tak samo opustoszałe. Ani
ślada żywej

duszy. Zdawało się, że pozostanie tak
już na zawsze.

Spacerował tak długo, aż zdawało mu się, że echo własnych kroków znów doprowadzi

go do łez. W końcu położył się do łóżka.

A potem płacz szybko sprowadził na niego sen.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lareth zaśmiał się. Jego pusty głos odbijał się echem między klifami, gdy uniósł rękę i

wykonał najprostszy z gestów. Wtem, tuż za barierą Vanyela rozpełtała się magiczna burza.

Vanyel wzmocnił swe osłony, swe ostatnie zabezpieczenie. Był zupełnie wyczerpany, źródła

jego energii także. Poniósł w pojedynku straty o wiele większe niżli te, które odważyłby się

okazać Larethowi.

Nie był żadnym przeciwnikiem dla siejących spustoszenie w jego osłonach piorunów

miotanych przez Laretha, który stojąc po drugiej stronie szalejącej wokół Vanyela burzy,

posyłał mu uśmiech mówiący tylko tyle,

*że wie, iż Vanyel słabnie z każdą
chwilą. Oczy chłopca*

*zaszły mgłą, która natychmiast zaczęła
zamarzać. Opadł na kolana. Nie miał
już żadnych szans,*

*ale wciąż walczył. Lareth zaś zdawał
się nie czuć nawet zmęczenia.*

*Ostatni piorun zniósł resztki osłony
Vanyela. Z gardła chłopca wydarł się
niehumaniczny*

*krzyk, a przez jego ciało przebiegł
śmiertelny dreszcz, jakiego nie zaznał
nigdy wcześniej...*

Vanyel obudził się. Pościel była

zupełnie mokra. Szarpały nim takie drgawki, że nawet

liście paproci nad jego głową zaczęły się poruszać. Bał się, że krzyczał nie tylko we śnie.

Ale gdy nikt nie przybiegł do jego pokoju, uspokoił się. Wiedział, że wszystko było

tylko snem i przynajmniej tym razem jego wrzask nie obudził nikogo.

Sen. Och, bogowie, to nie tylko sen - pomyślał. Choć w pokoju było bardzo ciepło,

wciąż wstrząsał nim dreszcz. Popatrzył

na tarczę księżyca wiszącą wprost nad jego głową.

Koszmar wciąż zaciskał na nim swe stalowe szpony.

To się wydarzy naprawdę, to wydaje się realne. To dar przewidywania pozwala mi

zobaczyć to już teraz. Na pewno tak będzie. Lareth nazywa mnie Vanyelem magiem heroldów,

a ja ubrany jestem w Biel. Przyśniła mi się moja własna śmierć. Właśnie to się ze mną stanie,

tak właśnie umrę, jeśli zostanę

heroldem. Umrę w samotności, w strasliwym bólu. Stoczę

pojedynek, w którym skazany będę na porażkę.

Zadrżał mocniej, przeszyty chłodem bijącym od snu, a jeszcze bardziej własnym

strachem. Wreszcie odrzucił pościel, porwał szlafrok i odnajdując drogę dzięki światłu księ-

życa i własnemu przyzwyczajeniu, powędrował do pokoju z gorącymi źródłami.

Nie po raz pierwszy obudził się w

środku nocy odrętwiały z zimna i nie po
raz pierwszy

potrzebował rozgrzewającej, kojącej
kąpieli. Nigdy przedtem jednakże
dręczący go od

dłuższego czasu sen nie był wyraźny na
tyle, aby można go było zapamiętać.

Wdrapał się do wyższego basenu i z
westchnieniem ulgi zanurzył swe
rozdygotane

ciało w gorącej wodzie. Och, bogowie,
nie chcę umierać. Nie mogą przecież
mnie do tego

zmusić, prawda? A gdyby wiedzieli o

tym śnie? Czy wciąż chcieliby, abym
został heroldem?

Bogowie, znam przecież odpowiedź...

Jeszcze bardziej zagłębił się w wodę, aż
poczuł na podbródku uderzenia jej
delikatnych

fal. Toczył walkę ze ślepym,
bezzasadnym uczuciem paniki. Bez
skutku.

Co ja mam robić? Och, bogowie... nie
mogę nawet myśleć... Muszę się stąd
wydostać.

Nie mogę tu zostać. Jeśli zostanę, będą
mnie ciągle zwodzić. Ale dokąd

mógłbym pójść? Nie

wiem nawet w którą stronę prowadzi droga do domu. Ale nie mogę zostać... po prostu sobie

pójdę, spakuję się i pójdę, wiedziony nadzieją, że coś się wydarzy. Tylko tyle mogę zrobić. To

oznacza, że muszę opuścić Yfandes...

Myśl o tym przemieniła się na moment w torturę. Ale strach był silniejszy.

Albo stracę ją, albo życie. Nie, nie mogę, nie mogę umrzeć w taki sposób. A poza tym -

zakrztusił się od szlochu - ona też chce,
abym został heroldem...

Uniósł głowę i ocenił porę nocy po
położeniu księżyca.

Mam jeszcze kilka godzin do brzasku.
Mogę być daleko stąd, zanim zaczną się
za mną

rozglądać. A może nawet nie będą mnie
szukać. Gwiezdny Wicher na razie nie
jest w stanie się

mną zajmować. Pomyślą, że poszedłem
gdzieś, aby побыć trochę w samotności,
szczególnie

jeśli zablokuję dostęp Yfandes do moich

myśli i utrzymam ją na dystans.

Wyszedł z basenu i wytarł się swym szlafrokiem. Doskonale wiedział, gdzie jest

ubranie, w którym tutaj przyjechał; wisiało ono w garderobie Tańczącego Księżyca. Nałożył je

najszybciej, jak tylko potrafił, a ciepły płaszcz zarzucił sobie na jedno ramię. W szafie był też

jeden z jego tłumoków podróżnych, ten, w którym spakowane były jego zimowe rzeczy. W

dolinie nie były one przydatne, a więc

nigdy ich nie rozpakował, a sam nosił stare ubrania

Tańczącego Księżyca. Ponieważ mieszkańcy Tayledras odżywiali się dość nieregularnie, w

pokoju sąsiadującym z pomieszczeniem, w którym rosło drzewo oplecione schodami, zawsze

można było znaleźć coś do jedzenia.

Vanyel podkradł wystarczającą na parę dni porcję chleba i

sera, a potem wraz z ubraniami zapakował wszystko do tłumoka.

Wypaliła się z górą jedna świeca, nim

dotarł wreszcie do wyjścia z doliny.

Gdyby nie

padał śnieg, byłby nawet gotów
zawrócić. Śnieg jednak prószył, lekko
wprawdzie, ale

wystarczająco, aby zakryć jego ślady.
Vanyel zarzucił na ramiona ciepły,
ciężki płaszcz, zebrał

wszystkie siły, aby stawić czoło
szokowi termicznemu, i wyszedł w
mroźną, pogrążoną w

mroku krainę. Nie zapomniał też, aby za
wczasu otoczyć się szczelną osłoną,
która nie pozwoli

innym wytropić jego aury.

- Dwa kroki do przodu, jeden w tył -
dobiegał z dołu drabiny głos Tańczącego

Księżycyca. Oczywiście była to drabina
tylko w pojęciu Savil, która uważała, że
stopni tak

stromych jak te, prowadzące do *ekele*
Gwiezdnego Wichru, nie można nazwać
“schodami”.

Zaraz potem pojawił się sam Tańczący
Księżyc. Jego głowa ukazała się we
włazie w

połyskującej drewnianej podłodze
dokładnie w chwili, gdy podmuch

wiatru zakołysał

skrzypiącym drzewem.

Savil poczuła ucisk w gardle, złapała się oparć fotela i odwróciła wzrok od okna, za

którym latały ptaki. Gwiezdny Wicher nigdy jej nie powiedział, jakiego materiału używają

zamiast szyb w oknach. Na pewno nie było to zwykłe szkło, ono nie wytrzymałoby wiejących

w górze wiatrów. Był to ten sam materiał, który tworzył przezroczyste sklepienia na dole, tutaj

jednak dużo cieńszy. Przypominał on twardą, giętką, przezroczystą błonę, ale Savil nie dałaby

się przekonać, że dość mocną, aby wytrzymać ciężar upadającego nań ciała ludzkiego. *Ekele*

znów zaskrzypiało, a Savil zamarła, widząc, że pod wpływem ruchów drzewa, błona w oknie

zaczyna falować.

- Mógłbyś mi wyjaśnić tę tajemniczą uwagę? - zapytała, gdy reszta sylwetki

Tańczącego Księżyca wyłoniła się z wejścia w podłódze.

- Och, chodzi o twego ucznia, Skrzydlata Siostrę - powiedział oficjalnym tonem,

zamykając włącz, nim następny podmuch chłodnego powietrza wpadnie do pokoju. Drabina

znajdowała się pod osłoną, ale niepełną, całkowite jej osłonięcie byłoby według Gwiezdnego

Wichru niepraktyczne. Nie wyobrażał on sobie bowiem, aby można trwonić energię magiczną

bariery na osłanianie wejścia do jego "gniazda", jeśli włącz świetnie spełniał swoją rolę. - Po-

godnego dnia, mój mistrzu *ashke*.

- I wiatru w twe skrzydła - odparł
Gwiezdny Wicher automatycznie,
odwracając się od

okna. Jego pochmurna twarz zaczęła się
rozjaśniać. - *Shay'kreth'ashke*, nie ma
tutaj dla ciebie

żadnego “mistrza”.

- Aż do dnia, kiedy twe skrzydła uniosą
cię ku niebiosom, zawsze pozostaniesz
moim

mistrzem. - Tańczący Księżyc, krokiem
pewnym jak u żeglarza na pokładzie
jachtu, przesunął

się po chybotliwej podłodze i stanął obok Gwiezdnego Wichru.

- Już dość, schodzę na dół - wycedziła Savił. - Bogowie, to ponad moje siły. A co

mówiłeś o moim uczniu? Możesz odejść od okna? Ciągle mam wrażenie, że przy następnym

podmuchu wylecisz przez nie.

- Okno wytrzyma, a poza tym, od wieków żaden mieszkaniec Tayledras nie wypadł ze

swego *ekele*, moja Skrzydlata Siostró - rzekł Gwiezdny Wicher i stając tyłem do

okna, oparł się

o jego ramę.

- A więc najwyższy czas, aby ktoś wypadł, a ja nie chcę, żebyś to był ty. -

Następny

podmuch wycisnął prawdziwy jęk z rozkołysanego drzewa. Savil z całych sił uchwyciła się

oparcie fotela, aż z jej dłoni odpłynęła krew.

- Zgoda. - Twarz Gwiezdnego Wichru tymczasem rozjaśnił promienny uśmiech.

Odsunął się od okna i usiadł w jednym z

foteli przyśrubowanych do podłogi jego *ekele*.

Droczenie się z Savil i dokuczanie jej z powodu lęku wysokości sprawiało mu przyjemność.

Ekele było czymś na kształt dużego domku na drzewie. Na każdej z głównych gałęzi

Królewskiego Drzewa znajdował się jeden taki domek, a w sumie było ich dwadzieścia. Nie

wszystkie służyły za mieszkania, w większości spełniały funkcje pokoi do medytacji, sypialni,

izb do nauki i rekreacji. Do innych celów dużo bardziej nadawało się “niższe mieszkanie”.

Ale kiedy któryś z mieszkańców Tayledras czuł potrzebę pogrążenia się w zadumie,

wycofywał się do swego *ekele* i spędzał tam nawet całe tygodnie, nie schodząc na ziemię.

Ekele takie składało się z jednego pokoju z oknem. Różne były rozmiary owych pokoi,

ale wszystkie zbudowano z jasnego, niemalże białego, lakierowanego drewna. W każdym z

nich umieszczono kilka
przymocowanych do podłogi foteli i
stół, także przymocowany, a w

kącie pokoju pozostawiono zrolowane
maty do spania. *Ekele* Gwiezdnego
Wichru było jednym

z najwyżej położonych, a tym samym
najmniejszych domków. Za to widok
rozciągał się

stamtąd wspaniały. Savil jednakże
niestety nie mogła go podziwiać.

Tańczący Księżyc zajął trzeci fotel i
usiadł na nim bokiem, z nogami
przewieszonymi

przez oparcie.

- A zatem - domagała się Savil. -
Powiesz wreszcie, o co ci chodziło?

- O twego ucznia. Najpierw robimy
wszystko, aby nie uzależniał się od
nikogo, a

później on tak sobie bierze to do serca,
że izoluje się od Yfandes i nawet przed
nią skrywa swe

cierpienie. W końcu ja próbuję nakłonić
go, aby otworzył się przede mną...

- I co?

Tańczący Księżyc wzruszył ramionami,

a Savił wyczuła, że nie powiedział
jeszcze

wszystkiego.

- Co mu powiedziałaś?

Z jego oczu można było wyczytać
wszystkie emocje; teraz czaił się w nich
szaroniebieski cień.

- Opowiedziałem mu o sobie.

Wydawało mi się, że jeśli uzmysłowi
sobie fakt, że nie

jest jedyną osobą na świecie, która ma
rozdarte serce, uda mi się nakłonić go
do podzielenia się

z kimś swymi uczuciami.

Oczy Savil zwęziły się. Tańczący
Księżyc jest nieszczęśliwy?

- *Shayana*, czy on cię skrzywdził? Jeśli
to zrobił...

- Nie, ja sam zadałem sobie cierpienie. -
Jego oczy rozjaśniły się, a na twarz
wypłynął

wymuszony uśmiech. - On tylko mnie
odtrącił. Dlatego wczoraj przez cały
dzień gdzieś się krył

i dzisiaj rano też zniknął. Jego łóżko stoi
puste, hertasi mówią, że poszedł aż na
sam skraj

doliny, a Yfandes powiada, że zablokował zupełnie jej dostęp do siebie. Powiem bez ogródek,

moja Skrzydlata Siostró, on się po prostu boczy na nas wszystkich.

Savil westchnęła, zapomniawszy nawet o przytrzymaniu się fotela przy ponownym

podmuchu.

- Bogowie, co my mamy z nim zrobić?

Gwiezdny Wichor ocknął się z zadumy, otworzył usta, by dać odpowiedź, ale...
coś mu

przeszkodziło. Obydwaj biegli
gwałtownie zwrócili głowy ku oknu, jak
gdyby byli

marionetkami, które ktoś jednocześnie
pociągnął za sznurki.

Z dołu podfrunęły dwa ptaki i krążyły na
wysokości okna. Był to ów białozór i
inny

sokół o zwykłym upierzeniu. Gwiezdny
Wicher zerwał się z krzesła, otworzył
okno, a gdy wraz

z podmuchem wiatru do pokoju wleciały
oba ptaki, zamknął je z powrotem.

Tańczący Księżyc skoczył na równe nogi

i wyciągnąwszy przed siebie ramiona,
czekał,

aż przysiada na nich sokoły. Te
bezbłędnie odnalazły przygotowane dla
nich miejsca i nim

Gwiezdny Wicher zdążył zasunąć skobel
zamykający okno, już siedziały na
skórzanych

ochraniaczach okrywających
przedramiona jego przyjaciela.

Potem starszy biegły uniósł jedną rękę, a
płowożółty ptak wzbił się w górę i z
głośnym

łopotem wylądował na jego ramieniu.

Obydwaj k'Treva zatopili swe
spojrzenia w oczach sokołów i
pogrążyli się w

całkowitym skupieniu. Savil zamarła w
bezruchu. Wiedziała, że choć więź
łącząca Sokolich

Braci z ich ptakami jest bardzo silna, a
sokoły wytresowane przez magię są
znacznie

inteligentniejsze niż zwykłe ptaki,

to jednak ich umysły nie dorównują
nawet umysłom małych dzieci i
wystarczy drobny

gest czy szmer, aby je spłoszyć. Z dzioba

białego sokoła pociekła piana, z gardła
drugiego

dobył się przejmujący wrzask. Wzrok
biegłych znów nabrał ostrości, a Savil
ujrzała smutek

czający się w kącikach ich ust.

- Co się stało? - zapytała.

- Po pierwsze, ktoś próbuje znów
wykorzystać magię do niecnym celów,
ale tym

razem dzieje się to nie na naszych
ziemiach, ale u k'Valów - odparł
Gwiezdny Wicher i

uspokajając ptaka, pogładził pióra na jego piersi. - Wygląda na niespodziewany wylęg

zimnokrwistych bestii. Coś musiało je poruszyć. Trzeba nam będzie wyruszyć w drogę, aby

rozejrzeć się za przyczyną ich niepokoju. W pobliżu ich siedliska żyje pewien lud, którym

opiekują się k'Treva. Dzięki tamtejszym ludziom, po raz pierwszy udało nam się przyłapać

winowajcę na gorącym uczynku i nie mam zamiaru puścić mu tego płazem.

- Mam nadzieję, że mówiąc “my”
uwzględniasz także i mnie. Aby poradzić
sobie z

wylęgiem zimnokrwistych bestii, nie
wystarczy użyć jednego rodzaju magii.
Przydadzą się

wszelkie moce, jakie uda się zgromadzić
- powiedziała, ostrożnie unosząc się z
fotela i ze

wszystkich sił utrzymując równowagę.

- Jeśli zechcesz ofiarować swą pomoc,
przyjmiemy ją z radością - odparł
Gwiezdny

Wicher z ulgą. - Ale Vanyel...

- Jeśli się chowa, wyjdzie ze swej kryjówki dopiero wówczas, gdy będzie na to

przygotowany. Dopóki przebywa w dolinie, nic mu nie zagraża. A właściwie jak daleko znaj-

dują te stwory?

- W odległości kilku godzin marszu - odrzekł Tańczący Księżyc. - I to mi się właśnie

nie podoba. Ktoś bardzo je pogonił, a może nawet przeprowadził przez Bramę. A w takim razie,

kto to zrobił?

- Dobrze pytanie - zgodziła się Savil. -
Na kogo możemy liczyć?

- Tutaj może pomóc tylko biegły.
Według mnie nawet Wędrowcy nie
powinni się

zajmować stadem tych potworów.
Shethka.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że
tylko my w trójkę jesteśmy w stanie
stawić im

czoła?

- Słoneczna Pieśń jest wyczerpany po
przeprowadzaniu ognistych ptaków do
ich azylu,

Szerokoskrzydły jest za stary na podróżowanie, a Skrzydlata Burza jest przy nadziei.

- O Panie i Pani, zamknijcie ją w odosobnieniu! - zawołała Savil.

- Nie ma się czego obawiać, odkąd została biegłą zupełnie się uspokoiła. Nie rzuca się

już na oślep w sam środek niebezpieczeństwa tylko dla dreszczyku emocji. Deszczowa

Gwiazda zaś wypełnia właśnie inną misję, odpowiadając na wezwanie *kyree*, a Ognisty Lot jej

towarzyszy. To już wszyscy biegli
k'Treva. - Gwiezdny Wicher skrzywił
się. - Gdyby to było

lato...

- Gdyby to było lato, nie groziłyby nam
żadne zimnokrwiste bestie, *ashke* -

przypomniał mu Tańczący Księżyc. -
Użyjemy wszelkich dostępnych
sposobów i będziemy

wdzięczni, jeśli Skrzydlata Siostra Savil
zechce nam towarzyszyć.

- A zatem do dzieła - rzekła Savil,
przygotowując się do długiej drogi
powrotnej na dół.

Tymczasem jej przyjaciele uwolnili swe ptaki. - Jeśli idzie o mnie, to wolę walczyć z

zimnokrwistymi kaczorami, niżli wspinać się po tej przeklętej drabinie!

Krótko przed świtem śnieg przestał prószyc i przez nagie gałęzie drzew zaczęło

prześwitywać blade słońce. W lesie zapanowała jasność, a nadejście nowego dnia zdało się

obudzić w Vanyelu zdrowy rozsądek.

Vanyel przysiadł na pieńku. Był zmęczony i brakowało mu już tchu.

Wtem nagle

wydało mu się, że dopiero teraz ocknął się ze swego koszmaru. Co ja tu robię? - pomyślał,

wciąż dysząc z wysiłku. Nie wiem, dokąd idę, nie wiem, co zrobię, gdy już tam dojdę, i nie

mam zielonego pojęcia, gdzie jestem! Wypuściłem się na to pustkowie jak jakiś dureń!

Położył tłumok na ziemi i odzianą w rękawiczkę ręką zagarnął garść śniegu. Uniósł ją

do ust i zjadł. Język zdrętwiał mu od

lodu, ale uczucie pragnienia wciąż nie ustępowało. Nie

mogę wprost uwierzyć, że zrobiłem coś tak głupiego - pomyślał.

Otulił się szczelnie swym ciepłym płaszczem, wsparł brodę na kolanach i zachwycił się

widokiem ornamentów z oszronionych gałęzi na tle błękitu nieba. Powoli zaczął analizować

swe położenie i choć nie było to łatwe, zastanawiać się nad swym postępowaniem.

Na jego twarzy powoli rozlał się

rumieniec wstydu. Nie mogę uwierzyć,
że zrobiłem

coś takiego. Do diaska, wiem przecież
dobrze, jak bardzo Savil mnie kocha, i
Yfandes... a

mimo to... jestem przeklętym głupcem.
Tańczący Księżyc chciał mi tylko dać do
zrozumienia,

że łatwiej znosić cierpienie, kiedy ma
się przy sobie kogoś bliskiego, kto
również jest

nieszczęśliwy. Wcale nie myślał, że jego
serce krwawi mocniej niż moje.

Wyrzuciłem mu

krzywdę odtrącając go.

Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

Najgorsze jest to, że
najprawdopodobniej nie będę

musiał go nawet prosić o wybaczenie.

Wczoraj na pewno wcale mnie nie
porzucili, tylko

zastanawiali się, jak mogą mi pomóc.

Zrobili dokładnie to, czego od nich
oczekiwałem -

zostawili mnie w spokoju. Powinno się
mnie obedrzeć ze skóry.

Zadumał się, nie odrywając wzroku od
cieniutkich gałęzi brzóz kołyszących się

na

wietrze. Był sam, kompletnie sam, jak nigdy, odkąd opuścił Forst Reach. Tylko cichutkie szep-

ty wiatru i odzywający się raz po raz śpiew ptaka mąciły zalegającą dookoła ciszę, przynoszącą

Vanyelowi ukojenie, którego szukał i nie odnalazł w swej lodowej krainie ze snu. Teraz jednak

samotność wcale nie była tym, czego pragnął najbardziej.

Wokół panował niezmacony spokój, ale Vanyel już dawno, jeszcze w domu,

przekonał

się, że miejsce azylu może z łatwością przemienić się w więzienie.

Gdy zamykasz się na innych - myślał powoli - sam sobie budujesz klatkę.
Chyba

właśnie to próbował mi powiedzieć Tańczący Księżyc.

Jego oczy wciąż błędziły po gałęziach drzew, ale teraz ich widok już go nie zajmował.

Vanyel odwrócił uwagę od konkretnych spraw, pozwalając, by myśli swobodnie przebiegały

mu przez głowę. Gdzieś głęboko czuł
rodzącą się, nie w pełni jeszcze
ukształtowaną, lecz

bardzo ważką ideę, której jeszcze nie
potrafił odczytać.

Wreszcie westchnął i na powrót
pogрузił się w rozmyślaniach o
niedorzeczności

własnego postępowania. Nawet jeśli ten
sen bierze się z mojej zdolności
przewidywania, na

pewno można znaleźć sposób, aby w
ogóle nie dopuścić do sytuacji, którą on
przedstawia.

Wszak nikt nie będzie mnie zmuszał do przyjęcia Bieli Herolda. Gdybym o to poprosił, z

pewnością pozwoliliby mi tutaj zostać. Nie było żadnego powodu, aby uciekać na to pustkowie

bez zaopatrzenia i broni. Bogowie, jakimi jestem głupcem!

Odwrócił się, by przyjrzeć się swym śladom. Lekki wietrzyk przyniósł właśnie ostatnią

porcję pierzastych płatków śniegu, zasypując całkowicie najbliższy odcisk jego buta.

Widząc to, jęknął. Och, wspaniale.
Pewnie nie zdołam nawet odnaleźć
drogi powrotnej!

Nie trzeba mi nauczycieli, powinienem
mieć niańkę!

Ton jego własnych myśli zaskoczył go.
Wyprostował plecy, skoncentrował się i
poczuł,

że na nowo wstąpiło weń życie. Że
znów jest gotów do życia.

Mam wrażenie, jakbym długo chorował
i majaczył w gorączce, która dopiero co
mnie

opuściła. Jak gdybym w środku miał

jakaś jątrzącą się ranę, która właśnie zaczęła się goić. Nie

czułem się tak dobrze, odkąd Tylendel...
umarł...

Przymknął oczy, spodziewając się nowej fali cierpienia. Ból po stracie przyjaciela nie

ustępował wprawdzie, wciąż krył się gdzieś na dnie duszy, ale nie był już tak dotkliwy jak

przedtem.

Lendelu - pomyślał zdumiony - nadal za tobą tęsknię. Wciąż cierpię z powodu naszej

rozłąki. Myślę jednak, że Tańczący
Księżyc miał rację. Muszę powrócić do
normalnego życia,

mimo że nie możesz go już ze mną
dzielić.

Otworzył oczy, popatrzył na las
przysypany połyskującym w słońcu
śniegiem i

uśmiechnął się, rozbawiony swą własną
lekkomyślnością.

- Naprawdę jestem osłem, głupim
osłem. Pewnie nie omieszkałbyś mnie
wyśmiać,

Lendelu, prawda? - Potrząsnął głową. -

No dobrze. Teraz chyba powinienem się zastanowić,

jak odnaleźć drogę powrotną, jeśli moje ślady dawno zasypał śnieg.

Rozwiązanie nasunęło mu się samo i Vanyel zaśmiał się, zdziwiony, że od razu na nie

wpadł.

- Och, Panie i Pani, jak to dobrze, że opiekujecie się głupcami. Wystarczy, że

poszukam magii. Nie można przecież spodziewać się, że w okolicy znajdują się inne skupiska

magów, poza doliną k'Trevów, i chyba nawet taki dureń jak ja zdoła odnaleźć ognisko energii

magicznej.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech zimnego powietrza.

Skoncentrować się... uziemić... otworzyć przepływ energii... i proszę, dokładnie tak, jak

myślałem, są...

Wtem poczuł wstrząs i ogromna fala energii Bramy powaliła go na ziemię. Stracił

przytomność.

Gdy odzyskał świadomość, słońce stało wysoko na niebie, a ciepłe promienie delikatnie

muskały jego policzek. Zbliżało się południe. Vanyel leżał tam, gdzie upadł, na boku, między

swym tłumokiem a pieńkiem drzewa. Skulił się wokół swej torby; korzenie pnia uwierały go w

bok i nogę. W uszach, a może w głowie, huczało mu. Czuł się jak po jednym z najsilniejszych

ciosów Jervisa.

Bogowie. Wzniósł oczy ku słońcu i skrzywił się. To była Brama. Nic innego nie

wprowadza człowieka w taki stan. Och, jakże mnie wszystko boli. Dobrze, że miałem na sobie

ten płaszcz, inaczej zamarzyłbym na śmierć.

Odepchnął tłumok i przewrócił się na brzuch. Teraz przynajmniej słońce nie raziło go w

oczy. Podciągnął kolana i na rękach podniósł się ze śniegu. Był skostniały z zimna, ale poza

tym nie ucierpiał wiele podczas upadku. Czuł tylko dość szczególny ból głowy, który oznaczał,

że eksperyment nadwerężył nieco jego nowe zmysły. Uklęknął, naciągnął na głowę kaptur i

rozejrzał się. Wyglądało na to, że od razu upadł na bok, w chwili gdy odczuł wstrząs.

Chyba powinienem wreszcie ruszyć w drogę, nim zamienię się w lodową figurę -

pomyślał. Podpierając się na pieńku, wstał i dla pobudzenia krążenia przez chwilę potupał

nogami w miejscu. Może nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Mam nadzieję, że ten

gwałtowny przypływ energii Bramy nie oznaczał, że ktoś mnie szuka. I bez tego czuję się jak

dureń.

Zarzucił na ramię swój tłumok i spróbował ustalić swe położenie.

Spróbujmy jeszcze raz. Skoncentrować się... uziemić... otworzyć się na przepływ

energii... a jeśli się dowiem, że Tańczący Księżyc maczał w tym palce,

to...

W głowie znów odezwał się ból. Vanyel zachwiał się i niemal upadł, ale tym razem

wstrząs spowodowany napływem energii przyniósł wyraźne, choć nieme, rozpaczliwe wołanie

o pomoc. Vanyel ocknął się, jak oblany kubłem zimnej wody.

Nie czuł, od kogo pochodzi to wołanie, nie tak, jak czuli to posiadający dary

mieszkańcy Tayledras. Wiedział tylko, że jest to krzyk pełen trwogi i miał całkowitą pewność,

że nie woła na pewno herold czy mag.
Mógł to być tylko zwyczajny człowiek
zdjęty

śmiertelnym strachem.

Bogowie! Przekręcił głowę w kierunku
źródła tego wrzasku, jakby przyciągał ją
tam

jakiś magnes. A potem, mimowolnie, nie
wiedząc nawet, co go do tego popycha -
poza tym, że

musi odpowiedzieć na wołanie o pomoc
- Vanyel ruszył chwiejnym krokiem tam,
skąd zdawał

się dochodzić krzyk.

Najpierw posuwał się po śladach zwierząt, teraz jednak oddalił się od jakiegokolwiek

ścieżki czy szlaku. Wszedł prosto na gęstwinię krzaków i nie mógł znaleźć sposobu, aby je

obejść. Nieustające wołanie dźwięczące w głowie doprowadzało go niemal do obłądu, ale

wiedziony jego siłą szybko przedarł się przez krzaki i nagle znalazł się w lesie bukowym.

Przestrzeni między białymi, prostymi kolumnami drzew nie porastała tutaj żadna rośliność,

nie było krzewów ani pnączy, i Vanyel mógł przyspieszyć kroku; szedł coraz szybciej i

szybciej, aż w końcu puścił się przed siebie szalonym pędem.

Wkrótce jednak buczyna zamieniła się znów w gęsty las porośnięty bujnym

podszyciem z płaczącymi się wokół nóg pędami dzikiej róży. Wnet teren zaczął falować,

wreszcie stał się wyraźnie pagórkowaty. Vanyel gonił już ostatkiem sił, w płucach czuł kłujący

ból. Płaszcz zaczepiał się o gałęzie

krzewów, wstrzymując jego bieg.
Potknął się, zatoczył na

pień drzewa i ledwie zdołał odzyskać
równowagę, potknął się jeszcze raz i
padł plackiem

prosto na śnieg. Przez chwilę nie mógł
złapać tchu, ale alarmujący głos
dźwięczący w jego

głowie nie pozwolił mu się poddać.
Dźwignął się znowu, zerwał płaszcz z
krzaka jeżyny i

pobiegł dalej.

Jeszcze wiele razy potykał się o
najróżniejsze przeszkody ukryte pod

pokrywą śniegu.

Robił przy tym wystarczająco dużo hałasu, aby ostrzec o swej obecności wszelkie nie po-

zbawione słuchu stworzenia w okolicy.

Nie pozbawione słuchu - albo nie zajęte czym innym.

Zdyszany, brnął na oślep niezdolny do ogarnięcia wzrokiem przestrzeni większej niżli

kilkudziesięciocentymetrowy skrawek ziemi przed nim. Dokładnie w chwili, gdy wdrapał się

właśnie na szczyt kolejnego pagórka,
zawadził stopą o korzeń i wylądował w
gąszczu

krzewów.

Nim zdołał się podnieść i przedrzeć
przez ich ochronną zasłonę, jego oczy
przyciągnął

potworny widok. Vanyel zmartwiał. To,
co zobaczył, było zbyt zajęte swą ofiarą,
aby trzaski i

szmery wywoływane przez chłopca
zdołały odwrócić jego uwagę.

Wydawało się, że nawet cały

oddział kawalerii mógłby przelecieć

obok, nie zakłócając spokoju potwora.

Vanyel znalazł się właśnie na skraju ziem jakiegoś drobnego dzierżawcy, w żyznej

dolinie rzeki, dobrze nawodnionej, osłoniętej przed najsilniejszymi śnieżycami w zimie a

burzami latem. Nic dziwnego, że grunty orne takie jak te bez trudu przyciągnęły tutaj

przedsiębiorczego gospodarza, który zdecydował się stawić czoło niebezpieczeństwom gro-

żącym mu w Pelagris. Dla ochrony przed

najróżniejszymi zagrożeniami tutejszy dom i

zabudowania gospodarskie otoczono specjalną palisadą z grubych drzew wysadzonych

pierścieniem wokół zagrody.

Teraz jednak po owej palisadzie pozostało tylko zwalisko wyrwanych z korzeniami pni.

Dla tego, co nawiedziło mieszkańców gospodarstwa w ten zimowy poranek, taka bariera nie

stanowiła żadnej przeszkody.

Vanyel nigdy przedtem nie widział zimnokrwistej bestii, lecz z opisów

przekazywanych w pieśniach i baśniach, wiedział doskonale co to za monstrum.

Stwór przypominający trochę jaszczurkę, a jeszcze bardziej węża na krótkich krępych

nogach, był z pewnością największą żywą istotą, jaką kiedykolwiek ujrzały oczy Vanyela.

Gdyby zmierzyć długość monstrum od nozdrzy po koniec ogona, okazałoby się, że to

dokładnie tyle co sześć

wozów ustawionych jeden za drugim.
Jego końska głowa rozmiarów beczułki
od wina

osadzona była na szyi otoczonej
srebrzystymi, zaostrozonymi jak igły
kolcami, które wyrastały

też na jego głowie, a dalej ciągnęły się
rzędem wzdłuż grzbietu, aż po ogon.
Potwór warczał z

cicha, ukazując białe, spiczaste niczym
sople lodu kły, długości ręki Vanyela.
Jego groźnie

zakrzywione pazury ryły ziemię. Vanyel
dobrze znał ich ostre krawędzie, gdyż
Tańczący

Księżyc miał nóż zrobiony z jednego z nich. Każdy taki pazur przewyższał długością ramię

mężczyzny i był jeszcze groźniejszy niż zęby potwora. Ogromne oczy o barwie głębokiej

purpury, niczym dwa idealnie oszlifowane ametysty, nie odrywały się od ofiary, młodej

kobiety i dwojga małych dzieci. Całe zwierzę okrywała srebrnobiała skóra, nieskazitelna

niczym najczystszy śnieg, kolce połyskiwały w słońcu. Stwór był równie piękny, jak

krwiożerczy.

Widok rozszarpanego ciała u jego stóp,
nie pozwalał wątpić, że bestia
doskonale wie,

jak zrobić użytek ze swych pazurów i
zębów.

Ale to nie kły ani ogon utrzymywały
przerażoną kobietę i jej dwoje dzieci w
stanie

paralizującego odrętwienia. To główna
broń potwora - hipnotyczna moc jego
wzroku -

pozbawiała jego ofiary możliwości
obrony.

Chcąc doprowadzić swą ofiarę do całkowitego posłuszeństwa, stwór trwał w bezruchu,

świdrując kobietę swymi przerażającymi oczami. Odgłos jej ciężkiego od strachu oddechu

dochodził pośród ogólnej ciszy nawet do uszu Vanyela.

Odkąd po raz pierwszy krzyk kobiety przeszył jego umysł niczym sztylet, Vanyel nie

otoczył się osłoną. Dlatego cały czas odbierał jej myśli - nieskładne, histeryczne, rozpaczliwe.

Wciąż jej dusza zawodziła przeraźliwie,
usiłując wyrwać się z potrzasku
spojrzenia

fioletowych oczu bestii. Ale ona sama i
jej dzieci znajdowali się już w pułapce,
pozbawieni

woli. Ich ciała już nie im były posłuszne.

Tak umarł jej mąż, ojciec dzieci,
oddając się w łapy potwora kierowany
nie swoją, a

jego wolą. Ale najstraszniejsze było to,
że bestia poruszała się dość leniwie i
gdyby tylko jej

ofiaram udało się jakoś odwrócić jej

uwagę na dłuższą chwilę, mogliby z łatwością uciec.

Teraz dobiegały Vanyela także myśli innych ludzi, chyba kilku tuzinów członków

rodziny, którzy schronili się między drzewami po drugiej stronie polany. Tylko tym czworo -

kobiecie z dwojgiem dzieci na rękach i mężczyźnie, który chciał ich obronić - nie udało się

umknąć flegmatycznej bestii. Vanyel odczuwał trwogę tamtych ludzi tak samo jak nieustanne

zawodzenie zdjętej śmiertelnym
strachem kobiety.

Wbił nieruchomy wzrok w całą trójkę.
Był sparaliżowany niemal tak samo jak
oni.

Łomoczące serce rozsadzało mu pierś,
gardło ścisnęło przerażenie. Wydawać
by się mogło, że

i jego zahipnotyzowały fioletowe oczy
stwora.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Nie wszyscy uciekli do lasu. Zza stodoły
wyszedł człowiek. Kuśtykał powoli,
widać

było, że cierpi, ale posuwał się tak bezgłośnie, że nawet śnieg nie skrzypiał pod jego butami.

Podchodził zwierza od tyłu. W głowie Vanyela zabrzmiały strzępy jego myśli, pozwalając mu

zorientować się, do czego zmierza mężczyzna.

- ...podejść jak najbliżej i dźgnąć go...

Był to stary, sterany człowiek, dziadek kobiety z dziećmi. Atak stwora zaskoczył go w

stodole; widział na własne oczy, jak mąż jego wnuczki sam wszedł do paszczy

bestii. Z miejsca

rozpoznał, co to za zwierz, i uzbroił się w jedyny oręż, jaki był mu dostępny - widły. Ale

przeciwko zimnokrwistemu potworowi była to broń wręcz śmieszna.

- ...żeby tylko odwrócił od nich wzrok, a ona będzie mogła uciec...

Potwór nie zważał na nic, poza swą zdobyczą. Starzec zdołał zająć go od tyłu, a stwór

nie zdawał sobie z tego sprawy.

Mężczyzna miał świadomość, że czeka

go śmierć. Wiedział, że atakując bestię
nie

zdziała nic więcej poza wprawieniem
jej we wściekłość. Ale tym samym
rozproszy uwagę

stwora, który odwróci swój łeb na jedną
krótką, jakże cenną chwilę.

Był to atak samobójczy, mógł jednak
przynieść kobiecie i dzieciom szansę na
ocalenie.

Staruszek zbliżył się do potwora na
odległość ramienia, uniósł widły, jak
gdyby miał

zamiar nadzieć na nie kupę siana, i

pchnął, zatapiając ich zęby w boku
stwora z dźwiękiem

podobnym do odgłosu noża
zagłębiającego się w drewnie aż po
rękojeść.

Z gardła bestii dobył się wrzask, od
którego Vanyelowi prawie popękały
bębenki w

uszach. Łeb stwora okręcił się na jego
długiej, węzowatej szyi, a jego wzrok
spoczął na

mężczyźnie, zanim ten zdążył puścić
widły. Niemal w tej samej chwili las
napełnił się echem

kłapnięcia wielkiej szczęki odgryzającej
głowę starca.

Vanyel wrzasnął, czuł w sobie agonię
mężczyzny. Desperacka odwaga
staruszka zaś

stała się dla niego wewnętrznym
bodźcem, którego nie mógł zignorować.

Gniew, strach i inne emocje, których nie
był nawet w stanie nazwać, poderwały
go na

równe nogi, wyciągnęły z krzaków na
otwartą przestrzeń i wybuchły z siłą,
przy której reakcja

na to, co uczynił Gwiazdny Wicher

chcąc zmusić go do wezwania pioruna,
była niczym.

W ogólnym zamięcie Vanyel pomyślał
tylko, aby jednym krótkim zaklęciem
otoczyć

osłoną kobietę i dzieci. Zaraz potem
zaatakował bestię, porażając ją całą
siłą, jaką zdołał zebrać

w sobie. Podmuch niewyobrażalnej
mocy ugodził potwora w bok, wyrzucił
go w powietrze,

wysoko ponad dachy zabudowań, by tam
zawiesić jego wielkie cielsko na jeden
przeraźliwy

moment, gdy Vanyelowi zdało się, że wnętrzości rozrywają mu ciało.

W końcu jego energia wyczerpała się, a stwór spadł na ziemię, gruchocząc wszystkie

kości i krwawiąc z setki ran.

Vanyel osunął się na kolana, pochylił ciało do przodu opierając się na rękach, wreszcie

padł na ziemię. Był zupełnie wycieńczony. Leżał na polanie pod bladym zimowym słońcem,

usiłując złapać oddech i zastanawiając się, co właściwie zrobił.

Savil zlustrowała ostatnie z martwych ciał zimnokrwistych bestii, spojrzała na

Gwiezdnego Wichra i zaniepokojona zagryzła wargi.

- A gdzie jest królowa?

- Nie ma tu po niej ani śladu - odparł krótko Gwiezdny Wicher, utrzymując się na

nogach już tylko siłą woli. Wziął na siebie cały impet uderzenia, a teraz kręciło mu się w

głowie. Był już osłabiony wysiłkami w celu utrzymania koncentracji.

Tymczasem Savil i

Tańczący Księżyc zamykali szczęki
pułapki wokół gniazda potworów.

- Ja też jej nie widziałem - zawołał
Tańczący Księżyc stojący u stóp
wzgórza.

Sprawdzał każde martwe cielsko.
Któreś z nich mogło okazać się
niedojrzałą królową. Istnienie

gniazda z niedojrzałą królową nie było
wprawdzie zbyt prawdopodobne, ale
słyszano już o

wypadkach napotykania takowych.

Ponieważ dotarcie na miejsce zanim
jeszcze stado zbliży się do osiedli

ludzkich było

podstawowym warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia, Yfandes zgodziła się ponieść

na swym grzbiecie obydwóch k'Trevów. Później zaś, gdy Tańczący Księżyc na Yfandes i Savil

na Kellan zamykali pułapkę, Gwiezdny Wicher poszedł pieszo jako przynęta.

- Nie ma królowej - rzekł Tańczący Księżyc, zbadawszy ostatnie ciało.

Podmuch mocy wyzwolonej podczas walki ogołocił szczyt wzgórza ze śniegu,

odkrywając poczerwiałe zbocza.

Sześć powykręcanych ciał potworów
leżało na wypalanej ziemi, tworząc
srebrzyste

hałdki niby ornamenty ponaszywane na
czarny aksamit szaty jakiejś olbrzymki.

- *Ashke*, dobrze się czujesz? - zapytał
Tańczący Księżyc z niepokojem i
porzuciwszy

martwe cielska, zaczął pośpiesznie
wspinać się na pagórek. Gwiezdny
Wicher wyglądał, jak

gdyby nogi miały mu lada chwila
odmówić posłuszeństwa. Yfandes

zbliżyła się do niego, by

mógł wesprzeć się na jej boku, a on,
wzdychając z wdzięcznością,
skwapliwie skorzystał z jej

uczynności.

- Poczuję się znacznie lepiej, jeśli będę
mógł oddychać - odparł starszy k'Treva,
gdy

Tańczący Księżyc przyłączył się do
pomocy Yfandes. - Coraz bardziej mnie
niepokoi fakt, że

nie odnaleźliśmy królowej.

- Myślisz... - zaczęła Savil.

W tej samej chwili całą trójkę uderzyła nieprawdopodobnie potężna fala obłądnej

mocy, za którą wyraźnie wyczuli “obecność” Vanyela.

- Panie?

Ktoś szarpał go za ramię. Vanyel uniósł głowę, ale okazało się, że w tej chwili nie ma

sił, aby zdobyć się na coś więcej.

- Bogowie - jęknął oszołomiony, gdy otulona płaszczem kobieta kucająca u jego boku,

usiłowała pomóc mu wstać. - Och,
proszę... jeszcze nie.

- Panie, czy coś wam się stało? -
zapytała nieznajoma, marszcząc
zatroskane czoło. -

Nic wam nie będzie, tylko schrońcie się
do środka, zanim przyjdzie następny
potwór.

- Nie ma... już więcej - wyjęczał i
poddając się naleganiom kobiety,
dźwignął się do

pozycji siedzącej. Słońce zdawało się
świecić teraz jaśniej niż przedtem,
porażając wilgotne

oczy Vanyela.

Bogowie, to jedna z gospodyń. Gotowa zaraz mnie zbesztać, że nie pojawiłem się

wcześniej - myślał, spoglądając na nią i gotując się na przyjęcie wyzwisk. Na pewno będzie

chciała wiedzieć, dlaczego nie uratowałem tego staruszka albo nie przyszedłem na czas, aby

ocalić młodego mężczyznę. Co ja jej powiem? Jakże miałbym jej wytłumaczyć, że sam

znieruchomiałem z przerażenia i nie

byłem w stanie wykonać najmniejszego gestu, aż do czasu,

gdy staruszek rzucił się na potwora?

- Panie, uratowaliście nas - powiedziała kobieta, rozszerzając swe brązowe oczy.

Nawet udręczone uszy Vanyela zdołały wychwycić pełen uniżoności ton, jakim się doń zwraca-

cała. - Przybyliście, aby nas ocalić. Nie mam pojęcia, skąd wiedzieliście, co się tu dzieje, ale

wprost nie wiemy, jak wam dziękować, panie.

Vanyel popatrzył na nią zdumiony.

- Ależ...

- Czy wy jesteście od tych panów-
ptaków? Nie jesteście do nich podobni,
a to jedyni

magowie w okolicy, którzy troszczą się
o dobro ludzi.

- Panowie-ptaki? - powtórzył Vanyel
niemądrze.

- Och, daj spokój, Menfri, to jeszcze
chłopiec, w dodatku jest zupełnie
wyczerpany! -

Drugą nieznaną była stara kobieta o

pomarszczonym i wysuszonym, ale
dobrotliwym

obliczu. Przytrzymując płaszcz na
ramionach, pochyliła się nad Vanyelem.

- No, chłopcze,

wejdiesz do środka, ogrzejesz się,
odpoczniesz i opowiesz nam swoją
historię, dobrze?

Wzięła Vanyela pod rękę, a ten z
konieczności, aby nie pociągnąć jej na
ziemię, musiał

wstać. Po chwili już prowadziła go
przez bruzdy zaoranego pola, obok
martwego cielska bestii

(Vanyel wzdrygnął się, widząc z bliska, jak wielkie było to monstrum) na ganek domu, a w

końcu do ocienionych drzwi.

Vanyel był nie tylko oszołomiony z wycieńczenia, ale również czuł się trochę

niezręcznie, jakby nie na miejscu.

Znalazł się wszakże pomiędzy prostymi ludźmi, których tak bardzo starał się unikać w

Forst Reach, wśród owych tajemniczych, nieprzenikniętych wieśniaków, których potrzeb i

sposobu myślenia nigdy nie pojmował.

Był pewny, że za moment napadną na niego i zwymyślają za to, że nie było go tam,

gdzie oni potrzebowali pomocy.

Tymczasem wcale się nie zanosilo, aby rzeczywiście mieli zamiar to zrobić.

Staruszka

posadziła go na stołku przy ogromnym palenisku pośrodku kuchni, młodsza z kobiet przyniosła

jego tłumok i płaszcz, a jakiś chłopiec podał mu kubek posłodzonej herbaty.

Gdy jeden z

brodatych, odzianych na czarno
mężczyzn zaczął zadawać mu pytania,
staruszka natychmiast

przegoniła go i zdjęwszy płaszcz, rzuciła
go na ławę.

- Zostaw chłopca w spokoju, Magnus.
Widziałam już jedną taką panią-ptaka.

Odprawiają swoje czary, a potem przez
jakiś czas nie mogą dojść do siebie i
bredzą od rzeczy.

- Poklepała Vanyela po głowie, jak
gdyby miała wyłączność na zbliżanie się
do niego. -

Powiada, że nie ma już więcej stworów,

więc lepiej zajmij się biednym starym Kernem i

mężem Tansy, a temu chłopakowi pozwól dojść do ładu z samym sobą.

Vanyel skulił się na taborecie i mrużąc oczy w półmroku kuchni, obserwował ludzi

krzątających się dookoła. Jakże łatwo powracali po tym wszystkim do normalnego życia. Ktoś

poszedł zająć się ciałami zmarłych, kto inny zaopiekował się lamentującą matką, a jeszcze kto

inny zabrał się do planowania obrzędów

związanych z pogrzebem. Oczywiście wszyscy byli

pogrążeni w żałobie po zmarłych, na swój prosty, szczery sposób, ale nie było w tym nic z

dobrze znanych Vanyelowi lamentów i załamywania rąk. Nie pozwalali, aby żal przeszkodził

im w powrocie do normalnego życia i w odbudowie palisady wokół gospodarstwa, ich

nieskomplikowana dzielność sprawiała, że Vanyel poczuł się odrobinę zawstydzony.

W takim właśnie refleksyjnym nastroju zastali go inni.

- ...wiem, że zachowałem się lekkomyślnie, uciekając w ten sposób, ale... - Vanyel

wzruszył ramionami. - Nie będę się usprawiedliwiał. Zrobiłem ostatnio dużo niemądrych

rzeczy. Po prostu nie zastanowiłem się nad niczym jak należało.

- Cóż, nie bądź wobec siebie taki surowy. Wróżebne sny mają to do siebie, że różnie

wpływają na ludzi - rzekła Savil,

zakładając nogę na nogę i przyjmując wygodną pozycję na

swym stołku przy palenisku. -

Doprowadzają do tego, że krew zaczyna się w człowieku burzyć,

odbierając mu zdolność rozsądnego rozumowania. Nie byłeś pierwszym, który próbował uciec

od takiego snu, rzucając się na oślep przed siebie i najprawdopodobniej nie będziesz ostatnim. -

Nie, dziękuję ci, Megan - powiedziała do dziecka, które zaproponowało jej herbatę. - Niczego

nam nie trzeba.

Osadnicy odnosili się z wielkim respektem do Vanyela, ale pojawienie się

mieszkańców Tayledras odebrało im niemal mowę. Herolda nie odróżniliby wprawdzie od

brzozy, ale doskonale wiedzieli, kim są Sokoli Bracia, i usługiwali im z honorami należnymi

koronowanym głowom.

Wszyscy trzej przybysze byli skrajnie wyczerpani, a uczucie ulgi na widok Vanyela

całego i zdrowego oraz na wiadomość,
że królowa jest bezspornie martwa,
niemal ścięło ich z

nóg. Dlatego też gościnność gospodarzy
przyjmowali bez wahania i z ogromną
wdzięcznością,

sadowiąc się wygodnie wokół paleniska
i racząc się herbatą.

Vanyel poczekał, aż się wygodnie
rozsłada i rozpoczął swe pełne skruchy
wyznania.

- Więc gdy tylko odezwał się we mnie
rozsądek - ciągnął - zdałem sobie
sprawę, że

najlepszym sposobem na odnalezienie drogi do domu będzie poszukanie największego w

okolicy skupiska mocy magicznej. Zrobiłem wszystko tak, jak mnie uczyłeś, mistrzu Gwiazdny

Wichrze, i otworzyłem się na przepływ energii... a potem, gdy się ocknąłem, było już prawie

południe. Ktoś otworzył Bramę... gdzieś niedaleko... jej moc powaliła mnie na ziemię i stra-

ciłem przytomność.

- Ha, mówiłam ci, że te stwory

przeniesiono tutaj przez Bramę! -
wykrzyknęła Savil. -

Przepraszam, chłopcze, nie chciałam ci
przerywać. Co było dalej?

- Myślałem, że poza mieszkańcami
Tayledras nie ma tutaj nikogo, kto
mógłby

posłużyć się zaklęciem Bramy.
Spróbowałem otworzyć się na energię
jeszcze raz, by odnaleźć

dolinę, i usłyszałem wołanie o pomoc.
Pobiegłem za nim, znalazłem się tutaj i
zobaczyłem tę

zimnokrwistą bestię... zobaczyłem, jak

zabijała... tego starca... i po prostu nie
mogłem stać z

boku zupełnie beczynnie. Nawet się nie
zastanawiałem, co robić, a lepiej
byłoby, gdybym to

zrobił. Coś mi się wydaje, że
przedobrzyłem.

- Jeśli idzie o zimnokrwiste potwory, a
szczególnie o królową, trudno
przedobrzyć.

Lepiej zrobić wszystko, aby można było
mieć pewność, że nie żyje - odparła
Savil,

wymieniając z Gwiezdnym Wichrem

spojrzenia pełne satysfakcji. - Może i
postąpiłeś

niemądrze, ale znalazłeś się dzięki temu
we właściwym miejscu o właściwej
porze i nie mam

zamiaru cię za to ganić.

- Ciociu Savil. - Zarumienił się i skulił
się w sobie. - Byłem tutaj zanim ten
starzec

wyszedł zza stodoły, i nie zrobiłem nic,
aż do chwili, gdy on... to znaczy... po
prostu kryłem się

w krzakach. Obawiam się - powiedział
ledwie dosłyszalnym głosem - obawiam

się, że mój

ojciec ma rację. Jestem tchórzem.

Mogłem go uratować, a nie zrobiłem tego.

- Wiedziałaś, że możesz go uratować? -
zapytał cicho Tańczący Księżyc. Jego
twarz

była jak z kamienia.

- Wiedziałaś, że twoja magiczna siła da
radę zimnokrwistej bestii?

- No... nie.

- Pobiegniesz w kierunku zagrożenia, w
chwili gdy usłyszałeś wołanie o pomoc,

tak? -

zapytała Savil. - Nie uciekałeś od niego?

- No... tak.

- I po prostu osłupiałeś z przerażenia na widok tego monstrum. Nie uciekałeś przecież?

- Gwiezdny Wichler uniósł brwi.

- Zdaje się, że tak właśnie było.

- Wygląda na to, że brak doświadczenia poczytujesz sobie za tchórzostwo,
Vanyelu -

rzekł Gwiezdny Wicher z przekonaniem.
- Tchórz uciekłby od wołania o pomoc.

Tchórz

wzięłyby nogi za pas na sam widok
potwora. Tobie trudno było podjąć
decyzję, ale zostałeś.

Doświadczenie uczy człowieka
umiejętności podejmowania decyzji, a ty
masz go przecież

niewiele.

- Mój panie, Gwiezdny Wichrze? -
Jeden z odzianych w samodziałowe
koszule

mężczyzn stanął niepewnie u boku

k'Trevy.

- Fellipie, wolałbym, abyś nie nazywał mnie “panem” - westchnął Gwiezdny Wicher,

potrząsając głową. - Mieszkasz na terytorium objętym naszą opieką, ale my tylko wymieniamy

między sobą towary, pożywienie na opiekę, na tym właśnie polega nasz związek i na niczym

innym.

- Dobrze, m... Mistrzu Gwiezdny Wicherze. Mistrzu, ten potwór... przyszedł tu przez

przypadek, czy kryje się za tym, coś więcej?

Gwiezdny Wicher przyjrzał mu się z większą uwagą.

- Dlaczego o to pytasz? Fellip zakasłał i poczerwieniał.

- Cóż, mój panie, urodziłem się i wychowałem na zachód stąd. Moja rodzina uprawiała

ziemię maga lorda Grenvisa... on nie był zły, ale... jego sąsiedzi lubili bawić się w wojnę i

często napuszczali na niego zimnokrwiste bestie albo inne potwory.

- I myślisz, że teraz też doszło do czegoś takiego? Fellipie, muszę ci więc pogratulować

twej przenikliwości. Właśnie to samo i mi przyszło do głowy...

- Tatko? - Jeden z chłopców nie wytrzymał i podskoczył do ojca. - Tatko, będzie

wojna? Z bitwami i magią i...

Fellip złapał chłopca za luźną koszulinę i przyciągnął go do siebie.

- Jo... chcę, żebyś uważnie wysłuchał tego, co powie nasz pan, Gwiezdny Wichor.

Panie, powiedzcie mu, on nie chce
wierzyć, że z wojen nie ma nic dobrego,
tylko nowe groby

na cmentarzach.

- Młody człowieku - zaczął Gwiezdny
Wicher, patrząc na chłopca ze szczerym

przejęciem. - Nie ma nic pięknego w
wojowaniu. Nie ma nic wspaniałego w
bitwach. Dla

takich jak ty i ja wojna to
niebezpieczeństwo, że zginie ktoś, kogo
kochamy, i to w okrutnych

okolicznościach. Inni wrócą z niej
kalecy na całe życie, a głupcy, którzy ją

rozpętali, rozsiada

się w fotelach w swych zamkach i
zaczną obmyślać sposoby na odzyskanie
tego, co w niej

utracili. Gdyby miało dojść do wojny - a
uwierz mi, Fellipie, że uczynię
wszystko, aby do niej

nie dopuścić - to w najlepszym
wypadku, młody człowieku, wszystko,
co wyrosnie na tych

polach, pójdzie z dymem, a wówczas
będzie was czekał głód w zimie. Takie
właśnie są skutki

wojny. Jedynie walkę w obronie

własnej można usprawiedliwić, a w
każdej wojnie najwięcej

cierpią ludzie niewinni.

Chłopiec wciąż zdawał się być nie do
końca przekonany.

Vanyel chrząknął, a mały zwrócił oczy
na jego twarz.

- Nieźle to wyglądało, gdy potwór
odgryzł głowę temu głupiemu
staruszkowi, co,

Gwiezdny Wicherze? - powiedział
Vanyel zaciągając,, tonem naśladowującym
sposób mówienia

dworskich lekkoduchów ze stolicy.

Chłopiec zbladł, potem oblał się
rumieńcem, ale nim zdążył wybuchnąć
płaczem albo

wpaść w złość, Vanyel zajrzał mu w
oczy z taką srogością, że mały nie śmiał
uniknąć jego

wzroku.

- Właśnie takie rzeczy zdarzają się
podczas wojny, Jo - powiedział
szorstko. - W

wojnie nie giną postaci z bajek, tylko
twoja rodzina, młodzi, starzy - wszyscy.
A głupcy, którzy

nie biorą w niej udziału, rozgłaszają, jaka to ekscytująca rzecz. Taka jest prawda o wojnie.

Teraz Jo był poruszony, a może nawet przekonany. Kątem oka Vanyel dostrzegł potakujące skinienie gospodarza.

Ni stąd, ni zowąd Vanyel poczuł w sobie przyływ serdeczności dla tych ludzi. Raptem

przestali być pozbawionymi twarzy, nieprzeniknionymi kamiennymi figurami, a stali się

ludźmi. Ludźmi, którzy w jakiś sposób są do niego bardziej podobni niż jego

krewni. Żyli

swoim życiem... swymi miłościami i troskami.

Ich poglądy na wojnę z pewnością bardziej zbliżały Vanyela do nich niż do

któregokolwiek z członków jego własnej rodziny.

Nie różnią się wiele ode mnie - pomyślał. Z wyjątkiem tego... że ja mogę robić coś,

czego oni nie potrafią. Mogę... mogę ich ochraniać, gdy oni sami nie są w stanie zapewnić sobie

bezpieczeństwa. Oni zaś potrafią robić rzeczy, na których ja się nie znam. Ale ja mógłbym

nauczyć się, jak wyhodować marchew, gdyby coś mnie do tego zmusiło. Pewnie nie byłaby to

zbyt dobra marchew, ale mógłbym ją wyhodować. Oni jednak nigdy nie będą w stanie powalić

zimnokrwistej bestii. Ale co to właściwie znaczy? Jaki to ma wpływ na moje życie? Dlaczego

właśnie ja, a nie kto inny, mogę robić te wszystkie rzeczy? A co z ludźmi, którzy zsyłają

zimnokrwiste potwory, aby zjadały bezbronnych gospodarzy? Jeśli ja posiadam moc, dzięki

której mogę ochronić tych ludzi przed tamtymi złymi ludźmi, to czyż nie oznacza to, że tym

właśnie powinienem się zająć?

Podniósł wzrok na swoją ciotkę, która obserwowała dzieci krzątające się wokół zajęć

domowych, sprzątające albo krojące warzywa na gulasz. Na jej twarzy malowały się

jednocześnie troska i niepokój.

To właśnie czuje Savil, na pewno.
Dlatego jest heroldem. Raptem
przypomniały mu się

słowa Tylendela. Usłyszał je tak
wyraźnie, że przez moment wydawało
mu się, jak gdyby

Tylendel siedział obok i szeptał mu je
wprost do ucha:

“...to rodzaj wewnętrznej potrzeby. Nie
jestem w stanie się jej sprzeciwić.
Posiadam te

umiejętności, te dary, i nie mogę
nie robić z nich użytku. Nie mógłbym, na
przykład, siedzieć

tutaj beczynnienie, mając świadomość, że
gdzieś są ludzie, którzy potrzebują
pomocy dokładnie

takiej, jakiej ja mogę im udzielić.
Musiałbym pospieszyć im na ratunek.

Teraz wreszcie słowa te nabrały sensu.
O ironio! Teraz dopiero Vanyel
zrozumiał tę

stronę natury Tylandela, której nigdy
przedtem nie mógł pojąć. Teraz
wszystko stało się

oczywiste. Dopiero teraz, gdy Tylandel
odszedł... wszystko stało się jasne.

Och, bogowie... Vanyel zacisnął

powieki, powstrzymując łzy.

O tak... teraz rozumiał. Teraz sam czuł to samo.

Za późno jednak, aby mogli się tym wspólnie cieszyć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I cóż ty na to? - Gdy Savil porozumiała się z Gwiezdnym Wichrem myślomową,

wszyscy obecni w kuchni byli pewni, że pogrążyła się już w głębokim śnie. Tak naprawdę

jednak, mimo ogromnego zmęczenia, wcale nie czuła się senna i czekając na

okazję

rozmówienia się z przyjacielem, spod na
współ przymkniętych powiek
obserwowała ogień na

palenisku.

- *Interesujące z wielu powodów* -
odparł Gwiazdny Wicher. Leżał teraz na
plecach z

rękami założonymi pod głowę i
zamkniętymi oczami.

Mieszkańcy osady zaoferowali
przybyszom nieograniczoną gościnność.
Jeszcze przed

wieczorem Savil dowiedziała się, że nazywają swe ziemie Małym Fortem i że w ich osadzie

mieszka siedem daleko ze sobą spokrewnionych rodzin. Wszyscy czterej przybysze byli

wyczerpani do cna, a gdy po herbacie i odpoczynku nie odzyskali sił, postanowili skorzystać z

gościnności gospodarzy. Mimo to odmówili położenia się do łóżek, gdyż wtedy niektórzy z

tutejszych mieszkańców musieliby spać na podłodze. Tak więc po obiedzie składającym się z

chleba i gulaszu, dali wszystkim do zrozumienia, że mają zamiar odpocząć przy palenisku i

opatuleni w swe płaszcze skulili się na workach wypchanych sianem ułożonych na kamiennej

posadzce.

Vanyel rzeczywiście zaraz zasnął, ale co do Tańczącego Księżyca Savil nie miała

pewności. Leżąc na boku, z twarzą zwróconą do ognia, zdawał się spokojny i pogodny niczym

dziecko.

Właściwie wszystko przemawiało za tym, że Tańczący Księżyc naprawdę śpi. Kilkoro

mieszkańców osady odniosło drobne obrażenia podczas ataku potwora i ucieczki do lasu, toteż

Tańczący Księżyc miał po przybyciu na miejsce pełne ręce roboty, zajmując się uzdrawianiem.

Później zaś sam mianował się magicznym asystentem przy odbudowie palisady otaczającej

zabudowania i unosząc powalone drzewa za pomocą zaklęć, oszczędził gospodarzom wiele

trudu i zachodu. Były to wystarczające powody, aby opadł z sił.

Tak przynajmniej wydawało się Savil, nim usłyszała jego myślową.

*- Czy mogą się włączyć do rozmowy?
Bo chyba rozmawiacie, prawda?*

*- Proszę bardzo, ale utrzymuj się w trybie osobistym - odparła Savil. -
Rozmawiamy*

*między innymi o chłopcu. Gwiezdny
Wichrze, mów dalej.*

*- Zaczniemy od drobnostek, by później przejść do spraw ważkich. Sądzę, że
możesz*

*chyba przestać się martwić o chłopca.
Wydaje mi się, że poczuł już potrzebę, o
której mówiłaś*

*kiedyś, i rozumiał wiele. Pozostaje
jednak pytanie, czy chłopiec zdoła
przewyciężyć swe*

obawy.

*- Zastanawiałam się już nad tym. Dziś
wieczór jego twarz przybrała bardzo
osobliwy*

*wyraz, a poza tym, nigdy nie widziałam,
aby z taką serdecznością odnosił się do
prostych ludzi.*

- Otworzyła szeroko oczy i wbiła nie

widzący wzrok w rozpalone polana. -
Biedny Van. Jeśli

*ten jego sen jest rzeczywiście
wróżebny... to życie z brzemieniem
świadomości nadejścia*

takiego końca może stać się męczarnią.

*- Ale to wcale nie musi się spełnić -
przypomniał Tańczący Księżyc, unosząc
się na*

*swym sienniku. - Przecież zawsze
widzimy to, co wydaje się najbardziej
prawdopodobne w tym*

*konkretnym momencie, a czas płynie i
każdy następny moment, niosąc z sobą*

nową

*rzeczywistość, wszystko może odmienić.
Zmieniłbym temat. Mamy ważniejsze
sprawy do*

*omówienia. Te zimnokrwiste bestie
zostały tutaj sprowadzone przez Bramę.
To oznacza...*

*- ...nadejście poważnych kłopotów -
dodał posępnie Gwiezdny Wicher. - W
tej chwili*

*nie mam wątpliwości, że stwory zostały
przysłane tutaj po to, aby udręczyć
okolicznych*

mieszkańców i przygotować te ziemie

*na najazd armii. - Ogień strzelił wesoło
w palenisku. - To*

*coś więcej niżli zwykle zakłócanie
spokoju. Na zachód stąd znajdowała się
wioska, którą*

*opiekowali się k'Treva. Nie potrafią już
jej odnaleźć, czuję, że otaczają obca
osłona.*

*- Ktoś się tam rozpanoszył i objął
panowanie nad nią, tak? - zamyśliła się
Savil. - Co*

*byście powiedzieli na to, abyśmy
przygotowali małą niespodziankę dla
tych, którzy przywiedli*

tutaj te zimnokrwiste stwory? Wątpię, aby się spodziewali tak szybkiej reakcji k'Trevow.

Oczekują pewnie, że rozdzielenie stada zajmie nam przynajmniej tydzień.

Gwiezdny Wicher był wyraźnie zmieszany.

- Nie powiedziałbym, abyś była k'Trevą.

- A ja odpowiedziałabym, że jestem Skrzydlatą Siostrą, co sprawia, że jestem k'Trevą w

takim samym stopniu jak Tańczący Księżyc. Jestem zdania, że trudno się

spodziewać, aby

*działało na tym terenie aż dwóch
magów. Najprawdopodobniej mamy
tutaj do czynienia z tym*

*samym czarownikiem, który działał z
polecenia Leszarow z Valdemaru, a to
oznaczałoby, że*

*posługuje się on metodami, które ja
znam najlepiej.*

Savil przekrzywiła głowę i napotkała
przeciągłe, ironiczne spojrzenie
Gwiezdnego

Wichru.

*- A ja - wtrącił Tańczący Księżyc -
powiedziałbym, że mój shay'kreth'ashke
ma*

*niewielkie szansę wygrać pojedynek
woli z kobietą tak upartą jak Skrzydlata
Siostra. Pozwolę*

*sobie też zauważyć, że troje biegłych
może działać więcej niż dwóch.*

Gwiezdny Wicher westchnął.

*- Obawiam się, że zostałem pokonany w
pierwszym starciu. A co zrobimy z
chłopcem?*

*Nie możemy go tu zostawić, a nie
chciałbym tracić czasu na odwożenie*

go z powrotem do

wąwozu. To odebrałoby nam możliwość zaskoczenia najeźdźców.

- Jego pomoc może okazać się przydatna - odezwał się niespodziewanie Tańczący

Księżyc. - Pokonał wszakże królową.

- Wydaje mi się, że możemy go zabrać - zgodziła się Savil, choć ton jej myśli zdradzał,

że jest pełna obaw. - Z pewnością można liczyć na Yfandes, która będzie go trzymać z dala od

niebezpieczeństwa.

- Nie jestem pewny, czy dobrze robimy, ale muszę się z wami zgodzić - odparł z

niechęcią Gwiezdny Wicher. - To wielkie ryzyko zabierać ze sobą kogoś, kto nie miał okazji się

sprawdzić, a w dodatku dopiero co stanął na nogi po ciężkich przeżyciach.

- Wiem - rzekła Savil, patrząc ze zgrozą na polana w palenisku; nazbyt przypominały

miasto stojące w płomieniach. - Naprawdę, wiem.

Przez cały dzień równo prószył śnieg.
Powietrze zdawało się nieomal ciepłe.

Towarzysze posuwały się pośród
śniegowych płatków niczym białe duchy.
Każdy z nich niósł

na grzbiecie dwie osoby. Na białych
koniach jechali biali jeźdźcy, z
wyjątkiem jednego, który

odziany w szaroczarny strój wyglądał
niczym cień ducha.

- Wszyscy wyglądacie jak heroldowie -
odezwał się Vanyel, siedzący na
poduszce za

siodłem Tańczącego Księżyca. -

Wszyscy, poza mną.

- Jak to? - zdziwił się Tańczący Księżyc, lekko zaskoczony.

- To przez te wasze białe stroje - wyjaśniła Savil, gdy Kellan zwolniła troszkę. -

Heroldowie na służbie zawsze noszą białe uniformy.

- Aha... a mieszkańcy Tayledras zawsze noszą barwy, które dobrze maskują się wśród

koron drzew. W zimie białe, w lecie oczywiście zielone. - Uwolniwszy ręce od cugli, które

przełożył przez specjalne oczka w łąku
siodła, Tańczący Księżyc starannie
zaplatał sobie

warkocz, Vanyel zaś, choć nie przepadał
za jazdą na poduszce, był zadowolony,
że jedzie z

Tańczącym Księżycem. Tak jak
przypuszczał, biegly przebaczył mu
wszystko, nim przy

pierwszej sposobności Vanyel zdążył go
przeprosić. Teraz rozmawiali ze sobą
tak, jak gdyby

nieprzyjemny incydent nigdy nie miał
miejsca. Tańczący Księżyc zachęcał
nawet Vanyela do

zadawania pytań i z przyjemnością na nie odpowiadał.

Przede wszystkim zajmowała ich sprawa darów Vanyela, który nie rozmawiał jeszcze z

nikim na ten temat. Savil nie miała wielu okazji, aby wyjaśnić mu cokolwiek, a Gwiezdny

Wicher przeszedł od razu do sedna sprawy, pokazał, jak posługiwać się nowymi zmysłami i

oczekiwał od niego, że poradzi sobie z zadaniem.

- A więc, na czym skończyliśmy? -

zapytał Tańczący Księżyc.

- Na przewidywaniu. - Vanyel zadrżał. -
Tańczący Księżycu, nie podoba mi się
to. Nie

chcę wiedzieć, co się stanie w
przyszłości. Czy można jakoś
zablokować tę umiejętność?

- Teraz, kiedy jest w pełni uaktywniona?
O ile mi wiadomo, nie ma na to
sposobu. Ale

nie możesz pozwolić, aby cię to
dręczyło, *ke'chara*. Zdarzenia, jakie
pojawiają się w twoich

snach, to nie jest nieodwołalna

przyszłość, to przyszłość, jaka
nadejdzie, jeśli nic się w twoim

życiu nie zmieni. To są zdarzenia,
których nadejście jest prawdopodobne
teraz, dzisiaj. Ale

wszystko może się zmienić. Ty możesz
to zmienić.

- Mogę? - Vanyel ożywił się.

- Nie ma co do tego żadnych
wątpliwości. Ale może to pociągać za
sobą rozwiązanie

przyjaźni lub miłości, której wcale nie
chciałbyś się wyrzec. Może poczujesz,
że taka więź jest

warta ceny, jaką będziesz musiał zapłacić. - Odwrócił głowę i uśmiechnął się gorzko. -

Gdybym się dowiedział, że mój związek z Gwiezdnym Wichrem jutro stanie się dla mnie

wyrokiem śmierci, bez wahania poddałbym się przeznaczeniu. Jednakże na pewno nie

powiedziałbym o niczym Gwiezdnemu Wichrowi. Zechciej się nad tym zastanowić.

Vanyel zadumał się nad słowami Tańczącego Księżycy.

Powodem, dla którego właśnie Tańczący Księżyc, a nie on, siedział w siodle na

Yfandes było to, że w razie gdyby zaskoczył ich atak, Vanyel miał ześlizgnąć się z poduszki i

usunąć z pola walki.

Aczkolwiek rozwiązanie to było bardzo roztropne, Vanyelowi wydawało się ono dość

upokarzające. W tej chwili jednakże nawet on musiał przyznać, że owa “roztropność” jest

najważniejsza. Jeśli ich zaatakują, bez

mrugnięcia wykona wszystkie rozkazy.

Spotkanie z

zimnokrwistym potworem nauczyło go bardzo wiele.

- Co, *ke'chara*, nie masz już więcej pytań? Vanyel potrząsnął głową.

- A więc ja mam jedno do ciebie.

Gwiezdny Wicher wspominał, że wtedy, gdy bardzo

się przestraszyłeś podczas ćwiczeń, zaczerpnąłeś energii z ogniska doliny.

Czy to prawda?

- A co to jest ognisko doliny?

- Savil ci nie mówiła? - Tańczący
Księżyc skrzywił się. - Ona nie ma za
grosz

cierpliwości. Na pewno cały czas
miałeś wrażenie, że wszystko wokół
ciebie emanuje energią,

prawda?

- Nawet skały...

- Ge'teva, jeśli czułeś i to, wówczas
twój dar magii musi mieć naprawdę
ogromną moc!

Nawet ja mam pewne trudności z
postrzeganiem tej energii. A więc
widziałeś, jak energia

przepływa wiązkami wzdłuż pewnych linii, jak deszczówka do strumieni?

Przedtem Vanyel tego nie zauważał, ale gdy tylko zamknął oczy i przeniósł się w wyobraźni z powrotem w dolinę, szybko przekonał się, że Tańczący Księżyc ma rację.

- Nie wiem.

- I płynie strumieniem do miejsca, gdzie spotyka inne.

Tak, o tym wiedział. Wiedział, że istnieje jakiś rodzaj... “węzła”, gdzie ogniskuje się

cała moc. Powiedział o tym Tańczącemu
Księżycowi.

- To właśnie ognisko. - Tańczący
Księżyc skinął głową. - Mieszkańcy
Tayledras

potrafią kierować strumieniami energii i
dzięki temu możemy uwalniać miejsca
od magii

pozostawionej przez wojny, przenosząc
ją tam, gdzie jest przydatna. Na
miejscach, gdzie

spotykają się dwa lub trzy silne
strumienie takiej energii, tworząc
ogniska, budujemy nasze

twierdze. Energia zebrana w takim ognisku ma to do siebie, że każdy z nas może z niej

korzystać. Jednocześnie wiadomo nam, iż wielu magów z obcych krajów nie tylko nie jest w

stanie wyczuć obecności strumieni, ale nie potrafi nawet odnaleźć takiego ogniska i zaczerpnąć

z niego energii. Może tylko przybysze o mocy równej biegłym byliby do tego zdolni. Wydaje

mi się, że mieszkańców Tayledras wyróżnia to, że z chwilą, kiedy nasze dary dają o sobie znać,

rodzi się w nas umiejętność
manipulowania energią wokół nas z taką
łatwością, jak dziecko

bawi się klockami. Kiedyś - dawno,
dawno temu - mieszkańcy Tayledras
często przyjmowali

do swej wspólnoty przybyszów z innych
krajów i powiadają, że owi przybysze
zmieniali się

tutaj tak samo jak ja. Sądzę, że kluczem
do rozwiązania tej zagadki jest
korzystanie z magii pod

okiem urodzonych mieszkańców
Tayledras. Spośród wszystkich obcych,
jakich kiedykolwiek

spotkaliśmy, tylko Skrzydlata Siostra dorównuje nam sprawnością w czerpaniu energii z

ognisk. Ona ma bardzo silny dar. Podobnie zresztą jak ty.

Vanyel czuł się nieco zmieszany. Nie wiedział, do czego to wszystko zmierza.

- Ale co to znaczy?

- Jak na razie, doprowadziłeś się do skrajnego wycieńczenia w walce z zimnokrwistą

bestią. Jeśli będziesz pamiętał o tym, że możesz czerpać energię ze wszystkich ognisk w

zasięgu twych zmysłów, nie będzie ci się to zdarzało. Zaczynij korzystać z własnej energii

dopiero wówczas, gdy ogniska zostaną wyczerpane.

- To właśnie cały czas ci powtarzałam - niespodziewanie wtrąciła Yfandes.

Wszystko, co usłyszał, dostarczyło mu tematu do rozmyślań na następnych kilka miarek świecy.

Posuwali się teraz na zachód od Małego Fortu, a towarzyszyło im wschodzące właśnie

słońce. Od początku podróży zatrzymywali się już trzy razy, aby wypytać o sytuację różnych

znajomych Gwiezdnego Wichru.

Pierwszym z nich był pewien myśliwy, który opowiedział im

o plotkach na temat jakiegoś zdegenerowanego czarownika, na wpół człowieka, na wpół

odmieńca z Pelagris, który posiada ponoć wielką moc i dąży do zdobycia niebywałej władzy.

Później zatrzymali się, by porozmawiać z kyree, stworzeniem o ciele wilka i inteligencji

człowieka, które zatrzymało ich,
porozumiewając się z nimi myśłomową.
Kyree również

ostrzegał ich przed czarownikiem, ale
jego opowieść była czymś więcej niżli
tylko relacją o

plotkach. Kyree miał całkowitą pewność
że czarownik w jak najkrótszym czasie
ma zamiar

stworzyć sobie królestwo i już
przystąpił do zrealizowania tego
przedsięwzięcia.

Trzecim przyjacielem, od którego mieli
zamiar dowiedzieć się czegoś więcej,
była

jedną ze strażniczek granicznych
k'Treva, nie pochodząca jednak z
Tayledras, tervardi,

przypominająca trochę nielotną kobietę-
ptaka.

Niestety, okazało się, że nie ma jej już
pośród żywych.

Gdy Gwiezdnemu Wichrowi nie udało
się wezwać strażniczki w myślach,
skierowali

się do lasu, w którym znajdowało się
jej *ekele*. Nie zastali tam śladów walki,
ale odnaleźli

delikatne, upierzone na biało zwłoki bez

żadnego śladu na ciele, z łukiem o
pękniętej cięciwie

w dłoni strażniczki. Jej puste,
błyszczące oczy pałały czymś, co Vanyel
nazwał strachem.

Gwiezdny Wicher pozostał chwilę przy
ciele, odprawiając jakieś łagodne
zabiegi

magiczne. Vanyel odczuwał, że coś
niepokojącego dzieje się dookoła, choć
wciąż nie potrafił

zrozumieć, co to wszystko oznacza.
Gwiezdny Wicher nie wyjawiał mu,
czego się dowiedział

dzięki swym zaklęciom, ale chłopiec wnet zauważył, że cała trójka dorosłych bardzo

sposepniała, a Tańczący Księżyc zabrał ze sobą łuk i strzały.

Jechali cały dzień, przemierzając kraj na przełaj z prędkością, jaką tylko Towarzysze

potrafili rozwinąć, a gdy wreszcie zwolnili, dotarłszy do dość ruchliwej drogi, słońce chyliło się

już ku zachodowi.

Gdy znajdowali się jeszcze pod osłoną drzew, Savil i Kellan zatrzymały się, a

Yfandes -

najciszej, jak tylko mogła - zrównała się z nimi. Obsypane śniegiem gałęzie ogromnych,

wiecznie zielonych drzew, za którymi się skryli, czyniły ich niewidzialnymi dla ewentualnych

podróżnych na drodze. Trakt wydawał się zupełnie opustoszały. Nie było na nim żadnych

świeżych śladów, a wszystkie stare pokrywała już gruba warstwa miękkiego puchu. Jednakże

cała droga ograniczona była po obu

stronach drzewami iglastymi i za każdym z nich mogło się

czaić niebezpieczeństwo.

- Wioska Kovia leży kilkaset metrów stąd - wyszeptał Gwiezdny Wicher, gdy słońce

dostojnie schowało się za horyzontem. - Jest na niej ciągle ta sama osłona i nie podoba mi się

rodzaj mocy, jaki za nią wyczuwam. Wydaje mi się jednak, że sama moc nie jest w tej chwili

obecna w wiosce.

- Ja też nie wyczuwam jej obecności -
odparła Savil po chwili.

- *Spokój* - rzekła Yfandes do Vanyela.

- Yfandes mówi, że też niczego nie
wyczuwa - powiedział głośno Vanyel.

- Mój plan polega na tym, aby wejść do
wioski i przekonać się, czy rozpanoszyły
się

tam złe moce, i rozpytać ludzi, co sami
wiedzą o swym położeniu. Później,
Vanyelu,

zostawimy ciebie w wiosce. Twoje
umiejętności magiczne mogą stanowić
dla nich jakąś

ochronę, a oni mogą cię wesprzeć swą liczebnością, gdyby działo się coś złego.

- Ja... tak jest, Mistrzu Gwiazdny Wichrze - odparł Vanyel. Był niechętny takiemu

rozwiązaniu, nie miał jednak wyboru. -
A co z Yfandes?

- *Nie podoba mi się to, ale pójdą z nimi*
- rzekła Yfandes. - *Jeśli będziesz mnie potrzebował, będę o tym wiedziała, oni zaś potrzebują drugiego wierzchowca.*

Vanyel ze smutkiem zrelacjonował słowa Yfandes, na co Gwiazdny Wicher

pokiwał

głową.

- Myślę, że ona ma rację. Wierzę, że możemy przebyć dużo większą odległość. -

Zlustrował spojrzeniem drogę, na której zapadał już wieczorny mrok. - Zdaje się, że już czas,

abyśmy zobaczyli na własne oczy dzieło naszego wroga.

Vanyel zmagął się z uczuciem mdłości, po raz kolejny zresztą. Ledwie zbliżyli się do

wioski, napotkali potworne ostrzeżenie czarownika, aby trzymać się od niej z dala. Wtedy to

jego żołądek zbuntował się po raz pierwszy.

Od zachodu słońca minęło już trochę czasu, a nad głównym placem w wiosce

zapanowała kompletna ciemność.

Zgromadziła się teraz cała, licząca około siedemdziesięciu

mieszkańców, ludność wioski. Wielu z obecnych przyniosło ze sobą pochodnie i kaganki

oliwne. Oblegając zbitym tłumem

czworo przybyszów i dwóch
Towarzyszy, zdawali się

niczym małe kurczaczki szukające
schronienia pod skrzydłami kwoki, przy
czym większą

część ich uwagi przyciągali
niewątpliwie Sokoli Bracia. Heroldów
nie znano tutaj, toteż Savil

nie wzbudzała w nich nadmiernego
zaufania, a i chłopiec nie wydał im się
godny uwagi.

Z niewielkiego przedsionka świątyni,
który ledwie zdołał pomieścić czworo
gości,

uczyniono natychmiast prowizoryczne podium. Po obu jego stronach ustawili się Towarzysze,

by chronić przybyłych przed naporem cisnącej się ku nim ciżby. Nagle wokół Sokolich Braci

zrobił się taki tłok, że Vanyel ucieszył się nawet, iż sam nie wzbudza szczególnego

zainteresowania mieszkańców wioski. I tak słysząc historie opowiadane Gwiezdnemu

Wichrowi, a czasem oglądając dowody okazywane przez niektórych ludzi, Vanyel z trudnością

powstrzymywał torsje.

Kiedyś Kovia była przyjemną wioską,
równie bezpieczną jak każde miejsce na
terenie

Pelagris. Ludzie z radością
wychowywali tutaj dzieci i obchodzili
swe święta.

Teraz jednak bezpieczeństwo rozwiało
się, a spokojna osada straciła swój urok,
zamieniając się w wioskę oblężoną.

Dwa tygodnie wcześniej zawitał do
Kovii pewien nieznajomy. Dosiadał on
czegoś, co z

pewnością nie było koniem, a
towarzyszył mu orszak odpychających
stworów. Przybysz ów

ogłosił, że wioska oraz jej mieszkańcy
należą odtąd do niego i zabrał się do
okradania

tutejszych domostw ze wszystkiego, co
uznał za przydatne. Po demonstracji jego
potęgi

pozostała hałda popiołu w miejscu,
gdzie kiedyś znajdowała się karczma.
Ludność wioski

zdawała sobie sprawę, że stawianie
oporu nie wyszłoby jej dobre, podjęto
jednak pewne próby

sprowadzenia pomocy. Niestety,
nazajutrz rano wieśniacy znaleźli ciało
swego posłańca wbite

na pal na stosie pośrodku drogi
wychodzącej z wioski. Zamarznięty trup
nadal tam tkwił, a

Towarzysze mijały go, wchodząc do
osady. Z wyglądu ciała tego człowieka
nietrudno było wy-

wnioskować, że wbicie na pal przyjął z
wielką ulgą.

Nieznajomy powracał mniej więcej co
drugą noc, a odchodząc, za każdym
razem

zabierał ze sobą kilkoro ludzi i najróżniejsze towary. Mieszkańcy osady wyznali Gwiezdnemu

Wichrowi, że bardzo modlili się o nadejście pomocy, a przybycie biegłego odebrali jako

odpowiedź na swe modły. Vanyel odniósł wrażenie, że Gwiezdny Wicher wcale nie *zaprzecza*

takiemu ich rozumowaniu.

Chłopiec był wdzięczny, że światło pochodni nie było dość jasne, aby wydobywać z

ciemności zbyt wiele szczegółów

krzywd wyrządzonych niektórym
spośród ofiar czarownika.

Bardzo był rad, że może skryć się w
cieniu przedsionka, za plecami Savil.

- ...a oto ostatnia jego zdobycz, Mistrzu
Gwiazdny Wichrze - odezwał się smagły
wódz

wioski. Wyglądał on na człowieka
straszenie udręczonego, a jego nabiegłe
krwią oczy

wskazywały, że w ostatnich dniach
widział nazbyt wiele scen mrozących
krew w żyłach. - Ta

dziewuszka.

Pchnął przed siebie, prosto na podwyższenie przedsionka, młodą jasnowłosą kobietę.

Vanyel nie mógł powstrzymać się od spojrzenia na nią. Gdyby z jej pozbawionych wyrazu oczu

nie zionęła taka pustka, gdyby z jej ust nie ciekła ślina, mogłaby wciąż uchodzić za ładną

dziewczynę. Była brudna, a wokół jej twarzy zwisały strąki potarganych włosów. Gwiezdny

Wicher wzdrygnął się na ten widok, ale Tańczący Księżyc ujął głowę dziewczyny w obie

dłonie i zatopił wzrok w jej pustych,
brązowych oczach.

Gdy po dłuższej chwili uwolnił ją od
swych rąk, jego twarz zachmurzyła się, a
głos

zabrział wielkim gniewem.

- Wydaje mi się, że tylko Jasny Wiatr
będzie mógł przywrócić jej rozum -
rzekł powoli,

a jego słowa zabrzmiały, jak gdyby
powstrzymywał się od powiedzenia
czegoś, co wolałby

zatrzymać dla siebie. - To zajmie wiele
miesiący... i dziewczyna już nigdy nie

będzie mogła

znieść dotyku mężczyzny. Zbyt okrutnie ją skrzywdzono. Zabito w niej umiejętność

odczuwania przyjemności, a zastąpiono ją uczuciem bólu. Nie jestem pewny, czy potrafię to

odmienić. Obawiam się, że nic nie jest w stanie uleczyć jej serca i duszy po tym co przeszła - na

pewno nie do końca. Może nawet lepiej nie próbować tego robić. Może lepiej będzie wymazać

wszystko z jej pamięci i nauczyć ją

wszystkiego od nowa, tak jak uczy się małe dziecko.

Wódz pokiwał głową, jak gdyby właśnie takich słów oczekiwał.

- Była jedną z pierwszych, które porwał
- rzekł posępnie. - Ona i jej matka. Jej
ojciec

był posłańcem, który miał sprowadzić pomoc. O jej matce nie mieliśmy żadnych wieści.

- Czy on, Krebain, staje się coraz silniejszy po porwaniu każdej nowej ofiary?

Płomienie pochodni zakołysały się na

wietrze, rzucając złowieszcze cienie na zapadnięte policzki mężczyzny, gdy ten skinął potakująco.

- Na to wygląda. Coś mi się zdaje, że on posługuje się magią krwi. Jak myślisz, Mistrzu

Gwiezdny Wichrze?

Gwiezdny Wicher pokiwał głową i zwęził oczy, pogrążając się w zadumie.

- Tak, Gallenie. Dobrze się znasz na waszych tradycjach. I mnie się tak wydaje. A teraz

Krebain wycofał się do swej kryjówki,

która musi znajdować się gdzieś w pobliżu. Myślę, że

postąpimy zgodnie z moimi pierwotnymi zamierzeniami, Gallenie, zostawię u ciebie Vanyela.

On posiada niejaką wiedzę o sztuce wojennej, a ponadto jest obdarzony silnym darem magii.

Vanyela przeszył dreszcz na myśl o pozostaniu w wiosce. Wódz obrzucił go pełnym

powątpiewania spojrzeniem i wyraził sprzeciw, czego Vanyel wcale nie miał mu za złe.

- Mistrzu Gwiazdny Wichrze... błagam...
to młody chłopiec...

- On zgładził królową zimnokrwistych
bestii, samodzielnie, bez żadnej pomocy

-

powiedział cicho Tańczący Księżyc i
pchnąwszy chłopca przed siebie,
położył mu rękę na

ramieniu. - Moim zdaniem on potrafi
sobie poradzić z niebezpieczeństwem
większym, niż wy

możecie sobie wyobrazić.

- Naprawdę zabił królową? - Tym razem
w oczach wodza Gallena Vanyel

dostrzegł

neco mniej wątpliwości, ale mężczyzna nadal nie wydawał się przekonany.

- Gallenie, nie oczekuję od niego, aby obronił was przed Krebainem - zaczął cierpliwie

Gwiezdny Wicher. - Vanyel nie dorównuje swymi umiejętnościami biegłym, a ja nie oczekuję

od niego, aby było inaczej. Ufam jednak, że będzie w stanie dać radę tym zdracliwym

potworom, jakie zsyła czarownik. Chcę, aby nasza trójka odnalazła Krebaina i

zajęła się nim

samym. Ale gdy uda nam się go zniszczyć, jego bestiom pozbawionym kontroli swego pana

może przyjść do głowy, aby was zaatakować. Nie widzę powodu, dla którego przy pomocy

Vanyela nie mielibyście zdołać obronić się przed takim zagrożeniem. Czy taka odpowiedź cię

zadowala?

Nie zadowalała i było to aż nazbyt widoczne. Wódz Gallen wiedział jednak, że innej

odpowiedzi nie otrzyma. Vanyel zaś próbował wczuwać się w rolę przywódcy, ale jego wysiłki

nie przynosiły żadnych rezultatów.

- Van, zorientuj się, w jaki sposób możesz zorganizować tych ludzi - powiedziała cicho

Savil. - Znasz dobrze mnóstwo starych ballad, a w nich można znaleźć dużo dobrych rad

dotyczących tej materii. Dlatego właśnie wy, adepci, się ich uczycie. Jeśli rzeczywiście pojawi

się jakieś niebezpieczeństwo, z którym

nie będziesz mógł sobie dać rady, to
chcę, abyś

posługiwał się tylko sprawdzonymi
metodami. Wówczas wezwij na pomoc
Yfandes i graj na

zwłokę. Stwory, które opisywali
mieszkańcy wioski, są wprawdzie silne,
ale niezbyt bystre.

Barykady na drodze i ogień powinien
utrzymać je z dala. To ty zabiłeś
królową zimnokrwistych

bestii, nie zapominaj o tym. Z wyjątkiem
armii i samego Krebaina, możesz z
powodzeniem

stawić czoło wszystkiemu.

Vanyel poczuł ścisnięcie w gardle, ale dołożył wszelkich starań, aby sprawiać wrażenie

nieustraszonego i panującego nad sytuacją. Do tego się to wszystko sprowadza, prawda? To

właśnie moje zadanie. I muszę to robić, bo - jak powiedział Lendel - ci ludzie mnie potrzebują.

- Dobrze, ciociu - odparł z rozwagą. - Barykady i ogień.

Savil zdawała się zatroskana.

- Daj z siebie wszystko, chłopcze.
Pamiętasz ten ton mojego głosu, kiedy
przerwałam

twoją bijatykę z Tylendelem? Takiego
głosu wszyscy słuchają. Taki głos
przeszywa ich na

wskroś. Spróbuj go naśladować. - Z
podwyższenia przedsiionka Savil
dosiadła Kellan.

Gwiezdny Wicher zaś zajął miejsce w
siodle na Yfandes, a Tańczący Księżyc
dopiero po chwili

wahania usiadł na poduszce za nim.

- Vanyelu, *ke'chara*, pamiętaj, co ci

mówiłem o ogniskach energii.

Skorzystaj z nich.

Są... - przerwał, a jego oczy na moment przysłoniła mgła. - Są w pobliżu trzy, z których

będiesz mógł zaczerpnąć energię.

Żałuję, że nie potrafisz osiągnąć ogniska doliny, jak my.

Ono chyba na razie znajduje się poza zasięgiem twoich zmysłów. Wprawdzie żadne z

pobliskich ognisk nie dorównuje siłą temu w dolinie, ale wydaje mi się, że jeśli połączysz

energię ich wszystkich, osiągniesz
wystarczającą moc. - Ujął twarz
Vanyela w dłonie i złożył

pocałunek na jego czole. - Niechaj
bogowie będą z tobą, chłopcze. Przy
odrobinie szczęścia

będzie to dla ciebie zaledwie
interesujące ćwiczenie.

Potem wspiął się na grzbiet Yfandes i
usiadł za Gwiezdnym Wichrem, a tłum

wieśniaków rozstał się przed nimi.
Gdy oddalali się powoli, zatapiając się
w ciemności,

Vanyel z ciężkim sercem odprowadzał

ich wzrokiem.

Gdyby nie strach, Vanyel
prawdopodobnie nieraz straciłby
panowanie nad sobą.

Nieustannie i w kółko tłumaczył
wieśniakom, co mają robić i dlaczego, a
gdy zdawało mu się,

że w końcu zdołał uporać się z jedną
grupą, odwracał się do drugiej, aby po
chwili przekonać

się, że ta pierwsza porzuciła pracę i
stojąc nieruchomo, patrzy w ciemność
wzrokiem pełnym

niepokoju.

Ale wieśniacy nie zachowywali się tak dlatego, że byli głupi. To kompletny brak

nadziei czynił ich zupełnie bezradnymi. Oni nie dostrzegali żadnej szansy na odparcie ja-

kiegokolwiek niebezpieczeństwa, dlatego ciągle przerywali pracę i modlili się o to, aby zdobyć

jakąkolwiek możliwość przezwyciężenia zagrożenia. Wszakże dotąd ich uległa postawa wobec

czarownika, aczkolwiek przyjęta w dobrej wierze, nie przyniosła im nic dobrego, tylko śmierć

wielu krewnych. Vanyel z początku liczył na to, że mieszkańcy wioski staną się dla niego

oparciem, tak jak on miał być nim dla nich, ale teraz cała sytuacja doprowadzała go do

szaleństwa. Minęło wiele godzin, nim zdołał nakłonić wieśniaków do przystąpienia do

rzetelnej pracy.

Pozostawała jeszcze sprawa obrony.

Gdy Vanyel zapytał gospodarzy o posiadaną przez nich broń, okazało się, że wszystko

co mają, to stare, zardzewiałe, ledwie nadające się do użytku żelastwo, którym i tak nikt w

wiosce nie potrafił się posługiwać. Ludzie, których miał przed sobą, byli prawdziwymi

chłopami z krwi i kości, gospodarującymi na ziemiach lordów i lordów-magów, którzy winni

byli roztaczać nad nimi opiekę. K'Trevom przekazywali żywność i najróżniejsze wyroby

rzemieślnicze w zamian za ochronę i nie spodziewali się nigdy, że nadejdzie moment, kiedy

będą musieli walczyć z bronią w ręku.

Tak więc Vanyel stanął przed zadaniem wyjaśnienia amatorom, jak władać mieczem.

Skupił się na sprawach najważniejszych, demonstrując pokrótce, co powinno się dziać z bronią

w czasie walki i zarządził ćwiczenie ataku w parach. Uczył ich, jak trzymać w dłoni coś tak

długiego jak miecz, jak zadawać nim ciosy i jak starać się, by uderzać raczej ostrzeni niżli

płaską jego częścią.

Nim minął drugi dzień owych ćwiczeń, Vanyel był już zupełnie wyczerpany, na wpół

oszałały z rozpacz i ledwie żywy ze strachu, którego nie ważył się okazywać. Toteż gdy Veth,

dorastający syn Gallena, po raz setny przypuścił na niego atak, Vanyel stracił panowanie nad

sobą i mimo woli odpowiedział mu ciosem zadany z całym impetem. Gdy zorientował się, co

robi, było już za późno.

Jego pchnięcie rzuciło chłopca na drugi

koniec placu.

Veth wylądował na plecach... i leżał bez ruchu...

Serce Vanyela zamarło...

Przed oczami stanął mu obraz...

Jervisa... nad nim...

O bogowie! Vanyel rzucił na ziemię miecz, potem hełm i podbiegł do Vetha.

O

bogowie, o...bogowie... zrobiłem dokładnie to samo, co Jervis zrobił mnie. Och, proszę,

bogowie, oby tylko nie okazało się, że

wyrzuciłem mu krzywdę...

Rozsznurował hełm chłopca i zdarł go z jego głowy. Veth zamrugał powiekami i sam

zaczął dźwigać się do pozycji siedzącej. Widząc to Vanyel poczuł taką ulgę, że nieomal

krzyknął.

- Veth... proszę... wybacz mi, Veth, przepraszam, ja... straciłem panowanie nad sobą...

nie chciałem tego zrobić... Chłopiec popatrzył na niego oszołomiony.

- Ach, Mistrzu Van, nic mi nie jest. Nasz stary muł kopnął mnie kiedyś jeszcze

mocniej... tylko proszę pozwolić mi się czegoś napić, dobrze?

Vanyel opadł na ziemię i przymknął oczy oślepienie słońcem. Uczucie ulgi odebrało mu

siły. Veth zaś z werwą poderwał się na równe nogi.

Och, bogowie. Jestem równie paskudny jak Jervis, Jestem gorszy od Jervisa.

Wiem o

tym. Och, bogowie...

- Vanyelu, panie...

Uniósł oczy. Stała nad nim Reva, matka Vetha; była wyraźnie zatroskana. Vanyel

odwrócił wzrok, przygotowując się do wysłuchania gorzkich wymówek, na jakie według siebie

zasłużył.

Usłyszał jednak coś zupełnie innego.

- Wybaczcie mi panie, jeśli się napraszam - powiedziała Reva, lekko wykrzywiając

kąciki ust. - Zdaje się, panie, że umęczyliście się do ostatka. Wiem, że

nie jedliście nic od

wczorajszej wieczerzy. Proszę...

Podawała mu rękę. Zaskoczony chwycił ją,
a Reva podniosła go z ziemi. Był
całkowicie

zmieszany.

- A teraz - objęła go ramieniem, z
drugiej strony przygarniając Vetha -
chyba już pora,

abyście się posilili. Czas potrzebny na
przekąszenie czegoś i tak nie uczyniłby
Vetha lepszym

wojownikiem, a ciebie, panie, lepszym

nauczycielem. - Przytuliła ich, jak gdyby obaj byli jej

synami, a potem puściła.

Przypomniały mu się słowa, które rzucił w twarz Withenowi niespełna rok wcześniej, i

zawstydził się jeszcze bardziej.

“Niechaj każdy mąż stający na polu bitwy walczy podług swoich zdolności i niech nie

będzie zmuszany do użycia żadnego ze stylów”.

Traktowałem ich dokładnie tak samo,

jak Jervis traktował mnie. Zmuszałem ich do

walki sposobami, o których nie mają pojęcia, do robienia czegoś, co zupełnie wykracza poza

ich możliwości. Jestem kompletnym osłem.

Vanyel poczerwieniał i wyjąkał:

- Żaden... żaden ze mnie nauczyciel, pani Revo, inaczej powinienem był podejść do tej

nauki. - A potem powiedział głośniej, aby reszta ćwiczących mogła go usłyszeć: - W ten sposób

nic nie osiągniemy. To tak, jakbyście wy
uczyli mnie orać pole i młócić zboże
tydzień przed

zawodami żniwnymi. Nie mamy przecież
czasu, a ja postępuję jak głupiec.

Powiedzcie mi

wiec, co jest waszym prawdziwym
orężem? Czy ktoś z was potrafi
posługiwać się łukiem?

Albo procą? Albo włócznią?

Nie spodziewał się takiej reakcji. Po
całym placu poniósł się szmer
westchnień ulgi... a

twarze rozpromieniły uśmiechy.

Jednakże w końcu okazało się, że wszystkie przygotowania i tak poszły na marnotrawstwo.

Mieszkańcy wioski chętni do podjęcia walki zgrupowali się na barykadach.

Zbudowano

w zasadzie zaledwie dwie blokady, ponieważ przez wieś przechodziła tylko jedna droga,

prowadząca dokładnie przez ubity piaszczysty plac, który teraz wydawał się nawet dobrze

osłonięty i łatwy do obrony. Nawet zimnokrwista bestia nie byłaby w stanie przecisnąć się

między budynkami. Ludność, zbyt przerażona, albo niezdolna do walki, schroniła się, jak

każdej zresztą nocy, na strychach i w piwnicach domów stojących wokół placu. Wódz Gallen

doszedł wreszcie do wniosku, że Vanyel rzeczywiście potrafi sprostać zadaniom, jakie mu po-

wierzono. Teraz zaś on oraz dwaj inni mieszkańcy wioski, nie zastraszeni jeszcze na tyle, aby

bać się wyrażenia własnego zdania w sprawie nadchodzącej bitwy, prowadzili z Vanyelem

żywiolową dyskusję na temat
zaopatrzenia w czasie walki. Jedną z
owych “dwóch osób” była

czarodziejka-zielarka, której bardzo
było nie w smak, że jakiś młody,
początkujący czarownik

zapanował nad “jej” wioską. Raptem
wprost przed Vanyelem wyrosła
gwałtowna fala energii

Bramy, powalając go na kolana.

Nie stracił przytomności chyba tylko
dzięki szczelnej osłonie, jaką otoczony
był tym

razem. Po chwili ocknął się z

oszołomienia, z trudem łapiąc oddech.
Był kompletnie

zdezorientowany. Przed oczami migotały
mu tylko jakieś błyski. Potrząsnął głową,
ale i to nic

nie pomogło.

Nie potrafił nawet zebrać myśli; prawie
nic nie widział. Bogowie... co u...

- Co my tu mamy?

Wyraźny, śpiewny tenor zdradzał
rozbawienie. Vanyel zamarł. Głos niósł
się po całym

placu, na którym zaległa cisza, jaka

panować może tylko w dziewięciu pieklach.

Odzyskawszy ostrość widzenia, Vanyel uniósł wzrok, ale zobaczył tylko plecy

stojących tyłem ludzi. Członkowie jego rady wojennej zbili się, jak gdyby chcieli go zasłonić.

Vanyel poszukał oparcia w szorstkiej ścianie składziku i ostrożnie dźwignął się na nogi, a

potem wyglądając zza głowy Gallena, wspiął się na palce, aby móc spojrzeć przez ramię

mężczyzny stojącego przed nim.

Wreszcie ujrzał wystrojonego przybysza stojącego pośrodku

placu i... zmartwiał.

Mógł to być tylko czarownik Krebain.

Pochodnie wypadające z dłoni mieszkańców wioski nie były już potrzebne. Czarownik

przywiódł ze sobą własne magiczne światło, unoszące się nad jego głową niczym małe

zielono-żółte słońce. Ludzie zaczęli się powoli wycofywać, aż w końcu uciekli, kryjąc się w

budynkach i za barykadami,
pozostawiając przybysza stojącego
zuchwale w samym centrum
placu.

Czarownik, odziany w szkarłat i złoto,
prezentował się niebywale. Miał na
sobie

szkarłatne obcisłe bryczesy,
przylegającą do ciała haftowaną złotem
tunikę i szkarłatny płaszcz

podszyty złotą materią. Nawet jego buty
i aksamitne rękawiczki były czerwone.
Na głowie miał

szkarłatny hełm przypominający maskę,

przyozdobiony ogromnym złotym smokiem. Jedną

rękę oparł na biodrze, a palcem drugiej pocierał podbródek, przyglądając się ludziom zebranych

wokół placu.

- Bunt... w rzeczy samej to bunt! Jakież to komiczne! - zaśmiał się paskudnie.

Był pełen wdzięku, smukły i bardzo wysoki. Spod jego hełmu spływały kaskadami

platynowe, lśniące włosy, a niewielka część twarzy nie ukryta pod maską zdawała się niczym

wyrzeźbiona z marmuru. Vanyel poddał się nagle zauroczeniu czystą, charyzmatyczną

pięknością czarownika. Żaden z mieszkańców wioski nigdy o niej nie wspominał.

Sekundę później poczuł, że znów ogarniają go mdłości. Szatan, o jakim mu

opowiadano, nie może być piękny!

Lecz po chwili pomyślał: Przecież naprawdę on jest nieprawdziwy, jest sztuczny. Sam

się odmienił, jestem tego pewien. To

tak, jakby pomalował sobie twarz, tylko że on zrobił to na

większą skalę. Gdybym posiadał wielką moc i nie dbał o to, do czego mogę ją wykorzystać,

przypuszczam, że sam uczyniłbym się pięknym.

- Zastanawiam się, co was podkusiło do walki przeciwko mnie? - rozmyślał głośno

Krebain. - Przedtem nie było w was ani krzty odwagi. Ale też przedtem... poza tą waszą starą

wiedźmą, żadne z was nie załatywało mi

tak magią. - Uśmiechnął się chytrze. -
Coś mi się

zdaje, że mój nos wyczuwa pośród was
obcego. No, gdzie go schowaliście?

Vanyelowi przebiegły po plecach ciarki.
Wystarczy, że wskażą mnie palcem... a
nawet

jeśli tego nie zrobią... jeśli zawołam na
pomoc Yfandes, będzie wiedział, gdzie
jestem. Och,

bogowie, czy nie ma sposobu, aby się
gdzieś ukryć? Nie mogę go przecież
wyzwać na

pojedynek! Niemożliwe, aby tego ode

mnie oczekiwali... nie jestem dla niego
żadnym

przeciwnikiem!

Jednakże, ku jego zaskoczeniu, żadna z
osób znajdujących się na placu nie

odpowiedziała na pytanie czarownika, a
mężczyźni stojący przed Vanyelem
ścisnęli się jeszcze

bardziej, osłaniając go przed wzrokiem
przybysza.

W głosie czarownika zabrzmiało
zniecierpliwienie.

- To staje się męczące. Gdzie jest obcy,

którego wyczułem? Cisza. Tylko stara zielarka

szeptęła cicho za plecami Vanyela:

- Nie odzywaj się, chłopcze. Nie jesteś w stanie stawić mu czoło, a my dobrze o tym

wiemy. Jeśli cię złapie, nie przyjdzie nam z tego nic dobrego. Zresztą nawet gdy cię dostanie,

może nas rozszarpać na strzępy. A tak, możliwe, że się znudzi i sam odejdzie.

- Powiedziałem, że chcę wiedzieć, gdzie jest ten obcy. - Trzymając teraz obie dłonie na

biodrach, czarownik powiódł wzrokiem dookoła siebie. Z całej jego sylwetki biła wściekłość. -

A więc, dobrze. Widzę, że czas na następną lekcję posłuszeństwa. -
Odwrócił się z lekka, stając

twarzą do grupki zasłaniającej Vanyela i uniósł prawą dłoń. - Ty, Gallenie. -
Skinął

nieznacznie, przywołując mężczyznę. -
Chodź tutaj...

Gallen zrobił jeden niepewny krok, potem drugi. Siłą własnej woli próbował

przeciwstawić się nakazowi czarownika, ale bezskutecznie. Na czoło wystąpił mu pot, z gardła

dobył się cichy jęk.

Grupka przed Vanyelem znów się ścisnęła, dzięki czemu Vanyel pozostawał nadal w

ukryciu. Twarz czarownika wykrzywił sadystyczny uśmiezek.

- Wiecie przecież, że nie macie żadnych szans przeciwko mnie - powiedział łagodnie. -

Wyzywając mnie, bylibyście jak dziecko atakujące uzbrojonego wojownika. No,

chodź tutaj.

Dobry piesek.

Gallen przebiegł ostatnie kilka kroków i cały rozdygotany zatrzymał się u boku

czarownika. Krebain obszedł go dookoła, przyglądając mu się uważnie. Magiczne światełko

wiernie trwało wciąż nad jego głową.

- Niech no się zastanowię... domyślam się, że masz żonę. - Omiótł wzrokiem

pozostałych wieśniaków. - Tak, w rzeczy samej. Reva... a niech to.

Niedoszła wojowniczką,

tak? Podejdź tutaj, moja droga.

Skinął palcem, a smagła Reva wystąpiła z grupki przy zachodniej barykadzie.

Wciąż

ściskała w dłoni zaimprovizowaną dzidę z noża przymocowanego do kija.

Jej pobleadła twarz

zmartwiała z rozpaczy.

Krebain potrząsnął głową.

- Doprawdy, moja droga, taką bronią wiele nie zwojujesz. Gallenie, zabierz jej to.

Gallen nawet nie drgnął. Jego złana

potem twarz błyszczała w blasku
magicznego

światła.

- Powiedziałem, zabierz to. - Głos
Krebaina zabrzmiał szorstko,
rozkazująco, a Gallen

wyciągnął swe spękane ręce po dzidę
żony.

- A teraz... przyłóż czubek tego
maleńkiego nożyka do jej brzucha. -
Twarz Gallena

skurczyła się w udręce, gdy opuszczał
dzidę, aż czubek noża zatrzymał się na
brzuchu żony.

Potem jęknął, gdy Kriebain zmusił go do uchwycenia trzonu w obie dłonie. - Oczywiście, Revo,

byłoby to dla ciebie dość bolesne, gdybyś chciała teraz zrobić krok do przodu...

Vanyel nie mógł już dłużej tego znieść. Zebrał resztki odwagi i wrzasnął łamiącym się

głosem:

- Przestań!

Odsunął na bok zasłaniających go ludzi i stanął na wolnej przestrzeni, kilka kroków

przed nimi.

Korzystając z momentu, jaki potrzebował czarownik, aby odwrócić się ku niemu,

zwilżył wargi i z całej siły zawołał w myśli:

- *Yfandes! Mag jest tutaj! Yfandes...*

- Dość już tego, dziecko!

Vanyel poczuł, że nad wioską zasuwa się bariera, przez którą nie przedrze się już żadna

myśl, żadne wołanie o pomoc.

Uniósł dumnie głowę, przybierając tę samą, lodowatą, prowokującą maskę, która tak

dobrze posłużyła mu w konfrontacji z ojcem.

- Puść ich, czarowniku - powiedział drżącym głosem. Czuł, jak zimny pot spływa mu

po plecach. Był niemal sparaliżowany strachem. - To mnie szukałeś.

Krebain uczynił nieznaczny gest dłonią, a Gallen i Reva odeszli uwolnieni od jego

mocy. Gallen odrzucił na ziemię dzidę i

objął ramionami żonę, potem oboje wtopili się w tłum

za plecami Krebaina.

- Stań tak, abym mógł cię wyraźnie widzieć - powiedział czarownik łagodnym głosem.

Vanyel postąpił naprzód i powolnym, niepewnym krokiem zaczął zbliżać się do

czarownika, by stanąć w zasięgu jego magicznego światła.

- Cóż to za miła niespodzianka...

Jeżeli Krebain nie udawał - a

niewykluczone że właśnie to robił - był wyraźnie

zaskoczony.

Vanyel pomyślał, że jeśli uda mu się podtrzymać jego dobry nastrój, ludność wioski

może zyskać parę chwil bezpieczeństwa. Poczul rosnącą w sercu nadzieję i uchwycił się jej.

- Cóż to za miłutka niespodzianka. Mój niedoszły wróg to piękny młody mężczyzna.

Jak ci na imię, mój śliczny?

Vanyel nie widział powodu, dla którego miałby nie udzielić odpowiedzi. Jeśli wszystko

pójdzie dobrze, jeśli Yfandes usłyszała jego wołanie, zyska tylko na czasie.

Pokrzepił się

jeszcze nadzieją i odpowiedział:

- Vanyel Ashkevron.

- Vanyel... nie do wiary... ten Vanyel Ashkevron? - Odrzuciwszy w tył głowę,

czarownik zaniósł się śmiechem. - A to ci dopiero dowcip! Cóż za wspaniałe żart! Ja poluję na

ciebie, a ty sam pchasz się w moje ręce,
i w dodatku nie uzbrojony!

Vanyel, oszołomiony, potrząsnął głową.

Czarownik wyszczerzył zęby w
szydlerczym uśmiechu.

- Mój drogi, piękniutki chłopiec. Masz
wrogów, wiesz o tym? Wrogów, którzy
nie

doceniają urody, za to mają sporo
pieniędzy, Wester Leszara wini cię za
śmierć jego kuzyna

Evana. Nie wiedziałeś tego? Przysłał mi
specjalną premię, abym się tobą zajął
tak samo, jak

zająłem się młodym Stavenem
Frelennye. Chciałem najpierw załatwić
swoje sprawy tutaj, a

dopiero później, gdy wszystko
przycichnie, wziąć się za ciebie. Ale
teraz... nie wiem, czy

rzeczywiście cię zabiję. Nie, gdy widzę,
jak jesteś piękny. Zbliź się.

Vanyel nie odczuł żadnego magicznego
przymusu, co było dla niego dość
zaskakujące.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu -
powiedział ostrożnie - wolałbym tego
nie robić.

Tym razem uśmiech Krebaina zdradzał szczere rozbawienie.

- A więc ja podejść do ciebie, piękny Vanyelu.

Wdzięcznym krokiem przemierzył ubity plac, stawiając stopy, jak gdyby stąpał po

specjalnie dla niego usypanym kobiercu z płatków róż; magiczne światełko nad jego głową

przesuwało się wraz z nim. Obszedł Vanyela dookoła, podobnie jak przedtem Gallena. Tym

razem jednak na jego twarzy malowała

się okrutna radość i zachłanność.

Posuwał się jakby po

spirali, której centralnym punktem był Vanyel. Zbliżał się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie

stał wprost przed chłopcem, w odległości nie większej niż kilkanaście centymetrów. Potem

uniósł jedną ze swych odzianych w szkarłatne rękawiczki dłoni i - jak gdyby był z Vanyelem

sam na sam - położył rękę na jego policzku. Vanyel wbił wzrok w błękitno-czarne oczy

patrzące na niego przez otwory w hełmie-masce i wytrwał, nie cofając się przed świdrującym

spojrzeniem. Dopiero te oczy zdradzały, że czarownik nie jest człowiekiem. Były zwięzione jak

u kota, a pod aksamitną rękawiczką Vanyel wyczuwał coś ostrego, jakby pazury.

- A niech to - westchnął Krebain. - Srebrzyste oczy. Rzadkie i piękne, Vanyelu

Ashkevron. Jakże to wspaniałe i niesłychane, że jesteś tutaj właśnie teraz. Zastanawiam się, czy

- biorąc pod uwagę upodobania
Tylendela Frelennye - byłeś tylko jego
przyjacielem czy może

kimś więcej?

Nadal ignorując obecność pozostałych
ludzi, pochylił się i złożył na ustach
Vanyela

namiętny, gorący pocałunek.

Vanyel zadrżał wstrząśnięty
jednocześnie narastającą w nim falą
wstrętu i pożądania.

Połowa jego istoty pragnęła wyrwać się
z objęć czarownika i skoczyć do gardła
temu

dziwnemu stworzeniu, które bez trudu potrafiło zmusić mężczyznę do zamordowania własnej

żony, a w tej chwili zupełnie straciło zainteresowanie mieszkańcami wioski, ignorując ich

obecność.

Druga jego połowa zaś pragnęła zatonać w ramionach czarownika.

Zmagał się z uczuciem pożądania, by po chwili mu ulec.

Do diaska, to tylko seks. Wiem, co to prawdziwa miłość... a to... nie ma z nią nic

wspólnego.

Zamknął oczy i poczuł, że kolana się pod nim uginają.

Raptem przed oczami stanął mu sen...

*- Poddaj się, magu heroldów Vanyelu -
mówił Lareth. - Przyjmij w siebie mój
mrok.*

Czyżby ów sen nie był wróżbą, lecz ostrzeżeniem?

Usiłował zastanowić się nad tym przez chwilę, jednakże tocząc wewnętrzną walkę, nie

dopuszczał do tego, aby czarownik

zorientował się, co się z nim dzieje.

Wtedy uświadomił

sobie, że pomimo swej ogromnej mocy
Krebain nie dorównuje mu sprawnością
umysłu i siłom

jego darów. Nie posiadał na przykład
umiejętności myśloczucia. Bariera
wzniesiona wokół

wioski została stworzona siłą zaklęcia, a
nie umysłu. Wszystko to oznaczało, że
Vanyel nie

powinien mieć żadnych trudności z
odczytaniem myśli Krebaina, oczywiście
bez jego wiedzy.

Czarownik wreszcie oderwał swe usta od ust Vanyela, odsunął się powoli, niechętnie, a

potem pogłaskał pieśczośliwie policzek chłopca i opuścił rękę.

- Och - wyszeptał z na wpół przymkniętymi oczami. Jego kocie źrenice zwężyły się do

ledwie dostrzegalnych kreseczek. - Ach, piękne i rzadko spotykane, śliczny Vanyelu. Chodź ze

mną. Chodź ze mną i zostań mym ukochanym. Mogę cię nauczyć więcej sztuczek, niżli

potrafisz sobie wyobrazić. Zbuduję dla
ciebie królestwo, dam ci władzę,
rozkosz - wszystko, o

czym zamarzysz. Powiedz tylko, czego
pragniesz, a będziesz to miał.

Pokusa była nieprawdopodobna. Vanyel
pomyślał: Mógłbym nim pokierować,

wzbudzić w nim litość, współczucie.
Nie musi przecież pozostać taki, jaki
jest. Mógłbym go

odmienić na lepsze. Nawet jeśli go nie
kocham... czyż nie byłoby warto? Bo
przecież go nie

kocham... ale sądzę, że mogłoby mi na

nim zależeć. Pragniemy się nawzajem...
Czyż to nie jest

wystarczający powód?

Serce waliło mu jak młotem. Muszę się
dowiedzieć, kim naprawdę jest Krebain.
Jeśli

mógłbym w nim coś zmienić... jeśli
mógłbym jakoś na niego wpłynąć...

Krebain uśmiechnął się.

- Mogę nawet - wyszeptał - urządzić
zemstę na Westerze Leszara, jakiej świat
jeszcze

nie widział. Zemstę, która

usatysfakcjonowałyby nawet kochanka
Tylendela.

Umysł czarownika był cały czas
dostępny dla Vanyela, który mógł w nim
czytać jak z

otwartej księgi.

I Vanyel zobaczył, w jaki sposób
Krebain posiadał swą moc, jak i skąd się
jej nauczył. I

zobaczył też, do jakich celów ową moc
wykorzystywał i jaką czerpał z tego
wszystkiego

przyjemność. Ani w nim samym, ani w
jego myślach nie było nic ludzkiego.

Bogowie! Nigdy... nigdy nie oddam się
czemuś takiemu! Obrzydzenie zmiotło
resztki

pożądania i Vanyel odwrócił głowę.
Jego twarz wyraźnie zdradzała, że znów
opadły go

mdłości.

Krebain poczerwieniał i mimo woli
zrobił krok do tyłu. Potem gniewnie
zmarszczył

brwi i przybrał surowy wyraz twarzy.

- Będę cię miał, Vanyelu Ashkevron...
przy zdrowych zmysłach albo i nie.

To ostrzeżenie wystarczyło. Vanyel okrył się osłoną i wrzasnął do wieśniaków:

- Uciekajcie.,.

Ci momentalnie rozpierzchli się, kryjąc się za barykadami i pozostawiając Vanyela sam

na sam z czarownikiem...

...który strzelił w niego piorunem.

Ciało Vanyela rozdarł ból. Nie pomogła nawet osłona. Włosy stanęły mu dęba, po

nerwach przebiegł ogień. Pod naporem

ataku padł na kolana; wzmocnił osłonę,
lecz naty-

chmiast poczuł, że ta znów słabnie...
Wtedy przypomniał sobie, co mówił
Tańczący Księżyc o

ogniskach siły.

Zdesperowany otworzył umysł w
poszukiwaniu któregoś z nich, odnalazł
je i poczuł

spływającą nań energię, przynoszącą
przytłaczającą moc, odpędzającą ból i
podsycającą wolę

walki z potworem w ludzkiej skórze.

Dźwignął się na nogi, zrobił krok do tyłu i odbił błyskawicę Krebaina wprost na jego

twarz.

Nad placem buchnął ogień, a czarownik wycofał się, w ostatniej chwili zdążywszy

nałożyć swe osłony. Vanyel jednak nie dał mu ani chwili na otrząśnięcie się z zaskoczenia i sam

przypuścił atak, używając tym razem nie pioruna, a broni o wiele skuteczniejszej - wokół ciała

czarownika począł owijać ognistą

płachtę.

Ale już po kilku chwilach Kriebain
zdołał rozerwać całun i w odpowiedzi
posłał

Vanyelowi ogniasty krąg, który
buchnąwszy płomieniami na ziemi u stóp
chłopca, począł

zacieśniać się wokół niego coraz
bardziej, zamykając go w potrzasku.
Vanyel poczuł

spaleniznę, gdy ogień lizał podeszwy
jego butów. Skóra paliła go, jakby
zaczęła się kurczyć.

Oblany potem z gorączki, strachu i

wysiłku, Vanyel sprawił, że z ziemi
poderwały się

tumany piachu, który opadając zdusił
ogień.

Tym razem jednak Krebain nie dał mu
szansy na kolejny atak i ściągnął na
Vanyela

magiczną burzę, podobną do tej z
koszmarnego snu. Burza spadła wprost z
czarnego nieba,

zamykając się dookoła chłopca chmurą
przynoszącą wyjąca wicherę i potworny
powiew

rozdzierającej energii.

I tak samo jak we śnie jej pioruny
rozerwały osłony Vanyela, szybciej, niż
ten potrafił je

wznieść.

Trąba powietrzna szalała wokół niego
ze skowytem, ograniczając pole
widzenia. Nie

widział już... nie widział już nic, tylko
ową dziką chmurę mocy rosnącą w siłę z
każdą chwilą.

Ogniska energii wyczerpywały się jedno
po drugim. Teraz już pozostała
Vanyelowi

tylko jego własna moc.

Osunął się na kolana, utrzymując swą ostatnią osłonę resztką determinacji...

...i ostatni, decydujący podmuch rozpędził burzę, powalając Vanyela na ziemię.

Chłopiec leżał ogłuszony pośród ciszy zalegającej nad placem. Był kompletnie wyczerpany. Krwawił.

Rozciągnięty na wpół na plecach, na wpół na boku, z udręką wsłuchiwał się w tę ciszę,

wyjąca w jego uszach tak samo jak burza. Poza szkarłatną sylwetką czarownika na placu nie

było nikogo.

Vanyel zupełnie opadł z sił, a całe jego ciało szarpał ból, odbierający mu zdolność

myślenia. Zakasłał i poczuł smak krwi w ustach, a gdy próbował oddychać, uczył w piersi i

gardle ostre klucie.

Dziwnie jakoś jego uwagę przyciągały drobne szczegóły. Czuł kamyk wbijający mu się

w policzek, drażnił go kosmyk włosów łaskoczących go w nos, wiedział, że jego stopa

wykręcona jest nie w tę stronę, w którą skierowana być powinna, i że oczy nabiegają mu

krwią... i dostrzegął każdy płatek śniegu spływający w dół w blasku magicznego światła.

Na widok Krebaina zmierzającego ku niemu z przeciwległego krańca placu

pociemniało mu w oczach. Nagle widział wszystko przez ciemną mgłę.

Czarownik stał nad nim.

I nagle zachciało mu się śmiać.

Bogowie. Na co się zdał cały strach przed tym snem? Na

nic. Lecz spojrzenie na twarz Krebaina otrzeźwiło go. A więc do tego to się sprowadza. Tak to

się kończy. Ale przynajmniej... wygląda na trochę zmęczonego. Przynajmniej stoczyłem z nim

walkę.

Zdało mu się, że ktoś, a może coś, wydało z siebie skomlenie. Proszę, bogowie...

niechże ci ludzie ujdą z życiem, nie pozwólcie, aby wszystko poszło na marne. Sprawcie, aby

inni przybyli w porę, aby ich ocalić.

- Mówiłem ci, Vanyelu Ashkevron, że będziesz mój, przy zdrowych zmysłach albo i

nie - rzekł łagodnie Krebain. -

Wolałbym jednakże, abyś oddał mi się w całości i z własnej woli.

Widzisz? Potrafię okazać miłosierdzie. Potrafię być dobry dla tych, których kocham. Daję ci

jeszcze jedną szansę, piękny Vanyelu. Poddaj się, a uleczę twe rany i obdaruję cię wszystkim,

co ci obiecałem. Pójdiesz teraz ze mną?

Nie. Nigdy. Nie za cenę mojego życia.

Vanyel uniósł głowę i spojrział w te
niehumanne,

odpychające oczy. A ja przecież zapłacę
za to swoim życiem. Ale... bogowie...
nie mogę

pozwolić, aby ktoś poza mną je stracił!

Otworzył się na przepływ energii i
sięgnął najdalej, jak tylko zdołał,
wiedziony

nadzieją, że pozostało jeszcze trochę
mocy w ogniskach lub też że odnajdzie
jakieś nowe skupi-

sko energii, jeszcze nie wyczerpane...

...tymczasem poczuł ognisko doliny.

Bogowie... to niemożliwe!

Na moment opanowała go myśl, że to ocalenie, nie tylko dla mieszkańców wioski, ale i

dla niego samego. Lecz gdy przeanalizował swe możliwości, zorientował się, że użycie żywej

energii o takiej mocy najpewniej przyniesie mu śmierć. Nie miał już przecież sił, aby nad nią

panować, a rezultat byłby podobny do tego, co wydarzyło się podczas ćwiczeń z Gwiezdnym

Wichrem, ale tysiąc razy gorszy.

Mógł umrzeć bezboleśnie, pozwalając czarownikowi unicestwić jego duszę i ciało;

mógł też umrzeć w nieludzkich męczarniach, ratując życie Kovii.

Już raz gotów byłem umrzeć, dla Lendela, dlaczego więc teraz miałbym się obawiać

bólu i śmierci? - pomyślał ze ściśniętym gardłem. Na pewno muszę zapłacić za to, że nie

powstrzymałem Lendela. Bogowie, niech to będzie moja pokuta. Dajcie mi

choć tyle sił, abym

zdołał go powstrzymać.

- Nie - wykrztusił. - Nigdy.

Twarz czarownika wykrzywiła wściekłość, a on sam zrobił krok w tył, przygotowując

się do zadania ostatecznego ciosu. Vanyel zamknął oczy i sięgnął po energię...

W tej samej chwili poczuł wszechogarniający spokój. Przeppełniła go wewnętrzna

blogość płynąca ze świadomości, że to,

co za moment uczyni, zabije go, a w
pobliżu nie ma

Tańczącego Księżyca, który swą
uzdrowiającą mocą potrafiłby odwrócić
skutki owego kroku.

Z uczuciem dziwnie podnoszącym na
duchu otworzył się na przepływ energii
ogniska doliny...

i nakierował jej strumień...

A żywa moc przelała się przez niego, by
oczami wytrysnąć wprost na
czarownika.

Vanyel krzyczał w straszliwych
męczarniach, ale jego wrzask ginął w

przeraźliwym

skowycie Krebaina, którego wielka fala
mocy zastała nie osłoniętego, porażając
go prosto w

twarz.

A potem Vanyel pogрузił się w
absolutnym spokoju i ciemności. Och,
Lendelu,

gdziekolwiek jesteś, idę do ciebie.
Proszę, proszę, czekaj na mnie...

Drogi Withenie!

*Myślę, że dziś byłbyś bardzo dumny ze
swego syna...*

Savil usłyszała cichutki szmer dochodzący z łóżka osłoniętego zielonym baldachimem

z paproci. Odłożyła na bok pióro i papier, wyplątała się z płaszcza, którym była otulona, wstała

i odsunęła jedwabiste zasłony.

Vanyel, obandażowany, poparzony i posiniaczony, zdawał się bardzo blady na tle

pościeli Tańczącego Księżyca. Znów poruszył głową na poduszce i otworzył zamglone oczy.

Savil przełknęła ślinę. Jakże był

złamtretowany, jakże oszołomiony.

Och, mój kochaniutki, nieomalże cię utraciliśmy... tak niewiele brakowało.

Przypuszczam, że poprosisz mnie, abym mógł tu zostać, w bezpiecznym schronieniu. Bogowie

wiedzą, że zasłużyłeś sobie na to.

Vanyel zamrugał powiekami, jak gdyby nie dowierzał własnym oczom.

- Ciociu... Savil? - powiedział słabiutkim głosem. - Czy... to naprawdę ty?

Savil przysiadła ostrożnie na brzegu

łóżka i uśmiechając się łagodnie,
położyła dłoń na

policzku bratanka.

- A czy to wydaje ci się dość
rzeczywiste?

Vanyel skinął potakująco i znów
zamrugał powiekami.

- A co z tamtymi ludźmi... z wioski... co
z Gallenem, Revą... czy nic im nie jest?

- Są cali i zdrowi, *ke'chora* - odparła.

Pytanie Vanyela napełniło jej serce
dumą i

miłością. Jego pierwsza myśl dotyczy...

innych. Nie ma wątpliwości; Gwiezdny
Wicher miał

rację. Nie można żywić już żadnych
obaw co do niego. - Przybyliśmy na
miejsce w samą porę,

aby powstrzymać cię od opuszczenia
nas. Bogowie... jak to dobrze, że ten
drań był już martwy.

Nigdy w życiu nie widziałam go tak
rozwścieczonego, a Yfandes wprost
szalała z gniewu.

Praktycznie nie mieliśmy tam już nic do
roboty. Wzniosłam tylko Bramę,
ponieważ

musieliśmy jak najszybciej powrócić do doliny, aby Tańczący Księżyc mógł przywrócić cię do życia.

- A więc nikomu nic się nie stało? - dopytywał się Vanyel, jakby sam nie śmiał w to

wierzyć. - Czy są teraz bezpieczni? A czy tobie, Gwiezdnemu Wichrowi i Tańczącemu

Księżycowi nic się nie stało? Ten czarownik... to był ten sam, którego najął Leszara... sam mi o

tym powiedział. Mówił, że...

- Później - uspokoiła go. - Opowiesz mi później. Nic nam nie jest. K'Treva posłali kilku

Wędrowców z Tayledras, aby pomogli ludności Kovii stanąć na nogi po tym wszystkim i aby

zorganizowali lepszą ochronę w tamtym rejonie. Jesteś jedynym, który odniósł jakiegokolwiek

obrażenia, kochanie. - Rzuciła okiem na niebo, aby ocenić porę nocy. -
Przypuszczam, że lada

moment nadejdzie Tańczący Księżyc, aby przeprowadzić następny zabieg uzdrawiający.

Vanyel westchnął i z jego gardła dobył się cichutki szloch. Savil spojrzała na niego;

poczuła się zmieszana, widząc, że chłopiec płacze.

- Vanyelu - powiedziała, zdezorientowana widokiem łez na jego policzkach i dziwnym

cieniem czającym się w jego oczach. - Van, o co chodzi?

- Ja... - wykrztusił - ja... po tym, co Lendel... nie będą mnie chcieli. Heroldowie... nie

będą mnie chcieli...

- Och, Van... - Savil zacisnęła powieki, powstrzymując cisnące się jej do oczu łzy

radości. - Dziecko... och, moje dziecko, przechodzisz wszelkie moje oczekiwania. Zdawało mi

się, że jest to ostatnia rzecz, jaką mogę teraz usłyszeć z twych ust. - Van...
ke'chara...

Heroldowie przyjmą cię. Jakżeby mogli cię odrzucić? Wszakże już jesteś heroldem.

- Ja... jestem... jestem? - Wpatrywał się w Savil zdezorientowany, najwyraźniej nie

mógł uwierzyć w jej słowa.

Ona zaś zdjęła z fotela swój biały płaszcz i okryła nim Vanyela. Chłopiec chwycił go

mocno. Na jego twarzy odbiła się cała burza wzbierających i wygasających w jego sercu uczuć,

od rezygnacji przez zdumienie, aż do radości tak wielkiej jak radość Savil.

- ...proszę. Oto twa Biel na dowód moich słów. Musisz się wprawdzie nauczyć jeszcze

paru rzeczy i dlatego zostaniemy tu przez następnych kilka księżycy, lecz, Vanyelu,

to serce

czyni z człowieka herolda; troskliwe serce, które w pierwszej kolejności dba o dobro innych, a

dopiero później o swoje. Dlatego jesteś już heroldem.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech, tak ciepły i szczęśliwy, że serce Savil zabiło mocniej.

Potem Vanyel zamknął oczy i zapadł w sen, jedną ręką wciąż przyciskając do siebie białą

płaszcz.

*...o tak, Withenie, byłbyś bardzo dumny.
Jak ja jestem.*